

PISTAZZONI 50 | PISTAZZONI

ALFRED HITCHCOCK | ENIGMAS

STRUGALCOV



MILASTO

SWAZANE

ARKADIJ I BORYS STRUGACCY

Miasto skazane

(Przeład: Ewa Skórska)

- *Jak się macie, karasie?*

- *Dziękujemy, mamy się.*

Walentij Katajew

*...Znam uczynki twoje i trud, i wytrwałość,
i wiem, że nie możesz ścierpieć złych,
i że doświadczyłeś tych,
którzy podają się za apostołów, a nimi nie są,
i stwierdziłeś, że są kłamcami...*
Objawienie św. Jana (Apokalipsa)

CZĘŚĆ 1

ŚMIECIARZ

ROZDZIAŁ 1

Kubły były zardzewiałe, pogieęte i miały odstające kłapy. Spod kłap wystawały strzępy gazet, zwisały obierki. Przypominało to paszcze niechlujnych pelikanów, którym jest wszystko jedno, co zjadają. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że nie sposób podnieść takiego ciężaru, ale tak naprawdę we dwóch z Wanem mogli je jednym szarpnięciem unieść ku wyciągniętym rękóm Donalda i postawić na brzegu otwartej kłapy ciężarówki. Trzeba tylko było uważać na palce. Potem, gdy Donald przesuwał kubel w głąb budy, mogli poprawić rękawice i chwilę pooddychać przez nos.

Z otwartej bramy ciągnęło wilgotnym, nocnym chłodem. Pod sklepieniem, na obrośniętym brudem kablu, huśtała się goła żółta żarówka. W jej świetle Wan wyglądał jak człowiek chory na żółtaczkę. Twarzy Donalda w ogóle nie było widać - zasłaniał ją cień runda jego teksaskiego kapelusza. Szare, obdrapane, spękane ściany, kłaki zakurzonej pajęczyny w rogach sufitu, nieprzyzwoite rysunki rozebranych kobiet naturalnej wielkości, a przy drzwiach do stróżówki nieporządna sterta pustych butelek i puszek, które Wan zbierał, starannie sortował i oddawał do skupu...

Gdy został już ostatni kubel, Wan wziął miotłę i szufelkę i zabrał się za sprzątanie walających się na asfalcie śmieci.

- Niech pan przestanie, Wan - powiedział rozdrażniony Donald. - Za każdym razem to samo. Czyścisz tu i tak nie będzie.

- Dozorca sprzątać musi - zauważył pouczająco Andrzej, kręcąc prawą dłonią i koncentrując się na odczuwanym bólu. Wydawało mu się, że naderwał sobie ścięgno.

- Przecież i tak znowu naśmiecą - powiedział Donald z nienawiścią. - Nawet się nie obejrzymy, jak będzie tu jeszcze brudniej niż przedtem.

Wan wsypał śmieci do ostatniego kubła, upchał je szufelką i zatrzasnął kłapę.

- Gotowe - rzekł, rozglądając się dookoła.

W bramie było teraz czysto. Wan popatrzył na Andrzeja z uśmiechem. Potem zerknął na Donalda i powiedział:

- Chciałbym panu tylko przypomnieć...

- Dobra, dawajcie - niecierpliwił się Donald. Raz i dwa: Andrzej i Wan szarpnięciem podnieśli kubel. Trzy i cztery: Donald schwycił go, stęknął, sapnął i wypuścił. Kubel przechylił się i bokiem upadł na asfalt. Zawartość wystrzeliła na dziesięć metrów, jak z katapulty. Kubel, z którego ciągle wysypywały się śmieci, poturlał się na podwórko. Głuche echo pomknęło pomiędzy ścianami domów ku czarnemu niebu.

- O ty w mordę i nożem, cholera jasna, psiakrew! - zawołał Andrzej, który ledwie zdążył odskoczyć. - Dziurawe ręce!

- Chciałem panu tylko przypomnieć - odezwał się łagodnie Wan - że ten kubel ma urwany uchwyt.

Wziął miotłę, szufelkę i zabrał się za sprzątanie. Donald przysiadł na brzegu budy i opuścił ręce między kolana,

- Przekleństwo... - powiedział głucho. - Przeklęta podłoga.

Coś z nim było ostatnio wyraźnie nie w porządku, a tej nocy w szczególności. Dlatego Andrzej nie wygłosił swojego sądu o profesorach i ich przydatności do prawdziwej pracy. Poszedł po kubel, potem wrócił do ciężarówki, zdjął rękawice i wyciągnął papierosy. Z pustego kubła śmierdziało niemiłosiernie, więc Andrzej czym prędzej sam zapalił, a dopiero potem zaproponował papierosa Donaldowi. Donald w milczeniu pokręcił głową. Trzeba było coś zrobić, żeby poprawić nastrój. Andrzej wrzucił spaloną zapałkę do kubła i zaczął mówić:

- Żyli sobie w pewnym miasteczku dwaj asenizatorzy, ojciec i syn. Nie było tam kanalizacji, tylko doły z wiadomo czym. I oni to wiadomo co wybierali wiadrem i przelewali do swojej beczki.

Ojciec, jako bardziej doświadczony specjalista, schodził na dół, a syn podawał mu z góry wiadro. I pewnego razu syn nie utrzymał wiadra i całą zawartość wylał na ojca. No, ojciec wytarł się, popatrzył na niego z dołu do góry i powiedział z goryczą: "Sieroto ty, boża ofermo! Rozumu za grosz! W ten sposób przez całe życie będziesz na górze sterczał!"

Andrzej oczekiwał, że Donald przynajmniej się uśmiechnie. Donald był zwykle człowiekiem wesołym, towarzyskim, nigdy nie chodził z nosem na kwintę. Było w nim coś z wiecznego studenta. Ale teraz tylko zakaszłał i głucho powiedział:

- I tak nie da rady oczyścić wszystkich dołów.

A Wan, który cały czas krzątał się przy kuble, zareagował jeszcze dziwniej - nagle zapytał z zainteresowaniem:

- A po ile ono u was jest?

- Co po ile? - nie zrozumiał Andrzej.

- Gówno. Drogie?

Andrzej zaśmiał się z niedowierzaniem.

- Jak by ci to powiedzieć... Zależy czyje...

- To macie różne? - zdziwił się Wan. - A u nas wszystkie jednakowe. A czyje jest najdroższe?

- Profesorskie - odpowiedział natychmiast Andrzej. Po prostu nie mógł się powstrzymać.

-Aaa!...

- Wan wsypał do kubła kolejną szufelkę śmieci i pokiwał głową. - Jasne. U nas na wsi nie było profesorów i dlatego cena była jednakowa - pięć juanów za wiadro. To w Syczuanie, a w Czangsi, na przykład, ceny dochodziły do siedmiu, a nawet ośmiu juanów.

Andrzej w końcu zrozumiał. Nagle poczuł chęć, żeby zapytać, czy to prawda, że Chińczyk, który przyszedł na proszony obiad, ma obowiązek wypróżnić się w ogrodzie gospodarza. Ale oczywiście nie wypadało się czymś takim interesować.

- Jak tam u nas teraz, to nie wiem - ciągnął Wan. - Ostatnio nie mieszkałem na wsi. A dlaczego akurat profesorskie jest u was najdroższe?

- Żartowałem - przyznał się Andrzej z miną winowajcy. - U nas się tym w ogóle nie handluje.

- Handluje się - powiedział Donald. - Nawet tego pan nie wie.

- A pan nawet to wie - odciął się Andrzej.

Jeszcze miesiąc temu Andrzej zacząłby się w tym miejscu ostro kłócić z Donaldem. Potwornie go denerwowało, że Amerykanin przez cały czas opowiadał o Rosji takie rzeczy, o których Andrzej nie miał zielonego pojęcia. Kiedyś był przekonany, że Donald po prostu wciska mu kit albo powtarza przesiąknięte żółcią brednie Hersta. "Do diabła z waszym Herstem!" - opędzał się. Ale potem pojawił się ten frajer Izia Katzman i Andrzej przestał zaprzeczać, tylko się odcinał. Diabli ich wiedzą, skąd oni to wszystko brali. Swoją bezsilność tłumaczył tym, że on sam pojawił się tutaj z pięćdziesiątego pierwszego, a ci dwaj - z sześćdziesiątego siódmego.

- Szczęśliwy z pana człowiek - powiedział nagle Donald, wstał i poszedł do kubłów przy kabinie. Andrzej wzruszył ramionami i, próbując uwolnić się od niesmaku wywołanego tą rozmową, włożył rękawice i zaczął pomagać Wanowi sprzątać śmierdzące śmieci. No dobra, no i nie wiem. Gówno, rzeczywiście. A co ty wiesz o całkach? Albo, powiedzmy, o stałej Hubble'a? Trudno wszystko wiedzieć. Gdy Wan upychał w kuble resztę śmieci, w bramie pojawiła się elegancka sylwetka policjanta Kensi Ubukaty.

- Proszę tędy - rzucił do kogoś przez ramię i zsalutował Andrzejowi. - Cześć pracy, śmieciarze!

Z cienia bramy weszła w krąg żółtego światła dziewczyna i stanęła obok Kensięgo. Była bardzo młoda, mogła mieć najwyżej dwadzieścia lat, i bardzo mała - niskiemu policjantowi sięgała

zaledwie do ramienia. Miała na sobie gruby sweter z bardzo szerokim kołnierzem i krótką spódnicę. Od bladej chłopięcej twarzy wyraźnie odcinały się mocno umalowane wargi. Długie jasne włosy spadały na ramiona.

- Proszę się nie bać - uśmiechnął się uprzejmie Kensi. - To tylko nasi śmieciarze. Na trzeźwo zupełnie niegroźni... Wan! - zawołał. - To Selma Nagel, nowa. Jest zarządzenie, żeby ją ulokować u ciebie, pod osiemnastką. Osiemnastka wolna?

Wan podszedł do nich, zdejmując rękawice.

- Wolna. Już od dawna. Dzień dobry, Selmo Nagel. Jestem tu dozorcą, nazywam się Wan. Jeśli będzie pani czegoś potrzebować, to tam są drzwi od stróżówki, proszę przyjść.

- Daj klucz - zarządził Kensi. - Chodźmy, zaprowadzę panią.

- Nie trzeba - powiedziała Selma zmęczonym głosem. - Znajdę.

- Jak pani sobie życzy. - Kensi znowu zasalutował. - Proszę, tu jest walizka.

Dziewczyna wzięła od Kensiego walizkę, od Wana klucz, potrząsnęła głową, odrzucając spadające na oczy włosy, i zapytała:

- Która to klatka?

- Prosto - zaczął tłumaczyć Wan. - Ta pod oknem, w którym się świeci. Czwarte piętro, A może jest pani głodna? Chce pani herbaty?

- Nie, nie chcę - odparła dziewczyna, znowu potrząsnęła głową i, stukając obcasami po asfalcie, poszła prosto na Andrzeja.

Odsunął się, żeby ją przepuścić. Gdy przechodziła, poczuł silny zapach perfum i jeszcze jakichś kosmetyków. Patrzył na nią cały czas, gdy szła przez żółty krąg światła. Miała bardzo krótką spódnicę, odrobinę tylko wystającą spod swetra, i długie białe nogi. Gdy wyszła z bramy w ciemność podwórka, Andrzejowi wydało się, że te nogi świecą. W tej ciemności widać było tylko jej biały sweter i białe nogi.

Potem zapisały i trzasnęły drzwi. Andrzej znowu odruchowo sięgnął po papierosy i zapalił, wyobrażając sobie, jak te białe, szczupłe nogi wchodzi po schodach, stopień po stopniu... gładkie kostki, dołeczki pod kolanami, oszaleć można. A ona wchodzi coraz wyżej, piętro za piętem i zatrzymuje się przed drzwiami mieszkania numer osiemnaście, dokładnie naprzeciwko mieszkania numer szesnaście... Cholera, trzeba było przynajmniej zmienić pościel, powłoczka zrobiła się szara jak ścierka. A jak wygląda jej twarz? A to numer, zupełnie nie pamiętam jej twarzy. Tylko nogi.

Nagle zdał sobie sprawę, że wszyscy milczą, nawet żonaty Wan. W tym momencie odezwał się Kensi:

- Mam ciotecznego wujka. Pułkownik Maki. Był adiutantem pana Osimy i dwa lata przesiedział w Berlinie. Potem mianowali go pełniącym obowiązki naszego wojskowego attache w Czechosłowacji. Był świadkiem wejścia Niemców do Pragi...

Wan kiwnął na Andrzeja, szarpnięciem podnieśli kubeł i szczęśliwie przetransportowali go na budę.

- ...potem - ciągnął niespiesznie Kensi, zapalając papierosa - trochę powojował w Chinach, zdaje się, że gdzieś na południu, w okolicach Kantonu. Dowodził dywizją, która wylądowała na Filipinach, i organizował ten słynny marsz śmierci pięciu tysięcy amerykańskich jeńców wojennych... przepraszam, panie Donaldzie... Później skierowali go do Mandżurii i mianowali dowódcą sachalińskiego rejonu umocnień gdzie, aby pewne sprawy zachować w tajemnicy, zapędził do kopalni i wysadził w powietrze osiem tysięcy chińskich robotników... przepraszam, Wan... Wreszcie trafił do rosyjskiej niewoli, a Rosjanie, zamiast go powiesić albo, co by na to samo wyszło, wydać Chińczykom, tylko go przetrzymali w łagrze marnych dziesięć lat...

Podczas gdy Kensi opowiadał, Andrzej zdążył wejść na budę, pomóc Donaldowi porozstawiać kubły, podnieść klapę ciężarówki, znowu zejść na ziemię i poczęstować Donalda papierosem. Teraz we trzech stali przed Kensim i słuchali. Donald Cooper, wysoki, przygarbiony, w wyblakłym kombinezonie, o pociągłej twarzy, ze zmarszczkami w kącikach ust i ostrym podbródkiem porośniętym rzadką siwą szczecina; Wan, szeroki, krępy, prawie bez szyi, w starym, starannie połatanym waciaku, z szeroką ziemistą twarzą, zadartym nosem, życzliwym uśmiechem i ciemnymi oczami w szparkach spuchniętych powiek... Andrzej poczuł nagle mocną radość, że ci wszyscy ludzie z różnych krajów, a nawet z różnych czasów, zebrali się tutaj i służą, każdy na swoim posterunku, jednej, bardzo ważnej sprawie.

- Teraz to już staruszek - kończył Kensi. - I właśnie on twierdzi, że najlepsze kobiety, jakie kiedykolwiek znał, to Rosjanki, emigrantki w Harbinie.

Zamilkł, wyrzucił niedopałek i starannie roztarł go podeszwą lśniącego kamasza. Odezwał się Andrzej:

- Jaka tam z niej Rosjanka. Selma, w dodatku Nagel.

- Taa, to Szwedka - przyznał Kensi. - Nie ma znaczenia. To była opowieść o skojarzeniach.

- Dobra, jedziemy! - Donald wsiadał już do kabiny.

- Posłuchaj, Kensi - powiedział Andrzej, kładąc rękę na drzwiczkach. - Kim byłeś wcześniej?

- Kontrolerem w odlewni, a przedtem ministrem komunalnego...

- Nie, nie tutaj, tam...

- Aaaa, tam? Tam pracowałem w wydawnictwie "Hajakawa".

Donald włączył silnik. Stara ciężarówka zatrzęsała się i zazgrzytała, wypuszczając gęste kłęby niebieskawego dymu.

- Nie pali się wam prawe światło pozycyjne! - krzyknął Kensi.

- Nigdy się nie paliło - odezwał się Andrzej.

- No to zróbcie z nim coś! Jak jeszcze raz zobaczę, wlepię wam mandat!

- Też coś...

- Co? Nie słyszę!

- Bandytów, mówię, łap, a nie kierowców! - ryknął Andrzej, próbując przekrzyczeć zgrzyty i brzęki. - Co się światel pozycyjnych czepiasz! Kiedy was wreszcie rozgonią, darmożjady!

- Niedługo! - krzyknął Kensi. - Teraz to już szybko pójdzie, nie minie nawet sto lat!

Andrzej pogroził mu pięścią, pomachał Wanowi i rzucił się na siedzenie obok Donalda. Ciężarówka ruszyła, zahaczając bokiem o bramę, wytoczyła się na ulicę Główną i ostro skręciła w prawo.

Sadowiąc się wygodnie, żeby wystająca z fotela sprężyna nie kłuła w tyłek, Andrzej kątem oka spojrzął na Donalda. Amerykanin siedział wyprostowany, lewą rękę trzymał na kierownicy, prawą na dźwiku zmiany biegów, kapelusz wcisnął na oczy, ostry podbródek wysunął do przodu i grzał, ile sił. Zawsze tak jeździł, "z maksymalną dozwoloną prędkością", nie zwalniając przed wybojami w asfalcie. Na każdym takim wyboju stojące w budzie kubły ze śmieciami podskakiwały z hukiem, brzęczała przerdzewiała karoseria, a Andrzej, mimo zapierania się nogami, też podskakiwał i spadał dokładnie na ostrze przekłętej sprężyny. Tyle tylko, że kiedyś temu wszystkiemu towarzyszyła żartobliwa sprzeczka a dzisiaj Donald milczał, wąskie wargi miał mocno zaciśnięte i w ogóle nie patrzył na Andrzeja. Może dlatego wydawało się, że on złośliwie się stara, żeby jak najmocniej trzęsło.

- Co panu jest, Don? - zapytał w końcu Andrzej. - Zęby pana bolą?

Donald wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział.

- Ostatnio jest pan jakiś nieswój. Przecież widzę. Może pana czymś niechcący obraziłem?

- Niech pan da spokój - powiedział Donald przez zęby. - Co pan tu ma do rzeczy?

Andrzejowi wydało się, że w tych słowach też jest jakaś nieżyczliwość, coś przykrego, obraźliwego: jak byś ty mógł, gnojku, obrazić, mnie, profesora?... Ale w tym momencie Donald odezwał się:

- Nie na darmo mówiłem, że jest pan szczęśliwy. Panu naprawdę można pozazdrościć. To wszystko pana jakoś omija. A po mnie przechodzi jak walec parowy. Żadna kość nie zostaje cała.

- O czym pan mówi? Nic nie rozumiem.

Donald skrzywił wargi, milczał. Andrzej zerknął na niego, nie widzącymi oczami popatrzył na drogę przed sobą, znowu spojrzął na Donalda, podrapał się po głowie i przygnębiony powiedział:

- Słowo daję, nic nie rozumiem. Przecież niby wszystko jest w porządku...

- Dlatego właśnie panu zazdroszczę - twardo powiedział Donald. - I nie mówmy już o tym. Niech pan nie zwraca uwagi.

- Jak to mam nie zwracać uwagi? - Andrzej był wyraźnie przybity. - Jak ja mogę nie zwracać uwagi? My tutaj razem, ja, pan, chłopaki... Jasne, że przyjaźń to wielkie słowo, zbyt wielkie... No, po prostu kumple... Powiedziałbym, że jakby coś... Przecież nikt nie odmówi pomocy! No, niech pan sam powie: gdyby się ze mną coś stało i poprosiłbym pana o pomoc, odmówiłby mi pan? Przecież by pan nie odmówił, prawda?

Prawa ręka Donalda oderwała się od drążka i leciutko poklepała Andrzeja po ramieniu. Andrzej zamilkł. Przepelniało go zadowolenie. Znowu wszystko było dobrze. Donald okazał się w porządku. Po prostu zwykła chandra. Może człowiek mieć chandrę? Ambicja się w nim odezwała. Było nie było profesor, a tu kubły ze śmieciami. A przedtem pracował jako magazynier. Jasne, że to dla niego nieprzyjemne i przykre, tym bardziej że nie ma się komu pożalić - sam chciał tu być, to i skarżyć się nie wypada. To się tylko tak łatwo mówi - rób dobrze swoją robotę, jakakolwiek by ona była... No i dobra. Dostyc tego gadania. Donald sobie poradzi.

Ciężarówka jechała już po diabatowej nawierzchni, śliskiej od osiadającej mgły.

Domy po obu stronach jezdni były tutaj niższe, starsze, a ciągnące się wzdłuż ulicy latarnie stały rzadziej i świeciły słabiej. Przed nimi ich światła zlewały się w zamgloną, niewyraźną plamę. Na ulicy i chodnikach nie było żywego ducha, nawet dozorców. Tylko na rogu zaułka Siedemnastego, przed niskim, starym hotelem, znanym pod nazwą "Zapłuskwiona woliera", stał wóz zaprzęgnięty w zmęczonego konia. Na wozie spał jakiś człowiek, zakutany w brezent po same uszy. Była czwarta w nocy - godzina najgłębszego snu. W żadnym oknie nie paliło się światło.

Z bramy po lewej stronie wyjechała ciężarówka. Donald zamrugał do niej światłami i przemknął obok, a ciężarówka, też śmieciarka, wyjechała na jezdnię i spróbowała ich wyprzedzić. Ale gdzie tam - z Donaldem nie miała żadnych szans. Poświeciła tylko światłami przez tylną szybę i została daleko w tyle. W rejonie spalonych bloków wyprzedzili jeszcze jedną śmieciarkę, a zaraz potem zaczęły się kocie łby i Donald musiał zwolnić, żeby ciężarówka się przypadkiem nie rozsypała.

Zaczęły pojawiać się jadące z przeciwka samochody - już puste wracały z wysypiska, więc nigdzie się nie spieszyły. Chwilę potem od latarni odkleiła się ledwo widoczna postać i wyszła na jezdnię. Andrzej sięgnął ręką pod siedzenie, żeby wyciągnąć stamtąd francuza, ale okazało się, że to tylko policjant, który chce się dostać do zaułka Kapuścianego. Ani Andrzej, ani Donald nie wiedzieli, gdzie to jest. Policjant, potężne chłopisko z jasnymi kudłami na wielkim łbie, sterczącymi nieporządnie spod przepisowej czapki, powiedział, że pokaże. Stał na stopniu obok Andrzeja i trzymając się ramy, przez całą drogę niezadowolony marszczył nos, jakby nie wiadomo co poczuł, a od niego samego jechało zastarzałym potem. Andrzej przypomniał sobie, że ta część miasta jest już

odłączona od wodociągów.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu, policjant pogwizdywał melodię z operetki, a potem ni z tego, ni z owego rzucił, że na rogu Kapuścianego i Drugiej Lewej dzisiaj o pomocy stuknęli jakiegoś biedaka. Powyrywali mu wszystkie złote zęby.

- Kiepsko pracujecie - powiedział ze złością Andrzej. Takie przypadki wyprowadzały go z równowagi. A w dodatku pasażer mówił o tym takim tonem, że Andrzej miał ochotę mu przyłożyć - od razu było widać, że policjantowi wisi i to zabójstwo, i zabity, i zabójcy.

Teraz, zaskoczony, odwrócił do niego swoją szeroką gębę i zapytał:

- A co, ty będziesz mnie uczył, jak mam pracować?

- Może i ja - warknął Andrzej.

Policjant ze złością zmrużył oczy, gwizdnął i powiedział:

- Nauczycieli a nauczycieli! Gdzie nie spluniesz - wszędzie nauczyciel. Stoi i uczy. Już i śmieci wozi, a dalej uczy.

- Ja cię nie uczę... - zaczął Andrzej podniesionym głosem, ale policjant nie dał mu skończyć.

- Zaraz wrócę na komisariat i zadzwonię do twojej bazy, że ci się światło postojowe nie pali. Widzicie go, światło mu się nie pali, ale co tam, będzie uczył policję pracować. Żółtodziób.

Donald roześmiał się nagle suchym, skrzypiącym śmiechem. Policjant też zarżał i zupełnie już pokojowo dorzucił:

- Jestem sam na czterdzieści domów, rozumiesz? I zabroniono nam nosić broń. Czego ty od nas chcesz? Niedługo w domu was zaczną zabijać, a co dopiero na ulicy.

- No, a wy co? - zapytał oszołomiony Andrzej. - Powinniście protestować, żądać...

- Protestować - powtórzył policjant - żądać... Ty co, nowy? Szefie! - krzyknął do Donalda. - Zatrzymaj no się tutaj. Wsiadam.

Zeskoczył ze stopnia i, nie oglądając się za siebie, kołyszącym krokiem poszedł w stronę ciemnej szczeliny między krzywymi drewnianymi domami; w oddali paliła się samotna latarnia, pod którą stała grupa ludzi.

- No co oni, do licha, zgłupieli, czy co? - oburzył się Andrzej, gdy samochód znowu ruszył. - Jak to tak, na mieście pełno bandytów, a policja bez broni? Tak nie może być! Przecież Kensi ma przy boku kaburę - to co on w niej nosi, papierosy?

- Kanapki - powiedział Donald.

- Nic nie rozumiem - westchnął Andrzej.

- Wyjaśniali to - odparł Donald. - "W związku z powtarzającymi się wypadkami gangsterskich napadów na policjantów w celu zdobycia broni..." I tak dalej.

Andrzej myślał długą chwilę, z całych sił zapierając się nogami, żeby nie podskakiwać na fotelu. Kocie łby prawie się już skończyły.

- Według mnie to strasznie głupie - powiedział w końcu. - A według pana?

- Według mnie też - odezwał się Donald, niezgrabnie przypalając papierosa jedną ręką.

- I tak pan spokojnie o tym mówi?

- Ja się już wystarczająco nadenerwowałem - wzruszył ramionami Donald. - To bardzo stare zarządzenie, pana tu jeszcze wtedy nie było.

Andrzej podrapał się po głowie, marszcząc brwi. Cholera wie, może to zarządzenie miało jakiś sens? Samotny policjant to rzeczywiście niezła gratka dla tych drani. A skoro już odbierać broń, to jasne, że trzeba ją odebrać wszystkim. Cały problem leży nie w tym durnym zarządzeniu, tylko w tym, że policji jest za mało i obław jest za mało, a powinno się urządzić jedną wielką obławę i wymieść całe to plugastwo za jednym zamachem. Zaangażować ludność. Ja, na przykład, bym poszedł...

Donald na pewno też... Trzeba by napisać o tym do mera. Potem jego myśli nagle zmieniły tor.

- Niech pan posłucha, Don - zaczął. - Jest pan socjologiem. Ja, rzecz jasna, nie uważam socjologii za naukę... zresztą już o tym mówiłem... ani za żadną metodę. Ale pan na pewno dużo wie, o wiele więcej niż ja. Niech mi pan powie, skąd się w naszym mieście bierze całe to draństwo? Skąd oni się tu wzięli - zabójcy, gwałciciele, złodzieje... Czyżby Nauczyciele nie rozumieli, kogo tu ściągają?

- Oczywiście, że rozumieli - obojętnie odpowiedział Don i, nie zwalniając, przejechał przez groźnie wyglądający głęboki dół, wypełniony czarną wodą.

- No to dlaczego?

- Ludzie nie rodzą się złodziejami, stają się nimi. A dalej, jak wiadomo: "Skąd my możemy wiedzieć, co potrzebne jest Eksperymentowi? Eksperyment to Eksperyment..." - Don zamilkł na chwilę. - Futbol to futbol, piłka jest okrągła, boisko prostokątne, niech zwycięży godniejszy...

Skończyły się latarnie, zamieszкана część miasta została w tyle. Teraz po obu stronach rozjeżdżonej drogi ciągnęły się opuszczone ruiny - pozostałości po dziwacznych kolumnadach, osiadające na fundamentach, podparte belkami ściany z ziejącymi pustką dziurami zamiast okien, sterty gnijących bierwion, las pokrzyw i cierni, cherlawe, na wpół zduszone lianami drzewa wśród stert poczerniałych cegieł. Potem z przodu znowu pojawiło się blade światło. Donald skręcił w prawo, ostrożnie wyminął wracającą pustą ciężarówkę, za-buksował w pełnych błota głębokich koleinach i w końcu zahamował tuż przed czerwonymi światłami ostatniego samochodu w kolejce. Wyłączył silnik i popatrzył na zegarek. Andrzej też spojrział. Było prawie wpół do piątej.

- Z godzinkę postoiemy - rzeško oznajmił Andrzej. - Chodźmy, zobaczymy, kto tam stoi z przodu.

Z tyłu podjechał jeszcze jeden samochód.

- Niech pan idzie sam - odparł Donald, odchylił się na siedzenie i nasunął kapelusz na twarz.

Andrzej też odchylił się do tyłu, poprawił pod sobą sprężynę i zapalił papierosa.

Z przodu rozładunek szedł pełną parą. Szczękały pokrywy kubłów, wysoki głos liczącego wykrzykiwał "...osiem... dziesięć...", na słupie huśtała się przykryta płaskim metalowym talerzem tysiąc-watowa żarówka. Potem nagle kilka gardeł wrzasnęło: "Dokąd to, łachu? Do tyłu! Sam jesteś ślepy!... W mordę chcesz?..." Z prawej i z lewej strony piętrzyły się ubite śmieci, nocny wietrzyk niósł potworny smród zgnilizny.

Nagle nad jego uchem odezwał się znajomy głos:

- Się macie, głównowozy! Jak tam wielki Eksperyment?

To był Izia Katzman, w całej okazałości - roztargany, gruby, niechlujny i jak zawsze nieprzyjemnie zadowolony z życia.

- Słyszeliście? Jest projekt ostatecznego rozwiązania problemu przestępczości. Likwidacja policji! Zamiast niej będą po nocach wypuszczać na ulice wariatów. Bandyti i chuligani przestają istnieć - teraz tylko wariat odważy się wyjść nocą z domu!

- Kiepski pomysł - powiedział sucho Andrzej.

- Kiepski? - Izia wlażł na podnózek i wsunął głowę do szoferki. - Przeciwnie! Znakomity! Żadnych dodatkowych kosztów. Rano rozmieszczeniem wariatów w ich mieszkaniach zajmują się dozorczy...

- Za co otrzymują dodatkową rację w postaci litra wódki - podchwycił Andrzej, co wywołało u Izi niepojęty zachwyty: zaczął chichotać, wydając dziwne gardłowe dźwięki; parskał i machał rękami w powietrzu.

Donald zaklął głucho, otworzył swoje drzwi, zeskoczył i zniknął w ciemnościach. Izia natychmiast przestał chichotać i spytał z niepokojem:

- Co z nim?

- Nie wiem - odpowiedział posępnie Andrzej. - Pewnie zrobiło mu się niedobrze na twój widok...

A tak w ogóle, już od kilku dni tak wygląda.

- Tak? - Izia popatrzył nad kabiną w stronę, gdzie poszedł Donald. - Szkoda. Porządny z niego człowiek. Tylko strasznie nieprzystosowany.

- A kto jest przystosowany?

- Ja jestem przystosowany. Ty jesteś przystosowany. Wan jest przystosowany... Donald kiedyś strasznie się denerwował: dlaczego, żeby zrzucić śmieci, trzeba stać w kolejce? Na jaką cholere ten liczący? Co on tu liczy?

- No i miał rację, że się zdenerwował - powiedział Andrzej. - Przecież to rzeczywiście kretynizm.

- Ale ciebie to nie denerwuje - sprzeciwił się Izia. - Doskonale rozumiesz, że liczący to tylko pionek. Postawili go, żeby liczył, to liczy. A ponieważ nie nadaża z liczeniem, to robi się kolejka. A kolejka - jak to kolejka... - Izia znowu parsknął i zabulgotał. - Pewnie, na miejscu władz Donald położyłby tu porządną drogę ze zjazdami do zrzucania śmieci, a liczącego, łebskiego chłopca, odesłałby do policji, żeby bandytów łapał. Albo na pierwszą linię, do farmerów...

- No? - zniecierpliwił się Andrzej.

- Co - no? Donald to nie władza!

- No, a dlaczego władza tego nie zrobi?

- A po co? - wykrzyknął radośnie Izia. - Pomyśl sam! Śmieci są wywożone? Są! Rachunek jest prowadzony? Jest! Systematycznie? Systematycznie. Pod koniec miesiąca sprawozdanie: wywieziono o tyle a tyle gówna więcej niż w zeszłym miesiącu. Minister zadowolony, mer zadowolony, wszyscy zadowoleni... a że Donald nie jest zadowolony? Przecież nikt go tu na siłę nie ciągnął, sam się zgłosił!...

Ciężarówka na przedzie wypuściła kłęb siwego dymu i podjechała jakieś piętnaście metrów do przodu. Andrzej pospiesznie przesiadł się za kierownicę i wyjrzał. Donalda nigdzie nie było widać. Z niepokojem włączył motor i jakoś tam przejechał te piętnaście metrów, chociaż po drodze trzy razy gasł mu silnik. Izia szedł obok i za każdym razem, gdy samochodem telepało, odsuwał się przestraszony. Potem zaczął opowiadać coś o Biblii, ale Andrzej prawie go nie słuchał - był cały mokry od przeżywanego napięcia.

W ostrym świetle żarówki przez cały czas szczękały kubły i rozlegały się przekleństwa. Coś uderzyło w dach szoferki, ale Andrzej nie zwrócił na to uwagi. Z tyłu podszedł do nich tęgi Oskar Haiderman ze swoim kumplem, gigantycznym Murzynem. Poprosił o papierosa. Murzyn Silwa, prawie niewidoczny w ciemnościach, szczyrzył białe zęby.

Izia zaczął z nimi rozmawiać, przy czym Silwę nie wiadomo dlaczego nazywał tontonmakutem, a Oskara pytał o jakiegoś Thora Heyerdahla. Silwa robił straszne miny, strzelał na niby z automatu, Izia chwycił się za brzuch i udawał, że pada na miejscu - Andrzej nic nie rozumiał i Oskar najwidoczniej też nie: wkrótce wyjaśniło się, że myli mu się Haiti z Tahiti...

Po dachu znowu coś się przeturlało i nagle wielki kłęb zlepionych śmieci uderzył w maskę i rozleciał się na kawałki.

- Ej! - krzyknął w ciemność Oskar. - Przestańcie!

Z przodu znowu zaryczało ze dwadzieścia gardeł, przekleństwa zlały się w jeden nie kończący się wrzask. Coś się działo. Izia jęknął żałośnie, złapał się za brzuch i zgiął w pół - tym razem nie udawał. Andrzej otworzył drzwi i od razu oberwał w głowę metalową puszką. Nie było to zbyt bolesne, ale za to bardzo obelżywe. Silwa schylił się i zniknął w ciemnościach. Andrzej rozglądał się, osłaniając głowę i twarz.

Nic nie było widać. Zza stert śmieci sypał się grad zardzewiałych puszek, kawałki przegniłego drewna, stare kości, nawet kawałki cegieł. Słyszał było dźwięk rozbijanego szkła. Nad kolumną

samochodów przetoczyło się dzikie, oburzone wycie. "Co za łajza się tam zabawia?!" - wrzeszczeli chórem. Zawyły włączone silniki, zapłonęły reflektory. Niektóre ciężarówki zaczęły przetaczać się tam i z powrotem: najwidoczniej kierowcy próbowali ustawić je tak, żeby oświetlić grzbiety gór śmieci, skąd leciały teraz całe cegły i puste butelki. Kilka osób, schylonych jak Silwa, zanurkowało w ciemność.

Kątem oka Andrzej zauważył, że Izia z wykrzywioną od płaczu twarzą zwinął się obok tylnego zderzaka i obmacuje brzuch. Andrzej skoczył do kabiny i wyciągnął spod siedzenia francuza. Po łbach drani, po łbach! Kilkunastu śmieciarzy na czworakach, czepiając się rękami, wściekle wdrapywało się na zbocze. Komuś udało się w końcu ustawić samochód w poprzek i reflektory oświetliły nierówny grzbiet góry, najeżony fragmentami starych mebli, skłębionymi szmatami i strzępami papieru, lśniący potłuczonym szkłem, a nad grzbietem -wysoko zadartą łyżkę koparki na tle czarnego nieba. Na łyżce coś się ruszało, coś dużego, szarego ze srebrnym odcieniem. Andrzej zamarł na ten widok i w tym samym momencie powszechny rwetes zagłuszył czyjś rozpaczliwy lament:

- To diabły! Diabły! Uciekajcie!

Ze zbocza od razu posypali się ludzie - nie patrząc, na łeb, na szyję, wzbijając tumany kurzu, turlając się w odmętach podartych szmat i papierowych strzępów; oszalałe oczy, otwarte usta, machające ręce. Ktoś osłonił głowę ściśniętymi łokciami; nie przestając panicznie piszczeć, przebiegł obok Andrzeja, pośliznął się w koleinie, upadł, zerwał się i pobiegł dalej w stronę miasta. Inny, ochryple dysząc, wcisnął się między chłodnicę ich ciężarówki i naczepę samochodu przed nim, ugrzązł tam, zaczął się wyrywać i też zawył nieswoim głosem. Nagle wszystko przycichło, warczały tylko silniki. I wtedy ostro i dźwięcznie, jak uderzenia bata, szczęknęły strzały. W błękitnawym świetle reflektorów Andrzej zobaczył wysokiego, chudego człowieka, stał na grzbiecie góry tyłem do samochodów, trzymał w obu rękach pistolet i raz za razem strzelał w ciemność.

Wystrzelił pięć albo sześć razy w absolutnej ciszy, a potem w ciemności rozległo się nieludzkie wycie tysiąca głosów, złe i żalosne, jakby dwadzieścia tysięcy marcujących się kotów zamiauczało jednocześnie do mikrofonów. Chudy człowiek cofnął się, zamachał bezładnie rękami i zjechał na plecach po zboczu. Andrzej też się cofnął w przeczuciu czegoś wyjątkowo okropnego i zobaczył, że góra nagle zaczęła się poruszać.

Zaroilo się od srebrzystoszarych, niepojętych, potwornie brzydkich zjaw, które błysnęły tysiącem krwawych oczu, zalśniły milionami wściekle obnażonych wilgotnych kłów, zamachały lasem długich, kosmatych łap. Nad nimi w świetle reflektorów wzbijała się chmura kurzu. Na kolumnę spadł gęsty deszcz odłamków, kamieni, butelek i innych śmieci.

Andrzej nie wytrzymał. Skoczył do kabiny, wcisnął się w najdalszy kąt, wyciągnął przed siebie francuza i zastygł, jak w koszmarze. O niczym nie myślał i gdy jakieś ciemne ciało zasłoniło otwarte drzwi, zaczął wrzeszczeć, nie słysząc własnego głosu, i wbijać francuza w coś miękkiego, strasznego, stawiającego opór i pchającego się prosto na niego; wbijał go tak, dopóki żalosny jęk Izi: "Idioto, to ja!" nie przywrócił go do przytomności. Wtedy Izia wlaźł do szoferki, zatrzasnął za sobą drzwi i z nieoczekiwanym spokojem powiedział:

- Wiesz, co to było? Małpy! Łajzy przekłete! Początkowo Andrzej go nie zrozumiał, potem zrozumiał, ale nie uwierzył.

- Tak? - zapytał, zszedł na stopnie i wyjrzał zza kabiny.

To były rzeczywiście małpy. Bardzo duże, bardzo kosmate i bardzo rozzłoszczone, ale nie diabły i nie zjawy, tylko zwykłe małpy. Andrzeja zalało gorąco ze wstydu i ulgi. W tym momencie coś ciężkiego i twardego trzasnęło go prosto w ucho, tak że drugim uchem przydzwonił w dach kabiny.

- Wszyscy do samochodów! - ryknął ktoś na przedzie rozkazująco. - Przestańcie panikować! To pawiany! Spokojnie! Do samochodów i wsteczny!

W kolumnie panowało istne piekło. Strzelały tłumiki, zapalały się i gasły światła, ryczały silniki, kłęby siwego dymu wznosiły się ku czarnemu niebu. Z ciemności wyłoniła się twarz ubrudzona czymś czarnym i błyszczącym, czyjeś ręce chwyciły Andrzeja za ramiona, potrząsnęły nim jak szczeniakiem i wepchnęły bokiem do szoferki. Jednocześnie ciężarówka z przodu wrzuciła wsteczny i z chrzęstem wjechała im w chłodnicę, a ciężarówka z tyłu szarpnęła do przodu i uderzyła w maskę jak w tamburyn, aż zagrzecotały kubły. Izia szarpał go za ramię i pytał: "Umiesz prowadzić samochód czy nie? Andrzej! Umiesz?"; z kłębow siwego dymu ktoś rozdzierająco wył: "Mordują! Ratunku!"; rozkazujący głos ciągle ryczał: "Przestańcie panikować! Ostatni samochód, wsteczny! Szybko!"; z góry, z prawej i z lewej sywał się grad różnych twardych rzeczy, coś uderzało w maskę, bębniło w kubły, tłukło w szyby; nieprzerwanie jęczały klaksony; a przez cały czas narastało wstrętne, miauczące wycie.

Izia powiedział nagle: "No, to ja idę..." i wyszedł z kabiny osłaniając głowę rękami. O mało nie wpadł pod pędzący w stronę miasta samochód - wśród podskakujących kubłów mignęła wykrzywiona twarz liczącego. Potem Izia zniknął i pojawił się Donald - bez kapelusza, obszarpany, cały w błocie. Rzucił na siedzenie pistolet, usiadł za kierownicą, włączył silnik i, wysuwając się z szoferki, wrzucił wsteczny.

Najwidoczniej udało się zaprowadzić jako taki porządek: paniczne wrzaski ucichły, silniki pracowały i cała kolumna powoli się wycofywała... Chyba nawet kamienno-butelkowy grad trochę się uspokoił. Pawiany skakały po śmietnikowym szczycie, ale na dół nie schodziły, wyły tylko, rozdziawiając psie mordy i szyderczo prezentowały lśniące w świetle reflektorów tyłki.

Ciężarówka jechała coraz szybciej. Znowu zabuksowała w błotnistym dole, wyskoczyła na ulicą i skręciła. Donald ze zgrzytem zmienił bieg, dodał gazu, zatrzaskał drzwi i odchylił się na siedzenie. Przed nimi skakały w ciemnościach czerwone ogniki pędzących samochodów.

Urwaliśmy się, pomyślał z ulgą Andrzej i ostrożnie pomacał ucho. Spuchło i pulsowało. A niech to - pawiany! Skąd one się wzięły? Takie ogromne... i w takiej ilości!... Nigdy u nas nie było żadnych pawianów... jeśli oczywiście nie liczyć Izi Katzmana. I dlaczego właśnie pawiany? Dlaczego nie tygrysy?... Pokręcił się na siedzeniu, ciężarówką zatrzęśło, Andrzej podskoczył i z rozpędu usiadł na czymś twardym, nieznanym. Wsunął pod siebie rękę i wyciągnął pistolet. Przez chwilę przyglądał się, nic nie rozumiejąc. Pistolet był czarny, nieduży, z krótką lufą i żłobkowaną rękojeścią. Donald powiedział nagle:

- Niech pan uważa. Proszę mi go oddać.

. Andrzej oddał mu pistolet i patrzył, jak Donald schyla się i wsuwa broń do tylnej kieszeni kombinezonu. Nagle poczuł, że się poci.

- Więc to pan tam... strzelał? - zapytał ochryple.

Donald nie odpowiedział. Migał jedynym ocalałym reflektorem, wymijając kolejną ciężarówkę. Przez skrzyżowanie przemknęło przed samą chłodnicą kilka pawianów z podwiniętymi ogonami, ale Andrzej nie zwracał na nie uwagi.

- Skąd ma pan broń, Don?

Donald znowu nie odpowiedział, zrobił tylko dziwny gest - spróbował naciągnąć na oczy nie istniejący kapelusz.

- No więc tak, Don - powiedział zdecydowanie Andrzej. - Pojedziemy teraz do merostwa, odda pan pistolet i wyjaśni, skąd on się u pana wziął.

- Niech pan przestanie pleść bzdury - odezwał się Donald. - Lepiej niech pan da papierosa.

Andrzej odruchowo wyjął paczkę.

- To nie są bzdury - zaprotestował. - Nie chcę o niczym wiedzieć. Milczy pan - dobrze, to pana prywatna sprawa. Tak w ogóle to ja panu ufam... Ale w mieście tylko bandyci mają broń. Nie chcę przez to nic powiedzieć, ale właściwie to pana nie rozumiem... A broń trzeba oddać i wszystko wyjaśnić. I nie ma co udawać, że to bzdury. Przecież widzę, co się z panem ostatnio dzieje. Lepiej będzie pójść i od razu o wszystkim opowiedzieć.

Donald na sekundę odwrócił głowę i spojrzał Andrzejowi w twarz. Nie wiadomo, co było w jego oczach - drwina czy cierpienie - ale Donald wydał się w tym momencie Andrzejowi bardzo stary, zniedołężniały i jakiś taki zaszczuty. Andrzej poczuł zakłopotanie i zmieszanie, ale wziął się w garść i twardo powtórzył:

- Oddać i wszystko opowiedzieć. Wszystko!

- Czy pan rozumie, że małpy idą do miasta? - zapytał Donald.

- No i co z tego? - zmieszał się Andrzej.

- Rzeczywiście, co z tego? - odparł Donald i zaśmiał się nieprzyjemnie.

ROZDZIAŁ 2

Małpy były już w mieście. Łaziły po gzymsach, zwisały z latarni, jak winogrona wstrętnymi kosmatymi tabunami tańczyły na skrzyżowaniach, przylepiały się do okien, obrzucały się wyrwanymi z jezdni kamieniami, goniły oszalałych ludzi, którzy w samej bieliźnie wyskakiwali na ulicę.

Parę razy Donald zatrzymywał samochód, żeby zabrać uciekinierów do szoferki. Kubły wyrzucili już dawno. Przez kilka minut przed ciężarówką pędził rozjuszony koń; na wozie, do którego był zaprzężony, przysiadł, huśtał się, machał kosmatymi łapami i przeraźliwie wył srebrzysty pawian. Andrzej widział, jak wóz z trzaskiem wjeżdża na latarnię, koń z oberwaną uprzężą pomknął dalej, a pawian sprytnie przeskoczył na najbliższą rynnę i zniknął na dachu.

Na placu przed merostwem wrzała panika. Podjeżdżały i odjeżdżały samochody, biegali policjanci, snuli się zagubieni, nie ubrani ludzie, jakiegoś urzędnika przy wejściu przyciśnięto do ściany, krzyczano i żądano czegoś od niego, a on bronił się laską i tęczką.

- Bajzel - zauważył Donald i wyskoczył z samochodu.

Wbiegli do budynku i od razu się zgubili w ciżbie cywilów, policjantów i ludzi w bieliźnie. Wszyscy krzyczeli naraz, dym z papierosów wyciskał łzy.

- Zrozumcie! Przecież ja nie mogę tak w samych kalesonach!

- ...czym prędzej otworzyć arsenał i rozdać broń... Do diabła, przynajmniej policjantom dajcie broń!...

- Gdzie szef policji? Dopiero co się tu kręcił...

- Moja żona tam została, rozumie pan? I stara teściowa!

- Posłuchajcie, to przecież nic strasznego. Małpy to tylko małpy...

- Wyobraź sobie, budzę się, a na parapecie ktoś siedzi...

- A gdzie szef policji? Wyleguje się, tłuszcioch jeden?

- Na naszej uliczce była jedna latarnia. Zwaliły.

- Kowalewski! Do pokoju dwunastego, natychmiast!

- Ale przyzna pan, że w samych kalesonach...

- Kto umie prowadzić samochód? Kierowcy! Wszyscy na plac! Do słupa z ogłoszeniami!

- No i gdzie, do cholery, jest szef policji? Uciekł łobuz, czy co?

- Znaczą się tak. Bierz chłopaków i idźcie do odlewni. Weźcie te... no, sworznie, takie jak do parkanów... Bierz wszystkie, jak leci! A potem z powrotem tutaj...

- A ja jak nie palnę w tę włochatą mordę, aż mnie do tej pory ręka boli...

- A wiatrówki też mogą być?

- Do kwartału siedemdziesiątego drugiego - trzy samochody! Do siedemdziesiątego trzeciego pięć samochodów...

- Będzie pan łaskaw zarządzić, żeby im wydano umundurowanie drugiego gatunku. Ale na asygnatę, żeby potem oddali!

- Słuchajcie, czy one mają ogony? Czy mnie się tylko wydawało?

Andrzeja popychali, przesuwali, przyciskali do ścian, deptali mu po nogach. On też się przepychał, przeciskał i odpychał innych. Najpierw szukał Donalda, żeby w charakterze świadka obrony uczestniczyć przy oddaniu broni i wyrażeniu skruchy, potem do niego dotarło, że najwyraźniej atak pawianów to sprawa bardzo poważna, skoro podniósł się taki szum. Od razu pożałował, że nie umie jeździć ciężarówką, nie ma pojęcia, gdzie są odlewnie, nie może wydać umundurowania drugiego gatunku i w ogóle wychodzi na to, że jest tutaj zupełnie zbędny. Próbował chociaż przekazać to, co widział na własne oczy - te informacje mogły okazać się użyteczne. Ale jedni w ogóle go nie

słuchali, a inni, gdy tylko zaczynał mówić, przerywali i zaczynali swoją opowieść.

Z goryczą przekonał się, że w tym kołowym mundurów i kałesonów nie widać znajomych twarzy. Mignął mu tylko czarny Silwa z głową okręconą zakrwawioną szmatą i od razu zniknął. A tymczasem coś najwyraźniej robiono, ktoś kogoś mobilizował i gdzieś wysyłał, słychać było coraz pewniejsze siebie głosy, kałesony zaczęły powoli znikać, pojawiało się za to coraz więcej mundurów. W jakimś momencie Andrzejowi wydało się, że słyszy miarowy stukot kroków i żołnierską pieśń, ale okazało się, że to tylko upadł przenoszony przez kogoś sejf i teraz, łomocząc, spadał ze schodów, żeby ugrzęznąć w drzwiach dziani zaopatżenia...

W tym momencie Andrzej zobaczył znajomą twarz urzędnika, byłego pracownika księgowości Urzędu Miar i Wag. Przepychając się dogonił go, przycisnął do ściany i jednym tchem wyrzucił z siebie, że on, Andrzej Woronin - pamięta pan, pracowaliśmy razem? - aktualnie asenizator, nie może nikogo znaleźć. "Proszę mnie skierować do jakiejś roboty, przecież na pewno potrzebujecie ludzi"... Urzędnik przez pewien czas słuchał, nieprzytomnie mrugając oczami i słabo próbując się wyrwać, a potem nagle odepchnął Andrzeja i ryknął: "Gdzie mam pana skierować? Nie widzi pan, że niosę dokumenty do podpisu?!" Prawie pobiegł korytarzem.

Andrzej jeszcze parę razy spróbował wziąć udział w organizowanych pracach, ale wszyscy opędzali się od niego, wszyscy się dokądś strasznie spieszyli, nie było dosłownie ani jednego człowieka, który po prostu stałby w jednym miejscu i, na przykład, sporządzał listę ochotników. W końcu Andrzej zezłościł się i zaczął otwierać każde drzwi po kolei, mając nadzieję, że uda mu się znaleźć jakąkolwiek ważną osobę, która nie biega, nie krzyczy i nie macha rękami - gdzieś przecież musiał być jakiś sztab, kierujący tym całym zamieszaniem.

Pierwszy pokój był pusty, w drugim jeden człowiek w kałesonach głośno krzyczał do słuchawki, a drugi, klnąc, próbował dopiąć za wąski fartuch. Spod fartucha wystawały mu mundurowe spodnie i zniszczone policyjne buty bez sznurówek. Gdy zajrzał do trzeciego gabinetu, dostał po twarzy czymś różowym z guzikami i czym prędzej się wycofał. Zdążył tylko zauważyć bardzo dorodne i niewątpliwie damskie ciała. Natomiast w czwartym pokoju był Nauczyciel.

Siedział na parapecie, obejmując kolana rękami, i patrzył w rozdzieraną światłami reflektorów ciemność za oknem. Gdy Andrzej wszedł, zwrócił ku niemu swoją dobrotliwą, rumianą twarz, jak zwykle lekko uniół brwi i uśmiechnął się. Widząc ten uśmiech, Andrzej od razu się uspokoił. Złość minęła; rozumiał, że prędzej czy później wszystko się ułoży, wróci na swoje miejsce i w ogóle dobrze się skończy.

- No widzi pan - powiedział, rozkładając ręce i uśmiechając się. - Okazało się, że nie jestem nikomu potrzebny. Nie umiem prowadzić samochodu, nie wiem, gdzie jest gimnazjum. Zamieszanie takie, nic nie można zrozumieć...

- Tak. - Nauczyciel pokiwał współczująco głową. - Straszny bałagan. - Spuścił nogi z parapetu, wsunął ręce pod uda i pomajtał nogami jak dziecko. - Aż przykro. A nawet wstyd. Poważni, dorośli ludzie, przeważnie doświadczeni... To znaczy, że brak organizacji! Mam rację, Andrzeju? To znaczy, że jakieś ważne sprawy puszczono na żywioł. Nieprzygotowanie... Braki w dyscyplinie... No i oczywiście biurokraci.

- Tak! - zawołał Andrzej. - To jasne! Wie pan, co zdecydowałem? Nie będę już więcej nikogo szukać i nic wyjaśniać. Wezmę jakąś pałkę i pójdę. Dołączę do pierwszego lepszego oddziału. A jak mnie nie przyjmą, to będę działał sam. Tam przecież zostały kobiety... i dzieci...

Nauczyciel słuchał uważnie, kiwając głową. Już się nie uśmiechał, jego twarz była poważna i współczująca.

- Jeszcze tylko jedno... - Andrzej zmarszczył brwi. - Co z Donaldem?

- Z Donaldem? - zdziwił się Nauczyciel. - Ach, z Donaldem Cooperem? - zaśmiał się. - Pewnie pan myśli, że Donald został aresztowany i teraz do wszystkiego się przyznaje... Nic podobnego. Donald Cooper właśnie w tej chwili organizuje oddział ochotników do odparcia tego bezwstydnego ataku. Nie jest gangsterem i nie ma na sumieniu żadnych przestępstw. Pistolet wymienił na czarnym rynku za zabytkowy zegarek z repetierem. Nic na to nie poradzimy - całe życie chodził z bronią w kieszeni. Przyzwyczajenie!

- No jasne! - Andrzej poczuł ogromną ulgę. - No jasne! Ja przecież też nie wierzyłem, myślałem tylko, że... Nieważne! - Odwrócił się, żeby wyjść, ale jeszcze się na chwilę zatrzymał. - Proszę mi powiedzieć, po co to wszystko? Te małpy! Skąd one się wzięły? Co mają udowodnić?

Nauczyciel westchnął i zszedł z parapytu.

- Znowu mi pan zadaje pytania, na które...

- Nie! Ja wszystko rozumiem - powiedział przejęty Andrzej. - Ja tylko...

- Niech pan poczeka. Znowu mi pan zadaje pytania, na które po prostu nie umiem odpowiedzieć. Niech pan to wreszcie zrozumie: nie umiem. Erozja budynków, pamięta pan? Woda, która zmieniała się w żółć... Zresztą to było jeszcze przed panem... A teraz pawiany. Ciągłe się pan dopytywał, jak to możliwe: ludzie różnych narodowości, a wszyscy mówią w tym samym języku, nawet tego nie podejrzewając. Pamięta pan, jak pana to szokowało, jak nie mógł pan zrozumieć i nawet się pan bał? Jak udowadniał pan Kensi, że on mówi po rosyjsku, a Kensi dowodził, że to pan mówi po japońsku? A teraz się pan przyzwyczał i w ogóle pan o tym nie myśli. To jeden z warunków Eksperymentu. Eksperyment to Eksperyment, co tu jeszcze dodawać? - uśmiechnął się. - No, niech pan idzie, Andrzej, niech pan idzie. Pana miejsce jest tam. Praca przede wszystkim. Każdy na swoim miejscu daje z siebie tyle, ile może!

Andrzej wyszedł, a raczej wyskoczył na korytarz, teraz już zupełnie pusty. Zbiegł schodami na plac, a tam, pod latarnią, wokół ciężarówki od razu zobaczył spokojny, nie spieszący się tłum. Bez wahania wmieszał się w ten tłum, przecisnął się do przodu, dostał ciężką, metalową kopię. Poczuł się uzbrojony, silny i gotowy do decydującej bitwy. W pobliżu ktoś -jaki znajomy głos! - donośnie wydawał komendę sformowania kolumny z trójek. Andrzej, trzymając kopię na ramieniu, pobiegł w tamtą stronę i ustawił się między przyciężkim Latynosem w szelkach na podkoszulce a wychudzonym inteligentem albinosem, który okropnie się denerwował - co chwila ściągał okulary, chuchał na szkła, przecierał je chusteczką do nosa i znowu zakładał, poprawiając je przy tym dwoma palcami.

Oddział był nieduży, około trzydziestu ludzi. Dowodził, jak się okazało, Fritz Heiger. Z jednej strony było to dość przykre, ale z drugiej trudno nie przyznać, że w tej sytuacji Fritz, chociaż faszystowski niedobitek, znalazł się jak najbardziej na swoim miejscu.

Jak przystało na byłego podoficera Wehrmachtu, Heiger nie przebierał w słowach i przykro go było słuchać.

- Wyrównać! - wrzeszczał na cały plac, tak jakby właśnie uczył pułk musztry. - Hej, ty tam, w kapciach! Tak, ty! Wciągnąć brzuch!... A ty coś się tak rozwalił, jak krowa po pokryciu? Ciebie to nie dotyczy? Piki przy nodze! Nie na ramię, ale przy nodze, co ja mówiłem -ty, baba w szelkach! Baaczność! Za mną, równaj krok! Wróć! Naprzód ...arsz!

Jakoś w końcu ruszyli. Andrzej, któremu od razu ktoś z tyłu nadepnął na nogę, potknął się, trącił ramieniem inteligenta, a ten, oczywiście, upuścił wycierane po raz kolejny okulary.

- Byku jeden! - naskoczył na niego Andrzej, nie mogąc się powstrzymać.

- Proszę uważać! - krzyknął inteligent wysokim głosem. - Rany boskie!...

Andrzej pomógł mu znaleźć okulary, a Fritza, który napadł na nich, zachłystując się z wściekłością, posłał do diabła.

Razem z inteligentem, który nie przestawał dziękować i potykać się, dogonili kolumnę. Przemaszerowali jeszcze z dziesięć metrów i dostali rozkaz: "Do samochodów". Samochód zresztą był tylko jeden - potężna ciężarówka do przewożenia cementu. Gdy się załadowali, okazało się, że pod nogami coś chlupie i mlaska. Człowiek w kapciach wylazł z ciężarówki i wysokim głosem oznajmił, że on na pewno tym samochodem nigdzie nie pojedzie. Fritz kazał mu wrócić pod budę. Facet jeszcze bardziej piskliwie sprzeciwił się, mówiąc, że jest w kapciach i że przemoczył nogi. Fritz nazwał go sprośną świnią. Ten w przemoczonych kapciach, w ogóle nie przestraszony, odpowiedział, że tylko śwynie zgodziłyby się na podróż w rym błocie - nie ubliżając tym wszystkim, którzy zgodzili się jechać, ale... W tym momencie z ciężarówki wylazł Latynos, pogardliwie splunął Fritzowi pod nogi, wsunął kciuki pod szelki i niespiesznie sobie poszedł.

Patrząc na to wszystko, Andrzej czuł złośliwą radość. Nie żeby popierał zachowanie człowieka w kapciach, a już tym bardziej postępek Meksykanina - bez wątpienia obaj postąpili nie po koleżeńsku i w ogóle zachowywali się jak mieszczanie - ale strasznie był ciekaw, co teraz robi nasz podoficer, jak wybrnie z tej sytuacji.

Musiał przyznać, że podoficer wyszedł z tego z twarzą. Nie mówiąc ani słowa, Fritz obrócił się na pięcie, wskoczył na podnózek obok szofera i wydał komendę: "Naprzód!" Ciężarówka ruszyła i w tym samym momencie włączono słońce.

Z trudem mogąc ustać się na nogach, co chwila przytrzymując się sąsiadów, Andrzej wykręcał sobie szyję patrząc, jak malinowy dysk powoli rozpala się na swoim zwykłym miejscu. Początkowo drżał, pulsował, stawał się coraz jaskrawszy, pomarańczowy, żółty, biały, potem na mgnienie oka zgasł i natychmiast znowu zajaśniał tak, że nie dało się na niego patrzeć.

Zaczął się nowy dzień. Nieprzenikniona czerń bezgwiezdneho nieba stała się mętnie niebieska; pachniało gorącym, jakby pustynnym wiatrem. Nagle znikąd pojawiło się miasto - jaskrawe, pstre, poprzecinane niebieskawymi cieniami, ogromne, rozległe... Piętra włożyły na piętra, budynki na budynki, ani jeden dom nie był podobny do drugiego. Można było zobaczyć rozpaloną Żółtą Ścianę, wzbijającą się w niebo z prawej strony. Z lewej strony, w prześwitach nad dachami, pojawiła się wyglądająca jak morze błękitna przestrzeń.

Od razu wszystkim zachciało się pić. Wiele osób odruchowo spojrzało na zegarki. Była punkt ósma.

Nie jechali długo. Najwidoczniej małpie zastępy jeszcze tu nie dotarły, ulice były ciche i puste, jak zawsze o tak wczesnej porze. Gdzieś otwierały się okna, zaspani ludzie przeciągali się sennie, patrząc obojętnie na ciężarówkę. Kobiety w czepkach kładły materace na parapetach, na jednym z balkonów gimnastykował się żyłasty staruszek z powiewającą brodą, w slipach w paski. Panika jeszcze tu nie dotarła, ale w pobliżu kwartału Szesnastego zaczęli pojawiać się. pierwsi uciekinierzy, rozczochrani, nie tyle przerażeni, ile oburzeni, niektórzy z węzełkami na plecach. Na widok samochodu zatrzymywali się, machali rękami, coś krzyczeli. Ciężarówka z rykiem skręciła w Czwartą Lewą, omal nie przewracając dwojga staruszków, którzy popychali przed sobą taczkę z walizkami, i zatrzymała się. Wszyscy od razu zauważyli pawiany.

Na Czwartej Lewej pawiany czuły się jak u siebie w domu - czyli w dżungli, czy gdzie tam one mieszkają. Całe stada z zawiniętymi do góry ogonami leniwie snuły się po chodnikach, wesoło skakały po gzymsach, huštały się na latarniach, iskały się w skupieniu, wdrapywały na słupy z ogłoszeniami, nawoływały się głośno i od niechcenia kopulowały.

Szajka srebrzystych łobuzów rozwaliała stragan, dwóch ogoniastych chuliganów zaczępiało kredowobiałą ze strachu kobietę, która zamarła przed bramą. Jakaś włochata pięknotka, rozwalona w budce kierującego ruchem, kokieteryjnie pokazywała Andrzejowi język. Ciepły wiatr niósł wzdłuż

ulicy kłęby pyłu, pierze, kartki papieru, kłaki sierści i już zadomowione zapachy zwierzyńca.

Andrzej niepewnie popatrzył na Fritza. Heiger zmrużył oczy i z miną wodza - zdobywcy oglądał pole przyszłych działań. Kierowca wyłączył silnik. Zapanowała cisza. Natychmiast wypełniły ją dzikie, zupełnie niemiejskie dźwięki - wycie, pisk, niskie, aksamitne kłaskanie, bekanie, mlaskanie, chrząkanie... W tym momencie oblegana kobieta zapiszczała z całych sił i Fritz przystąpił do akcji.

- Wychodzić! - skomenderował. - Z życiem, z życiem! Rozwinąć tyralierę... Tyralierę, mówię, a nie bajzel! Naprzód! W nich, dalej! Żeby mi tu żadnego bydłęcia nie zostało! Walić po głowach i po grzbiecie! Nie kłuć, bić! Naprzód, szybko! Nie zatrzymywać się, hej, wy tam...

Andrzej wyskoczył jako jeden z pierwszych. Nie miał zamiaru rozwijać tyraliery. Chwyć mocniej drąg i rzucił się na pomoc kobiecie. Na jego widok ogoniaści chuligani wydali z siebie diabelski chichot i, podskakując, pomknęli w górę ulicy, szyderczo kręcąc ohydnyimi tyłkami. Kobieta nie przestawała pisać, z całych sił zaciskając oczy i pięści. Teraz nic jej już nie groziło, więc Andrzej zostawił ją i ruszył w stronę grabiących stragan bandytów.

To były potężne okazy, które z niejednego pieca chleb jadły. Zwłaszcza jeden, z czarnym jak węgiel ogonem; siedział sobie na beczce, wsadzał w nią długachną kosmatą łapę aż po ramię, wyciągał kiszony ogórek i smakowicie je chrupał, od czasu do czasu plując na swoich kompanów, którzy zawzięcie odrywali ścianę z dykty. Na widok zbliżającego się Andrzeja Czarny Ogon przestał żuć i uśmiechnął się pożądliwie. Andrzejowi zupełnie się ten uśmieszek nie spodobał, ale cofnąć się już nie mógł. Machnął metalowym drągiem, zaryczał "Poszedł!" i rzucił się naprzód.

Czarny Ogon jeszcze bardziej wyszczerzył zęby - miał kły jak rekin - leniwie zeskoczył z beczki, cofnął się o kilka kroków i zaczął się iskać pod pachą.

- Poszedł won, zarazo! - zaryczał Andrzej jeszcze głośniejszym głosem, zamachnął się i uderzył drągiem w beczkę.

Wtedy Czarny Ogon uskoczył w bok i jednym susem znalazł się na gzymsie drugiego piętra. Zachęcony tchórzostwem przeciwnika, Andrzej skoczył do straganu i walnął łomem w ścianę. Konstrukcja zaczęła pękać i kumple Czarnego Ogona rozpięchli się w różne strony. Plac boju był czysty. Andrzej rozejrzył się.

Szyków bojowych Fritza nie było jakoś widać. Wojownicy wałęsali się pojedynczo po opustoszałej ulicy, zaglądali w bramy, zatrzymywali się, zadzierali głowy do góry i gapili na pawiany, które oblepiły gzymsy. W oddali, kręcąc pałką nad głową i wzbijając tumany kurzu, inteligent prześladował jakąś kulawą małpę, która niespiesznie człapała dwa kroki przed nim. Nie było z kim wojować. Nawet Fritz stracił głowę. Stał obok ciężarówki, marszczył brwi i gryzł palec.

Pawiany, chociaż już się niemal uciszyły, poczuły widać, że nic im nie zagraża i znowu zaczęły pyskować między sobą, drapać się i kopulować. Najbardziej bezczelne schodziły niżej i robiły pogardliwe miny. Andrzej znowu zobaczył Czarnego Ogona: po drugiej stronie ulicy siedział na latarni i chichotał. W stronę latarni szedł groźnie wyglądający, niewysoki, czarniawy, przypominający Greka mężczyzna. Zamachnął się i z całej siły cisnął w małpę metalową tyką. Rozległ się brzęk, posypało się potłuczone szkło, a Czarny Ogon, zaskoczony, podskoczył na metr, o mało nie spadł, zręcznie przytrzymał się ogonem, przyjął poprzednią pozycję, a potem nagle wygiął grzbiet i oblał Greka strumieniem rzadkiego kału. Andrzej, czując, że wszystko podchodzi mu do gardła, odwrócił się. Klęska była absolutna i wyglądało na to, że nic już nie można zrobić. Andrzej podszedł do Fritza i zapytał:

- No i co teraz?

- Cholera wie - powiedział ze złością Fritz. - Przydałby się miotacz ognia...

- A może by tak nazwozić cegieł? - podszedł do nich przyszczyty chłopak w kombinezonie. - Jestem

z cegielni. Samochód jest, obrócimy w pół godziny...

- Nie - odparł stanowczo Fritz. - To bez sensu. Powybijamy wszystkie szyby, a potem one będą w nas rzucać tymi cegłami... Tu by się przydała jakaś pirotechnika... Rakiety, petardy... Ech, gdyby tak parę butli fosgenu!

- Skąd w mieście petardy? - odezwał się pogardliwy bas. - A jeśli chodzi o fosgen, osobiście już wolę pawiany...

Wokół dowództwa zaczął się zbierać tłum. Tylko czarniawy Grek nie podchodził - klnąc jak szewc, obmywał się przy hydrancie.

Kątem oka Andrzej obserwował, jak Czarny Ogon i jego kumple znowu chyłkiem zbliżają się do straganu. Gdzieniedzie w oknach zaczęły pojawiać się blade ze strachu albo czerwone ze złości twarze tubylców, przeważnie kobiet.

- No i co tak stoicie?! - krzyczały z okien. - Pogońcie ich, jesteście mężczyznami, czy nie?... Patrzcie, grabią stragan!... Chłopy, czemu nic nie robicie? Ej, ty, blondas! Rozkazuj albo co?... Co stoicie jak słupy?... Jezus Maria, dzieci mi płaczą! Zróbcie coś, żebyśmy mogli wyjść!... Co z was za mężczyźni! Małp się przestraszyli!...

Wojownicy, zawstydzeni, odcinali się ponuro. Zapanowało przygnębienie.

- Strażaków! Strażaków trzeba wezwać! - uparcie powtarzał pogardliwy bas. - Z drabinami, pompami...

- Co pan, skąd wziąć tylu strażaków...

- Strażacy są na Główniej.

- A może zapalimy pochodnie? Może one boją się ognia?

- Do diabła! Po jaką cholere zabierali policjantom broń? Teraz niech rozdadzą!

- A może byśmy, chłopaki, wrócili do domu? Jak pomyślę, że moja żona tam teraz siedzi sama ...

- Niech pan da spokój. Każdy ma żonę. Te kobiety to przecież też czyjeś żony.

- Co racja, to racja...

- A może wejść na dach? Byśmy ich z dachu... czymś... no...

- A niby czym, głąbie? Może twoją pałką?

- Uuuch, gady! - zawył nagle z nienawiścią bas, rozpędził się i z wysiłkiem cisnął łomem w nieszczęsny stragan. Przebił na wylot ściankę z dykty. Szajka Czarnego Ogona popatrzyła zdziwiona, a po chwili znowu zabrała się za ogórki i kartofle. Kobiety w oknach zachichotały drwiąco.

- No cóż - powiedział ktoś rozsądnie. - Nasza obecność przynajmniej trochę je krępuje, nigdzie dalej nie pójda. Dobrze i to. Póki tu jesteśmy, nie odważą się ruszyć w głąb miasta...

Wszyscy jednocześnie zaczęli się rozglądać i gadać. Rozsądnego uciszyli od razu. Po pierwsze, okazało się, że pawiany i tak przesuwają się w głąb, nie zwracając uwagi na ich obecność. Po drugie, nawet gdyby nie ruszały się z miejsca, to co, rozsądny zamierza tu nocować? Zamieszkać? Spać? Srać tu i sikać?...

W tym momencie dał się słyszeć miarowy stukot kopyt i ciężkie skrzypienie. Wszyscy popatrzyli na ulicę i umilkli. Ulicą jechał powoli dwukonny wóz. Na wozie, zwieszając nogi w grubych butach, drzemał potężny mężczyzna, ubrany w wypłowiałą wojskową bluzę rosyjskiego kroju i w wypłowiałe bawełniane bryczesy. Przekrzywioną głowę pokrywały gęste, potargane kasztanowate włosy. W ogromnych, brązowych dłoniach trzymał niedbale lejce. Konie - jeden gniady, a drugi jabłkowity - szły leniwie i, jak się zdawało, też drzemały.

- Na rynek jedzie - powiedział ktoś z szacunkiem. - Farmer.

- Tak, farmerzy na razie nie mają się co martwić! Jeszcze nieprędko te łajzy do nich dotrą...

- A wyobraźcie sobie pawiany przy zasiewach!...

Andrzej przyglądał się, zaciekawiony. Po raz pierwszy w ciągu swojego życia w mieście widział farmera. Co prawda, słyszał o nich niemało - podobno byli ponurzy i dzicy, żyli daleko na pomocy, prowadząc tam surową walkę z bagnami i dżunglą, do miasta przyjeżdżali tylko, gdy chcieli sprzedać swoje plony, i w odróżnieniu od miastowych, nigdy nie zmieniali zawodu.

Wóz zbliżał się powoli, woźnica, potrząsając opuszczoną głową, od czasu do czasu cmokał przez sen i lekko szarpał za lejce. Nagle małpy, do tej pory dosyć pokojowo nastawione, zaczęły się niepokoić i złościć... Może zdenerwowały się na widok koni, a może w końcu znudziła im się obecność obcych ludzi na ich ulicy, w każdym razie zaczęły wrzeszczeć, miotać się, błyskać kłami, a kilka najbardziej zdecydowanych wdrapało się po rynnach na dach i zaczęło tłuc dachówkę.

Jeden z pierwszych odłamków uderzył woźnicę prosto między łopatki. Farmer drgnął, wyprostował się i szeroko otwartymi, opuchniętymi oczami rozejrzał się po okolicy. Pierwszą osobą, którą zobaczył, był zmęczony inteligent okularnik, który wracając ze swojej nieudanej pogoni, samotnie człapał z tyłu wozu. Farmer bez słowa rzucił lejce - konie zatrzymały się od razu - zeskoczył z wozu, rozpędził się i już miał się rzucić na łobuza, gdy drugi kawałek dachówki uderzył inteligenta prosto w ciemię. Ten krzyknął, wypuścił drąg i przysiadł, chwytając się rękami za głowę. Farmer, nic nie rozumiejąc, stanął jak wryty. Wokół niego kawałki dachówki padały z trzaskiem na jezdnię, rozsypując się w pomarańczowy pył.

- Oddział, kryj się! - zakomenderował Fritz i popędził w kierunku najbliższej bramy. Pozostali rzucili się, gdzie kto mógł, Andrzej przywarł do ściany w martwej strefie i z zaciekawieniem obserwował farmera, który w zupełnym osłupieniu rozglądał się dookoła, najwidoczniej nic nie rozumiejąc. Otepiałym wzrokiem błędził po oblepionych rozjuszonymi pawianami gzymsach i rynnach, potrząsał głową, mrużył oczy, aż wreszcie szeroko je otworzył i głośno zawołał:

- Krucafiks!

- Kryj się! - krzyczeli do niego ze wszystkich stron. - Hej, ty, brodaty! Dawaj tutaj! W czerep oberwiesz, ty wiejski głupku!...

- Co to takiego? - zapytał głośno wieśniak, zwracając się do inteligenta, który pełzał na czworakach w poszukiwaniu okularów. - Co to takiego, pan szanowny nie wie?

- Małpy, rzecz jasna - ostro odpowiedział inteligent. - Czyżby pan sam nie widział?

- Ale się tu u was wyrabia - powiedział wstrząśnięty farmer, który się dopiero teraz do końca obudził. - Zawsze musicie coś takiego wymyślić...

Ten syn bagien był nastrojony do dobrodusznicy i filozoficznie. Przekonał się, że krzywda, która go spotkała, nie jest tak naprawdę krzywda; i teraz był tylko trochę zaskoczony widokiem kosmatych, skaczących po gzymsach i latarniach hord. Kręcił z wyrzutem głową i drapał się po brodzie. W tym momencie inteligent znalazł w końcu swoje okulary, podniósł pałkę i szybko się ukrył. W ten sposób farmer został na środku jezdni zupełnie sam - jedyny i bardzo kuszący cel dla włochatych snajperów. Jak się wkrótce okazało, była to wybitnie niekorzystna pozycja. Tuzin wielkich odłamków z trzaskiem upadł tuż pod jego nogami, a mniejsze kawałki zabębniły po plecach i kudłatej głowie.

- A to co znowu! - ryknął. Nowy odłamek uderzył go w czoło. Farmer zamilkł i popędził do swojego wozu.

Było to dokładnie naprzeciwno Andrzejowi, który pomyślał najpierw, że wieśniak zaraz skoczy bokiem na wóz, strzeli z bata i pogna do siebie na bagna, jak najdalej od tego niebezpiecznego miejsca. Ale brodacz nie miał nawet zamiaru strzelać z bata. Mamrocząc: "Zarazy, kurwy jedne...", w gorączkowym pośpiechu, a przy tym bardzo sprawnie, rozładowywał swój wóz. Szerokie plecy brodacza nie pozwalały Andrzejowi zobaczyć, co on tam robi, ale kobiety w domu naprzeciwno doskonale widziały - naraz wszystkie zapiszczały, zatrasnęły okna i schowały się. Brodacz przysiadł

na piętach. Nad jego głową w stronę dachów uniosła się gruba, pobłyskująca smarem lufa w perforowanej metalowej osłonie.

- Stać! - wrzasnął Fritz i Andrzej zobaczył, że Niemiec wyskakuje z prawej strony i leci wielkimi susami prosto na wóz.

-No, gady, zarazy... - mamrotał brodac, wykonując jakieś skomplikowane i bardzo zręczne ruchy, którym towarzyszyło metaliczne szczęknięcie i pobrzękiwanie. Andrzej zeszywniał, oczekując ognia i huk. Małpy na dachu najwidoczniej też coś wyczuły. Przystały się miotać, przysiadły na ogonach i, niespokojnie kręcąc psimi głowami, zaczęły skrzekliwie wymieniać się uwagami.

Fritz był już obok wozu. Chwycił brodacza za ramię i rozkazująco powtórzył:

- Stać!

- Czekał no! - mamrotał zniecierpliwiony brodac, wyszarpując ramię. - Czekał, zetnę je, swołocz ogoniastą...

- Powiedziałem, przestań! - ryknął Fritz.

Wtedy dopiero brodac spojrział na niego i powoli podniósł głowę.

- Czego? - zapytał, z niewiarygodną pogardą przeciągając słowa. Był wzrostu Fritza, ale szerszy od niego w barach i poniżej pleców.

- Skąd pan ma broń? - ostro zapytał Fritz. - Dokumenty!

-Ach, ty gówniarzu! - wykrzyknął groźnie brodac. - Dokumenty mu dawaj! A tego nie chcesz, biała gnido?

Fritz nie zwrócił uwagi na nieprzyzwoity gest. Spojrział brodaczowi prosto w oczy i na całe gardło ryknął:

- Römer! Woronin! Friża! Do mnie!

Andrzej zdziwił się, słysząc swoje nazwisko, ale odepchnął się od ściany i powoli podszedł do wozu. Z drugiej strony truchtał krępy Römer z obwisłymi ramionami - kiedyś zawodowy bokser. Co sił w nogach biegł kumpel Fritza, mały, chudy Otto Friża, skrofuliczny młodzian z bardzo odstającymi uszami.

- Proszę, proszę... - dogadywał uśmiechnięty złośliwie brodac, patrząc na te wszystkie wojenne przygotowania.

- Jeszcze raz stanowczo pana proszę o okazanie dokumentów -powtórzył Fritz z lodowatą uprzejmością.

-A pójdziesz ty w... - odpowiedział leniwie brodac. Patrzył teraz przede wszystkim na Römera, jakby niechcący kładąc rękę na trzonku bardzo wymownego bata, umiejętnie splecionego z niewyrobionej skóry.

- Chłopaki, chłopaki! - zawołał ostrzegawczo Andrzej. - Słuchaj no, żołnierzu, daj spokój, nie kłóć się, jesteśmy z merostwa...

- Sram na wasze merostwo - odparł brodac, mierząc Römera wzrokiem od stóp do głów.

- No, o co chodzi? - zainteresował się tamten, niegłośno i ochryple.

- Dobrze pan wie - powiedział Fritz - że posiadanie broni na terenie miasta jest zabronione. Tym bardziej cekaemu. Jeśli ma pan pozwolenie, proszę okazać.

- A kim wy jesteście, żeby mnie o pozwolenie pytać? Policja, co? A może gestapo?

- Jesteśmy ochotniczym oddziałem samoobrony.

Brodacz uśmiechnął się.

- No, skoro jesteście z obrony, to się brońcie, kto wam przeszkadza? Zbierał się regularny, solidny, wnikliwy tłum. Oddział powoli okręzał wóz. Z bram wyleźli nawet tubylcy płci męskiej -jeden ze szczypcami do kominka, inny z pogrzebaczem albo nogą od krzesła. Z ciekawością oglądali

brodacza, stojący na brezencie złowieszczy cekaem i coś okrągłego i szklanego, połyskującego spod brezentu. Pociągali nosami - farmera otaczała oryginalna gama zapachów: pot, kiełbasa z czosnkiem, alkohol...

Andrzej z rozrzewnieniem, które zdumiało jego samego, patrzył na wypłowiałą, przepoconą pod pachami bluzę z jedynym (a i tak nie zapiętym) guzikiem na kołnierzyku, znajomo przekrzywioną na lewą stronę pilotkę ze śladem po pięcioramiennej gwiazdzie, potężne buciory - tylko broda tu nie pasowała, nie wpisywała się w ten obraz... I w tym momencie przyszło mu do głowy, że u Fritza to wszystko wywoływało zupełnie inne odczucia i skojarzenia. Popatrzył na niego. Heiger stał wyprostowany, zaciskając usta w wąską linijkę, marszcząc pogardliwie nos i starając się zmrozić brodacza spojrzeniem stalowoszarych, prawdziwie aryjskich oczu.

- Nam pozwolenia nie przysługują - mówił tymczasem leniwie brodacza, bawiąc się batem. - Nam w ogóle nic nie przysługuje, tylko karmić was, darmozjadów, to nam przysługuje...

- No dobrze - zahuczał bas z ostatnich szeregów. - A cekaem skąd?

- A co to takiego cekaem? Więż między miastem a wsią. Ja ci ćwiartkę samogonu, ty mi cekaem, wszystko jak się należy...

- Nie, nie - huczał bas. - Było nie było, cekaem to nie zabawka, nie jakaś tam młockarnia...

- A mnie się wydaje - wmieszał się rozsądny - że akurat farmerzy mogą mieć broń!

- Nikt nie może mieć broni! - zapiszczał Fritz i mocno się zaczerwienił.

- Ale głupota! - odpowiedział rozsądny.

- Pewnie, że głupota - zgodził się brodacza. - Posiedziałybyś u nas na bagnach, nocą, albo kiedy gody

...

- Czyje gody? - zainteresował się żywo inteligent, przeciskając się ze swoimi okularami do pierwszego rzędu.

- Czyje mają być, to i są - pogardliwie odpowiedział farmer.

- Ależ nie, chwileczkę... - zaczął pospiesznie inteligent. - Jestem biologiem, a do tej pory nie udało mi się ...

- Cisza - powiedział Fritz. - A panu - ciągnął, zwracając się do brodacza - radzę pójść za mną. W celu uniknięcia niepotrzebnego przelewu krwi.

Ich spojrzenia skrzyżowały się i wspaniały brodacza szóstym zmysłem wyczuł, z kim ma do czynienia. Jego broda rozpękła się w jadowitym uśmiechu i nieprzyjemnym, obraźliwie cienkim głosem, zawołał:

- Mlieko-jajki? Hitler kaput!

Ni cholery się nie bał przelewu krwi - ani niepotrzebnego, ani żadnego innego.

Fritz odrzucił głowę jak od ciosu w podbródek; jego blada twarz zrobiła się purpurowa, na policzkach zadrgały nabrzmiące mięśnie.

Przez moment Andrzej myślał, że Heiger rzuci się na brodacza, pochylił się nawet do przodu, żeby stanąć między nimi, ale Fritz opanował się. Krew odbiegła mu z twarzy i sucho zarządził:

- To nie ma nic do rzeczy. Proszę za mną.

- Niech mu pan da spokój, Heiger! - powiedział bas. - Przecież widać, że to farmer. Widział to kto - czepiać się farmerów!

Wszyscy wokół niego zaczęli kiwać głowami i mamrotać, że tak, że widać, że to farmer, że sobie odjedzie i zabierze swój cekaem, i że to przecież nie żaden gangster.

- Z pawianami mamy walczyć, a nie bawić się w policję - dodał rozsądny.

Napięcie od razu opadło. Wszyscy przypomnieli sobie o pawianach. A one znowu łąziły, gdzie chciały i zachowywały się jak u siebie w dżungli. A przy tym okazało się, że miejscowa ludność ma

najwidoczniej dosyć czekania na zdecydowane posunięcia oddziału samoobrony. Ludność najwidoczniej zdecydowała, że na ten oddział nie ma co liczyć i że trzeba jakoś sobie radzić samemu. Kobiety z koszykami i zaciśniętymi w skupieniu wargami spieszyły załatwiać swoje poranne sprawy. Wiele z nich trzymało w rękach miotły i kije od szczotek do odganiania najbardziej nachalnych małp. Z witryn sklepu zdejmowano okiennice, a straganiarz chodził dookoła swojego splądrowanego straganu, stękał i coś najwyraźniej kombinował. Na przystanku autobusowym pojawiła się kolejka, a w oddali zamajaczył pierwszy autobus. Naruszając zarządzenie władz miasta, głośno trąbił, rozganiając nie obeznane z zasadami ruchu drogowego pawiany.

- No tak, panowie - powiedział ktoś. - Coś mi się wydaje, że będziemy musieli się do tego przyzwyczaić. To co, dowódco, do domu?

Ponury Fritz patrzył spode łba na ulicę.

- No cóż... - odezwał się zwyczajnym, ludzkim głosem. - Jak do domu, to do domu.

Odwrócił się z rękami w kieszeniach, pierwszy poszedł do ciężarówki. Oddział ruszył za nim. Słysząc było trzask zapalek i zapalniczek, ktoś z niepokojem pytał, jak będzie ze spóźnieniem do pracy, dobrze by było dostać jakieś zaświadczenie... Rozsądny wytłumaczył: dzisiaj wszyscy spóźnią się do pracy, po co komu jakieś zaświadczenia. Tłum wokół wozu rozpląnął się. Został tylko Andrzej i biolog okularnik, który twardo postanowił dowiedzieć się, kto ma gody na błotach.

Brodacz, rozkładając i pakując cekaem, pobłażliwie wyjaśniał, że gody, bracie, na bagnach mają czerwunki, a czerwunki to, bracie, takie niby krokodyle. Krokodyle widział? No, te są takie same, tyle że mają sierść. Taką czerwoną, twardą. I kiedy mają ruję to, bracie, trzeba się trzymać z daleka. Po pierwsze, silne są jak byki, a po drugie, jak "to" robią, to na nic nie zwracają uwagi - dom nie dom, szopa nie szopa, wszystko idzie w drobny mak...

Inteligentowi płonęły oczy, słuchał chciwie, co chwila poprawiając okulary sztywnymi palcami. Fritz krzyknął do nich z ciężarówki: "Jedziecie czy nie? Andrzej!" Inteligent spojrział na ciężarówkę, potem na zegarek, jęknął, zaczął mamrotać podziękowania i przeprosiny, wreszcie chwycił brodacza za rękę, potrząsnął nią z całych sił i pobiegł. Andrzej został.

Sam nie wiedział dlaczego. Dostał jakby ataku nostalgii. Nie, żeby zatęsknił za rosyjską mową - przecież wszyscy dookoła mówili po rosyjsku; i nie, żeby brodacz wydawał mu się uosobieniem ojczyzny. Broń Boże. Ale było w nim coś takiego, za czym Andrzej od dawna tęsknił, coś takiego, czego Andrzej nie mógł się spodziewać ani po surowym, zjadliwym Donaldzie, ani po wesołym, serdecznym, ale mimo to obcym Kensim, ani po Wanie, zawsze dobrym, zawsze życzliwym, ale za bardzo zahukanym. Ani, tym bardziej, po Fritzu, chłopie w sumie niezłym, ale, było nie było, wczorajszym śmiertelnym wrogu.... Andrzej nawet nie podejrzewał, że aż tak bardzo stęsknił się za tym zagadkowym "czymś".

Brodacz popatrzył na niego kątem oka i zapytał:

- Rodak, co?

- Z Leningradu - powiedział Andrzej, czując dziwne skrępowanie. Żeby je zatrzeć, wyjął papierosy i poczęstował brodacza.

- Aha... - zamruczał ten, wyciągając papierosa z paczki. - Znaczy się, rodacy. A ja, bracie, z Wołogdy. Czerepowiec - słyszał? Ochcy-mochcy Czerepowcy...

- Jasne! - Andrzej strasznie się ucieszył. - Tam teraz kombinat metalurgiczny postawili, wielgachna fabryka!

- No? - powiedział dość obojętnie brodacz. - Znaczy się, też ich wzięli w obroty... No i dobrze. A ty co tu robisz? Jak cię zwą?

Andrzej przedstawił się.

- A ja, widzisz, na roli gospodaruję. Znaczy się farmer. Jurij Konstantypowicz Dawydow. Napijesz się?

Andrzej zawahał się.

- Wcześniej....

- Może i wcześniej - zgodził się Jurij Konstantynowicz. - A ja jeszcze muszę na rynek. Rozumiesz, przyjechałem wczoraj wieczorem i od razu do pracowni, już dawno mi tam cekaem obiecali. No, tak i siak, wypróbowaliśmy maszynkę, wyładowałem im, znaczy, szynkę, ćwiartkę samogonu, patrzę, a tu słońce wyłączyli... - opowiadając, Dawydow kończył ładować wóz; teraz rozplatał lejce, siadł bokiem i ruszył. Andrzej szedł obok.

- Tak - ciągnął Jurij Konstantynowicz. - Wyłączyli, znaczy, słońce. A tamten do mnie mówi: "Chodźmy, ja tu znam takie jedno miejsce". Pojechaliśmy tam, wypiliśmy, przegryźliśmy. Wiesz, jak w mieście z wódką, a ja mam samogon. Oni, widzisz, muzykę stawiali, a ja wypitkę. No i kobity, oczywiście... - Dawydow na samo wspomnienie zaruszał brodą, po czym ściszył głos i mówił dalej: - U nas, bracie, na bagnach z kobitami bardzo cienko. Jest, rozumiesz, jedna wdowa, no to chodzimy do niej... mąż jej w zeszłym roku utonął... No i wiesz, jak to wychodzi; łązić łączysz, podziac się nie ma gdzie, a potem to jej młockarnię zreperuj, to przy zbiorach pomóż, to kultywator... A, zaraza! - pociągnął batem po pawianie, który laził za wozem. - Życie tam u nas, bracie, jak w czasie wojny. Bez broni nie da rady. A ten białas to kto? Niemiec?

- Niemiec - wyjaśnił Andrzej. - Były podoficer, pod Königsbergiem trafił do niewoli, a z niewoli - tutaj...

- No, coś mi się tak zdawało, morda jakaś taka nieprzyjemna - powiedział Dawydow. - Do samej Moskwy mnie gnali, świnię, do szpitala mnie zagnali, pół tyłka straciłem. Aleja potem też im dałem. Czołgista jestem. Ostatnio to już pod Pragą się paliłem... - znowu zaruszał brodą. - No i powiedz, jakie to życie! Gdzieżeśmy się spotkali!

- Nie, nie, to jest całkiem niezły chłop - sprzeciwił się Andrzej. - I śmiały. Lubi się szarogęścić, ale robotnik z niego dobry, energiczny. Dla Eksperymentu całkiem pożyteczny człowiek. Organizator.

Dawydow jakiś czas milczał, cmokając na konie.

- Przyjeżdżał do nas taki jeden w zeszłym tygodniu - odezwał się w końcu. - No to zebraliśmy się u Kowalskiego, też farmer, Polak, dziesięć kilometrów ode mnie mieszka, dom ma ładny, duży. Taak... Zebraliśmy się, znaczy. No, a ten jak nie zacznie nam gadać, czy my właściwie rozumiemy zadania Eksperymentu. A on sam z merostwa, z działu rolnictwa. No i widzimy, że idzie ku temu, że jeżeli, powiedzmy, prawidłowo rozumiemy Eksperyment, to dobrze by było podnieść nam podatek... A żonę masz? - zainteresował się nagle.

- Nie - powiedział Andrzej.

- Pytani dlatego, że gdzieś bym przenocował. Mam tu jeszcze jutro coś do załatwienia.

- Nie ma sprawy! - zawołał Andrzej. - O czym tu gadać? Niech pan przyjeżdża, nocuje, miejsca starczy, a mnie będzie miło...

- No to i mnie będzie miło. - Dawydow uśmiechnął się. - Było nie było, rodacy.

- Niech pan zapisze adres. Ma pan na czym?

- Mów. Zapamiętam.

- Adres nietrudny: ulica Główna, dom sto piąty, mieszkania szesnaście. Od podwórza. Jak by mnie przypadkiem nie było, to niech pan zajrzy do dozorczy, to taki Chińczyk, Wan, zostawię panu u niego klucz.

Dawydow bardzo mu się spodobał, chociaż poglądy mieli trochę inne.

- Z którego rocznika jesteś? - zapytał Dawydow.

- Z dwudziestego ósmego.

- A tutaj od kiedy?

- Od pięćdziesiątego pierwszego. Dopiero od czterech miesięcy.

- Aha. A ja przyjechałem tutaj w czterdziestym siódmym... Powiedz no mi, Andriucha, jak tam u nas na wsi - lepiej?

- Pewnie, że tak! - odpowiedział Andrzej. - Wszystko odbudowali, ceny co roku spadają. Osobiście nie byłem po wojnie na wsi, ale jeśli wierzyć kinu i książkom, to teraz na wsi dostatnio żyją...

- Mmm... Kino - powiedział z powątpiewaniem Dawydow. - Kino to, widzisz, taka sztuka...

- Ależ nie, dlaczego... Wmieście, w sklepach, wszystko jest. Kartki już dawno zniesione. A skąd to wszystko? Ze wsi...

- Że ze wsi, to prawda. A ja, rozumiesz, wracam z frontu - żony nie ma, umarła. Syn przepadł bez wieści. We wsi pustka. Dobra, myślę, jakoś to będzie. Kto wojnę wygrał? My! Znaczy, teraz nasza kolej. Proponują mi, żebym został przewodniczącym. Zgodziłem się. We wsi same baby, nawet nie trzeba się było żenić. Czterdziesty szósty jakoś przeżyłem, no, myślę, teraz będzie lżej... - nagle zamilkł i długo się nie odzywał, jakby zapomniał o Andrzeju. - Szczęście dla całej ludzkości! - wykrzyknął nieoczekiwanie. - A ty jak, wierzysz w to?

- Oczywiście.

- Ja też uwierzyłem. Nie, myślą, że wsią to coś nie tak. Jakiś błąd. Przed wojną - za pierś, po wojnie - za gardło. Nie, myślę, w ten sposób to nas zaduszą... I życie, rozumiesz, nieprzeniknione, jak generalskie epolety. Już i pić zacząłem, a tu - Eksperyment. - Westchnął ciężko. - Znaczy, myślisz, że im wyjdzie z tym Eksperymentem?

- Dlaczego im? Nam!

- Niech będzie, że nam. Wyjdzie czy nie?

- Powinno wyjść - powiedział twardo Andrzej. - Wszystko zależy tylko od nas.

- To, co od nas zależy, to robimy. Tam robiliśmy, tu robimy... Pewnie, że tak w ogóle, to grzech narzekać. Życie ciężkie, ale bez porównania... Najważniejsze - że to ty, ty, rozumiesz? A jak przyjedzie jakiś, upuścisz go do wygodki i dobra nasza!... Partyjny? - zapytał nagle.

- Komsomołce. Coś pan, Juriju Konstantynowiczu, czarno to wszystko widzi. Eksperyment to Eksperyment. Trudno, błędów jest sporo, ale pewnie inaczej nie można. Każdy na swoim posterunku, każdy tyle, ile może.

- A ty na jakim jesteś posterunku?

- Śmieciarz - dumnie odpowiedział Andrzej.

- Ważny posterunek. A jaką masz specjalizację?

- Specjalizację mam bardzo specjalną. Astronom.

Powiedział to nieśmiało i popatrzył na Dawydowa spode łba, spodziewając się żartów. Ale Dawydowa strasznie to zainteresowało.

- Naprawdę jesteś astronomem? Słuchaj no, bracie, to ty powinieneś wiedzieć, dokąd nas zaniósł. Planeta to czy może gwiazda? U nas, na bagnach znaczy, co wieczór się o to kłóca, biją się nawet, słowo! Nachleją się bimbru i dawaj, co tam komu do łba przyjdzie... Są tacy, co sądzą, że siedzimy jak w akwarium - ale tutaj, na Ziemi. Wielkie takie akwarium, tylko zamiast ryb - ludzie. Jak Boga kocham! A ty jak sądzisz, z naukowego punktu widzenia?

Andrzej podrapał się po karku i roześmiał. U niego w mieszkaniu z tego samego powodu też niemal dochodziło do bójek - i to bez żadnego bimbru. A co do akwarium, to tak samo, używając tych samych słów, śmiejąc się i parszcząc, rozwodził się Izia Katzman.

- Jak by ci to, widzisz... - zaczął. - To nie takie proste. Niepojęte. A z naukowego punktu widzenia tylko jedno ci powiem: niemożliwe, żeby to była inna planeta, a tym bardziej gwiazda. Według mnie, wszystko tutaj jest sztuczne i nie ma żadnego związku z astronomią.

Dawydow pokiwał głową.

- Akwarium - powiedział z przekonaniem. - I słońce takie jak żarówka, i żółta ściana aż do nieba... Słuchaj no, a tą uliczką to do rynku dojadę?

- Dojedziesz - powiedział Andrzej. - Adresu nie zapomniałeś?

- Nie zapomniałem. Wieczorem będę...

Dawydow pogonił konie batem, gwizdnął i wóz, łomocząc, skrył się w ulicze. Andrzej poszedł w stronę domu. A to ci chłop, pomyślał wzruszony. Żołnierz! Eksperymentu nie przyjmuje, od kłopotów ucieka, ale przecież nie ja go będę sądzić. Ranny, gospodarstwo zniszczone, mógł chłop nie wytrzymać?... A i tutaj też mu pewnie za słodko nie jest. A przecież nie on jeden taki, pełno ich tutaj...

Na Głównej szarogęsiły się pawiany. Czy Andrzej już się do nich przyzwyczaił, czy może to one jakoś się zmieniły, dość, że teraz nie wydawały mu się tak beczelne, ani tym bardziej straszne, jak kilka godzin temu. Spokojnie sadowiły się w plamach słońca, trajkotały, iskały się, a gdy przechodzili koło nich ludzie, wyciągały kosmate łapy z czarnymi dłońmi i prosząco mrugały łzawiącymi oczami. Wyglądało to tak, jakby w mieście nagle pojawiła się ogromna masa żebraków.

Przed bramą swojego domu Andrzej zobaczył Wana. Ten siedział na słupku, smutny i zgarbiony, opuszczając zmęczone ręce między kolana.

- Straciliście kubły? - zapytał nie podnosząc głowy. - Popatrz, co się wyrabia...

Andrzej zajrzał do bramy i przeraził się. Nawalili śmieci prawie pod samą żarówkę. Tylko do drzwi stróżówki prowadziła wąziutka ścieżka.

- Rany boskie! - wykrzyknął Andrzej i zaczął się krzątać. - Ja zaraz... czekaj no... zaraz polecę... - Nerwowo próbował sobie przypomnieć, jakimi ulicami pędzili wczoraj w nocy i w którym miejscu uciekinierzy wyrzucili kubły.

- Nie trzeba - powiedział przygnębiony Wan. - Już tu była komisja. Spisali numery kubłów i obiecali, że wieczorem przywiozą. Wieczorem to pewnie nie przywiozą, ale może chociaż rano, co?

- Zrozum, Wan, tam było takie piekło, wstyd powiedzieć...

- Wiem. Donald już mi opowiadał, jak to wyglądało.

- Donald w domu? - ożywił się Andrzej.

- Tak Mówił, żebym nikogo do niego nie wpuszczał. Powiedział, że bolą go zęby. Dałem mu butelkę wódki i poszedł do siebie.

- Ach, no tak... - Andrzej znowu spojrzął na sterty śmieci.

I nagle, z całych sił, potwornie, histerycznie zapragnął się umyć, zrzucić śmierdzący kombinezon, zapomnieć, że jutro znowu trzeba będzie przetrzącać łopatą całe to dobro... Wszystko dookoła zrobiło się lepkie i cuchnące; Andrzej, nic więcej nie mówiąc, rzucił się przez podwórko na schody, na górę. Przeskakując po trzy stopnie i drżąc z niecierpliwości, dopadł swojego mieszkania, spod gumowej wycieraczki wyciągnął klucz i otworzył na oścież drzwi. Pachnący wodą kolońską chłód przyjął go w swoje objęcia.

ROZDZIAŁ 3

Najpierw się rozebrał. Do naga. Kombinezon i bieliznę zwinął w kłębek, wrzucił wszystko do kosza na brudy. Brud do brudu. Potem, stojąc nago na środku kuchni, rozejrzał się. Przeszedł go, dreszcz obrzydzenia. W kuchni poniewierało się pełno brudnych naczyń. W kątach piętrzyły się talerze pokryte błękitnawym kożuszkiem pleśni, miłosiernie ukrywającej jakieś czarne resztki. Stół był zastawiony mętnymi, wysmarowanymi kieliszkami, szklankami i puszkami po konserwowanych owocach. Zlew zawałały filiżanki i spodeczki. A na taboretach spokojnie śmierzdziały pociemniałe rondle, tłuste patelnie, durszlaki i garnki. Podeszedł do zlewu i odkręcił wodę. Co za szczęście! Była gorąca! Wziął się za robotę.

Po umyciu wszystkich naczyń złapał za szczotkę. Pracował gorliwie i z entuzjazmem, jakby zmywał brud z własnego ciała. Ale nie wystarczyło mu zapału na wszystkie pięć pokoi. Ograniczył się do kuchni, stołowego i sypialni. Do pozostałych pomieszczeń zajrzał tylko z niedowierzaniem - przez cały czas nie mógł się do nich przyzwyczaić i zrozumieć, po co jednemu człowiekowi tyle pokoi, w dodatku tak skandalicznie wielkich i zatęchłych. Starannie pozamykał za sobą drzwi, potem pozostawiał je jeszcze krzesłami.

Teraz wypadałoby skoczyć do sklepu i kupić coś na wieczór. Przyjdzie Dawydow, a pewnie ze starej paczki też się ktoś przyczłapie ... Ale zdecydował, że najpierw się umyje. Woda była już prawie zimna, ale i tak poczuł się wspaniale. Potem rozłożył na łóżku prześcieradła. Widząc czystą pościel, sztywne od krochmalu powłoczki, czując zapach ich świeżości, nagle strasznie zapragnął położyć się na tej dawno zapomnianej czystości. Rzucił się z taką siłą, że zajęczały sprężyny i zatrzeszczało stare polerowane drewno.

Co to była za rozkosz! Chłodno, pachnąco, skrzypiące, z prawej strony w zasięgu ręki znalazła się paczka papierosów i zapałki, a z lewej - półka z wybranymi kryminałami. Trochę go martwiło, że gdzieś blisko nie ma również popielniczki, a z półki zapomniał zetrzeć kurz - ale to drobiazgi. Wybrał "Dziesięciu Murzynków" Agaty Christe, zapalił papierosa i zabrał się do czytania.

Gdy się obudził, było jeszcze widno. Zaczął nasłuchiwać. W mieszkaniu i w całym domu panowała cisza, tylko woda, obficie cieknąc z zepsutych kranów, tworzyła dziwną grę dźwięków. Dookoła było czysto - i to też było dziwne, a jednocześnie bardzo przyjemne. Potem ktoś zastukał do drzwi. Wyobraził sobie Dawydowa, potężnego, opalonego, pachnącego sianem i świeżym zacierem, stojącego na klatce z butelką samogonu pod pachą. Znowu ktoś zapukał i Andrzej obudził się już zupełnie.

- Idę! - wrzasnął, wyskoczył z łóżka i zaczął biegać po sypialni w poszukiwaniu slipek. Wpadły mu w ręce zapomniane przez poprzednich gospodarzy pasiaste spodnie od pizamy. Pospiesznie je wciągnął. Gumka była za luźna i trzeba było przytrzymywać z boku.

Wbrew oczekiwaniom, za drzwiami nie było słyhać dobroduszych przekleństw, nie rżały konie i nie bulgotał płyn. Uśmiechając się, Andrzej odsunął zasuwę, otworzył drzwi, stęknął i cofnął się o krok, łapiąc za przekłętą gumkę również drugą ręką. Przed nim stała Selma Nagel, nowa spod osiemnastki.

- Nie ma pan przypadkiem papierosa? - zapytała bez żadnych wstępów.

-Tak... proszę... niech pani wejdzie... -wymamrotał Andrzej, cofając się.

Weszła i minęła go, oblewając zapachem jakichś niesłychanych kosmetyków. Przeszła do stołowego. Andrzej zatrzasnął drzwi i z rozpaczliwym krzykiem: "Jedną chwileczkę, proszę poczekać, ja zaraz!" rzucił się do sypialni. O rany, powtarzał, o rany, jak ja tak mogłem... Zresztą, tak naprawdę to się nie wstydził, nawet był zadowolony, że zastała go takiego czystego, umytego,

barczystego, z gładką skórą i pięknie rozwiniętymi bicepsami i tricepsami - aż mu było żal się ubierać. Ale jak trzeba, to trzeba. Zajrzał do walizki, pogrzebał w niej, wyciągnął spodnie od dresu i szarą, spraną kurtkę sportową ze splecionymi literami LU na plecach i piersi. Tak ubrany stanął przed ładniutką Selmą Nagel: pierś do przodu, ramiona wyprostowane, krok śmiały, w wyciągniętej ręce paczka papierosów.

Selma Nagel obojętnie wzięła papierosa, trzasnęła zapalniczką i zapaliła. Na Andrzeja nawet nie popatrzyła i w ogóle wyglądała tak, jakby wszystko na świecie jej zwisało. W świetle dziennym nie wydawała się już taka ładna. Rysy twarzy miała niezbyt regularne i grube, nos krótki i zadarty, kości policzkowe za szerokie, a duże usta za mocno umalowane. Ale jej nogi, zupełnie obnażone, były ponad wszelkie możliwe pochwały. Reszty niestety nie dało się ocenić - diabli wiedzą, kto ją nauczył nosić takie workowate ubrania. Sweter, w dodatku z takim kołnierzem! Jak u nurka.

Siedziała w głębokim fotelu, zakładając jedną piękną nogę na drugą, i rozglądała się obojętnie, trzymając papierosa po żołniersku, żarem do wnętrza dłoni. Andrzej z niedbałą elegancją przysiadł na brzegu krzesła i też zapalił.

- Nazywam się Andrzej - powiedział.

Spojrzała na niego obojętnym wzrokiem. Oczy też nie były takie, jakimi wydawały się tamtej nocy. Duże, ale nie czarne, tylko bladoniebieskie, prawie przezroczyste.

- Andrzej - powtórzyła. - Polak?

- Nie, Rosjanin. A pani nazywa się Selma Nagel i jest pani ze Szwecji.

Kiwnęła głową.

- Ze Szwecji. To pana wtedy tłukli na posterunku?

Andrzej speszył się.

- Na jakim posterunku? Nikt mnie nie tłukł.

- Słuchaj, Andrzej - powiedziała. - Dlaczego moja maszynka tu nie działa? - postawiła na kolanie małe lakierowane pudełeczko, trochę większe od paczki zapalek. - Na wszystkich częstotliwościach trzaski i wycie, żadnej muzyki.

Andrzej ostrożnie wziął od niej pudełeczko i ze zdziwieniem zobaczył, że to radio.

- A to ci dopiero! - zamruczał. - Czyżby detektorowe?

- A skąd ja mam wiedzieć? - odebrała mu radio, rozległo się chrypienie i smętne wycie. - Nie działa i tyle. A co, nigdy takiego nie widziałeś?

Andrzej potrząsnął głową. Potem powiedział:

- Tak w ogóle to ono nie powinno działać. Tutaj i tak jest tylko jedna stacja, transmitowana ód razu do sieci.

- O Boże - westchnęła Selma. - No i co tu robić? Pudła też nie ma...

- Jakiego pudła?

- No, telewizora!

- Aa... Tak, to u nas nieprędko będzie.

- Co za nuda!

- Można włączyć patefon - zaproponował nieśmiało Andrzej. Czuł się niezręcznie. Rzeczywiście, co to jest - ani radia, ani telewizji, ani kina...

- Patefon? A co to takiego?

- Nie wiesz, co to jest patefon? - zdziwił się Andrzej. - No, gramofon. Kładziesz płytę...

- A, adapter - powiedziała Selma bez żadnego zainteresowania. - A magnetofonu nie ma?

- I co jeszcze? - zirytował się Andrzej. - A co ja jestem, radiowęzeł, czy co?

- Dziki jakiś jesteś - oznajmiła Selma. - No tak, Rosjanin. No dobrze, gramofonu sobie słuchasz,

wódkę pewnie pijesz, a poza tym co robisz? Na motorze jeździsz? A może motocykla też nie masz?

Andrzej zdenerwował się jeszcze bardziej.

- Nie po to tu przyjechałem, żeby na motorze jeździć. Jestem tu, żeby pracować. A ciekawe, co ty masz zamiar tu robić?

- Pracować przyjechał... - powtórzyła Selma. - Powiedz no, za co cię tłucli na posterunku?

- Nikt mnie nie tłucli na posterunku! Co ty sobie ubzdurałaś? A w ogóle u nas na policji nikogo nie biją, tu nie Szwecja.

Selma gwizdnęła.

- No, no - powiedziała drwiąco. - To znaczy, że mi się przywidziało.

Rzuciła niedopałek do popielniczki, zapaliła nowego papierosa, podniosła się i jakoś tak zabawnie podrygując, przeszła się po pokoju.

- A kto tu wcześniej mieszkał? - zapytała, zatrzymując się przed ogromnym owalnym portretem liliowej damy z bolończykiem na kolanach. - Bo u mnie jakiś maniak seksualny. Po kątach pornografia, na ścianach zużyte prezerwatywy, a w szafie cała kolekcja damskich podwiązek. Trudno dociec, czy to fetyszysta, czy może minety lubił robić...

- Kłamiesz - powiedział Andrzej, speszony. - Cały czas kłamiesz, Selmo Nagel.

- Po co miałabym kłamać? - zdziwiła się Selma. - A kto tam mieszkał? Nie wiesz?

- Mer! Tutejszy mer tam mieszkał, rozumiesz?

- A - odparła obojętnie. - Rozumiem.

- Co rozumiesz? - zapytał. - Co ty rozumiesz?! - krzyknął, nakręcając się. - Co ty w ogóle możesz z tego zrozumieć!? - umilkł. O tym nie można było mówić. To trzeba było samemu przeżyć.

- Ma pewnie pod pięćdziesiątkę - powiedziała Selma z miną znawczyni. - Starość za pasem, człowiek fioła dostaje. Klimakterium! - uśmiechnęła się i znowu zaczęła oglądać portret z bolończykiem.

Zapanowało milczenie. Andrzej z zaciśniętymi zębami przeżywał wiadomość o merze. Mer był postawny, dobrze się prezentował, miał wyjątkowo pociągającą, okoloną szlachetną siwizną twarz. Pięknie mówił na spotkaniach aktywu miejskiego - o wstrzemięźliwości, o sile ducha, o wewnętrznym zapasie moralności i odporności. A gdy spotykali się na schodach, zawsze wyciągał wielką, ciepłą, suchą rękę, aby z niezmienną życzliwością i uprzedzającą grzecznością spytać, czy Andrzejowi nie przeszkadza w nocy stuk jego, mera, maszyny do pisania...

- Nie wierzy! - zawołała nagle Selma Nagel. Okazało się, że nie patrzyła już na portret, tylko z jakąś gniewną ciekawością przyglądała się Andrzejowi. - Nie wierzysz, to nie. Tylko że niedobrze mi się robi, jak mam to wszystko sprzątać. Nie można by tu kogoś wynająć, co?

- Wynająć... - tępo powtórzył Andrzej. - A figę! - powiedział ze złośliwą satysfakcją. - Sama posprzątasz. Dla panienek z białymi rączkami nie ma tu miejsca.

Przez jakiś czas patrzyli na siebie z wzajemną wrogością. Potem Selma odwróciła oczy i wymamrotała:

- I po cholere ja tu przyjeżdżałam! Co ja będę robić?

- Nic takiego - powiedział Andrzej. Przewyciężył swoją antypatię. Trzeba człowiekowi pomóc. On już się tutaj naoglądał nowych. Różnych. - To co wszyscy. Pójdiesz na giełdę, wypełnisz książeczkę, wrzucisz do pudełka... Tam jest zainstalowana maszyna rozdzielająca. Kim byłaś w tamtym świecie?

- Fordanserką - odpowiedziała Selma.

- Kim?

- No, jak by ci to wyjaśnić... Raz, dwa, nóżka w bok...

Andrzej znowu zamarł. Kłamię, pomyślał. Gada głupoty. Idiotę ze mnie robi.

-1 dobrze zarabiałaś? - zapytał sarkastycznie.

- Głupi - zabrzmiało to niemal czule. - Tego się przecież nie robi dla pieniędzy. Tak jest ciekawiej. Mniej nudno...

- Jak to? - powiedział Andrzej z goryczą. - Co sobie twoi rodzice myśleli? Przecież jesteś młoda, mogłabyś się uczyć...

- Po co? - zapytała Selma.

- Jak to po co? Wyszłabyś na ludzi... Została inżynierem, nauczycielką... Mogłabyś wstąpić do partii komunistycznej, walczyć o socjalizm...

- O Boże, Boże... - ochryple zaszepotała Selma, jak podcięta padła na fotel i zasłoniła twarz rękami. Andrzej przestraszył się, a jednocześnie poczuł dumę i ogromną odpowiedzialność.

- No co ty, co ty... - przysunął się do niej niezgrabnie. - Co było, to było. No, już. Nie denerwuj się. Może i dobrze, że tak wyszło: tutaj wszystko nadrobisz. Mam mnóstwo przyjaciół, sami prawdziwi ludzie... - przypomniał sobie Izie Katzmana i skrzywił się. - Pomożemy ci. Razem będziemy walczyć. Roboty jest do diabła i trochę! Bałagan, rozgardiasz, łajdaki - liczy się każdy uczciwy człowiek. Nie wyobrażasz sobie, ilu łobuzów tu przywiało! Jasne, że tego nie robię, ale czasem mam ochotę zapytać: co cię tu przyniosło, po jaką cholere, komu jesteś potrzebny?

Już miał poklepać dziewczynę po przyjacielsku - ba, nawet po bratersku - po ramieniu, gdy ona, nie odrywając dłoni od twarzy, zapytała:

- To znaczy, że nie wszyscy są tacy?

- Jacy?

- Jak ty. Idioci.

-No wiesz!

Andrzej zeskoczył ze stołu i zaczął krążyć po pokoju. Przecież to burżujka. Dziwka, i to tutaj. Ciekawi ją, patrzcie państwo... A jednak szczerowość Selmy mu imponowała. Szczerowość zawsze jest dobra. Twarzą w twarz, przez barykadę. To nie to, co, powiedzmy, Izia: ani nasz, ani wasz - śliski jak glista i wszędzie się wciśnie...

Selma zachichotała za jego plecami.

- No i co tak biegasz? - powiedziała. - Nie moja wina, że z ciebie taki głupek. No, dobra, przepraszam.

Nie zamierzając dać się udobruchać, Andrzej przeciął dłonią powietrze.

- Ty, Selma, strasznie jesteś zaniedbana i dużo potrzeba czasu, żeby doprowadzić cię do porządku. Nie myśl sobie, że ja się obraziłem na ciebie. Z tymi, którzy doprowadzili cię do takiego stanu... z tymi mogę mieć na pieńku, ale z tobą - nie. Jesteś tutaj, to znaczy, że jesteś naszym towarzyszem. Będziesz dobrze pracować, zostaniemy przyjaciółmi. A tu trzeba dobrze pracować. U nas jak w wojsku: nie umiesz - nauczymy, nie chcesz - zmusimy! - Podobały mu się własne słowa; od razu przypominały mu się wystąpienia Aloszy Bałdiejewa, komsomolskiego przywódcy na wydziale. Zauważył, że Selma w końcu odsłoniła twarz i patrzy na niego zaciekawiona i przestraszona. Mrugnął do niej z aprobatą. - Tak, zmusimy, a coś ty myślała? Do nas na budowę to takie obiboki przyjeżdżały... na początku tylko patrzyli, jak by tu wyskoczyć na wódkę albo do lasu. A potem - najpilniejsi! Praca ucłowieczy nawet małpę ...

- A tu u was małpy zawsze po ulicach chodzą? - przypomniała sobie Selma.

- Nie - odpowiedział Andrzej, posępniejąc. - Dopiero od wczoraj. Żeby uczyć twój przyjazd...

- Będziecie je ucłowieczać? - zapytała podstępnie.

Andrzej zmusił się do uśmiechu.

- To się jeszcze okaże - odparł. - Możliwe, że będziemy. Eksperyment to Eksperyment.

Mimo że pozornie wariacki, pomysł wydał mu się nie pozbawiony sensu. Trzeba będzie wieczorem o tym pogadać, pomyślał. W tym samym momencie przyszło mu do głowy coś jeszcze.

- Co masz zamiar robić dziś wieczorem? - zapytał.

- Nie wiem. Zobaczą. A co się tu u was robi?

Ktoś zapukał do drzwi. Andrzej popatrzył na zegarek. Była siódma, zaczęli ściągać.

- Dzisiaj zostaniesz u mnie - powiedział zdecydowanie. Z tym rozpieszczonym stworzeniem trzeba postępować stanowczo. - Nie obiecuję hucznej zabawy, ale poznasz interesujących ludzi. Gra?

Selma wzruszyła ramionami i zaczęła poprawiać włosy. Andrzej poszedł otworzyć. W drzwi ktoś już kopał. To był Izia Katzman.

- Jest u ciebie kobieta? - zapytał od progu. - Kiedy ty wreszcie zamontujesz dzwonek?

Jak zawsze przed zebraniem, Izia był starannie uczesany, miał wykrochmalony kołnierzyk i lśniące białą mankiety. Wąski wyprasowany krawat z niezwykłą precyzją zwisał na linii nos-pępek. Ale Andrzej i tak wolałby zobaczyć teraz Donalda albo Kensi.

- Właż, gaduło - powiedział. - Coś dzisiaj tak wcześniej przyszedł?

- Wiedziałem, że u ciebie jest kobieta - odpowiedział Izia, pocierając ramię i chichocząc - dlatego tak się spieszyłem.

Weszli do stołowego i Izia zamaszystymi krokami ruszył w stronę Selmy.

- Izia Katzman - przedstawił się aksamitnym głosem. - Śmieciarz.

- Selma Nagel - leniwie odezwała się Selma, wyciągając rękę. - Dziwka.

Izia zarechotał z zachwytem i delikatnie pocałował wyciągniętą dłoń.

- Byłbym zapomniał! - zawołał odwracając się do Andrzeja, a potem znowu do Selmy. -

Słyszeliście? Rada pełnomocników rejonowych rozpatruje projekt decyzji... - uniósł palec i podniósł głos: - "O poprawie sytuacji powstałej w związku z obecnością w granicach miasta znacznych grup psogłowych małp"... Uff! Zaproponowano, żeby zarejestrować wszystkie małpy, wyposażyć je w metalowe obroże i blaszki z imionami, po czym przypisać do instytucji i osób prywatnych, które będą za nie odpowiedzialne! - zachichotał, chrząknął i cienko wyjąc zaczął pięścią prawej ręki walić w otwartą lewą dłoń. - Coś pięknego! Wszyscy porzucili swoje zajęcia i wzięli się za produkcję obroży i blaszek. Mer bierze pod swoją osobistą opiekę trzy dojrzałe płciowo pawiany i wzywa ludność do pójścia w jego ślady. Weźmiesz sobie pawianicę, Andrzej? Selma będzie się sprzeciwiać, ale cóż, takie są wymagania Eksperymentu! Jak wiadomo, Eksperyment to Eksperyment. Mam nadzieję, Selmo, że nie ma pani wątpliwości, że Eksperyment to właśnie Eksperyment -nie ekskrement, nie eksponent, nie permanent, ale właśnie Eksperyment?...

Andrzejowi z trudem udało się przebić przez bulgot i jęki:

- No, już zaczął głądzić!...

Tego właśnie najbardziej się obawiał. Na nowego człowieka taki nihilizm i naplewizm mógł mieć bardzo destrukcyjny wpływ. Pewnie, że to wyjątkowo nęcące: łączyć od domu do domu, chichotać, pluć na wszystko i wszystkich, zamiast zacisnąć zęby i...

Izia przestał chichotać i wzburzony przeszedł się po pokoju.

- Możliwe, że głądzą - powiedział. - Możliwe. Ale ty, Andrzej, jak zwykle nic nie rozumiesz z psychologii władzy. Jak myślisz, co jest celem władzy?

- Rządzić! - Andrzej przyjął wyzwanie. - Rządzić, a nie trajkotać i mleć ozorem. Koordynować działania obywateli i organizacji...

- Stop! Koordynować działania - ale w jakim celu? Co jest ostatecznym celem koordynacji?

Andrzej wzruszył ramionami.

- Przecież to podstawy. Ogólny dobrobyt, porządek, stworzenie optymalnych warunków postępu...

- Otóż to!... - Izia uniósł palec, otworzył usta i wytrzeszczył oczy. - Otóż to! - powtórzył i znowu zamilkł. Selma patrzyła na niego z zachwytem. - Porządek! - wygłosił Izia. - Porządek! - Jeszcze bardziej wytrzeszczył oczy. - A teraz wyobraź sobie, że w powierzonym ci mieście pojawiły się niezliczone stada pawianów. Przepędzić ich nie możesz. Karmić ich wszystkich też nie -brakuje żarcia i rezerw. Pawiany żebrzą na ulicach - okropny nieporządek, u nas nie może być żebraków! Pawiany brudzą, nie sprzątają po sobie, a nikt nie ma zamiaru po nich sprzątać. Jaki z tego wniosek?

- No, w każdym razie nie taki, żeby zakładać im obrożę – za konkludował Andrzej.

- Dobrze! - zawołał Izia z aprobatą. - Pewnie, że nie chodzi o obrożę. Pierwszy narzucający się sensowny wniosek: ukryć istnienie pawianów. Udawać, że ich w ogóle nie ma. Ale to, niestety, niemożliwe. Za dużo ich się kręci, a nasza władza jest na razie jeszcze do obrzydzenia demokratyczna. I tutaj pojawia się doskonała w swojej prostocie idea: uporządkować obecność pawianów! Uprawomocnić chaos i bałagan i w ten sposób uczynić je elementem porządku, cechującego rządu naszego dobrego mera. Zamiast żebrzących i łobuzujących stad - miłe domowe zwierzątka. Wszyscy lubią zwierzęta! Królowa Wiktoria lubiła zwierzęta. Nawet Beria lubił podobno niektóre zwierzęta, nie mówiąc już o Hitlerze...

- Nasz król Gustaw też lubi zwierzęta - wtrąciła Selma. - Ma koty.

- Pięknie! - wykrzyknął Izia, uderzając pięścią w dłoń. - Król Gustaw ma koty, Andrzej Woronin - osobistego pawiana. A jeśli bardzo lubi zwierzęta, to nawet dwa pawiany...

Andrzej splunął i poszedł do kuchni przejrzeć zapasy. Gdy tak szperał w szafkach, rozwijając i ostrożnie wachając jakieś zakurzone paczki z zaschniętymi, pociemniałymi resztkami, w stołowym nieprzerwanie huczał głos Izi, słychać było dźwięczny śmiech Selmy oraz nieodłączne chrząkanie i bulgotanie jej rozmówcy.

Nie było nic do żarcia: górką ziemniaków, które zaczęły już rosnać, wątpliwa puszka kilek i bochenek chleba o konsystencji kamienia. Andrzej zajrzał do szuflady w stole i przeliczył gotówkę. Było akurat tyle, żeby starczyło do pensji, pod warunkiem że będzie oszczędzał i przestanie przyjmować gości, a nawet przeciwnie, sam zacznie w gości chodzić. Do grobu mnie wpędzą, pomyślał ponuro. Do licha, musi starczyć. Zaraz wszystkich oskubię. Co ja jestem - gar-kuchnia, czy co? Pawiany!

W tym momencie znowu ktoś zapukał do drzwi. Andrzej, uśmiechając się złowieszczo, poszedł otworzyć. Przelotnie zauważył, że Selma siedzi na stole, dłonie podsunęte pod siebie, wymalowane usta od ucha do ucha - a to suka! Izia peroruje, wymachując małpimi łapami, a wszelkie oznaki jego elegancji zniknęły - węzeł krawata pod prawym uchem, włosy stoją dęba, a mankiety poszarzały.

Okazało się, że przybył eks-podoficer Wermachtu Fritz Heiger ze swoim osobistym kumplem - szeregowcem tegoż Wermachtu Ottonem Friżą.

- Jesteście - powitał ich Andrzej z krzywym uśmiechem.

Fritz natychmiast odebrał to powitanie jako atak na godność niemieckiego podoficera i twarz mu skamieniała, a Otto, człowiek miękki, o nieokreślonych cechach ducha, tylko trzasnął obcasami i uśmiechnął się przypoehlebie.

- Co to za ton? - chłodno zainteresował się Fritz. - Może mamy sobie pójść?

- Przyniosłeś coś do żarcia? - zapytał Andrzej.

Fritz w skupieniu poruszył dolną szczęką.

- Do żarcia? - odpowiedział pytaniem. - Mmm... jak by to powiedzieć ... - popatrzył pytająco na Ottona. Fritz, nieśmiało się uśmiechając, od razu wyciągnął z kieszeni bryczesów płaską butelkę i podał ją Andrzejowi jak przepustkę - etykietką do wierzchu.

- No, dobrze... - zmiękł Andrzej i wziął butelkę. - Ale weźcie pod uwagę, chłopaki, że do żarcia nie ma absolutnie nic. Może chociaż macie forszę?

- A może jednak wpuścisz nas do domu? - zapytał Fritz. Przekrzywił głowę uchem do przodu: słuchał kobiecego śmiechu w stołowym.

Andrzej wpuścił ich do przedpokoju i zarządził:

- Forsa. Forsa na stół!

- Nawet tutaj nie udaje się nam uniknąć reparacji, Otto - powiedział Fritz, otwierając portfel. - Masz! - wcisnął Andrzejowi kilka banknotów. - Daj Ottonowi jakiś koszyk i powiedz, co ma kupić, on pójdzie.

- Czekaj, czekaj, nie tak prędko. - Andrzej zaprowadził ich do stołowego. Gdy stukwały obcasy, schylały się przylizane fryzury i rozbrzmiewały wojskowe komplementy, Andrzej odciągnął Izie i, nie pozwalając mu się opamiętać, przeszukał mu kieszenie, czego Izia chyba nawet nie zauważył - bronił się słabo i przez cały czas wyrывał się, żeby dokończyć dowcip. Zabierając wszystko, co udało mu się znaleźć, Andrzej odszedł na bok i zaczął liczyć zdobycz. Nie było tego zbyt dużo, ale i niemało. Obejrzał się. Selma cały czas siedziała na stole, majtała nogami i śmiała się. Melancholia zniknęła. Fritz przypalał jej papierosa, Izia, dławiąc się i pogwizdując, szykował nowy dowcip, Otto, czerwony z przejęcia i niepewny swoich manier, ruszał wielkimi uszami, stojąc na baczność pośrodku pokoju.

- Obejdą się bez ciebie...

Andrzej wziął go za rękaw i pociągnął do kuchni. Otto nie sprzeciwiał się, był chyba nawet zadowolony. Gdy tylko znalazł się w kuchni, od razu zaczął działać. Wziął od Andrzeja koszyk na warzywa, wytrząsnął z niego śmieci do wiadra (Andrzejowi nigdy nie przyszłoby to do głowy), szybko i zręcznie wyścielił dno starymi gazetami, błyskawicznie znalazł kobiałkę, którą Andrzej zgubił w zeszłym miesiącu, ze słowami "Może będzie sos pomidorowy..." włożył do koszyka słoik po kompocie (przedtem go opłukał), na wszelki wypadek wetknął kilka złożonych gazet ("A może nie będą mieli w co zapakować..."). Cała praca Andrzeja ograniczyła się do przełożenia pieniędzy z kieszeni do kieszeni, niecierpliwego przestępowania z nogi na nogę i smętnego:

- No już dobrze... Starczy... Chodźmy już...

- To ty też idziesz? - zdziwił się z szacunkiem Otto, kończąc przygotowania.

- Tak, a co?

- Mogę iść sam.

- Sam, sam... We dwóch będzie szybciej. Ty staniesz przy ladzie, a ja pójde do kasy...

- No tak - zgodził się Otto. - Tak. Oczywiście.

Wyszli kuchennym wyjściem. Na schodach przestraszyli pawiana - biedak wyleciał przez okno, nawet się o niego przestraszyli, ale nic mu się nie stało - wisiał na schodkach pożarowych i szczyrzył zęby.

- Trzeba by mu dać jakieś resztki - powiedział Andrzej w zadumie. - U mnie w domu resztek starczy dla całego stada.

- Iść przynieść? - zaoferował się Otto.

Andrzej tylko na niego popatrzył, powiedział "Spocznij!" i poszedł dalej. Na schodach już śmierdziało. Zresztą zawsze tu śmierdziało, ale teraz pojawił się nowy odcień odoru. Schodząc piętro niżej, znaleźli jego źródło, i to nawet niejedno.

- Tak, Wan będzie miał się czym zająć - odezwał się Andrzej. - Nie daj Boże zostać teraz dozorcą. Ty co teraz robisz?

- Jestem towarzyszem ministra - smętnie odpowiedział Otto. -

Już trzeci dzień.

- Jakiego ministra? - zainteresował się Andrzej.

- Tego... wykształcenia zawodowego.

- Ciężko?

- Nic nie rozumiem - powiedział przygnębiony Otto. - Strasznie dużo papierów, rozkazy, sprawozdania... kosztorysy, budżety... U nas nikt nic nie rozumie. Wszyscy biegają, pytają... Czekaj, dokąd idziesz?

- Do sklepu.

- Nie. Chodźmy do Hoffstattera. U niego jest taniej, a poza tym w końcu to Niemiec...

Poszli. Hoffstatter miał na rogu Głównej i Staroperskiego coś pośredniego pomiędzy warzywniakiem i sklepem spożywczym. Andrzej był tutaj parę razy i za każdym razem odchodził jak niepyszny: u Hoffstattera towaru było mało, a w dodatku sprzedawca sam wybierał klientów.

Sklep był pusty, na półkach w równych rzędach stały jednakowe puszkę z różowym chrzanem. Andrzej wszedł pierwszy i Hoffstatter, podnosząc znad kasy obrzmiałą bladą twarz, powiedział: "Zamykam". Ale w tym momencie podszedł Otto, który zaczepił koszykiem o klamkę, i blada twarz rozplynęła się w uśmiechu. Zaniknięcie zostało, oczywiście, odłożone. Otto i Hoffstatter skryli się we wnętrzu sklepu, gdzie zaskrzypiały i zaszurały przesuwane skrzynki, zabębniły przesypywane ziemiaki, dźwięknęło napełniane szkło, zabrzmiały przytłumione głosy...

Andrzej z nudów rozglądał się po sklepie. Tak, prywatny interes pana Hoffstattera wyglądał żałośnie. Waga nie przeszła odpowiedniej kontroli, z warunkami sanitarnymi też nie było najlepiej. Zresztą co mnie to obchodzi, pomyślał Andrzej. Gdy wszystko będzie już urządzone jak należy, tacy jak Hoffstatter po prostu znikną. Można nawet powiedzieć, że już teraz prawie ich nie ma. W każdym razie i nie są w stanie obsłużyć każdego klienta. Ale się zamaskował, chrzanu i wszędzie nastawiał. Można by napuścić na niego Kensiego - czarny rynek będzie tu urządzał, nacjonalista parszywy. "Tylko dla Niemców..."

Otto wyjrzał z głębi sklepu i zaszeptał:

- Pieniądze, szybko!

Andrzej pospiesznie podał mu zmięte banknoty. Otto, równie spiesznie, odliczył kilka sztuk, resztę oddał Andrzejowi i znowu zniknął. Po minucie zjawił się z powrotem, z rękami obciążonymi pełną kobiałką i pełnym koszykiem. Z tyłu zamajaczyła księżycowa fizjonomia Hoffstattera. Otto pocił się obficie i nie przestawał uśmiechać, a Hoffstatter dobroduszenie powtarzał:

- Przychodźcie, przychodźcie, młodzi ludzie, zawsze do usług, zawsze do usług prawdziwych Niemców... A panu Heigerowi przekażcie specjalne pozdrowienia... W przyszłym tygodniu obiecano mi przywieźć trochę świniny. Proszę powiedzieć panu Heigerowi, że odłożę dla niego ze trzy kilo...

- Tak jest, panie Hoffstatter - odpowiadał Otto. - Wszystko przekażę, proszę się nie niepokoić, panie Hoffstatter... I proszę nie zapomnieć przekazać serdecznych pozdrowień Elzie... od nas, a zwłaszcza do pana Heigera...

Wykonywali ten duet aż do samego progu, gdzie Andrzej wziął od Ottona ciężką kobiałkę, pełną czystej jędrnej marchwi, okazałych buraków, cebuli cukrowej, spod których sterczała zalana lakiem szyjka butelki i wyłaziły różne selery, pory, kopry i inna pietruszka.

Gdy skręcili za róg, Otto postawił kosz na chodniku, wyciągnął wielką chustkę w kratę i zaczął wycierać twarz, narzekając przy tym:

- Poczekaj... Muszę odpocząć...Uff...

Andrzej zapalił papierosa i podsunął paczkę Ottonowi.

- A gdzie taką marcheweczkę sprzedają? - zapytała przechodząca kobieta w skórzanym męskim

płaszczu.

- Już nie ma - powiedział szybko Otto. - Ostatnią wzięliśmy. Już zamknięte... Do licha, wykończył mnie ten łysy diabeł... - poskarżył się Andrzejowi. - Czego ja mu tam naplotłem! Fritz mi głowę urwie, jak się dowie... Już nawet sam nie wiem, co gadałem...

Andrzej nic nie rozumiał, więc Otto pokrótce przedstawił mu sytuację.

Pan Hoffstatter, sprzedawca warzyw z Erfurtu, przez całe życie miał swoje marzenia i przez całe życie nic mu z nich nie wychodziło. Gdy w trzydziestym drugim jakiś Żyd puścił go z torbami, otwierając naprzeciwko wielki nowoczesny zieleniak, Hoffstatter poczuł się prawdziwym Niemcem i wstąpił do oddziału szturmowego. W tymże oddziale zrobił karierę. W trzydziestym czwartym osobiście walił wspomnianego Żyda po mordzie i gdy już prawie udało mu się przejąć jego interes, zdemaskowano Rochma i Hoffstattera wyrzucili. A on był już wtedy żonaty i miał czarującą jasnowłosą córeczkę Elzę. Przez kilka lat jakoś tam się przebijał, potem go zmobilizowali i wyruszył na podbój Europy. Niestety, pod Dunkierką trafiła go bomba własnego lotnictwa i spory odłamek utkwiał mu w płucach. W ten sposób, zamiast w Paryżu, znalazł się w wojskowym szpitalu w Dreźnie, gdzie przeleżał się do czterdziestego czwartego i już miał zostać wypisany, gdy nalot alianckich armad w ciągu jednej nocy zrównał Drezno z ziemią. Z przerażenia wypadły mu wszystkie włosy i, jak wynika z jego opowiadań, trochę sfiksował. Gdy trafił do rodzinnego Erfurtu, najgorętszy okres, kiedy można jeszcze było zwać na Zachód, przesiedział w piwnicy własnego domu. Kiedy zdecydował się wreszcie wyjść na boży świat, było już po wszystkim. Uzyskał, co prawda, zgodę na warzywniak, ale o żadnym rozwijaniu interesu nie było mowy. W czterdziestym szóstym umarła mu żona. Wtedy, będąc w stanie ; umysłowego zamroczenia, posłuchał namów Nauczyciela i, nie bardzo rozumiejąc, co właściwie wybiera, przeniósł się tutaj z córką. Trochę już przyszedł do siebie, ale chyba jednak czasami podejrzewa, że trafił do wielkiego specjalistycznego obozu koncentracyjnego gdzieś w Azji Średniej, gdzie zesłali wszystkich Niemców z Niemiec Wschodnich.

Z jego głową do tej pory nie wszystko jest w porządku. Uwielbia prawdziwych Niemców, jest przekonany, że ma do nich nosa, śmiertelnie boi się Chińczyków, Arabów i Murzynów, nie rozumie i nie potrafi wyjaśnić ich obecności tutaj, a najbardziej czi i szanuje pana Heigera. A wzięło się to stąd, że podczas jednej ze swoich pierwszych wizyt u Hofistattera, w czasie gdy Otto napełniał koszyki, olśniewający Fritz krótko, po żołniersku pozalecał się do jasnowłosej Elzy, chorej z braku perspektyw na przyzwoite małżeństwo. Od tamtej pory w duszy łysego wariata Hoffstattera zakiełkowała szalona nadzieja, że ten wspaniały Aryjczyk, oparcie Fuhrera i postrach Żydów, wywiedzie w końcu nieszczęsną rodzinę Hoffstatterów z odmetów na spokojne wody.

- ...Fritzowi to wszystko jedno - skarżył się Otto, co chwila przekładając z ręki do ręki ciężki koszyk. - Bywa u Hoffstattera i raz, dwa razy w miesiącu, gdy nie ma już nic do żarcia, poobściskuje tę gęś i tyle... A ja tutaj co tydzień przychodzę, dwa, trzy razy w tygodniu... Bo przecież Hoffstatter, głupi bo głupi, ale człowiek interesu, wiesz, jakie on ma układy z farmerami -towar prima sort i niedrogo... W końcu nie wytrzymałem! Wieczne przywiązanie Fritza do Elzy mu przyrzekłem, nieunikniony koniec międzynarodowego żydostwa obiecałem. Niechybną pielgrzymkę wojsk wielkiego reichu do jego warzywniaka... Sam się już zaplątałem i jego też chyba doprowadziłem do zupełnego obłądzenia. I teraz gryzie mnie sumienie: starego wariata doprowadziłem do kompletnego szaleństwa. O, dzisiaj mnie na przykład pyta: co oznaczają te pawiany? A ja bez namysłu: desant, mówię, aryjski podstęp. Nie uwierzysz - objął mnie i przyssał się jak do butelki...

- A Elza? - zainteresował się Andrzej. - Chyba ona jest normalna?

Otto zalał się purpurowym rumieńcem i zastrzygł uszami.

-Elza... - odchrząknął. - Tutaj też haruję jak wół. Jej tam wszystko jedno: Fritz, Otto, Iwan,

Abram... Dziewczyna ma trzydzieści lat, a ojciec dopuszcza do niej tylko Fritza i mnie.

- Ale z was świnię - powiedział szczerze Andrzej.

- Co ja poradzę! - zgodził się smętnie Otto. - Najgorsze, że zupełnie nie wiem, jak my się z tej historii wypłaczymy. Mięczak ze mnie, bez charakteru.

Zamilkli i do samego domu Otto tylko sapał, przekładając koszyk z ręki do ręki. Na górę nie wszedł.

- Zanieś to i zagotuj wodę w dużym garnku - powiedział. - A mnie daj pieniądze, skoczę do sklepu, może jakieś konserwy dostanę. - Zawahał się, odwrócił wzrok. - I tego... Fritzowi ani słowa. On by ze mnie duszę wytrząsnął. Wiesz, jaki on jest, lubi, żeby wszystko było cacy. A zresztą kto nie lubi?

Rozstali się i Andrzej sam zatargał koszyki po kuchennych schodach. Kobiałka była tak ciężka, jakby Hoffstatter naładował do niej ołowianych pocisków. Taak, myślał ze złością Andrzej. I jaki tu może być Eksperyment, jeśli się takie rzeczy wyprawiają. Dużo się naeksperymentujesz z takim Ottonem i z takim Fritzem. A to łajzy - ani honoru, ani sumienia. A skądby? Wermacht. Hitlerjugend. Kanalie. O nie, z Fritzem to ja już sam pogadam! Nie można tego tak zostawić - ten typ gnije moralnie. A przecież mógłby być z niego porządny człowiek! Powinien być! Było nie było, życie mi wtedy uratował. Wbiliby mi bagnet pod łopatkę i tyle. Wszyscy się ześwinili, wszyscy podnieśli ręce do góry i tylko jeden Fritz... Nie, jest w porządku! Trzeba o niego walczyć...

Pośliznął się na śladach małpiej działalności, zaklął i zaczął patrzeć pod nogi.

Gdy znalazł się w kuchni, zrozumiał, że w mieszkaniu wszystko uległo zmianie. W stołowym huczał i chrypiał patefon. Słysząc było brzęk naczyń. Szurały nogi tańczących. Zagłuszając te wszystkie dźwięki, rozlegał się znajomy basowy głos Jurija Konstantynowi- ; cza: "Co do ekonomii i socjologii, bracie, to sobie odpuść. Poradzimy sobie i bez nich. Ale wolność, bracie, to już inna rozmowa. Za wolność i grzbiet można złamać..."

Na gazie w wielkim garnku bulgotała woda, na stole leżał przygotowany, naostrzony nóż, a z piekarnika upojnie pachniało pieczonym mięsem. W kącie stały, opierając się o siebie, dwa wielkie worki, a na nich leżał wytłuszczony, przepalony waciak, znajomy bat i jakieś narzędzia. Cekaem też tu stał - złożony, gotowy do użytku, i z płaskim, oksydowanym magazynkiem, sterczącym z zamka. Pod stołem oleiście błyszcząca flacha, oblepiona słomą i łuskami kukurydzy.

Andrzej rzucił kobiałkę i koszyk.

- Hej, nieroby! - krzyknął. - Woda się gotuje!

Bas Dawydowa umilkł. W drzwiach pojawiła się Selma - zaczerwieniona, z błyszczącymi oczami. Za jej plecami sterczał Fritz. • Najwidoczniej właśnie tańczyli i Aryjczyk nie miał zamiaru zdejmować czerwonych łap z talii dziewczyny.

-Pozdrowienia od Hoffstattera! - zawołał Andrzej. - Elza się martwi, że nie przychodzisz... Dzieciak niedługo skończy miesiąc!

- Głupie dowcipy! - powiedział Fritz ze wstrętem, ale łapy zabrał. - Gdzie Otto?

- Woda naprawdę się gotuje! - zdziwiła się Selma. - I co z nią teraz zrobimy?

- Bierz nóż - polecił Andrzej - i zacznij obierać ziemniaki. Ty, Fritz, zdaje się, bardzo lubisz sałatkę ziemniaczaną, więc bierz siei do roboty, a ja pójdę czynić honory domu.

Ruszył w stronę stołowego, ale w drzwiach dopadł go Izia Katzman. Na jego twarzy malował się zachwyt.

-Posłuchaj! - zaszeptał, chichocząc i plując. - Skąd wzięłeś! takiego wspaniałego typu? Okazuje się, że tam u nich, na farmach jest prawdziwy Dziki Zachód! Amerykańska swoboda!

- Rosyjska swoboda nie jest gorsza od amerykańskiej - przypomniał wrogo Andrzej.

- Tak, tak! - wykrzyknął Izia. - "Kiedy żydowskie kozactwo powstało, w Birobidżanie przewrót

był, przewrót był, a kto by zechciał zająć nasz Berdyczów, temu skopiemy tyłek ile sił!" ...

- Przestań - powiedział ostro Andrzej. - Nie lubię tego. Fritz, oddaję pod twoją komendę Selmę i Katzmana, działajcie, tylko szybko, zreć się chce... I nie wrzeszczcie tutaj - Otto będzie pukał, pobiegł po konserwy.

Przywróciwszy w ten sposób poprzedni stan rzeczy, poszedł do stołowego. Tam przede wszystkim uściśnął dłoń Jurija Konstantynowicza. Jurij Konstantynowicz, tak samo jak przedtem czerwony na twarzy i przesiąknięty różnymi zapachami, stał na środku pokoju, nogi w ciężkich buciorach rozstawił, dłonie wsunął za żołnierski pas. Oczy miał wesole i lekko szalone - takie oczy Andrzej często widywał u różnych narwańców, którzy lubili ciężko pracować, dużo wypić i niczego się nie bali.

- Ot! - powiedział Dawydow. -Przyszedłem, jak obiecałem. Flaszkę widziałeś? To dla ciebie. Dwa worki kartofli - też dla ciebie. Dawali mi za nie jedną taką sztukę... Ale mówię nie, na cholere mi to wszystko. Zawiozę lepiej dobremu człowiekowi. Oni tu w tych swoich kamiennych domach żyją i gniją, świata nie widzą... Słuchaj, Andrzej, a ja tu właśnie Kensiemu mówiłem... pluńcie na to, mówiłem! Co was tu trzyma? Bierzcie dzieciaki, kobity, dziewczuchy i hajda wszyscy do nas...

Kensi, ciągle w mundurze, ale rozpiętym, prawą ręką niezgrabnie ustawiał na stole różne naczynia. Lewą miał zabandażowaną. Uśmiechnął się i pokiwał Dawydowowi:

- I tak się to skończy, Jura. Zaraz po najeździe kalmarów wszyscy jak jeden mąż przyjedziemy do was na bagna.

-A po co czekać na te... jak im tam... Pluńcie na te kalmary. Jutro rano wracam, wóz pusty, trzy rodziny się mogą zabrać. Ty nie masz rodziny? - zwrócił się do Andrzeja.

- Bóg zachował - powiedział Andrzej.

- A ta dziewczyna to kto? Twoja czy nie twoja?

- Nowa. Dzisiaj w nocy przyjechała.

- No, to czego jeszcze chcieć? Panienska przyjemna, grzeczna. Bierz ją i jedziemy, co? U nas powietrze jest, mleko jest. Pewnie już z rok nie piłeś świeżego mleka. Ja się właśnie pytałem, czemu tu u was w sklepach nie ma mleka? Ja jeden mam trzy krowy, mleko i państwa oddaję, i sam piję, i świnię nakarmię, i na ziemię wylewam. . Zamieszkasz u nas, rozumiesz... obudzisz się rano, żeby w pole iść, a ona, ta twoja, da ci kubek świeżego, prosto od krowy, co? -mocno mrugnął po kolei każdym okiem, zachichotał, palnął Andrzeja w ramię i przeszedł się po pokoju. Podłoga zaskrzypiała. Wyłączył patefon i wrócił. - A jakie powietrze! Tu u was to już w ogóle powietrza nie ma, zwierzyniec tu macie, ot i całe wasze powietrze.... Kensi, a ty co wyrabiasz? Dziewczyne zawołaj, niech poustawia naczynia.

- Ona tam ziemniaki obiera - uśmiechnął się Andrzej. Potem się spostrzegł i zaczął pomagać Kensiemu. Dawydow to swój człowiek. Bliski. Miał wrażenie, jakby znali się z rok. A gdyby tak rzeczywiście machnąć się na bagna? Mleko nie mleko, ale życie tam pewnie rzeczywiście zdrowsze. O, jak to on stoi, jak pomnik!

- Ktoś puka - powiedział Dawydow. - Otworzyć czy sam pójdziesz?

- Już idę. - Andrzej podszedł do drzwi. W progu stał Wan -już bez waciaka, w niebieskiej serżowej koszuli do kolan i z wafłowym ręcznikiem dookoła głowy.

- Kubły przywieźli! - zawołał, uśmiechając się radośnie.

- No i do diabła z nimi - odpowiedział nie mniej radośnie Andrzej. - Kubły poczekają. Dlaczego jesteś sam? A gdzie Majlin?

- W domu - odparł Wan. - Zmęczona. Śpi. Syn trochę choruje. -No to wchodź, co stoisz... Chodź, poznam cię z porządnym człowiekiem.

- A my się już znamy - powiedział Wan, wchodząc do stołowego.

- O, Wiania! - ucieszył się Dawydow. - I ty tutaj! Nie - powiedział, zwracając się do Kensiego. -

Wiedziałem, że Andrzej to dobry chłopak. Widzisz, u niego sami porządni ludzie się spotykają... Weźmy na przykład ciebie albo tego Żydka... jak mu tam... i No, teraz to dopiero będzie ucztą! Pójdę zobaczyć, co oni się tam tak grzebią. Tam to nawet nie ma nic do roboty, a oni, rozumiesz, pracują...

Wan szybko odsunął Kensiego od stołu i zaczął sprawnie przestawiać naczynia. Kensi wolną ręką i zębami próbował poprawić bandaż. Andrzej zaczął mu pomagać.

- Coś Donald nie przychodzi - powiedział zmartwiony.

- Zamknął się u siebie - odezwał się Wan. - Prosił, żeby mu nie przeszkadzać.

- Ostatnio ciągle ma chandrę. No, Bóg z nim. Słuchaj, Kensi, co z twoją ręką?

Kensi skrzywił się lekko:

- Pawian mnie capnął. Swołocz, do kości ugryzł.

- Naprawdę? - zdziwił się Andrzej. - A mnie się wydawało, że one są raczej spokojne.

- Spokojne... Jakby ciebie złapali i zaczęli zakładać obrożę...

- Jaką obrożę?

- Rozkaz numer pięćset siedem. Wszystkie pawiany zarejestrować i wyposażyć w obrożę z numerem. Jutro będziemy je rozdawać ludności. No, ze dwadzieścia sztuk żeśmy zaobrączkowali, a pozostałe przepędziliśmy na sąsiednie osiedle, niech tam się martwią. I co tak stoisz z rozdziawioną gębą?... Kieliszki przynieś, widzisz, że brakuje...

ROZDZIAŁ 4

Gdy wyłączyli słońce, całe towarzystwo było już na niezłym rauszu. W ciemnościach, które momentalnie zapanowały, Andrzej wstał od stołu i, kopiąc jakieś stojące na podłodze garnki, podszedł do kontaktu.

- Proszę się nie bać, droga Fraulein - brzęczał za jego plecami Fritz.-Tutaj tak zawsze...

- Niech się stanie światłość! - wygłosił Andrzej, starannie wymawiając słowa.

Pod sufitem rozbłysła zakurzona żarówka. Światło było smętne, zupełnie jak w bramie. Andrzej odwrócił się i popatrzył na zebranych.

Wszystko było w porządku. Na głównym miejscu, na wysokim kuchennym taborecie siedział, chwając się lekko, Jurij Konstantynowicz Dawydow, który pół godziny temu stał się dla Andrzeja raz na zawsze wujkiem Jurą. W mocno zaciśniętych zębach wujka Jury dymił monstrualny skręt, w prawej ręce ścisnął szklankę, pełną szlagi chętnego samogonu, a zgrubiałym palcem wskazującym lewej ręki machał przed nosem siedzącego obok Izi Katzmana. Izia był już bez krawata i marynarki, a na podbródku i na przedzie koszuli pyszniły się plamy po sosie.

Z prawej strony wujka Jury skromnie siedział Wan - stał przed nim najmniejszy talerzyk z malutką porcją, kieliszek z obitym brzegiem i leżał najbardziej wyszczerbiony widelec. Wan miał głowę zupełnie schowaną w ramionach, oczy zamknięte, twarz lekko uniesioną. Błogo uśmiechnięty napawał się spokojem.

Bystrooki, zarumieniony Kensi ze smakiem zakąsał kiszoną kapustą i coś z ożywieniem opowiadał Ottonowi, który bohatersko zmagął się z zamroczeniem, co jakiś czas głośno wykrzykując:

- Tak! Oczywiście! Tak! O tak!

Selma Nagel, szwedzka dziwka, wyglądała wyjątkowo pięknie. Siedziała w fotelu, nogi przerzuciła nad miękkim oparciem. Te olśniewające nogi znajdowały się akurat na wysokości piersi dzielnego podoficera Fritza, któremu płonęły oczy, a twarz z podniecenia pokryła się czerwonymi plamami. Pchał się do Selmy z pełną szklanką i cały czas namawiał ją do wypicie bruderszaftu. Selma odsuwała go swoim kieliszkiem, chichotała, machała nogami i od czasu do czasu spychała owłosioną łapę Fritza ze swoich kolan.

Puste było tylko krzesło Andrzeja obok Selmy i drugie, przygotowane dla Donalda. Przykro, że Donalda nie ma, pomyślał Andrzej. Ale trudno! Wytrzymamy, przeżyjemy i to! Nie z takimi rzeczami dawaliśmy sobie radę... Myśli trochę mu się plątały, ale ogólnie był w nastroju bojowym, z lekkim odcieniem tragizmu. Wrócił na swoje miejsce, wziął do ręki szklankę i wykrzyknął:

- Toast!

Nikt nie zwrócił na niego uwagi, tylko Otto potrząsnął głową jak kęsany przez gzy koń i powiedział:

- Tak! O tak!

- Przyjechałem tutaj dlatego, że uwierzyłem! - huczał wujek Jura, nie pozwalając chichoczącemu Izi odsunąć sprzed nosa swojego sękatego palca. - A uwierzyłem dlatego, że nie było już nic innego do wierzenia. A Rosjanin musi w coś wierzyć, rozumiesz, bracie? Jeśli nie wierzysz w nic, zostaje ci tylko wódka. Nawet żeby kobitę kochać, trzeba wierzyć. W siebie trzeba wierzyć! Bez wiary, bracie, i kijem dobrze nie rzucisz...

- Tak, tak! - odpowiadał Izia. - Jeśli Żydowi odbierze się wiarę w Boga, a Rosjaninowi wiarę w dobrego cara, diabli wiedzą, do czego mogą być zdolni...

-Nie... Poczekaj! Żydzi to co innego...

- Przede wszystkim, Otto, niech się pan nie przemęcza - mówił jednocześnie Kensi, z

przyjemnością chrupiąc kapustę. - I tak żadnego nauczania nie będzie, po prostu nie może być. Niech pan pomyśli, po co jest potrzebna nauka zawodu w mieście, gdzie każdy co chwilę zmienia zawód.

- O tak! - odpowiadał Otto, budząc się na chwilę. - To samo mówiłem panu ministrowi.

- I co na to minister? - Kensi wziął szklanę samogonu i upił kilka małych łyków, zupełnie jakby pił herbatę.

- Pan minister powiedział, że to bardzo interesująca myśl i zaproponował mi, żebym zrobił opracowanie. - Otto pociągnął nosem, jego oczy wypełniły się łzami. - A ja zamiast tego poszedłem do Elzy...

- ...i kiedy czołg znalazł się dwa metry ode mnie - mówił Fritz, rozlewając samogon na białe nogi Selmy - wszystko mi się przypomniało!... Nie uwierzy pani, Fraulein, zobaczyłem wszystkie minione lata... Ale przecież jestem żołnierzem! Z imieniem Führera...

- Już dawno nie ma pańskiego Führera! - wyjaśniała mu Selma, płacząc ze śmiechu. - Spalili go, tego waszego Führera!

- Fräulein! - zawołał Fritz, groźnie wysuwając dolną szczękę. - Führer żyje w sercu każdego prawdziwego Niemca! Führer będzie żyć wiecznie! Pani jest Aryjką, Fräulein, pani mnie zrozumie: gdy rosyjski czołg... trzy metry ode mnie... ja, z imieniem Führera!

- Nudny jesteś z tym swoim Führerem! - wrzasnął na niego Andrzej. - Chłopaki! No, łajzy, posłuchajcie toastu!

- Toast! - ocknął się wuj Jura. - Dawaj! Wał, Andriucha!

- Za ksiutyzm! - wypalił nagle Otto, odsuwając od siebie Kensię.

- Zamknij się wreszcie! - wrzasnął Andrzej, - Izia, przestań się szczyrzyć! Poważnie mówię! Kensi, do diabła!... Uważam, że powinniśmy wypić... już, co prawda, piliśmy, ale jakoś tak mimochodem, a trzeba porządnie, jak należy wypić za nasz Eksperyment, za naszą szlachetną sprawę, a szczególnie...

- Za inicjatora wszystkich naszych zwycięstw towarzysza Stalina! - ryknął Izia.

Andrzej stracił wątek.

- Nie... słuchaj... - mamrotał. - Co mi przerywasz? Pewnie, że i za Stalina... Do licha, zupełnie mnie wybił... Chciałem, żebyśmy za przyjaźń wypili, durniu!

- To nic, Andriucha! - powiedział wujek Jura. - Toast był dobry, za Eksperyment trzeba wypić, i za przyjaźń też trzeba. Chłopaki, bierzcie szklanki, wypijemy za przyjaźń i żeby nam się dobrze działo.

- A ja wypiję za Stalina! - uparła się Selma. - I za Mao Tsetunga. Hej, Mao Tse-tung, słyszysz? Piję za ciebie! - krzyknęła do Wana.

Wan drgnął, uśmiechnął się żałośnie, wziął szklanę i upił troszkę.

- Tse-tung? - zapytał groźnie Fritz. - Kto to taki? Andrzej opróżnił swoją szklanę jednym haustem i, lekko ogłuszony, pospiesznie dźgnął zakąskę widelcem. Wszystkie rozmowy docierały do niego jakby z drugiego pokoju. Stalin... No jasne winien być jakiś związek... Że też mi to wcześniej do głowy nie przyszło! Zjawisko tej samej kosmicznej skali. Powinien być jakiś związek, i to bliski... Powiedzmy, taki problem: wybierać pomiędzy sukcesem Eksperymentu i zdrowiem towarzysza Stalina... Co mnie osobiście, jako obywatela i bojownika... Prawda, Katzman mówi, że Stalina już nie ma, ale to nieważne. Założmy, że żyje. I założmy, że mam wybierać: Eksperyment albo dzieło Stalina... Nie, bzdura, nie tak. Kontynuować dzieło Stalina pod jego przewodnictwem, albo kontynuować dzieło Stalina w zupełnie innych warunkach, niezwykłych, nie przewidzianych przez żadną teorię - tak trzeba postawić problem...

- A skąd ci przyszło do głowy, że Nauczyciele kontynuują dzieło Stalina? - dotarł do niego głos Izi i Andrzej zrozumiał, że od jakiegoś czasu myśli na głos.

- A co innego mogą robić? - zdziwił się. - Na ziemi jest tylko jedno dzieło, którym warto się zajmować - budowa komunizmu! To właśnie dzieło Stalina.

- Dwójka z "Podstaw" - powiedział Izia. - Dzieło Stalina to budowa komunizmu w pojedynczym kraju, walka z imperializmem i rozszerzenie obozu socjalistycznego na cały świat. Jakoś nie widzę, jak by te zadania można było tutaj realizować.

- Nuudno! - zajęczała Selma. - Dajcie muzykę! Chcę tańczyć!

Ale Andrzej nic już nie widział i nie słyszał.

- Dogmatyk! - wrzasnął. - Talmudzista i doktryner! I w ogóle metafizyk. Nie widzisz nic prócz formy. Eksperyment może przyjąć każdą formę, ale treść jest tylko jedna i rezultat końcowy też tylko jeden: ustanowienie dyktatury proletariatu i pracujących farmerów. ..

- I inteligencji pracującej! - dodał Izia.

- Jakiej tam inteligencji... Po co nam jakaś inteligencja!...

- No tak - przyznał Izia. - To z innej epoki.

- Inteligenci to impotenci! - powiedział ze złością Andrzej. - Lokaje. Służą temu, kto ma władzę.

- Banda mięczaków! - krzyknął Fritz. - Mazgaje i gaduły, wieczne źródło demoralizacji i dezorganizacji!

- Otóż tot - Andrzej wolałby, żeby poparł go, powiedzmy, wujek Jura, ale poparcie Fritza też miało dobre strony. - O, proszę, taki Heiger. Tak w ogóle wróg klasowy, a jednak jego ideologia w pełni pokrywa się z naszą. No i wychodzi, że z punktu widzenia dowolnej klasy, inteligencja to gówno. - Zgrzytnął zębami. - Nienawidzę... Nie znoszę tych bezsilnych okularników, gadułów, darmozjadów. Żadnej wewnętrznej siły, żadnej wiary, żadnej moralności...

- Gdy słyszę słowo "kultura", chwytam za pistolet! - powiedział Fritz metalicznym głosem.

-No nie! - sprzeciwił się Andrzej. - Tutaj się nie zgadzamy. Tak nie mów. Kultura jest wielkim dobrem wyzwolonego narodu. Trzeba dialektycznie...

Gdzieś obok grał patefon, pijany Otto, potykając się, tańczył z pijaną Selmą, ale Andrzeja to nie obchodziło. Zaczynała się najlepsza część, ta, dzięki której najbardziej na świecie lubił te zebrania. Dyskusja.

- Precz z kulturą! - wył Izia, przełaząc z jednego wolnego krzesła na drugie, żeby być bliżej Andrzeja. - Nie ma żadnego związku z naszym Eksperymentem. Na czym polega zadanie Eksperymentu? I Oto pytanie! Oto czego chcę się od ciebie dowiedzieć!

- Już ci mówiłem: stworzenie modelu komunistycznego społeczeństwa!

-A na jaką cholere Nauczycielom model komunistycznego społeczeństwa, pomyślże, głąbie jeden!

- A dlaczego by nie? Dlaczego?

- Ja myślę - zaczął wujek Jura - że Nauczyciele nie są prawdziwymi ludźmi. Oni są, jakby to powiedzieć, innego rodzaju, czy coś. Wsadzili nas do akwarium.. albo do jakiegoś zoo... i patrzą, co z tego wyjdzie.

- Sam pan to wymyślił, Juriju Konstantynowiczu? - Izia odwrócił się do niego z ogromnym zainteresowaniem.

Wujek Jura pomacał prawy policzek i odrzekł niejasno:

- W sporach się narodziło.

Izia aż uderzył ręką w stół.

- Porażające! - wykrzyknął z zapałem. - Dlaczego? Skąd? Dlaczego u zupełnie różnych ludzi, w dodatku myślących w sposób całkiem komformistyczny, rodzi się wyobrażenie o nieludzkim pochodzeniu Nauczycieli? Wyobrażenie, że Eksperyment prowadzony jen przez jakieś siły wyższe.

- Ja, na przykład, zapytałem jednego otwarcie - włączył się Kensi. - "Jesteście z innej planety?"

Nie odpowiedział mi wprost, ale też nie zaprzeczył.

- A mnie powiedzieli, że to ludzie z innego wymiaru - powiedział Andrzej. Niezręcznie było rozmawiać o Nauczycielu, zupełnie jakby opowiadać obcym ludziom o rodzinnych sprawach. - Ale nie jestem pewien, czy dobrze zrozumiałem... Może to była alegoria...

- A ja sobie nie życzę! - odezwał się nagle Fritz. - Nie jestem owadem. Ja to ja. Aaa tam! - machnął ręką. - Czy ja bym tutaj był, gdyby nie niewola?

- Ale dlaczego? - mówił dalej Izia. - Dlaczego? Ja też przez cały czas czuję taki wewnętrzny protest i sam nie rozumiem, o co chodzi. Może w ostatecznym rozrachunku ich zadania są podobne do naszych...

- A o czym ja ci przez cały czas mówię? - ucieszył się Andrzej.

- Nie w tym sensie! - Izia opędził się niecierpliwie. - Nie wszystko jest takie proste, jak u ciebie. Oni próbują zrozumieć ludzkość, słyszysz? Zrozumieć! A dla nas problem numer jeden jest taki sam - zrozumieć ludzkość, zrozumieć siebie. Może próbując to pojąć, nam też pomogą zrozumieć?

- Nie, przyjaciele! - powiedział Kensi, kręcąc głową. - Nie miejcie złudzeń. Oni planują skolonizowanie Ziemi i studiują na nas psychologię przyszłych niewolników...

- Ale dlaczego, Kensi? - rozczarował się Andrzej. - Skąd takie okropne przypuszczenie? Wydaje mi się, że to nieuczciwe tak o nich myśleć...

- Ale ja wcale tak nie myślę - zaprotestował Kensi. - Po prostu dziwnie się czuję... Te wszystkie pawiany, przeobrażenia wody, cały ten codzienny chlew... Pewnego pięknego dnia jeszcze nam popłaczą języki... Tak jakby przygotowywali nas do jakiegoś straszego świata, w którym będziemy musieli żyć teraz i zawsze i na wieki wieków. Jak na Okinawie... Byłem wtedy małym chłopcem... w czasie wojny, a u nas w szkole dzieciom z Okinawy zabroniono rozmawiać swoim dialektem. Tylko po japońsku. Kiedy przyłapali jakiegoś chłopca, wieszali mu na szyi plakat: "Nie umiem prawidłowo mówić". I on chodził z tym plakatem.

- Tak, tak, rozumiem to ... - powiedział Izia z zastygłym uśmiechem, szarpiąc i miętosząc brodawkę na szyi.

-A ja nie rozumiem! - wykrzyknął Andrzej. - Te wszystkie wyjaśnienia są wypaczone, nieprawdziwe... Eksperyment to Eksperyment. Pewnie, że my nic nie rozumiemy. Ale przecież tak właśnie ma być! To podstawowy warunek! Gdybyśmy rozumieli, to po co by były pawiany, po co ciągle zmiany zawodu?... Zrozumienie od razu uwarunkowałoby nasze zachowanie, Eksperyment straciłby czystość i nic by z tego nie wyszło. Przecież to oczywiste! Jak sądzisz, Fritz?

Fritz pokręcił jasną głową.

- Nie wiem. Mnie to nie interesuje. Nie interesuje mnie, czego oni chcą. Obchodzi mnie, czego ja chcą. A ja chcę zaprowadzić w tym burdelu porządek. Ktoś z was mówił, już nie pamiętam kto, że może zadanie Eksperymentu polega na tym, żeby wybrać najbardziej energicznych, aktywnych, twardych... Żeby nie trajkotali i nie rozłazili się jak ciasto, nie filozofowali, tylko twardo szli wytyczoną przez siebie drogą. Wybiorą właśnie takich jak ja, jak, powiedzmy, Andrzej i zrzucą z powrotem na Ziemię. Dlatego, że jeśli wytrzymaliśmy tutaj, to wytrzymamy i tam...

- Bardzo możliwe! - zastanowił się Andrzej. - Też myślę, że tak może być.

-A Donald uważa - powiedział cicho Wan - że Eksperyment już dawno zakończył się klęską.

Wszyscy popatrzyli na niego. Wan siedział w nie zmienionej pozycji - z wciągniętą w ramiona głową, z uniesioną ku górze twarzą i zamkniętymi oczami.

- Powiedział, że Nauczyciele już dawno się w tym wszystkim pogubili, że wypróbowali wszystko, co było możliwe, a teraz sami nie wiedzą, co robić. Powiedział tak: zupełnie zbankrutowali i teraz, wszystko idzie tylko siłą rozpędu.

Andrzej, zakłopotany, podrapał się po karku. A to ci dopiero! To dlatego chodzi taki rozbity... Pozostali milczeli. Wujek Jura powoli majstrował kolejnego skręta, Izia z kamiennym uśmiechem szczypał i szarpał brodawkę, Kensi znowu wziął się za kapustę, a Fritz, przez cały czas patrzył na Wana, poruszając szczęką w przód i w tył. Tak właśnie zaczyna się rozkład, pomyślał Andrzej. Z takich właśnie rozmów. Niezrozumienie rodzi niewiarę. Niewiara - śmierć Bardzo niebezpieczna sprawa. Nauczyciel mówił wyraźnie: najważniejsze to uwierzyć w ideę do końca, bez zastrzeżeń. Uświadomić sobie, że niezrozumienie to naczelnny warunek Eksperymentu. Pewnie, że to najtrudniejsze. Większość z tych tutaj nie ma prawdziwie ideologicznego hartu, prawdziwego przekonania, że świetlana przyszłość jest nieunikniona. Dzisiaj może być źle i ciężko, jutro też, ale pojutrze na pewno zobaczymy rozgwieżdżone niebo i na naszej ulicy będzie święto...

- Nieuczony ze mnie człowiek - odezwał się nagle wujek Jura, miłośnie zaklejając językiem swojego skręta. - Mam cztery klasy, jeśli chcecie wiedzieć, i, jak już mówiłem Izi, tutaj to ja po prostu uciekłem... tak jak ty... - wycelował we Fritza skrętem. - Tylko że ty przyszedłeś tu z niewoli, a ja ze wsi. Jeśli nie liczyć wojny, całe życie żyłem na wsi i przez całe życie nie widziałem świata. A tutaj zobaczyłem! Co oni tam z tym swoim Eksperymentem wymyślają, na to, szczerze mówiąc, to ja i za głupi jestem, i nie ciekawi mnie to za bardzo. Ale tutaj mogę być wolnym człowiekiem i dopóki nikt mojej wolności nie naruszy, dopóty i ja nikogo nie ruszę. A jeśli znajdą się tacy, co by chcieli naszą farmerską sytuację zmienić, to przyrzekam: nie zostawimy z waszego miasta kamienia na kamieniu. My dla was, psia mać, nie małpy; My sobie, psia mać, nie damy założyć obroży na szyję!... Takie to sprawy, bracie - powiedział, zwracając się bezpośrednio do Fritza.

Izia zachichotał w roztargnieniu i znowu zapanowało niezręczne milczenie. Andrzeja trochę zdziwiła przemowa wujka Jury; zdecydował, że najwidoczniej Jurij Konstantynowicz miał wyjątkowo ciężkie życie. A jeśli mówi, że nie widział świata, to na pewno ma ku temu ważne powody i byłoby nietaktem o nie pytać, zwłaszcza teraz. Dlatego powiedział tylko:

- Na pewno za wcześnie jeszcze, żeby o tym wszystkim rozmawiać. Eksperyment zaczął się niedawno, pracy jest masa, trzeba pracować i wierzyć w słuszność...

- Skąd wiesz, że Eksperyment zaczął się niedawno? - przerwał mu drwiąco Izia. - Eksperyment trwa już co najmniej sto lat. To znaczy, trwać to on może dużo dłużej, ale za sto lat ręczę.

- A skąd ty to wiesz?

- Zapuszczałeś się na północ?

Andrzej zmieszał się. Nie miał nawet pojęcia, że tu jest jakaś północ.

- No, taka tam północ! - zniecierpliwził się Izia. - Zakładamy, że w kierunku słońca, w tej stronie, gdzie są bagna, pola, farmerzy, jest południe. A strona przeciwna, w głąb miasta, to północ. Nigdy nie byłeś dalej niż na wysypisku... A miasto ciągnie się i ciągnie, tam są ogromne dzielnice, zupełnie całe, pałace... - zachichotał. - Pałace i nory. Teraz to tam już nikogo nie ma, bo i wody brakuje, ale kiedyś ludzie tam mieszkali, i to "kiedyś" było dosyć dawno. Ja tam w tych pustych domach takie dokumenty znalazłem, że rany boskie! Słyszałeś o takim władcy, Welarym Drugim? Ha! A on tam panował. Tylko że kiedy on tam panował, to tutaj... - Izia postukał paznokciem w stół - tutaj były bagna i harowali na nich pańszczyźniani chłopci... albo niewolnicy. I było to co najmniej sto lat temu...

Wujek Jura kręcił głową i cmokał. Fritz zapytał:

- A jeszcze dalej na pomoc?

- Dalej nie byłem - odpowiedział Izia. - Ale znam ludzi, którzy doszli bardzo daleko - sto, sto pięćdziesiąt kilometrów. Wielu poszło i nie wróciło.

-No i co tam jest?

- Miasto. - Izia zamilkł. - Co prawda, opowiadają o tych miejscach niestworzone rzeczy. Dlatego

ja mówię tylko o tym, co sam widziałem. Sto lat na mur. Rozumiesz, Andriusza, przyjacielu? Sto lat. Przez sto lat dowolny Eksperyment można olać.

- No dobrze, czekaj no... - wybełkotał zagubiony Andrzej. - , Ale przecież nie olali! - ożywił się. - Skoro ciągle biorą nowych ludzi, to znaczy, że tego nie rzucili, nie zrezygnowali! Po prostu j zadanie jest bardzo trudne. - Nagle przyszła mu do głowy nowa myśl i ożywił się jeszcze bardziej. - A zresztą skąd możesz wiedzieć, jaką oni mają skalę czasu? Może nasz rok to dla nich sekunda?...

- Nie wiem - wzruszył ramionami Izia. - Po prostu próbuję ci wytłumaczyć, na jakim świecie żyjesz, to wszystko.

- Dobrze! - przerwał mu zdecydowanie wujek Jura. - Dostyc przelewania z pustego w próżne!... Hej, ty!... Jak ci tam... Otto! Zostaw dziewczuchę i przynieś nam... Nie, on jest zupełnie zalany. Jeszcze mi butelkę rozbije, już lepiej sam pójde...

Zszedł z taboretu, wziął ze stołu pusty dzban i poszedł do kuchni. Selma padła na swoje miejsce, znowu zadarła nogi nad głowę i kapryśnie trąciła Andrzeja w ramię.

- Długo jeszcze będziecie gadać o tych głupotach? Co za nuda. Eksperyment i Eksperyment... Daj zapalić!

Andrzej dał jej papierosa. Nagle przerwana rozmowa pozostawiła w nim jakiś nieprzyjemny osad - coś było nie wypowiedziane, coś zostało nie tak zrozumiane, nie pozwolili mu wyjaśnić, nie było jedności... I Kensi siedzi jakiś taki smutny, a jemu to się rzadko zdarza... Za dużo myślimy o sobie! Eksperyment Eksperymentem, a każdy forsuje swoje stanowisko, trzyma się swojej pozycji, chociaż trzeba razem, razem!...

W tym momencie wujek Jura postawił na stole nową porcję i Andrzej machnął na wszystko ręką. Wypili po szklance, zakąsili, Izia opowiedział dowcip - zarechotali. Wujek Jura też opowiedział dowcip, strasznie nieprzyzwoity, ale bardzo śmieszny. Nawet Wan się śmiał, a Selma nie mogła przestać chichotać.

- Do dzbanka... - zachłystywała się, wycierając oczy dłońmi. - Do dzbanka nie włazi!...

- Andrzej walnął pięścią w stół i zaśpiewał ulubioną piosenkę mamy:

*A chto pjo, tomu naliwajte,
A chto niepjo, tomu ne dawajte,
A my budem pity, taj boga chwality,
I za nas, i za was, i za neńku stareńku
Szo wywoziła nas goriloczku pit pomaleńku...*

Śpiewali, jak kto umiał, a potem Fritz wściekle wytrzeszczył oczy i razem z Ottonem zaryczeli jakąś nieznaną, ale piękną pieśń o drżących kościach starego świata - wspaniałą pieśń bojową. Patrząc, jak Andrzej z zapalem stara się im wtórować, Izia Katzman chichotał i bulgotał, i zacierał ręce. Wtedy wujek Jura, wpatrując się swoimi hultajskimi jasnymi oczami w gołe uda Selmy, zaryczał niedźwiedzim głosem:

*A wy po wsi chodziecie,
Gracie i śpiewacie,
Serce moje niepokoiacie,
I spać nie dajecie...*

Sukces był pełen, więc wujek Jura śpiewał dalej:

*A wy, dziewczki, same wiecie,
Czym wy przyciągacie,
Obiecujecie, nie dajecie,
I okłamujecie...*

Selma zdjęła nogi z oparcia, odepchnęła Fritza i odezwała się obrażona:

- Nic wam nie obiecuję, potrzebni mi jesteście...

- Przecież ja tako ogólnie... - powiedział zakłopotany wujek Jura. - To taka piosenka. Ty mi też nie jesteś potrzebna...

Żeby zatuszować ten incydent, wypili jeszcze po szklance. Andrzejowi zakręciło się w głowie. Niejasno zdawał sobie sprawę, że majstruje przy patefonie i że zaraz go upuści. Patefon rzeczywiście upadł na podłogę, ale nic mu się nie stało, wręcz przeciwnie, zaczął jakby grać głośniejsze. Potem Andrzej tańczył z Selmą. Jej talia była ciepła i miękka, a piersi nieoczekiwanie twarde i duże. To była cholernie przyjemna niespodzianka: odnaleźć coś tak pięknie uformowanego pod tymi bezkształtnymi fałdami gryzącej wełny. Tańczyli, Andrzej trzymał ręce na jej talii, a ona ujęła jego twarz w dłonie i powiedziała, że jest miłym chłopcem i że bardzo jej się podoba, a on, z wdzięczności powiedział jej, że ją kocha i że zawsze ją kochał, i że teraz już jej nie pozwoli odejść...

- Jakoś się zaczęło chłodzić, może pora golnąć sobie... Wujek Jura walił pięścią w stół, obejmował zupełnie już zmarkotniałego Wana, wreszcie, zgodnie z rosyjskim zwyczajem, trzy razy mocno go ucałował.

Potem Andrzej znalazł się na środku pokoju, a Selma znowu siedziała przy stole, rzucała w oklapniętego Wana kulkami chleba i nazywała go Mao Tse-tungiem. Andrzejowi przyszło do głowy, żeby zaśpiewać "Moskwa - Pekin", więc od razu, z niezwykłym zapałem i wigorem, wykonał tę piękną pieśń. Później okazało się, że naprzeciwko niego stoi Izia Katzman, obaj wytrzeszczają oczy, zniżają głosy aż do złowieszczonego szeptu, wyciągają palce wskazujące i powtarzają:

-S-słuchają nas!... S-słuchają nas-s!...

Wreszcie znaleźli się z Izią w jednym fotelu, przed nimi na stole, majtając nogami, siedział Kensi i Andrzej tłumaczył mu zapalczywie, że on może robić wszystko, że tutaj każda praca daje mu szczególną satysfakcję, i że on świetnie się czuje, pracując jako śmieciarz.

- Jestem śmiecia... rzem! - mówił z trudem. - Śmiecia... śmie-ciarzem!

Izia, plując mu w ucho, w kółko powtarzał nieprzyjemnej i obraźliwej rzeczy: że niby on, Andrzej, tak naprawdę czuje lubieżne poniżenie, że jest śmieciarzem (tak, jestem śmiecia... rzem!), że: on, taki mądry, czytany, zdolny, mógłby robić coś znacznie lepszego, a jednak cierpliwie i z godnością, nie tak jak inni, dźwiga swój ciężki krzyż... Potem pojawiła się Selma i od razu go pocieszyła. Była miękka i czuła, robiła wszystko co chciał, nie sprzeciwiała się, i w końcu poczuł, że zapada w słodką, pustoszącą przepaść. Gdy się z niej wydostał, wargi miał suche i spuchnięte, a na jego łóżku spała Selma. Ojcowskim ruchem poprawił dziewczynie spódnicę, przykrył ją kołdrą, doprowadził do porządku swoją garderobę i, starając się iść prosto, znowu udał się do stołowego, potykając się po drodze o wyciągnięte nogi nieszczęśliwego Ottona, który spał na krześle w wyjątkowo niewygodnej pozycji człowieka zabitego strzałem w kark.

Na stole stała teraz już tylko flacha, a wszyscy uczestnicy zabawy podpierali rozczochrane głowy i półgłosem śpiewali: "Tam w głuchym stepie zamarzał woźnica..." Z jasnych aryjskich oczu Fritza kapąły wielkie łzy. Andrzej właśnie miał przyłączyć się do chóru, gdy ktoś zapukał do drzwi. Otworzył. Jakaś okutana w chustę kobieta w halce i butach na gołych nogach zapytała, czy jest tutaj

stróż. Andrzej obudził Wana szturchańcami, wyjaśnił mu, gdzie jest i czego od niego chcą. Wan uważnie go wysłuchał, powiedział: "Dziękuję, Andrzeju" i wyszedł szurając nogami. Pozostali dośpiewali "Woźnicę" i wujek Jura zaproponował, żeby wypić "coby w domu awantur nie było", ale okazało się, że Fritz śpi, a zatem nie może się z nim trącić.

- Koniec - powiedział wujek Jura. - Znaczą się, to będzie ostatni...

Ale zanim wypili tego ostatniego, Izia Katzman, nagle dziwnie poważny, zaśpiewał solo jeszcze jedną piosenkę, którą Andrzej nie do końca pojmował, a wujek Jura chyba rozumiał doskonale. Był w niej refren "Ave Maria!" i niesamowita, jakby z innej planety, zwrotka:

*Zagnali proroka do republiki Kornii,
A on się przewrócił na łeb w krzak lebiody,
A śledczy dostał w komitecie miejskim
Ulgowe skierowanie na miesiąc do Teberdy...*

Gdy Izia skończył śpiewać, przez jakiś czas panowała cisza. Wreszcie wujek Jura trzasnął pudową pięścią w blat stołu, długo i wymyślnie zaklął, po czym chwycił szklanekę i wpił się w nią bez żadnych toastów. Kensi, w wyniku jakichś tylko dla niego oczywistych skojarzeń, wyjątkowo nieprzyjemnym piskliwym i wściekłym głosem zaśpiewał inną, wyraźnie marszową pieśń, w której była mowa o tym, że jeśli wszyscy japońscy żołnierze zaczną się jednocześnie modlić pod Wielkim Chińskim Murem, to nad pustynią Gobi zabłyśnie tęcza; że dzisiaj armia imperatora jest w Londynie, jutro będzie w Moskwie, a rano wypije herbatę w Chicago; że synowie Yamato rozsiedli się na brzegach Hangu i łowią krokodyle na wędka... Potem zamilkł, próbował zapalić, złamał kilka zapalek i nagle opowiedział o pewnej dziewczynce, z którą przyjaźnił się na Okinawie - miała czternaście lat i mieszkała w domu naprzeciwko. Pewnego dnia pijani żołnierze zgwałcili ją, a gdy ojciec poszedł ze skargą na policję, zabrali jego i dziewczynkę, i Kensi już nigdy więcej ich nie widział...

Wszyscy milczeli. Do stołowego zajrzał Wan i zawołał Kensiego.

- Takie to sprawy... - powiedział ponuro wujek Jura. - I popatrz, czy to na Zachodzie, czy u nas w Rosji, czy u żółtków - wszędzie jedno i to samo. Grzeszna władza. Nie, bracia, ja tam nie mam czego żałować. Już lepiej tutaj...

Wrócił blady, niespokojny Kensi i zaczął szukać swojego pasa. Mundur miał już zapięty na wszystkie guziki.

- Stało się coś? - zapytał Andrzej.

- Tak. Stało się - odpowiedział ponuro Kensi, poprawiając kaburę. - Donald Cooper zastrzelił się. Jakąś godzinę temu.

CZĘŚĆ 2

ŚLEDZCY

ROZDZIAŁ 1

Andrzeja nagle potwornie rozboleła głowa. Ze wstrętem zdusił w przepelnionej popielniczce niedopałek, wysunął środkową szufladę stołu i sprawdził, czy nie ma tam jakichś tabletek. Nie było. Na starych papierach leżał duży wojskowy pistolet, po kątach chowały się różne biurowe drobiazgi w podniszczonych kartonowych pudełkach, wały się ogryzki ołówków, tytoń, kilka połamanych papierosów. Od tego wszystkiego ból jeszcze się nasilił. Andrzej z trzaskiem wsunął szufladę, podparł głowę rękami, tak żeby dłonie zasłaniały oczy, i przez szczeliny między palcami patrzył na Petera Błoka.

Peter Błok, zwany Ciotą, siedział na taborecie, czerwone ręce pokornie złożył na kościstych kolanach i obojętnie mrugał, od czasu do czasu się oblizując. Najwyraźniej nie bolała go głowa, ale chyba chciało mu się pić. I pewnie palić. Andrzej z wysiłkiem oderwał dłonie od twarzy, nalał sobie z karafki ciepłej wody i, pokonując odruch wymiotny, wypił pół szklanki. Peter Błok oblizwał się. Jego szare oczy przez cały czas były puste i bez wyrazu. Tylko na chudej, brudnej szyi, sterczącej z rozpiętego kołnierzyka koszuli, zjechała na dół i z powrotem podskoczyła do podbródka wielka chrząstkowata grdyka.

- No? - powiedział Andrzej.

- Nie wiem - odparł ochryple Ciota. - Nic takiego nie pamiętam.

Bydlę, pomyślał Andrzej. Zwierzę.

- Jak panu się to udaje? - zapytał. - Obrabiał pan spożywczy w zaułku Welnianym; kiedy - pamięta pan, z kim - też pan pamięta. Dobrze. Kawiarnię Drejdusa pan obrabiał, kiedy i z kim - pamięta pan doskonale. A o sklepie Hoffstattera pan, nie wiedzieć czemu, zapomniał. A przecież to pańska ostatnia sprawa, Błok.

- Ja nic nie wiem, panie śledczy - powiedział Ciota z obrzydliwym szacunkiem. - Ktoś mnie, za przeproszeniem, wrabia. Jak po Drejdusie żeśmy z tym skończyli, jak my, znaczy, wybraliśmy drogę ostatecznej poprawy i pożytecznej pracy, to, znaczy się, ja już więcej nic takiego nie robiłem.

- Hoffstatter pana rozpoznał.

- Ja bardzo przepraszam, panie śledczy - teraz w głosie Cioty! wyraźnie słyhać było ironię. - Ale przecież każdy wie, że pan Hoffstatter jest tego... ten... Jemu się, znaczy, wszystko poplątało. W sklepie u niego bywałem, to prawda, po kartofle, po cebulę... Już wcześniej zauważyłem, że z jego głową nie wszystko jest w porządku! Gdybym wiedział, co z tego wyjdzie, przestałbym do niego chodzić a tak to tego...

- Córka Hoffstattera też pana rozpoznała. To pan groził jej nożem.

- Nic takiego nie było. Coś tam owszem, ale co to, to nie. To ona do mnie z nożem leciała! Przycisnęła mnie tam kiedyś u nich w spiżarni, ledwie się wyrwałem. Ona jest przecież szurnięta na tle seksualnym, przed nią mężczyźni z okolicy po kątach się chowają... - Cioti znowu się oblizwał. - Mówi do mnie: chodź do magazynu, sam sobie mówi, kapustę wybierzesz...

- To już słyszałem. Niech pan lepiej powtórzy jeszcze raz gdzie pan był i co pan robił w nocy z dwudziestego czwartego na dwudziesty piąty. Szczegółowo, poczynawszy od momentu włączenia słońca.

Ciota wniósł oczy do sufitu.

- Znaczy się, tak - zaczął. - Gdy włączyli słońce, siedziałem w piwiarni na rogu Dziewiarskiego i Drugiego i grałem w karty. Potem Jack Liver zaproponował, żebyśmy poszli do innej piwiarni. Poszliśmy, a po drodze wstąpiliśmy do Jacka. Chcieliśmy zabrać jego babę, ale zostaliśmy tam i zaczęliśmy pić. Jack nachlał się, jego kobita położyła go spać, a mnie wygoniła. Poszedłem do domu,

a byłem ciężko nagrzany i po drodze wpadłem na jakichś, też pijanych, nie znam ich, nigdy wcześniej nie widziałem. Tak mnie stłukł że potem to już nic więcej nie pamiętam, przecknąłem się rano nad i urwiskiem, ledwo się doczłapałem do domu. Położyłem się spać i wtedy po mnie przyszli...

Andrzej przejrzał akta sprawy i znalazł ekspertyzę medyczną. Świstek był już lekko podniszczony.

- Potwierdza się tylko to, że był pan pijany. Ekspertyza nie stwierdza pobicia. Na pańskim ciele nie znaleziono żadnych śladów.

- Znaczy się, porządna robota - powiedział z aprobatą Ciota. - Znaczy się, mieli pończochy z piaskiem... Do tej pory wszystkie żebra mnie bolały... a nie chcą mnie odesłać do szpitala. Zdechnę tu i będziecie za to odpowiadać...

- Przez trzy dni nic pana nie bolało, a jak tylko przedstawili panu akt ekspertyzy, od razu zaczęło boleć...

- Jak to nie bolało? Tak mnie bolało, że już nie mogłem wytrzymać, no to zacząłem się skarżyć.

- Niech pan przestanie kłamać, Błok - powiedział zmęczonym głosem Andrzej. - Przykro słuchać...

Niedobrze mu było przez tego wstrętnego typa. Bandyta, gangster, przyłapany na gorącym uczynku, a nijak nie można go podejść..., Doświadczenia nie mam, ot co. Inni rozwalają takich błyskawicznie. Ciota zaczął tymczasem żałośnie wzdychać, skrzywił się, przewrócił oczami i, cicho jęcząc, pokręcił się na krześle, mając najwyraźniej zamiar jakoś sprytnie zemdleć, żeby dali mu wody i odesłali do celi. Andrzej przez szczeliny między palcami z nienawiścią obserwował te jego obrzydliwe manipulacje. No, dawaj, dawaj, pomyślał. Spróbuj tylko zarzygać podłogę, już ja cię, sukinsynu, zmuszę, żebyś wszystko bibułą wytarł...

Drzwi się otworzyły i do gabinetu wszedł pewnym krokiem starszy śledczy Fritz Heiger. Spojrzał obojętnie na skulonego Błoka, podszedł do stołu i przysiadł bokiem na dokumentach. Bez pytania wytrząsnął z paczki Andrzeja kilka papierosów, wsunął jednego między zęby, resztę starannie ułożył w płaskiej srebrnej papierośnicy. Andrzej zapalił zapałkę, Fritz zaciągnął się, podziękował skinieniem głowy i wydmuchał kłęb dymu.

- Szef kazał wziąć od ciebie sprawę Czarnych Czterdziestonówek - powiedział półgłosem. - Oczywiście, jeśli nie masz nic przeciwko temu. - Jeszcze bardziej ściszył głos i znacząco wykrzywił wargi. - Najwidoczniej szef zdrowo oberwał od Głównego Prokuratora. Teraz wszystkich do siebie wzywa i objężdza. Wkrótce dojdzie i do ciebie ...

Zaciągnął się znowu i popatrzył na Ciotę. Ten, jeszcze przed chwilą nadstawiający gorliwie ucha, o czym szepcze władza, od razu zwinął się i żałośnie zajęczał. Fritz zapytał:

- Z tym to już chyba skończyłeś?

Andrzej pokręcił głową. Było mu wstyd. W ciągu ostatniej dekady Fritz już drugi raz przychodził odebrać mu sprawę.

- Nie? - zdziwił się Fritz. Przez kilka sekund przyglądał się Błokowi, po czym zapytał półgłosem: - Pozwolisz? - Nie czekając na odpowiedź, zeskoczył ze stołu.

Podszedł do przesłuchiwanego i pochylił się nad nim, trzymając papierosa w wyciągniętej ręce.

- Boli? - zapytał ze współczuciem.

Błok zajęczał twierdząco.

- Pić się chce?

Ciota znowu zajęczał i wyciągnął drżącą rękę.

- I palić pewnie też?

Ciota z niedowierzaniem otworzył jedno oko.

- Wszystko go, biedaka, boli! - powiedział głośno Fritz, nie odwracając się do Andrzeja. - Przykro patrzeć, jak się człowiek męczy. I tutaj go boli... i tutaj go boli... i tutaj pewnie też go boli...

Powtarzając to na różne sposoby, Fritz robił krótkie, niezrozumiałe ruchy ręką. Żalostne jęki Błoka ucichły, zastąpiły je charczące, jakby zdziwione okrzyki. Zbladł jak papier.

- Wstań, bydlaku! - wrzasnął nieoczekiwanie Fritz i cofnął się o krok.

Błok natychmiast się zerwał i wtedy Fritz z całej siły uderzył go w brzuch. Ciota zgiął się wpół, a Fritz otwartą dłonią z głuchym stukiem uderzył go od dołu w podbródek. Błoka odrzuciło do tyłu. Przewrócił taboret i upadł na plecy.

- Wstać! - ryknął znowu Fritz.

Ciota, zachłystując się i sapiąc, pospiesznie próbował wstać z podłogi. Fritz doskoczył do niego, chwycił za kołnierz i szarpnięciem i postawił na nogi. Twarz Cioty była już teraz zupełnie biała, po prostu zielonkawa. Oczy wyszły mu na wierzch i zmętniały. Lał się z niego pot.

Andrzej, krzywiąc się z obrzydzenia, opuścił oczy i drżącymi palcami zaczął pospiesznie grzebać w paczce, próbując wyjąć papierosa. Coś trzeba było zrobić, tylko nie wiadomo było co. Z jednej strony metody Fritza były ohydne i nieludzkie, ale z drugiej - nie mniej ohydny i nieludzki był ten bandyta, złodziej, bezczelnie drwiący z prawa, wrzód na ciele społeczeństwa...

- Zdaje się, że jesteś niezadowolony z traktowania? - mówił tymczasem przymilnie Fritz. - Odnoszę nawet wrażenie, że masz zamiar złożyć skargę. No więc, nazywam się Friedrich Heiger. Starszy śledczy Friedrich Heiger...

Andrzej zmusił się do podniesienia oczu. Ciota stał przegięty do tyłu. Fritz, tuż obok, lekko się nad nim nachylał. Ręce miał oparte na bokach.

- Możesz się skarżyć, znasz moich aktualnych zwierzchników... A wiesz, kto był wcześniej moim przełożonym? Pewien reichsführer SS Heinrich Himmler! Słyszałeś to nazwisko? A wiesz, gdzie wcześniej pracowałem? W przedsiębiorstwie zwanym gestapo! A wiesz, z czego tam zasłynąłem?...

Zadzwonił telefon i Andrzej podniósł słuchawkę.

- Śledczy Woronin, słucham - wykrztusił przez zęby.

- Martinelli - odezwał się głuchy głos z zadyszka. - Niech pan do mnie przyjdzie. Natychmiast.

Andrzej odłożył słuchawkę. Wiedział, że u szefa czeka go kolosalne opieprzanie, ale cieszył się, że może wyjść z tego pokoju, jak najdalej od nieprzytomnych oczu Cioty, od okrutnie wysuniętej szczęki Fritza, od gęstniejącej atmosfery katowni. I po co on to... gestapo, Himmler...

- Szef wzywa mnie do siebie - powiedział nieswoim, skrzypiącym głosem, machinalnie wysunął szufladę i włożył pistolet do kabury, żeby wyglądać przepisowo.

- Powodzenia - odparł Fritz, nie odwracając się. - Ja tu będę, nie martw się.

Andrzej, przyspieszając kroku, podszedł do drzwi i wyskoczył na korytarz. Pod ciemnym sklepieniem panowała chłodna, aromatyczna cisza, na długiej parkowej ławce, pod srogim okiem dyżurnego wartownika, siedziało nieruchomo kilka obszarpanych typów płci męskiej. Andrzej minął parę zamkniętych drzwi od gabinetów przesłuchań, minął klatkę schodową, gdzie kilku młodych śledczych z ostatniego poboru, nie przestając palić papierosów, z zapałem opowiadało sobie o swoich sprawach, wszedł na trzecie piętro i zapukał do gabinetu szefa.

Szef był w ponurym nastroju. Jego tłuste policzki obwisły, rzadkie zęby wyszczerzył nieprzyjemnie. Oddychał ustami, ciężko i z poświstem, i patrzył spode łba na Andrzeja.

- Niech pan siada - warknął.

Andrzej usiadł, położył ręce na kolanach i utkwiał wzrok w oknie. Okno było zakratowane, za szybą panowała nieprzenikniona ciemność. Już po jedenastej, pomyślał. Ile czasu straciłem na tego łajdaka...

- Ile ma pan spraw?

- Osiem.

- Ile ma pan zamiar zakończyć do końca kwartału?

- Jedną.

-Niedobrze.

Andrzej nie odezwał się.

- Źle pan pracuje, Woronin. Źle! - zachrypiał szef. Męczyła go zadyszka.

- Wiem - powiedział Andrzej pokornie. - Nie mogę wejść w rytm.

-A to już najwyższy czas! - Szef podniósł głos do świszczącego pisku. - Tyle czasu pan już u nas pracuje, a zakończył pan dopiero dwie żałosne sprawy. Nie wypełnia pan swojego obowiązku wobec Eksperymentu, Woronin. A przecież ma się pan od kogo uczyć, ma się pan kogo poradzić... Niech pan popatrzy, na przykład, jak pracuje pański przyjaciel, mam na myśli. ..ee... mam na myśli Friedricha... Oczywiście, ma on swoje wady, ale nie musi pan od niego przejmować właśnie tych wad. Można przejmować, zalety, Woronin. Przyszliście do nas razem, a on zakończył już jednaście spraw.

- Ja tak nie potrafię - powiedział pośępnie Andrzej.

- Uczyć się. Uczyć się trzeba. Wszyscy się uczymy. Pańskie... Friedrich też kursów prawniczych nie kończył, a pracuje, i to nieźle pracuje... Jest już starszym śledczym. Panuje przekonanie, że pora zrobić go zastępcą naczelnika sektora karnego... Tak. A z pana, Woronin, nie są zadowoleni. Na przykład, jak się u pana posuwa sprawa Budynku?

- W ogóle się nie posuwa - wzruszył ramionami Andrzej. - Przecież to żadna sprawa. To jakieś brednie, mistyka...

- Dlaczego mistyka, skoro są zeznania świadków? Skoro są ofiary? Ludzie giną, Woronin!

- Nie rozumiem, jak można prowadzić sprawę opartą na plotkach i legendach - powiedział ponuro Andrzej.

Szef z wysiłkiem zakaszłał.

- Trzeba ruszyć głową, Woronin - zachrypiał. - Plotki, legendy - tak. Mistycyzm - tak. Ale dlaczego? Komu to potrzebne? Skąd biorą się plotki? Kto je tworzy? Kto je rozprzestrzenia? Po co? I przede wszystkim - gdzie znikają ludzie? Rozumie mnie pan Woronin?

Andrzej wziął się na odwagę i powiedział:

- Rozumiem, szefie. Ale ta sprawa jest dla mnie za trudna. Wolałbym zajmować się tylko zwykłymi przestępstwami. Miasto aż kipi od różnych drani...

- A ja wolę uprawiać pomidory! - zawołał szef. - Uwielbiam pomidory, a tutaj, nie wiadomo dlaczego, nie można ich dostać za żadne pieniądze... Jest pan na służbie, Woronin i nikogo nie interesuje, co pan woli. Powierzono panu sprawę Budynku, więc proszę ją prowadzić. Że się pan do tego nie nadaje, to ja sam widzę. W innych okolicznościach nie powierzyłbym panu tej sprawy. Ale powierzam. Dlaczego? Dlatego że jest pan naszym człowiekiem, Woronin. Dlatego że pan tu nie odsiaduje wyroku, tylko walczy! Dlatego że przyjechał pan tutaj nie dla siebie, ale dla Eksperymentu. Takich ludzi jest mało, Woronin. A więc opowiem panu teraz o tym, o czym pracowników pańskiej rangi zazwyczaj się nie informuje.

Szef zapadł w fotel i przez jakiś czas milczał, coraz głośniejszym poświstując i coraz bardziej szczerząc zęby.

- Walczymy z gangsterami, rekietierami, chuliganami. To wiedzą wszyscy, to jest dobre, potrzebne. Ale niebezpieczeństwo numer jeden - to nie oni, Woronin. Po pierwsze, istnieje takie zjawisko przyrody jak Antymiasto. Słyszał pan? Nie słyszał pan. I dobrze. Nie powinien pan być słyszeć. Żeby od pana też nikt o tym nie usłyszał! Tajemnica służbowa z dwoma zerami. Antymiasto. Mamy informacje, że na północy istnieją jakieś osiedla - jedno, dwa, kilka - nie wiadomo. A oni o nas wiedzą wszystko! Istnieje możliwość najazdu, Woronin. To bardzo niebezpieczne. To byłby koniec

naszego miasta. Koniec Eksperymentu. Mamy do czynienia ze szpiegostwem, z próbami sabotażu, dywersji, z rozprzestrzenianiem historycznych i szkodliwych plotek. Rozumie pan sytuację, Woronin? Widzę, że tak. Jeszcze coś. Tutaj, w samym mieście, obok nas, wśród nas, żyją ludzie, którzy przybyli tu nie dla Eksperymentu, a z innych, bardziej lub mniej wyrachowanych powodów. Nihilisci, wewnętrzni pustelnicy, elementy wąpiące, anarchiści. Niewielu z nich jest aktywnych, ale nawet bierni mogą być niebezpieczni. Podrywanie moralności, niszczenie ideałów, próby nastawiania jednych warstw społeczeństwa przeciwko innym, destrukcyjny sceptycyzm. Przykład: pański dobry znajomy, niejaki Katzman...

Andrzej drgnął. Szef spojrział na niego ciężko spod spuchniętych powiek, przez chwilę nic nie mówił, po czym powtórzył:

- Józef Katzman. Interesujący człowiek. Mamy informacje, że często zapuszcza się na północ, przebywa tam jakiś czas, po czym wraca. Poza tym zaniedbuje swoje obowiązki służbowe, ale to ju nas nie interesuje. Prowadzi rozmowy. O tym to już powinien coś pan wiedzieć.

Andrzej odruchowo skinął głową, ale natychmiast spostrzegł się i przybrał kamienny wyraz twarzy.

- Co dla nas najważniejsze, został zauważony w pobliżu Budynku. Dwa razy. Po raz pierwszy widziano, jak stamtąd wychodził. Wydaje mi się, że znalazłem dobry przykład i trafnie połączyłem go ze sprawą Budynku. Musi się pan zająć tą sprawą, Woronin. Nie mogę powierzyć jej nikomu innemu. Są inni ludzie, tak samo pewni jak pan, dużo bardziej sensowni, ale zajęci. Wszyscy. Co do jednego. Mają dziesiątki spraw. Tak więc niech pan forsuje sprawę Budynku, Woronin. Postaram się pana uwolnić od pozostałych zadań Jutro punktualnie o szesnastej przyjdzie pan do mnie i przedstawi swój plan.

Andrzej wstał.

-Aha! Radzę panu zwrócić uwagę na sprawę Spadających Gwiazd. Baczną uwagę. To może mieć jakiś związek. Tę sprawę prowadzi teraz Czaczua, niech pan do niego pójdzie, zapozna się z nią Poradzi...

Andrzej uklonił się niezgrabnie i skierował do wyjścia.

- Jeszcze jedno! - powiedział szef i Andrzej zatrzymał się przy samych drzwiach. - Niech pan pamięta: sprawą Budynku specjalnie interesuje się główny prokurator. Specjalnie! Tak więc oprócz pana będzie się tym zajmował ktoś z prokuratury. Niech pan się postara nic nie przeoczyć, ani w związku z pańskimi skłonnościami, w ogóle. Niech pan idzie, Woronin.

Andrzej zamknął za sobą drzwi i oparł się o ścianę. Odczuł jakąś niezrozumiałą, nieokreśloną wewnętrzną pustkę. Oczekiwał bury, nagany, może nawet zwolnienia albo przeniesienia do policji. Zamiast tego otrzymał, można powiedzieć, pochwałę, został wyróżniony, bo powierzono mu jedną z najważniejszych spraw. Jeszcze rok temu, gdy był śmieciarzem, służbowy ochrzan zepchnąłby go w otchłań rozpacz, a odpowiedzialne zadanie wyniosło na szczyt radości i entuzjazmu. A teraz w jego duszy panował jakiś nieokreślony mrok. Andrzej ostrożnie próbował to zrozumieć i jednocześnie wyłuskać nieuniknione komplikacje i niewygody, które musiały pojawić się w tej nowej sytuacji.

Izia Katzman... Gaduła. Papla. Niedobry, jadowity język. Cynik. A jednocześnie - nic nie poradzisz - taki zupełnie, aż do głupoty bezinteresowny, dobroduszny, taki życiowo bezradny... I sprawa Budynku. I Antymiaasto. Cholera... No dobra, jakoś to będzie...

Wrócił do swojego gabinetu i z pewnym zdziwieniem zobaczył tam Fritza. Heiger siedział przy biurku, palił jego papierosy i z uwagą przeglądał powyciągane z sejfu akta jego spraw.

- No, jak tam, zdrowo oberwałeś? - zapytał, podnosząc oczy na Andrzeja.

Andrzej, nie odpowiadając, wziął papierosa, zapalił i kilka razy mocno się zaciągnął. Rozejrzał

się, gdzie by tu usiąść, i zauważył pusty taboret.

- A ten gdzie jest?

- W karcerze - odpowiedział pogardliwie Fritz. - Wysłałem go na noc do karceru, zabroniłem dawać jedzenie, picie i papierosy. Rozkleił się zupełnie, przyznał do wszystkiego i jeszcze nam powiedział o dwóch innych, o których nic nie wiedzieliśmy. Ale nie zaszkodzi jeszcze na koniec dać łobuzowi lekcję. Tu gdzieś protokół... -przerzucił kilka teczek. - Protokół już wpiąłem, sam znajdziesz. Jutro możesz przekazać do prokuratury. Udało się z niego wyciągnąć kilka interesujących rzeczy, mogą się kiedyś przydać...

Andrzej palił i patrzył na tę pociągłą, wypielegnowaną twarz, na bystre, wodniste oczy, mimo woli zachwycał się pewnymi ruchami wielkich, prawdziwie męskich dłoni. Fritz zmęźniał ostatnio. Już prawie nie zostało w nim nic z nadętego podoficerka. Tępą bezczelność zastąpiła ukierunkowana pewność siebie. Nie obrażał się więcej o żarty, nie kamieniła mu twarz, w ogóle nie zachowywał się jak osioł. Przez jakiś czas przychodził do Selmy, potem wynikł tam jakiś skandal. Andrzej też mu powiedział parę słów i Fritz uspokoił się.

- I co się tak na mnie gapisz? - z życzliwym zainteresowaniem zapytał Fritz. - Nie możesz przyjść do siebie po lewatywie? Nie przejmuj się, lewatywa przełożonego - radość dla podwładnego!

- Słuchaj no - odezwał się Andrzej. - Po co zaczęłaś tę operetkę? Himmler, gestapo... Co to za nowinki w praktyce śledczej?

- Operetkę? - Fritz uniósł prawą brew. - To, przyjacielu, działa jak grom! - Zatrzasnął otwartą teczkę i wyszedł zza biurka. - Dziwię się, że tego nie robisz. Zapewniam cię, gdybyś mu powiedział, że pracowałeś w Czece albo w GPU, a przy tym zaszczekał mu przed nosem nożyczkami, zaczęłyby ci buty całować... Zabrałem ci kilka spraw, ale masz takie zaległości, że i za rok byś tego nie przekopał... Wezmę je od ciebie, a potem jakoś się rozliczymy.

Andrzej popatrzył na niego z wdzięcznością, a Fritz przyjaźnie mrugnął. Sensowny chłopak z tego Fritza. I porządny towarzysz. No cóż, może tak właśnie trzeba pracować? Po jaką cholera cackać się z tą hołotą! Rzeczywiście, na Zachodzie na śmierć ich wystraszyli piwnicami Czece, a na takich padalców jak ten Błok wszystkie środki są dobre...

- Masz jakieś pytania? - zapytał Fritz. -Nie masz? To idę.

Wziął teczki pod pachę i wydostał się zza stołu.

- Aaa! -przypomniał sobie Andrzej. - Słuchaj, nie wzięłaś przypadkiem sprawy Budynku? Zostaw ją!...

- Sprawa Budynku? Nie, stary, mój altruizm tak daleko nie sięga. Sprawę Budynku to już musisz sam...

- Uhm - powiedział z posępnym zdecydowaniem Andrzej. Sam... A właśnie! Co to za sprawa Spadających Gwiazd? Nazwa znajoma, ale o co tam chodzi, co to za gwiazdy, nie pamiętam...

Fritz zmarszczył czoło, potem z ciekawością popatrzył na Andrzeja.

- Jest taka sprawa -zaczął. - Czyżby ci ją powierzyli? W takim razie przepadłeś. Ma ją Czaczua. Kompletna beznadzieja.

- Nie - westchnął Andrzej. - Nikt mi jej nie powierzał. Po prostu szef polecił mi zapoznać się z nią. To seria jakichś rytualnych zabójstw, czy coś takiego?

- Nie, niezupełnie. Chociaż... może i tak. Ta sprawa, przyjacielu, ciągnie się już kilka lat. Pod Ścianą od czasu do czasu znajdują roztrzaskanych ludzi, którzy najwidoczniej spadli ze Ściany, z dużej wysokości...

- Jak to że Ściany? - zdziwił się Andrzej. - To można na nią wejść? Przecież ona jest gładka... I po co? Nawet nie widać wierzchołka.

- O to właśnie chodzi! Na początku myśleli, że tam, na górze,! też jest miasto, takie jak nasze, i zrzucają tych ludzi do nas z ichniego urwiska, no, tak jak u nas można by zrzucić w przepaść. Ale później dwukrotnie rozpoznano ciała: okazało się, że to nasi, miejscowi... Jak oni się tam dostali, nikt nie rozumie. Na razie można tylko przypuszczać, że to jacyś zrozpaczeni alpiniści próbowali wydostać się z miasta górą. Ale z drugiej strony... W ogóle to niejasna sprawa, Nie do ruszenia, jeśli chcesz znać moje zdanie. No dobra, to ja idę,|

- Dziękuję.-Na razie - powiedział Andrzej i Fritz wyszedł.

Andrzej przeniósł się na swoje krzesło, wszystkie teczki, prócz sprawy Budynku, schował do sejfu, usiadł i podparł głowę rękami.

Potem podniósł słuchawkę, wybrał numer domowy i czekał. Do telefonu jak zwykle długo nikt nie podchodził, wreszcie ktoś podniósł słuchawkę i nietrzeźwy męski bas zawołał: "Halo!" Andrzej milczał, przyciskając słuchawkę do ucha. "Haalo! Halo?" - ryczał pijany głos, potem zamilkł i było słycać tylko ciężki oddech i cichy głos Selmy, śpiewający smutną piosenkę, przywiezioną przez wujka Jurę:

*Wstawaj, wstawaj, Katia,
Okręty już stoją!
Dwa z nich są niebieskie,
A jeden błękitny...*

Andrzej odłożył słuchawkę, sieknął, rozcierając policzki zamamrotał z goryczą: "Dziwka parszywa, ciągle to samo..." i otworzył teczkę.

Sprawa Budynku zaczęła się jeszcze wtedy, gdy Andrzej był śmieciarzem i pojęcia nie miał o mrocznych kulisach miasta. Wszystko zaczęło się od tego, że w dzielnicy Szesnastej, Osiemnastej i Trzydziestej Drugiej zaczęli systematycznie ginąć ludzie. Przepadali bez śladu, bez żadnego systemu, żadnego sensu i żadnej zasady. Ole Swenson, lat czterdzieści trzy, robotnik z fabryki papieru, wyszedł wieczorem po chleb i już nie wrócił, w piekarni się nie pojawił. Stefan Cybulski, lat dwadzieścia pięć, policjant, zaginaj na posterunku, na rogu Główniej i Diamentowego znaleziono jego bandolet - to wszystko, poza tym żadnych śladów. Monika Lerier, pięćdziesięciopięcioletnia, krawcowa, przed snem wyszła na spacer ze swoim szpicem, szpic wrócił zdrowy i wesoły, a krawcowa zniknęła. I tak dalej, i tak dalej - ponad czterdzieści przypadków zaginięć.

Dość szybko odnaleziono świadków, którzy twierdzili, że w przeddzień zniknięcia zaginieni wchodzili do pewnego domu. Według opisu był to ten sam dom, ale zagadka polegała na tym, że różni świadkowie różnie określali jego położenie. Józef Gumboldt, lat sześćdziesiąt trzy, fryzjer, na oczach swojego znajomego Leo Pałtusa wszedł do dwupiętrowego domu z czerwonej cegły na rogu Drugiej Prawej i zaułka Szarokamiennego. Od tamtej pory Józefa Gumboldta nikt nie widział. Niejaki Teodor Booh zeznał, że zaginiony Siemion Zachodźko, lat trzydzieści dwa, farmer, wszedł do identycznego budynku, ale na Trzeciej Lewej, niedaleko kościoła. Dawid Mrktczan opowiedział o swoim spotkaniu w zaułku Glinobitnym ze starym przyjacielem z pracy Rayem Doddem, czterdziestojednoletnim, asenizatorem. Chwilę rozmawiali o urodzaju, problemach rodzinnych i innych neutralnych sprawach, a potem Ray Dodd powiedział: "Poczekaj chwile., muszę zajść w jedno miejsce, postaram się szybko wrócić, ale jeśli po pięciu minutach nie wyjdę,! to widocznie coś mnie zatrzymało, nie czekaj na mnie..." Wszedł do jakiegoś budynku z czerwonej cegły, z oknami zasmarowanymi kreda. Mkrtczan czekał na niego piętnaście minut, nie doczekał się i poszedł w

swoją stronę. Co się zaś tyczy Raya Dodda, to zniknął raz na zawsze...

Dom z czerwonej cegły figurował w zeznaniach wszystkich świadków. Jedni twierdzili, że jest dwupiętrowy, inni, że ma trzy piętra. Jedni zwrócili uwagę na okna zamazane kredą, inni na to, że były zakratowane. I nie było nawet dwóch świadków, którzy wskazałoby to samo miejsce jego lokalizacji.

Po mieście krążyły plotki. W kolejkach po mleko, u fryzjera, w knajpach złowieszczym szeptem przekazywano sobie nowiutką jak z igielki, legendę o strasznym Czerwonym Budynku, który wędruje po mieście, przystaje pomiędzy zwykłymi domami, otwiera paszczę drzwi i zaczyna się na nieostrożnych. Pojawili się przyjaciele rodzin znajomych, którym udało się uratować, wyrwać z nienasyconego ceglanego brzucha. Opowiadali okropne rzeczy i na dowód pokazywali szramy i złamania - skutek skoków z pierwszego, drugiego, a nawet trzeciego piętra. Zgodnie z tymi wszystkimi plotkami i legendami dom był pusty - nie czaili się tam ani złodzieje, ani maniacy sadyści, ani wysysające krew kosmate potwory. Ale kamienne jelita korytarzy nagle zwężyły się, próbując zmiążyć ofiarę; pod nogami otwierały się czarne zapadnie, dyszące lodowatym cementarnym fetorem; nieznanne siły goniły człowieka po mrocznych, zwężających się przejściach i tunelach dopóty, dopóki gdzieś nie utknął, nie zapędził się do ostatniej kamiennej szczeliny - a w pustych pokojach z poodrywanymi tapetami, wśród kawałków odpadającego z sufitu tynku, gniły pokruszone kości, sterczące z zaskorupiałych od krwi szmat...

Na początku ta sprawa nawet zainteresowała Andrzeja. Zaznaczył krzyżykami na mapie miasta miejsca, gdzie widziano Budynek, próbował znaleźć jakąś prawidłowość w rozmieszczeniu tych krzyżyków, z dziesięć razy jeździł oglądać te miejsca i za każdym razem zamiast Budynku znajdował albo zwalony płot, albo puste miejsce między domami, albo nawet zwykły dom, nie mający nic wspólnego z tajemnicami i zagadkami.

Niepokojące było to, że Czerwonego Budynku ani razu nikt nie widział w świetle dziennym, zbijało z tropu, że co najmniej połowa świadków widziała Budynek w stanie mniej lub bardziej poważnego zamroczenia alkoholowego; irytowały drobne, ale niemal obowiązkowe sprzeczności w prawie każdym zeznaniu, najbardziej zaś denerwowała absolutna bezsensowność i dzikość tych wydarzeń.

Izia Katzman orzekł kiedyś, że milionowe miasto, pozbawione ideologii, musi mieć swoje mity. Brzmiało to przekonująco, ale przecież ludzie ginęli naprawdę! Jasne, że zaginać w mieście nie było trudno. Wystarczyło zrzucić człowieka z urwiska i ślad po nim ginał. Ale kto i po co miałby zrzucać jakichś tam fryzjerów, stare krawcowe, drobnych sklepikarzy? Ludzi bez pieniędzy, bez podejrzonej reputacji, praktycznie bez wrogów? Kensi wyraził kiedyś całkiem rozsądne przypuszczenie, że Czerwony Budynek, jeśli rzeczywiście istnieje, jest częścią Eksperymentu, a w takim razie nie ma sensu szukać dla niego wytłumaczenia - Eksperyment to Eksperyment. W końcu Andrzej też zaczął tak uważać. Pracy było po same uszy, sprawa Budynku liczyła już ponad tysiąc arkuszy i Andrzej wcisnął ją na samo dno sejfu, czasem tylko wyciągał, żeby wpiąć zeznanie kolejnego świadka.

Ale dzisiejsza rozmowa otwierała całkiem nowe perspektywy. Jeśli w mieście rzeczywiście są ludzie, którzy postawili przed sobą (albo otrzymali od kogoś) zadanie stworzenia atmosfery paniki i terroru, to w sprawie Budynku wiele rzeczy stawało się zrozumiałych. Sprzeczności w zeznaniach tak zwanych świadków łatwo można było wytłumaczyć zniekształceniem plotek przy przekazie. Zaginięcia stawały się zwykłymi zabójstwami, mającymi na celu podtrzymanie atmosfery terroru. W chaosie rozmów, niespokojnych szeptów i kłamstw należało teraz szukać stale działających źródeł, punktów rozprzestrzeniania złowieszczej mgły...

Andrzej wziął kartkę czystego papieru i powoli, słowo po słowie, punkt po punkcie zaczął pisać

szkic planu. Po jakimś czasie stworzył, co następuje:

Zadanie główne: ustalenie źródeł plotek, aresztowanie tychże źródeł i wykrycie kierującego nimi centrum. Środki podstawowe: powtórne przesłuchanie wszystkich świadków, którzy zeznawali na trzeźwo; wykrycie i przesłuchanie ludzi, twierdzących, że byli w Budynku; ustalenie potencjalnych związków między nimi i świadkami... Wziąć pod uwagę: a) dane agenturalne; b) sprzeczności w zeznaniach...

Andrzej gryząc ołówek popatrzył na lampę i przypomniał sobie coś jeszcze: skontaktować się z Pietrowem. Ten Pietrow w swoim czasie zamęczył Andrzeja prawie na śmierć. Zginęła mu żona i nie wiadomo dlaczego zdecydował, że połknął ją Czerwony Budynek. Od tamtej pory porzucił wszystkie swoje sprawy i wziął się za szukanie Budynku - bez przerwy wysyłał do prokuratury różne raporty i notatki, które przekazywano do działu śledczego, a potem trafiały do Andrzeja; włóczył się nocami po mieście, kilka razy był podejrzewany o przestępcze zamiary i zatrzymywany przez policję, na policji rozrabiał, zamykano go za to na dziesięć dni, a po wyjściu wszystko zaczynało się od nowa.

Andrzej wypisał wezwanie dla niego i jeszcze dwóch innych świadków, zaniósł je dyżurnemu z poleceniem natychmiastowego dostarczenia i poszedł do Czaczuy.

Czaczua, potężny, spasiony Kaukazczyk, któremu brak czoła rekompensował ogromny nos, leżał u siebie w gabinecie na kanapie otoczony stertą pękatych teczek z aktami i spał. Andrzej potrząsnął nim.

- E! - powiedział ochryple Czaczua, budząc się. - Co się stało!

- Nic się nie stało - gniewnie odpowiedział Andrzej. Nie cierpiał takiej rozlazłości. - Dawaj sprawę Spadających Gwiazd.

Czaczua usiadł, twarz rozjaśniła mu radość.

- Zabierasz? - zapytał, drapieźnie ruszając swoim fenomenalnym nosem.

- Nie ciesz się, nie ciesz. Chcę tylko przejrzeć.

- Słuchaj, po co masz oglądać? - gorączkował się Czaczua. Bierz ją całą! Jesteś młody, piękny, energiczny, szef wszystkim stawia cię za przykład. Rozwikłasz tę sprawę błyskawicznie - wejdiesz tylko na Żółtą Ścianę i masz rozwiązanie w kieszeni! Co ci zależy?

Andrzej zapatrzył się na jego nos. Ogromny, garbaty, u nasady pokryty siecią purpurowych żyłek, ze sterczącymi z dziurek kępkami czarnych, twardych włosów, wydawał się żyć własnym, oddzielnym życiem. Widać było, że w ogóle go nie interesują kłopoty śledczego Czaczuy. Chciał, żeby wszyscy wokół pili szklanami lodowate kachetyńskie, jedli soczyste szaszłyki i wilgotną chrupiącą zieleninę, żeby tańczyli, chwytając palcami brzegi rękawów, wykrzykiwali w zapamiętaniu "Assa!" Chciał zanurzać się w pachnące, jasne włosy i zwisać nad obnażonymi pysznymi piersiami... O, wiele chciał, ten wspaniały noshedonista, a jego niezliczone pragnienia były wyraźnie widoczne w niezależnych ruchach, w zmianie koloru, w różnorodnych wydawanych przez niego dźwiękach...

- A kiedy zakończysz tę sprawę - mówił Czaczua, przewracając oliwkami oczu pod niskim czołem - Boże ty mój! Ale będziesz sławny! Ale cię będą szanować! Myślisz, że Czaczua proponowałby ci tę sprawę, gdyby sam mógł chodzić po Żółtej Ścianie? Za nic w świecie by tego nie zrobił! Przecież to żyła złota! A ja ofiaruję ją tobie. Wielu tu już przychodziło i prosiło o nią. Nie, myślę sobie, żaden z was nie da rady. Jeden tylko Woronin, myślę sobie...

- Dobra, dobra - zirytował się Andrzej. - Co za gaduła. Dawaj teczkę. Nie mam czasu śpiewać tu z tobą pieśni.

Czaczua, nie przestając gadać, skarżyć się i chwalić, podniósł się leniwie, zaszurał po brudnej podłodze, podszedł do sejfu i zaczął w nim grzebać. Andrzej patrzył na jego szerokie, tłuste ramiona

i myślał sobie, że Czaczua to pewnie jeden z lepszych śledczych w oddziale, można nawet powiedzieć błyskotliwy, ma najwyższy procent rozpoczętych spraw, a mimo to sprawy Spadających Gwiazd nie udało mu się posunąć naprzód. Nikomu się to nie udało, ani Czaczuy, ani jego poprzednikowi, ani poprzednikowi jego poprzednika...

Czaczua wyciągnął stertę pękatych, zatłuszczonych teczek. Razem przekartkowali kilka ostatnich stron. Andrzej starannie przepisał sobie na oddzielną kartkę nazwiska i adresy tych dwóch, których udało się zidentyfikować, a także nieliczne znaki szczególne, które udało się ustalić u niektórych nie rozpoznanych ofiar.

- Co za sprawa! - wykrzyknął Czaczua, mlaskając językiem. - Jedenaście trupów! A ty rezygnujesz. Nie, Woronin, nie wiesz, co jest twoim szczęściem. Wy, Rosjanie, zawsze byliście idiotami; tam byliście idiotami i tu też jesteście! A po co ci to? - zainteresował się nagle.

Andrzej jak mógł, wyjaśnił mu swoje zamiary. Czaczua szybko pojął w czym rzecz, ale nie był specjalnie zachwycony.

- Spróbuj, spróbuj... - odparł ospale. - Wątpię, czy ci to pomoże. Czym jest twój Budynek, a czym jest moja Ściana? Budynek to wymysł, a Ściana - o, tam, kilometr stąd... Nie, Woronin, nie damy sobie z tym rady

Ale gdy Andrzej był już przy drzwiach, Czaczua powiedział:

- Jakby coś, to od razu mi daj znać...

- Dobrze. Oczywiście.

- Posłuchaj - dodał Czaczua, marszcząc w skupieniu tłuste czoło i ruszając nosem. Andrzej przystanął i patrzył na niego wyczekująco. - Już dawno chciałem zapytać... - Twarz mu spoważniała. - Słuchaj, tam u was w siedemnastym roku, w Piotrogradzie, było niezłe zamieszanie. Jak to się skończyło?

Andrzej splunął i wyszedł, trzaskając drzwiami. Gonił go chichot okropnie zadowolonego Kaukazyjczyka. Czaczua znowu złapał go na ten głupi dowcip. I po co z nim w ogóle rozmawiać?

W korytarzu przed gabinetem czekała go niespodzianka. Na ławie siedział jakiś śmiertelnie przerażony, rozczochrany, zaspany człowiek okutany paltem. Dyżurny wyskoczył zza stołu z telefonem i dziarsko wykrzyknął:

- Świadek Ejno Saari, dostarczony zgodnie z poleceniem! Andrzej popatrzył na niego otępiąłym wzrokiem.

- Jakim poleceniem? Dyżurny speszył się trochę.

- Przecież pan sam... - powiedział urażony. - Pół godziny temu... Dał mi pan wezwania, kazał natychmiast dostarczyć...

- Boże - westchnął Andrzej. - Wezwania! Wezwania kazałem natychmiast dostarczyć, do diabła! Na jutro, na dziesiątą! - Spojrzał na uśmiechającego się blado Ejno Saariego, na wystające spod jego spodni białe troki od kalesonów, potem znowu na dyżurnego. - Pozostałych też zaraz przywiozą? - zapytał.

- Tak jest - potwierdził ponuro dyżurny. - Zrobiłem tak, jak było powiedziane.

- Złożę na was raport. - Andrzej z trudem się opanował. - Zostaniecie przeniesieni na ulicę, będziecie zganiać wariatów nad ranem, wtedy dopiero zaczniecie płakać... No cóż - zwrócił się do Saariego. - Skoro już pan tu jest, proszę wejść...

Wskazał Ejno Saariemu taboret, a sam usiadł za stołem i popatrzył na zegarek. Było już po dwunastej. Nadzieja na wyspanie się i przed jutrzejszym ciężkim dniem żałośnie wyparowała.

- Dobrze - westchnął, otworzył akta sprawy Budynku, przekartkował ogromną stertę protokołów, zeznań, pism i ekspertyz, odnalazł poprzednie zeznanie Saariego (lat czterdzieści trzy, saksofonista

drugiego teatru miejskiego, rozwiedziony) i jeszcze raz przebiegł je oczami. - Dobrze - powtórzył. - Chciałbym coś wyjaśnić w zeznaniach, które złożył pan na policji miesiąc temu.

- Oczywiście, oczywiście - powiedział Saari, pochylając się z gotowością i jakimś kobiecym ruchem przytrzymując rozchyłające się na piersiach palto.

- Zeznał pan, że pańska znajoma, Ella Stremberg, na pana oczach weszła ósmego września o godzinie dwudziestej trzeciej czterdzieści do tak zwanego Czerwonego Budynku, który znajdował się wtedy na ulicy Papug, w przejściu między sklepem spożywczym numer sto piętnaście a apteką Sztrema. Potwierdza pan to?

- Tak, tak, potwierdzam. Dokładnie tak było. Tylko data... Dokładnej daty nie pamiętam, miesiąc już minął...

- Nieważne. Wtedy pan pamiętał i z innymi zeznaniami to się pokrywa... Mam do pana prośbę: niech pan jeszcze raz szczegółowo opisz ten tak zwany Czerwony Budynek...

Saari przychylił głowę na bok i zastanowił się.

- Znaczy się, tak - zaczął - Dwa piętra. Ze starej cegły, ciemnoczerwony, jak koszary, rozumie pan? Okna, wie pan, takie wąskie, wysokie. Na najniższym piętrze wszystkie zamazane kredą i, pamiętam jak dziś, nie oświetlone... - Znowu się zastanowił. - Wie pan, o ile pamiętani, nie było tam w ogóle ani jednego oświetlonego okna. No i... wejście. Kamiennie schodki, dwa, może trzy... Takie ciężkie drzwi... miedziana klamka, starodawna, kuta. Ella chwyciła za tę klamkę i z takim, wie pan, wysiłkiem pociągnęła drzwi do siebie... Numeru domu nie zauważyłem, nie pamiętam, czy był tam jakiś numer... Jednym słowem, wyglądał jak stary państwowy budynek, gdzieś tak z końca zeszłego wieku.

- Tak - powiedział Andrzej. - Proszę mi powiedzieć, często pan bywał na tej ulicy Papug?

- Wtedy poszedłem tam po raz pierwszy. I właściwie ostatni. Mieszkam dość daleko, nie chodzę w tamte okolice, a wtedy jakoś tak wyszło, że zdecydowałem się odprowadzić Ellę. Robiliśmy akurat imprezę, ja ją... mmm... no, trochę ją podrywałem i poszedłem odprowadzić. Bardzo nam się miło po drodze rozmawiało, a potem ona nagle powiedziała: "Czas się rozstać". Pocałowała mnie w policzek i zanim się spostrzegłem, weszła do tego domu. Szczerze mówiąc, pomyślałem wtedy, że ona tam mieszka...

- Rozumiem - powiedział Andrzej. - Na tej imprezie zapewne pan pił?

Saari, strapiiony, uderzył dłońmi w kolana.

- Nie, panie śledczy - odpowiedział. - Ani kropelki. Nie wolno mi pić, lekarz zabronił.

Andrzej pokiwał ze współczuciem głową.

- A nie pamięta pan przypadkiem, czy ten budynek miał komin;

- Tak, pamiętam. Muszę panu powiedzieć, że widok tego budynku tak działa na wyobraźnię, że do tej pory stoi mi przed oczami; Dach był z dachówki, a na nim trzy wysokie kominy. Z jednego, pamiętam, szedł dym. Pomyślałem wtedy, że mimo wszystko dużo jeszcze domów z piecami...

To był właściwy moment. Andrzej ostrożnie położył ołówek protokołach, pochylił się lekko, znacząco zmrużył oczy i zaczął badawczo wpatrywać w Ejno Saariego, saksofonistę.

- W pańskich zeznaniach są pewne sprzeczności. Po pierwi jak dowiodła ekspertyza, znajdując się na ulicy Papug nie mógł pan absolutnie widzieć ani dachu, ani kominów dwupiętrowego budynku.

Ejno Saariemu, zapłatanemu we własnych kłamstwach saksofoniście, opadła szczęka i rozbiegły się oczy.

- Dalej. W śledztwie ustalono, że nocą ulica Papug nie jest w ogóle oświetlona. Dlatego nie mogę absolutnie pojąć, jak w przenikniętych ciemnościach, trzysta metrów od najbliższej latarni, udało się panu zobaczyć taką masę szczegółów: kolor budynku, starą cegłę, miedzianą klamkę, kształt okien i

wreszcie idący z komina dym. Chciałbym wiedzieć, jak pan to wyjaśni.

Przez jakiś czas Ejno Saari w milczeniu otwierał i zamykał usta. Potem spazmatycznie przełknął ślinę i wykrztusił:

- Nic nie rozumiem... Zupełnie mnie pan skołował. Nigdy mi do głowy nie przyszło...

Andrzej milczał wyczekująco.

- Rzeczywiście, jak mogłem o tym wcześniej nie pomyśleć.. Przecież na tej ulicy Papug było zupełnie ciemno! Co tam dom; chodnika pod nogami nie było widać... I dach... Przecież stali przed samym wejściem. Ale doskonale pamiętam i dach, i cegłę, i dym z komina - taki biały dymek, jakby oświetlony księżycem...

- Tak, to dziwne - powiedział Andrzej drewnianym głosem.

- I klamka... Taka miedziana, wygładzona wieloma dotknięciami... wymyślne połączenie kwiatów i liści... Mógłbym to od razu narysować, gdybym tylko umiał... A jednocześnie panowały absolutne ciemności, nie widziałem nawet twarzy Elli, po głosie tylko poznałem, że się uśmiecha, gdy...

W rozszerzonych oczach Ejno Saariego pojawiła się jakaś no myśl. Przycisnął ręce do piersi.

- Panie śledczy! - zawołał rozpaczliwie. - Mam teraz w głowie mętlik, ale doskonale rozumiem, że zeznają przeciwko sobie, budzę w panu podejrzenia. Ale jestem uczciwym człowiekiem, moi rodzice byli bardzo porządnymi, religijnymi ludźmi... Wszystko, co panu teraz mówię, to najprawdziwsza prawda! Tak właśnie było. Po prostu wcześniej nie przyszło mi to do głowy. Panowały egipskie ciemności, stałem tuż pod domem, a jednocześnie pamiętani każdą cegiełkę, a dach pokryty dachówkami widzę tak, jakby był obok mnie... i trzy kominy... I dymek.

- Hmm... - Andrzej zabębnił palcami po stole. - A może pan tego nie widział? Może ktoś panu o rym opowiadał?... Czy przed wypadkiem pani Stremberg słyszał pan o Czerwonym Budynku?

Oczy Ejno Saariego znowu się rozbiegły.

-N-n-n... nie przypominam sobie... - bąknął. - Później, tak. Gdy Ella zginęła, gdy byłem na policji... gdy już rozpoczęto poszukiwania. .. wtedy dużo się o tym mówiło. Ale wcześniej... Panie śledczy! - oświadczył uroczyście. - Nie mogę przysiąc, że przed zaginięciem Elli nic nie słyszałem o Czerwonym Budynku, ale przysięgnę, że nic takiego nie pamiętam.

Andrzej wziął długopis i zaczął pisać protokół. Jednocześnie mówił, monotonnym, służbistym głosem, który z założenia miał wywołać w przesłuchiwanym przygnębienie i poczucie niemożności uniknięcia losu, napędzanego działającą bez zarzutu machiną prawa.

- Sam pan powinien rozumieć, panie Saari, że śledztwu nie mogą wystarczyć pańskie zeznania. Ella Stremberg zaginęła bez śladu, a ostatnim człowiekiem, który ją widział, jest pan, panie Saari. Czerwonego Budynku, który pan tak szczegółowo opisał, na ulicy Papug nie ma. Opis tegoż budynku, przytoczony przez pana, jest nieprawdopodobny, jako że przeczy podstawowym prawom fizyki. A wreszcie, jak wiadomo, Ella Stremberg mieszkała w zupełnie innej dzielnicy, dość daleko od ulicy Papug. Samo w sobie nie jest to dowodem przeciwko panu, ale wywołuje dodatkowe podejrzenia. Jestem zmuszony zatrzymać pana aż do wyjaśnienia pewnych okoliczności... Proszę przeczytać i podpisać protokół.

Ejno Saari bez słowa podszedł do stołu i nie czytając, podpisał każdą kartkę protokołu. Ołówek drżał mu w palcach, wąski podbródek obwisł i trząsł się. Potem Ejno Saari, szurając nogami, usiadł z powrotem na taborecie, zacisnął ręce i rzekł:

- Chciałbym jeszcze raz podkreślić, panie śledczy, że składając zeznania... - głos mu się rwał, znowu przełknął ślinę. - Składając zeznania zdawałem sobie sprawę, że działałem na własną szkodę. Mogłem przecież coś zmyślić, skłamać... Mogłem w ogóle nie brać udziału w poszukiwaniach... nikt przecież nie wiedział, że poszedłem odprowadzić Ellę...

- To pańskie oświadczenie - powiedział Andrzej obojętnie - już faktycznie zostało zaprotokołowane. Jeśli nie jest pan winny, nic panu nie grozi. Zaraz pana zaprowadzą do aresztu. Proszę, oto papier i ołówek. Może pan pomóc śledztwu i sobie samemu, jeśli szczegółowo napisze pan, kto, kiedy i w jakich okolicznościach rozmawiał z panem o Czerwonym Budynku. Nieważne czy przed zaginięciem Elli Stremberg, czy po. Jak najbardziej szczegółowo: kto - imię, adres; kiedy - dokładna data, godzina; w jakich okolicznościach - gdzie, dlaczego w jakim celu, jak. Rozumie mnie pan?

Ejno Saari kiwnął głową i powiedział bezgłośnie "tak". Andrzej patrząc mu badawczo w oczy, ciągnął:

- Jestem pewien, że o wszystkich szczegółach dotyczących Czerwonego Budynku dowiedział się pan od kogoś. Samego budynku mógł pan nawet nie widzieć. Usilnie panu radzę, niech pan sobie przypomni, kto mówił panu o tych wszystkich szczegółach - kto, kiedy i w jakich okolicznościach. I w jakim celu.

Zadzwoił na dyżurnego i saksofonistę zabrano. Andrzej zatarł ręce, wpiął protokół do akt, poprosił o gorącą herbatę i wezwał kolejnego świadka. Był zadowolony z siebie. Mimo wszystko wyobraźnia i znajomość podstaw geometrii to pożyteczne rzeczy. Ejno Saari został przyłapany na kłamstwie zgodnie ze wszystkimi zasadami nauki.

Następny świadek, Matylda Husakowa (lat sześćdziesiąt dwa chałupnictwo, robienie na drutach, wdowa) stanowiła, w każdym razie w założeniu, dużo łatwiejszy przypadek. Była to potężna staruszk z małą, zupełnie siwą główką, rumianymi policzkami i chytrymi oczkami. Zupełnie nie wyglądała na zaspaną czy przestraszoną, wręcz przeciwnie, wydawało się, że jest zadowolona z takiej przygody. Przyszła z koszykiem, kłębkami różnokolorowej wełny, kompletem drutów. W gabinecie od razu wdrapała się na taboret, włożyła okulary i zaczęła dziergać.

- Wiemy, pani Husakowa - zaczął Andrzej - że jakiś czas temu i w kręgu swoich przyjaciół opowiadała pani o wydarzeniu z jakimś Frantiszkiem, który jakoby trafił do tak zwanego Czerwonego Budynku, przeżył tam różnorakie przygody i z trudem się wydostał. Czy tak było rzeczywiście?

Staruszka Matylda uśmiechnęła się, zręcznie wyjęła jeden drut, włożyła drugi i odpowiedziała, nie odrywając oczu od robótki:

- Było, było. Opowiadałam, i to nieraz, ale chciałabym wiedzieć, skąd wy to wiecie... Znajomych wśród sędziów nie mam...

- Muszę pani powiedzieć - powiedział konfidencjonalnie Andrzej - że teraz w sprawie tak zwanego Czerwonego Budynku prowadzone jest śledztwo i bardzo nam zależy, żeby skontaktować się choćby z jednym człowiekiem, który w tym budynku był...

Matylda Husakowa nie słuchała go. Położyła robótkę na kolanach i w zadumie patrzyła na ścianę.

- Kto by to mógł powiedzieć? - zastanawiała się głośno. - Nie spodziewałam się tego!... - Pokręciła głową. - I tutaj też, jak mi się widzi, trzeba uważać, kto i z kim.. Za Niemców - buzia na kłódkę. Tutaj przyjechałam i okazuje się, że znowu to samo...

- Proszę pozwolić, pani Husakowa - przerwał jej Andrzej. - Wydaje mi się, że fałszywie rozumie pani sytuację. Przecież pani, o ile wiem, nie popełniła żadnego przestępstwa. Traktujemy panią wyłącznie jako świadka, jako naszego pomocnika, który...

- Ej, złociutki! Jacy tam pomocnicy? Policja to policja.

- Ależ nie! - Andrzej dla większej wiarygodności przycisnął rękę do serca. - Szukamy bandy przestępców! Porywających, i najwidoczniej zabijających ludzi. Człowiek, który był w ich łapach, może być niezwykle pomocny!

- Co pan, złociutki - powiedziała staruszka - wierzy pan w ten cały Czerwony Budynek?

- A pani nie wierzy? - spytał Andrzej, trochę speszony.

Staruszka nie zdążyła odpowiedzieć. Drzwi gabinetu uchyliły się, z korytarza wpadł harmider wzburzonych głosów i w szczelinie pojawiła się krępa czarnogłowa postać, krzycząca w stronę kogoś na korytarzu: "Tak, to pilne! Pilne!" Andrzej zmarszczył brwi, ale w tym momencie postać wyciągnięto na korytarz i drzwi się zatrzasnęły.

- Przepraszam, przeszkodzono nam - powiedział Andrzej. - Chciała pani zdaje się powiedzieć, że nie wierzy w Czerwony Budynek?

Nie przestając robić na drutach, sędziwa Matyllda wzruszyła ramieniem.

- No, a jaki dorosły człowiek by w to uwierzył? Widzicie ich, dom im biega z miejsca na miejsce, w środku wszystkie drzwi mają zęby, wchodzisz po schodach na górę i znajdujesz się w piwnicy... Pewnie, że tutaj wszystko może się wydarzyć. Eksperyment to Eksperyment, ale to już przesada... Nie, nie wierzę. Pewnie, w każdym mieście są domy, które połykają ludzi, i u nas może też są, ale i chyba nie biegają z miejsca na miejsce... i pewnie schody są tam zwyczajne.

- Chwileczkę, pani Husakowa - przerwał jej Andrzej. - A po co w takim razie opowiada pani wszystkim te bajki?

- A dlaczego miałabym nie opowiadać, skoro ludzie słuchają? Ludziom się nudzi, zwłaszcza takim staruszkom jak my...

- A więc pani sama to wszystko wymyśliła?

Staruszka Matyllda otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale w tym momencie przeraźliwie zadzwonił telefon. Andrzej zaklął i podniósł słuchawkę.

- Andriu-szone-czek... - zabrzmiał w słuchawce głos kompletnie pijanej Selmy. - Wyrzuciłam ich... Wyrzuciłam... Czemu nie wracasz?

- Wybacz. - Andrzej przygryzł wargę i popatrzył na staruszkę. - Jestem teraz bardzo zajęty, wszystko ci...

- A ja nie chcę! - oświadczyła Selma. - Kocham cię i czekam. Jestem pijaniutka, golotka, zimno mi...

- Selma. - Andrzej ściszył głos. - Nie wygłupiaj się. Jestem zajęty.

- I tak nie znajdziesz ta... takiej dziewczyny jak ja w tym chle... chlewie. Leżę skulona... zupełnie golotka...

- Przyjadę za pół godziny - pospieszył z zapewnieniem Andrzej.

- Głuptas! Za pół... pół godziny będę już spała... Kto to przyjeżdża po półgodzinie?

- Dobrze Selma, na razie - powiedział Andrzej, przeklinając dzień, w którym dał tej rozpustnej dziewczynie numer swojego służbowego telefonu.

- No i do diabła z tobą! - wrzasnęła nagle Selma i walnęła słuchawką. Tak mocno, że pewnie rozwaliła telefon. Andrzej zacisnął usta z wściekłości, delikatnie odłożył swoją słuchawkę i przez kilka sekund siedział, nie śmiejąc podnieść oczu. Nie mógł zebrać myśli. Wreszcie odkaszlnął.

- No tak. Hmm... Znaczący, opowiadała pani o tym z nudów... Przypomniał sobie w końcu ostatnie pytanie. - Mam rozumieć, że całą tę historię z Frantiszkiem sama pani wymyśliła?

Staruszka znowu otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, i znowu nic z tego nie wyszło. Drzwi otworzyły się na oścież, na progu pojawił się dyżurny i dziarsko zameldował:

- Przepraszam, panie śledczy! Doprowadzony świadek Pietrow żąda, żeby pan go natychmiast przesłuchał, jako że chce powiedzieć...

Andrzejowi zrobiło się czarno przed oczami. Z całych sił uderzył obiema pięściami w stół i wrzasnął tak, że zadzwoniło mu w uszach:

- Do diabła, dyżurny! Regulaminu nie znacie? Gdzie się tu pchacie ze swoim Pietrowem? Nie jesteście u siebie w wychodku! Od-maszerować!

Dyżurnego wymiotło. Andrzej czując, że ze wściekłości drżą mu wargi, zdrętwiałymi rękami nalał sobie wody z karafki. Wypił. Od tego dzikiego wrzasku rozboleło go gardło. Popatrzył spode łba na staruszkę. Sędziwa Matyllda robiła na drutach, jak gdyby nigdy nic.

- Proszę mi wybaczyć - zamamrotał.

- Nic się nie stało, młody człowieku - uspokoiła go Matyllda. - Nie gniewam się na pana. No więc, pytał pan, czy sama to wszystko wymyśliłam. Nie, złociutki, nie sama. Ja bym czegoś takiego nie wykombinowała. I schody takie - idziesz w górę, trafiasz na dół... Mnie by się takie rzeczy nawet nie przyśniły. Jak mnie opowiedzieli, tak i ja opowiedziałam...

- A kto pani opowiedział?

Staruszka, nie przestając robić na drutach, pokręciła głową.

- Tego to właśnie nie pamiętam. W kolejce mówiła jedna kobieta. Ten Frantiszek to podobno zięć jej znajomej. Też pewnie kłamała. W kolejce to się człowiek czasami takich rzeczy nasłucha, że w żadnej gazecie tego nie znajdzie...

- A kiedy to mniej więcej było? - zapytał Andrzej; już się trochę opanował i teraz żałował swojego wybuchu.

- Ze dwa miesiące temu... a może i ze trzy.

Zepsułem przesłuchanie, myślał z goryczą Andrzej. Schrząniłem przesłuchanie przez tę sukę i przez bałwana dyżurnego. Nie, ja tego tak nie zostawię, już ja go, tumana jednego, załatwię. Jeszcze dostanie za swoje. Będzie biegał za wariatami o porannym chłodku... No dobrze, a co ze staruszką? Uparła się, nie chce podać nazwisk...

- Jest pani pewna, pani Husakowa - zaatakował znowu - że zupełnie pani nie pamięta nazwiska tej kobiety?

- Nie pamiętam, kochaniutki, w ogóle nie pamiętam - powiedziała wesoło sędziwa Matyllda, nie przestając raźnie migotać drutami.

- A może pani przyjaciółki pamiętają?... Ruchy drutów jakby się zwolniły.

- Wymieniała pani jej imię, prawda? - ciągnął Andrzej. - Niewykluczone przecież, że ich pamięć okaże się lepsza.

Matyllda wzruszyła ramieniem i nic nie odpowiedziała. Andrzej odchylił się na oparcie krzesła.

- Sytuacja wygląda tak, pani Husakowa. Nazwiska tej kobiety albo pani nie pamięta, albo nie chce powiedzieć. A pani przyjaciółki pamiętają. Musimy więc zatrzymać tu panią na jakiś czas, żeby nie mogła pani ich uprzedzić. Będziemy panią trzymać dopóty, dopóki albo pani, albo któraś z przyjaciółek nie przypomni sobie, od kogo słyszała pani tę historię.

- Pańska wola - powiedziała pokornie pani Husakowa.

- No tak. Ale dopóki pani będzie sobie przypominać, a my męczyć się z pani przyjaciółkami, ludzie dalej będą ginąć, bandyci zadowoleni zacierać ręce, a wszystko z powodu pani dziwnego uprzedzenia do organów śledczych.

Sędziwa Matyllda nie odpowiedziała nic, tylko z uporem zacisnęła pomarszczone wargi.

- Niech pani zrozumie, jakie to absurdalne - tłumaczył jej Andrzej. - Dniami i nocami musimy przesłuchiwać różne męty, drani, łajdaków, a kiedy przychodzi wreszcie jakiś porządny człowiek, nie chce nam pomóc. No i jak to jest? Przecież to nienormalne! Przecież to niepoważne, to, za przeproszeniem, dziecinada. Jeżeli pani sobie nie przypomni, to przyjaciółki sobie przypomną, tak czy inaczej poznamy nazwisko tej kobiety. Do Frantiszka też dotrzemy, a on nam pomoże wyłapać tę szajkę. Jeśli tylko przedtem bandyci nie uciszą go jako niewygodnego świadka... A przecież jeśli go

zabiją, pani też będzie winna, pani Husakowa! Oczywiście, nie w świetle prawa i żaden sąd pani nie skaże, ale samo sumienie, sumienie nie da pani spokoju!

Andrzej włożył w tę małą przemowę całą moc przekonywania,! Zmęczony zapalił papierosa i czekał, ukradkiem spoglądając na zegarek. Postanowił zaczekać trzy minuty, a później, jeśli uparta starucha się nie podda, odesłać starą cholere do celi, mimo że nie miał prawa. Ale przecież trzeba jakoś pchać do przodu tę przeklętą sprawę... A jeżeli zdarzą się jakieś nieprzyjemności z powodu przekroczenia uprawnień... nie, ona nie wygląda na to, żeby miała zamiar złożyć skargę... ale jeśli nawet będą, to przecież w końcu głównemu prokuratorowi osobiście zależy na tej sprawie i raczej nie powinien mnie wydać... No, oberwę naganę. A co, zależy mi na ich podziękowaniach? Może być nawet nagana. Żeby tylko ta cholerna sprawa posunęła się do przodu... chociaż troszeczkę...

Palił, uprzejmie rozwiewając ręką kłęby dymu, wskazówka sekundnika dziarsko biegła po cyferblacie, a pani Husakowa milczała, cichutko dzwoniąc drutami.

- Taak - powiedział Andrzej, gdy minęła czwarta minuta. Zdecydowanym gestem wdusił niedopałek w przepelnioną popielniczkę. - Jestem zmuszony panią zatrzymać za stawianie oporu. Jak pani sobie życzy, pani Husakowa, ale według mnie to dziecinada... Proszę podpisać protokół. Zaraz zaprowadzą panią do celi.

Gdy sędziwą Matyldę wyprowadzono (na pożegnanie życzyła Andrzejowi dobrej nocy), przypomniał sobie, że nie dostał gorącej herbaty. Wyjrzał na korytarz, długo i ostro przypominał dyżurnemu o jego obowiązkach, a na koniec kazał wprowadzić świadka Piętrowa.

Świadek Pietrow, krępy, prawie kwadratowy, czarny jak kruk, na pierwszy rzut oka typowy bandyta, dwudziestoczerokaratowy mafiozo - usiadł pewnie na taborecie i nic nie mówiąc, ze złością patrzył, jak Andrzej popija herbatę.

- No i co z panem, Pietrow? - zapytał dobrodusznie Andrzej. - Wyrывał się pan tutaj, awanturował, przeszkadzał ludziom w pracy, a teraz pan milczy...

- A co mam z wami, darmożjadami, rozmawiać? - rozłościł się Pietrow. - Przedtem trzeba było ruszyć, teraz już za późno...

- A cóż się takiego wydarzyło? - zainteresował się Andrzej, puszczać mimo uszu "darmożjadów" i całą resztę.

- A to się wydarzyło, że kiedy pan tu sobie rozmawiałeś, przestrzegałeś swojego śmierzącego regulaminu, ja widziałem Budynek!

Andrzej delikatnie włożył łyżeczkę do szklanki.

- Jaki budynek? - zapytał.

- No coś pan, jak pragnę zdrowia? - wściekł się od razu Pietrow. - Żarty się pana trzymają? Jaki budynek... Czerwony! Ten sam! Stoi, draństwo, na Głównej i ludzie do niego wchodzi, a pan tu sobie herbatkę pije... Jakieś durne staruchy męczy...

- Chwileczkę, chwileczkę!... - zawołał Andrzej, wyciągając z teczki plan miasta. - Gdzie go pan widział? Kiedy?

- No właśnie teraz, jak mnie tu wieźli... Mówię do tego kretyna: "Zatrzymaj się!", a on pędzi... Już tutaj mówię do dyżurnego: "Dawaj natychmiast patrol policji" - a on też jak zacznie marudzić...

- Odzie go pan widział? W którym miejscu?

- Wie pan, gdzie jest synagoga?

- Wiem - odparł Andrzej, odnajdując na mapie synagogę, - No to między synagogą i kinem - tam jest takie miejsce...

Na mapie między synagogą i kinem "Nowy Iluzjon" widniał skwer z fontanną i placem zabaw. Andrzej przygryzł koniec ołówka. - I kiedy go pan widział? - zapytał.

- Dwadzieścia po dwunastej - odpowiedział posepnie Pietrow. -A teraz jest już, proszę bardzo, prawie pierwsza. Czekać na was nie będzie... Czasem już po piętnastu, dwudziestu minutach go nie było, a tutaj... - Machnął zniechęcony ręką.

Andrzej podniósł słuchawkę i wydał rozkaz:

- Motocykl z koszem i jednego policjanta. Natychmiast.

ROZDZIAŁ 2

Motocykl mknął po Głównej, podskakując na rozjeżdżonym asfalcie. Andrzej skulił się, chowając twarz za osłoną kosza, ale i tak przewiewało go na wylot. Żałował, że nie wziął płaszcza.

Od czasu do czasu wyskakiwali z chodników przed motocykl, fioletowi z zimna wariaci. Krzywili się i tańczyli, krzyczeli coś, ale zagłuszał ich szum motoru. Kierujący policjant hamował, klnąc przez zęby, uchylał się od wyciągniętych rąk, przedzierał przez tłumy pasiastych chałatów i znowu rozpędzał motocykl tak, że Andrzeja odrzucało do tyłu. Oprócz wariatów na ulicy nie było nikogo. Raz tylko spotkali jadący powoli samochód patrolu z pomarańczowym kogutem na dachu, na placu zaś przed merostwem zobaczyli niezgrabnie biegnącego ogromnego pawiana. Pawian pędził przed siebie, a za nim, pohukując i przenikliwie wrzeszcząc, biegli zarośnięci ludzie w pasiastych piżamach. Andrzej odwrócił głowę i zobaczył, że udało im się dogonić małpę. Przewrócili ją na ziemię, złapali za łapy i zaczęli miarowo huścić, śpiewając przy tym ponurą, pozagrobową pieśń.

Z naprzeciwnika mknęły rzadkie latarnie i ciemne, zupełnie nie oświetlone, jakby wymarłe dzielnice. Potem pojawił się niewyraźny, żółtawy masyw synagogi i Andrzej zobaczył Budynek.

Stał pewnie i trwale, jakby od zawsze, przez wiele dziesięcioleci zajmował przestrzeń między pokrytą rysunkami swastyk ścianą synagogi i niechlujnym kinem, które w zeszłym tygodniu ukarano grzywną za pokaz filmów pornograficznych w godzinach nocnych. Stał tam, gdzie jeszcze wczoraj rosły rachityczne drzewka, w niepotrzebnie ogromnej, brzydkiej, cementowej misie słabiutkim strumieniem tryskała fontanna, a ze sznurowych huštawek zwisały piszczące dzieciaki.

Rzeczywiście był czerwony, z cegły i trzypiętrowy. Okna na parterze zasłaniały okiennice, kilka okien na pierwszym i drugim piętrze świeciło na żółto i różowo. Dach pokrywała ocynkowana blacha, obok jedyne komina zamocowano dziwną antenę z poprzecznymi prętami. Do drzwi rzeczywiście prowadziły cztery schodki, lśniła miedziana klamka. Im dłużej Andrzej patrzył na ten budynek, tym wyraźniej słyszał jakąś uroczystą i ponurą melodię. Mimochodem przypomniał sobie, że wielu świadków zeznawało, jakoby w Budyńku grała muzyka...

Andrzej poprawił daszek czapki, żeby nie zasłaniał mu oczu, i popatrzył na kierowcę. Ponury tłuścioch siedział nastroszony, głowę wciągnął w podniesiony kołnierzyk i sennie palił, trzymając papierosa w zębach.

- Widzisz go? - zapytał Andrzej półgłosem. Tłuścioch niezgrabnie odwrócił się i odsunął kołnierz.

-Co?

- Pytam, czy widzisz dom? - zapytał zirytowany Andrzej.

- Ślepy nie jestem - mruknął pośepnie policjant.

- Widziałeś go tu wcześniej?

- Nie - odpowiedział policjant. - Tutaj nie. Gdzie indziej widziałem. A bo co? Tutaj nocą nie takie rzeczy można zobaczyć...

Muzyka w uszach Andrzeja rozbrzmiewała z ponurą siłą, słabo słyszał policjanta. Odbywał się jakiś ogromny pogrzeb, dziesiątki tysięcy ludzi płakało, żegnając swoich bliskich i ukochanych, a grzmiąca muzyka nie pozwalała się im uspokoić, zapomnieć, wyłączyć się...

- Poczekał tu na mnie - rzucił Andrzej do policjanta, ale policjant nie odpowiedział. Nie było w tym zresztą nic dziwnego; został ze swoim motocyklem po tamtej stronie ulicy, gdy Andrzej stał już na kamiennych schodkach przed wysokimi dębowymi drzwiami z miedzianą klamką.

Andrzej popatrzył w prawo, na ciągnącą się wzdłuż ulicy Głównej mgłę, popatrzył w lewo, gdzie również było pełno mgły, na wszelki wypadek pożegnał się z tym wszystkim i położył dłoń w rękawiczce na wymyślnie kutej lśniącej miedzi.

Za drzwiami znalazł niewielki, cichy przedpokój, oświetlony żółtawym światłem. Pęki płaszczy, palt i szyneli zwisały z rozłożystego jak palma wieszaka. Na podłodze leżał przetarty dywan w blade, nieokreślone wzory. Na wprost prowadziły do góry szerokie marmurowe schody, pokryte miękkim czerwonym chodnikiem, przyciśniętym do schodów metalowymi, starannie wyczyszczonymi prętami. Na ścianach wisiały jakieś obrazy, z prawej strony za dębową barierką też coś było, a obok stał ktoś, kto usłużnie wziął od Andrzeja teczkę i szepnął: "Bardzo proszę, na górę..." Andrzej nic nie mógł dojrzeć, okropnie przeszkadzał mu daszek czapki, który co chwila zjeżdżał na oczy i pozwalał zobaczyć tylko to, co pod nogami. W połowie schodów Andrzej pomyślał, że trzeba było oddać tę przeklętą czapkę wyłoczonemu typowi z galonami i bokobrodami do pasa. Ale teraz już za późno; tutaj wszystko tak urządzono, że można albo robić coś w swoim czasie, albo nie robić w ogóle, i żadnego kroku ani ruchu nie dało się cofnąć. Z westchnieniem ulgi Andrzej wszedł na ostatni stopień i zdjął czapkę.

Gdy tylko pojawił się w drzwiach, obecni wstali, ale on nie patrzył na nikogo. Widział tylko swojego partnera, niewysokiego, niemłodego już mężczyznę w półwojskowym ubraniu, w błyszczących chromowych butach, męcząco do kogoś podobnego, a jednocześnie zupełnie nieznanego.

Wszyscy stali nieruchomo wzdłuż ścian, białych marmurowych ścian, ozdobionych złotem i purpurą, udrapowanych jaskrawymi, różnobarwnymi sztandarami... nie, nie różnobarwnymi, wszystkie były czerwonozłote. Z nieskończenie wysokiego sufitu zwisały ogromne purpurowozłote płótna, jak wstęgi niewiarygodnej zorzy polarnej. W ścianach umieszczono wysokie, półokrągłe nisze. W ich mroku dumnie skromnie kryły się popiersia, marmurowe, gipsowe, brązowe, złote, malachitowe, stalowe... z nisz wiało chłodem grobów, wszyscy marzli, wszyscy ukradkiem rozcierali ręce i jeżyli się, ale mimo to stali wyprężeni, patrząc wprost przed siebie. Tylko ten jeden starszy człowiek w półwojskowym stroju, partner, przeciwnik, powoli, bezszelestnie przechadzał się po pustej przestrzeni na środku sali, lekko schylając siwiejącą potężną głowę; ręce założył do tyłu, lewą dłonią ściskając prawą. Gdy Andrzej wszedł, a inni wstali i stali tak już jakiś czas, i gdy pod sklepieniem sali ucichło zagubione w purpurze i złocie, ledwie słyszalne westchnienie jakby ulgi, człowiek ciągle jeszcze się przechadzał. Potem nagle zatrzymał się w pół kroku i bardzo uważnie, bez uśmiechu popatrzył na Andrzeja. Andrzej zobaczył, że jego włosy są rzadkie i siwe, czoło niskie, sumiaste wąsy też są rzadkie i starannie przystrzyżone, a obojętna twarz - żółtawa, o nierównej, jakby pooranej skórze.

Nie była potrzebna ani prezentacja, ani powitalne mowy. Usiedli przy inkrustowanym stoliku-szachownicy, Andrzej dostał czarne, a jego partner w podeszłym wieku - białe, a właściwie nie białe, tylko żółtawe. Człowiek o pooranej twarzy wyciągnął małą, nie owłosioną ręką, dwoma palcami ujął pionek i wykonał pierwszy ruch. Andrzej od razu przesunął swojego pionka, cichego, niezawodnego Wana, który zawsze chciał tylko jednego - żeby zostawiono go w spokoju. Tutaj będzie miał zapewniony niejaki, choć wątpliwy i względny spokój; tutaj, w samym centrum wydarzeń, które rozwiną się w sposób nieunikniony. Wanowi będzie ciężko, ale właśnie tutaj będzie można go wesprzeć, osłonić, ochronić - długo, może nawet nieskończenie długo.

Dwa pionki stały naprzeciw siebie, twarzą w twarz. Mogły się dotknąć, mogły wymieniać się nic nie znaczącymi słowami, mogły po prostu być z siebie dumne, dumne z tego, że właśnie one, zwyczajne pionki, wyznaczyły sobą tę oś, wokół której rozwinie się cała gra. Ale nie mogły wyrządzić sobie żadnej krzywdy, były wobec siebie neutralne, znajdowały się w różnych bitewnych wymiarach - mały, żółty, bezkształtny Wan, z głową jak zawsze wciągniętą w ramiona, i krzepki, z krzywymi jak kawalerzysta nogami chłopek w burce i papasze, z wyjątkowo bujnymi wąsami, z

wystającymi kośćmi policzkowymi i przenikliwymi, lekko skośnymi oczami.

Na desce znowu zapanowała równowaga. Powinna potrwać dosyć długo - Andrzej wiedział, że jego partner, człowiek niebywale ostrożny, zawsze sądził, że najcenniejsi są ludzie. A więc w najbliższym czasie Wan był bezpieczny. Andrzej odszukał go w szeregach i uśmiechnął się do niego, ale od razu odwrócił wzrok - napotkał uważne i smutne spojrzenie Donalda.

Partner zastanawiał się, niespiesznie postukując ustnikiem długiego papierosa po inkrustowanej masą perłową powierzchni stolika. Andrzej zerknął na zamarte pod ścianami rzędy, ale teraz patrzył nie na swoich, ale na tych, którymi dysponował jego przeciwnik. Wśród nich niemal nie widział znajomych twarzy: jacyś ludzie po cywilnemu o nieoczekiwanie inteligentnym wyglądzie, brodaci, w binoklach, w staromodnych krawatach i kamizelkach; wojskowi w niezwykłych mundurach, z wieloma rombami na naszywkach, z orderami przymocowanymi do podkładek zmory... Skąd on ich wziął, pomyślał zdziwiony Andrzej i znowu popatrzył na wysuniętego do przodu pionka. Ten pionek był mu co najmniej dobrze znany - człowiek o legendarnej niegdyś sławie, który, jak szeptali dorośli, nie spełnił pokładanych w nim nadziei i teraz, można powiedzieć, zszedł ze sceny. Najwyraźniej o tym wiedział, ale chyba nie smuciło go to zbytnio - stał, mocno wczepiony w parkiet krzywymi nogami, podkreślał swoje gigantyczne wąsy, rozglądał się spode łba. Bił od niego ostry zapach wódki i końskiego potu.

Partner podniósł rękę i przesunął drugiego pionka. Andrzej zamknął oczy. Tego się nie spodziewał. No jak to - tak od razu? Jak to? Przystojna blada twarz, natchniona, a jednocześnie odpychająca i dumna, błękitnawe binokle, wytworna, wijąca się bródka, czarne włosy nad jasnym czołem. Andrzej nigdy przedtem nie widział tego człowieka i nie wiedział, kim jest, ale wydawało mu się, że to ważna osoba. Z krzywonogim chłopem w burce rozmawiał władczo i krótko, a ten tylko ruszał węsami, mięśnie grały mu na policzkach i przez cały czas odwracał lekko skośne oczy, jak ogromny dziki kot przed pewnym siebie pogromcą.

Andrzeja nie obchodziły ich stosunki - teraz ważył się los Wana, los małego, umęczonego przez życie Wana, który już zupełnie wciągnął głowę w ramiona, jakby był przygotowany na najgorsze. Mógł zdarzyć się tylko jeden z trzech wariantów - albo jego, albo on, albo wszystko zostaje tak jak jest; życie tych dwojga zawisa w nieokreśloności - w podniosłym języku strategów nazywa się to "nieprzyjemny gambit hetmański". Andrzej znał tę możliwość, wiedział też, że to posunięcie jest zalecane przez autorów podręczników, wiedział, że to podstawy. Ale nie mógł znieść myśli o tym, że Wan jeszcze przez kilka długich godzin gry musi trwać w niepewności, oblewając się zimnym potem śmiertelnego strachu, a nacisk na niego będzie przez cały czas rósł, aż potworne napięcie w tym punkcie stanie się nie do zniesienia, gigantyczny krwawy wrzód pęknie i po Wanie nie zostanie nawet ślad.

Nie wytrzymam tego, pomyślał Andrzej. A zresztą... przecież ja zupełnie nie znam tego człowieka w binoklach, co on mnie obchodzi, dlaczego właśnie ja mam się nad nim litować, skoro mój genialny partner myślał zaledwie kilka minut, zanim zdecydował się go poświęcić... Andrzej zdjął z deski biały pionek i postawił na jego miejscu swój, czarny i w tym samym momencie zobaczył, jak dziki kot w burce nagle, pewnie po raz pierwszy w życiu popatrzył pogromcy prosto w oczy, obnażając w pożądanym uśmiechu żółte od tytoniu kły. Jednocześnie jakiś smagły, z oliwkową twarzą człowiek, nie wyglądający ani na Rosjanina, ani nawet na Europejczyka, prześliznął się między rzędami do błękitnych binokli, zamachnął się wielką, zardzewiałą łopatą i binokle błękitną błyskawicą wystrzeliły w bok. Człowiek o bladej twarzy wielkiego trybuna i niespełnionego tyrauna cicho krzyknął, nogi mu się ugięły i nieduże ciało poturlało się po rozpalonych tropikalnym słońcem, wyszczerbionych starych schodach, brudząc się białym pyłem i jasnoczerwoną, lepką krwią...

Andrzej odetchnął, przełknął tkwiący w gardle kłęb i znowu popatrzył na deskę.

A tam obok siebie stały już dwa pionki. Środek miał w rękach strategiczny geniusz, a prosto w pierś Wana wycelowana była płonąca źrenica nieuniknionej śmierci. Nie mieli czasu na długie zastanawianie się, teraz chodziło już nie tylko o Wana: chwila zwłoki i biały goniec wyrwie się na operacyjną przestrzeń - od dawna już tym marzył, ten wysoki postawny przystojniak, obwieszony gwiazdozbiorami orderów, znaczków, rombów, naszywek; dumny i piękny, o lodowatych oczach i pulchnych dzieciennych ustach, chluba młodej armii, duma młodego kraju, zwycięski przeciwnik takich jak on, obsypanych medalami, znaczkami, naszywkami wyniosłych pyszałków zachodniej taktyki wojskowej. Co dla niego znaczył Wan? Dziesiątki, tysiące takich Wanów zarabiał własną ręką - brudnych, zawszonych, głodnych, ślepo w niego wierzących, którzy na jedno jego skinienie z przekleństwem na ustach szli bezbronni na czołgi i cekaemy, a ci z nich, którzy cudem przeżyli, teraz już od-chuchani i odpasieni, w każdej chwili byli gotowi powtórzyć wszystko od początku...

Nie, temu człowiekowi nie można oddać ani Wana, ani środka. I Andrzej szybko przesunął stojący na podorędziu pionek, nie patrząc kto to i myśląc tylko o jednym: osłonić, wesprzeć Wana, ochronić go, choćby od tyłu, pokazać wielkiemu czołgście, że owszem, Wan jest w jego władzy, ale dalej i tak nie uda mu się przejść. I wielki czołgista zrozumiał to, zakrył swoje błyszczące oczy pięknymi, ciężkimi powiekami. Ale i on, i Andrzej (który zrozumiał to potem w jednym strasznym przebłysku) zapomnieli, że decyzja nie należy do nich - nie do pionków i gońców, nawet nie do wież czy hetmanów. I gdy tylko mała, nie owłosiona ręka zawisła nad deską, Andrzej zrozumiał, co się teraz stanie.

- Poprawiam... - wycharczał zgodnie z honorowym kodeksem gry i tak szybko, że w palce złapał go skurcz, zamienił miejscami Wana i tego, kto go wspomagał. Sukces uśmiechnął się do niego blado: Wana wspierał, a teraz zastąpił Walka Sojfertis, z którym Andrzej przesiedział sześć lat w jednej ławce, a który i tak już umarł w czterdziestym dziewiątym roku podczas operacji wrzodu żołądka.

Genialny partner powoli unióśł brązowe brwi, ze zdziwieniem i drwiną zmrużył nakrapiane oczy. Nie rozumiał tego ruchu, bezmyślnego z taktycznego i strategicznego punktu widzenia. Geniusz przesunął małą, słabą rękę, zatrzymał ją nad gońcem, odczekał jeszcze kilka sekund, zastanawiając się, po czym jego palce zamknęły się na lakierowanej główce figury. Goniec ruszył naprzód, cichutko stuknął o czarny pionek, przesunął go i zajął jego miejsce. Genialny strateg nie zdążył jeszcze zdjąć z pola zbitego pionka, a grupa ludzi w białych kitlach, skupionych i rzeczowych, już otoczyła łóżko, na którym leżał Walka Sojfertis - po raz ostatni Andrzej spojrzał na ciemny, wymęczony chorobą profil i łóżko zniknęło w drzwiach sali operacyjnej...

Andrzej popatrzył na wielkiego czołgistę i zobaczył w jego szarych, przezroczystych oczach ten sam strach i przygnębiające zdziwienie, które odczuwał sam. Czołgista, bez przerwy mrugając, patrzył na genialnego stratega i nic nie rozumiał. Przywykł do myślenia w kategoriach przemieszczania w przestrzeni wielkiego mnóstwa maszyn i ludzi. W swojej naiwności i prostocie przyzwyczał się uważać, że wszystko raz na zawsze rozstrzygną jego sunące zdecydowanie przez obce ziemie pancerne armady i wielosilnikowe, załadowane bombami i spadochroniarzami latające twierdze, płynące w obłokach nad cudzymi ziemiami. Zrobił wszystko, żeby to jasne marzenie mogło zostać zrealizowane w dowolnej chwili, kiedy tylko będzie to konieczne... Zapewne czasem pozwalał sobie na minuty zwątpienia w genialność stratega, w jego umiejętność jednoznacznego określenia nieodzownego momentu i pożądanego kierunku pancernego uderzenia. A mimo to teraz nie mógł - a potem już nie zdążył - zrozumieć, jak można było złożyć w ofierze właśnie jego, takiego utalentowanego, takiego niestrudzonego i niepowtarzalnego, jak można było poświęcić to wszystko,

co zostało stworzone z takim trudem i wysiłkiem...

Andrzej, nie chcąc na niego patrzeć, szybko zdjął go z deski. Na jego miejscu postawił Wana. Ludzie w błękitnych czapkach precyzyjnie przeszli przez rzędy obserwatorów, brutalnie schwycili wielkiego czołgistę za ręce, odebrali mu broń, z trzaskiem uderzyli w ładną, rasową twarz i zawlekli do kamiennego worka. Genialny strateg odchylił się na oparcie krzesła, z zadowoleniem zmrużył oczy, złożył ręce na piersi i zaczął kręcić kciukami. Był zadowolony. Oddał gońca za pionka i ucieszyło go to. I wtedy Andrzej zrozumiał, że w jego, stratega, oczach to wszystko wygląda zupełnie inaczej: zręcznie i nieoczekiwanie usunął gońca i jeszcze dodatkowo zyskał pionka - oto jak wyglądało to naprawdę...

Wielki strateg był czymś więcej niż strategiem. Strateg zawsze obraca się w ramach swojej strategii. Wielki strateg zrezygnował ze wszelkich ram. Strategia była zaledwie nic nie znaczącym elementem jego gry, była dla niego tak samo przypadkowa, jak dla Andrzeja jakiś zrobiony dla kaprysu ruch. Wielki strateg został wielkim właśnie dlatego, że rozumiał (a może wiedział to od urodzenia?): nie ten wygrywa, kto umie grać zgodnie z zasadami, lecz ten, kto w odpowiednim momencie umie ze wszelkich zasad zrezygnować; narzucić grze swoje, nie znane przeciwnikowi reguły, a także, jeśli zachodzi taka potrzeba, zrezygnować nawet z nich. Kto powiedział, że twoje figury są mniej niebezpieczne od figur przeciwnika? Kto powiedział, że należy strzec króla i chronić go przed szachem? Bzdura, nie ma królów, których w razie czego nie można i by było zastąpić koniem czy nawet pionkiem. Kto powiedział, że pionek, który przedarł się na ostatnią poziomą linię, zawsze staje się figurą? Nic podobnego, czasem bardziej się opłaca, aby pozostał pionkiem - niech sobie postoji na skraju przepaści, jako przestroga dla innych pionków...

Przekłęta czapka przez cały czas zjeżdżała Andrzejowi na oczy, było mu coraz trudniej obserwować, co dzieje się dookoła. Słyszał jednak, że na sali już nie panuje pełna szacunku cisza; rozlega się brzęk naczyń, gwar wielu głosów, dźwięki strojącej instrumentu orkiestry. Z kuchni dolatywał dym. Jakiś głos wołał piskliwie na cały dom:

- Żorż! Cholehnie zgłodniałem! Każ mi podać kieliszek kiuhaso i anianiasa!...

- Proszę mi wybaczyć - powiedział ktoś z urzędową uprzejmością, przeciskając się między Andrzejem a deską. Mignęły czarne fałdy, wyczyszczone lakierowane buty, wysoko podniesiony biały rękaw z zastawioną tacą przepłynął nad jego głową. Jakaś nieznaną ręką postawiła przy łokciu Andrzeja kieliszek szampana.

Genialny strateg w końcu obstukał i wymiał swojego papierosa do tego stopnia, że nadawał się do użytku. Zapalił. Sinawy dymek popłynął z jego włochatych nozdrzy, płacząc się w sumiastych, rzadkich wąsach.

Gra trwała dalej. Andrzej gwałtownie się bronił, cofał, manewrował i na razie udawało mu się robić tak, żeby ginęli tylko ci, którzy i tak byli już martwi. Wyniesiono Donalda z przestrzelonym sercem, a na stoliku obok kieliszka położono jego pistolet i list: "Przychodząc nie ciesz się, odchodząc - nie smuć. Pistolet oddać Woroninowi. Kiedyś mu się przyda"... Brat z ojcem znieśli po oblodzonych schodach i położyli na stosie trupów ciało babci, Eugenii Romanowej, zaszyte w stare prześcieradła... Ojca pochowano we wspólnym grobie, gdzieś na Piskariewce, posępny kierowca, zasłaniając zarośniętą twarz od ostrego wiatru, przejechał walcem po zamrożonych trupach, ugniótł je, żeby jak najwięcej zmieściło się do jednego grobu... A wielki strateg hojnie, wesoło, z mściwą radością rozprawiał się ze swoimi i cudzymi. Wszyscy jego zadbani ludzie z bródkami i orderami strzelali sobie w głowę, rzucali się z okien, umierali w potwornych torturach, szli po trupach na gońców i pozostawiali pionkami...

Andrzej przez cały czas próbował zrozumieć, w co gra, jaki jest cel tej gry i jej zasady, i w ogóle

po co to wszystko. Do samej głębi duszy przenikało go pytanie: jakim cudem został przeciwnikiem wielkiego stratega, on, wierny żołnierz jego armii, gotów w każdej chwili umrzeć za niego, zabijając w jego imię, nie znający żadnych innych celów prócz jego celów, nie wierzący w żadne środki oprócz wskazanych przez niego, nie odróżniający zamysłów wielkiego stratega od zamysłów Wszechświata. Chciwie, nie czując smaku, wychleptał szampana i wtedy nagle spłynęło na niego zrozumienie. Przecież on wcale nie jest przeciwnikiem wielkiego stratega! Tak, to oczywiste! Jest jego sprzymierzeńcem, wiernym pomocnikiem - oto główna zasada gry! Gracze nie są przeciwnikami - są partnerami, sojusznikami, grają do jednej jedynej bramki, nikt nie przegrywa, wszyscy wygrywają... oprócz tych, którzy nie doczekali zwycięstwa...

Ktoś dotknął pod stołem jego stopy i powiedział:

- Niech pan łaskawie przesunie nogę...

Andrzej zajrzał pod stół. Ciemniała tam lśniąca kałuża, a przy niej krzątał się na czworakach łysy karzełek z wielką, suchą szmatą pokrytą ciemnymi palmami. Andrzejowi zrobiło się niedobrze. Znowu spojrzął na deskę. Poświęcił wszystkich martwych, zostali mu już tylko żywi. Wielki strateg po przeciwnej stronie stolika obserwował go z ciekawością i chyba nawet kiwał z aprobatą głową, w uprzejmym uśmiechu obnażając rzadkie zęby. Andrzej poczuł, że nie wytrzyma dłużej. To była największa, najszlachetniejsza z gier, gra w imię najwspanialszych celów, jakie kiedykolwiek stawiała przed sobą ludzkość. Ale Andrzej nie mógł w nią dłużej grać.

- Muszę wyjść... - wychrypiał. - Na chwilę.

Powiedział to tak cicho, że sam ledwie usłyszał własne słowa, ale wszyscy od razu popatrzyli na niego. W sali znowu zapanowała cisza. Daszek czapki już mu nie przeszkadzał i Andrzej mógł teraz dokładnie zobaczyć wszystkich swoich, wszystkich, którzy jeszcze żyli.

Ogromny wujek Jura w swojej rozchełstanej, wypłowiałej bluzie patrzył na niego ponuro, paląc skręta; uśmiechała się pijana Selma, rozwalona w fotelu, z nogami zadartymi tak, że widać jej było pupę w koronkowych różowych majteczkach; Kensi patrzył poważnie i ze zrozumieniem, a obok niego stał rozczochrany, jak zwykle zwierzęco zarośnięty, nieobecny duchem Wołodźka Dmitrijew. Na wysokim, zabytkowym krześle, z którego dopiero co podniósł się Sewa Barabanów, udając się w swoją kolejną i tym razem ostatnią tajemniczą podróż służbową, zasiadał teraz, krzywiąc się z odrazą, Borka Czystiakow ze swoim arystokratycznie garbatym nosem, jakby chciał zapytać: "No i co się wydzierasz jak chory słoń?" Byli tutaj wszyscy, sami najdrożsi i najbliżsi, i patrzyli na niego, każdy inaczej, a jednocześnie było w ich spojrzeniach coś zbliżonego, jakieś wspólne uczucie do niego: zaufanie? współczucie? żal? Nie, chyba jednak coś innego. Nie dowiedział się, co to takiego - nagle wśród starych znajomych zobaczył kogoś obcego, jakiegoś Azjatę z żółtą twarzą i skośnymi oczami. Nie, to nie Wan, to jakiś wytworny, elegancki Azjata. I Andrzejowi wydawało się, że za plecami nieznanego chowa się mały, brudny, obdarty, zapewne bezdomny dzieciak...

Wstał, ostro, z szurnięciem odsunął krzesło, odwrócił się do wszystkich tyłem, zrobił jakiś nieokreślony gest w stronę i pod adresem wielkiego stratega i pospiesznie wyszedł z sali, przeciskając się między czyimiś ramionami a brzuchami, odsuwając kogoś z drogi. Jakby chcąc go uspokoić, ktoś w pobliżu rzekł:

-No cóż, to zgodne z zasadami, niech pomyśli, zastanowi się... Trzeba tylko zatrzymać zegar...

Andrzej zupełnie opadł z sił, był mokry od potu. Wyszedł na półpiętro i usiadł na dywanie, niedaleko buzującego ogniem kominka. Czapka znowu spadła mu na oczy i nawet nie próbował zobaczyć, co to za kominek i kto tam przy nim siedzi. Tylko czuł mokrym i obolałym ciałem delikatną suchość żaru i widział na swoich butach podeschnięte, ale ciągle jeszcze lepkie plamy, i słyszał przez przytulne potrzaskiwanie płonących polan, jak ktoś niespiesznie, ze smakiem, wsłuchując się we

własny aksamitny głos, opowiada:

-... Wyobraźcie sobie - chłopak jak malowanie, barczysty, kawaler trzech Orderów Chwały, a całą kokardę tych orderów, muszę wam powiedzieć, nie każdemu dawali, takich było nawet mniej niż Bohaterów Związku Radzieckiego. Wspaniały towarzysz, uczył się bardzo dobrze, no i tak dalej. Ale miał, muszę wam powiedzieć, jedno dziwactwo. Zdarzało się, przyjdzie na imprezę w domu synka jakiegoś tam generała albo marszałka, ale jak tylko te wszystkie szery i monszery się rozejdą, wychodzi po cichu do przedpokoju, czapka na głowę i do widzenia. Na początku myśleliśmy, że ma kogoś na stałe. Ale nie, kumple ciągle widzieli go w miejscach publicznych - w parku Gorkiego, w różnych tam klubach, - z jakimiś wyjątkowymi łachudrami, i to za każdym razem z inną. Ja też go kiedyś spotkałem. Patrzę - ale sobie wybrał! Prawdziwy strach na wróble, pończochy zwinięte jak obwarzanki wokół chudych kostek, wymalowana jak nieszczęście... a wtedy przecież nie było dzisiejszych kosmetyków, panny niemalże pastą do butów brwi smarowały... I w ogóle, jak się to mówi, wyraźny mezalians. A on nic. Prowadzi ją delikatnie pod rączkę, coś tam jej bajdurzy, wszystko jak należy. A ona topnieje jak wosk - i dumna, i wstydzi się - pełne majtki radości... No i któregoś dnia zaczęliśmy go z kumplami wypytywać: gadaj zaraz, co ty masz za spaczony gust, jak ci nie wstyd chodzić z takimi wywłokami, gdy najładniejsze dziewczyny oczy za tobą wypatrują... A trzeba wam wiedzieć, że w naszej Akademii był instytut pedagogiczny, taki bardziej dla uprzywilejowanych, mogły do niego uczęszczać tylko panienki z najlepszych rodzin... Na początku zbywał nas żartami, ale potem poddał się i oto co nam opowiedział. Ja, mówi, towarzysze, wiem, że mam, jak to powiadają, wszystkie zalety: i urodę, i ordery, i w ogóle całą gębą pan. Sam to wiem i sterty liścików na ten temat dostałem. Ale miałem tu, mówi, jedną taką przygodę. Zobaczyłem, jak nieszczęśliwe są kobiety. Przez całą wojnę żyły bez żadnej nadziei, głodowały, harowały jak woły, dawno zapomniały, co to znaczy być piękną i pożądaną. I ja, mówi, postanowiłem sobie, że przynajmniej niektórym z nich dam możliwość przeżyć coś takiego, żeby już do końca życia miały co wspominać. Poznaje, mówi, taką motorniczą albo robotnicę z "Sierpa i młota". Albo nieszczęśliwą nauczycielką, która nawet przed wojną nie mogła liczyć na szczęście, a teraz, gdy tylu mężczyzn zabili, to już w ogóle nie ma się czego spodziewać. Spędzam z nimi dwa, trzy wieczory, mówi, a potem znikam, żegnam się, oczywiście, kłamię, że jadę w długą służbową podróż albo mówię coś w tym stylu, i zostawiam je z tym pięknym wspomnieniem... Mają chociaż jedną piękną chwilę w swoim życiu. Nie wiem, jak to wygląda z punktu widzenia wyższej moralności, ale ja mam wrażenie, że w ten sposób wypełniam przynajmniej jakąś część naszego wspólnego męskiego obowiązku... Opowiedział nam to wszystko, a my zbaranieliśmy. Potem, oczywiście, zaczęliśmy się spierać, ale wywarł na nas niesamowite wrażenie. Wkrótce potem gdzieś zniknął. Wtedy wielu z nas tak zniknęło: rozkaz objęcia dowództwa, a w wojsku nie pytasz, dokąd i po co... Więcej go nie widziałem...

I ja też, pomyślał Andrzej. Ja też więcej go nie widziałem. Przyszły dwa listy - jeden do mamy, a drugi do mnie. Mama dostała wiadomość: "Pani syn, Siergiej Michajłowicz Woronin, zginął śmiercią bohatera podczas wypełniania bojowego zadania dowodzenia". To było w Korei. Pod różowym, akwarelowym niebem Korei, gdzie wielki strateg po raz pierwszy próbował swoich sił w starciu z imperializmem. On prowadził swoją wielką grę, a Sierioża został tam ze swoim kompletem Orderów Chwały...

Nie chcę, pomyślał Andrzej. Nie chcę tej gry. Może tak właśnie powinno być, może inaczej nie można. Może. Nawet na pewno. Ale ja nie mogę... Nie umiem. I nie chcę się nauczyć... No cóż, pomyślał z goryczą. To znaczy, że nie jestem dobrym żołnierzem. A raczej - że jestem po prostu żołnierzem. Tylko żołnierzem. Tym, który nie umie myśleć i dlatego powinien ślepo wykonywać rozkazy. Żaden ze mnie partner czy sojusznik wielkiego stratega. Jestem małym trybikiem w jego

kolosalnej maszynie i moje miejsce ani przy jego stole, ani przy jego grze. Moje miejsce obok Wana, wujka Jury, Selmy... Jestem malutkim astronomem o przeciętnych zdolnościach i gdyby udało mi się udowodnić, że istnieje jakiś związek między wiązkami pary i strumieniami Schilta, to już byłoby dla mnie bardzo dużo. A co się tyczy wielkich decyzji i wielkich dokonań...

I wtedy przypomniał sobie, że nie jest już astronomem, tylko śledczym w prokuraturze, i że udało mu się osiągnąć pewien sukces: przy pomocy specjalnie przygotowanej agentury i szczególnych metod wywiadowczych przyłapał ten tajemniczy Czerwony Budynek, przeniknął do jego wnętrza, odkrył jego złowieszcze tajemnice i stworzył wszelkie przesłanki do pomyślnej likwidacji tego złośliwego zjawiska naszego życia...

Podpierając się rękami, spelzł schodek niżej. Jeśli teraz wrócę do stołu, już się nie wyrwę. Budynek mnie połknie. To oczywiste, połknał już niejednego, są na to świadkowie. Ale chodzi nie tylko o to. Chodzi o to, że muszę wrócić do swojego gabinetu i rozplatać tę zagadkę. To mój obowiązek. Oto co powinienem teraz zrobić. Reszta - to miraż...

Zsunął się jeszcze o dwa schodki. Trzeba uwolnić się od mirażu i wrócić do pracy. To wszystko nie jest przypadkiem. Zostało dokładnie przemyślane. To makabryczny iluzjon, stworzony przez prowokatorów, którzy próbują zniszczyć wiarę w ostateczne zwycięstwo wypaczyć pojęcia obowiązku i moralności. I nie przypadkiem po jednej stronie Budynku stoi to brudne kino "Nowy Iluzjon". Nowy! W pornografii nie ma niczego nowego, a on jest nowy! Wszystkiej jasne! A po drugiej stronie co? Synagoga...

Szybko zszedł po schodach i dotarł do drzwi z napisem "Wyjście". Już kładł rękę na klamce, już ją naciskał, już pokonywał sprzeciw skrzypiącej sprężyny, gdy nagle zrozumiał, co takiego wspólnego było we wpatrzonych w niego oczach ludzi tam na górze. Wyrzut. Wiedzieli, że nie wróci. On nawet się tego nie domyślał, a oni byli pewni...

Wypadł na ulicę, chciwie odetchnął wilgotnym, mglistym powietrzem i z zamierającym ze szczęścia sercem zobaczył, że nic się nie zmieniło: w jedną i w drugą stronę ulicy Głównej ciągnęła się mgła. Naprzeciwko, na wyciągnięcie ręki stał motocykl z koszem, a w nim śpiący policjant z ukrytą w kołnierzu głową. Chrapie, grubas jeden, pomyślał z rozczuleniem Andrzej. Zmordowany. I wtedy jakiś głos w jego głowie zawołał głośno: "Czas!" Andrzej zajęczał, zaszlochał z rozpacz - dopiero teraz przypomniał sobie najważniejszą i najstraszniejszą zasadę gry. Zasadę, która została specjalnie wymyślona dla takich inteligenckich mazgajów i paniczyków: kto przerwał partię, ten się poddał; kto się poddał, tracił wszystkie swoje figury.

Z krzykiem "Nie!" Andrzej odwrócił się do miedzianej klamki, ale było już za późno. Dom odchodził. Powoli wycofywał się w nieprzeniknioną ciemność mrocznych zabudowań na tyłach synagogi i "Nowego Iluzjonu". Odchodził z szuraniem, zgrzytem, skrzypieniem, brzęcząc szybami, postępując belkami stropu. Od dachu oderwała się dachówka i rozbiła o kamienny schodek.

Andrzej z całych sił naciskał miedzianą klamkę, ale jakby przyrosła do drewna drzwi. Dom sunął coraz szybciej, Andrzej biegł, włókł się za nim jak za odjeżdżającym pociągiem, szarpał za klamkę, nagle potknął się i upadł, jego zaciśnięte palce ześliznęły się z gładkich miedzianych zawijasów, uderzył w coś mocno głową, pociemniało mu w oczach i chrupnęło w czaszce. Ale widział jeszcze, jak dom się cofa, w biegu gasi okna, skręca za żółtą ścianę synagogi, znika, znów się pojawia, jakby wyglądając zza rogu dwoma ostatnimi oświetlonymi oknami. Potem te okna też zgasły i zapadła ciemność.

ROZDZIAŁ 3

Siedział na ławce przed idiotyczną cementową misą fontanny i przyciskał mokrą, nagrzaną chusteczkę do potężnej, niemiłej w dotyku śliwy nad prawym okiem. Nic nie widział, w głowie łupało tak, że bał się, czy nie pękła czaszka, bolały rozbite kolana, stłuczony łokieć zdrętwiał, ale wszystko wskazywało na to, że już wkrótce da o sobie znać. A zresztą może tak było lepiej. Dzięki temu wydarzenia nabierały ordynarnego realizmu. Nie było żadnego Budynku, żadnego Stratega i ciemnej kałuży pod stołem, nie było szachów ani zdrady. Istniał tylko człowiek w ciemnościach, który się zagapił, przeleciał przez cementową barierkę i wyrzwał prosto w tę kretyńską misę, przywalił głupim łbem i całą resztą o mokre cementowe dno...

Oczywiście, Andrzej doskonale wiedział, że to wszystko nie jest takie proste. Ale przyjemnie było myśleć, że może jednak po prostu szedł, zahaczył i przywalił - wtedy cała sytuacja robiła się nawet zabawna, a przynajmniej wygodna. I co ja mam teraz robić, myślał mgliście. No, znalazłem ten Budynek, byłem w nim, widział wszystko na własne oczy... I co dalej? Nie maltretujcie mojej głowy, mojej biednej bolącej głowy tym całym rozprawianiem o plotkach, mitach i innej propagandzie. To po pierwsze. Nie męczcie... A zresztą, przepraszam - zdaje się, że to ja wszystkich tym męczyłem. Trzeba natychmiast wypuścić tego... jak go tam... tego z fletem. Ciekawe, czy ta jego Ella też grała tam w szachy?... Do licha jak mnie boli głowa ...

Chustka była już zupełnie ciepła. Andrzej, stękając, podniósł się, doczłapał do fontanny, przechylił się i potrzymał mokrą szmatkę; pod lodowatym strumieniem. W śliwie ktoś od wewnątrz tłukł gorąco i wściekle. Masz swój mit. I miraż... Wyjął chusteczkę, znowu przyłożył do bolącego miejsca i popatrzył na drugą stronę ulicy. Grubas spał dalej. Tłuste bydlę, pomyślał ze złością Andrzej. I to się nazywa, że jest na służbie. Po co ja cię ze sobą brałem? Sto razy mogli mnie tu stuknąć... No jasne, a to bydlę by się wyspało, przyjechało rano do prokuratury i zameldowało jakby nigdy nic: pan śledczy, jak wszedł wczoraj do Czerwonego Budynku, tak się więcej nie pokazał... Przez chwilę Andrzej zabawiał się myślą, jak dobrze by było zaczerpnąć teraz wiadro lodowatej wody, podkraść się do tego tłustego drania i wylać mu ją za kołnierz. Dopiero by podskoczył. Podobnie się chłopaki zabawiali na zebraniach: przyśnie któryś, to mu but za sznurówkę do przyrodzenia przywiążą, a potem położą mu go na mordzie. Ten się budzi, wścieka i z potworną siłą ciska but przed siebie... Śmiechu było...

Andrzej wrócił na ławkę i zobaczył, że ma sąsiada. Jakiś malutki, chudziutki człowieczek, cały na czarno, nawet koszulę miał czarną, siedział założywszy nogę na nogę i trzymając na kolanach staromodny melonik. Pewnie stróż przy synagodze. Andrzej ciężko usiadł obok niego, delikatnie obmacując śliwę.

- No dobrze - powiedział człowieczek jasnym, starczym głosem. - A co będzie dalej?

- Nic takiego - odpowiedział Andrzej. - Wszystkich wyłapiemy. Ja tej sprawy tak nie zostawię.

- A później? - nalegał staruszek.

- Nie wiem - zastanowił się Andrzej. - Może pojawi się jeszcze jakieś inne draństwo.

Eksperyment to Eksperyment. Trochę potrwa.

- Wieczność - zauważył staruszek. - Zgodnie z dowolną religią to wieczność.

- Religia nie ma tu nic do rzeczy - zaprotestował Andrzej.

- Nawet teraz tak pan myśli? - zdziwił się staruszek.

- Oczywiście. Zawsze tak myślałem.

- Dobrze, na razie o tym nie mówmy. Eksperyment to Eksperyment, sznurek to tylko zwykły sznurek... wielu się tak pociesza. Prawie wszyscy. Zresztą tego nie przewidziała żadna religia. Ale ja

nie o tym. Dlaczego nawet tutaj pozostawiono nam wolną wolę? Wydawałoby się, że w królestwie absolutnego zła, w królestwie, na bramie którego napisano: "Porzućcie wszelką nadzieję..."

Andrzej czekał na dalszy ciąg, nie doczekał się i powiedział:

- Pan to sobie jakoś dziwnie wyobraża. To nie jest królestwo absolutnego zła. To raczej chaos, który mamy uporządkować. A jak zdołalibyśmy go uporządkować, gdybyśmy nie mieli wolnej woli?

- Interesująca myśl - odparł staruszek z zadumą. - Nigdy mi to nie przyszło do głowy. To znaczy, pan uważa, że mamy jeszcze jedną szansę? Coś w rodzaju batalionu karnego - zmyć krwią swoje grzechy w pierwszym szeregu odwiecznej walki dobra ze złem...

- Ale dlaczego "ze złem"? - zapytał Andrzej, coraz bardziej się irytując. - Zło to coś ukierunkowanego...

- Jest pan manichejczykiem! - przerwał mu staruszek.

- Jestem komsomolcem! - sprzeciwił się Andrzej, czując przyływ niezwykłej wiary i pewności siebie. - Zło zawsze było zjawiskiem klasowym. Nie ma zła ogólnego. A tutaj wszystko jest przemieszane, dlatego że tutaj jest Eksperyment. Dano nam chaos i albo nie poradzimy sobie i powrócimy do tego, co było tam - klasowego podziału i innego draństwa; albo okiełznamy chaos i przetworzymy go w nowe, piękne formy stosunków międzyludzkich, zwane komunizmem...

Staruszek oszołomiony milczał dłuższą chwilę.

- No, no - powiedział w końcu ogromnie zdziwiony. - Kto by pomyślał, kto by przypuszczał... Propaganda komunistyczna - tutaj! To nawet nie schizma, to... - zamilkł. - Zresztą... przecież idee komunizmu bliskie są ideom wczesnego chrześcijaństwa...

- To kłamstwo! - zaprzeczył rozgniewany Andrzej. - Wymysł popów. Wczesne chrześcijaństwo to ideologia pokory, ideologia niewolników. A my jesteśmy buntownikami! Nie zostawimy tutaj kamienia na kamieniu, a potem wrócimy do siebie i wszystko zmienimy, tak jak zmieniliśmy tutaj!

- Pan jest Lucyferem - w głosie staruszka był nabożny strach. - Demonie pychy! Czyżby się pan nie poddał?

Andrzej starannie przełożył chusteczkę na chłodną stronę i podejrzliwie popatrzył na staruszkę.

- Lucyfer?...: Taak. A kim pan właściwie jest?

- Jestem prochem - krótko odpowiedział staruszek.

- Hmm... - Trudno było zaprzeczyć.

- Jestem nikim - uściślił staruszek. - Tam byłem nikim i tutaj też jestem nikim - zamilkł. - Dał mi pan nadzieję - oświadczył nagle. - Tak, tak, tak! Nie wyobraża pan sobie, jak dziwnie... jak radośnie słucha się pańskich słów! Rzeczywiście, skoro pozostawiono nam wolną wolę, to dlaczego pokora i męka miałyby być obowiązkiem?... Stanowczo nasze spotkanie będę uważał za najważniejszy epizod mojego pobytu tutaj...

Andrzej przyglądał mu się z nieprzyjazną uwagą. Drwi sobie, stary cap... Nie, chyba nie... Stróż z synagogi? Synagoga!

- Przepraszam bardzo - zapytał grzecznie. - Od dawna pan tutaj siedzi? Mam na myśli tę ławkę.

- Nie, nie bardzo. Najpierw siedziałem na stołeczku, w tamtej bramie, tam jest taki stołeczek... A gdy dom się oddalił, przyszedłem tutaj.

- Aha - powiedział Andrzej. - To znaczy, że widział pan dom?

- Oczywiście! - odpowiedział z godnością staruszek. - Trudno go nie widzieć. Siedziałem, słuchałem muzyki i płakałem.

- Płakałem... - powtórzył Andrzej, próbując coś zrozumieć. - Niech mi pan powie, czy jest pan Żydem?

Staruszek drgnął.

- Mój Boże, nie! Co za pytanie? Jestem katolikiem, wiernym i, niestety, niegodnym synem Kościoła rzymskokatolickiego... Rzecz jasna, nie mam nic przeciwko judaizmowi, ale... Dlaczego pan o to pyta?

-Tak tylko - odpowiedział wymijająco Andrzej. - To znaczy, że nie ma pan żadnego związku z synagogą?

- Raczej nie - odparł staruszek. - Jeśli nie liczyć tego, że często siedzę na tym skwerku, a czasem przychodzi tutaj stróż... - zachichotał nieśmiało. - Prowadzę z nim dysputy religijne...

- A Czerwony Budynek? - zapytał Andrzej. Zamknął oczy, głowę rozsadał mu ból.

- Dom? Oczywiście, gdy przychodzi dom, to nie możemy tutaj siedzieć. Wtedy czekamy, aż sobie pójdzie.

- To znaczy, nie po raz pierwszy go pan widział?

- Oczywiście, że nie. Prawie zawsze przychodzi... Chociaż dzisiaj był dłużej niż zazwyczaj.

- Chwileczkę... Czy pan wie, co to za dom?

- Trudno go nie poznać - cicho odpowiedział staruszek. -Przedtem, w tamtym życiu, nieraz widziałem jego wizerunki i czytałem o nim. Jego szczegółowy opis znajduje się w objawieniach świętego Antoniego. Ten tekst nie jest co prawda kanonizowany, ale teraz... My, katolicy... Krótko mówiąc, czytałem go. " I jawił mi się dom, żywy i ruszający się, i czynił nieprzystojne ruchy, a w jego wnętrzu, przez okna, widziałem ludzi, którzy chodzili po komnatach jego, spali i przyjmowali strawę..." Nie ręczę za dokładność cytatu, ale jest dość bliski tekstu. I, rzecz jasna, Hieronim Bosch... Nazwałbym go nawet świętym Hieronimem Boschem, dużo mu zawdzięczam, to on przygotował mnie do tego wszystkiego... - powiódł ręką wokół siebie. - Jego wspaniałe obrazy... Bóg zapewne dopuścił go tutaj. Tak jak Dante... Istnieje rękopis, przypisywany Dantemu, w którym również wspomniany jest ten dom. Jakże to było... - Staruszek zamknął oczy, rozczapierzoną rękę podniósł do czoła. - Ee... e... "Towarzysz mój wyciągnął rękę, kościstą i wychudłą..." Mm... m... Nie... "Ciało krwawych naga płatanina w ciemnościach pokojów..." Mm.. .m...

- Zaraz! - Andrzej oblizał suche wargi. - O czym pan mówi? Co tu ma do rzeczy święty Antoni i Dante? Do czego pan zmierza?

Staruszek zdziwił się.

- Do niczego nie zmierzam - powiedział. - Zapytał mnie pan o dom i ja... Oczywiście, powinienem dziękować Bogu, że w swej przedwiecznej mądrości i nieskończonej dobroci oświecił mnie w poprzednim moim istnieniu i pozwolił się przygotować. Bardzo, bardzo wiele rozpoznałem i ściska mi się serce na myśl o tych, którzy przybyli tu i nie rozumieją, nie są w stanie pojąć, gdzie się znaleźli. Męczące niezrozumienie stanu rzeczy i męczące przypominanie sobie grzechów swoich. Możliwie, że to też wielka mądrość Stwórcy: wieczna świadomość własnych grzechów, bez świadomości pokuty... A pana, młody człowieku, za co wtrącono pana do tej otchłani?

- Nie rozumiem, o czym pan mówi - wymamrotał Andrzej. Tylko nam tu fanatyków religijnych brakowało, pomyślał.

- Niech pan się nie krępuje - zachęcił go staruszek. - Nie ma co ukrywać, albowiem sąd się już dokonał... Ja, na przykład, zgrzeszyłem przeciwko swojemu narodowi - byłem zdrajcą, donosicielem, widziałem, jak męczono i zabijano ludzi, których wydawałem sługom szatana. Powieszono mnie w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym - staruszek zamilkł. - A pan kiedy umarł?

- Nie umierałem... - powiedział Andrzej, martwiejąc.

Staruszek z uśmiechem pokiwał głową.

- Pewnie, wielu tak myśli. Ale to nieprawda. Historia zna przypadki brania ludzi żywcem do nieba, ale nikt nigdy nie słyszał, żeby ich żywych wtrącano do piekła.

Andrzej słuchał oszołomiony, wbijając wzrok w staruszkę.

- Zapomniał pan po prostu - ciągnął staruszek. - Była wojna, bomby spadały na ulice, wbiegł pan do schronu i nagle - uderzenie, ból i wszystko zniknęło. A potem - anioł, przemawiający łagodnie i alegorycznie, i nagle znalazł się pan tutaj... - Znowu pokiwał ze-zrozumieniem głową, wysuwając dolną wargę. - Taak, niewątpliwie i w ten sposób właśnie pojawia się poczucie wolnej woli. Teraz rozumiem - to siła bezwładności. Tylko siła bezwładności, młody człowieku. Mówił pan z takim przekonaniem, że nawet przez chwilę myślałem... Organizacja chaosu, nowy świat... Nie, nie, to tylko bezwładność. Z czasem to minie. Niech pan nie zapomina, że piekło jest wieczne, że nie ma powrotu, a przecież to dopiero pierwszy krąg...

- Mówi pan... poważnie? - głos Andrzeja zadrżał.

- Przecież pan wie - odparł łagodnie staruszek. - Wie pan doskonale! Po prostu jest pan ateistą, młody człowieku, i sam przed sobą nie chce się przyznać, że przez całe swoje życie - nawet jeśli nie było ono długie - mylił się pan. Bezmyślni i prymitywni nauczyciele uczyli pana, że po śmierci czeka pana nicność, pustka, zgnilizna; że za swoje uczynki nie należy oczekiwać ani nagrody, ani kary. I pan wierzył w te żalotne idee, bo wydawały się panu takie proste i oczywiste, a przede wszystkim dlatego, że był pan młody, zdrowy jak byk i śmierć odbierał pan jako abstrakcję. Czyniąc zło, zawsze miał pan nadzieję na uniknięcie kary, uważając, że ukarać mogli pana tylko tacy ludzie jak pan. A jeśli zdarzało się panu spełnić dobry uczynek, żądał pan od nich natychmiastowej nagrody. Był pan śmieszny. Teraz już pan, oczywiście, to rozumie. widzę to po pańskiej twarzy... - zaśmiał się nagle. - U nas w podziemiu był jeden taki inżynier, materialista, często spieraliśmy się o życie pozagrobowe. Mój Boże, jak on ze mnie kpił! "Ojczulku - mówił - w raju dokończymy ten bezsensowny spór..." Wie pan, przez cały czas go tutaj szukam i szukam, i nie mogę znaleźć. Może w tym jego żarcie było trochę prawdy, może on rzeczywiście jest w raju - jako męczennik... Jego śmierć była prawdziwie męczeńska... A ja trafiłem tutaj.

- Nocne rozmowy o życiu i śmierci? - zarechotał nad nimi znajomy głos. Zatrzęsa się ławka. Izia Katzman, jak zwykle obdarty rozczochrany, - z rozmachem opadł na siedzenie obok Andrzeja i przytrzymując wielką jasną teczkę lewą ręką, prawą zaczął szarpać swoją brodawkę. Jak zawsze był w stanie uroczystego wzburzenia.

Andrzej powiedział, starając się, żeby zabrzmiało to możliwie niedbale:

- Ten starszy pan uważa, że wszyscy jesteśmy w piekle.

- Starszy pan ma absolutną rację - odpowiedział natychmiast Izia i zachichotał. - A jeśli to nawet nie jest piekło, to coś niesłychanie podobnego w swoich przejawach. Jednakże zgodzi się pan, panie Stupalski, że w moim życiu nie znalazł pan ani jednego uczynku, za który powinienem być tutaj trafić! Nawet nie cudzołożyłem - oto jaki byłem głupi.

- Panie Katzman - rzekł staruszek - dopuszczam możliwość, że pan sam nie wie o swoim fatalnym uczynku!

- Możliwe, możliwe - zgodził się lekko Izia, po czym zwrócił się do Andrzeja: - Sądząc po twoim wyglądzie, byłeś w Czerwonym Budynku. No i jak ci się podobało?

W tym momencie Andrzej ostatecznie doszedł do siebie. Jakby nagle lepka, półprzezroczysta zasłona koszmaru rozsunała się i znikła. Ból w głowie ucichł i teraz jasno i ostro widział, co się wokół niego dzieje. Na ulicy Głównej nie było już mgły, policjant, jak się okazało, wcale nie spał, tylko przechadzał się po chodniku, świecąc czerwonym ognikiem papierosa, i patrzył w stronę ławki. Boże, pomyślał Andrzej przerażony, co ja tutaj robię? Przecież jestem śledczym, czas ucieka, a ja gadam z tym psychopatą... a przecież tutaj jest Katzman... Katzman? Skąd on się tu wziął?

- Skąd wiesz, gdzie byłem? - zapytał ostro.

- Nietrudno zgadnąć - zachichotał Izia. - Gdybyś zobaczył się w lustrze...

- Pytam poważnie! - Andrzej podniósł głos.

Staruszek nagle wstał.

- Dobranoc, panowie - powiedział, unosząc melonik. - Dobrych snów.

Andrzej nie zwrócił na niego uwagi. Patrzył na Izie. Ten, szczypiąc brodawkę i lekko podrygując, patrzył na oddalającego się staruszka, uśmiechał się od ucha do ucha, dławił się i chrypiał.

- No? - zapytał Andrzej.

- Co za postać! - wysyczał z zachwytem Izia. - Ach, co to za postać! Dureń z ciebie, Woronin, jak zwykle nic nie rozumiesz! Wiesz, kto to był? To był znamienity pan Stupalski, Judasz Stupalski! Na gestapo w Łodzi wydał dwustu czterdziestu ośmiu ludzi, dwa razy go przyłapywali, dwa razy jakoś się wykręcał i zamiast siebie podstawiał kogoś innego. Ostatecznie dopadli go dopiero po wyzwoleniu, osądzili szybko i sprawiedliwie, ale jemu znowu udało się wywinąć. Nauczyciele uznali, że dobrze będzie zdjąć mu pętlę z szyi i przekazać go tutaj. Dla ozdoby. Tutaj mieszka w domu wariatów, udaje świra i dalej pracuje w swoim ulubionym zawodzie... Myślisz, że przypadkiem się tutaj znalazł, na tej ławce, akurat obok ciebie? Wiesz, dla kogo on teraz pracuje?

- Zamknij się! - zawołał Andrzej, siłą woli zdławiając ciekawość, którą zawsze wywoływały w nim opowieści Izł. - W ogóle mnie to nie interesuje. Jak się tu znalazłeś? Skąd, do licha, wiesz, że byłem w Budynku?

- Ja też tam byłem - odpowiedział spokojnie Izia.

- Jasne - powiedział Andrzej. - I co się tam działo?

- No, sam najlepiej wiesz, co się działo. Skąd mam wiedzieć, co się zdarzyło z twojego punktu widzenia?

- A co się zdarzyło z twojego punktu widzenia?

- A to akurat zupełnie ciebie nie dotyczy. - Izia poprawił trzymaną na kolanach pękatą teczkę.

- Teczke wzięłeś stamtąd? - zapytał Andrzej, wyciągając rękę.

- Nie - odparł Izia. - Nie stamtąd. Posłuchaj, co cię to obchodzi? Czegoś się do mnie przyczepił?

Nie rozumiał widać, co się dzieje. Andrzej też nie do końca to rozumiał i przez cały czas gorączkowo myślał, co powinien dalej robić.

- Wiesz, co jest w tej teczce? - zapytał Izia. - Przekopałem stare merostwo, piętnaście kilometrów stąd. Cały dzień tam siedziałem, słońce zgasło, zrobiło się ciemno jak w dupie u Murzyna, oświetlenia to tam, rozumiesz, nie ma już od dwudziestu lat... Błąkałem się, błądziłem, ledwo udało mi się wydostać na Główną - dookoła ruiny, jakieś dzikie wrzaski...

- No właśnie - powiedział Andrzej. - Nie wiesz, że w starych rumach nie wolno grzebać?

Zapał znikł z oczu Izi. Popatrzył uważnie na Andrzeja. Chyba zaczynał rozumieć.

- Co ty - ciągnął Andrzej - chcesz tu przywlec jakąś infekcję?

- Coś mi się nie podoba twój ton - uśmiechnął się krzywo Izia. - Jakoś dziwnie ze mną rozmawiasz.

- A ty mi się cały nie podobasz! - krzyknął Andrzej. - Po co mi wbijałeś do głowy, że Czerwony Budynek to mit? Wiedziałaś przecież, że tak nie jest. Kłamałeś. Po co?

- Co to, przesłuchanie? - zapytał Izia.

- A jak myślisz?

- Ja myślę, że uderzyłeś się mocno w głowę. Myślę, że powinieneś umyć się w zimnej wodzie i dojść do siebie.

- Daj mi teczkę - powiedział Andrzej.

- A pójdziesz ty w...! - krzyknął Izia, wstając. Zbladł.

Andrzej też wstał.

- Pojedziesz ze mną.

- Nie mam zamiaru - odpowiedział ostro Izia. - Chcę zobaczyć nakaz aresztowania.

Andrzej, zielony z nienawiści, nie spuszczał oczu z Izi, powoli rozpiął kaburę i wyciągnął pistolet.

- Naprzód - rozkazał.

- Idiota... - wymamrotał Izia. - Zgłupiał do reszty.

- Milczeć! - krzyknął Andrzej. - Naprzód!

Pchnął Izie lufą w bok i Izia posłusznie pokuśtykał przez ulicę. Miał chyba obtarte nogi, mocno kulał.

- Zdechniesz ze wstydu - powiedział przez ramię. - Obudzisz się i spalisz ze wstydu...

- Bez dyskusji!

Podeszli do motocykla, policjant zręcznie odchylił osłonę kosza. Andrzej machnął lufą pistoletu.

-Wsiadaj.

Milczący teraz Izia usiadł niezgrabnie. Policjant szybko wskoczył na siodełko, Andrzej ulokował się za nim. Wsunął pistolet do kabury. Silnik zawył, zaterkotał, motocykl ruszył i podskakując na wybojach, pomknął z powrotem do prokuratury, strasząc świrów, którzy zmęczeni szwendali się bez celu po wilgotnej od rosy ulicy.

Andrzej starał się nie patrzeć na skulonego w koszu Izie. Pierwszy zapal minął i teraz czuł się niezręcznie - wszystko wydarzyło się tak jakoś błyskawicznie, zbyt pośpiesznie, na chybcika, jak w tym dowcipie o niedźwiedziu, który huśtał zajaca w kołysce bez dna. Dobra, zobaczymy...

W przedsionku prokuratury Andrzej, nie patrząc na Izie, wydał policjantowi rozkaz zarejestrowania zatrzymanego i dostarczenia dyżurnemu na górze. Przeskakując po trzy stopnie, poszedł do swojego gabinetu.

Było koło czwartej - najgorętszy okres. Na korytarzach stali albo siedzieli na długich, wypolerowanych wieloma tyłkami ławkach podejrzani i świadkowie. Wyglądali na obojętnych i sennych, prawie wszyscy rozziewając ziewali i wytrzeszczali osowiałe oczy. Od J czasu do czasu dyżurni zza swoich stolików ryczeli na cały budynek: i "Nie rozmawiać! Nie gadać!" Zza obitych dermą drzwi pokojów i przesłuchań dobiegał stuk maszyn do pisania, dudniące głosy, łzawe jęki. Było duszno, brudno i ciemno. Andrzejowi zrobiło się niedobrze, nagle zapragnął skoczyć do bufetu i wypić coś orzeźwiającego: filiżankę mocnej kawy albo nawet kieliszek wódki. I w tym momencie zobaczył Wana.

Wan siedział w kucki, oparty plecami o ścianę, w pozycji nieskończenie cierpliwego oczekiwania. Miał na sobie swój zwykły waciak, głowę wciągnął w ramiona, tak że kołnierz waciaka odchyłał mu uszy. Na okrągłej twarzy bez zarostu malował się spokój. Drzemał.

- Co ty tu robisz? - zapytał zdziwiony Andrzej.

Wan otworzył oczy, podniósł się do połowy, uśmiechnął i powiedział:

- Aresztowano mnie. Czekam na wezwanie.

- Jak to aresztowano? Za co?

- Sabotaż - powiedział cichutko Wan.

Drzemiące obok potężne chłopisko w uświnionym płaszczu też otworzyło oczy, a raczej jedno oko - drugie zasłaniał fioletowy obrzęk.

- Jaki sabotaż?! - Andrzej był wstrząśnięty.

- Uchylenie się od prawa do pracy...

- Artykuł sto dwunasty, paragraf szósty - wyjaśnił rzeczowo chłop z obrzękiem. - Pół roku terapii na bagnach - i po wszystkim.

- Niech się pan nie odzywa.

Chłop wymierzył w niego swój obrzęk, uśmiechnął się złośliwiej (Andrzej od razu przypomniał sobie i poczuł własną śliwę na czole) i wychrypiął pojednawczo:

- Mogę się nie odzywać. Czemu miałbym się odzywać, skoro i tak wszystko jasne?

- Nie rozmawiać! - zaryczał z oddali dyżurny. - Który się przykleją do ściany? Ty tam, odklej no się!

- Zaczekaj - powiedział Andrzej do Wana. - Dokąd cię wezwali? Tutaj? - wskazał drzwi pokoju numer dwadzieścia dwa, próbując przypomnieć sobie, czyj to gabinet.

- Dokładnie - wychrypiął chłop pospiesznie. - Do dwudziestego drugiego. Już od półtorej godziny podpieramy ścianę.

- Zaczekaj - powtórzył Andrzej i pchnął drzwi.

Przy stole zasiadał Heinrich Römer, młodszy śledczy i osobisty ochroniarz Friedricha Heigera, były bokser wagi średniej i monachijski bukmacher.

- Można? - zapytał Andrzej ale Römer nie odpowiedział. Był bardzo zajęty. Rysował coś na wielkiej płachcie brystolu, przechylając swoją zwierzęcą fizjonomię z rozpląszczonym nosem to w jedną, to w drugą stronę. Sapał i nawet postękiwał z wysiłku. Andrzej zamknął za sobą drzwi i podszedł do stołu. Römer przerysowywał pornograficzną widokówkę. Brystol i widokówka podzielili na kwadraciki. Dzieło było ledwo zaczęte, na brystol naniesiono dopiero ogólne zarysy. Rysownika czekała praca godna tytana.

- Czym ty się na służbie zajmujesz, bydlaku? - zapytał z wyrzutem Andrzej.

Römer drgnął i podniósł oczy.

- A, to ty... - odetchnął z widoczną ulgą. - Czego chcesz?

- A więc to tak pracujesz? - zapytał gorzko Andrzej. - Tam ludzie czekają, a ty...

- Kto czeka? - Römer drgnął. - Gdzie?

- Twoi aresztowani czekają! - zawołał Andrzej.

- Aaa... No i co?

- Nic - powiedział Andrzej ze złością. Pewnie należało jakoś zawstydzić tego typu, przypomnieć draniowi, że przecież Fritz ręczył za niego, dawał za leniwego kretyna i nicponia słowo honoru; jednak Andrzej poczuł, że to ponad jego siły.

- Kto ci tak w łeb przyłożył? - z zawodowym zainteresowaniem zapytał Römer, oglądając Andrzej ową śliwę. - Ładnie...

- Nieważne - zniecierpliwził się Andrzej. - Chciałem się dowiedzieć, czy to ty masz sprawę Wana Lichuna?

- Wana Lichuna? - Römer przestał przyglądać się śliwie i w zadumie wsadził palec do prawej dziurki w nosie. - A bo co? - zapytał ostrożnie.

- Ty czy nie?

- A dlaczego pytasz?

- Dlatego że on siedzi przed twoimi drzwiami i czeka, a ty się tu świństwami zajmujesz!

- Dlaczego od razu świństwami? - obraził się Römer. - Popatrz, jakie ma cycki! Cudo! Widzisz?

Andrzej ze wstrętem odsunął zdjęcie.

- Daj mi akta - zażądał.

- Jakie akta?

- Akta sprawy Wana Lichuna!

- Nie mam żadnej takiej sprawy! - odpowiedział gniewnie Römer. Wysunął środkową szufladę, stołu i zajrzał do niej. Andrzej też zajrzał. Szuflada rzeczywiście była pusta.

- Gdzie ty w ogóle trzymasz swoje sprawy? - zapytał Andrzej, opanowując się z trudem.

- A co ci do tego? - oburzył się Römer. - Nie jesteś moim przełożonym.

Andrzej zdecydowanym ruchem chwycił słuchawkę.. W świńskich oczkach Römera pojawił się strach.

- Poczekaj - zaniepokoił się, pospiesznie kładąc ogromne łapsko na telefonie. - Gdzie chcesz dzwonić? Po co?

- Zadzwoń zaraz do Heigera - powiedział ze złością Andrzej. - On cię nauczy...

- Poczekaj - mamrotał Römer, próbując zabrać mu słuchawkę. -No coś ty, słowo daję... Po co od razu dzwonić do Heigera? Nie umiemy się sami dogadać? Powiedz mi najpierw, o co ci chodzi?

- Chcę wziąć sprawę Wana Lichuna.

- Tego Chińczyka? Dozorcy?

-Właśnie!

- No, to trzeba było tak od razu! On nie ma jeszcze żadnych akt. Dopiero co go przyprowadzili. To ma być pierwsze przesłuchanie.

- Za co go zatrzymali?

- Nie chce zmieniać zawodu - powiedział Römer, ciągnąc w swoją stronę słuchawkę razem z Andrzejem. - Sabotaż. Trzeci okres pracuje jako dozorca. Artykuł sto dwunasty znasz?...

- Znam - odparł Andrzej. - Ale to wyjątkowy przypadek. Zawsze coś popłaczą. Gdzie jest pismo przewodnie?

Głośno sapiąc, Römer odebrał mu w końcu słuchawkę, położył ją na miejsce, znowu sięgnął do szuflady, tym razem do prawej. Zaczął w niej grzebać, zasłaniając zawartość swoimi gigantycznymi barkami, wyciągnął jakiś papier i, mocno się pocąc, dał go Andrzejowi. Andrzej przebiegł po nim wzrokiem.

- Nigdzie nie jest napisane, że został skierowany właśnie do ciebie - oświadczył.

- No i co z tego?

- A to, że zabieram go sobie - zdecydował Andrzej i włożył papier do kieszeni.

Römer zaniepokoił się.

-Ale przecież jest na mnie zapisany! U dyżurnego.

- No to zadzwoń do dyżurnego i powiedz, że Wana Lichuna wziął sobie Woronin. Niech go przepisze.

- Sam do niego dzwoń - powiedział z godnością Römer. - Co ja mam do niego dzwonić? Ty zabierasz, to sobie dzwoń. A mnie daj pokwitowanie, że go wzięłeś.

Po pięciu minutach dokonano wszelkich formalności. Römer schował pokwitowanie do szuflady, popatrzył na Andrzeja, a potem na pocztówkę.

- Ale ma cycki! - zawołał. - Jak wymiona!

- Źle skończysz, Römer - obiecał mu Andrzej wychodząc.

Na korytarzu w milczeniu wziął Wana za rękę i pociągnął za sobą.

Wan szedł pokornie, o nic nie pytając. Andrzejowi przyszło do głowy, że Wan tak samo cicho i spokojnie szedłby na śmierć i na męki, i na dowolne poniżenie. Andrzej nie rozumiał tego. W tej pokorze było coś zwierzęcego, nieludzkiego, a jednocześnie wzniosłego, budzącego niezrozumiały szacunek. Czuło się tu nadnaturalne zrozumienie jakiejś bardzo głębokiej, ukrytej i wiecznej istoty wydarzeń, zrozumienie odwiecznej bezsensowności sprzeciwu. "Zachód to Zachód. Wschód to Wschód". Strofa była kłamliwa, niesprawiedliwa, poniżająca, ale w tym wypadku, nie wiedzieć czemu, wydawała się pasować.

W swoim gabinecie Andrzej posadził Wana na krześle - nie na taborecie dla przesłuchiwanym,

lecz na stojącym z boku krzesła dla sekretarza - sam też usiadł i zapytał:

- No, co się tam stało? Opowiadaj.

Wan od razu zaczął mówić miarowym, narratorskim tonem:

- Tydzień temu do mojej stróżówki przyszedł rejonowy pełnomocnik do spraw zatrudnienia i przypomniał mi, że poważnie naruszam ustawę o prawie do różnorodnej pracy. Miał rację, rzeczywiście poważnie naruszyłem tę ustawę. Trzy razy dostawałem wezwania z giełdy i trzy razy wyrzucałem je do kosza. Pełnomocnik oświadczył, że dalsze lekceważenie grozi poważnymi nieprzyjemnościami. Wtedy pomyślałem: zdarza się przecież, że maszyna pozostawia człowieka na poprzednim miejscu. Tego samego dnia poszedłem na giełdę i włożyłem swoją książeczkę do maszyny rozdzielającej. Nie miałem szczęścia. Zostałem dyrektorem kombinatu obuwniczego. Ale już wcześniej zdecydowałem, że nie pójdę do nowej pracy, no i dalej byłem dozorcą. Dzisiaj wieczorem przyszło po mnie dwóch policjantów i przyprowadziło tutaj. To wszystko.

- Rozumiem - powiedział przeciągle Andrzej, chociaż nic nie rozumiał. - Słuchaj, napijesz się herbaty? Można poprosić o herbatę i kanapki. Za darmo.

- To pewnie byłby straszny kłopot - zaprotestował Wan. - Nie warto.

- Jaki tam kłopot!... - zawołał gniewnie Andrzej i przez telefon zamówił dwie szklanki herbaty i kanapki. Odłożył słuchawkę, popatrzył na Wana i zapytał: - Dalej nie rozumiem, dlaczego nie chciałeś zostać dyrektorem kombinatu. Ludzie by cię szanowali, miałbyś nowy zawód, przyniósłbyś sporo pożytku, przecież jesteś sumiennym, pracowitym człowiekiem... Znam ten kombinat - ciągle kradzieże, buty wynoszą całymi skrzynkami... Gdybyś ty został dyrektorem, to wszystko by się skończyło. Zresztą tam jest dużo wyższa pensja, a ty przecież masz żonę, dziecko... O co tu chodzi?

- Tak, ja też myślę, że to trudno zrozumieć - powiedział Wan w zamyśleniu.

-A co tu jest do rozumienia? - zniecierpliwił się Andrzej. -Przecież to oczywiste, że lepiej być dyrektorem kombinatu niż przez całe życie rozgrzebywać śmieci... A tym bardziej przez sześć miesięcy harować na bagnach...

Wan pokręcił okrągłą głową.

- Nie, nie lepiej - powiedział. - Lepiej być tam, skąd nie można spaść. Ty tego nie zrozumiesz.

- Dlaczego trzeba koniecznie spadać? - zapytał zakłopotany Andrzej.

- Nie wiem dlaczego. Ale zawsze się tak dzieje. A kiedy bardzo trzeba się starać, żeby nie spaść, to już lepiej od razu spaść. Ja już przez to wszystko przeszedłem.

Policjant z zaspną twarzą przyniósł herbatę, zasalutował, zachwiał się i bokiem wytoczył na korytarz. Andrzej postawił przed Wanem szklankę w pociemniałej podstawce, przysunął mu talerz z kanapkami. Wan podziękował, upił łyk herbaty i wziął najmniejszą kanapkę.

- Po prostu boisz się odpowiedzialności - zdenerwował się Andrzej. - Wybacz, ale w stosunku do innych nie jest to do końca uczciwe.

- Zawsze staram się nie wyrządzać ludziom krzywdy - odpowiedział spokojnie Wan. - A co się tyczy odpowiedzialności, to dźwigam ogromną odpowiedzialność - za moją żonę i dziecko.

- To prawda - przyznał Andrzej, znowu trochę zakłopotany. -Na pewno tak jest. Ale zgodzisz się, że Eksperyment wymaga od każdego z nas...

Wan uważnie słuchał i kiwał głową. Gdy Andrzej skończył, powiedział:

- Rozumiem cię. W jakimś sensie masz rację. Ale ty przyszedłeś tu, żeby budować, a ja, żeby znaleźć kryjówkę. Ty szukasz walki i zwycięstwa, a ja spokoju. Bardzo się różnimy.

- Co to znaczy spokoju? Sam siebie oczerniasz! Gdybyś szukał spokoju, znalazłbyś sobie ciepłą posadkę i żył, nie martwiąc się nic. A ty wybrałeś sobie najbrudniejszą, najbardziej niepopularną robotę i pracujesz uczciwie, nie żałując ani sił, ani czasu... I to ma być spokój!

- Duchowy, Andrzeju, duchowy! - powiedział Wan. - W zgodzie ze sobą i Wszechświatem.

Andrzej zabębnił palcami po stole.

- I co, masz zamiar przez całe życie pracować jako dozorca?

- Niekoniecznie jako dozorca - odparł Wan. - Jak tutaj trafiłem, byłem ładowaczem w magazynie.

Potem maszyna wyznaczyła mnie na stanowisko sekretarza mera. Odmówiłem i wysłano mnie na bagna. Odpracowałem sześć miesięcy, wróciłem i zgodnie z prawem, jako ukarany, dostałem najniższą posadę. Ale potem maszyna znowu zaczęła pchać mnie w górę. Poszedłem do dyrektora giełdy i wszystko mu wyjaśniłem, tak jak tobie. Dyrektor giełdy był Żydem, trafił tutaj z obozu zagłady i bardzo dobrze mnie rozumiał. Dopóki on był dyrektorem, zostawiano mnie w spokoju. - Wan zamilkł. - Dwa miesiące temu zniknął. Mówią, że znaleziono jego ciało, ty pewnie coś o tym wiesz. I wszystko zaczęło się od początku... To nic, odpracuję swoje na bagnach, wrócę i znowu będę dozorcą. Teraz będzie mi dużo lżej, chłopiec jest już duży, a na bagnach pomoże mi wujek Jura...

Andrzej przyłapał się na tym, że nieprzyzwoicie gapi się na Wana, jakby to nie on przed nim siedział, lecz jakiś dziwoląg. Zresztą Wan rzeczywiście był dziwolągiem. Boże mój, pomyślał Andrzej, jakie musiałbym przeżyć życie, żeby dojść do takiej filozofii? Muszę mu pomóc, to mój obowiązek. Ale jak?...

- No dobrze - powiedział w końcu. - Jak chcesz. Tylko że nie musisz jechać na bagna. Nie wiesz przypadkiem, kto jest teraz dyrektorem giełdy?

- Otto Friża.

- Co? Otto? No to w czym problem?...

- Poszedłbym do niego, ale przecież on tam nic nie znaczy, niczego nie rozumie i wszystkiego się boi.

Andrzej chwycił książkę telefoniczną, znalazł numer, podniósł szybko słuchawkę. Musiał długo czekać: najwidoczniej Otto spał jak suseł. W końcu odezwał się urywanym, sztucznie groźny głosem:

- Dyrektor Otto Friża, słucham.

- Dzień dobry, Otto - powiedział Andrzej. - Mówi Woronii z prokuratury.

Zapadło milczenie. Otto kilka razy odchrząknął, potem powiedział ostrożnie:

- Z prokuratury? Słucham.

- Obudź się wreszcie! - zawołał wściekły Andrzej. - Elza cię tak ukołysała? Mówi Andrzej! Woronin!

- A, Andrzej! ? - powiedział zupełnie innym głosem Otto. - A co ty tak, w środku nocy? Rany boskie, ale mi serce wali... Czego chcesz?

Andrzej wyjaśnił mu sytuację. Tak jak się spodziewał, wszystko poszło gładko. Otto zgadzał się na wszystko. Tak, on zawsze twierdził, że Wan jest właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Słusznie, on też uważa, że Wan i tak nie nadaje się na dyrektora kombinatu. Jest jak najbardziej i bez dwóch zdań zachwycony dążeniem Wana do zajmowania tak skromnej posady ("więcej nam trzeba takich ludzi, a tu wszyscy leżą w górę, jak twoi strzelcy górscy!..."), z oburzeniem odrzuca pomysł wysłania Wana na bagna, co się zaś tyczy ustawy, to pała świętym gniewem na samą myśl o tych kretykach - biurokratach, którzy zamieniają zdrowy duch prawa w jego martwą literę. Koniec końców, prawo jest od tego, żeby ograniczać dążenia różnych spryciarzy do windowania się górę, nie może zaś dotyczyć - i nie dotyczy - ludzi, którzy pragną pozostać na dole. Dyrektor giełdy doskonale to rozumiał. Tak! - powtarzał. - O tak! Oczywiście!

Prawdę mówiąc, Andrzej miał niejasne, śmieszne i niemiłe wrażenie, że Otto zgodziłby się na dowolną jego, Andrzeja Woronina, propozycję - na przykład, żeby mianować Wana merem albo żeby

wsadzić go do karceru. Otto zawsze żywił do Andrzeja jakąś chorobliwą wdzięczność, zapewne dlatego że Andrzej jako jedyny z ich towarzystwa (a może i z całego miasta) traktował go po ludzku... A zresztą, najważniejsza była teraz sprawa Wana.

- Wydam odpowiednie rozporządzenia - powtórzył Otto po raz dziesiąty. - Możesz być zupełnie spokojny. Dam wytyczne i Wana już nigdy nikt nie ruszy.

Na tym stanęło. Andrzej odłożył słuchawkę i zaczął wypisywać Wanowi przepustkę.

- Pójdiesz od razu? - zapytał, nie przestając pisać. - Może poczekaj na słońce... Niebezpiecznie teraz na ulicach...

- Dziękuję panu - mamrotał Wan. - Dziękuję panu... Andrzej, zdziwiony, podniósł głowę. Wan stał przed nim i kłaniał się ze złożonymi na piersiach dłońmi.

- Daj spokój tym chińskim ceremoniom - warknął Andrzej oburzony i zakłopotany. - Co ja jestem, twój dobrodziej czy co? - Podał Wanowi przepustkę. - Pytam, czy pójdziesz od razu?

Wan przyjął przepustkę i jeszcze raz się uklonił.

- Lepiej będzie, jak pójde teraz - powiedział przeprasząco. - Od razu. Pewnie śmieciarze już przyjechali...

- Śmieciarze... - powtórzył Andrzej. Spojrzał na talerz z kanapkami. Były duże, świeże, z apetyczną szynką. - Czekaj no - wyjął z szuflady starą gazetę i zaczął je w nią zawijać. - Do domu weźmiesz, dla Majlin...

Wan słabo protestował, mamrotał coś o niepotrzebnym kłopotcie, ale Andrzej wsunął mu paczkę za pazuchę, objął za ramiona i powiodł do drzwi. Czuł się bardzo niezręcznie. Wszystko było jakoś nie tak. I Otto, i Wan jakoś dziwnie reagowali. Przecież on chciał, żeby wszystko było załatwione sprawiedliwie, dobrze, rozsądnie, a wyszło z tego nie wiadomo co -jakieś dobrodziejstwo, kumoterstwo, lewizna... Pospiesznie szukał właściwych słów, suchych, rzeczowych, podkreślających oficjalność i prawomocność sytuacji. Nagle wydało mu się, że znalazł. Zatrzymał się, uniósł podbródek i patrząc na Wana z góry, powiedział chłodno:

- Obywatelu Wan, w imieniu prokuratury serdecznie pana przepraszam za bezprawne zatrzymanie. Ręczę, że więcej się to nie powtórzy.

Natychmiast poczuł się jak idiota. Co za bzdury! Po pierwsze, zatrzymanie nie było bezprawne. Szczerze mówiąc, było całkowicie zgodne z prawem. A po drugie, śledczy Woronin nie mógł za nic ręczyć, nie miał do tego prawa... Nagle zobaczył oczy Wana - dziwne, a przy tym jakby znajome spojrzenie. I wtedy wszystko mu się przypomniało. Poczł gorąco.

- Wan - odezwał się zachrypniętym głosem. - Chcę cię o coś zapytać, Wan.

Zamilkł. Pytanie było głupie, bez sensu, ale nie mógł go nie zadać. Wan wyczekująco patrzył na niego z dołu do góry.

- Wan - powtórzył Andrzej i odkaszmął. - Gdzie byłeś dzisiaj o drugiej w nocy?

- Właśnie o drugiej po mnie przyszli - odparł Wan. - Myłem schody.

- A wcześniej?

- Wcześniej zbierałem śmieci, Majlin mi pomagała, potem poszła spać, a ja poszedłem myć schody.

- Tak - powiedział Andrzej. - Tak właśnie myślałem. No dobrze, do widzenia, Wan. Wybacz, że tak wyszło... Albo nie, poczekaj, odprowadzę cię...

ROZDZIAŁ 4

Przed przesłuchaniem Izi Andrzej przemyślał wszystko jeszcze raz. Po pierwsze, zabronił sobie traktować go z uprzedzeniem. Że Izia jest cynikiem, zarozumialcem i gadułą, gotowym wyśmiać wszystko jak leci, że jest niechlujny, pluje gdy mówi, obrzydliwie chichocze, żyje z wdową jak alfons i nie wiadomo, jak zarabia na życie, to wszystko w tym przypadku nie powinno mieć żadnego znaczenia.

Należało jeszcze tylko wykorzystać głupi pomysł, że Katzman jest zwykłym szerzycielem historycznych plotek o Czerwonym Budynku i innych mistycznych zjawiskach. Czerwony Budynek istnieje naprawdę. Jest zagadką - fantastyczną, nie wiadomo komu i po co potrzebną, ale istnieje. (Andrzej zajrzał do apteczki i, przeglądając się w malutkim lusterku, posmarował maścią sącząca się guz). W zaistniałej sytuacji Katzman jest przede wszystkim świadkiem. Co robił w Czerwonym Budynku? Jak często tam bywa? Co może o nim powiedzieć? Jaką to teczkę stamtąd wyniósł? A może teczka rzeczywiście nie jest stamtąd? Może naprawdę ze starego merostwa?...

Stop, stop! Katzman nieraz się wygadał... nie, nie wygadał, tylko opowiadał o swoich wyprawach na północ. Co on tam robił? Antymiało też jest gdzieś na północy! Mimo wszystko dobrze, że go zatrzymałem, chociaż rzeczywiście zbyt pośpiesznie. Przecież zawsze się tak dzieje: wszystko zaczyna się od zwykłej ciekawości, człowiek pcha swój wścibski nos gdzie nie trzeba, a potem ani się obejrzy, a już go zwerbowali... Dlaczego nie chciał mi oddać tej teczki? Teczka jest najwyraźniej stamtąd... Czerwony Budynek też! Tutaj szef czegoś nie przemyślał do końca. No, to oczywiste, nie znał faktów. I nie był tam. Tak, szerzenie plotek to straszna rzecz, ale Czerwony Budynek jest straszniejszy od wszelkich plotek. A najgorsze jest nie to, że ludzie w nim giną - ale to, że czasem z niego wychodzą. Wychodzą, wracają i żyją wśród nas. Tak, jak Katzman...

Andrzej czuł, że dotarł do sedna, ale zabrakło mu śmiałości, żeby przeanalizować wszystko do końca. Wiedział tylko, że Andrzej Woronin, który wszedł drzwiami z miedzianą klamką, nie był tym samym Andrzejem Woroninem, który przez nie wyszedł. Coś się w nim załamało, coś bezpowrotnie utracił... Zacisnął zęby. Nie, tu się przeliczyliście, drodzy państwo. Nie trzeba było mnie wypuszczać. Nas się tak od razu nie złamie... nie kupi... nie rozczuli...

Uśmiechnął się krzywo, wziął czystą kartkę i napisał na niej wielkimi literami: CZERWONY BUDYNEK - KATZMAN. CZERWONY BUDYNEK - ANTYMIASTO. ANTYMIASTO - KATZMAN. Tak właśnie to wszystko wygląda. Nie, szefie. Nie szerzycieli plotek musimy szukać. Musimy szukać tych, którzy wrócili - cali i zdrowi - z Czerwonego Budynku. Szukać, wyławiać, izolować albo jak najstaranniej obserwować... Dopisał: "Ludzie, którzy byli w Czerwonym Budynku - Antymiało". A więc pani Husakowa będzie musiała opowiedzieć wszystko, co wie o swoim Frantiszku. A flecistę można wypuścić. Zresztą nie oni są teraz najważniejsi... Może by tak zadzwonić do szefa? Poprosić o błogosławieństwo na zmianę orientacji? Nie, jeszcze za wcześnie. Ale jeśli uda się złamać Katzmana... Podniósł słuchawkę.

- Dyżurny? Przyrowadzić do mnie zatrzymanego Katzmana. Do trzydziestego szóstego.

...Złamać Katzmana nie tylko można, ale nawet trzeba. Teczka. Tu już się nie wywinie... Andrzejowi przemknęło przez głowę, że to chyba nie do końca etyczne, że właśnie on zajmuje się sprawą Katzmana, z którym nieraz się piło, i w ogóle... Szybko wziął się w garść.

Drzwi otworzyły się i zatrzymany Katzman, szczerząc zęby w uśmiechu i wciskając ręce w wyszmelcowane kieszenie, niedbałym krokiem wszedł do pokoju.

- Siadajcie - powiedział sucho Andrzej, wskazując podbródkiem taboret.

- Dziękuję panu - odezwał się zatrzymany, szczerząc się jeszcze bardziej. - Widzę, że jeszcze nie

doszedł pan do siebie...

Co za drań, wszystko po nim spływało jak woda po gęsi. Usiadł, szarpnął brodawkę na szyi i zaciekawiony rozejrzył się po gabinecie.

Andrzej zamarł. Przy zatrzymanym nie było teczki.

- Gdzie teczka? - zapytał, starając się mówić spokojnie.

- Jaka teczka? - odpowiedział pytaniem na pytanie bezczelny Katzman.

Andrzej rzucił się do słuchawki.

- Dyżurny! Gdzie jest teczka zatrzymanego Katzmana?

- Jaka teczka? - zapytał tępo dyżurny. - Zaraz zobaczę... Katzman... Aha... Zatrzymanemu

Katzmanowi zabrano: chusteczki do nosa - dwie, portfel pusty, wytarty...

- Teczka w spisie jest? - warknął Andrzej.

- Teczki nie ma - odpowiedział dyżurny zamierającym głosem.

- Przynieście mi spis - wychrypiał Andrzej i odłożył słuchawkę. Popatrzył spode łba na Katzmana.

Od nienawiści szumiało mu w uszach. - Żydowskie sztuczki - powiedział, opanowując się. - Gdzie podziałeś teczkę, draniu?

Katzman natychmiast zareagował:

- "Chwyliła go za rękę i kilka razy spytała: gdzie podziałeś teczkę?"

- No nic - odezwał się Andrzej, ciężko oddychając przez nos. - To ci nie pomoże, szpiegowski ryju...

Na twarzy Izi na moment zagościło zdumienie, ale już po chwili znowu uśmiechał się obrzydliwie i drwiąco.

- No jakże, jakże! - wykrzyknął. - Przewodniczący organizacji "Joint", Józef Katzman, do usług.

Proszę mnie nie bić, ja i tak wszystko powiem. Cekaemy ukryliśmy w Berdyczowie, miejsce lądowania oznaczmy ogniskami...

Wszedł przestraszony dyżurny, trzymając spis w daleko wyciągniętej przed siebie ręce.

- Teczki tu nie ma - wymamrotał, kładąc kartkę przed Andrzejem na brzegu stołu i cofając się. -

Dzwoniłem do rejestracji, tam też...

- Dobrze, dobrze, możecie iść - powiedział Andrzej przez zęby.

Wziął czysty formularz przesłuchań i nie podnosząc oczu, zapytał:

- Imię? Nazwisko? Imię ojcowskie?

- Katzman, Józef Michajłowicz.

- Rok urodzenia?

- Trzydziesty szósty.

- Narodowość?

- Tak - powiedział Katzman i zachichotał.

Andrzej podniósł głowę.

- Co - tak?

- Posłuchaj, Andrzej. Nie rozumiem, co się z tobą dzisiaj dzieje, ale weź pod uwagę, że przeze mnie zniszczysz sobie kark Uprzedzam cię jako starego przyjaciela...

- Odpowiadać na pytania! - zażądał Andrzej stłumionym głosem.

- Lepiej sobie przypomnij, jak doktorowi Timaszukowi odebrali order - powiedział Izia.

Andrzej nie wiedział, kim jest doktor Timaszuk.

- Narodowość!

- Żyd - odpowiedział ze wstrętem Izia.

- Obywatelstwo?

- ZSSR.
- Wyznanie?
- Brak.
- Przynależność do partii?
- Brak.
- Wykształcenie?
- Wyższe, Instytut imienia Hercena. Leningrad.
- Karany?
- Nie.
- Ziemski rok wyjazdu?
- Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty ósmy.
- Miejsce wyjazdu?
- Leningrad.
- Przyczyna?
- Ciekawość.
- Staż pobytu w mieście?
- Cztery lata.
- Aktualny zawód?
- Statystyk zarządu gospodarstwa komunalnego.
- Proszę wymienić poprzednie zawody.

- Robotnik niewykwalifikowany, starszy archiwariusz miasta, pracownik biurowy w rzeźni miejskiej, śmieciarz, kowal. To chyba i wszystko.

- Stan cywilny?
- Cudzołożnik - uśmiechnął się złośliwie Izia.

Andrzej odłożył długopis, zapalił papierosa i chwilę patrzył na zatrzymanego przez błękitny dymek. Izia szczyrzył zęby, włosy miał potargane i zachowywał się bezczelnie, ale Andrzej znał go dobrze i widział, że Katzman jest zdenerwowany. Najwidoczniej miał powody, mimo że sprytnie udało mu się pozbyć teczek. Zrozumiał wręcz, że naprawdę się za niego zabierają, i nerwowo mrużył oczy, a kciuki jego uśmiechniętych ust drżały.

- Coś panu powiem, oskarżony - powiedział Andrzej z dobrze udaną oschłością. - Jeśli nie chce pan pogorszyć swojego położenia, to szczerze panu radzę zachowywać się przyzwoicie podczas śledztwa.

Izia przestał się uśmiechać.

- Dobrze - rzekł. - W takim razie żądani przedstawienia mi zarzutów i artykułu, na podstawie którego zostałem zatrzymany. Oprócz tego żądam adwokata. Od tej chwili bez adwokata nie powiem j ani słowa.

Andrzej uśmiechnął się w duchu.

- Został pan zatrzymany na podstawie artykułu dwunastego kodeksu postępowania karnego o prewencyjnym zatrzymaniu osób, których pozostawanie na wolności może stanowić zagrożenie dla otoczenia. Jest pan oskarżony o niezgodne z prawem kontakty z wrogimi elementami, o ukrycie bądź zniszczenie dowodów rzeczowych w momencie zatrzymania... oraz o naruszenie postanowienia władz, dotyczącego opuszczania granic miasta w związku z niebezpieczeństwem infekcji. To postanowienie naruszał pan systematycznie... Co się zaś tyczy adwokata, prokuratura może zapewnić panu adwokata po trzech dobach, licząc od chwili zatrzymania. Mówi o tym ten sam dwunasty artykuł kodeksu karnego... Oprócz tego uświadamiam panu, że składać protesty i skargi oraz wnosić apelacje

może pan dopiero po udzieleniu odpowiedzi na wszystkie pytania śledztwa wstępnego. Cały czas ten sam artykuł dwunasty. Zrozumiał pan?

Uważnie obserwował twarz przesłuchiwanego i zauważył, że Izia zrozumiał. Było oczywiste, że będzie odpowiadał na pytania i poczeka, aż miną trzy doby. Przy wspomnieniu o tych trzech dobach Izia otwarcie wciągnął powietrze. Bardzo dobrze...

- Teraz, gdy otrzymał pan już wyjaśnienie - powiedział Andrzej i wziął do ręki długopis - chciałbym kontynuować. Stan cywilny?

- Kawaler.

- Adres domowy?

- Co? co? - zapytał Izia, który najwyraźniej myślał o czymś innym.

- Pański adres domowy? Gdzie pan mieszka?

- Druga Lewa dziewiętnaście, mieszkania siedem.

- Czy może pan coś powiedzieć o przedstawionych zarzutach?

- Proszę bardzo - powiedział Izia. - Jeśli chodzi o wrogie elementy: bredzenie w malignie. Pierwszy raz słyszę, że bywają jakieś wrogie elementy i uważam to za prowokację śledczego. Dowody rzeczowe... Żadnych dowodów rzeczowych nie miałem i nie mogłem mieć, a to z tego powodu, że żadnych przestępstw nie popełniałem. Dlatego też nie mogłem niczego schować ani zniszczyć. Jeśli zaś chodzi o postanowienie władz - jestem starym pracownikiem archiwum miejskiego, ciągle tam pracuję w czynie społecznym, mam dostęp do wszystkich archiwalnych materiałów, czyli również do tych, które znajdują się poza granicami miasta. To wszystko.

- Co pan robił w Czerwonym Budynku?

- To moja prywatna sprawa. Nie ma pan prawa ingerować w moje i prywatne sprawy. Proszę najpierw udowodnić, że mają one związek z przestępstwem. Artykuł czternasty kodeksu karnego.

- Był pan kilka razy w Czerwonym Budynku?

- Tak.

- Może pan podać nazwiska ludzi, których pan tam spotykał?

Izia wyszczerzył zęby.

- Mogę. Ale to śledztwu nie pomoże.

- Proszę podać nazwiska.

- Już podaję. Z czasów współczesnych: Petain, Quisling, Wang cyng wej...

Andrzej podniósł rękę.

- Proszę, aby pan w pierwszej kolejności podał nazwiska ludzi, którzy są obywatelami naszego miasta.

- A po co to śledztwu? - zapytał agresywnie Izia.

- Nie mam obowiązku tłumaczyć się panu. Proszę odpowiadać na pytania.

- Nie mam zamiaru odpowiadać na głupie pytania. Myśli pan, że skoro kogoś tam spotkałem, to znaczy, że on rzeczywiście tam był. A to nie tak.

- Nie rozumiem. Proszę wyjaśnić.

- Ja też nie rozumiem - powiedział Izia. - To coś jakby sen. Majaczenie wzburzonego sumienia.

- Tak. Coś w rodzaju snu. Był pan dzisiaj w Czerwonym Budynku?

- No tak, byłem.

- Gdzie znajdował się Czerwony Budynek, gdy wchodził pan do niego?

- Dzisiaj? Dzisiaj tam, przy synagodze.

- Widział mnie pan tam?

Izia znowu się wyszczerzył.

- Widzę pana za każdym razem, gdy tam jestem.

- Także dzisiaj? - Także dzisiaj.

- Czym się zajmowałem?

- Rozpustą- powiedział z zadowoleniem Izia.

- Konkretnie?

- Spółkował pan, panie Woronin. Kopulował z kilkoma dziewczętami naraz, a jednocześnie głosił pan kastratom prawdy moralne. Wyjaśniał pan, że zajmuje się tymi sprawami nie dla własnej przyjemności, lecz dla dobra całej ludzkości.

Andrzej zacisnął zęby.

- A czym pan się zajmował? - zapytał po chwili milczenia.

- A tego to już panu nie powiem. Mam prawo.

- Kłamie pan - powiedział Andrzej. - Nie widział mnie pan tam. Oto pańskie własne słowa: "Sądząc po twoim wyglądzie, byłeś w Czerwonym Budynku..." A więc nie mógł mnie pan tam widzieć. Po co pan kłamie?

- Nie kłamię - odparł lekko Izia. - Było mi po prostu za pana wstyd i zdecydowałem dać do zrozumienia, że pana nie widziałem. Ale teraz to oczywiście co innego. Teraz moim obowiązkiem jest mówienie prawdy.

Andrzej odchylił się i założył ręce za oparcie krzesła.

- Mówi pan, że to coś w rodzaju snu. W takim razie jaka różnica, czy pan mnie tam widział czy nie? Po co wobec tego dawać do zrozumienia?...

- To nie tak - powiedział Izia. - Po prostu było mi wstyd za moje myśli. Zdaje się, że niesłusznie.

Andrzej podejrzliwie pokręcił głową.

- No dobrze. A teczkę też pan wyniósł z Czerwonego Budynku? To znaczy z własnego snu?

Twarz Izi zastygła.

- Jaką teczką? - zapytał nerwowo. - O jaką teczką mnie pan przez cały czas pyta? Nie miałem żadnej teczki.

- Niech pan przestanie, Katzman - Andrzej przymknął zmęczone oczy. - Teczkę widziałem i ja, i policjant, i nawet ten staruszek.. pan Stupalski. W sądzie i tak pan będzie musiał to wyjaśnić... Niech pan nie utrudnia!

Izia z nieruchomą twarzą rozglądał się po ścianach. Milczał.

- Załóżmy, że teczka nie pochodzi z Czerwonego Budynku ciągnął Andrzej. - W takim razie wychodzi na to, że dostał ją pan poza granicami miasta. Od kogo? Kto ją panu dał, Katzman?

Izia milczał.

- Co było w tej teczce? - Andrzej wstał i przeszedł się po gabinecie z założonymi za plecy rękami.

- Człowiek ma w rękach teczkę. Zatrzymują go. Po drodze do prokuratury pozbywa się tej teczki. Ukradkiem. Dlaczego? Najwidoczniej w teczce znajdują się dokumenty, które go kompromitują... Nadaża pan za biegiem moich myśli, Katzman? Teczkę otrzymał pan poza granicami miasta. Jakie dokumenty, tam właśnie wręczone, mogą skompromitować mieszkańca naszego miasta? No, jakie, Katzman?

Izia bezlitośnie szarpał brodawkę i patrzył w sufit.

- Tylko niech pan się nie próbuje wywinąć, Katzman - uprzedził go Andrzej. - Niech pan nie próbuje sprzedać mi kolejnej bajki. Widzę pana na wylot. Co było w teczce? Spisy? Adresy? Instrukcje?

Izia nagle uderzył się dłonią w kolano.

- Słuchaj no, idioto! - krzyknął. - Co ty za głupoty opowiadasz? Kto ci to wmówił, przecież sam

byś tego nigdy nie wymyślił! Jakie spisy, jakie adresy? Znalazł się specjalista od przesłuchań trzeciego stopnia! Znasz mnie trzy lata, wiesz, że grzebię w ruinach, studiuję historię miasta. Po jaką cholere robisz ze mnie szpiega? Kto: tutaj może szpiegować, pomyśl tylko! Po co? Dla kogo?

- Co było w teczce?! - wrzasnął z całych sił Andrzej. - Niech! pan przestanie kręcić i odpowiada: co było w teczce?

Izia wytrzeszczył nabiegłe krwią oczy.

- A idź ty w... ze swoimi teczkami! - zapiszczał falsetem - Nic ci nie powiem! Głupku ty jeden, idioto, żandarmski ryju!...

Piszczął, pluł, przeklinał, pokazywał mu figę. Andrzej wyjął; kartkę czystego papieru, napisał na górze: "Zeznania przesłuchiwanego I. Katzmana, dotyczące znajdującej się przy nim, a następnie: przepadłej bez śladu teczki", poczekał, aż Izia się uspokoi, i powiedział łagodnie:

- Posłuchaj, Izia. Mówię ci to nieoficjalnie. Twoja sprawa nie wygląda najlepiej. Wiem, że wdepnąłeś w tę historię przez lekkomyślność i głupią ciekawość. Jeśli chcesz wiedzieć, już od pół roku mają na ciebie oko. I dlatego radzę: siadaj i pisz wszystko, jak leci. Nie mogę ci za wiele obiecać, ale zrobię dla ciebie, co tylko będę mógł. Siadaj i pisz. Wróć za pół godziny.

Starając się nie patrzeć na oklapniętego z wyczerpania Izie, czując do samego siebie wstręt za dwulicowość i pocieszając się, że w tym przypadku cel z całą pewnością uświęca środki, pozamykał szuflady, wstał i wyszedł.

Na korytarzu przywołał gestem ręki pomocnika dyżurnego, postawił go pod drzwiami, a sam poszedł do bufetu. Czuł się podle, w ustach miał wstrętą suchość, jakby najadł się jakiegoś świństwa. Przesłuchanie wypadło jakoś tak nieprzekonująco, mętnie. Wersję Czerwonego Budynku położył całkowicie, nie trzeba było teraz się tym zajmować. Teczke - jedyny realny punkt zaczepienia! - beznadziejnie przegapił; za takie wpadki powinni go przegnać z prokuratury na cztery wiatry... Fritz pewnie by tego nie przeoczył, pewnie by od razu zrozumiał, w czym rzecz. Przekłety sentymentalizm. Jak to tak - razem pili, razem żyli, swój człowiek, radziecki... A taka była okazja - od razu wszystkich wygarnąć! Szef też dobry: plotki, plotki... Tutaj cała siatka pod samym nosem działa, a ja mam szukać źródeł plotek...

Andrzej podszedł do lady, zamówił kieliszek wódki i wypił ze wstrętem. Ale gdzie on podział tę teczkę? Czyżby po prostu wyrzucił na ulicę? Na to wygląda... Przecież jej nie zjadł. Wysłać kogoś, żeby szukał? Za późno. Świry, pawiany, dozorcy... Nie, niedobrze, niedobrze to wszystko zorganizowane! Dlaczego taka ważna informacja, jak istnienie Antymiasta, jest ukrywana nawet przed prowadzącymi śledztwo? O tym się powinno pisać codziennie w gazetach, plakaty na ulicach rozwieszać, procesy pokazowe robić! Już ja bym tego Katzmana dawno rozgryzł... Pewnie, że samemu też trzeba mieć głowę na karku. Skoro istnieje takie ogromne przedsięwzięcie jak Eksperyment, skoro wciągnięto w niego ludzi najróżniejszych klas i przekonań politycznych, to znaczy, że rozwarstwienie jest nieuniknione... sprzeczności... postępowe sprzeczności, jeśli ktoś woli... walka antagonizmów... Prędzej czy później powinni się ujawnić przeciwnicy Eksperymentu, ludzie klasowo z nim niezgodni. A to znaczy, że różnych takich przeciągają na swoją stronę - element zdeklasowany, osobników moralnie niepewnych, którzy ulegli rozkładowi, tak jak Katzman... różnych kosmopolitów... Naturalny proces. Sam mogłem wpaść na pomysł, jak się to wszystko powinno rozwijać...

Ktoś położył mu na ramieniu drobną, mocną dłoń. Andrzej odwrócił się. To był reporter kroniki kryminalnej "Gazety Miejskiej" Kensi Ubukata.

- Nad czym się tak zamyśliłeś, śledczy? - zapytał. - Rozplątujesz zagmatwaną sprawę? Podziel się ze społeczeństwem. Społeczeństwo lubi zagmatwane sprawy. No co?

- Cześć, Kensi - powiedział zmęczonym głosem Andrzej. - Napijesz się wódki?

- Tak, jeśli mi coś powiesz.

- Nie dostaniesz nic oprócz wódki.

- Dobra, dawaj wódkę bez informacji.

Wypili po kieliszku i zagryźli miękkim kiszonym ogórkiem.

- Wracam prosto od waszego szefa - powiedział Kensi, wypluwając ogonek. -Bardzo giętki człowiek. Jedna krzywa idzie do góry, druga krzywa idzie w dół, wyposażenie pojedynczych cel w kible ma się ku końcowi, i ani jednego słowa na interesujący mnie temat.

- A co to za temat? - zapytał z roztargnieniem Andrzej.

- Interesują mnie zaginięcia. W ciągu ostatnich piętnastu dni zaginęło bez śladu jedenaście osób. A może ty coś o tym wiesz?

Andrzej wzruszył ramionami.

- Wiem, że zniknęli. Wiem, że ich nie odnaleziono.

- A kto prowadzi tę sprawę?

- Wątpię, żeby to była jedna sprawa - odpowiedział Andrzej. -Zapytaj lepiej szefa.

Kensi pokręcił głową.

- Coś ostatnio za często panowie śledczy odsyłają mnie a to do szefa, a to do Heigera... Za dużo tajemnic załęgło się w naszej małej demokratycznej wspólnotce... Czy wy się tu czasem nie zamieniliście w tajną policję? - Zajrzał do pustego kieliszka i pożałił się: -Co za sens mieć przyjaciół wśród śledczych, skoro nigdy niczego nie można się od nich dowiedzieć?

- Przyjaźń swoją drogą, a praca swoją.

Zamilkli.

- A wiesz, aresztowali Wana - odezwał się Kensi. - Uprzedzałem go, to nie posłuchał, uparciuch.

- To nic, już załatwione - powiedział Andrzej.

- Jak to?

Andrzej z przyjemnością opowiedział, jak umiejętnie i szybko wszystko załatwił. Zaprowadził porządek. Przywrócił sprawiedliwość. Przyjemnie było opowiadać o jedynej udanej sprawie w ciągu tego idiotycznego, pechowego dnia.

- Hmm - mruknął Kensi po wysłuchaniu do końca. - Ciekawe... "Gdy przyjeżdżam do obcego kraju - zacytował - nigdy nie pytam, czy prawa są dobre, czy złe. Pytam tylko, czy są przestrzegane..."

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Andrzej zmarszczył brwi.

- Chcę powiedzieć, że o ile wiem, ustawa o prawie do różnorodnej pracy nie zawiera wyjątków.

- To znaczy, uważasz, że trzeba było wysłać Wana na bagna?

- Jeśli tego wymaga prawo - to tak.

- Ale przecież to głupie! - oburzył się Andrzej. - Po jaką cholerę Eksperymentowi kiepski dyrektor kombinatu zamiast dobrego dozorca?

- Ustawa o prawie do różnorodnej pracy...

- Tę ustawę - przerwał mu Andrzej - wymyślono dla dobra Eksperymentu, ale przecież nie na szkodę Wana. Prawo nie może przewidzieć wszystkiego. My, wykonawcy prawa, też powinniśmy mieć swój rozum.

- Według mnie, przestrzeganie prawa powinno wyglądać trochę inaczej - powiedział sucho Kensi.

- W każdym razie takie problemy powinien rozwiązywać sąd, a nie ty.

- Sąd wysłałby go na bagna - zdenerwował się Andrzej. - A on ma żonę i dzieci.

- *Dura lex, sed lex.*

- To przysłowie wymyślili biurokraci.

- To przysłowie - powiedział z naciskiem Kensi - wymyślili ludzie, którzy próbowali stworzyć wspólne prawa współistnienia dla niejednorodnej grupy ludzi.

- Otóż to, niejednorodnej! - podchwycił Andrzej. - Nie ma i nie może być jednego prawa dla wszystkich. Nie ma jednego prawa dla wyzyskiwacza i wyzyskiwanego. Gdyby Wan odmówił przejścia ze stanowiska dyrektora na dozorcę...

- Nie do ciebie należy ocenianie prawa - odparł chłodno Kensi. - Od tego jest sąd.

- Ale sąd nie zna i nie może znać Wana, tak jak ja go znam!

Kensi, uśmiechając się krzywo, pokręcił głową.

- Boże mój, ależ znawców mamy w tej prokuraturze!

- Dobra, dobra - zawarczał Andrzej. - Może jeszcze artykuł o tym napiszesz. Śledczy - ciamajda zwalnia dozorcę - kryminalistę.

- Pewnie, że bym napisał. Ale szkoda mi Wana. Ciebie, głupku, w ogóle mi nie żal.

- Przecież i mnie szkoda Wana!

- Ale ty jesteś śledczym - zaproponował Kensi. - A ja nie. Ja nie jestem skrupowany prawem.

- Wiesz co - powiedział Andrzej - daj ty mi święty spokój. I tak mi się w głowie kręci.

Kensi podniósł oczy i uśmiechnął się.

- Taa, widzę. Masz to wypisane na czole. Co to było, obława?

- Nie - odpowiedział Andrzej. - Potknąłem się. - Popatrzył na zegarek. - Jeszcze po kieliszku?

- Dziękuję. - Kensi wstał. - Nie mogę tyle pić z każdym śledczym. Piję tylko z tymi, którzy coś mi mówią.

- No to pal cię lichu. O, Czaczua się pojawił. Zapytaj go o "Spadające gwiazdy". Coś tam mu się udało wykryć, chwalił się dzisiaj. Tylko pamiętaj, on jest bardzo skromny, będzie zaprzeczał, ale ty się nie poddawaj, zbajeruj go jak trzeba, będziesz miał materiał jak ta lala!

Kensi, rozsuwając krzesła, ruszył w stronę Czaczuy, który siedział ponuro nad cienkim kotлетem. Andrzej uśmiechnął się mściwie niespiesznie poszedł do wyjścia. Warto byłoby poczekać, posłuchać wrzasków Czaczuy. Szkoda, że nie ma czasu... No, panie Katz-man, ciekawe, co tam u pana słychać? I broń pana Bóg znowu udawać głupka. Nie będę tego tolerował, panie Katzman...

W pokoju trzydzieści sześć paliły się wszystkie możliwe światła. Pan Katzman stał oparty plecami o otwarty sejf i gorączkowo kartkował jakieś akta, z przyzwyczajenia szarpiąc brodawkę i szczerząc się nie wiadomo do kogo.

- Do diabła! - wykrzyknął zakłopotany Andrzej. - Kto ci pozwolił? Co to za zwyczaj, do cholery!...

Izia popatrzył na niego bezmyślnymi wzrokiem, wyszczerzył się jeszcze bardziej i powiedział:

- Nigdy bym nie przypuszczał, żeście tyle namęcili z tym Czerwonym Budynkiem.

Andrzej wyrwał mu teczkę, zatrzaskał metalowe drzwiczki, chwycił Izie za ramię i popchnął w stronę taboretu.

- Siadajcie, Katzman - hamował się ostatkiem sił. Z wściekłości robiło mu się ciemno przed oczami. - Napisał pan?

- Posłuchaj - zaczął Izia. - Wszyscy jesteście idiotami!... Siedzi was tutaj stu pięćdziesięciu kretynów i żaden nie może zrozumieć...

Ale Andrzej nie patrzył na niego. Patrzył na kartkę z nagłówkiem "Zeznania oskarżonego I. Katzmana". Nie było na niej żadnych zeznań, widniał za to rysunek męskiego członka naturalnej wielkości.

- Łajdak - powiedział Andrzej i stracił oddech. - Bydlę. Złapał słuchawkę i trzęsącym się palcem wykręcił numer.

- Fritz? Mówi Woronin. - Wolną ręką rozerwał kołnierzyk. - Jesteś mi bardzo potrzebny. Proszę cię, przyjdź do mnie.

- O co chodzi? - zapytał niezadowolony Heiger. - Właśnie szedłem do domu.

- Bardzo cię proszę! - Andrzej podniósł głos. - Przyjdź zaraz!

Odłożył słuchawkę i spojrzał na Izie. Poczuł, że nie może na niego patrzeć i zwrócił wzrok przez niego. Izia bulgotał i chichotał na swoim taborecie, zacierał ręce i zadowolony z siebie przez cały czas perorował z obrzydliwą nonszalancją. Mówił o Czerwonym Budynku, o sumieniu, o śledczych idiotach. Andrzej nie słuchał i nie słyszał. Decyzja, którą podjął, przepelniała go strachem i jakąś diabelską radością. Wszystko się w nim trzęsło z podniecenia, czekał i nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie otworzą się drzwi i do pokoju wejdzie ponury i zły Fritz. Wtedy ta wstrętna, zadowolona twarz zmieni się, wykrzywi przerażeniem, hańbiącym strachem... Zwłaszcza jeśli Fritz przyjdzie z Römerem. Już sam wygląd Römera robił niezłe wrażenie: zwierzęca włochata mordą z rozbitym nosem. .. Andrzej poczuł chłód na karku. Oblał go zimny pot. W końcu wszystko można było jeszcze odkręcić. Jeszcze można powiedzieć: "Wszystko w porządku, Fritz, wszystko gra, przepraszam, że cię niepokoiłem..."

Drzwi otworzyły się i wszedł posepny i niezadowolony Fritz Heiger.

- No, o co chodzi? - zapytał i w tym samym momencie zobaczył Izie. - A, cześć! - powiedział, uśmiechając się. - Co wy tu robicie w środku nocy? Spać pora, zaraz rano...

- Słuchaj, Fritz! - zawył radośnie Izia. - Chociaż ty wytłumacz temu bałwanowi! Jesteś tu chyba jakimś naczelnikiem...

- Oskarżony, milczeć! - ryknął Andrzej i uderzył pięścią w stół.

Izia umilkł, a Fritz błyskawicznie sprężył się i popatrzył na Izie j jakoś inaczej.

- To bydlę robi sobie żarty ze śledztwa - wycedził przez zęby Andrzej, starając się uspokoić drżenie ciała. - To bydlę się zapiera, Weź go, Fritz, i niech on powie to, o co się go pyta.

Przezroczyście nordyckie oczy Fritza otworzyły się szeroko.

- A o co się go pyta? - zapytał z radosną gotowością.

- Nieważne - mruknął Andrzej. - Dasz mu papier, on sam napisze. I niech powie, co było w teczce.

- Jasne. - Fritz odwrócił się do Izi.

Izia ciągle jeszcze nie rozumiał. Albo nie wierzył. Powoli pocierał ręce i niepewnie szczyrzył zęby.

- No to co, mój Żydzio, idziemy? - zapytał łagodnie Fritz. Posepność i niezadowolenie znikły bez śladu. - Rusz no się, kochaniutki!

Izia zwlekał, więc Fritz wziął go za kołnierz, odwrócił i pchnął na drzwi. Izia stracił równowagę i przytrzymał się futryny. Zbladł. Zrozumiał.

- Chłopaki - powiedział przestraszony. - Chłopaki, poczekajcie...

- Jakby co, to jesteśmy w piwnicy - zamruczał aksamitnie Fritz, uśmiechnął się do Andrzeja i wypchnął Izie na korytarz.

Koniec. Czując wewnątrz wstrętny, mdlący chłodek, Andrzej przeszedł się po gabinecie i pogasił zbędne światła. Koniec. Usiadł przy stole i siedział tak jakiś czas, opierając głowę na dłoniach. Miał wrażenie, że zaraz straci przytomność, oblewał go zimny pot. W uszach mu szumiało, a poprzez ten szum słyszał głuchy, żaloszny, zrozpaczony, przerażony głos Izi: "Chłopaki, poczekajcie... Chłopaki, poczekajcie..." Słyszał też grzmiącą uroczystą muzykę, tupot i szuranie po parkiecie, brzęk naczyń i niewyraźnie mamlanie: "... Kieliszek kiuhaso i anianiasa!..." Oderwał ręce od twarzy i przez chwilę bezmyślnie wpatrywał się w rysunek męskiego członka. Potem wziął kartkę i zaczął ją drzeć na długie, wąskie paski. Wyrzucił ten papierowy makaron do kosza na śmieci i znowu schował twarz w

dłoniach. Koniec. Pozostawało tylko czekać. Uzbroić się w cierpliwość i czekać. Wtedy się okaże, że tak musiało być. Mdłości miną i można będzie odetchnąć z ulgą.

- Tak, Andrzej, czasem trzeba pogodzić się nawet z tym - usłyszał znajomy, spokojny głos.

Z taboretu, na którym kilka minut temu siedział Izia, z nogą założoną na nogę i długimi białymi palcami splecionymi na kolanie, patrzył na niego smutny Nauczyciel ze zmęczoną twarzą. Leciutko kiwał głową, kąciki ust miał żałośnie opuszczone.

- W imię Eksperymentu? - zapytał ochryple Andrzej.

- W imię Eksperymentu również - odpowiedział Nauczyciel. - Ale przede wszystkim dla samego siebie. Objazdu nie ma. Musimy przejść także i przez to. Są nam potrzebni ludzie, ale nie wszyscy. Są nam potrzebni konkretni ludzie.

- Jacy?

- Tego właśnie nie wiemy - w głosie Nauczyciela dźwięczał lekki żal. - Wiemy tylko, jacy ludzie nie są nam potrzebni.

- Tacy jak Katzman?

Nauczyciel odpowiedział oczami, że tak.

- A tacy jak Römer?

Nauczyciel uśmiechnął się.

- Tacy jak Römer nie są ludźmi. To żywe narzędzia, Andrzej. Tacy jak Römer są wykorzystywani dla dobra takich jak Wan, jak wujek Jura... rozumiesz?

- Tak, ja też tak uważam. Przecież innej drogi nie ma, prawda?

- Prawda. Nie ma.

- A Czerwony Budynek? - zapytał Andrzej.

- Bez niego też nie można. Bez niego każdy mógłby, niezauważalnie dla samego siebie, stać się taki jak Römer. Jeszcze nie rozumiesz, że Czerwony Budynek to konieczność? A czy ty jesteś taki sam, jak byłeś rano?

- Katzman twierdzi, że Czerwony Budynek to majaczenie wzburzonego sumienia.

- No cóż, Katzman jest inteligentny. Mam nadzieję, że z tym się zgodzisz?

- Oczywiście - odparł Andrzej. - I właśnie dlatego jest niebezpieczny.

Nauczyciel znowu odpowiedział samymi oczami - tak.

- Boże - powiedział z żałością Andrzej. - Gdyby tak można było wiedzieć, jaki jest cel Eksperymentu! Tak łatwo się zaplątać, tak się wszystko pomieszało... Ja, Heiger, Kensi... Czasem mi się wydaje, że rozumiem, że mamy ze sobą coś wspólnego, a kiedy indziej wychodzi z tego jakiś bałagan, ślepa uliczka... Przecież Heiger to były faszysta, nawet teraz... Nawet teraz czuję do niego niechęć, nie jak do człowieka, ale jak do gatunku, jak... Albo Kensi. Przecież on jest czymś w rodzaju socjaldemokraty, pacyfisty czy innego tołstojowca... Nie rozumiem tego.

- Eksperyment to Eksperyment - powiedział Nauczyciel. - Nie zrozumienia się od was oczekuje, ale czegoś innego.

- Czego!?

- Gdyby było wiadomo...

- Ale przecież to wszystko w imię większości? - w głosie Andrzeja słychać było niemal rozpacz.

- Oczywiście. W imię ciemnej, zaszczutej, niewinnej, prymitywnej większości...

- Którą trzeba wydzwignąć - podchwycił Andrzej - oświecić, uczynić panem ziemi! Tak, to to rozumiem. W imię tego można wiele wytrzymać... - umilkł, z wysiłkiem zbierając rozproszone myśli.
- A tu jeszcze Antymiaсто - powiedział niezdecydowanie. - Ono przecież też jest niebezpieczne, prawda?

- Bardzo - odpowiedział Nauczyciel.

- Czyli że nawet jeśli nie byłem pewien co do Katzmana, to i tak postąpiłem słusznie. Nie mamy prawa ryzykować.

- Bez wątpienia! - zawołał Nauczyciel. Uśmiechał się. Był zadowolony z Andrzeja i Andrzej to czuł. - Nie myli się tylko ten, kto nic nie robi. Nie błędy są niebezpieczne, ale bierność, fałszywa uczciwość, wierność przestarzałym przykazaniom! Dokąd mogą prowadzić takie przykazania? Tylko do przestarzałego świata.

- Tak! - wykrzyknął wzburzony Andrzej. - Rozumiem to doskonale. To jest właśnie to, czego wszyscy powinniśmy się trzymać. Czym jest pojedynczy człowiek? Społeczną jednostką! Zerem zupełnym! Nie chodzi przecież o jednostki, ale o dobro całego społeczeństwa. W imię społecznego dobra mamy obowiązek wziąć na swoje staroświeckie sumienie każdy ciężar, naruszyć każde pisane i niepisane prawo. Naszym jedynym prawem jest dobro społeczne.

Nauczyciel wstał.

- Doroślejiesz, Andrzej - powiedział niemal uroczyście. - Powoli, ale jednak!

Podniósł rękę w pożegnalnym geście, przeszedł niesłyszalnym krokiem przez pokój i zniknął za drzwiami.

Jakiś czas Andrzej siedział, o niczym nie myśląc. Odchylony na oparcie krzesła palił papierosa i patrzył, jak błękitny dym powoli krąży wokół gołej żółtej żarówki pod sufitem. Przyłapał się na tym, że się uśmiecha. Nie czuł już zmęczenia, zniknęła męcząca go od wieczoru senność, pragnął działać, pracować i złościła go myśl, że mimo wszystko trzeba będzie wyjść i przespać się kilka godzin, żeby potem nie wyglądać jak trup.

Niecierpliwie przysunął aparat, podniósł słuchawkę i przypomniał sobie, że w piwnicy nie ma telefonu. Wstał, zamknął sejf na klucz, sprawdził, czy szuflady są pozamykane, i wyszedł.

Korytarz był pusty, dyżurny policjant przysypiał przy swoim stoliku.

- Śpicie na służbie! - powiedział potępiająco Andrzej, przechodząc obok niego.

W budynku panowała absolutna cisza, jak zawsze na kilka minut przed włączeniem słońca. Senna sprzątaczką leniwie przesuwiała mokrą szmatę po cementowej podłodze. Okna na korytarzach były otwarte na oścież, smród potu setek ludzkich ciał rozpląwał się i wypełzał w ciemność, wypychany chłodnym porannym powietrzem.

Stukając obcasami po śliskich metalowych schodach, Andrzej zszedł do piwnicy. Niedbałym ruchem ręki osadził na miejscu wartownika, który zerwał się na jego widok, i otworzył niskie, metalowe drzwi.

Fritz Heiger bez kurtki, w koszuli z podwiniętymi rękawami, pogwizdując znajomy marsz, stał przy zardzewiałej umywalce i wcierał wodę kolońską we włochate, kościste ręce. Oprócz niego w pokoju nie było nikogo.

- A, to ty - powiedział Fritz. - Dobrze się składa. Właśnie miałem zamiar iść do ciebie... Daj papierosa, moje się skończyły.

Andrzej podsunął mu paczkę. Fritz wyjął papierosa, rozprostował go, wsunął do ust i z uśmiechem popatrzył na Andrzeja.

- No? - nie wytrzymał Andrzej.

- Co - no? - Fritz zapalił i zaciągnął się z rozkoszą. - Trafiłeś jak kulą w płot. Żaden z niego szpieg.

- To znaczy co? - Andrzej zamarł. - A teczka?

Fritz zachichotał, przytrzymując papierosa w kąciku wielkich ust i wylał na szeroką dłoń nową porcję wody kolońskiej.

- Nasz Żydek to babiarz nie z tej ziemi - powiedział pouczająco. - W teczce miał listy miłosne. Od baby wracał - pokłócili się i zabrał od niej swoje listy. A że swojej wdowy boi się jak ognia, to pozbył się tej teczki przy pierwszej sposobności. Mówi, że ją wrzucił do studzienki... A szkoda! - ciągnął Fritz jeszcze bardziej pouczająco. - Teczuszkę trzeba było, śledczy Woronin, od razu odebrać - wyszłaby z tego piękna kompromitacja i moglibyśmy trzymać naszego Żyda o, tutaj!... - Fritz pokazał, jak mogliby go trzymać. Na kostkach jego dłoni widać było świeże siniaki. - Zresztą protokół podpisał, tak że nie jest źle...

Andrzej namacał krzesło i usiadł. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Znowu się rozejrzał.

- A ty... - Fritz odwinął rękawy i próbował je zapiąć. - Widzę masz niezłego guza. Idź do lekarza i go zabandażuj. Römera już wysłałem, rozwaliłem mu nos. To tak na wszelki wypadek. Podejrzany Katzman podczas przesłuchania napadł na śledczego Woronina i młodszego śledczego Römera, powodując obrażenia cielesne wyżej wymienionych. Zmuszeni do obrony... i tak dalej. Jasne?

- Jasne - wymamrotał Andrzej, odruchowo macając śliwę. Rozejrzał się jeszcze raz. - A on... gdzie jest? - zapytał z wysiłkiem.

- Römer, goryl jeden, znowu się za bardzo postarał - powiedział ze złością Fritz, zapinając kurtkę. - Złamał mu rękę, o, tutaj... Trzeba go było wysłać do szpitala.

CZĘŚĆ 3
REDAKTOR

ROZDZIAŁ 1

W mieście od zawsze wychodziły cztery dzienniki, ale Andrzej najpierw zabrał się za piątą, który zaczął się ukazywać całkiem niedawno, ze dwa tygodnie przed "egipskimi ciemnościami". Gazetka była nieduża, dwie kolumny wszystkiego - właściwie nie była to nawet gazeta, tylko ulotka. Wydawała ją Partia Radykalnego Odrodzenia, odłam lewego skrzydła Partii Radykałów. Ulotka "Pod sztandarem Radykalnego Odrodzenia" była jadowita, agresywna i złośliwa, ale ludzie, którzy ją redagowali, wydawali się doskonale poinformowani i z reguły bardzo dobrze się orientowali, co dzieje się w mieście i w rządzie.

Andrzej popatrzył na nagłówki: "Friedrich Heiger ostrzega: pogrążyliście miasto w ciemnościach, ale my czuwamy!"; "Radykalne odrodzenie to jedyny skuteczny środek mera przeciwko korupcji"; "Gdzie podziało się zboże z magazynów, panie merze?"; "Ramię przy ramieniu i naprzód! Spotkanie Friedricha Heigera z przywódcami partii chłopskiej"; "Oto poglądy odlewników: powiesić skupujących zboże!"; "Tak trzymaj, Fritz! Jesteśmy z tobą! Mityng gospodyń domowych - erwistek"; "Znowu pawiany?" Karykatura: mer z wystającym tyłkiem, zasiadający na górze ziarna - jak należy rozumieć, tego samego, które zniknęło z magazynów - rozdaje broń posępnym osobnikom o wyglądzie kryminalistów. Podpis: "Dalej, chłopaki, wytłumaczcie im, co się stało ze zbożem!"

Andrzej rzucił ulotkę na stół i podrapał się po podbródku. Skąd Fritz ma tyle pieniędzy na kary? Boże, jak mu się to wszystko sprzykrzyło! Wstał, podszedł do okna i wyjrzał. W gęstych ciemnościach, ledwie rozrzedzonych latarniami, turkotały wozy, słyhać było ochryple przekleństwa, męczący kaszel, czasem rżały konie. Do pogrążonego w ciemnościach miasta od dwóch dni zjeżdżali farmerzy.

Do drzwi ktoś zapukał, weszła sekretarka z paczką szpalt. Andrzej opędził się z irytacją:

- Do Ubukaty, do Ubukaty z tym...

- Pan Ubukata jest u cenzora - zaprotestowała nieśmiało sekretarka.

- Nie będzie tam przecież nocował - powiedział z rozdrażnieniem Andrzej. - Jak wróci, to mu pani odda...

-Ale skład...

- Dosyć! - przerwał jej nieuprzejmie Andrzej. - Niech pani już idzie.

Sekretarka wycofała się. Andrzej ziewnął, skrzywił się od bólu w karku, wrócił do stołu i zapalił. Głowa mu pękała, w ustach czuł niesmak. Wszystko było nieprzyjemne, mroczne, słotne. Ciemności egipskie... Gdzieś w oddali słyhać było wystrzały - słabe trzaski, jakby ktoś łamał suche gałęzie. Andrzej znowu się skrzywił i wziął "Eksperyment" - szesnastostronicową gazetę rządową.

"Mer ostrzega erwistów: rząd nie śpi, rząd widzi wszystko!"

"Eksperyment to Eksperyment. Wypowiedź naszego naukowego komentatora na temat zjawisk słonecznych".

"Ciemne ulice i ciemne typy. Doradca polityczny władz miejskich komentuje ostatnie przemówienie Friedricha Heigera".

"Sprawiedliwy wyrok. Alojzy Tender za noszenie broni skazany na śmierć przez rozstrzelanie".

"Coś im się tam zepsuło. To nic, naprawią - mówi majster elektryk Teodor W. Peters".

"Chrońcie pawiany, to nasi przyjaciele! Rezolucja ostatniego zebrania Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami".

"Czarownik z laboratorium nad urwiskiem. Doniesienia o ostatnich pracach nad hodowaniem roślin bez światła".

"Farmerzy - trwały szkielet naszego społeczeństwa. Spotkanie mera z przywódcami partii

chłopskiej".

"Znowu «Spadające gwiazdy»?"

"Mamy samochody pancerne. Wywiad z prezydentem policji".

"Chlorella to nie paliatyw, lecz panaceum".

"Aron Webster śmieje się i śpiewa! Piętnasty charytatywny koncert znakomitego komika".

Andrzej zgarnął całą tę stertę papierów, zmiął i rzucił w kąt. Wydawało mu się to nierealne. Realne były ciemności, które zapadły nad Miastem dwanaście dni temu. Realne były kolejki przed sklepami z pieczywem, realny był ten złowieszczy turkot rozklekotanych kół pod oknami, płonące w ciemnościach czerwone ogniki skrętów, głuche pobrzękiwanie pod brezentami wiejskich wozów. Realna była strzelanina, chociaż do tej pory nikt nie wiedział, kto i do kogo strzelał... A najpaskudniej realny był tępy łomot w biednej, skacowanej głowie i ogromny, szorstki język, który nie mieścił się w ustach i który chciałoby się wypluć. Portwajn ze spirytusem - zgłupieli zupełnie! Jej to tam wszystko jedno, leży sobie pod kołdrą, śpi, a ty się tu męcz... Żeby to już wreszcie szlag trafił... Znudziła im się ta wegetacja, to niech idą do diabła z tymi swoimi eksperymentami, nauczycielami, erwistami, merami, farmerami, z tym cuchnącym ziarnem... Ładni mi eksperymentatorzy - światła słonecznego nie potrafią zapewnić. A jeszcze dzisiaj trzeba iść do Izi, targać mu paczkę... Ile mu jeszcze zostało? Cztery miesiące... Nie, sześć. Co za łobuz z tego Fritza! Gdyby tak dało się jego energię spożytkować na cele pokojowe! Ten to się nigdy nie poddaje, wszystko po nim spływa. Wyrzucili go z prokuratury - a on partię założył, plany jakieś tworzy, walka z korupcją, niech żyje odrodzenie, z merem się starł... Dobrze byłoby pójść teraz do merostwa, wziąć mera za tę jego siwą, szlachetną czuprynę i palnąć mordą w stół: "Gdzie chleb, łajdaku? Dlaczego słońce się nie świeci?", i nakopać mu w dupę...

Otworzone zniemacka drzwi uderzyły o ścianę. Wszedł Kensi, mały, energiczny i od razu widać, że wściekły - oczy jak szparki, drobne zęby wyszczerzone, czarne włosy zjeżone. Andrzej jęknął w myśli. Znowu będzie chciał mnie wciągnąć w jakąś walkę, pomyślał ze znużeniem.

Kensi podszedł i trzasnął w stół paczką pokreślonych czerwonym ołówkiem szpalt.

- Nie będę tego drukował! - oświadczył. - To sabotaż!

- No, co tam znowu? - zapytał ponuro Andrzej. - Z cenzorem się pokłóciłeś? - wziął szpalty i zaczął się w nie wpatrywać, nic nie rozumiejąc i nic nie widząc oprócz czerwonych linii i zakrętasów.

- Wybór listów złożony z jednego listu! - wściekał się Kensi. - Wstępniak się nie nadaje, za ostry. Komentarz wystąpienia mera - też, za bardzo wyzywający. Wywiad z farmerami wyrzucić, temat za świeży... Jak sobie chcesz, Andrzej, ale ja nie mogę tak pracować. Musisz coś zrobić. Te bydlaki zarzynają nam gazetę!

- Poczekaj... - skrzywił się Andrzej. - Poczekaj, daj spojrzeć... Nagle w kark, w dołek u podstawy czaszki, wkręciła mu się wielka, zardzewiała śruba. Andrzej zamknął oczy i cicho zajęczał.

- Jęki tu nie pomogą! - powiedział Kensi, padając na fotel dla petentów i nerwowo przypalając papierosa. - Ty jęczysz, ja jęcę, a to nie my powinniśmy jęczeć, tylko to bydlę...

Drzwi znowu się otworzyły. Cenzor - tłusty, spocony, pokryty czerwonymi plamami, wpadł sapiąc do pokoju i od progu zaczął przenikliwie krzyczeć:

- Nie będę pracował w takich warunkach! Ja, panie redaktorze, nie jestem szczeniakiem! Jestem urzędnikiem państwowym! Nie siedzę tu dla własnej przyjemności! Nie mam zamiaru wysłuchiwać ordynarnych przekleństw od pańskich podwładnych! I jeszcze jakieś wyzwiska!...

- Podusić by was trzeba, a nie wyzywać! - wysyczał ze swojego fotela Kensi, błyskając oczami jak zmija. - Pan jest sabotażystą, a nie urzędnikiem!

Cenzor skamieniał, patrząc zapuchniętymi oczami to na Andrzeja, to na Kensiego. Potem nagle bardzo spokojnie, a nawet uroczyście oświadczył:

- Panie redaktorze naczelny! Zgłaszam oficjalny protest! Andrzej przemógł się w końcu z ogromnym wysiłkiem, uderzył dłonią w stół i powiedział:

- Proszę o ciszę. Panie Paprikaki, niech pan siada.

Paprikaki usiadł naprzeciwko Kensiego i, nie patrząc na nikogo, wyciągnął z kieszeni wielką, kraciastą chustkę do nosa. Zaczął nią, wycierać spoconą szyję, policzki, kark i grdykę.

- Znaczą się, tak... - zaczął Andrzej, przeglądając szpalty. - Przygotowaliśmy wybór dziesięciu listów...

- Wybór jest tendencyjny! - oświadczył natychmiast Paprikaki. Kensi błyskawicznie podskoczył:

- Od wczoraj przyszło do nas dziewięćset listów na temat chleba! - ryknął. - A wszystkie takie same, jeśli nie ostrzejsze!

- Chwileczkę! - Andrzej podniósł głos i znowu uderzył dłonią w stół. - Pozwólcie mi mówić! A jak nie, to wyjdźcie na korytarz i tam się kłóćcie... Tak więc, panie Paprikaki, nasz wybór został starannie przygotowany i poprzedzony skrupulatną analizą otrzymanych listów. Pan Ubukata ma rację: przychodzą do nas również listy dużo ostrzejsze i bardziej porywcze. Ale do wyboru włączyliśmy akurat te najspokojniejsze i najbardziej opanowane. Ich autorami nie są ludzie głodni czy przerażeni, ale ci, którzy rozumieją złożoność sytuacji. Mało tego, włączyliśmy do wyboru nawet jeden list otwarcie popierający rząd, mimo że jest to jedyny taki list spośród siedmiu tysięcy, które...

- Przeciwko niemu nic nie mam - przerwał mu cenzor.

- Pewnie, że nie - skrzywił się Kensi. - Sam go pan przecież napisał.

- To kłamstwo! - zapiszczał cenzor i zardzewiała śruba znowu wbiła się Andrzejowi w kark.

- A jak nie pan, to ktoś inny z tej waszej szajki - nie poddawał się Kensi.

- Sam pan jesteś szantażystą! - wykrzyknął cenzor, znowu czerwieniejąc. Był to dość dziwny okrzyk i w pokoju na chwilę zapanowała cisza.

Andrzej przejrzał szpalty.

- Do tej pory nieźle się nam pracowało, panie Paprikaki - powiedział pojednawczo. - Jestem pewien, że i teraz powinniśmy znaleźć jakiś kompromis...

Cenzor wydał policzki.

- Panie Woronin! - zawołał z uczuciem. - Tu nie chodzi o mnie. Pan Ubukata jest człowiekiem porywczym, który pragnie tylko wyładować złość, a na kim, to już mu wszystko jedno. Ale sam pan rozumie, że postępując zgodnie z otrzymanymi instrukcjami, nie mogę być łagodny. W mieście dojrzeła bunt. Farmerzy w każdej chwili mogą rozpocząć rzeź. Policja jest niepewna. Chce pan krwi? Pożarów? Ja mam dzieci i niczego takiego sobie nie życzę. I pan też tego nie chce! W takie dni prasa powinna łagodzić sytuację, a nie zaogniać ją. Takie są wytyczne i muszę przyznać, że zgadzam się z nimi całkowicie. A nawet gdybym się z nimi nie zgadzał, jest to moim obowiązkiem, moją powinnością... Nie dalej jak wczoraj cenzora "Ekspresu" aresztowano za pobłażliwość i sprzyjanie wywrotowym elementom...

- Doskonale pana rozumiem, panie Paprikaki - głos Andrzeja tchnął niezwykłym opanowaniem. - Ale przecież widzi pan, że wybór jest wyjątkowo stonowany. Niech pan zrozumie, że właśnie ze względu na ciężkie czasy nie możemy przytakiwać rządowi. Właśnie dlatego, że grozi nam powstanie zdeklasowanych elementów i farmerów, powinniśmy zrobić wszystko, żeby rząd zaczął myśleć. To jest nasz obowiązek, panie Paprikaki!

- Nie podpiszę wyboru - powiedział cicho Paprikaki.

Kensi zaklął szeptem.

- Będziemy zmuszeni wypuścić gazetę bez pańskiej sankcji - westchnął Andrzej.

- Bardzo dobrze - powiedział Paprikaki ze znużeniem. - Milutko. Cudownie. Na gazetę nałożą karę, a mnie aresztują. Was też aresztują. I wycofają nakład.

Andrzej wziął do ręki ulotkę "Pod sztandarem Radykalnego Odrodzenia" i pomachał nią przed nosem cenzora.

- A dlaczego nie aresztują Fritza Heigera? - zapytał. - Ilu cenzorów tej gazetki aresztowano?

- Nie wiem - odpowiedział Paprikaki z rozpaczą. - Co mnie to; obchodzi? Heigera też kiedyś aresztują, doigra się...

- Kensi, ile mamy w kasie? Starczy na karę?

- Zrobimy zbiórkę wśród pracowników - powiedział rzeczowo Kensi i wstał. - Idę powiedzieć łamaczowi, żeby zaczynał. Jakoś się wywinie...

Poszedł w stronę drzwi, a cenzor patrzył żałośnie w ślad za nim, wzdychał i pociągał nosem.

- Serca nie macie - mamrotał. - Rozumu też nie. Żółtodzioby...

Kensi zatrzymał się na progu.

- Andrzej, na twoim miejscu mimo wszystko poszedłbym do merostwa i ponaciskał na wszystkie możliwe dźwignie.

- Jakie tam dźwignie... - powiedział posepnie Andrzej.

Kensi od razu wrócił do stołu.

- Idź do zastępcy doradcy politycznego. Było nie było, to też Rosjanin. Wódkę z nim piłeś.

- Po mordzie też mu nieraz nakładłem - odpowiedział ponuro Andrzej.

- To nic, on nie jest pamiętliwy. A poza tym wiem na pewno, że bierze.

- A który tam nie bierze? - zdziwił się Andrzej. - Przecież nie o to chodzi. - Westchnął. - No dobra, pójdę. Może się czegoś dowiem... A co zrobimy z Paprikakim? On zaraz pobiegnie zadzwonić... Pobiegnie pan, prawda?

- Pobiegnę - przytaknął bez entuzjazmu Paprikaki.

- Zaraz go zwiążę i właduję do szafy! - Kensi zadowolony uśmiechnął się szeroko.

- No i po co to... - westchnął Andrzej. - Po co od razu "zwiążę, właduję"... Zamknij go w archiwum, tam nie ma telefonu.

- To jest gwałt - zauważył Paprikaki z godnością.

- A jak pana aresztują, to nie będzie gwałt?

- Ja przecież nie protestuję! - zawołał Paprikaki. - Ja tylko tak... zauważyłem...

- Idź, Andrzej, idź - niecierpliwiał się Kensi. - Dam sobie radę, nic się nie bój.

Andrzej podniósł się. Sapiąc i powłócząc nogami doczłapał do wieszaka i wziął płaszcz. Beret mu się gdzieś zapodział, szukał go wśród jakichś kaloszy, zapomnianych przez petentów za starych, dobrych czasów, nie znalazł, zaklął i wyszedł do przedpokoju. Cherlawa sekretarka podniosła na niego przestraszone szare oczy. Sierota boża. Jak ona się nazywa?...

- Idę do merostwa - oświadczył ponuro.

W redakcji wszystko szło swoim trybem. Ktoś darł się przez telefon, ktoś pisał coś na krawędzi stołu, ktoś oglądał mokre zdjęcia, ktoś pił kawę, kurierzy miotali się z teczkami i papierami, pełno było dymu i śmieci. Kierownik działu literatury, fenomenalny osioł w złotych binoklach, były kreślarz z jakiegoś quasi-państwa w rodzaju Andory, przemawiał pompatycznie do znudzonego autora: "Pan, gdzie przesadził, nie starczyło panu poczucia umiaru, materiał okazał się silniejszy od pana i bardziej labilny..." Nakopać by mu, pomyślał Andrzej przechodząc. Nagle przypomniał sobie, jak mu się to wszystko podobało, jakie wydawało się nowe, interesujące - i to tak niedawno! - jakie przyszłościowe, potrzebne, ważne...

Szefie, jedną chwileczkę! - krzyknął za nim Danny Lee, kierownik działu listów i chciał go dogonić, ale Andrzej, nie odwracając się, machnął tylko ręką. Nakopać...

Wychodząc z bramy zatrzymał się i podniósł kołnierz płaszcza. Na ulicy ciągle łomotały wozy. Wszystkie jechały w jedną stronę - do centrum, do merostwa. Andrzej wcisnął ręce głębiej w kieszenie i, garbiąc się, poszedł w tym samym kierunku. Po dwóch minutach zdał sobie sprawę, że idzie obok olbrzymiego wozu z kołami wzrostu człowieka. Wóz wlokły dwa kolosalne konie, najwidoczniej zmęczone długą drogą. Przez wysokie boki nie dało się dostrzec ładunku, za to dobrze było widać woźnicę na koźle - a raczej nie tyle samego woźnicę, ile wielki brezentowy płaszcz z trójkątnym kapturem. Z samego woźnicy Andrzej zauważył tylko Stercząca do przodu brodę. Przez skrzyp kół i stukot kopyt usłyszał, że furman wydawał jakieś niezrozumiałe dźwięki: może poganiał konie, a może, prostoduszny wieśniak, po prostu puszczał gazy.

Ten też do Miasta, pomyślał Andrzej. Dlaczego? Chleba tu nie dostaną, a zresztą po co im chleb, chleb mają. I w ogóle wszystko mają, nie to co my, miastowi. Nawet broń mają. Czyżby rzeczywiście chcieli urządzić tu rzeź? Niewykluczone. Tylko co im z tego przyjdzie? Mieszkania będą szabrować? Nic nie rozumiem.

Przypomniał sobie wywiad z farmerami i rozczarowanie Kensiego, który go przeprowadzał. Przepytał prawie pół setki chłopów na placu przed merostwem. "Jak naród, tak i my... Znudziło mi się siedzenie na bagnach, myślę sobie, przyjadę... Nic pan nie mów, panie, czego te ludzie jadą, dokąd jadą, po co? My i sami się dziwimy... Automat? A jak tu bez automatu? U nas bez automatu nawet kroku zrobić nie można... Wyszedłem świtem krowy doić, patrzę - jadą. Siemka Kostylin jedzie, Francuz Żak jedzie, ten, jak mu tam... a żeby cię, ciągle zapominam, za Wszawym Pagórkim mieszka... też jedzie! Pytam, dokąd chłopaki jedziecie? A widzisz, mówią, słońca siódmy dzień nie ma, trzeba by pojechać do Miasta... Pan się naczalstwa spyta. Naczalstwo wie wszystko... Mówili, że automatyczne traktory dawać będą! W domu se człowiek będzie siedział, po brzuchu się drapał, a on za ciebie pracował będzie... Trzeci rok obiecują".

Mętnie, niejasno, wymijająco. Złowieszczo. Albo zwyczajnie kręcą, albo gromadzą się kierowani instynktem, a może jakąś tajną, dobrze zakonspirowaną organizacją... A wtedy co - żakieria? Pugaczowszczyzna?... Trzeba ich zrozumieć: słońca nie ma dwunasty dzień, plony giną, a co dalej - nie wiadomo. No to wyrwali się z zasiedziały chwałup...

Andrzej minął niedużą, cichą kolejkę do mięsnego, a potem drugą - do piekarni. Stały głównie kobiety, wiele z nich miało na rękach, nie wiedzieć czemu, białe opaski. Andrzej od razu przypomniał sobie Noc Świętego Bartłomieja i jednocześnie pomyślał, że teraz jest nie noc, tylko dzień, pierwsza godzina, a sklepy ciągle pozamykane. Na rogu, pod neonem nocnej kawiarni "Kwisisana" stali ; trzej policjanci. Wyglądali dziwnie, jakby niepewnie. Andrzej zwolnił kroku i zaczął się przysłuchiwać.

- No i co, może mamy się z nimi bić? Przecież ich jest dwa razy więcej...
- A może pójdziemy i zameldujemy, że nie da się przejść i tyle.
- A on powie: "Jak to się nie da? Przecież jesteście policją".
- No i policja, no to co z tego? My - policja, a oni milicja...

Jeszcze jakaś milicja, pomyślał Andrzej, idąc dalej. Nic nie wiem o żadnej milicji... Minął jeszcze jedną kolejkę i skręcił w Główną. Przed nim widać już było jaskrawe rtęciowe latarnie Placu Centralnego. Jego wielką przestrzeń zajmowało coś szarego, ruchliwego, zasnutego dymem czy parą. W tym momencie został zatrzymany.

Wysoki młody mężczyzna, właściwie wyrosnięty młokos, w płaskiej czapce z daszkiem nasuniętym na same oczy, zastąpił mu drogę i półgłosem zapytał:

- A pan dokąd?

Trzymał się pod boki, na obu rękawach miał białe opaski, a za nim pod ścianą stało kilku ludzi, też z białymi opaskami.

Kątem oka Andrzej zauważył, że chłop w brezentowym płaszczu przejechał ze swoim wozem bez przeszkód.

- Do merostwa - zawołał Andrzej, przystając. - A o co chodzi?

- Do merostwa? - powtórzył głośno młodzik i obejrzał się przez ramię na kumpli. Dwóch z nich oderwało się od ściany i podeszło do Andrzeja.

- Pozwoli pan, że zapytam, po co idzie pan do merostwa? -zainteresował się krępy, zarośnięty mężczyzna w zatłuszczonym kombinezonie i kaszkiecie z literami J i M. Miał energiczną twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi i nieprzyjemne, myszujące oczy.

- Kim jesteście? - zapytał Andrzej, wyciągając w kieszeni miedziany tłuczek, który już trzeci dzień nosił przy sobie ze względu na niespokojne czasy.

- Jesteśmy dobrowolną milicją- odparł krępy. - Czego pan szuka w merostwie? Kim pan jest?

- Jestem redaktorem naczelnym "Gazety Miejskiej" - odpowiedział groźnie Andrzej, zaciskając dłoń na tłuczku. Nie podobało mu się, że podczas rozmowy gołowąs zaszedł go z lewej strony, a trzeci dobrowolny milicjant, też nie ułomek, sapał mu nad uchem z prawej. - Idę do merostwa złożyć protest przeciwko działaniom cenzury.

- A - powiedział niejasno krępy. - Jasne. Tylko po co od razu do merostwa? Aresztowalibyście cenzora i wypuszczali swoją gazetę na zdrowie.

Andrzej zdecydował się nie spuszczać z tonu.

- Nie będziecie mnie uczyć. Cenzora już aresztowaliśmy bez waszych rad. Proszę pozwolić mi przejść.

- Przedstawiciel prasy... - zawarczał ten, który sapał mu nad prawym uchem.

- A co? Niech idzie - zezwolił pobłaźliwie młokos z lewej.

- Niech idzie - poparł go krępy. - Tylko żeby potem nie było do nas pretensji... Ma pan broń?

- Nie - odpowiedział Andrzej.

- A szkoda - krępy cofnął się. - Niech pan idzie...

Andrzej poszedł. Za jego plecami krępy zapiszczał kogucim głosikiem: "Jaśmin - śliczny kwiatek!..." Milicjanci zaśmiali się. Andrzej znał ten wierszyk, miał ochotę odwrócić się i zrobić awanturę, ale tylko przyspieszył.

Na Głównej było mnóstwo ludzi. Stali przeważnie pod ścianami albo skupiali się w bramach. Wszyscy mieli białe opaski. Niektórzy sterczeli na środku ulicy - podchodzili do przejeżdżających farmerów, coś do nich mówili, farmerzy jechali dalej. Wszystkie sklepy były zamknięte, ale nie stały przed nimi kolejki. Przy sklepie z pieczywem starszawy milicjant z gruzłowatą pałką tłumaczył jakiejś samotnej staruszce: "Zapewniam panią, madam, dzisiaj sklepów nie otworzą. Sam jestem właścicielem sklepu spożywczego, madam, wiem, co mówię"... Staruszka piskliwie odpowiadała, że ona prędzej umrze tu, na tych schodach, niż porzuci swoją kolejkę...

Starannie tłumiąc w sobie narastający niepokój i poczucie jakiejś irracjonalności - wszystko było jak w kinie - Andrzej dotarł do placu. Wychodząca na plac gardziel Głównej była szczelnie zapchana wozami, powozami, arbami i furmankami. Śmierdziało końskim potem i świeżym nawozem, konie różnej maści potrzasały głowami, synowie bagien nawoływali się tubalnie, jarzyły się skręty. Czuć było dym - gdzieś w pobliżu palono ognisko. Z bramy, zapinając się po drodze, wyszedł gruby wążacz w teksaskim kapeluszu. Niemal wpadł na Andrzeja, zaklął dobrodusznie i poszedł przedzierać się między wozami, pokrzykując na jakiegoś farmera: "Dawaj tutaj, Sidor! Do bramy,

tam można! Tylko patrz pod nogi, żebyś w coś nie wlaź!"

Andrzej przygryzł wargi i poszedł dalej. Przed samym wejściem na plac furmanki stały nawet na chodnikach. Z wielu z nich wyprężnięto konie i teraz, spętane, wałęsały się dookoła, podskakując i smętnie obwąchując asfalt. Na wozach spano, palono papierosy, jedzono, słychać było apetyczne bulgotanie i cmokanie. Andrzej wszedł na jakiś ganek i rozejrzał się po obozowisku. Do merostwa było z pięćset metrów prawdziwego labiryntu. Strzelały i dymiły ogniska, niebieskawy od rtęciowych latarni dym ciągnął się nad furmankami i wpływał w Główną, jak w gigantyczny komin. Jakieś draństwo bzyząc usiadło Andrzejowi na policzku i wpiło się w niego, jakby wbijało szpilkę. Andrzej z obrzydzeniem zabił to paskudztwo. Było wielkie, kłujące i soczyście zachręściło pod dłonią. Nazwozili tego z bagien, pomyślał gniewnie. Z uchylonych drzwi frontowych zapachniało amoniakiem. Andrzej zeskoczył na chodnik i zdecydowanie ruszył w końsko-furmankowy labirynt. Od razu wdepnął w coś miękkiego i sypkiego.

Ciężki, okrągły budynek merostwa wznosił się nad placem jak czteropiętrowy bastion. Prawie wszystkie okna były ciemne, tylko w kilku paliło się światło. Słabo i żółtawo świeciły się również wyprowadzone na zewnątrz szyby wind. Obóz farmerów rozciągał się wokół budynku. Między wozami a merostwem była pusta przestrzeń, oświetlona ostrym światłem latarni o bogato rzeźbionych żeliwnych słupach. Pod latarniami tłoczyli się farmerzy, prawie wszyscy uzbrojeni, a naprzeciwko nich, przed wejściem do merostwa, stał rząd policjantów - sądząc po naszywkach, głównie sierżantów i oficerów.

Andrzej zaczął się przeciskać przez uzbrojony tłum, gdy ktoś go zawołał. Zatrzymał się i rozejrzał.

- Tu jestem, no, tutaj! - krzyknął znajomy głos i Andrzej zobaczył w końcu wujka Jurę.

Wujek Jura zbliżał się do niego, kołysząc się na boki i z daleka wyciągając rękę na powitanie. Był w tej samej starej bluzie, na głowie miał przekrzywioną pilotkę. Znajomy Andrzejowi cekaem na szerokim rzemieniu przewiesił sobie przez ramię.

- Witaj, Andriucha, mieszcuchu! - wykrzyknął, z trzaskiem uderzając twardą dłonią w dłoń Andrzeja. - A ja cię tu cały czas szukam, rozróżba się szykuje, nie, mówię, nie może to być, żeby naszego Andrzeja zabrakło! Chłopak z niego gwałtowny, myślę, musowo gdzieś się tutaj kręci...

Wujek Jura był porządnie wstawiony. Zrzucił cekaem z ramienia, oparł się o lufę jak o kulę i gorączkowo ciągnął:

- Rozglądam się tu i tam, a Andriuchy nie ma. A, myślę, psia krętka, co to może być? Ten twój blondas Fritz jest. Przepycha się przez chłopów, przemawia... A ciebie nie ma i nie ma!

- Poczekaj, wujku Juro - powiedział Andrzej. - A ty po co żeś się tu przyciągnął?

- Prawa obalać! - uśmiechnął się diabelsko wujek Jura. Jego broda wyglądała jak miotła. - Przyjechałem tu wyłącznie po to, ale coś mi się widzi, że nic z tego nie będzie - splunął i roztarł ślinę ogromnym buciorem. - Naród jak wszy. Sami nie wiedzą, po co przyszli. Czy prosić, czy żądać, a może ani jedno, ani drugie, a tylko się stęsknili za miejskim życiem - postoiemy tutaj trochę, zasramy wam miasto i wrócimy do domu. Naród to gówno. Na przykład... - odwrócił się i pomachał komuś ręką. - O, weź na przykład Stasia Kowalskiego, mojego kumpla... Staś, do licha... Chodź no tu!

Podszedł Staś - chudy, przygarbiony chłop z obwisłymi wusami i rzadką czupryną. Jechało od niego bimbrem. W pozycji pionowej trzymał się wyłącznie dzięki instynktowi, ale mimo to co chwila podnosił głowę, chwycił za dziwny przykrótki automat wiszący na szyi i, unosząc z ogromnym wysiłkiem powieki, rozglądał się groźnie dookoła.

- Więc, Staś... - ciągnął wujek Jura. - Wojowałeś przecież, a jakże, no, powiedz! Powiedz, wojowałeś? - domagał się wujek Jura, z uczuciem obejmując Stasia za ramiona i kołysząc się razem z nim.

- Ho! Ho!... - odezwał się Staś, całym sobą starając się pokazać, że walczył, i to jeszcze jak! Słów braknie, żeby wyrazić, jak walczył.

- Teraz jest pijany - wyjaśnił wujek Jura. - Nie może żyć, jak nie ma słońca. O czym to ja? A! Zapytaj go, głupka jednego, po co on się tu kręci. Broń jest. Chłopaki bojowe są. Czego jeszcze trzeba, ja się pytam?

- Poczekaj - powiedział Andrzej. - Czego wy chcecie?

- No przecież ci mówię! - zawołał przejęty wujek Jura, puszczając Stasia, którego od razu szerokim łukiem odrzuciło w bok. - Przecież ci tłumaczę! Raz by ich przydeptać i po krzyku! Cekaemów nie mają! Butami ich zdeptamy, czapkami nakryjemy... - zamilkł nagle i zarzucił cekaem na ramię. - Chodźmy.

- Dokąd?

- Napijemy się. Trzeba dopić i jechać do domu. Po co tu czas tracić? Kartofle mi gniją... Chodźmy.

- Nie, wujku Juro - powiedział przepraszająco Andrzej. - Teraz nie mogę. Muszę iść do merostwa.

- Do merostwa? Idziemy! Staś! Staś, do licha...

- Czekaj, wujku Juro! Ty... tego... nie w puszczą cię.

- Mnie? - zaryczał wujek Jura, łyskając oczami. - Jazda, idziemy! Zobaczmy, kto mnie tam nie wpuści. Staś!

Objął Andrzeja za ramiona i powlókł go przez pustą, jasno oświetloną przestrzeń, prosto na rząd policjantów.

- Zrozum - mamrotał gorączkowo prosto do ucha opierającego się Andrzeja. - To jest straszne, rozumiesz? Nikomu nie mówiłem, ale tobie powiem. Nieprzyjemne! A jeśli ono już nigdy się nie zapali? Zaciągnęli nas tutaj i porzucili... Niech wyjaśnią, niech powiedzą prawdę, łajzy, tak żyć nie można. Przestałem spać, rozumiesz? Nawet na froncie mi się to nie zdarzało... Myślisz, że jestem pijany? Ni cholery, to strach, strach, nie alkohol...

Od tego gorączkowego mamrotania Andrzejowi dreszcz przebiegł po karku. Zatrzymał się z pięć metrów przed kordonem policjantów (wydawało mu się, że na placu nagle zapanowała cisza, że wszyscy, i policjanci, i farmerzy patrzą tylko na niego) i starając się, żeby zabrzmiało to przekonująco, powiedział:

- Posłuchaj, wujku Juro. Ja tylko wyjaśnię jedną sprawę związaną z moją gazetą, a ty tu na mnie poczekasz. Potem pójdziemy do mnie i o wszystkim pogadamy.

Wujek Jura z całych sił zamachał brodą.

- Nie, idę z tobą. Ja też muszę coś wyjaśnić...

- Ale przecież cię nie wpuszczą! I przez ciebie mnie też nie wpuszczą!

- Idziemy, idziemy... - powtarzał wujek Jura. - Jak to nie wpuszczą? Dlaczego? My po cichu, spokojnie...

Byli już przy samym kordonie. Dorodny kapitan policji w eleganckim mundurze, z rozpiętą kaburą po lewej stronie pasa wyszedł do nich i chłodno zapytał:

- Dokąd to, panowie?

- Jestem redaktorem naczelnym "Gazety Miejskiej" - oświadczył Andrzej, leciutko odpychając wujka Jurę, żeby go nie obejmował. - Muszę spotkać się z doradcą politycznym.

- Dokumenty poproszę - w stronę Andrzeja wyciągnęła się obciążona glansowaną skórą dłoń.

Andrzej wyjął dowód, podał kapitanowi i spojrzał na wujka Jurę. Ku jego zaskoczeniu farmer stał spokojnie, pociągał nosem i co chwila poprawiał ramię swojego cekaemu, chociaż nie było takiej potrzeby. Jego wzrok, chyba rzeczywiście zupełnie trzeźwy, omiatał kordon.

- Może pan przejść - oświadczył uprzejmie kapitan, zwracając mu dowód. - Ale muszę panu

powiedzieć... - Nie dokończył i zwrócił się do wujka Jury: - A pan?

- Jest ze mną- oświadczył pospiesznie Andrzej. - W pewnym sensie to przedstawiciel... eee... farmerów.

- Dokumenty!

- A jakie chłop może mieć dokumenty! - powiedział z goryczą wujek Jura.

- Bez dokumentów nie mogę.

- A dlaczego nie? - zmartwił się wujek Jura. - Znaczy, że ja nie mam jakiegoś parszywego świstka, to już nie jestem człowiekiem?

Andrzej poczuł na swoim karku czyjś gorący oddech. To był| Staś Kowalski, który, ciągle jeszcze wojowniczo bulgocząc, chwiejnie zabezpieczał tyły. Do oświetlonej przestrzeni powoli, jakby niechętnie zbliżali się jacyś ludzie.

- Panowie, panowie, proszę się rozejść! - powiedział nerwowo; kapitan. - Niechże pan przechodzi! - krzyknął ze złością do Andrzeja. - Panowie, cofnąć się! Nie róbcie zbiegowiska!

- To znaczy, że jak nie mam jakiegoś tam nędznego papierka - mówił przygnębiony wujek Jura - to już ani przejść, ani przejechać...

- Daj mu w mordę! - nieoczekiwanie trzeźwym głosem zaproponował z tyłu Staś.

Kapitan chwycił Andrzeja za rękaw płaszcza i ostro pociągnął na siebie. Andrzej znalazł się za plecami stojących rzadkiem policjantów. Szereg zamknął się błyskawicznie, oddzielając go od zgromadzonych przed kapitanem farmerów. Nie czekając na dalszy rozwój wydarzeń, Andrzej zaczął szybko iść w stronę ciemnego, słabo oświetlonego portalu. Za jego plecami rozlegały się okrzyki:

- Chleb im dawaj, mięso im dawaj, a jak trzeba gdzieś przejść...

- Proszę się rozejść! Mam rozkaz aresztować...

- Czemu nie puszczasz przedstawiciela, co?

- Słońce! Kiedy wreszcie słońce zapalicie?

- Panowie, panowie! Co ja mam z tym wspólnego?

Z naprzeciwnka, po białych marmurowych schodach sypali się, dźwięcząc podkawkami, nowi policjanci. Mieli karabiny z bagnetami. Stłumiony głos wydał komendę: "Przygotować butle!" Andrzej stanął na szczycie schodów i obejrzał się. Na oświetlonej przestrzeni tłoczyli się teraz ludzie. Farmerzy, jedni powoli, inni biegiem zmierzali do wielkiego, czarnego kłębowiska.

Andrzej z wysiłkiem pociągnął ku sobie drzwi - ciężkie, wysokie, okute miedzią- i wszedł do westybulu. Tutaj też panował półmrok i unosił się ostry, wyraźny zapach koszar. W luksusowych fotelach, na kanapach i na podłodze spali pokotem przykryci płaszcami policjanci. Na ciągnącej się pod sufitem wzdłuż trzech ścian, słabo oświetlonej galerii majaczyły jakieś postacie. Andrzej nie widział, czy miały broń.

Wbiegł po miękkim chodniku na pierwsze piętro, gdzie mieścił się dział prasy, i zaczął iść szerokim korytarzem. Nagle ogarnęły go wątpliwości. Coś tu dzisiaj było za cicho. Zazwyczaj kłębiła się ma ludzi, stukały maszyny do pisania, dzwoniły telefony, rozmowy i pokrzykiwania kierownictwa zlewały się w morze dźwięków, a ter panowała cisza. Niektóre gabinety były otwarte na oścież, panował w nich mrok. Na korytarzu paliła się tylko co czwarta lampa.

Przezucie go nie myliło: gabinet doradcy politycznego był zamknięty, a w gabinecie zastępcy siedziało dwóch nieznanymych mężczyzn w zapiętych pod samą szyję szarych płaszcach, w jednakowych, nasuniętych na oczy melonikach.

- Przepraszam bardzo - zaczął surowo Andrzej. - Gdzie mogę znaleźć doradcę politycznego lub jego zastępcę?

Głowy w melonikach niespiesznie odwróciły się w jego stronę.

- A o co chodzi? - zapytał niższy.

Twarz tego człowieka wydała się nagle Andrzejowi jakby znajoma, głos również. Nie wiedzieć czemu, zrobiło mu się dziwnie nieprzyjemnie, że tego osobnika tu spotkał. On tu nie miał nic do roboty... Andrzej zmarszczył czoło i, starając się mówić ostro i zdecydowanie, wyjaśnił, kim jest i czego chce.

- Niech pan wejdzie - powiedział nie do końca znajomy człowiek. - Czemu stoi pan w drzwiach?

Andrzej wszedł i rozejrzał się, ale przed oczami miał tylko tę gładko ogoloną twarz kastrata. Gdzie ja go widziałem? Jakiś nieprzyjemny człowiek... i niebezpieczny... Niepotrzebnie tu przychodziłem, tracę tylko czas.

Mały człowieczek w meloniku również uważnie mu się przyglądał. Było cicho. Wysokie okna zasłaniały ciężkie portiery. Uliczny szum ledwie tu dochodził. Człowieczek w meloniku nagle lekko podskoczył i podszedł do Andrzeja. Zamrugał szarymi, bezrzęsymi oczkami. Od górnego guzika płaszcza podskoczyła do samego podbródka i znowu zeszła w dół potężna, chrząstkowata grdyka.

- Redaktor naczelny?... - powtórzył, a w tym momencie Andrzej go poznał i, z obezwładniającą udręką, z nogami jak z waty, zrozumiał, że jego też rozpoznano.

Kastrat wyszczerzył rzadkie, popsute zęby. Andrzej poczuł w żołądku ostry ból, jakby popękały mu wnętrzności; poprzez mdlącą mgłę zobaczył nagle nawoskowaną podłogę... Uciekać, uciekać! W mózgu wybuchł mu fajerwerk, a daleki, ciemny, upstrzony pęknięciami sufit zakołysał się i obrócił powoli. Z nadciągającego dusznego mroku wyskakiwały rozpalone do białości lance i wbijały mu się w żebra... zabije... zabije mnie!... Nagle poczuł jak, puchnie mu głowa i kalecząc uszy, toczy się w jakąś wąską, śmierdzącą szczelinę. Ogłuszający bas mówił powoli: "Spokojnie, Ciota, spokojnie nie wszystko naraz..." Andrzej wrzasnął z całych sił, ciepła, gęsta kasza wypełniła mu usta, zachłusnął się i zwymiotował.

W pokoju nie było nikogo. Ogromną portierę zerwał przeciąg; przez okno, otwarte na oścież, wpadało wilgotne, chłodne powietrze, z oddali dobiegało jakieś wycie. Andrzej z trudem podniósł się i na czworakach zaczął się czołgać wzdłuż ściany. Do drzwi. Byle stąd wyjść...

Na korytarzu znowu zwymiotował. Poleżał chwilę wyczerpany, po czym spróbował wstać. Źle ze mną, pomyślał. Źle. Usiadł i obmacał twarz. Była mokra i lepka. Jednocześnie zorientował się, że może patrzeć tylko jednym okiem. Bolały go żebra i szczęki, a dół brzucha rozrywał nieznośny, potworny skurcz. Bydlę, zmasakrował mnie - zapłakał Andrzej. Siedział na podłodze w pustym korytarzu, oparty plecami o pozłacane zawijasy, i płakał. Nie mógł nic na i to poradzić. Płacząc, z trudem odchylił połą płaszcza i sięgnął ręką za pasek od spodni. Bolało strasznie, ale nie tam, wyżej. Bolał cały brzuch. Slipki miał mokre.

Jakiś człowiek łomocząc ciężko butami przybiegł z głębi korytarza i zatrzymał się nad nim. Policjant - czerwony, zdyszany, bez czapki, z niespokojnymi oczami. Stał tak niezdecydowany kilka sekund i nagle pognął dalej na złamanie karku. Z głębi korytarza pędził drugi, po drodze zrywając z siebie mundur.

Do Andrzeja dotarło, że z miejsca, skąd biegło tych dwóch, dochodzi ogłuszające wycie dziesiątek gardeł. Wstał z wysiłkiem, przytrzymując się ściany, i poczłapał w stronę tego zgiełku. Pochlipywał, ze strachem dotykając twarzy; co chwila przystawał, żeby odpocząć, zginał się i łapał za brzuch.

Dotarł do schodów i chwycił za śliską, marmurową poręcz. Na dole, w ogromnym westybulu, poruszała się gęsta ludzka kasza. Nie sposób było zrozumieć, co się tam właściwie dzieje. Ustawione wzdłuż galerii reflektory oświetlały to kłębowisko zimnym, oślepiającym światłem. Migały brody, przepisowe czapki, złote sznury plecionych policyjnych akselbantów, bagnety, rozcapierzone palce, blade łysiny. Pod sufitem wisiał ciepły, wilgotny smród.

Andrzej zamknął oczy, żeby nie widzieć tego wszystkiego i, po omacku, przytrzymując się poręczy, byle jak, tyłem, bokiem, zaczął schodzić, sam nie rozumiejąc, po co to robi. Kilka razy zatrzymywał się, żeby odetchnąć i pojęczeć. Otwierał oczy, patrzył w dół i znowu robiło mu się słabo od tego widoku, znowu zamykał oczy i schodził, trzymając się poręczy. Na dole ręce osłabły mu zupełnie, więc puścili się i sturlał z ostatnich schodków, aż do marmurowego półpiętra ozdobionego gigantycznymi spluwaczkami z brązu. Poprzez mg i wycie usłyszał nagle ostry, ochryply krzyk: "Patrz, przecież to Andriucha!... Ludzie, tam naszych zabijają!" Otworzył oczy i zobacz obok siebie wujka Jurę, potarganego, w rozdartej bluzie; oczy dzikie, wytrzeszczone, broda rozczochrana. Zobaczył, jak wujek Jura podnosi w wyciągniętych rękach swój cekaem i, nie przestając i ryczeć, daje serię po galerii, po reflektorach, po szybach...

Potem pamiętał tylko jakieś oderwane wrażenia, świadomość przyplływała i odpływała, razem z przyplływami i odpływami bólu i mdłości. Najpierw znalazł się na środku westybulu. Okazało się, że uparcie szedł na czworakach do odległych, otwartych drzwi, przechodząc przez nieruchome ciała, a ręce ślizgały mu się na czymś mokrym i zimnym. Ktoś obok niego jęczał, powtarzając cały czas: "O Boże, Boże, Boże..." Na dywanie pełno było szkła, łusek po nabojach, kawałków tynku. Przez otwarte drzwi wdarli się z wyciem i biegli prosto na niego jacyś straszni ludzie z płonącymi pochodniami w rękach...

Wreszcie załazł się na zewnątrz, w portalu. Siedział z rozsuniętymi nogami, opierając się dłońmi o chłodny kamień, a na kolanach miał karabin bez zamka. Czuć było zapach świeżego dymu, gdzieś na krawędzi świadomości grzechotał cekaem, dziko rżały konie, a on, tłumacząc samemu sobie, monotonicznie powtarzał na głos:

- Rozdepczą mnie tu, na pewno mnie rozdepczą...

Ale go nie rozdeptali. Ocknął się na ulicy, obok schodów. Przyciskał policzek do szorstkiego granitu, nad nim świeciła latarnia rtęciowa. Karabinu nie było i ciała też chyba nie było. Czuł się tak, jakby zawieszono go w pustce, z twarzą przyciśniętą do kamienia, a na placu przed nim, jak na scenie, odgrywano jakąś dziwną tragedię.

Zobaczył, jak wzdłuż otaczających plac latarni, wzdłuż pierścienia szepionych razem wozów, z brzękiem i łoskotem mknie samochód pancerny. Jego wieżyczka z cekaemem przesuwa się z boku na bok, hojnie plując ogniem, świecące tory pocisków miotają się po całym placu, a przed samochodem, z zadartą głową galopuje koń, wlokąc za sobą oberwaną uprząż... Nagle z gęstwiny rumianek, przecinając drogę samochodowi pancernemu, wytoczył się kryty brezentem furgon, oszalały koń szarpnął w bok i rozbił się o latarnię.

Samochód ostro zahamował, zarzuciło go. W tym momencie na otwartą przestrzeń wbiegł wysoki człowiek w czerni, machnął ręką i upadł i plackiem na asfalt. Pod samochodem wystrzelił płomień, rozległ się łoskot i tył żelaznej maszyny ciężko osiadł. Człowiek w czerni znowu pobiegł. Wyprzedził samochód, wsunął coś do otworu obserwacyjnego kierowcy i odskoczył w bok. Andrzej poznał Fritza Heigera. Otwór oświetliło od wewnątrz, w samochodzie coś huknęło i z otworu wyleciał długi, dymiący język płomienia. Fritz, schylony, na ugiętych nogach, z rozłożonymi drugimi ramionami, bokiem, jak krab, okrążał samochód. Pancerne drzwi otworzyły się na oścież, na asfalt wypadł płonący, kosmaty toból i z przeraźliwym wyciem zaczął się toczyć, sypiąc iskry.

Potem Andrzej znowu stracił przytomność, jakby ktoś spuścił kurtynę. Zostały tylko wściekle głosy, nieludzkie piski i tupot dziesiątek nóg. Od płonącego samochodu pancernego dobiegał smród benzyny i rozpalonego żelaza. Fritz Heiger, otoczony tłumem ludzi z białymi opaskami na rękawach, wyższy od nich o całą głowę, wykrzykiwał komendy i gwałtownie machał rękami w różne strony. Twarz i białe, rozczochrane włosy miał pokryte sadzą. Inni ludzie z białymi opaskami oblepili

latarnie przed wejściem do merostwa, nie wiadomo po co włązili na górę i zrzucali stamtąd jakieś długie, szarpane wiatrem sznurki. Wlekli po schodach kogoś, rzucającego się i wierzgającego nogami, kto przez cały czas piszczał cieniem głosem, aż uszy puchły. Nagle na schodach pojawił się tłum ludzi o czarnych brodatych twarzach, szczękęła broń. Pisk ucichł, ciemne ciało popęzło w górę, wzdłuż latarni, drgając kurczowo. Ktoś z tłumu wystrzelił, wierzgające nogi uspokoiły się, wyciągnęły i ciało zaczęło powoli kołysać się w powietrzu.

A potem Andrzej ocknął się wśród potwornych wstrząsów. Jego głowa podskakiwała na twardych, cuchnących tobołkach, czymś jechał, dokądś go wieźli i znajomy wściekły głos pokrzykiwał; "Noo! Noo, larwo, żeby cię!... Jazda!" A na wprost niego, na tle czarnego nieba płonęło merostwo. Gorące języki wysuwały się z okien, iskry sypały się w ciemność i widać było, jak kołyszą się lekko, zwisając z latarni, drugie, wyciągnięte ciała.

ROZDZIAŁ 2

Umyty i przebrany, z opaską na prawym oku, Andrzej pólleżał w fotelu i patrzył ponuro, jak wujek Jura i Staś Kowalski, też z głową owiniętą bandażem, łapczywie siorbią prosto z garnka coś gorącego. Zapłakana Selma siedziała obok niego, spazmatycznie wzdychała i przez cały czas próbowała wziąć go za rękę. Miała rozczochrane włosy, tusz z rzęs ściekał jej na policzki, spuchnięta twarz płonęła czerwonymi plamami. Przy tym wszystkim dziwnie wyglądał jej frywolny szlafroczek, zalany na brzuchu wodą z mydlinami.

- Zabić cię chciał - wyjaśniał Staś, nie przestając siorbać. - Specjalnie cię tak, rozumiesz, starannie obrabiał, żeby na dłużej starczyło. Znam się na tym, błękitni huzarzy też mnie tak obrabiali. Tylko że ja, rozumiesz, cały kurs przeszedłem - już nawet nogami zaczęli po mnie deptać, ale okazało się, chwała Najświętszej Pani, że to nie ja, że chodzi im o kogoś innego...

- Że nos złamany, to nic - przytaknął wujek Jura. - Nos to nie tego... może być złamany. A żebro... - machnął trzymaną w ręku łyżką. - Ile ja ich sobie nałamałem! Najważniejsze, że kiszki masz całe, wszystkie te wątroby, śledziony...

Selma westchnęła i znowu spróbowała wziąć Andrzeja za rękę. Popatrzył na nią i powiedział:

- Dostyc tego beczenia. Idź się przebierz, i w ogóle... Wstała posłusznie i poszła do drugiego pokoju. Andrzej powiercił w ustach językiem, trafił na coś twardego i wydłubał to palcem.

- Plombę mi wybił.

- Nie może być! - zdziwił się wujek Jura.

Andrzej pokazał. Wujek Jura poprzyglądał się i pokręcił głową! Staś też pokręcił głową i powiedział.

- Rzadko się zdarza. A ja, jak leżałem - trzy miesiące leżałem, masz pojęcie? - to przez cały czas zęby wypluwałem. Baba mi codziennie żebra wygrzewała. Potem umarła, a ja, jak widzisz, żyję. I nic.

- Trzy miesiące! - zawołał pogardliwie wujek Jura. - Jak mi oderwało zad pod Jelnią, przez pół roku tułałem się po szpitalach. Straszna rzecz, bracie, jak ci tak pośladek oderwie. Rozumiesz, w pośladku są wszystkie najważniejsze naczynia. A tu jak mnie nie chłaśnie odłamkiem!... Chłopaki, pytam, co się dzieje, gdzie mój tyłek? Dasz wiarę, spodnie zdarło ze mnie zupełnie, aż po same cholewy, jakbym w ogóle spodni nie miał. W cholewach coś tam jeszcze zostało, a na górze ani dudul!... - Obliznął łyżkę. - Fiedce Czepariewowi wtedy głowę oderwało - dodał. - Tym samym odłamkiem.

Staś też obliznął łyżkę. Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu i patrzyli w garnek. Potem Staś lekko zakaszłał i znowu zanurzył łyżkę w kłębach pary. Wujek Jura poszedł za jego przykładem.

Wróciła Selma. Andrzej popatrzył na nią i odwrócił wzrok. Ale się głupia wystroiła! Założyła te swoje gigantyczne kolczyki, dekolot do pasa, wysmarowała się jak dziwka... W końcu, przecież to rzeczywiście dziwka. Nie mógł na nią patrzeć, do diabła z nią. Najpierw ta scena w przedpokoju, a potem w łazience. Ryczała wniebogłosy i ściągała z niego mokre slipki, a on patrzył na sinoczarne plamy na brzuchu i bokach, i też płakał - z żalu nad sobą i z bezsilności... I oczywiście była pijana, znowu piła, każdego bożego dnia pije, i teraz, gdy się przebierała, też sobie pewnie pociągnęła...

- Ten lekarz... - zaczął w zadumie wujek Jura. - No, ten łysy, który tu był przed chwilą - gdzie ja go mogłem widzieć?

- Bardzo możliwe, że u nas. - Selma uśmiechnęła się uwodzicielsko. - Mieszka w sąsiedniej bramie. Gdzie on teraz pracuje, Andrzej?

- Jest dekarzem - odpowiedział posepnie Andrzej.

Spała z tym lekarzem, i to nieraz. Cały dom o tym wiedział. Tamten nawet tego specjalnie nie ukrywał. Zresztą nikt tego nie ukrywał.

- Jak to lekarzem? - zdziwił się Staś. Ręka z łyżką zawisała mu przed wąsami.

- A tak to - powiedział Andrzej. - Dachy pokrywa, kobity pokrywa... - stęknął, wstał i wyjął z komody papierosy. Znowu brakowało dwóch paczek.

- Baby to rozumiem... - wymamrotał oszołomiony Staś, machając łyżką nad garnkiem. - Ale dachy? A jak spadnie? Przecież to lekarz...

- Oni tu w Mieście zawsze coś takiego wymyślą - powiedział zjadliwie wujek Jura. Już miał wsunąć łyżkę za cholewę, ale spostrzegł się i położył ją na stole. - Tak jak u nas, w Timofiejewce, zaraz po wojnie. W jednym kołchozie zrobili przewodniczącym Gruzina, byłego oficera politycznego...

Zadzwoił telefon. Selma odebrała.

- Tak. Taak... Nie, jest chory, nie może podejść...

- Daj mi słuchawkę - powiedział Andrzej.

- Z gazety - zaszeptła Selma, zakrywając mikrofon dłonią.

Andrzej wyciągnął rękę.

- Daj słuchawkę - podniósł głos. - przestań za mnie mówić!

Selma dała mu słuchawkę i chwyciła papierosy. Trzęsły się jej ręce, wargi też.

- Woronin, słucham - powiedział Andrzej.

- Andrzej! - To był Kensi. - Gdzie cię diabli schowali? Wszędzie cię szukam. Co robimy? W mieście faszystowski przewrót.

- Dlaczego faszystowski? - zapytał oszołomiony Andrzej.

- Przyjdiesz do redakcji czy naprawdę jesteś chory?

- Przyjdę, oczywiście. Wy tłumacz mi...

- Mamy listy - mówił Kensi szybko. - Korespondenci specjali i różne tam takie... archiwa...

- Jasne. Ale dlaczego myślisz, że faszystowski?

- Nie myślę, wiem - odparł niecierpliwie Kensi.

Andrzej zacisnął zęby i stęknął.

- Poczekaj - powiedział z rozdrażnieniem. - Spokojnie... -Zastanawiał się gorączkowo. - Dobra, przygotuj wszystko, ja już wychodzę.

- To czekam. Tylko uważaj na ulicy.

Andrzej odłożył słuchawkę i odwrócił się do farmerów.

- Chłopaki, muszę jechać. Podwieziecie mnie do redakcji?

- Podwieziemy, czemu nie - odezwał się wujek Jura. Wstawał już od stołu, w biegu zaklejając skręta. - Rusz no się, Staś, nie ma się co zasiadywać. My się tu gościmy, a oni tam, rozumiesz, przejmują władzę.

- Taak - powiedział strapiiony Staś i też się podniósł. - Diabli wiedzą, co z tego wyszło. Całą górkę niby zdjeliśmy, wszystkich powywieszaliśmy, a słońca i tak nie ma... Szlag by to, gdzie ja swoją maszynkę położyłem?...

Zaglądał we wszystkie kąty, próbując znaleźć swój automat; wujek Jura, pykając swoim skrętem, niepiesznie naciągał na bluzę podarty waciak. Andrzej też się już podnosił, ale natknął się na Selmę. Selma, bardzo błada i bardzo zdecydowana, stała, zagrządzając mu drogę.

- Idę z tobą! - oświadczyła tym zuchwałym tonem, którym zazwyczaj wszczyniała kłótnię.

- Puść! - Andrzej próbował odsunąć ją zdrową ręką.

- Nigdzie cię nie puszcę - zaprotestowała Selma. - Albo bierzesz mnie ze sobą, albo zostajesz w

domu.

- Zejdź mi z drogi! - wybuchnął Andrzej. - Tylko ciebie tam jeszcze brakowało, idiotko!

- Nie puszczę! - zawołała z nienawiścią Selma.

Wtedy Andrzej uderzył ją w twarz, bez zamachu, ale i tak bardzo mocno. Zapadła cisza. Selma nawet nie drgnęła. Jej biała twarz z zaciśniętymi ustami znowu pokryła się czerwonym plamami. Andrzej opamiętał się.

- Przepraszam - warknął przez zęby.

- Nie puszczę... - powtórzyła Selma zupełnie cicho. Wujek Jura odkaszlnął parę razy i wymamrotał gdzieś w bok:

- Tak w ogóle, to w taki czas zostawiać kobietę samą w domu... niebezpiecznie.

- Pewnie, że tak - podchwycił Staś. - Samej niebezpiecznie, a z nami nikt jej nie niszy, my farmerzy...

A Andrzej ciągle stał przed Selma i patrzył na nią. Próbował, choćby tylko w tej chwili i tylko trochę, zrozumieć tę kobietę i jak zawsze kompletnie mu się to nie udawało. Była dziwką, dziwką z natury, dziwką z zamiłowania - to rozumiał. Od dawna. Wiedział, że go kocha od pierwszego dnia. Wiedział też, że w niczym jej to nie przeszkadza. Zostać samej w mieszkaniu - to była dla niej pestka, nigdy i niczego się nie bała. To też doskonale wiedział. Każdą z tych rzeczy z osobna rozumiał, ale biorąc to wszystko razem...

- Dobrze - powiedział. - Ubieraj się.

- Żebra bolą? - zapytał wujek Jura, próbując zmienić temat.

- Głupstwo - burknął Andrzej. - Da się wytrzymać. Jakoś się przebijemy.

Starając się na nikogo nie patrzeć, wsunął do kieszeni papierosy i zapałki i podszedł do bufetu, gdzie w najgłębszym kącie, pod stertą serwetek trzymał pistolet Donalda. Brać czy nie brać? Wyobraził sobie różne sceny i sytuacje, w których pistolet mógłby mu się przydać... i zdecydował się nie brać. Do diabła z nim, jakoś sobie poradzę. Walczyć i tak nie mam zamiaru...

- To jak, idziemy? - zapytał Staś.

Stał już przy drzwiach i ostrożnie przekładał pas automatu przez zabandażowaną głowę. Selma stała obok niego w długim, grubym swetrze, który włożyła wprost na wydekoltowaną sukienkę. W rękę trzymała płaszcz.

- Idziemy - zakomenderował wujek Jura, uderzając w podłogę kolbą cekaemu.

- Zdejmij kolczyki - mruknął Andrzej do Selmy i wyszedł na klatkę.

Zaczęli schodzić po schodach. Na półpiętrach, szepcząc w ciemnościach, stali mieszkańcy. Na widok uzbrojonych ludzi milkli przestraszeni, odsuwali się.

- To Woronin... - ktoś powiedział i natychmiast zawołał: -Panie redaktorze, nie wie pan przypadkiem, co tam się na mieście dzieje?

Andrzej nie zdążył nic odpowiedzieć, bo pozostali zaczęli psykać na pytającego ze wszystkich stron, a ktoś zaszeptał złowieszczo: Nie widzisz, idioto, że go zgarnęli...

Selma zachichotała histerycznie.

Wyszli na podwórko, wsiedli na wóz. Selma narzuciła Andrzejowi płaszcz na plecy. Nagle wujek Jura zawołał: "Cicho!" i wszyscy zaczęli się wsłuchiwać.

- Gdzie strzelają - powiedział półgłosem Staś.

- Długie serie - dodał wujek Jura. - Nie żałują amunicji... A skąd oni ją biorą? Dziesięć nabojów - pół litra samogonu, a ten jak to daje... Noo! - krzyknął. - Ruszaj!

Wóz z łoskotem wtoczył się w bramę. Na schodach przed stróżówką stał z miotłą i szufelką mały Wan.

- Przecież to Wania! - wykrzyknął wujek Jura. - Prrrr! Witaj! A ty co tutaj?

- Zamiatam - odezwał się uśmiechnięty Wan. - Dzień dobry.

- Zostaw to! - zawołał wujek Jura. - No coś ty, słowo daję! Jedź z nami, zrobimy cię, rozumiesz, ministrem, w czesuczy będziesz chodził, pobiedą rozjeżdżał!

Wan roześmiał się uprzejmie.

- Dobra, wujku Juro! - zniecierpliwził się Andrzej. - Jedźmy już jedźmy!

Bardzo bolał go bok, na wozie było mu niewygodnie. Zaczynał żałować, że nie poszedł na piechotę. Sam nawet nie zauważył, kiedy przysunął się do Selmy.

- Dobra, Wania, jak nie chcesz, to nie - zdecydował wujek Jura. - Ale co do ministra, to się przygotuj! Uczesz się, rozumiesz, szyję umyj... - Machnął lejcami. - Noo!

Wytoczyli się z hukiem na Główną.

- Czyj to wóz, nie wiesz? - zapytał nagle Staś.

- A cholera go wie - odezwał się wujek Jura, nie odwracając się. - Koń to chyba tego liczykropy... tego co mieszka nad samym urwiskiem, rudy taki, piegowaty... Kanadyjczyk, czy jakoś tak...

- Tak? - powiedział Staś. - To się pewnie wścieka.

- Nie. Zabili go.

- Tak? - powtórzył Staś i zamilkł.

Po opustoszałej Głównej ciągnęła się ciężka, nocna mgła, chociaż zegarek wskazywał piątą po południu. Dlaczego z przodu mgła miała czerwony odcień i niespokojnie migotała? Co jakiś czas w tamtej stronie wybuchały plamy białego jaskrawego światła-może był to reflektor, może wyjątkowo silne lampy samochodu. Stamtąd też dobiegały, zagłuszając turkot kół i stukot kopyt, stłumione przez mgłę odgłosy strzelaniny. Coś się tam działo.

W domach po obu stronach ulicy w wielu oknach paliło się światło, ale przeważnie na wyższych piętrach. Przed zamkniętymi sklepami i straganami nie było kolejek, ale Andrzej zauważył, że w niektórych bramach i podwórkach stoją ludzie - wychylają się ostrożnie, znowu chowają, a najbardziej zdesperowani wychodzą na chodnik i patrzą w stronę migotania i trzasków. Gdzieś na ulicy leżały nieruchomo jakieś ciemne tobołki. Andrzej nie od razu zrozumiał, co to takiego, dopiero po chwili ze zdziwieniem przekonał się, że to pawiany. Na skwerze obok nie oświetlonej szkoły pał się samotny koń.

Wóz łomotał i trzął się. Wszyscy milczeli. Selma delikatnie namacała rękę Andrzeja. Ten, otumaniony bólem i zmęczeniem, przywarł do jej ciepłego swetra i zamknął oczy. Źle ze mną, myślał, źle... Co ten Kensi się tak gorączkuje, jaki znowu przewrót faszystowski?... Wściekli się po prostu ze strachu, ze złości, z beznadziei... Eksperyment to Eksperyment.

Wozem nagle szarpnęło i przez łoskot kół przedarł się pisk, tak dziki i przeraźliwy, że Andrzej ocknął się, zlany potem, wyprostował i nieprzytomnie potrząsnął głową.

Wujek Jura wściekle przeklinał, że wszystkich sił ciągnąc lejce, żeby utrzymać konia, który rwał się gdzieś w bok, a z lewej strony po chodniku biegło coś jakby kłęb płomieni, wydając nieludzkie i jednocześnie bardzo ludzkie kwiki bólu i przerażenia, i zostawiając za sobą strumienie ognia. Zanim Andrzej zdążył cokolwiek zrozumieć, Staś zręcznie zeskoczył z wozu i dwiema seriami z automatu skosił tę żywą pochodnię. W jakiejś witrynie zadzwoniły szyby. Ognisty kłębek przekoziółkował po chodniku, ostami raz żałośnie zapiszczał i ucichł.

- Umęczył się, biedak - powiedział ochryple Staś i Andrzej zrozumiał wreszcie, że to był pawian, płonący pawian. O Boże... Teraz leżał przy krawężniku i dopalał się. Ciężki smród rozprzestrzenił się po ulicy.

Wujek Jura ruszył. Staś szedł obok wozu, położywszy rękę na deskach burty. Andrzej wyciągał

szyję i patrzył przed siebie, na migoczącą, rozświetloną, różową mgłę. Tak, coś się tam działo, coś zupełnie niezrozumiałego - dobiegało jakieś wycie, strzały, huk motorów. Od czasu do czasu pojawiały się i od razu gasły jaskrawe malinowe wybuchy.

- Słuchaj no, Staś - odezwał się nagle wujek Jura, nie odwracając się. - Przeleć no się tam i zobacz, co się dzieje. A ja za tobą po cichutku, pomalutku...

- Dobra - zgodził się Staś, wziął swój przedziwny automat pod pachę i truchtem pobiegł naprzód, pod ścianami budynków. Wkrótce zniknął w malinowej mgłę. Wujek Jura szarpał za lejce, dopóki koń się nie zatrzymał.

- Siądź wygodniej - szepnęła Selma. Andrzej wzruszył ramieniem.

- No, przecież nic między nami nie było - szeptała dalej Selma. - To był administrator, chodził po wszystkich mieszkaniach, pytał, czy ktoś nie ukrywa broni...

- Przestań - powiedział Andrzej przez zęby.

- Słowo honoru - szeptała Selma. - Wszedł tylko na minutkę, właśnie miał wychodzić...

- I tak bez spodni chciał wyjść? - zapytał zimno Andrzej, rozpaczliwie próbując odegnać wstrętne wspomnienie: on, bezsilny, podtrzymywany przez wujka Jurę i Stasia, widzi w przedpokoju własnego mieszkania jakiegoś jasnookiego kurdupla, ukradkiem starającego się zebrać poły szlafroka, spod którego wystają flanelowe kalesony. A zza ramienia kurdupla obrzydliwie niewinna, pijana twarz Selmy. A potem ten wyraz niewinności znika, pojawia się przerażenie i wreszcie rozpacz.

- Ale on tak właśnie chodził po mieszkaniach, w szlafroku! - szeptała Selma.

- Na litość boską, zamknij się. Zamknij się wreszcie. Ja nie jestem twoim mężem, ty nie jesteś moją żoną, co mnie to wszystko obchodzi?...

- Ale ja cię kocham! - szeptała z rozpaczą Selma. - Tylko ciebie jednego...

Wujek Jura zakaszłał głośno.

- Ktoś jedzie - powiedział.

Z mgły wyłonił się ogromny, ciemny kształt. Podjechał bliżej, zapłonęły reflektory. To była potężna wywrotka. Silnik zabulgotał i wywrotka zatrzymała się kilkanaście metrów od wozu. Krzykliwy głos zaczął wydawać komendy, jacyś ludzie zeszli z samochodu i niespiesznie porzłazili się po ulicy. Trzasnęły drzwi, jeszcze jedna ciemna postać oderwała się od ciężarówki, postąła chwilę, a potem powoli zaczęła zbliżać się do wozu.

- Idzie tu - powiedział wujek Jura. - Ty, Andrzej, nie tego... nie odzywaj się. Ja będę mówić.

Człowiek podszedł do wozu. Był to najwidoczniej tak zwany milicjant w kusym paletku i z białymi opaskami na obu rękawach. Na ramieniu, lufą do dołu, wisiał mu karabin.

- A, farmerzy - powiedział milicjant. - Czołem, chłopaki.

- Witaj, jeśli nie kpisz - odezwał się po chwili milczenia wujek Jura.

Milicjant zmieszał się, pokręcił z wahaniem głową i nieśmiało zapytał:

- Nie macie chleba do sprzedania?

- Chleba! - zawołał wujek Jura.

- No, to może macie mięso albo ziemniaki...

- Ziemniaki! - powiedział wujek Jura.

Milicjant stropił się zupełnie, pociągnął nosem, westchnął, popatrzył w stronę swojej ciężarówki i nagle z jakąś ulgą krzyknął:

- Tam, tam się jeszcze poniewiera! Ślepe komendy! Tam jeszcze leży coś spalonego! - Zerwał się z miejsca i głośno tupiąc płaskostopymi nogami, pobiegł po jezdni. Widać było, jak rozkazuje, machając rękami, a posepni ludzie, mamrocząc słabo i niezrozumiale, wloką coś ciemnego, z

wysiłkiem rozhuśtują i rzucają na wywrotkę.

- Ziemiaków mu się zachciewa - warczał wujek Jura. - Mięsa!...

Ciężarówka ruszyła i przejechała tuż obok nich. Zaśmierdziało spaloną sierścią i mięsem. Wywrotka była pełna, ohydne, skurczone postacie płynęły na tle słabo oświetlonej ściany domu. Andrzej poczuł ciarki na plecach: z obrzydliwej sterty wystawała biała ludzka ręka z rozcapierzonymi palcami. Posępni ludzie na wywrotce, przytrzymując się boków samochodu i siebie nawzajem, tłoczyli się przy kabinie. Było ich pięciu lub sześciu, sami porządni ludzie w kapeluszach.

- Brygada pogrzebowa - powiedział wujek Jura. - Prawidłowo. Zawiozą je na wysypisko i po krzyku... Oho, a tam Staś do nas macha! Nooo!

W oświetlonej mgłę przed nimi widać było długą, niezgrabną postać Stasia. Gdy wóz zrównał się z nim, wujek Jura pochylił się na koźle i, wpatrując się w kompana, zapytał przestraszony:

- Co z tobą, bracie? Co się stało?

Staś, nic nie mówiąc, próbował wskoczyć bokiem na wóz, spadł, głośno zgrzytnął zębami, potem chwycił się obiema rękami za bok i zaczął coś mamrotać stłumionym głosem.

- Co z nim? - spytała szeptem Selma.

Wóz toczył się powoli w stronę huku silników i wystrzałów, a Staś, przytrzymując się wozu rękami, szedł z boku, jakby nie dawał rady wejść. W końcu wujek Jura wciągnął go na koziół.

- Co z tobą? - zapytał znowu wujek Jura. - Da się jechać? Mów do rzeczy, co tam mamrociesz?

- Jezus Maria - zawołał Staś jasnym głosem. - Dlaczego oni to robią? Kto im kazał robić coś takiego?

- Prrrr! - wykrzyknął wujek Jura na cały głos.

- Nie, jedź, jedź - powiedział Staś. - Jechać można. Tylko patrzeć nie trzeba... Proszę pani - odwrócił się do Selmy - niech się pani odwróci, patrzy w drugą stronę... Albo jeszcze lepiej niech pani w ogóle nie patrzy.

Andrzej poczuł, że coś go ściska za gardło. Spojrzał na Selmę i zobaczył jej ogromne, rozszerzone oczy.

- Dawaj, Jura, dawaj... - mamrotał Staś. - Pogoń no go, co się tak wleciesz! Jedź szybko! - krzyknął. - Cwałem! Cwałem!...

Koń pognał szybciej. Domy po lewej stronie skończyły się, mgła cofnęła się nagle, rozplynęła i wyłonił się Pawiani Bulwar - niewątpliwe źródło zgiełku. Ciężarówki na jałowym biegu otaczały bulwar półkolem. Na ciężarówkach i pomiędzy nimi stali ludzie w białych opaskach. Po bulwarze, wśród płonących drzew i krzewów, biegali i wrzeszczeli ludzie w pasiastych pidżamach i oszalałe pawiany. Jedni i drudzy potykali się i padali, wdrapywali się na drzewa, spadali z gałęzi, próbowali schować się w krzakach. Ludzie z białymi opaskami przez cały czas strzelali do nich z karabinów i cekaemów. Bulwar usłany był dziesiątkami nieruchomych ciał, niektóre z nich dopalały się i kopcily. Z jednej z ciężarówek z długim sykiem wystrzelił, czarno dymiąc, ognisty strumień. Jeszcze jedno drzewo oblepione czarnymi kłóciami małp zapłonęło jak pochodnia. Ktoś zawył przeraźliwie wysokim falsetem:

- Jestem zdrowy! To pomyłka! Jestem normalny! To pomyłka!...

Wszystko to, trzęsąc się i podskakując, wywołując ostry ból w żebrach, ziejąc żarem i smrodem, ogłuszając i oslepiając przemknęło obok i po chwili zostało z tyłu. Migocząca mgła zamknęła się za nimi, ale wujek Jura długo jeszcze poganiał konia, rozpaczliwie pokrzykując i machając lejcami. Diabli wiedzą, co to takiego, tępo powtarzał w myśli Andrzej. Opadł z sił i przywarł do Selmy. Diabli wiedzą, co to było! Zwariowali, poszaleli od krwi... Wariaci zawładnęli miastem, krwawi szaleńcy, teraz to już koniec, nic ich nie powstrzyma, potem wezmą się za nas...

Wóz zatrzymał się nagle.

- Wiecie - wujek Jura odwrócił się do nich całym ciałem - to trzeba jakoś tego... - Na wozie wśród worków wymacał butelkę okazałych rozmiarów, wyciągnął zębami korek, splunął i przyssał się do szyjki. Potem dał butelkę Stasiowi, wytarł usta i zawołał: - Tępicie, znaczy... Eksperyment... Dobrze. - Z kieszeni na piersi wyjął zwiniętą gazetę, starannie oderwał róg i zaczął szukać tytoniu. - Ostro idziecie. Oj, ostro!

Staś chciał podać flaszkę Andrzejowi, ale ten pokręcił głową. Selma za to wzięła, wypila dwa łyki i oddała ją Stasiowi. Nikt się nie odzywał. Wujek Jura dymił i trzaskał skrętem, w gardle bulgotało mu jak ogromnemu psu. Potem nagle odwrócił się i zaczął rozplątywać lejce.

Do zakrętu W Klozetową został już tylko jedna przecznica. Nagle mgła przed nimi znowu zapłonęła i dało się słyszeć gwar dziesiątków głosów. Na skrzyżowaniu, na samym środku ulicy, oświetlony reflektorami kłębił się, kołysał i huczał ogromny tłum. Skrzyżowanie było zapchane, nie można było przejechać.

- Mityng jakiś! - zawołał wujek Jura odwracając się.

- Tak to już bywa - zgodził się smętnie Staś. - Jak się wzięli za rozstrzeliwanie, to i za mityngi... Nie da się jakoś naokoło?

- Czekać no, bracie, po co naokoło? - zdziwił się wujek Jura. - Trzeba posłuchać, co tam mówią. Może coś o słońcu powiedzą... Patrz, pełno tu naszych.

Zgiełk ucichł i nad tłumem rozległ się, zwielokrotniony mikrofonami, wściekły głos:

- Powtarzam raz jeszcze: bez litości! Oczyszcimy Miasto!... z brudu!... z nieczystości!... od wszelkich darmozjadów!... Złodzieje muszą wisieć!...

- Aaaaa! - zaryczał tłum.

- Łapówkarze muszą wisieć!...

- Aaaa!

- Kto występuje przeciwko narodowi, będzie wisiał!

- Aaaa!

Andrzej wypatrzył mówiącego. W samym środku tłumy wznosiło się nitowane pudło jakiegoś samochodu wojskowego. Nad nim, wczepiony rękami, oświetlony błękitnym światłem reflektora, kiwał się w przód i w tył swoim długim, okrytym czernią tułowiem i otwierał do krzyku spieczone wargi były podoficer Wermachtu, aktualnie przewodniczący Partii Radykalnego Odrodzenia, Friedrich Heiger.

- To dopiero początek! Zaprowadzimy w mieście prawdziwie narodowy, prawdziwie ludzki porządek! Nie obchodzą nas żadne Eksperymenty! Nie jesteśmy świnkami morskimi! Nie jesteśmy królikami! Jesteśmy ludźmi! Nasza broń to rozum i sumienie! Nie pozwolimy! Żeby kierowano naszym losem! Sami będziemy nim kierować! Los narodu w rękach narodu! Los ludzi w rękach ludzi! Naród mnie powierzył swój los! Swoje prawa! Swoją przyszłość! I przysięgam! Nie zawiodę pokładanego we mnie zaufania!...

- Aaa!

- Będę bezlitosny! W imię narodu! Będę okrutny! W imię narodu! Nie dopuszczę do rozłamu! Żadnych kapitalistów! Żadnych faszystów! Nie będziemy walczyć ze sobą! Będziemy walczyć za siebie!

- Aaa!

- Żadnych partii! Żadnych narodowości! Żadnych klas! Każdy, kto chce rozłamu, będzie wisiał!

- Aaa!

- Jeśli biedni nadal będą walczyć z bogatymi! Jeśli komuniści nadal będą walczyć z kapitalistami!

Jeśli czarni nadal będą walczyć z białymi! Rozdepczą nas! Zniszczą!... Ale jeśli my! Staniemy ramię przy ramieniu! Ściskając w ręku broń! Albo młot pneumatyczny! Albo rękojeść pługa! Wtedy nie znajdzie się taka siła, która mogłaby nas pokonać! Naszą bronią jest jedność! Naszą bronią jest prawda! Żeby nawet była nie wiadomo jak ciężka! Tak, zwabili nas w pułapkę! Ale przysięgam na Boga - to zwierzę jest za duże na tę pułapkę!...

- A! - zaczął krzyczeć tłum i oszołomiony umilkł. Rozbłysło;! słońce.

Rozbłysło po raz pierwszy od dwunastu dni, zapłonęło złotym dyskiem na swoim zwykłym miejscu, oślepiło, sparzyło szare, wyblakłe twarze, zalśniło w szybach okien, ożywiło i rozпалиło miliony barw - i czarne dymy nad dalekim dachami, i wyblakłą zieleń drzew, i czerwone cegły pod obsypanym tynkiem...

Tłum zaryczał dziko i Andrzej zawył razem z nim. Działo się coś niewyobrażalnego. W powietrze leciały czapki, ludzie obejmowali się, płakali, ktoś zaczął strzelać w powietrze, ktoś w dzikim zachwycie rzucał cegłami w reflektory, a Fritz Heiger wznosił się nad tym wszystkim jak Pan Bóg, który powiedział: "Niech się stanie światłość". Długą, czarną ręką wskazywał słońce, wytrzeszczając oczy i dumnie wysuwając podbródek. Po chwili jego głos znowu rozległ się nad tłumem.

- Widzicie!? Przestraszyli się! Drżą przed wami! Przed nami! Za późno, panowie! Za późno! Znowu chcecie zatrzasać pułapkę? Ludzie już się z niej wyrwali! Żadnej litości dla wrogów ludzkości! Dla spekulantów! Pasożytów! Szabrowników dobra narodowego! Słońce znowu jest z nami! Wyrwaliśmy je z czarnych łap! Wrogów ludzkości! I już nigdy więcej! Nie oddamy go! Nigdy! I nikomu!...

- Aaaa!

Andrzej opamiętał się. Stasia nie było na wozie. Wujek Jura, szeroko rozstawiając nogi, stał na koźle, potrząsał cekaemem i, sądząc po nabrzmiałym, czerwonym karku, też wrzeszczał. Selma płakała, bijąc Andrzeja pięściami po plecach.

Sprytnie, pomyślał chłodno. Tym gorzej dla nas. Po co ja tu siedzę? Powinienem biec, a ja siedzę... Przewyciężając ból w boku, podniósł się i zeskoczył z wozu. Dookoła ryczał i wrzał tłum. Andrzej zaczął się przebijać. Początkowo starał się uważać na siebie, próbował osłonić się łokciami, ale gdzie tam!... Oblany potem z bólu i podchodzących do gardła mdłości szedł, rozpychał się, deptał po nogach, nawet bódł i w końcu udało mu się wydostać na zaułek Klozetowy. Przez cały czas gonił go głos Heigera:

- Nienawiść! Poprowadzi nas nienawiść! Dostyc fałszywej miłości! Dostyc judaszowych pocałunków! Zdrajców ludzkości! Sam daję przykład świętej nienawiści! Zniszczyłem samochód pancerny krwawych żandarmów! Na waszych oczach! To ja rozkazałem powiesić złodziei i gangsterów! Na waszych oczach! Żelazną miotłą wymiatam z naszego miasta wszelkie plugastwo! Na waszych oczach! Nie litowałem się nad sobą! I mam święte prawo nie litować się nad innymi!....

Andrzej wszedł w bramę redakcji. Drzwi były zamknięte. Kopnął w nie ze złością, aż zadźwięczały szyby. Zaczął walić z całych sił, szepcząc potworne przekleństwa. Drzwi otworzyły się. Na progu stał Nauczyciel.

- Wejdz - powiedział, odsuwając się.

Andrzej wszedł. Nauczyciel zamknął za nim drzwi na zasuwę i odwrócił się. Twarz miał mlecznobiałą, pod oczami ciemne kręgi. Co chwila oblizywał wargi. Andrzejowi ścisnęło się serce - nigdy przedtem nie widział Nauczyciela tak przybitego

- Czyżby było aż tak źle? - zapytał złamanym głosem.

- A! - Nauczyciel uśmiechnął się blado. - Co tu może być dobrego.

- A słońce? - zapytał Andrzej. - Po co je wyłączyliście?

Nauczyciel zacisnął ręce i przeszedł się po westybulu tam i z powrotem.

- Nie wyłączyliśmy go! - powiedział ze znużeniem. - Awaria. Nie planowana. Nikt się nie spodziewał.

- Nikt sienie spodziewał... -powtórzył z goryczą Andrzej. Zdjął płaszcz i rzucił go na zakurzoną kanapę. - Gdyby słońce się nie wyłączyło, nie doszłoby do tego wszystkiego...

- Eksperyment wyrwał się spod kontroli - wymamrotał Nauczyciel, odwracając się.

- Wyrwał się spod kontroli... - znowu powtórzył Andrzej. -Nigdy bym nie przypuścił, że Eksperyment może wyrwać się spod kontroli.

Nauczyciel spojrzał na niego spode łba.

- Noo... W pewnym sensie masz rację. Można na to spojrzeć również w ten sposób. Eksperyment, który wyrwał się spod kontroli, to, mimo wszystko, ciągle Eksperyment. Możliwe, że trzeba będzie zmienić pewne rzeczy... zrobić poprawki. Tak że w przyszłości - w przyszłości! - te egipskie ciemności będą uważane za nieodłączną, programową część Eksperymentu.

- W przyszłości... - powtórzył jeszcze raz Andrzej. Poczul głuchą złość. - A co my mamy teraz robić? Ratować się?

- Tak, ratować się. I ratować innych.

- Kogo?

- Wszystkich, których można uratować. Wszystko, co jeszcze można uratować. Przecież nie może tak być, żeby nie było kogo i czego ratować!

- My się będziemy ratować, a Fritz Heiger będzie kontynuował Eksperyment?

- Eksperyment nie przestał być Eksperymentem - zaoponował Nauczyciel.

- No tak - pokiwał głową Andrzej. - Od pawianów do Fritza Heigera.

- Tak. Do Fritza Heigera, poprzez Fritza Heigera i pomimo Fritza Heigera. Przecież nie strzelimy sobie z jego powodu w łeb! Eksperyment musi iść dalej... W końcu życie też płynie dalej, bez względu na jakiegoś tam Fritza Heigera. Jeśli Eksperyment cię rozczarował, to pomyśl o walce za życie...

- O walce za wegetację- uśmiechnął się krzywo Andrzej. - Jakie teraz może być życie!

- Wszystko zależy od was.

- A od was?

- Od nas niewiele. Was jest dużo, o wszystkim decydujecie wy, nie my.

- Kiedyś mówił pan inaczej - powiedział Andrzej.

- Kiedyś i ty byłeś inny - odparł Nauczyciel. - I też mówiłeś inaczej.

- Boję się, że robiłem z siebie głupka - wyznał powoli Andrzej. -Boję się, że byłem po prostu głupi.

- Nie tylko tego się boisz - zauważył obłudnie Nauczyciel.

Andrzej poczuł, że zamiera mu serca, tak jak we śnie, gdy się spada. Rzucił ostro:

- Tak, boję się. Wszystkiego się boję. Jak zając. Bili pana kiedyś butem w krocze?... - Przyszła mu do głowy nowa myśl. - Przecież pan też się boi? Prawda?

- Oczywiście! Mówię ci przecież, że Eksperyment wymknął się spod kontroli...

- Niech pan przestanie! Eksperyment, Eksperyment... Nie o niego mi chodzi. Najpierw pawianów, potem nas, a potem was, tak?

Nauczyciel nie odpowiedział. To było najstraszniejsze - że nie powiedział ani słowa. Andrzej czekał, ale Nauczyciel tylko w milczeniu spacerował po westybulu, bezmyślnie przesuując fotele z miejsca na miejsce, ścierając rękawem kurz ze stolików. Nie patrzył na Andrzeja.

Ktoś zastukał do drzwi - najpierw pięścią, a potem od razu zaczął w nie kopać. Andrzej odsunął zasuwkę - przed nim stała Selma.

- Zostawiłeś mnie! - zawołała z oburzeniem. - Ledwo udało mi się przebić!

Andrzej obejrzał się niepewnie. Nauczyciel zniknął.

- Przepraszam - powiedział Andrzej. - Nie pomyślałem o tobie. Było mu trudno mówić. Próbował zdusić w sobie przerażenie wywołane samotnością i poczuciem bezbronności. Zatrzasnął z łomotem drzwi i pospiesznie zasunął zasuwkę.

ROZDZIAŁ 3

W redakcji było pusto. Najwidoczniej pracownicy puciekali, gdy zaczęła się strzelanina przed merostwem. Andrzej zaglądał do pokojów, obojętnie patrząc na porozrzucone papiery, poprzewracane krzesła, brudne talerze z resztkami kanapek i filiżanki po kawie. Z głębi redakcji dochodziła głośna, dziarska muzyka. To było dziwne. Selma szła za nim, trzymając go za rękaw. Przez cały czas mówiła coś kłótliwym tonem, ale Andrzej nie słuchał. Po co ja tu przyszedłem? - myślał. Wszyscy, jak jeden mąż, uciekli. I dobrze zrobili. Siedziałbym sobie teraz w domu, leżał w łóżku, głaskałbym ten nieszczęsny bok, drzemał i miałbym wszystko w...

Wszedł do działu kroniki miejskiej i zobaczył Izie.

Początkowo nie poznał, że to Izia. Przy biurku w odległym kącie, schylając się nad otwartą zszywką gazet, stał, opierając się o blat szeroko rozstawionymi rękami, obcy człowiek o źle obciętych włosach, w podejrzanym szarym chałacie bez guzików. Dopiero po chwili, gdy mężczyzna nagle wyszczerzył zęby w uśmiechu i znajomym gestem zaczął szczypać brodawkę na szyi, Andrzej zrozumiał, że ma przed sobą Izie.

Przez jakiś czas stał w drzwiach i patrzył na niego. Izia nie słyszał, jak wszedł. W ogóle nic nie słyszał i niczego nie zauważał - po pierwsze, czytał, a po drugie, nad jego głową wisiał głośnik, z którego dobiegały grzmiące dźwięki zwycięskiego marsza.

- Przecież to Izia! - wrzasnęła Selma przeraźliwie, odepchnęła Andrzeja i rzuciła się naprzód.

Izia szybko podniósł głowę, wyszczerzył się jeszcze bardziej i szeroko otworzył ramiona.

- Aha! - wykrzyknął radośnie. - Jesteście!...

Gdy obejmował Selmę, gdy głośno, apetycznie całował ją w usta i policzki, gdy Selma wykrzykiwała z entuzjazmem coś niezrozumiałego i burzyła mu koszmarnie włosy, Andrzej podszedł do nich, próbując przewyciężyć męczące zakłopotanie. Ostre uczucie winy i zdrady, które omal nie zważyło go z nóg tamtego ranka w piwnicy, a w ciągu ostatniego roku przybladło i niemal się zatarło, teraz przeszło go z dawną siłą. Podchodząc, wahał się przez kilka sekund, zanim odważył się wyciągnąć rękę. Gdyby Izia nie zauważył tej ręki, albo nawet powiedział coś pogardliwego i miażdżącego, Andrzej zrozumiałby go doskonale - on sam pewnie też by tak postąpił. Ale Izia uwolnił się z objęć Selmy, z zapalem chwycił jego rękę, uścisnął i z ogromnym zaciekawieniem zapytał:

- Gdzie cię tak upiększyli?

- Pobito mnie - odpowiedział krótko Andrzej. Izia go zaskoczył. Miał mu tak wiele do powiedzenia, a zapytał tylko: - Skąd się tu wzięłeś?

Zamiast odpowiedzi Izia przerzucił kilka stron zszywki i przesadnie gestykulując, przeczytał z patosem:

- "...Nie można w żaden rozumny sposób wyjaśnić wściekłości, z jaką prasa prorządowa napada na Partię Radykalnego Odrodzenia. Ale jeśli przypomnimy sobie, że to właśnie erwiści - ta malutka, młoda organizacja - w sposób najbardziej bezkompromisowy występuje przeciwko każdemu przypadkowi korupcji..."

- Przestań - skrzywił się Andrzej, ale Izia tylko podniósł głos:

- "... bezprawia, głupoty i bezbronności administracji; jeśli przypomnimy sobie, że to właśnie erwiści nagłośnili »sprawę wdowy Batton«; jeśli uzmysłowimy sobie, że to erwiści jako pierwsi ostrzegli rząd przed krótkowzrocznością podatku bagiennego..." Bieliński! Pisariew! Plechanow! Sam to pisałeś czy twoi kretyni?

- Dobrze już, dobrze... - Andrzej zirytowany spróbował odebrać Izi zszywkę.

-Nie, poczekaj! - krzyknął Izia, grożąc mu palcem i ciągnąc zszywkę do siebie. - Tu jest jeszcze jedna perełka!... Gdzie to było? Mam. "Bogactwem naszego miasta, tak jak i każdego miasta, w którym mieszkają ludzie pracy, są uczciwi obywatele. Jednakże, jeśli mówimy o grupach politycznych, to chyba jedynie Friedrich Heiger może zasługiwać na zaszczytny tytuł..."

- Dosyć! - wrzasnął Andrzej, ale Izia wyrwał mu zszywkę, schował się za rozradowaną Selmę i, sycząc i plując, czytał dalej:

- "... Nie będziemy mówić o słowach, będziemy mówić o czynach! Friedrich Heiger odmówił objęcia stanowiska ministra informacji; Friedrich Heiger głosował przeciwko ustawie przewidującej poważne ulgi dla zasłużonych działaczy prokuratury; Friedrich Heiger był jedynym wybitnym działaczem, sprzeciwiającym się stworzeniu regularnej armii, w której proponowano mu wysokie stanowisko..." - Izia wrzucił zszywkę pod stół i zatarł ręce. - Jeśli chodzi o politykę, to zawsze byłeś skończonym osłem! Ale w ciągu tych ostatnich kilku miesięcy zgłupiałeś doszczętnie. Słusznie zrobili, że dali ci wycisk! Oko przynajmniej całe?

- Całe - odpowiedział powoli Andrzej. Dopiero teraz zauważył, że Izia jakoś niezgrabnie rusza lewą ręką, a trzy palce tej ręki są unieruchomione.

- Wyłącz to wreszcie, do cholery! - wrzasnął Kensi, pojawiając się w drzwiach. - A, Andrzej, jesteś już... to dobrze. Dzień dobry, Selmo. - Pospiesznie przeciął pokój i wyrwał wtyczkę z kontaktu.

- Czemu?! - krzyknął Izia. - Chcę posłuchać przemówień moich wodzów! Niech grzmią marsze bojowe!...

Kensi tylko spojrzał na niego z wściekłością.

- Chodź, Andrzej, opowiem ci, co zdziałaliśmy - powiedział. - I trzeba jeszcze pomyśleć, co robić dalej.

Ręce i twarz miał wysmarowane sadzą. Poszedł w głąb redakcji i Andrzej podążył za nim. Dopiero teraz poczuł, że w pokojach wyraźnie czuć zapach palonego papieru. Izia z Selmą szli z tyłu.

- Ogólna amnestia! - syczał i bulgotał Izia. - Wielki wódz otworzył drzwi więzień! Potrzebne mu było miejsce dla innych więźniów... - westchnął i zajęczał. - Wszystkich kryminalistów, co do jednego, wypuszczono, a przecież ja, jak wiadomo, też jestem kryminalistą! Wypuścili nawet tych z dożywociem ...

- Schudłeś - mówiła z żalnością Selma. - Wszystko na tobie wisi, jakiś taki jesteś wyliniąły...

- No przecież przez ostatnie trzy dni nie dawali nam żarcia i nie pozwalali się umyć...

- To pewnie jesteś głodny?

- Ale skąd, ni cholery, tu się nażarłem...

Weszli do gabinetu Andrzeja. Panował w nim niesamowity upał. Słońce świeciło prosto w okna, a w dodatku w kominku palił się ogień. Przed kominkiem kuciała sekretarka sierota, też wysmarowana, jak Kensi. Starannie grzebała pogrzebaczem w stercie płonącego papieru. Wszystko w gabinecie było pokryte sadzą i czarnymi strzępami popiołu.

Na widok Andrzeja sekretarka zerwała się i, przestraszona, uśmiechnęła się nieśmiało. Nie spodziewałem się, że właśnie ona zostanie, pomyślał Andrzej. Usiadł przy swoim stole i z miną winowajcy pokiwał jej i uśmiechnął się.

- Spisy wszystkich korespondentów specjalnych, spisy i adresy członków kolegium redakcyjnego - wyliczał rzeczowo Kensi. - Oryginały wszystkich artykułów politycznych, oryginały cotygodniowych przeglądów...

- Artykuły Dupaina trzeba spalić - powiedział Andrzej. - Wydaje mi się, że to on był głównym antyewrystą...

- Już spalone - zniecierpliwiał się Kensi. - I Dupaina i, na wszelki wypadek, Filimonowa...

- Co wy się tak miotacie? - zapytał wesoło Izia. - Przecież was będą na rękach nosić!

- Jeszcze nie wiadomo. - odpowiedział posepnie Andrzej.

- Jak to "nie wiadomo"! Chcesz się założyć? O sto kopniaków!

- Czekaj, Izia! - zawołał Kensi. - Zamknij się, na litość boską, chociaż na dziesięć minut!...

Zniszczyłem całą korespondencję z merostwem, a korespondencję z Heigerem na razie zostawiłem...

- Protokoły kolegium redakcyjnego! - przypomniał sobie Andrzej. - Z zeszłego miesiąca...

Sięgnął pospiesznie do najniższej szuflady biurka, wyjął teczkę i podał ją Kensiemu. Ten, krzywiąc się, przerzucił kilka kartek.

- Taak... - pokręcił głową. - O tym zapomniałem... A tu jak raz wystąpienie Dupaina... - Podszedł do kominka i wrzucił teczkę w ogień. - Niech pani nie przestaje rozgarniać! - powiedział z irytacją do sekretarki, która z otwartymi ustami słuchała rozmowy kierownictwa.

W drzwiach stanął kierownik działu listów, spocony i bardzo wzburzony. W wyciągniętych rękach niósł stertę jakichś teczek, dociskając je z góry podbródkiem.

- Proszę... - wysapał, z trzaskiem zrzucając stertę obok kominka. - Tu są jakieś badania socjologiczne, nawet tego dobrze nie przeglądałem... Widzę, że są nazwiska, adresy... Mój Boże, szefie, co z panem?

- Cześć, Danny - powiedział Andrzej. - Dzięki, że zostałeś.

- Oko całe? - zapytał Danny, ocierając pot z czoła.

- Całe, całe... - uspokoił go Izia. - Przez cały czas niszczyacie nie to, co trzeba. Przecież was nikt nie ruszy - jesteście liberalną gazetką opozycyjną. Po prostu przestaniecie być opozycyjni i liberalni...

- Izia - powiedział Kensi. - Ostatni raz cię proszą, przestań pleść byle co. Bo cię wyrzucę.

- Nie plotę! - krzyknął zirytowany Izia. - Daj mi skończyć! Listy, listy musicie zniszczyć! Na pewno pisali do was mądrzy ludzie...

Kensi spojrzał na niego.

- Do licha! zasyczał i wybiegł z gabinetu. Danny pognął za nim, wycierając w biegu twarz i szyję.

- Nic nie rozumiecie! - zawołał Izia. - Przecież wy wszyscy tutaj - to sami kretyni. A niebezpieczeństwo grozi tylko ludziom mądrym.

- Że kretyni, to rzeczywiście... - powiedział Andrzej. - Masz rację.

- Aha! Mądrzejesz! - wykrzyknął Izia, machając kaleką ręką. - Niepotrzebnie. To niebezpieczne! Na tym właśnie polega cały dramat. Mnóstwo ludzi teraz zmądrzeje, ale zmądrzeje niedostatecznie. Nie zdążą zrozumieć, że akurat teraz trzeba udawać głupich...

Andrzej popatrzył na Selmę. Ta wpatrywała się w Izie z zachwytem. Sekretarka też gapiała się na niego z podziwem. A Izia stał rozstawiając szeroko nogi w więziennych butach, zarośnięty, brudny, rozchełstany, koszula wylazła mu ze spodni, w rozporku brakowało guzików - stał w całej swojej krasie, taki jak zawsze, zupełnie nie zmieniony - i przemawiał, i pouczał. Andrzej wyszedł zza biurka, podszedł do kominka, przykucnął obok sekretarki i, zabierając jej pogrzebacz, zaczął przetrząsać i przekopywać palący się niechętnie papier.

-... I dlatego - głosił Izia - niszczyć trzeba nie tylko te papiery, w których wymyślają naszemu wodzowi. Wymyślać też można różnie. Niszczyć trzeba papiery, które pisali ludzie mądzy!...

Do gabinetu zajrzał Kensi i krzyknął:

- Słuchajcie, pomoglibyście... Dziewczyny, co się tu obijacie, chodźcie ze mną!

Sekretarka zerwała się od razu i, poprawiając w biegu przekręconą spódniczkę, zniknęła za drzwiami. Selma postąpiła chwilę, jakby czekając, że ją zatrzymają, wreszcie wdusiła niedopałek do popielniczki i wyszła.

-... Was nikt nie ruszy! - Izia nie przestawał przemawiać, głuchy i ślepy, jak tokujący głuszc. - Jeszcze wam podziękują, podrzucą więcej papieru, żebyście mogli zwiększyć nakład, podniosą wynagrodzenie i zwiększą liczbę etatów... Dopiero później, jeśli zachce się wam brykać, dopiero wtedy wezmą was za kark i wypomną wam wszystko - i waszego Dupaina, i Filimonowa, i wszystkie wasze liberalno-opozycyjne brednie... Ale po co mielibyście brykać? Nawet wam to w głowie nie postanie, wręcz przeciwnie!...

- Izia - powiedział Andrzej patrząc w ogień. - Dlaczego wtedy nie powiedziałeś mi, co było w teczce?

- Co? W jakiej teczce? Ach, w tej...

Izia od razu przycichł, podszedł do kominka i przykucnął obok Andrzeja. Przez jakiś czas obaj milczeli. Potem odezwał się Andrzej:

- Oczywiście, byłem wtedy osłem. Kompletnym bałwanem. Ale przecież nie plotkarzem i nie gadułą. Myślałem, że to rozumiesz...

- Po pierwsze, nie byłeś bałwanem - powiedział Izia. - Znacznie gorzej. Z ciebie zrobili bałwana. Przecież z tobą nie dało się po ludzku rozmawiać. Rozumiem to, ja też przez długi czas byłem taki sam... A poza tym - co mają do tego plotki? Zgodzisz się chyba ze mną, że takich rzeczy zwyczajni obywatele nie powinni wiedzieć. Inaczej wszystko mogłoby się rozwalić w cholerę...

- Co? - stropił się Andrzej. - Z powodu twoich liścików miłosnych?...

- Jakich liścików miłosnych?

Przez chwilę przyglądali się sobie ze zdziwieniem. W końcu Izia wyszczerzył się.

- Rany boskie, no jasne... Skąd mi przyszło do głowy, że on ci o wszystkim opowie? Po co miałby to robić? Cóż za orzeł z tego naszego wodza! Kto włada informacją, ten włada światem - nie ma co, dobrze go nauczyłem!...

- Nic nie rozumiem - wymamrotał Andrzej niemal z rozpaczą. Czuł, że zaraz dowie się czegoś ohydne o tej i tak już ohydnej sprawie. - O czym ty mówisz? Jaki on? Heiger?

- Heiger, Heiger - przytaknął Izia. - Nasz wielki Fritz... Znaczy się, w teczce miałem liściki miłosne? Albo może kompromitujące fotografie? Zazdrosna wdowa i babiarz Katzman. Prawidłowo, taki protokół też podpisałem...

Izia podniósł się ze sieknięciem i zaczął chodzić po gabinecie, zacierając ręce i chichocząc.

- Tak - powiedział Andrzej. - Tak właśnie mi powiedział. Zazdrosna wdowa. To znaczy, że kłamał?

- Oczywiście, a co ty myślałeś?

- Uwierzyłem - odpowiedział krótko Andrzej. Zaciśnął zęby i zaczął wściekle grzebać po grzebaczem w kominku. - A jak było naprawdę? - zapytał.

Izia milczał. Andrzej obejrzał się. Izia powoli pocierał ręce i z zastygłym uśmiechem patrzył na niego szklanymi oczami.

- Ciekawa sprawa... - zaczął niepewnie. - Może on po prostu zapomniał? To znaczy, nie zapomniał, tylko... - zerwał się z miejsca i znowu przykucnął obok Andrzeja. - Posłuchaj, ja ci nic nie powiem, rozumiesz? I jeśli będą cię pytać, to tak właśnie odpowiesz: nic mi nie chciał powiedzieć, odmówił. Powiedział tylko, że sprawa dotyczy wielkiej tajemnicy Eksperymentu, powiedział, że wiedza o niej jest niebezpieczna. A potem pokazał mi kilka zabezpieczonych kopert i mrugając wyjaśnił, że te koperty rozda zaufanym ludziom, żeby je otworzyli w przypadku jego, Katzmana, aresztowania, albo nagłej śmierci. Rozumiesz? Nazwisk zaufanych ludzi nie podawał. Tak właśnie powiesz, jeśli cię zapytają.

- Dobrze - powiedział powoli Andrzej, patrząc w ogień.

- Tak będzie najlepiej - Izia też patrzył w ogień. - Tylko jeśli będą cię... Römer, wiesz, jakie to bydlę... - skrzywił się. - A może nikt cię nie zapyta? Nie wiem. Trzeba się zastanowić. Trudno tak od razu przewidzieć.

Zamilkł. Andrzej przez cały czas rozgarniał gorącą, przelewającą się czerwonymi ognikami stertę. Izia znowu zaczął wrzucać do kominka teczek z papierami.

- Teczki nie wrzucaj - powiedział Andrzej. - Kiepsko się palą, widzisz? A nie boisz się, że znajdą tę teczkę?

- A co się mam bać? - zdziwił się Izia. - Heiger niech się boi... Zresztą, skoro do tej pory jej nie znaleźli, to i teraz nie znajdą. Wrzuciłem ją do studzienki, a potem przez cały czas myślałem: trafiłem czy nie... A ciebie za co pobili? Myślałem, że jesteście w dobrych stosunkach...

- To nie Fritz - odparł niechętnie Andrzej. - Po prostu nie miałem szczęścia.

Do pokoju z hałasem wszedł Kensi z kobietami - na rozpostartym płaszczu ciągnęli całą stertę listów. Za nimi, przez cały czas się wycierając, szedł Danny.

- Zdaje się, że teraz to już wszystko - powiedział. - Chyba że znowu coś wymyślicie...

- No, przesuńcie się! - zażądał Kensi.

Płaszcz położono przed kominkiem i wszyscy zaczęli rzucać listy w ogień. W kominku zahuczało. Izia wsunął zdrową rękę w różnokolorowy stos zapisanego papieru, wyciągnął jakiś list i, szczerząc się, zaczął chciwie czytać.

- Kto to powiedział, że rękopisy się nie palą? - zapytał sapiąc Danny. Usiadł przy biurku i zapalił papierosa. - Moim zdaniem palą się bardzo ładnie... Ale upał. Może byśmy okno otworzyli?

Sekretarka nagle pisnęła, zerwała się i wybiegła z pokoju, powtarzając:

- Zapomniałam, zupełnie zapomniałam!...

- Jak ona ma na imię? - pospiesznie zapytał Andrzej. - Amalia! - burknął Kensi. - Sto razy ci mówiłem... Słuchaj, dzwoniłem przed chwilą do Dupaina...

-No?

Wróciła sekretarka z pakietem notesów.

- To pana rozporządzenia, szefie - zapiszczała. - Zupełnie o nich zapomniałam. Też pewnie trzeba spalić?

- Oczywiście, Amalio - powiedział Andrzej. - Dziękuję, że sobie pani przypomniała. Niech je pani spali, Amalio... No i co z Dupainem?

- Chciałem go uprzedzić, że wszystko w porządku, że wszystkie ślady zniszczyliśmy. A on strasznie się zdziwił - jakie ślady? Czyżby on coś takiego pisał? Właśnie skończył szczegółowe doniesienie o bohaterskim szturmie na merostwo, a teraz pracuje nad szkicem: "Friedrich Heiger i naród".

- Łajza - powiedział bezbarwnie Andrzej. - A zresztą, wszyscy jesteśmy łajzy...

- Mów za siebie! - odwarknął Kensi.

- Dobra, przepraszam - powiedział Andrzej tym samym tonem. -No, może nie wszyscy. Ale większość.

Izia nagle zachichotał.

- Proszę bardzo, oto mądry człowiek! - wygłosił, potrząsając kartką. - "To oczywiste - zacytował - że tacy ludzie jak Friedrich Heiger czekają tylko na jakieś nieszczęście, na choćby krótkotrwałe, ale poważne zachwianie równowagi, żeby rozpalić emocje i na fali zamętu wypłynąć na powierzchnię..." Któż to pisze? - popatrzył na odwrotną stronę. - A, no tak! W ogień, w ogień! - Zmiał kartkę i wrzucił do kominka.

- Posłuchaj, Andrzej - zaczął Kensi. - Nie wydaje ci się, że już najwyższy czas pomyśleć o

przyszłości?

-A o czym tu myśleć - burknął Andrzej, manipulując pogrzebaczem. - Jakoś tam zawsze będzie...

-Nie mówię o naszej przeszłości! - zawołał Kensi. - Mówię o przyszłości gazety, o przyszłości Eksperymentu!...

Andrzej popatrzył na niego zdziwiony. Kensi zachowywał się tak jak zawsze. Jakby nic się nie stało. Jakby w ogóle nic się nie działo przez te ostatnie męczące miesiące. Wydawało się nawet, że jest bardziej gotowy do walki niż zazwyczaj. Że mógłby stanąć do boju choćby zaraz - w imię prawości i ideałów. Jak odciągnięty kurek. A może on rzeczywiście się nie zmienił?

- Rozmawiałeś ze swoim Nauczycielem? - zapytał Andrzej.

- Rozmawiałem - odpowiedział Kensi wyzywająco.

- No i co? - zapytał Andrzej, przewyciężając skrępowanie, które odczuwał zawsze podczas rozmowy o Nauczycielach.

- To nikogo nie dotyczy i nie ma żadnego znaczenia. Co tu Nauczyciele mają do rzeczy? Heiger też ma Nauczyciela. Każdy bandyta w Mieście ma Nauczyciela. Ale to nikomu nie przeszkadza samodzielnie myśleć.

Andrzej wyciągnął z paczki papierosa, ugniół go i mrużąc oczy od żaru, przypalił od rozpalonego pogrzebacza.

- Mam tego wszystkiego dosyć - powiedział cicho.

- Czego masz dosyć?

- Wszystkiego... Uważam, że powinniśmy stąd uciec, Kensi. Do diabła z tym wszystkim.

- Jak to - uciec? Coś ty?

- Zerwać się, póki nie jest za późno, i na bagna, do wujka Jury, jak najdalej od tego bajzlu. Eksperyment wymknął się spod kontroli i ani ja, ani ty nie możemy nic na to poradzić, a to znaczy, że nie ma się co miotać. Na bagnach przynajmniej dostaniemy broń, będziemy silni...

- Ja na żadne bagna nie pojedę! - oświadczyła nagle Selma.

- Nikt ci nawet nie proponuje - mruknął Andrzej, nie odwracając się.

- Andrzej - powiedział Kensi - przecież to dezercja.

- Dla ciebie dezercja, a dla mnie rozsądny manewr. A zresztą, jak chcesz. Zapytałeś mnie, co myślę o przyszłości, i ja ci odpowiadam: nie mam tu po co siedzieć. Redakcję i tak rozgonią, a nas wyślą do sprzątania zdechłych pawianów. Pod konwojem. W najlepszym przypadku...

- O, jeszcze jeden mądry człowiek! - zawołał z zachwytem Izia. - Posłuchajcie: "Prenumeruję waszą gazetę od dawna i popieram jej kurs pod każdym względem. Ale dlaczego przez cały czas bronicie F. Heigera? Może macie za mało informacji? Wiem z całą pewnością, że Heiger ma dossier wszystkich bardziej znaczących osobistości Miasta. Jego ludzie przeniknęli do zarządu miejskiego. Z pewnością są również w waszej gazecie. Zapewniam was, że erwistów jest więcej, niż myślicie. Wiem, że mają broń..." - Izia spojrział na nazwisko na odwrocie. - Ach, to on... "Proszę nie podawać mojego nazwiska do publicznej wiadomości..." W ogień, w ogień!

- Można by pomyśleć, że znasz wszystkich mądrych ludzi w mieście! - zawołał Andrzej.

- Nie jest ich znowu tak dużo - odparł Izia, znowu wsuwając rękę w górę papierów. - Nie mówiąc już o tym, że mądrzy ludzie rzadko pisują do gazet.

Zapanowało milczenie. Danny, zaspokoiwszy głód nikotynowy, również podszedł do kominka i zaczął do niego wrzucać całe stosy papieru.

- Niech pan rozgarnia, niech pan rozgarnia, szefie! - zawołał. -Z życiem! Niech mi pan da pogrzebacz...

- Moim zdaniem to zwykle tchórzostwo uciekać teraz z miasta -powiedziała wyzywająco Selma.

- Teraz liczy się każdy uczciwy człowiek - podchwycił Kensi. - Jeśli my odejdziemy, to kto zostanie? Chcesz oddać gazetę takim jak Dupain?

- Ty zostaniesz - powiedział ze znużeniem Andrzej. - Do gazety możesz wziąć Selmę... albo Izie.

- Dobrze znasz Heigera - przerwał mu Kensi. - Mógłbyś wykorzystać swoje wpływy.

- Nie mam żadnych wpływów - warknął Andrzej. - A jeśli nawet mam, to nie zamierzam z nich korzystać. Nie umiem i nie cierpię tego robić.

Znowu zapanowała cisza. Słychać było tylko płomień huczący w kominie.

- Żeby chociaż już przyjechali - mruczał Danny, wrzucając w ogień ostatnią paczkę listów. - Napiłby się człowiek, a tu nie ma czego...

- Tak od razu to nie przyjadą - powiedział powoli Izia. - Najpierw zadzwonią! - Wrzucił do kominka list, który czytał, i przeszedł się po gabinecie. - Pan tego, Danny, nie zna i nie rozumie. To rytuał! Procedura wypracowana w trzech krajach, wypieszczona do najdrobniejszego szczegółu, sprawdzona... Dziewczyny, jest może jeszcze coś do żarcia? - zapytał nagle.

- Już, już!... - Chuda Amalia natychmiast zerwała się z piskiem i zniknęła w przedpokoju.

- A propos - przypomniał sobie nagle Andrzej. - Gdzie jest cenzor?

- Bardzo chciał zostać - powiedział Danny. - Ale pan Ubukata wyrzucił go. Cenzor strasznie krzyczał. "Dokąd mam iść? - darł się. - Mordercy!" Musieliśmy zamknąć drzwi na zasuwę, żeby się nie wepchnął. Najpierw walił w drzwi całym ciałem, a potem stracił nadzieję i poszedł sobie... Słuchajcie, ja mimo wszystko otworzę okno. Nie wytrzymam tego upału...

Wróciła sekretarka i uśmiechając się nieśmiało bladymi, nie umalowanymi ustami, wręczyła Izi paczkę z jakimiś ciastkami.

- Mmm! - wykrzyknął Izia i od razu zaczął mlaskać.

- Bolą cię zębra? - zapytała cichutko Selma, nachylając się do ucha Andrzeja.

- Nie - odpowiedział krótko Andrzej. Podniósł się, odsunął ją i podszedł do stołu. W tym momencie zadzwonił telefon. Wszyscy odwrócili głowy i zaczęli się wpatrywać w biały aparat. Telefon dzwonił.

- No, Andrzej! - zniecierpliwził się Kensi. Andrzej podniósł słuchawkę.

- Tak.

- Redakcja "Gazety Miejskiej"? - zapytał rzeczowy głos.

- Tak - odpowiedział Andrzej.

- Poproszą z panem Woroninem.

- Przy telefonie.

W słuchawkę ktoś zaczął dyszeć, po czym rozległ się sygnał: "zajęte". Andrzejowi waliło serce. Ostrożnie odłożył słuchawkę.

- To oni - powiedział.

Izia zawarczał coś niezrozumiałego, z wściekłością kiwając głową. Andrzej usiadł. Wszyscy patrzyli na niego - nienaturalnie uśmiechnięty Danny, zasepiony i nastroszony Kensi, przestraszona Amalia i blada, skupiona Selma. Izia też na niego patrzył, żując, szczerząc się i wycierając tłuste palce o poły kurtki.

- No i co się tak gapicie? - zdenerwował się Andrzej. - Zjeżdżajcie stąd wszyscy.

Nikt się nie ruszył.

- Co się denerwujesz? - Izia oglądał ostatnie ciastko. - Wszystko się załatwi cicho i spokojnie, jak mówi wujek Jura. Cicho i spokojnie, uczciwie i jak należy... Tylko nie wolno robić gwałtownych ruchów. Tak jak z kobrą...

Za oknem dał się słyszeć warkot silnika i pisk hamulców. Przenikliwy głos zakomenderował:

“Kaise, Weliczenko, za mną! Mirowicz, zostaniesz pod drzwiami!...” W drzwi na dole ktoś załomotał.

- Pójdę otworzyć - powiedział Danny, a Kensi podskoczył do kominka i z całych sił zaczął rozcierać stertę dymiącego popiołu. Sadza poleciała na cały pokój.

- Niech pan nie robi gwałtownych ruchów! - krzyknął Izia w ślad za Dannym.

Drzwi na dole drżały od wstrząsów i żałośnie pobrzękiwały szybami. Andrzej wstał, założył ręce za plecy, zacisnął je z całych sił i stanął na środku pokoju. Udręczony, z trudem trzymał się na nogach. Stuk i łomot na dole ucichły, słychać było niezadowolone głosy, potem tupot dziesiątek nóg w pustych pomieszczeniach. “Jakby tam był cały batalion” - przemknęło Andrzejowi przez głowę. Cofnął się i oparł tyłkiem o biurko. Nieprzyjemnie drżały mu kolana. Nie dam się uderzyć, pomyślał z determinacją. Już lepiej niech mnie zabiją. Nie wziąłem pistoletu... Szkoda. A może i dobrze?

Do pokoju, przez drzwi dokładnie naprzeciwko niego, zdecydowanym krokiem wszedł grubawy, niewysoki człowiek w porządnym palcie z białymi opaskami na rękawach i w ogromnym berecie z jakimś znaczkiem. Na nogach miał wspaniale wyczyszczone buty. Palto było luźno i brzydko przepasane szerokim rzemieniem, na którym ciężko zwisała nowiutka żółta kabura. Za nim wdarli się jeszcze jacyś ludzie, ale Andrzej ich nie widział. Jak zaczarowany patrzył w obrzmiałą, bladą twarz o rozmytych rysach i malutkich, kaprawych oczkach. Zapalenie spojówek czy co, pojawiła się myśl na samej krawędzi świadomości. I ogolony tak, że prawie się błyszczy, jak polakierowany...

Człowiek w berecie szybko rozejrzał się po pokoju i utkwiał wzrok w Andrzeju.

- Pan Woronin? - wygłosił przenikliwym, wysokim głosem z intonacją pytającą.

- To ja - z trudem wydusił z siebie Andrzej, obie ręce zaciskając na brzegu stołu.

- Redaktor naczelny “Gazety Miejskiej”?

- Tak.

Człowiek w berecie umiejętnie, ale niedbale zasalutował.

- Mam zaszczyt, panie Woronin - oznajmił z patosem - wręczyć panu osobiste posłanie prezydenta Friedricha Heigera!

Najwidoczniej miał zamiar zręcznym ruchem wyciągnąć osobiste posłanie zza pazuchy, ale coś tam się o coś zaczepiło i był zmuszony dosyć długo grzebać w czeluściach palta, lekko przechylając się w prawą stronę z takim wyrazem twarzy, jakby go coś gryzło. Andrzej patrzył na niego jak skazaniec i nic nie rozumiał - wszystko było jakoś nie tak, jak powinno. Nie tego się spodziewał. A może się uda, pomyślał, ale od razu zabobonnie odpędził tę myśl.

W końcu posłanie zostało wyjęte i człowiek w berecie podał je Andrzejowi. Wyglądał przy tym na niezadowolonego i obrażonego. To była zwyczajna koperta, długa, błękitna, ze stylizowanym wizerunkiem serca ozdobionego ptasimi skrzydełkami. Znajomym, wyraźnym charakterem pisma napisano: “Redaktorowi naczelnemu «Gazety Miejskiej» Andrzejowi Woroninowi do rąk własnych, tajne. F. Heiger, prezydent”. Andrzej rozerwał kopertę i wyjął zwykłą kartkę papieru pocztowego z niebieskim brzegiem.

“Drogi Andrzeju! Przede wszystkim pozwól, że podziękuję ci za pomoc i wsparcie, które czułem ze strony twojej gazety w ciągu kilku ostatnich, decydujących miesięcy. Teraz, jak widzisz, sytuacja diametralnie się zmieniła. Jestem pewien, że nowa terminologia i niektóre konieczne ekscesy nie zmylą cię: słowa i środki się zmieniły, ale cele pozostały te same. Bierz gazetę w swoje ręce - zostałeś mianowany jej stałym, pełnomocnym redaktorem naczelnym i wydawcą. Dobierz sobie pracowników, zwiększ etaty, żądaj nowych mocy drukarskich - daję ci pełną carte blanche. Człowiek, który wręczy ci ten list - młodszy adiutor Rajmund Cwirik - będzie w twojej gazecie pełnił obowiązki politycznego przedstawiciela mojego wydziału informacji. Jak sam się przekonasz,

nie jest zbyt inteligentny, ale zna swoją pracę i, zwłaszcza na początku, pomoże ci wejść w sprawy wielkiej polityki. W przypadku ewentualnych konfliktów zwracaj się, oczywiście, bezpośrednio do mnie. Życzę powodzenia. Pokażemy tym mazgajowatym liberałom, jak należy pracować. Pozdrawiam, twój przyjaciel Fritz".

Andrzej przeczytał osobiste tajne posłanie dwukrotnie, potem opuścił rękę z listem i rozejrzał się. Znowu wszyscy na niego patrzyli - bladzi, zdecydowani, napięci. Tylko Izia promieniał jak wiosenne słońce i ukradkiem udawał, że wymierza komuś kopniaki. Młodszy adiutor (co to mogło, do licha, znaczyć, brzmi jakoś znajomo... adiutor, koadiutor... coś z historii... albo z *Trzech muszkieterów*) a więc młodszy adiutor Rajmund Cwirik też na niego patrzył - srogo, ale protekcyjnie. A pod drzwiami przestępowały z nogi na nogę i też na niego patrzyły jakieś typy z karabinami i białymi opaskami na rękawach.

- Tak... - odezwał się Andrzej, składając list i chowając go do koperty. Nie wiedział, od czego zacząć.

Wobec tego inicjatywę przejął młodszy adiutor.

- To pańscy współpracownicy, panie Woronin? - zapytał rzeczowo, wskazując zebranych ręką.

- Tak.

- Hmm... - wyraził wątpliwość pan Rajmund Cwirik, wpatrując się w Izie. W tym momencie Kensi ostro zapytał:

- A kim pan właściwie jest?

Pan Rajmund Cwirik spojrział na niego, a potem zdziwiony odwrócił się do Andrzeja. Andrzej zakaszłał.

- Panowie - powiedział. - Pozwólcie, że wam przedstawię: pan Cwirik, młodszy koadiutor...

- Adiutor! - poprawił go niezadowolony Cwirik.

- Co? Ach, tak, adiutor. Nie koadiutor, po prostu adiutor. (Selma nagle ni z tego, ni z owego parsknęła śmiechem i zatkała sobie usta ręką). Młodszy adiutor, przedstawiciel polityczny w naszej gazecie. Od dzisiaj.

- Przedstawiciel czego? - zapytał nieprzejednany Kensi.

Andrzej chciał sięgnąć do koperty, ale Cwirik, coraz bardziej niezadowolony, zawołał:

- Przedstawiciel polityczny wydziału informacji!

- Pańskie dokumenty! - rzucił ostro Kensi.

- Co takiego?! - kaprawe oczka pana Cwirika zamrugały w oburzeniu.

- Dokumenty, pełnomocnictwo - ma pan coś oprócz tej swojej idiotycznej kabury?

- Kto to jest?! - krzyknął przenikliwie pan Cwirik, zwracając się do Andrzeja. - Kim jest ten człowiek?!

- To pan Kensi Ubukata - wyjaśnił cierpliwie Andrzej. - Zastępca redaktora naczelnego... Kensi, żadne pełnomocnictwa nie są potrzebne. Przecież on przekazał mi list od Fritza...

- Od jakiego znowu Fritza? - zapytał pogardliwie Kensi. - Co ma do rzeczy jakiś Fritz?

- Gwałtownych ruchów! - zawołał Izia. - Błagam was, nie róbcie gwałtownych ruchów!

Cwirik patrzył to na Izie, to na Kensięgo. Jego twarz już nie błyszczała, powoli stawała się purpurowa.

- Widzą, panie Woronin - wyjaśnił wreszcie - że pańscy współpracownicy nie do końca zdali sobie sprawę, co właściwie się dzisiaj wydarzyło! Albo może przeciwnie! - Podniósł głos. - Wiedzą, ale źle to zrozumieli! Widzę tutaj spalony papier, widzę ponure twarze, a nie widzę żadnej gotowości przystąpienia do pracy! I to teraz, gdy całe Miasto, cały nasz naród...

- A tamci to kto? - przerwał mu Kensi, wskazując na typów z karabinami. - Może też nowi

pracownicy?

- Niech pan sobie wyobrazi, że tak, panie były zastępczo redaktora naczelnego! To nowi pracownicy. Nie mogę obiecać, że...

- Jeszcze zobaczymy - obcym, skrzypiącym tonem wyjaśnił Kensi, podchodząc do Cwirika. - Na jakiej podstawie...

- Kensi! - zawołał bezradnie Andrzej.

- Na jakiej podstawie pan się tu rządzi? - ciągnął Kensi, nie zwracając na Andrzeja uwagi. - Kim pan jest? Jak pan śmie tak się zachowywać? Czemu nie okazał pan dokumentów? Jesteście zwykłymi uzbrojonymi bandytami, którzy wtargnęli tutaj w celach rabunkowych! ...

- Zamknij się, ty żółta dupo! - wrzasnął dziko Cwirik, chwytając za kaburę.

Andrzej rzucił się do przodu, żeby ich rozdzielić, ale ktoś pchnął go w ramię i przed Cwirikiem pojawiła się Selma.

- Jak śmiesz wyrażać się w ten sposób przy kobietach, bydlaku! - wrzasnęła. - Łajzo, tłusta dupo! Bandyto!

Andrzej zupełnie stracił głowę. Cwirik, Selma i Kensi zaczęli jednocześnie przeraźliwie krzyczeć. Kątem oka Andrzej zauważył, że typy w drzwiach, spoglądając na siebie niepewnie, przygotowały karabiny. Obok nich nagle pojawił się Danny Lee, trzymając w ręku ciężki redakcyjny taboret z metalowym siedzeniem. Najstraszniej i najbardziej niesamowicie wyglądała Amalia, która, garbiąc się drapieźnie i szczerząc drugie białe zęby, okropne w tej wydłużonej, jakby martwej twarzy, ukradkiem zbliżała się do Cwirika, trzymając w prawym ręku, jak kij golfowy, dymiący pogrzebacz...

- Ja cię, sukinsyna, zapamiętałem! - wydierał się Kensi. - Pieniądze przeznaczone dla szkół kradłeś, szmaciarzu, a teraz nagle koadiutor?!...

- Wszystkich was zgnoję! Gówno będziecie zreć! Wrogowie ludzkości!...

- Milcz skukinsynu! Milcz, pókiś cały!...

- Gwałtownych ruchów! Błagam!...

Andrzej jak zaczarowany, niezdolny do jakiegokolwiek ruchu, obserwował wznoszący się pogrzebacz. Czuł, wiedział, że za chwilę stanie się coś strasznego i nieodwracalnego, i że nie sposób temu zapobiec.

- Powiesić was trzeba! - purpurowy adiutor wrzeszczał dziko. Nie wiadomo kiedy w całym tym zamieszaniu zdążył wyciągnąć swój pistolet, którym teraz bez sensu wymachiwał. Przez cały czas przenikliwie krzyczał. Wtedy Kensi podskoczył do niego i chwycił za klapy palta. Tamten zaczął odpychać go obiema rękami. Nagle padł strzał, od razu potem drugi i trzeci. Bezszelestnie mignął w powietrzu pogrzebacz. Wszyscy zamarli.

Cwirik stał pośrodku gabinetu, jego twarz szybko szarzała. Jedną ręką rozcierał bolące ramię, drugą, trzęsącą się, wyciągał przed siebie. Pistolet leżał na podłodze. Typy w drzwiach, z jednakowo rozdziawionymi ustami, stały, trzymając w rękach opuszczone karabiny.

- Ja nie chciałem... - wyjaśnił drżącym głosem Cwirik.

Z rąk Danny'go z głośnym stukiem wypadł taboret. Dopiero wtedy Andrzej zrozumiał, na co wszyscy patrzą. Wszyscy patrzyli na Kensiego, który jakoś tak dziwnie, bardzo, bardzo powoli odchyłał się do tyłu, przyciskając obie dłonie do dolnej części piersi.

- Nie chciałem... - powtórzył Cwirik płaczącym tonem. - Bóg widzi, że nie chciałem!...

Nogi ugięły się pod Kensim; miękko, niemal bezgłośnie upadł obok kominka w stertę popiołu i sadzy, i wydając niewyraźny dźwięk, z trudem podciągnął nogi pod brzuch.

Wtedy Selma krzyknęła przeraźliwie i wbiła paznokcie w tłustą, błyszczącą, brudnobiałą twarz Cwirika, a wszyscy pozostali rzucili się do leżącego, zawiśli nad nim, zasłaniając go... Potem Izia

wyprostował się, zwrócił w stronę Andrzeja nienaturalnie wykrzywioną twarz z wysoko uniesionymi brwiami i wymamrotał:

- Nie żyje... Zabity...

Rozległ się dzwonek telefonu. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, Andrzej jak we śnie wyciągnął rękę i podniósł słuchawkę.

- Andrzej? Andrzej! - to był Otto Friża. - Jesteś cały i zdrowy?

Chwała Bogu, tak się o ciebie martwiłem! No, teraz już wszystko będzie dobrze. Teraz jakby co, to Fritz nam pomoże...

Mówił coś jeszcze o kielbasie, o maśle, ale Andrzej już go nie słuchał.

Selma kucając i zasłaniając głowę rękami, zanosila się płaczem, a młodszy adiutor Rajmund Cwirik rozmazywał na poszarzałych policzkach płynącą z głębokich bruzd krew i przez cały czas powtarzał, jak zepsuty mechanizm:

- Nie chciałem. Przysięgam na Boga, nie chciałem...

CZEŚĆ 4
PAN RADCA

ROZDZIAŁ 1

Woda była letnia i obrzydliwa w smaku. Pysznic zamocowano za wysoko, nie sposób było dosięgnąć go ręką. Słaby strumień polewał wszystko, tylko nie to, co należało. Spływ zatkał się jak zwykle i na kratce pod nogami chlupała woda. To czekanie było okropne. Andrzej przysłuchiwał się: w szatni ciągle jeszcze słychać było gwar rozmów. Zdawało mu się, że wymieniono jego imię. Skrzywił się i zaczął przesuwać plecy, próbując złapać strumień na grzbiet - pośliznął się, przytrzymał szorstkiej betonowej ścianki i zaklął półgłosem. Żeby ich wszystkich cholera wzięła, nie mogli zrobić oddzielnego prysznica dla pracowników rządowych? Stercz tu teraz jak kto głupi...

Na drzwiach, na wysokości nosa ktoś wydrapał: "Popatrz w prawo". Andrzej odruchowo spojrział w prawo. Tam widniał napis: "Popatrz do tyłu". Andrzej zreflektował się. Znamy, znamy, jeszcze w szkole się tego uczyliśmy, sami pisaliśmy... Wyłączył wodę. W szatni było cicho. Ostrożnie uchylił drzwi i wyjrzał. Dzięki Bogu, wyszli...

Wyszedł spod prysznica, człapiąc po brudnych kafelkach i z obrzydzeniem podkurczając palce. Podszedł do swojego ubrania. Kątem oka zauważył w kącie jakiś ruch, przyjrzał się i dostrzegł pokryte czarnymi włosami chude pośladki. Jak zwykle: kłęczący jakiś golas na ławce i zagłąda przez szczelinę do damskiej szatni. Aż znieruchomiał, taki skupiony.

Andrzej wziął ręcznik i zaczął się wycierać. Ręcznik był taniutki, państwowy, przesiąknięty zapachem karbolu, nie wycierał wody, tylko rozmazywał japo skórze.

Goły przez cały czas się gapił. Pozycję miał nienaturalną, jak wisielec - najwidoczniej dziurę w ścianie wywiercił jakiś małolat-za nisko i niewygodnie. Po chwili najwidoczniej nie było już na co patrzeć. Golas odetchnął głośno, usiadł spuszczać nogi i zobaczył Andrzeja.

- Ubrała się - oświadczył. - Piękna kobieta.

Andrzej nic nie powiedział. Włożył spodnie i zaczął wciągać buty.

- Znowu zerwałem odcisk, proszę bardzo... - powiedział goły, oglądając swoją dłoń. - Który to już raz. - Rozłożył ręcznik i z powątpiewaniem obejrzał go z obu stron. - Nie rozumiem tego - ciągnął, wycierając głowę. - Czemu nie można przysłać tu koparki? Przecież nas wszystkich można byłoby zastąpić jedną jedyną koparką. Dłubiemy tu łopatami, jak te...

Andrzej wzruszył ramionami i burknął coś nie zrozumiałego nawet dla samego siebie.

- Co? - zapytał goły, wysuwając ucho spod ręcznika.

- Mówię, że w mieście są tylko dwie koparki - powiedział zirytowany Andrzej.

Przy prawym bucie zerwało mu się sznurowadło. Nie można już było uciec od tej rozmowy.

- No, właśnie mówię - daliby tu jedną! - odpowiedział goły, energicznie rozcierając chudziutką, włochatą pierś. - A my łopatami... Łopatą trzeba umieć pracować, a skąd, pytam się, mamy to umieć, jeśli jesteśmy z miejskiego Urzędu Planowania?

- Koparki są potrzebne gdzie indziej - warknął Andrzej. Przeklęte sznurowadło nijak nie dawało się zawiązać.

- Gdzie jest to gdzie indziej? - przyczepił się natychmiast golas z urzędu planowania. - My tu mamy, o ile wiem, Wielką Budowę. A gdzie są w takim razie koparki? Na Jeszcze Większej? Nic o takiej nie słyszałem.

No i po jaką cholere ja z tobą dyskutuję, pomyślał Andrzej ze złością. Właśnie, po jaką cholere? Trzeba było przyznać mu rację, a nie dyskutować. Przytaknąłbym mu parę razy, to by się odczepił... Nie, i tak by się nie odczepił, zacząłby rozprawiać o gołych babach - jakie to pożyteczne, tak się na nie gapić. Co za typ.

- No i czemu pan tak narzeka? - zapytał, prostując się. - Proszą nas, żebyśmy tu godzinę popracowali, a my od razu zaczynamy jęczeć, jakby nam ołówki w tyłek wsadzali... Widzicie go,

odcisk sobie zerwał! Uraz zawodowy...

Golas z Urzędu Planowania, oszołomiony, wpatrywał się w niego z otwartymi ustami. Chudy, włochaty, z podagrycznymi kolanami, sterczącym brzuszkiem...

- Przecież to dla nas! - ciągnął Andrzej, z wściekłością zapinając kołnierzyk. - Proszę nas, żebyśmy popracowali, i to nie dla kogoś tam - dla siebie! To nie, znowu niezadowoleni, znowu im nie pasuje. Przed Przewrotem pewnie gówno woził, teraz pracuje w Urzędzie Planowania, a i tak narzeka...

Włożył marynarkę i zaczął zwiijać kombinezon. Człowiek z Urzędu Planowania odezwał się w końcu, obrażony:

- O, przepraszam! Mnie chodziło o coś zupełnie innego! Miałem na myśli wyłącznie racjonalność, efektywność... Aż dziw bierze! Ja, jeśli chce pan wiedzieć, również szturmowałem merostwo!... Tylko mówię, że jeżeli mamy tu Wielką Budowę, to powinno tu być wszystko co najlepsze... I bardzo proszę na mnie nie krzyczeć!...

-Aa, co z panem gadać... - machnął ręką Andrzej i, w biegu owijając kombinezon w gazetę, wyszedł z szatni.

Selma już na niego czekała na pobliskiej ławeczce. Paliła w zadumie, patrząc w stronę wykopu, z przyzwyczajenia zakładając nogę na nogę - świeża i różowa po niedawnym prysznicu. Andrzej poczuł nieprzyjemne ukłucie na myśl, że ten włochaty debil ślinił się właśnie na jej widok. Podszedł do niej, stanął z boku i położył dłoń na jej chłodnej szyi.

- Idziemy?

Spojrzała na niego, uśmiechnęła się i otarła policzkiem o jego rękę.

- Usiądź, zapalimy - zaproponowała.

- Dobrze - zgodził się, usiadł i zapalił.

W wykopie roiło się ludzi, spod łopat leciała ziemia, na zaostrozonym metalu pobłyskiwało słońce. Wyładowane ziemią furmanki pełzły po przeciwległym stoku, przy stosie betonowych płyt czekała kolejna zmiana. Wiatr podrywał czerwony pył, przynosił fragmenty marszów z głośników zamocowanych na cementowych słupach, huśtał ogromnymi płytami z dykty z wyblakłymi hasłami: "Heiger powiedział: trzeba! Miasto odpowiedziało: zrobimy!", "Wielka budowa - to cios w złych ludzi!", "Eksperyment - ponad eksperymentatorami!"

- Otto obiecał, że dzisiaj będą dywany - powiedziała Selma.

- To dobrze - ucieszył się Andrzej. - Wybierz najlepszy. Położymy go w gościnnym.

- Myślałam, że pójdzie do twojego gabinetu. Na ścianę. Pamiętasz, mówiłam ci o tym jeszcze w zeszłym roku, jak tylko się wprowadziliśmy?...

- Do gabinetu? - powtórzył w zadumie Andrzej. Wyobraził sobie swój gabinet, dywan i broń. Prezentowało się nieźle. -Prawidłowo. Bardzo dobrze. Niech będzie do gabinetu.

- Tylko zadzwoń koniecznie do Römpera - przypomniała Selma. - Niech przyśle człowieka.

- Sama zadzwoń - odparł Andrzej. - Ja nie będę miał kiedy... A zresztą dobrze, zadzwonię. Gdzie ma ci go przysłać? Do domu?

- Nie, od razu do bazy. Przyjdiesz na obiad?

- Powiniennem. A właśnie, Izia już dawno chciał się wprosić. -No i bardzo dobrze! Zaprosz go na dzisiejszy wieczór. Już tak dawno się nie zbieraliśmy. I Wana trzeba by zaprosić, razem zMajlin...

- Uhu - mruknął Andrzej. Nie pomyślał o Wanie. - A oprócz Izi... planujesz zaprosić kogoś z naszych? - zapytał ostrożnie.

- Z naszych? Pułkownika można by zaprosić - powiedziała niepewnie Selma. - On jest w porządku... I w ogóle, jeśli mamy zamiar zapraszać kogoś z naszych, to przede wszystkim Dolfusów.

Już dwa razy u nich byliśmy, nie wypada...

- Jeśli bez żony... - zaczął Andrzej.

- Bez żony nie można.

- Wiesz co - powiedział Andrzej. - Nie dzwoń do nich na razie. Zobaczymy wieczorem. -

Doskonale zdawał sobie sprawę, że Wan i Dolfisowie nie pasują do siebie. - Może lepiej zaprosimy Czaczę?

- Genialne! - wykrzyknęła Selma. - Napuścimy go na Dolfusicę. Wszyscy będą zadowoleni. -

Wyrzuciła niedopałek. - Idziemy?

Z wykopu, kierując się pod prysznicę, wyszła, wzbijając kurz, kolejna grupa Wielkich Budowniczych - spoconych, głośnych, rozrehotanych robotników z odlewni.

- Chodźmy - powiedział Andrzej.

Idąc zapłutą, piaszczystą alejką, między dwoma rzędami cherlawych, niedawno posadzonych lip, wyszli na przystanek autobusowy, gdzie ciągle jeszcze stały dwa zapchane, obdrapane autobusy. Andrzej spojrział na zegarek: do odjazdu pozostało siedem minut. Z pierwszego autobusu zaczerwienione kobiety wypychały jakiegoś pijanego mężczyznę. Pijany wydierał się ochryple. Baby histerycznie krzyczały.

- Jedziemy z chamami czy idziemy na piechotę? - zapytał Andrzej.

-A masz czas?

- Mam. Chodź, przejdziemy się nad urwiskiem. Tam jest chłodniej.

Selma wzięła go pod rękę. Skręcili w prawo, w cień starego, otoczonego rusztowaniami czteropiętrowego domu i po wyłożonej kocimi łbami uliczce poszli w stronę urwiska.

Ta dzielnica była opuszczona, zaniedbana. Puste, obdrapane domki stały poprzekrzywiane, jezdnie zarosły trawą. Przed Przewrotem i od razu po nim lepiej było nie zapuszczać się w te okolice. Niebezpiecznie było tu to nie tylko nocą, ale również w ciągu dnia-dookoła mieściły się przytulki, meliny, mieszkali tu paserzy, profesjonalni zdobywcy złota, dające cynk złodziejom prostytutki, bimbrownicy i inni łajdacy. Potem się za nich wzięli: jednych wyłapali i wysłali na bagna - mieli robić za parobków u farmerów; innych -drobnych chuliganów - po prostu rozpędzili na cztery wiatry, kogoś tam w zamieszaniu rozstrzelali. Wszystkie znalezione tu cenne rzeczy zostały zarekwirowane i uznane za własność miasta. Osiedla opustoszały. Początkowo chodziły tędy patrole, potem je odwołano - nie były potrzebne. A ostatnio ogłoszono, że te slumsy zostaną zrównane z ziemią, a na ich miejscu, wzdłuż całego urwiska, w granicach miasta zostanie utworzona strefa parków - kompleks rozrywkowo-wypoczynkowy.

Selma i Andrzej minęli ostatnią rudę i poszli wzdłuż urwiska. Rosła tam wysoka, soczysta trawa i panował przyjemny chłód - z przepaści niosło fale wilgotnego, rześkiego powietrza. Selma kichnęła i Andrzej objął ją za ramiona. Granitowej poręczy jeszcze tutaj nie dociągnięto i Andrzej instynktownie starał się trzymać jakieś cztery, pięć metrów od krawędzi urwiska.

Nad urwiskiem każdy człowiek czuł się dziwnie, U wszystkich pojawiała się tutaj jednakowe wrażenie, że świat, jeśli patrzeć na niego z tego miejsca, dzieli się wyraźnie na dwie równe części. Na zachodzie - bezkresna niebieskozielona pustka; nie morze i nawet nie niebo, ale właśnie pustka niebieskawozielonego koloru. Niebieskozielona Nicość. Na wschodzie - nieogarnięty, wznoszący się pionowo żółty ład z wąskim paskiem uskoku, na którym ciągnęło się Miasto. Żółta Ściana. Żółty Ład absolutny.

Bezkresna Pustka na zachodzie i nie kończący się Ład na wschodzie. I nie było żadnej możliwości zrozumienia tych dwóch nieskończoności. Jedyne, co można było zrobić, to przyzwyczaić się. Ci, którzy nie mogli albo nie umieli się przyzwyczaić, starali się nie chodzić nad urwisko. Dlatego

rzadko kiedy można było kogoś tutaj spotkać. Teraz przychodziły tu tylko zakochane pary, a i to głównie nocą. Nocą w przepaści świeciło się jakieś słabe zielonkawe światło, tak jakby tam, na dole, coś spokojnie gniło przez całe wieki. Na tle tego światła doskonale była widoczna czarna, postrzępiona krawędź urwiska. Rosła tutaj wyjątkowo wysoka i miękka trawa...

- A gdy już zbudujemy sterowce - odezwała się nagle Selma - to co wtedy? Będziemy wznosić się w górę czy spuszczać nad to urwisko?

- Jakie sterowce? - zapytał z roztargnieniem Andrzej.

- Jak to jakie? - zdziwiła się Selma i Andrzej zreflektował się.

- A, aerostaty! - powiedział. - Na dół. Oczywiście, że na dół.

W przepaść.

Wśród większości mieszkańców miasta, codziennie odpracowujących swoją godzinę na Wielkiej Budowie, rozpowszechnione było przekonanie, że powstaje tam gigantyczna fabryka sterowców. Heiger uważał, że na razie należy to przekonanie podtrzymywać, niczego bezpośrednio nie potwierdzając.

- Dlaczego na dół? - zapytała Selma.

- Widzisz... Próbowaliśmy wypuszczać balony - oczywiście bez ludzi. Coś się z nimi tam na górze działo - nie wiadomo dlaczego wybuchały. Powyżej kilometra nie wzniósł się jeszcze żaden.

- A co może być tam, na dole? Jak myślisz?

Andrzej wzruszył ramionami.

- Pojęcia nie mam.

- Ech, ty, uczony! Pan radca.

Selma podniosła znaleziony w trawie kawałek starej deski z krzywym, zardzewiałym gwoździem i rzuciła w przepaść.

- Ktoś dostał w łeb.

- Nie rozrabiaj - powiedział spokojnie Andrzej.

- Taka już jestem. Zapomniałeś?

Andrzej zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów.

- Nie, nie zapomniałem. Chcesz, wrzucę cię zaraz w trawę.

- Chcę.

Andrzej rozejrzył się. Na dachu najbliższej stojącej rudery siedziało jakichś dwóch w cyklistówkach i paliło papierosy. Obok, na kupie śmieci, stał przekrzywiony, niedbale zbity trójnóg z żeliwnym ubijakiem na łańcuchu.

- Gapią się - powiedział. - Szkoda. Już ja bym ci pokazał, pani radczyni.

- Dawaj ją, czego czas marnujesz! - krzyknął przenikliwie ktoś z dachu. - Smarkacz!...

Andrzej udał, że nie słyszy.

- Idziesz prosto do domu? - zapytał.

Selma spojrzała na zegarek.

- Muszę wstąpić do fryzjera - powiedziała.

Andrzej poczuł niezrozumiały niepokój. Nagle z całą jasnością uświadomił sobie, że jest radcą, odpowiedzialnym pracownikiem osobistej kancelarii prezydenta, człowiekiem szanowanym, że ma żonę, piękną kobietę, i dom - bogaty, dostatni; że jego żona idzie właśnie do fryzjera, dlatego że wieczorem będą przyjmować gości, nie pić na umór, tylko urządzać przyjęcie, i że ci goście to nie byle kto, tylko ludzie solidni, ważni, najpotrzebniejsi w Mieście. Uświadomił sobie też nieoczekiwanie swoją dojrzałość, własne znaczenie, odpowiedzialność... Był dorosłym człowiekiem, ukształtowanym, niezależnym, głową rodziny. Był mężczyzną dojrzałym, twardo

stojącym na własnych nogach. Brakowało tylko dzieci - całą resztę już miał. Tak jak prawdziwi dorośli...

- Witam serdecznie pana radcę! - powiedział pełen szacunku głos.

Okazało się, że wyszli już z opuszczonego osiedla. Z lewej strony ciągnęła się granitowa poręcz, pod nogami leżały wzorzyste betonowe płyty, z prawej strony i przed nimi wznosił się biały masyw Szklanego Domu. Na drodze stał wyprężony, z dwoma palcami przyłożonymi do daszka przepisowej czapki, młody, porządnie ubrany Murzyn - policjant w błękitnym mundurze straży wewnętrznej.

Andrzej skinął mu w roztargnieniu i zwrócił się do Selmy:

- Przepraszam, coś mówiłaś, zamyśliłem się...

- Mówiłam, żebyś nie zapomniiał zadzwonić do Römera. Człowiek będzie mi teraz potrzebny nie tylko do dywanu, wino trzeba kupić, wódkę... Pułkownik lubi whisky, a Dolfus - piwo. Wezmę chyba od razu całą skrzynkę...

- Tak! Niech zmieniają klosz w ubikacji! - powiedział Andrzej. -A ty zrób mięso po burgundzku. Prześłać ci Amalię?

Rozstali się przy bocznej dróżce prowadzącej do Szklanego Domu. Selma poszła dalej, a Andrzej odprowadził ją (z przyjemnością) wzrokiem i skręcił w prawo do zachodniego wejścia.

Obszerny, wyłożony betonowymi płytami plac wokół budynku był pusty, tylko gdzieś tam widać było błękitne mundury straży. Pod gęstymi drzewami, okalającymi plac, jak zwykle sterczeli gapie - nowicjusze; chciwie pożerali oczami siedzibę władzy, a emeryci z laseczkami udzielali im wyjaśnień.

Przed wejściem stał już gruchot Dolfusa. Maską była jak zwykle podniesiona, z silnika sterczała obciągnięta błyszcząca chromową skórą dolna część szofera. Zaraz obok cuchnęła brudna, prosto z bagien ciężarówka, wyglądająca na farmerską - nad burtami sterczały niechlujnie czerwone niebieskie fragmenty jakiegoś mięsa. Nad mięsem latały muchy.

Właściciel ciężarówki, farmer, wyklócał się w drzwiach z ochroną. Trwało to już chyba dość długo: zdążył się pojawić dyżurny naczelnik ochrony i trzech policjantów, i jeszcze dwóch innych zmierzało w tę stronę niespiesznie z placu, wchodząc po szerokich schodach.

Farmer wydał się Andrzejowi znajomy - długi jak tyka, chudy chłop z obwisłymi wąsami. Pachniał potem, benzyną i samogonem. Andrzej pokazał swoją przepustkę i wszedł do westybuli. Zdążył jeszcze usłyszeć, że chłop domaga się rozmowy z prezydentem Heigerem, a ochrona próbuje go przekonać, że to wejście służbowe i że powinien obejść budynek dookoła i spróbować szczęścia w biurze przepustek. Kłótnia powoli nabierała mocy.

Andrzej wjechał windą na czwarte piętro i wszedł w drzwi, na której widniał czarno-złoty napis: "Osobista kancelaria prezydenta ds. nauki i techniki". Na jego widok siedzący przed wejściem kurierzy wstali i jednakowym ruchem schowali za plecami niedopałki. W białym, szerokim korytarzu oprócz nich nie było nikogo. Zza drzwi pokojów, zupełnie jak kiedyś w redakcji, dobiegały dzwonki telefonów, coś komuś dyktujące rzeczowe głosy, trzask maszyn do pisania. Kancelaria pracowała pełną parą. Andrzej otworzył drzwi z napisem "Radca A. Woronin" i wszedł do poczekalni przed swoim gabinetem.

Tutaj też wstali na jego widok: gruby, wiecznie spocony dyrektor działu geodezji Kechada, apatyczny, żałośnie wyglądający białoooki kierownik działu kadr Warejkis, wiercąca się i niespokojna podstarzała kobieta z działu finansów i nieznajomy chłopak o wyglądzie sportowca - pewnie jakiś nowy, czekający na przedstawienie panu radcy. Zza swojego stolika z maszyną do pisania szybko wyskoczyła uśmiechnięta Amelia - jego osobisty sekretarz.

- Witam, witam - powiedział głośno Andrzej, przywołując na twarz najbardziej dobroduszny z

uśmiechów. - Proszę mi wybaczyć, ale te przekłete autobusy były zapchane po dach, musiałem iść piechotą od samej budowy...

Zaczął ścisnąć dłonie: spoconą łapę Kechady, płetwę Warejkisa, garstkę suchych kości kobiety z finansowego (po jaką cholere do mnie przylazła? Czego ona może chcieć?) i żeliwną łopatę nastroszonego nowego.

- Myślę, że damę puścimy przodem... - mówił. - Madam, proszę... - to do kobiety z finansowego. - Jest coś pilnego? - to półgłosem do Amelii. - Dziękuję - wziął podany mu telefonogram i otworzył drzwi do gabinetu. - Proszę, madam, proszę...

Rozwijając po drodze telefonogram, podszedł do stołu. Patrząc na papier, wskazał kobiecie ręką fotel, potem usiadł i położył blankiety telefonogramu przed sobą.

- Słucham.

Kobieta zaczęła trajkotać. Andrzej słuchał jej uważnie, uśmiechając się kącikami ust i stukając ołówkiem w blankiet. Już po pierwszych słowach kobiety wiedział wszystko.

- Proszę mi wybaczyć - przerwał jej po półtorej minuty. - Już rozumiem. Właściwie nie mamy zwyczaju przyjmować ludzi z protekcji, jestem jednak przekonany, że w pani przypadku mamy do czynienia z pewnego rodzaju wyjątkiem. Jeśli pani córka rzeczywiście tak bardzo interesuje się kosmografią, że zajmowała się nią samodzielnie jeszcze w szkole... Proszę zadzwonić do mojego kierownika kadr. Pomówię z nim. - Wstał. - Bez wątpienia, takie ambicje u młodzieży należy wszelkimi sposobami popierać i wspomagać... - Odprowadził ją do drzwi. - To absolutnie zgodne z duchem nowych czasów. Proszę mi nie dziękować, madam, spełniłem tylko swój obowiązek. Wszystkiego dobrego.

Wrócił do biurka i przeczytał telefonogram. "Prezydent zaprasza pana radcę Woronina do swojego gabinetu na godzinę 14.00". To wszystko. Ale w jakiej sprawie? Po co? Co ze sobą wziąć? Dziwne... Najprawdopodobniej Fritz z nudów chce pogadać. Czternasta zero zero - przerwa obiadowa. Znaczy się, obiad jemy u prezydenta... Podniósł słuchawkę telefonu wewnętrznego.

- Amalio, niech pani przyśle Kechadę.

Drzwi otworzyły się i wszedł Kechada, ciągnąc za rękaw młodzika - sportowca.

- Chcę panu przedstawić, panie radco - zaczął od progu -tego oto młodego człowieka... Douglas Katcher... Jest nowy, przybył do nas dwa miesiące temu. Nie może usiedzieć na jednym miejscu.

- Cóż - roześmiał się Andrzej - wszyscy potrzebujemy zmian. Bardzo mi miło, Katcher.

Skąd pan pochodzi? Z jakich czasów?

- Dallas, w stanie Teksas - nieoczekiwanie głębokim basem odpowiedział chłopak, uśmiechając się nieśmiało. - Sześćdziesiąty trzeci rok.

- Skończył pan coś?

- Zwykły college. Potem byłem na kilku wyprawach geologicznych. Poszukiwanie nafty.

- Świetnie - powiedział Andrzej. - To właśnie to, czego potrzebujemy. - Przez chwilę bawił się ołówkiem. - Zapewne nie wie pan o tym, ale wszystkim zadajemy to pytanie: uciekł pan? Szukał przygód? A może zainteresował się pan Eksperymentem?...

Douglas Katcher zasępił się, ścisnął prawą ręką kciuk lewej i popatrzył w okno.

- Można powiedzieć, że uciekłem - powiedział tubalnym głosem.

- Zastrzelono tam u nich prezydenta - wyjaśnił Kechada, wycierając twarz chusteczką. - Właśnie w jego mieście...

- Ach, tak! - powiedział Andrzej ze zrozumieniem. - Znalazł się pan w jakiś sposób w kręgu podejrzanych?

Młody chłopak pokręcił głową. Kechada odpowiedział:

- Nie, nie o to chodzi. To długa historia. Wiązali z tym prezydentem wielkie nadzieje, uwielbiali go... jednym słowem - psychologia.

- Przeklęty kraj - odezwał się chłopak. - Nie ma już dla nich ratunku.

- Taak. - Andrzej pokiwał ze współczuciem głową. - Czy pan wie, że my nie uznajemy już Eksperymentu?

Chłopak wzruszył barczystymi ramionami.

- Mnie tam wszystko jedno. Podoba mi się tutaj. Tyle że ja nie lubię siedzieć na jednym miejscu. W mieście mi się nudzi. A mister Kechada zaproponował mi wzięcie udziału w ekspedycji...

- Na początek chcę go wysłać z grupą Sona - wyjaśnił Kechada. - Chłopak z niego silny, jakieś tam doświadczenie ma, a wie pan, jak trudno znaleźć ludzi do pracy w dżungli.

- No cóż. Bardzo się cieszę, Katcher. Podoba mi się pan. Mam nadzieję, że nie ulegnie to zmianie.

Katcher niezręcznie kiwnął głową i wstał. Kechada również się podniósł, sapiąc.

- Jeszcze jedno. - Andrzej podniósł palec. - Chcę pana uprzedzić, Katcher, że Miastu i Szklanemu Domowi zależy, żeby się pan uczył. Nie potrzebujemy zwyczajnych robotli, tych mamy pod dostatkiem. Potrzebujemy wyszkolonych kadr. Jestem przekonany, że z pana byłby wspaniały inżynier nafciarz... Jak tam z jego ilorazem, Kechada?

- Osiemdziesiąt siedem - uśmiechnął się Kechada.

- No, widzi pan... Mam pełne podstawy w pana wierzyć.

- Będę się starał - burknął Douglas Katcher i spojrzał na Kechadę.

- Z naszej strony to wszystko - oznajmił Kechada.

- Z mojej również - powiedział Andrzej. - Wszystkiego dobrego... i przyślijcie do mnie Warejkisa.

Warejkis nie wszedł, tylko jak zwykle wsuwał się do gabinetu po kawałku, co chwila spoglądając w szczelinę uchylonych drzwi. Zamknął je za sobą starannie, bezszelestnie doczłapał do stołu i usiadł. Smutek na jego twarzy był bardziej widoczny niż zazwyczaj. Kąciki ust miał opuszczone.

- Żebym nie zapomniał - odezwał się Andrzej. - Była tu ta kobieta z finansowego...

- Wiem - powiedział cicho Warejkis. - Córka.

- Tak. No więc, nie mam nic przeciwko temu.

- Do Kechady - nie wiadomo, zapytał czy stwierdził Warejkis.

- Nie, myślę, że lepiej do obliczeniowców.

- Dobrze - powiedział Warejkis, wyjmując z wewnętrznej kieszeni marynarki notes. - Instrukcja zero siedemnaście - powiedział bardzo cicho.

-Tak?

- Został zakończony kolejny konkurs - prawie zaszeptał Warejkis. - Wyłowiono ośmiu pracowników z ilorazem inteligencji niższym od wymaganych siedemdziesięciu pięciu.

- Dlaczego siedemdziesięciu pięciu? Według instrukcji dolna granica wynosi sześćdziesiąt siedem.

- Zgodnie z poprawką osobistej kancelarii prezydenta do spraw kadr - wargi Warejkisa ledwie się poruszały - dolna granica dla naukowych i technicznych pracowników osobistej kancelarii prezydenta wynosi siedemdziesiąt pięć.

- Ach tak... - Andrzej podrapał się w skroń. - Hm... No cóż, to logiczne.

- Oprócz tego - ciągnął Warejkis, - pięćoro z nich nie osiągnęło nawet sześćdziesięciu siedmiu.

Oto lista.

Andrzej wziął listę, przejrzał ją. Prawie nieznanymi imionami i nazwiskami, dwóch mężczyzn i sześć kobiet.

- Chwileczkę - zmarszczył brwi. - Amalia Torn... Przecież to moja Amalia! Co to za sztuczki?

- Pięćdziesiąt osiem - powiedział Warejkis.

- A poprzednio?

- Poprzednio mnie tu nie było.

- Przecież ona jest sekretarzem! - zawołał Andrzej. - Moim! Moim osobistym sekretarzem!

Warejkis milczał. Andrzej jeszcze raz przejrzał listę. Raszydow... to, zdaje się, geodeta... Ktoś go tam chwalił. A może narzekał na niego?... Tatiana Postnik. Operator. A, to ta z kędziorkami, z taką miłą buźką, coś tam było między nią i Kechadą... nie, to inna...

- Dobrze - powiedział. - Sprawdź to jeszcze i wtedy porozmawiamy. Dobrze by było, gdyby pan ze swojej strony wyjaśnił sprawę profesji typu operator, sekretarka... czyli tak zwanego personelu wspomagającego. Nie możemy przecież mieć w stosunku do nich takich wymagań jak do pracowników naukowych. Zatrudniamy też kurierów...

-Tak jest.

- Coś jeszcze?

- Tak. Instrukcja zero zero trzy. Andrzej zmarszczył brwi.

- Nie pamiętam.

- Propaganda Eksperymentu.

- A - powiedział Andrzej. - No?

- Systematycznie otrzymujemy sygnały na temat następujących osób.

Warejkis położył przed Andrzejem jeszcze jedną kartkę. Na liście były zaledwie trzy nazwiska. Sami mężczyźni. Wszyscy trzej - kierownicy sektorów. Głównych. Kosmografii, psychologii socjalnej i geodezji. Sullivan, Butz i Kechadą. Andrzej zabębnił palcami po liście. Co za utrapienie. Wiecznie to samo. Ale spokojnie, nie ma się co denerwować. Tego tłuka i tak nic nie ruszy, a ja będę musiał z nim dalej pracować...

- Niedobrze - powiedział. - Bardzo niedobrze. Jak sądzę, zostało to sprawdzone? Żadnych pomyłek?

- Informacja pochodzi z bardzo wielu źródeł i została niejednokrotnie potwierdzona - ciągnął bezbarwnym głosem Warejkis. - Sullivan twierdzi, że Eksperyment trwa nadal. Według niego Szklany Dom, nawet wbrew swojej woli, kontynuuje linię Eksperymentu. Twierdzi, że Przewrót jest tylko jednym z etapów Eksperymentu...

Święte słowa, pomyślał Andrzej. Izia mówi to samo, Fritzowi bardzo się to nie podoba. Tylko że Izia może, a biednemu Sullivanowi nie wolno.

- Kechadą - mówił dalej Warejkis. - Przy podwładnych zachwyca się naukowo-techniczną mocą hipotetycznych eksperymentatorów. Zaniża, znaczenie działalności prezydenta i rady prezydenckiej. Dwukrotnie porównywał tę działalność do mysiej krzątaniny w tekturowym pudełku po butach...

Andrzej słuchał, nie patrząc Warejkisowi w oczy. Na twarzy miał kamienną maskę.

- Wreszcie Butz. Wrogo wypowiada się o samym prezydencie. Po pijanemu nazwał istniejący ustrój polityczny dyktaturą przeciętności nad kretynami.

Andrzej nie wytrzymał - chrząknął. Diabeł ich ciągnie za język, pomyślał ze złością, odsuwając papier. I to ma być elita? Sami sobie krzywdę robią...

- A pan wszystko to wie - powiedział do Warejkisa. - O wszystkim panu wiadomo...

Niepotrzebnie to powiedział. Bez sensu. Warejkis z boleścią popatrzył mu prosto w twarz.

- Bardzo dobrze pan pracuje, Warejkis. Dzięki panu czuję się bezpieczny. Zapewne ta informacja - postukał paznokciem po kartce - została już przekazana dalej zwykłym kanałem?

- Zostanie to zrobione dzisiaj - odparł Warejkis. - Moim obowiązkiem było najpierw powiadomić o tym pana.

- Znakomicie - powiedział wesoło Andrzej. - Proszę przekazać to dalej. - Spiął szpilką obie kartki

i włożył je do niebieskiej teczki z napisem "Przedstawić prezydentowi". - Zobaczymy, co w tej sprawie zdecyduje nasz Römer...

- Jako że tego typu informację otrzymaliśmy nie po raz pierwszy - głos Warejkisa nie wyrażał żadnych uczuć - sędzę, że pan Römer zasugeruje zwolnienie tych ludzi z dyrektorskich stanowisk.

Andrzej popatrzył na Warejkisa, starając się zogniskować spojrzenie w pewnej odległości za jego plecami.

- Byłem wczoraj na pokazie nowego filmu - powiedział. - *Nadzy i bosi*. Zaakceptowaliśmy go, więc wkrótce wejdzie na ekrany. Niech pan go koniecznie obejrzy. Wie pan, tam jest pokazane...

Zaczął niespiesznie i szczegółowo opowiadać Warejkisowi treść tego koszmarnego gniotą, który zresztą naprawdę spodobał się, Fritzowi, w dodatku nie tylko jemu. Warejkis słuchał w milczeniu, od czasu do czasu kiwając głową w najbardziej niespodziewanych momentach jakby się reflektował. Jego twarz jak zwykle nie wyrażała niczego, prócz znużenia i bóleści. Widać było, że już dawno stracił wątek i nic nie rozumie. W kulminacyjnym momencie, gdy do Warejkisa najwidoczniej dotarło, że będzie musiał wysłuchać wszystkiego do samego końca, Andrzej przerwał, otwarcie ziewnął i powiedział dobrodusznie:

- I tak dalej, w tym stylu. Niech pan koniecznie obejrzy... A propos, jakie wrażenie wywarł na panu młody Katcher?

Warejkis zauważalnie drgnął.

- Katcher? Na razie wydaje mi się, że jest w porządku.

- Mnie też. - Andrzej podniósł słuchawkę. - Ma pan dla mnie coś jeszcze, Warejkis?

Warejkis wstał.

- Nie - odpowiedział. - To wszystko. Mogę odejść? Andrzej życzliwie kiwnął i powiedział do słuchawki:

- Amalio, kto tam jeszcze jest?

- Ellizauer, panie radco.

- Jaki Ellizauer? - zapytał Andrzej, patrząc jak Warejkis ostrożnie, po kawałku, wysuwa się z gabinetu.

- Zastępca dyrektora działu transportu. W sprawie "Akwamaryna".

- Niech poczeka. Proszę mi przynieść pocztę.

Amalia zjawiła się na progu po minucie. Przez tę minutę Andrzej, posapując, rozcierał bicepsy i robił zwroty tułowiem. Po godzinie wyteżonej pracy z łopata w rękę wszystko go przyjemnie bolało. Pomyślał z roztargnieniem, że to jednak dobra gimnastyka dla człowieka prowadzącego siedzący tryb życia.

Amalia zamknęła za sobą szczelnie drzwi i stukając po parkiecie wysokim obcasami stanęła obok niego, kładąc na stole teczkę z korespondencją. Z przyzwyczajenia objął jej wąskie, twarde biodra obciągnięte chłodnym jedwabiem i poklepał ją po udzie. Drugą ręką otworzył teczkę.

- No, co my tu mamy? - zapytał wesoło.

Amalia tajała pod jego dłonią. Przestała oddychać. Śmieszna dziewczyna i wierna jak pies. I dobra sekretarka. Spojrzał na nią. Jak zawsze w chwilach czułości, twarz miała bladą i przestraszoną. Gdy ich oczy się spotkały, niepewnie położyła mu wąską, gorącą dłoń na szyi pod uchem. Jej palce drżały.

- No co, dzieciaku? - zapytał z czułością. - Jest w tym chłampie coś ważnego? Czy zamykamy drzwi i zmieniamy pozycję?

To był ich kod, oznaczający rozrywki w fotelu i na dywanie. Andrzej nie mógłby powiedzieć, jaka jest w łóżku. Nie był z nią w łóżku ani razu.

- Projekt kosztorysu... - powiedziała słabym głosem Amalia. - Różne tam podania... no i listy prywatne, nie otwierałam ich.

- I bardzo dobrze. A może jest tam liścik od jakiejś ślicznotki...

Wypuścił ją. Słabe westchnienie.

- Posiedź chwilę - powiedział. - Nie wychodź, ja zaraz...

Wziął do ręki pierwszy z brzegu list, rozdarł kopertę, przebiegł wzrokiem i skrzywił się. Operator Jewsiejenko donosił, że jego bezpośredni przełożony Kechada "niepochlebnie wypowiada się o przełożonych, a w szczególności o panu radcy". Andrzej dobrze znał tego Jewsiejenkę. Wyjątkowo dziwny i wyjątkowo pechowy człowiek - za co się wziął, same klęski. Kiedyś rozpałił wyobraźnię Andrzeja, chwając czterdziesty drugi rok pod Leningradem. "Dobre były czasy - mówił z jakąś marzycielską nutką w głosie. - Żyjesz, o niczym nie myślisz, a jak co potrzeba, powiesz żołnierzom, zdobędą"... Do-wojował się stopnia kapitana i w ciągu całej wojny zabił jednego jedyne go człowieka - własnego oficera politycznego. Wychodzili wtedy z okrążenia, Jewsiejenko zobaczył, że politycznego złapali Niemcy i przeszukująmu kieszenie. Strzelił zza krzaków, zabił politycznego i uciekł. Bardzo był z siebie dumny: gdyby nie on, zamęczyliby człowieka na śmierć. I co z takim głupkiem zrobić? To już jego szósty donos. A przecież nie pisze do Römera czy do Warejkisa, tylko do mnie. Zabawna psychologiczna sztuczka. Gdyby napisał do Warejkisa albo do Römera, Kechada by poleciał. A ja go nie ruszę, wiem o nim wszystko, ale go nie ruszę, dlatego że go cenię i mu wybaczam, wszyscy o tym wiedzą. I wychodzi na to, że obowiązek obywatelski spełniony, a człowiekowi krzywda się nie dzieje... Co za potwór z tego Jewsiejenki, Boże drogi!...

Andrzej zmiął list, wrzucił do kosza i wziął następny. Charakter pisma na kopercie wydał mu się znajomy. Adresu nadawcy nie było. Wewnątrz koperty znalazł kartkę papieru; tekst wystukano na maszynie - to była kopia, w dodatku nie pierwsza - a pod spodem widniał odręczny dopisek. Andrzej przeczytał, nic nie zrozumiał, przeczytał jeszcze raz, zamarł i spojrzał na zegarek. Potem zerwał słuchawkę z białego telefonu i wykręcił numer.

- Radcę Römera, szybko!

- Radca Römer jest zajęty.

- Mówi radca Woronin! Powiedziałem, że to pilne!

- Proszę wybaczyć, panie radco. Radca Römer jest u prezydenta...

Andrzej trzasnął słuchawką, odepchnął osłupiałą Amalię i rzucił się do drzwi. Gdy złapał za plastikową klamkę, zrozumiał, że już jest za późno, że już i tak nie zdąży. Oczywiście, jeśli to wszystko było prawdą. Jeśli to nie kretyński dowcip...

Powoli podszedł do okna, oparł się o obitą aksamitem poręcz i popatrzył na plac. Był jak zwykle pusty. Majaczyły błękitne mundury, w cieniu pod drzewami sterczeli gapie, przekuśtykała staruszka, pchając przed sobą dziecinny wózek. Przejechał samochód. Andrzej czekał, wbijając dłonie w poręcz.

Amalia podeszła do niego od tyłu, leciutko dotknęła jego ramienia.

- Co się stało? - zapytała szeptem.

- Odejdź - powiedział, nie odwracając się. - Usiądź w fotelu.

Amalia zniknęła. Andrzej znowu popatrzył na zegarek. Minęła kolejna minuta. No pewnie, pomyślał. To nie mogło być prawdą. To tylko idiotyczna zgrywa. Albo szantaż... W tym momencie spod drzew wyłonił się jakiś człowiek i zaczął powoli iść przez plac. Z tej wysokości wydawał się bardzo mały i Andrzej nie mógł go rozpoznać. Pamiętał, że tamten był chudy i zgrabny, a ten wyglądał na ciężkiego, napęczniałego. Dopiero w ostatniej chwili Andrzej zrozumiał dlaczego. Zmrużył oczy i odsunął się od okna.

Na placu rozległ się huk - krótki i głośny. Zadrżały i zadźwięczały okna, gdzieś na dole z drażniącym brzękiem poleciały szyby, Amalia wydała z siebie stłumiony okrzyk, a na placu na dole rozległo się nieprzyjemne wycie...

Jedną ręką odsuwając Amalię, która rwała się - nie wiadomo, do niego czy do okna, Andrzej zmusił się, żeby otworzyć oczy i spojrzeć. Tam gdzie przed chwilą stał człowiek, teraz widniał zasłaniający wszystko żółtawy słup dymu. Ze wszystkich stron biegły błękitne mundury, a nieopodal, pod drzewami, szybko rósł tłum. To był koniec.

Andrzej, nie czując nóg, wrócił do stołu, usiadł i znowu wziął do ręki list.

“Do wszystkich silnych plugawego świata tego!

Nienawidzę kłamstwa, ale wasza prawda jest jeszcze gorsza kłamstwa. Zmieniliście miasto w wygodny chlew, jego mieszkańców - w syte świnię. Nie chcę być sytą świnią, ale nie chcę też być świniopasem, trzecie wyjście w waszym obmierzłym świecie nie zostało mi dane. Jesteście zadufani i nieudolni w swojej słuszości, a przecież wielu z was było kiedyś prawdziwymi ludźmi. Są wśród was i moi dawni przyjaciele. Do nich zwracam się przede wszystkim. Słowa do was nie trafiają, muszę je wzmocnić moją śmiercią. Może będzie wam wstyd, może zadrzycie, a może poczujecie się źle w waszym chlewie. To moja ostatnia nadzieja. I niech was Bóg pokarze za nudę! To nie moje słowa, ale podpisuję się pod nimi obiema rękami - Danny Lee”.

List został napisany na maszynie, przez kalkę. To była trzecia albo czwarta kopia, z odręcznym dopiskiem pod spodem:

“Drogi Woronin, żegnaj! Wybuchu dokonam dzisiaj, o trzynastej zero zero, na placu pod Szklanym Domem. Jeśli list się nie spóźni, będziesz mógł na mnie popatrzeć. Lepiej mi nie przeszkadzajcie - będą tylko niepotrzebne ofiary. Twój były przyjaciel i kierownik działu listów twojej byłej gazety - Danny”.

Andrzej podniósł oczy i zobaczył Amalię.

- Pamiętasz Danny'ego? - zapytał. - Danny Lee, kierownik działu listów w...

Amalia kiwnęła głową w milczeniu. Po chwili jej twarz wykrzywiła się przerażeniem.

- Niemożliwe! - powiedziała ochryple. - To nie może być prawda...

- Zrobił wybuch... - Andrzej z trudem poruszał wargami. - Pewnie obwiązał się dynamitem. Pod marynarką.

- Po co? - zapytała Amalia. Przygryzła wargi, jej oczy wypełniły się łzami, które zaraz pociekły po drobnej, białej twarzy i zawisły na podbródku.

- Nie rozumiem - powiedział Andrzej bezradnie. - Nic nie rozumiem... - Bezmyślnie wpatrywał się w list. - Niedawno się widzieliśmy... Kłóciliśmy się, dyskutowaliśmy... - Znowu popatrzył na Amalię. - Może przychodził do mnie w godzinach przyjęć? Może go nie przyjąłem?

Amalia zakryła twarz rękami i potrząsała głową.

Nagle Andrzej poczuł złość. A nawet nie złość, tylko wściekłe rozdrażnienie, takie samo, jak dzisiaj rano po prysznicu. Do diabła! Czego oni jeszcze chcą!? Czego im jeszcze brakuje, kanaliom!?!... Idiota! I co on udowodnił? Świnią nie chce być, świniopasem nie chce być... Nudzi mu się No i idź do diabła razem ze swoją nudą!...

- Przestań ryczeć! - wydarł się na Amalię. - Wytrzymaj nos i idź do siebie.

Odepchnął papiery, zerwał się i znowu podszedł do okna.

Na placu czerniał ogromny tłum. W jego środku była pusta, szara przestrzeń, otoczona błękitnymi mundurami, krzatali się tam ludzie w białych kitlach. Karetka włączyła syrenę, próbując utworować sobie drogę...

...No i co udowodniłeś? Że nie chcesz z nami żyć? A po co było to udowadniać i komu? Że nas

nienawidzisz? Na próżno. Robimy to, co trzeba. Nie nasza wina, że to wszystko świnie. Byli świniami, zanim przyszliśmy, i będą nimi, gdy odejdziemy. Możemy ich tylko ubrać i nakarmić, wyzwolić od zwierzęcych cierpień, a duchowych cierpień i tak nigdy nie czuli - nie mogli czuć. Tak wiele już dla nich zrobiliśmy! Wystarczy spojrzeć, jak teraz wygląda miasto. Czystość, porządek, po tamtym bajzlu nie zostało nawet wspomnienie, żarcia - do woli, ciuchów - do woli, wkrótce i rozrywek będzie do woli, dajcie nam tylko trochę czasu... I czego oni jeszcze chcą? A ty, czego ty dokonałeś? Zaraz sanitariusze zeskrobiają twoje wnętrzności z asfaltu - oto co osiągnąłeś... A my musimy pracować dalej, pchać naprzód całą tę maszynę, bo wszystko, co do tej pory osiągnęliśmy, to dopiero początek, trzeba to jeszcze zachować, a jak już zachowamy, pomnożyć... Dlatego, że na Ziemi ludzie nie mają nad sobą ani diabła, ani Boga, a tutaj - mają... Ty parszywy demokrato, narodowcu, świątobliwcu, bracie moich braci...

Ale przed oczami ciągle miał tego Danny'ego, którego pamiętał z ich ostatniego spotkania, sprzed miesiąca czy dwóch. Był wtedy jakiś taki wyschnięty, wymęczony, jakby chory, a w wygasłych, smutnych oczach czaiło się jakieś tajemnicze przerażenie. I to, co powiedział pod sam koniec ich bezładnego, bezsensownego sporu, gdy już się podniósł i rzucił na talerzyk pomięte banknoty: "Boże, no i czym się tak przechwalasz? Na ołtarz kładą żołądek... I po co? Ludzi nakarmić! I to ma być cel? W głupiej Danii nauczyli się tego wiele lat temu. Dobrze, może nie mam prawa, jak to nazywasz, walczyć tak zaciekle w imieniu wszystkich. Niechby nawet nie wszyscy, ale ja i ty dokładnie wiemy, że ludzie potrzebują czegoś innego, że prawdziwie nowego świata w ten sposób nie zbudujesz!" "A jak, do cholery jasnej, go zbudować? Jak?!" - wrzeszczał wtedy Andrzej, ale Danny machnął tylko ręką i nic więcej nie powiedział.

Zadzwoił biały telefon. Andrzej z niechęcią wrócił do stołu i podniósł słuchawkę.

- Andrzej? Mówi Heiger.

- Witaj, Fritz.

- Znałeś go?

- Tak.

- No i co o tym myślisz?

- Histeryk - wycedził Andrzej przez zęby. - Mazgaj.

Heiger przez chwilę milczał.

- Dostałeś od niego list?

- Tak.

- Dziwny człowiek - powiedział Heiger. - No dobrze. Czekam na ciebie o drugiej.

Andrzej odłożył słuchawkę. Telefon natychmiast znowu zadzwonił. Tym razem była to Selma, okropnie przerażona. Pogłoska o wybuchu dotarła już do Białego Dworu, oczywiście po drodze zniekształcono ją nie do poznania i teraz w Białym Dworze panowała panika.

- Wszystko w porządku - zapewnił Andrzej. - Ja jestem cały i Heiger jest cały, Szklany Dom też... Dzwoniłaś do Römera?

- Do jakiego Römera, do cholery? - zdenerwowała się Selma. - Bez tchu wyleciałam od fryzjera - Dolfusica się tam wdarła, biała jak kreda, tynk się sypie, a ona wyje, że był zamach na Heigera, że połowy budynku nie ma...

- Dobra, kończ - zniecierpliwiał się Andrzej. - Nie mam czasu.

- Możesz mi powiedzieć, co się stało?

- Jeden maniak... - Andrzej zreflektował się. - Jakiś bałwan niósł przez plac materiały wybuchowe i pewnie mu upadły.

- To na pewno nie był zamach? - dopytywała się uparcie Selma.

- Nie wiem! Römer się tym zajmuje, nie ja!

Przez chwilę w słuchawce słyhać było tylko jej oddech.

- Coś mi się wydaje, że kłamiesz, panie radco - powiedziała i rozłączyła się.

Andrzej obszedł stół dookoła i wyrzwał do poczekalni. Amalia siedziała na swoim miejscu - surowa, z zaciśniętymi zębami, absolutnie nieprzystępna; palce ze zwykłą szaloną szybkością latające po klawiszach, na twarzy żadnych śladów łez czy innych emocji. Andrzej patrzył na nią z czułością. Zuch baba, pomyślał. A guzik, powiedział w myśli do Warejkisa ze złośliwą satysfakcją. Prędeż ciebie stąd wyrzucę na zbity pysk... Amalię nagle ktoś zasłonił. Andrzej podniósł oczy. Na nieludzkiej wysokości majaczyła spłaszczona po bokach fizjonomia Ellizauera z działu transportu.

- A, Ellizauer... - powiedział Andrzej. - Proszę mi wybaczyć, ale dzisiaj już pana nie przyjmę. Niech pan przyjdzie jutro rano.

Ellizauer bez słowa zgiął się wpół w ukłonie i zniknął. Amalia stała w gotowości, z notatnikiem i ołówkiem.

- Panie radco?

- Niech pani wejdzie na chwilę.

Wrócił do biurka. W tej samej chwili znowu zadzwonił biały telefon.

- Woronin? - odezwał się nosowy, ochrypły głos. - Mówi Römer. No, co tam?

- Wszystko dobrze - powiedział Andrzej, gestem prosząc Amalię, żeby nie wychodziła, że zaraz skończy.

- A jak żona?

- W porządku, prosiła, żeby przekazać ci pozdrowienia. A właśnie, wyślij do niej dzisiaj dwóch z działu usług, potrzebni jej w domu...

- Dwóch? Dobra. Kiedy?

- Niech do niej zadzwonią, powie im. Najlepiej niech zadzwonią od razu.

- Dobra - powiedział Römer. - Zrobi się. Może nie od razu, ale się zrobi... Ja się tu, rozumiesz, z całym tym gównem babrzę. Oficjalną wersję znasz?

- Skąd? - zapytał gniewnie Andrzej.

- No tak. Nieszczęśliwy wypadek z materiałem wybuchowym. Podczas przenoszenia tegoż materiału. Ustalamy szczegóły.

- Jasne.

- Szedł, znaczy się, jakiś robotnik strzałowy, no i niósł ten materiał... Albo powiedzmy, gdzieś go tam wiózł... Pijany.

- Dobra, wszystko jasne - opędział się Andrzej. - Prawidłowo. Zuch.

- Aha - powiedział Römer. - No i potknął się tam, albo... no, szczegóły się ustala. Winni zostaną ukarani. Przygotowałem informację, jak ją powieła, to ci przyniosą. I jeszcze jedno. Dostałeś list, nie? Ktoś go czytał?

- Nikt.

- A sekretarka?

- Mówię ci, że nikt. Listy prywatne zawsze otwieram sam.

- Prawidłowo - pochwalił Römer. - Dobrze to urządziłeś. A u niektórych, wyobraź sobie, jest taki bajzel z listami... Czyta, kto popadnie... Znaczy się, u ciebie nikt nie czytał. To dobrze. Schowaj go porządnie, jako ściśle tajne. Zaraz do ciebie przyjdzie jeden fagas, to mu go oddasz, dobra?

- A dlaczego?

Römer zmieszał się.

- No, jak ci to powiedzieć... - wymamrotał. - Może się przydać. Znałeś go chyba, nie?

- Kogo?
- No, tego... - Romer zachichotał. - Tego robotnika... z materiałami.

- Znałem.

- No, przez telefon nie mogę, jak ten mój fagas do ciebie przyjdzie, to zada ci parę pytań.

Odpowiedz mu.

- Nie mam czasu - powiedział gniewnie Andrzej. - Fritz mnie do siebie wzywał.

- Pięć minut - zajęczał Romer. - No, co ci zależy, jak słowo... To już na dwa pytania nie możesz odpowiedzieć...

- Dobra, dobra - z niecierpliwił się Andrzej. - To wszystko?

- Już go do ciebie wysłałem, zaraz będzie. Nazywa się Cwirik. Starszy adiutor...

- Dobra, dobra, będę czekał...

- Tylko dwa pytania. Nie zajmie ci dużo czasu.

- To wszystko? - powtórzył pytanie Andrzej.

- Wszystko. Muszę jeszcze obdzwonić innych radców.

- Nie zapomnij przysłać Selmie ludzi.

- Nie zapomnę. Zapisałem sobie. Na razie. Andrzej odłożył słuchawkę i zwrócił się do Amalii:

- Pamiętaj, że nic nie widziałaś i nie słyszałaś.

Amelia popatrzyła na niego przestraszona i palcem pokazała na okno.

- Właśnie - powiedział Andrzej. - Nie znasz żadnych nazwisk i w ogóle nie wiesz, co się stało.

Drzwi się uchyliły i do gabinetu wsunęła się znajomo wyglądająca blada fizjonomia z kaprawymi oczkami.

- Chwileczkę - powiedział ostro Andrzej. - Poproszę pana.

Fizjonomia zniknęła.

- Rozumiesz? - zapytał Andrzej. - Za oknem coś huknęło, poza tym nic nie wiesz. Wersja oficjalna brzmi: szedł pijany robotnik, niósł materiał wybuchowy z magazynu, teraz szuka się winnych. -

Zamilkł i zaczął się zastanawiać. - Gdzie ja tę gębę widziałem? I nazwisko znajome... Cwirik... Cwirik...

- Dlaczego on to zrobił? - zapytała cicho Amalia. Jej oczy znowu zrobiły się podejrzanie wilgotne.

Andrzej zmarszczył brwi.

- Nie mówmy teraz o tym. Idź, zawołaj tego fagasa.

ROZDZIAŁ 2

Gdy usiedli przy stole, Heiger powiedział do Izi:

- Często się, mój Żydzie. Często się, mój miły.

- Nie jestem twoim Żydem - zaprotestował Izia, nakładając sobie na talerz sałatkę. - Sto razy ci mówiłem, że jestem swoim własnym Żydem. To jest twój Żyd - machnął widelcem w stronę Andrzeja.

- Soku pomidorowego nie ma? - zapytał zrzędlawie Andrzej, rozglądając się po stole.

- Chcesz pomidorowego? - zapytał Heiger. - Parker! Sok pomidorowy dla pana radcy!

W drzwiach jadalni pojawił się rosy, rumiany młodzieniec - osobisty adiutant prezydenta. Podszedł do stołu podzwaniając ostrogami i z lekkim ukłonem postawił przed Andrzejem spotniałą karafkę z sokiem pomidorowym.

- Dziękuję, Parker - powiedział Andrzej. - Dziękuję, sam sobie należę.

Heiger skinął głową i Parker zniknął.

- Aleś go wytresował! - zaciąmkął Izia z pełnymi ustami.

- Miły chłopak - powiedział Andrzej.

- A u Mandzuro przy obiedzie podają wódkę - oznajmił Izia.

- Kabel! - w głosie Heigera był wyrzut.

- A to dlaczego? - zdziwił się Izia.

- Jeśli Mandzuro w godzinach pracy pije wódkę, będę musiał go ukarać.

- Wszystkich nie wystrzelasz - wzruszył ramionami Izia.

- Kara śmierci została zniesiona - powiedział Heiger. - A zresztą, nie pamiętam dokładnie. Będę musiał zapytać Czaczuy...

- A co się stało z poprzednikiem Czaczuy? - zainteresował się niewinnie Izia.

- To był zwykły przypadek - oświadczył Heiger. - Wywiązała się strzelanina.

- Dobry był z niego pracownik - zauważył Andrzej. - Czaczua zna swoją robotę, ale szef!... To był fenomenalny człowiek.

- Taak, poleciało trochę głów... - powiedział Heiger w zadumie. - Byliśmy wtedy szczeniakami...

- Wszystko dobre, co się dobrze kończy - stwierdził Andrzej.

- Nic się jeszcze nie skończyło! - zaoponował Izia. - Skąd wam przyszło do głowy, że to już koniec?

- W każdym razie strzelaniny już się skończyły - warknął Andrzej.

- Prawdziwa strzelanina nawet się jeszcze nie zaczęła - oświadczył Izia. - Słuchaj, Fritz, były już na ciebie zamachy?

Fritz zmarszczył brwi.

- Co za idiotyczna myśl? Oczywiście, że nie.

- Będą - obiecał Izia.

- Dziękuję - powiedział chłodno Heiger.

- Będą zamachy - ciągnął Izia - i będzie narkotykowy boom. Będą bunty sytych. O hipisach nawet nie mówię, oni już są. Będą samobójstwa na znak protestu, samospalenia, samowybuchy... Zresztą już są.

Heiger i Andrzej spojrzeli po sobie.

- No proszę - zirytował się Andrzej. - Już wie.

- Ciekawe, skąd? - zastanowił się Heiger, wpatrując się w Izie zmrużonymi oczami.

- Co wiem? - zapytał szybko Izia. Odłożył widelec. - Czekaćcie no! A! Więc to było samobójstwo

na znak protestu? A ja tu myślę - co to za brednie? Jacyś pijani strzałowi szlajają się z dynamitem... A to takie buty! Szczerze mówiąc, myślałem, że to próba zamachu. Teraz jasne... A kto to właściwie był?

- Niejaki Danny Lee - odezwał się Heiger po chwili milczenia. - Andrzej go znał.

- Lee... - powiedział w zadumie Izia, z roztargnieniem rozcierając po klapie marynarki smugi majonezu. - Danny Lee... Poczekaj, taki chudy? Dziennikarz?

- Ty też go znałeś - przypomniał Andrzej. - Pamiętasz, u mnie w gazecie...

- Tak, tak, tak! - wykrzyknął Izia. - Zgadza się! Przypominam sobie.

- Tylko, na miłość boską, trzymaj język za zębami - poprosił Heiger.

Izia ze swoim zwykłym nieuchronnym uśmiechem zaczął szarpać brodawkę na szyi.

- Ach, więc to był on... - mamrotał. - Jasne... rozumiem... obwiązał się dynamitem i wyszedł na plac. I pewnie wysłał listy do wszystkich gazet, dziwak... taaak... I co masz zamiar teraz zrobić? - zwrócił się do Heigera.

- Już zrobiłem - odpowiedział Heiger.

- No tak, no tak! - zniecierpliwił się Izia. - Wszystko utajniłeś, spreparowałeś oficjalne kłamstwo, spuściłeś Römęra z łańcucha - ale nie o to mi chodzi.

Co ty o tym wszystkim myślisz? A może sądzisz, że to był przypadek?

- N-nie. Nie sądzę, że to był przypadek - powiedział powoli Heiger.

- Chwała Bogu! - wykrzyknął Izia.

- A ty co o tym myślisz? - zapytał go Andrzej.

Izia odwrócił się do niego szybko.

-Aty?

- Ja myślę, że w każdym normalnym społeczeństwie zdarzają się maniacy. Danny był maniakiem, bez dwóch zdań. Miał wyraźnego szmergla na punkcie filozofii. I pewnie nie on jeden...

- A co mówił? - zapytał chciwie Izia,

- Mówił, że mu się nudzi. Mówił, że nie znaleźliśmy prawdziwego celu. Mówił, że cała nasza praca nad podniesieniem poziomu życia to bzdury, które niczego nie rozwiązują. Dużo rzeczy mówił, ale przy tym nie umiał zaproponować nic sensownego. Maniak. Histeryk.

- A czego on właściwie chciał? - zapytał Heiger. Andrzej machnął ręką.

- Zwyczajne narodnickie bzdury. "Wszystko przecierpi i ułoży sobie gościniec jasny, szeroki, szczęśliwy" ...¹¹

- Nie rozumiem - powiedział Heiger.

- No, uważał, że zadanie wykształconych ludzi polega na podniesieniu narodu do swojego poziomu. Ale jak to zrobić, tego już, oczywiście, nie wiedział.

- I dlatego się, zabił?... - zapytał z powątpiewaniem Heiger.

- No przecież ci mówię, że to maniak.

- A według ciebie? - zapytał Heiger Izie.

Izia nie namyślał się nawet sekundy.

- Jeśli maniakiem można nazwać człowieka, który stara się rozwiązać nierozwiązywalny problem - to wtedy zgoda, był maniakiem. I ty - Izia wskazał palcem Heigera - tego nie zrozumiesz. Należysz do ludzi, którzy biorą się wyłącznie za dające się rozwiązać problemy.

- Załóżmy - powiedział Andrzej. - Danny był absolutnie pewien, że jego problem da się rozwiązać.

Izia opędził się od niego.

- Obaj nic nie rozumiecie - oświadczył. - Uważacie siebie za technokratów i elitę. Demokrata to

dla was przezwisko. Każdy powinien znać swoje miejsce. Pogardzacie masami i jesteście dumni ze swojej pogardy. A przecież w rzeczywistości jesteście najprawdziwszymi, stuprocentowymi niewolnikami tych mas! Wszystko, co robicie, robicie dla mas. Wszystko, nad czym łamiecie sobie głowy, potrzebne jest przede wszystkim masom. Życie dla mas. Gdyby masy zniknęły, wasze życie straciłoby sens. Jesteście żalonymi, nędznymi rzemieślnikami. I właśnie dlatego nigdy nie staniecie się maniakami. To, czego potrzeba masom, stosunkowo łatwo zdobyć. Dlatego z góry wiadomo, że wszystkie wasze zadania można rozwiązać. Nigdy nie zrozumiecie ludzi, którzy zabijają się na znak pro testu...

- Dlaczego-nie zrozumiemy? - zirytował się Andrzej. - Co tu w ogóle jest do rozumienia? To oczywiste, że robimy to, czego chce przytłaczająca większość. I my tej większości dajemy - albo staramy się dać - wszystko, prócz ptasiego mleka, którego zresztą większość wcale od nas nie żąda. Ale zawsze jest znikoma mniejszość, której potrzebne jest właśnie ptasie mleko. Mają taką, rozumiecie, idee fixe. Idée bzik. Dajcie im ptasiego mleka! I to tylko dlatego, że właśnie ptasiego mleka dostać nie można. Tak właśnie rodzą się socjalni maniacy. Co tu jest do rozumienia? A może ty rzeczywiście sądzisz, że całe to bydlę można podnieść do poziomu elity?

- Nie mówimy teraz o mnie - wyszczerzył się Izia. - Ja się za niewolnika większości, czyli za sługę narodu nie uważam. Nigdy dla niego nie pracowałem i nie sądzę, żeby moim obowiązkiem...

- Dobrze, dobrze - powiedział Heiger. - Wszyscy wiemy, że żyjesz sam dla siebie. Wróćmy do naszych samobójstw. Rozumiem z tego, że twoim zdaniem samobójstwa będą się zdarzać bez względu na to, jaką mamy politykę.

- Będą się zdarzać właśnie dlatego, że macie taką a nie inną politykę! - zawołał Izia. - I im dalej, tym gorzej. Odbieracie ludziom troskę o chleb powszedni, a niczego w zamian nie dajecie. Ludzie zaczynają się nudzić i dusić. Dlatego będą samobójstwa, narkomania, rewolucje seksualne, idiotyczne bunty z błahych powodów...

- Co ty pleciesz! - wykrzyknął Andrzej z zapalem. - Pomyśl tylko, co ty mówisz, ty zawszony eksperymentatorze! Nudno im, przygód im dajcie! I co, proponujesz, żebyśmy tworzyli sztuczne braki? Pomyśl tylko, co ci z tego wychodzi!...

- To nie mnie wychodzi. - Izia sięgnął kaleką ręką po ronderek z sosem. - To tobie tak wychodzi. A to, że nie możecie im nic dać w zamian, to fakt. Wasze wielkie budowy - to bzdura. Eksperyment ponad eksperymentatorami - bredzenie, które nikogo nie obchodzi... I przestańcie na mnie napadać, nie mówię tego po to, żeby was osądzać. Po prostu tak właśnie wygląda sytuacja. Taki jest los każdego narodnika - bez względu na to, czy stroi się on w tożę technokraty dobroczyńcy, czy próbuje utrwalić w narodzie ideały, bez których według niego naród nie może żyć... Dwie strony jednego miedziaka - orzeł i reszka. A w efekcie - albo bunt głodnych, albo bunt sytych, do wyboru. Wy wybraliście bunt sytych i chwała wam za to, czemu na mnie napadacie?

- Nie wylewaj sosu na obrus - powiedział surowo Heiger.

- Pardon... - Izia nieuważnie roztarł kałużę serwetką po obrusie. - To przecież arytmetyczna oczywistość. Niech nawet będzie tylko jeden procent niezadowolonych. Jeśli w Mieście jest milion mieszkańców, to znaczy, że dziesięć tysięcy jest niezadowolonych. Niechby nawet jedna dziesiąta procenta - tysiąc niezadowolonych. A jak ten tysiąc zacznie hałasować pod oknami! Wiadomo, nigdy nie ma całkowicie zadowolonych. Są tylko całkowicie niezadowoleni. A tak to każdemu czegoś brakuje. Ze wszystkiego, rozumiecie, zadowolony, tylko nie ma samochodu. Dlaczego? On, rozumiecie, przyzwyczał się na Ziemi do samochodu, a tutaj nic z tego, i co najważniejsze, nie ma żadnych widoków... Macie pojęcie, ilu takich jest w Mieście?

Izia przerwał i zaczął łąpczywie jeść makaron, polewając go obficie sosem.

- Smaczne tu macie żarcie - powiedział. - Z moimi dochodami tylko w Szklanym Domu mogę naprawdę podjąć...

Andrzej popatrzył, jak Izia je, zachnął się i nalał sobie soku pomidorowego. Wypił i zapalił papierosa. Co to jest, że jemu zawsze Apokalipsa wychodzi... Siedem czasów gniewu i siedem ostatnich plag... Bydło to bydło. Oczywiście, że będzie się buntować, po to właśnie trzymamy Rómera. Chociaż rzeczywiście, bunt sytych - to coś nowego, coś w rodzaju paradoksu. Zdaje się, że na Ziemi nic takiego jeszcze nie było. Przynajmniej za moich czasów. I klasycy też nic o tym nie piszą... Eee tam, bunt to bunt... Eksperyment to Eksperyment, piłka nożna to piłka nożna... Tfu!

Popatrzył na Heigera. Fritz, odchylony na oparcie fotela, z roztargnieniem, a jednocześnie starannie grzebał palcem w zębach. Andrzeja nagle poraziła prosta i straszna w swojej prostocie myśl: przecież to tylko podoficer Wehrmachtu, żołdak, dyletant, przez całe swoje życie nie przeczytał dziesięciu porządnych książek. I to on ma podejmować decyzje! Ja, swoją drogą, też mam podejmować decyzje, pomyślał.

- W naszej sytuacji - powiedział do Izi - porządny człowiek po prostu nie miał wyboru. Ludzie - kobiety, starcy, dzieci - głodowali, byli wykończeni, bali się, cierpieli... Naszym obowiązkiem było stworzenie im przyzwoitych warunków życia...

- Zgoda, zgoda - zniecierpliwiał się Izia. - Ja to wszystko rozumiem. Kierowały wami litość, miłosierdzie itede, itepe. Ale ja nie o tym. Litować się nad dziećmi i kobietami płaczącymi z głodu nie jest trudno, każdy to potrafi. A umiecie się litować nad zdrowym, sytym mężczyzną, z takim, o - pokazał - członkiem? Mężczyzną wyjąłym z nudów? Danny Lee najwidoczniej umiał, a wy? A może od razu go nahajką?

Zamilkł, bo do jadalni wszedł rumiany Parker w towarzystwie dwóch ładniutkich dziewcząt w białych fartuszkach. Sprzątnięto stół, podano kawę i bitą śmietanę. Izia od razu się nią wysmarował i zaczął oblizywać się, jak kot, po same uszy.

- A w ogóle, to wiecie, co mi się wydaje? - zamyślił się. - Jak tylko społeczeństwo rozwiąże jakiś swój problem, natychmiast pojawia się nowy problem tej samej wagi... ba, poważniejszy - ożywił się. - Stąd właśnie wynika jedna interesująca rzecz. W końcu kiedyś przed społeczeństwem pojawią się problemy tak złożone i trudne, że ludzie nie będą w stanie ich rozwiązać. I wtedy zostanie przerwany tak zwany postęp.

- Bzdury - powiedział Andrzej. - Ludzkość nie postawi przed sobą problemu, którego nie będzie umiała rozwiązać.

- Ja nie mówię o problemach, które ludzkość przed sobą stawia - sprzeciwił się Izia. - Mówię o problemach, które pojawiają się same. Ludzkość nie stawiała przed sobą problemu głodu. Po prostu głodowała...

- Ale żeście się rozpędzili! - powiedział Heiger. - Dostyc tego gadania. Tak jakby nic innego nie było do roboty, tylko mleć językiem.

- A co mamy innego do roboty? - zdziwił się Izia. - Ja, na przykład, mam teraz przerwę obiadową...

- Jak chcesz. Chciałem porozmawiać o twojej ekspedycji. Ale oczywiście możemy to odłożyć. Izia zamarł z czajniczką w ręku.

- Poczekaj - powiedział surowo. - Po co to odkładać? Nie ma takiej potrzeby, już tyle razy było odkładane...

- No, a po co tak pleciecie? - zapytał Heiger. - Uszy wędną.

- Co to za ekspedycja? - zainteresował się Andrzej. - Po archiwa?

- Wielka ekspedycja na północ! - obwieścił Izia, ale Heiger powstrzymał go gestem dużej białej

dłoni.

- To rozmowa wstępna - powiedział. - Ale decyzję o ekspedycji już podjąłem, środki zostały przyznane. Transport będzie gotowy za trzy, cztery miesiące. A teraz trzeba wytyczyć ogólne cele i nakreślić program.

- To znaczy, że ekspedycja będzie kompleksowa? - zapytał Andrzej.

- Tak. Izia dostanie swoje archiwa, a ty swoje obserwacje słońca, i co tam ci jest jeszcze potrzebne...

- Dzięki Bogu! Nareszcie!

- Ale będziecie mieli jeszcze przynajmniej jeden cel - powiedział Heiger. - Daleki zwiad. Ekspedycja powinna przeniknąć do bardzo odległych terenów na północy. Musicie iść jak najdalej, dopóki nie skończy się wam woda i paliwo. Dlatego ludzi należy wybrać w szczególny sposób, z wyjątkową starannością. Wyłącznie ochotników i wyłącznie najlepszych z nich. Nikt tak naprawdę nie wie, co może was czekać na północy. Bardzo możliwe, że oprócz szukania papierków i wpatrywania się w lunety, będziecie zmuszeni również strzelać, przedzierać się przez oblężenie i tak dalej. Dlatego w zespole będą wojskowi. Kto i ilu - to jeszcze do ustalenia...

- Im mniej, tym lepiej! - skrzywił się Andrzej. - Znam tych twoich wojskowych, nie będzie można pracować. - Z irytacją odsunął filiżankę. - I w ogóle, nie rozumiem, po co nam wojskowi. Jaka tam może być strzelanina? Przecież to pustynia, ruiny - skąd strzelanina?

- Tam, bracie, może być wszystko - powiedział wesoło Izia.

- Co to znaczy wszystko? A jeśli tam diabły urzędują - to co, mamy ze sobą zabrać popów?

- A może jednak pozwolicie mi dokończyć? - zapytał Heiger.

- Kończ - powiedział zdenerwowany Andrzej.

Zawsze to samo. Jak już spełnia się jakieś życzenie, to na takich warunkach, że już lepiej, żeby się w ogóle nie spełniało. Nie, figa z makiem. Ja tej ekspedycji panom oficerom nie oddam. Kierownik ekspedycji - Kechada. Kierownik naukowy i dowódca całej grupy. A jak nie, to idźcie do diabła, nie będzie żadnej kosmografii, i niech sobie wasi feldfeble komenderują Izia. Ekspedycja jest naukowa i dowódcą ma być naukowiec. W tym momencie przypomniał sobie, że Kechada jest politycznie niepewny, i to go tak rozżłościło, że przepuścił część tego, co mówił Heiger.

- Co, co? - drgnął.

-Pytam się, w jakiej odległości od miasta może być koniec świata?

-A dokładniej początek - dodał Izia.

Andrzej gniewnie wrzucił ramionami.

- Czy ty w ogóle czytasz moje raporty? - zapytał Heigera.

- Czytam. Pisziesz o tym, że im dalej na pomoc, tym słońce będzie bliżej horyzontu. A więc gdzieś daleko na pomocy ono siądzie na horyzoncie i w ogóle zniknie z pola widzenia. I właśnie teraz cię pytam: jak daleko jest do tego miejsca? Możesz to określić?

- Nie czytasz moich raportów - stwierdził Andrzej. - Gdybyś je czytał, wiedziałbyś, że celem całej tej ekspedycji jest wyjaśnienie, gdzie jest ów początek świata.

- To wiem - powiedział cierpliwie Heiger. - Ja pytam o wartości przybliżone. Czy możesz choćby w przybliżeniu określić tę odległość? Ile to będzie - tysiąc kilometrów? Sto tysięcy? Milion?... Określamy cel ekspedycji, rozumiesz? Jeśli ten cel znajduje się w odległości miliona kilometrów to już przestaje być celem A jeśli...

- Jasne, rozumiem. Trzeba było od razu tak mówić. A więc... Cała trudność polega na tym, że nie znamy zakrzywienia świata ani odległości od słońca. Gdybyśmy mieli możliwość obserwacji wzdłuż całej linii Miasta - rozumiesz? nie obecnego Miasta, ale od początku do końca - wtedy moglibyśmy

nazwać te wielkości. Potrzebny jest duży łuk, przynajmniej kilkaset kilometrów. A my mamy łuk długości pięćdziesięciu kilometrów. Dlatego dokładność jest taka marna.

- Podaj mi minimalną i maksymalną odległość - powiedział Heiger.

- Maksymalna - to nieskończoność, jeśli ten świat jest płaski. A minimalna - około tysiąca kilometrów.

- Darmozjady! - Heiger popatrzył na nich ze wstrętem. - Tyle forsy w was władowałem, a pożytku...

- Daj spokój - powiedział Andrzej. - Od dwóch lat namawiam cię na tę ekspedycję. Chcesz wiedzieć, na jakim świecie żyjesz - daj pieniądze, transport, ludzi. Inaczej nic z tego nie będzie. Potrzebujemy tylko pięciuset kilometrów. Zmierzymy grawitację, zmianę natężenia, zmianę wysokości...

- Dobrze - przerwał mu Heiger. - Nie mówmy teraz o tym. To szczegóły. Uświadomcie sobie tylko, że jednym z celów ekspedycji jest dotarcie na początek świata. Uświadomiliście sobie?

- Owszem - skinął głową Andrzej. - Ale po co ci to? Tego już nie wiem.

- Chcę wiedzieć, co tam jest - powiedział Heiger. - A że coś tam jest, to pewne. Coś takiego, od czego wiele może zależeć.

- Na przykład? - zapytał Andrzej.

- Na przykład Antymiaсто.

Andrzej prychnął.

- Antymiaсто... Ciągłe w nie wierzysz?

Heiger podniósł się, założył ręce za plecy i przeszedł się po jadalni.

- Wierzę, nie wierzę... - powiedział. - Muszę mieć absolutną pewność, czy ono istnieje, czy nie.

- Ja na przykład - zaczął Andrzej - już dawno doszedłem do wniosku, że Antymiaсто to wymysł starego rządu...

- Podobnie jak Czerwony Budynek - zachichotał cichutko Izia.

Andrzej nachmurzył się,

- Czerwony Budynek nie ma tu nic do rzeczy. Heiger sam mówił, że stary rząd szykował wojskową dyktaturę i że do tego było mu potrzebne zagrożenie z zewnątrz. Właśnie wasze Antymiaсто.

Heiger zatrzymał się przed nim.

- A dlaczego ty właściwie protestujesz przeciwko temu, żeby dojść do samego końca? Czyżby cię zupełnie nie interesowało, co: tam może być? Ładnych mam radców!

- Przecież tam nic nie ma! - wykrzyknął Andrzej, trochę jednak zmieszany. - Ziab, wieczna noc, pustynia lodowa... Ciemna strona księżycy, rozumiesz?

- Mam inne informacje - powiedział Heiger. - Antymiaсто istnieje. Nie ma tam żadnej pustyni lodowej, a jeśli nawet jest, to można przez nią przejść. Tam jest miasto, takie samo jak tutaj, ale co się tam dzieje - nie wiemy. Niektórzy opowiadają, że tam wszystko jest na odwrót. Gdy u nas jest dobrze, u nich źle... - przerwał i znowu?; zaczął chodzić po jadalni.

- Boże-jęknął Andrzej. - Co to za bzdury?

Spojrzał na Izie i ugryzł się w język. Izia siedział z rękami za oparciem fotela. Krawat mu się przekrzywił, a on sam promieniał i patrzył zwięcisko na Andrzeja.

- Jasne - powiedział Andrzej. - Można wiedzieć, z jakich źródeł pochodzą te informacje? - zapytał Izie.

- Cały czas z tych samych, skarbie - uśmiechnął się Izia. - Historia to wielka nauka. A w naszym mieście ma szczególnie dużo do powiedzenia. Co, oprócz wielu innych, jest zaletą naszego miasta? Z niewiadomych przyczyn nie niszczy się tu archiwów! Wojen nie ma, najazdów nie ma, a tego, co

napisane piórem, nie wyrąbiesz nawet toporem.

- Te twoje archiwa... - zirytował się Andrzej.

- A co! Niech Fritz sam powie, kto znalazł węgiel? Trzysta tysięcy ton węgla w podziemnym składzie! Może twoi geolodzy? Nie, i łaskawy panie, to Katzman znalazł. Nie wychodząc przy tym ze swojego gabinetu...

- Krótko mówiąc - powiedział Heiger, znowu siadając w swoim fotelu - nauka nauką, archiwa archiwami, ale ja chciałbym się dowiedzieć czegoś jeszcze. Po pierwsze: co jest za nami? Czy można tam żyć? Czy znajdzie się tam coś, co może się nam przydać?; Po drugie: kto tam żyje? I to na całej tej przestrzeni: od tego miejsca - postukał paznokciem w stół - do samego końca świata, czy początku, czy gdzie tam dojdziecie... Co to są za ludzie? Czy to w ogóle ludzie? Dlaczego tam są? Jak się tam znaleźli? Z czego żyją? I po trzecie: wszystko, co uda się wam dowiedzieć o Antymieście. To cel polityczny! I musisz zrozumieć, Andrzej, że to jest prawdziwy cel ekspedycji. Poprowadzisz tę ekspedycję, wyjaśnisz wszystko, o czym mówiłem, i tu, w tym pokoju, zdasz mi relację z rezultatów.

- C-co? - zapytał Andrzej.

- Zdasz relację. Tutaj. Osobiście.

- Chcesz mnie tam wysłać?

- Oczywiście! A jak myślałeś?

- Chwileczkę... - Andrzej zmieszał się. - Z jakiej racji? Nigdzie się nie wybierałem... Mam tutaj kupę spraw, komu je przekazać? I w ogóle, nie chcę nigdzie iść!

- Co to znaczy - nie chcesz? To po co mi zawracałeś głowę? Kogo mam wysłać, jak nie ciebie?

- O Boże! A kogo chcesz! Mianuj kierownikiem Kechadę... to doświadczony zwiadowca. Albo, na przykład, Butza...

Umilkł pod badawczym spojrzeniem Heigera.

- Nie mówmy lepiej ani o Kechadzie, ani o Butzu - powiedział półgłosem Heiger.

Andrzej nie wiedział, co odpowiedzieć, i zapanowała niezręczna cisza. Heiger nalał sobie zimnej kawy.

- W tym mieście - powiedział takim samym tonem - ufam dosłownie dwóm, trzem ludziom. Spośród nich na kierownika ekspedycji nadajesz się tylko ty, bo jestem pewien, że jeśli poproszę cię, żebyś doszedł do końca, dojdiesz do końca. Nie zawrócisz w pół drogi i nikomu na to nie pozwolisz. A gdy przedstawiś mi potem sprawozdanie, będę mógł w nie uwierzyć. Sprawozdaniu Izii też mógłbym uwierzyć, ale Izia jest beznadziejnym administratorem i fatalnym politykiem. Rozumiesz mnie? Wybieraj. Albo stajesz na czele ekspedycji, albo nie mamy o czym rozmawiać.

Znowu zapanowało milczenie. Izia, czując się niezręcznie, powiedział:

- Ho, ho, ho... Może powinienem Wyjść, panowie administratorzy?

- Siedź - rozkazał Heiger, nie odwracając się do niego. - Jedz ciastka.

Andrzej myślał gorączkowo. Rzucić wszystko. Selmę. Amalię. Dom. Ustabilizowane, spokojne życie... I po co mi to? Wlec sienie wiadomo dokąd. Upał. Błoto. Ohydne żarcie... Zestarzałem się, czy co? Parę lat temu przyjąłbym taką propozycję z zachwytem. A teraz nie chcę. Nie chcę zupełnie. Izia codziennie, i to w homerycznych dawkach. Wojskowi. Zabawa w koszary. I pewnie na piechotę - cały ten tysiąc kilometrów na piechotę i w dodatku z plecakiem na plecach, i to pewnie, cholera, nie z pustym... I broń. Matko Boska, może tam trzeba będzie strzelać! I po jaką cholere miałbym sterczeć pod kulami? Po cholere kozie lutnia? Po diabła wilkowi kamizelka?... Trzeba będzie wziąć ze sobą wujka Jurę, nie wierzę tym wojskowym, jak psom... Upał, odciski i smród... A na samym końcu pewnie potworny ziąb. Dobrze, że chociaż przez całą drogę słońce będzie nam świecić w plecy. I Kechadę trzeba będzie wziąć. Bez Kechady nie pójdę i koniec - co mnie obchodzi, że mu nie

wierzysz, za to z nim będę spokojny co do spraw naukowych... I tyle czasu bez kobiety - zwariuję jak nic, tak się przyzwyczailem. Ale ty mi za to zapłacisz. Podrzuć mi cywilów do działu psychologii socjalnej... i do geodezji też. Po drugie, Warejkis dostanie po łapach. I w ogóle, wszystkie te ideologiczne ograniczenia - żebym ich widział. W innych działach - proszę bardzo, inne działy mnie nie obchodzą... Przecież tam nie ma wody, do licha! Dlaczego niby całe Miasto przesuwa się na południe? Bo na północy wysychają źródła! I co, mam tę wodę nieść ze sobą? Tyle, żeby starczyło na tysiąc kilometrów?

- I co, może mam tę wodę nieść na grzbiecie? - zapytał zirytowany.

Heiger, zdumiony, uniósł brwi.

- Jaką wodę? Andrzej zreflektował się.

- No dobra, zgoda. Ale jeśli tak nalegasz na wojskowych, to pamiętaj, ja sam ich wybieram. Znając ciebie, dałbyś mi różnych bałwanów... I żadnych dodatkowych kierowników! - zawołał groźnie, podnosząc palec. - Ja jestem dowódcą!

- Ty, ty - uspokoił go Heiger. Uśmiechał się, odchylony na oparcie fotela. - Sam dobierzesz sobie wszystkich uczestników. Narzucam ci tylko jednego człowieka - Izia. Całą resztę wybierzesz sam. Zatroszcz się o dobrych mechaników, o lekarza...

- A właśnie, będę miał jakiś transport?

- Będiesz - odpowiedział Heiger. - I to porządny. Takiego jeszcze nie mieliśmy. Nic nie trzeba będzie nieść, najwyżej broń. Ale to są drobiazgi. Będziemy je jeszcze dokładnie omawiać później, jak już wybierzesz kierowników pododdziałów... Ale chcę zwrócić waszą uwagę na coś innego: na problem zachowania tajemnicy. Musicie mi to zagwarantować. Oczywiście, nie da się takiego przedsięwzięcia utrzymać w zupełnej tajemnicy. Trzeba będzie coś wymyślić - wyprawa po naftę czy coś w tym stylu. Ale o politycznych celach tej ekspedycji nie ma prawa wiedzieć nikt prócz was. Umowa stoi?

- Stoi - powiedział Andrzej z troską w głosie.

- Izia, mówię przede wszystkim do ciebie. Słyszysz?

- Uhum - odparł Izia z pełnymi ustami.

- A po co właściwie robić z tego taką tajemnicę? - zapytał Andrzej. - Co my takiego mamy zdziałać, żeby aż się z tym kryć?

- Nie rozumiesz? - skrzywił się Heiger.

- Nie rozumiem - powiedział Andrzej. - Nie widzę tu nic, co mogłoby zagrozić systemowi.

- Nie systemowi, głupku! - zawołał Heiger. - Tobie! Tobie to może zagrozić! Czy ty nie rozumiesz, że oni tak samo boją się nas, jak my ich?

- Jacy oni? Mieszkańcy twojego Antymiaasta, czy co?

- Oczywiście! Jeśli my zdecydowaliśmy się w końcu wysłać zwiad, to skąd możemy wiedzieć, że oni nie zrobili tego już dawno? Że w Mieście nie ma ich szpiegów? Nie uśmiechaj się, idioto! To nie są żarty! Wejdziecie w pułapkę i wyrzną was jak kurczęta...

- Dobra - powiedział Andrzej. - Przekonałeś mnie. Będę milczał.

Przez jakiś czas Heiger przyglądał mu się z powątpiewaniem, w końcu powiedział:

- No dobrze. Cele, jak rozumiem, są dla was jasne. Co się tyczy tajemnicy - też. To by było właściwe wszystko. Dzisiaj podpiszę rozkaz dotyczący twojej nominacji na kierownika operacji... no, powiedzmy... mmm...

- "Noc i mgła" - podpowiedział Izia, przewracając niewinnie oczami.

- Co? Nie, za długie. Powiedzmy... "Zygzak". Operacja "Zygzak". Nieźle brzmi, co? - Heiger wyciągnął z kieszeni na piersi notesik i coś w nim napisał. - Andrzej, możesz przystąpić do

przygotowań. Mam na myśli sprawy czysto naukowe. Wybierz ludzi, uściśl zadania, zamów wyposażenie... Dam twoim zamówieniom zielone światło. Kto jest twoim zastępcą?

- W kancelarii? Butz.

Heiger zmarszczył się.

- No dobra - powiedział. - Niech będzie Butz. Zwał na niego całą kancelarię, a sam zupełnie przestaw się na operację "Zygzak"... I uprzedź swojego Butza, żeby mniej trzepał językiem! - warknął nagle.

- Właśnie - podchwycił Andrzej. - Umówmy się...

- Nie, nie! - zawołał Heiger. - Nie chcę teraz o tym rozmawiać. Wiem, co chcesz mi powiedzieć! Ale ryba zaczyna gnić od głowy, panie radco, a w tej twojej kancelarii rozplenili się... do licha!

- Jakobini - podpowiedział Izia.

- Cicho bądź, Żydzie! - wrzasnął Heiger - Żeby was wszystkich diabli wzięli, gaduły jedne! Zamącili mi zupełnie... O czym to ja mówiłem?

- Że nie masz ochoty o tym rozmawiać - powiedział Izia.

Heiger popatrzył na niego nic nie rozumiejącym wzrokiem i wtedy Andrzej powiedział umyślnie bardzo spokojnym tonem:

- Bardzo cię proszę, Fritz, żebyś odgrodził moich pracowników od tych wszystkich ideologicznych głupot. Sam tych ludzi wybierałem, wierzę im, a ty, jeśli rzeczywiście chcesz mieć w Mieście naukę, to zostaw ich w spokoju.

- Dobrze, dobrze - zawarczał Fritz. - Nie mówmy o tym dzisiaj...

- Właśnie że mówmy - powiedział krótko Andrzej, rozczulając się nad samym sobą. - Znasz mnie, jestem całkowicie po twojej stronie. Proszę cię, zrozum: ci ludzie nie mogą nie zrzędzić. Tacy już są. Kto nie zrzędzi, ten nic nie jest wart. Niech zrzędzą, a ideologicznej moralności w mojej kancelarii już jakoś sam dopilnuję. Możesz być spokojny. I powiedz, proszę, naszemu drogiemu Römerowi, żeby sobie zakarbował na swoim pawianim nosie...

- A można bez ultimatów? - zapytał wyniośle Fritz.

- Można - odparł już zupełnie potulnie Andrzej. - Wszystko można. Bez ultimatów można, bez nauki można, bez ekspedycji można...

Heiger wpatrywał się w niego, oddychając głośno przez rozdęte nozdrza.

- Nie chcę teraz o tym rozmawiać! - krzyknął.

I Andrzej zrozumiał, że na dzisiaj wystarczy. Tym bardziej że na takie tematy lepiej rozmawiać w cztery oczy.

- Nie chcesz, to nie - powiedział pojednawczo. - Tak tylko chciałem.. Warejkis mi dzisiaj dał, rozumiesz... Posłuchaj, mam jeszcze jedno pytanie: ogólny ciężar ładunku, który mogę ze sobą wziąć. Przynajmniej orientacyjnie.

Heiger jeszcze przez chwilę wciągał powietrze przez nos, potem spojrzał na Izie i zagłębił się w fotelu.

- Możesz liczyć na pięć, sześć ton... możliwe, że na trochę więcej - powiedział w końcu. - Skontaktuj się z Mandzuro... Tylko pamiętaj - o prawdziwych celach ekspedycji nie wie nawet on, chociaż jest czwartą osobą w państwie. Odpowiada za transport. Od niego dowiesz się o wszystkich szczegółach.

Andrzej kiwnął głową.

- Dobrze. A z wojskowych, wiesz, kogo chcę wziąć? Pułkownika.

Heiger drgnął.

- Pułkownika? On jest najlepszy! A z kum ja tu zostanę? Na pułkowniku trzyma się cały sztab

generalny!

- No i bardzo dobrze - powiedział Andrzej. - To znaczy, że pułkownik przeprowadzi przy okazji dogłębny rekonesans. Osobiście, że tak powiem, zbada potencjalny teatr działań. Poza tym, jestem z nim w dobrych stosunkach... A właśnie, przyjaciele, dzisiaj urządzam niewielkie przyjęcie. Będzie mięso po burgundzku. Co wy na to?

Na twarz Heigera wpłynął wyraz zakłopotania.

- Hmm... Dzisiaj? Nie wiem, stary, nie mogę nic obiecać... Po prostu nie wiem. Może wpadnę na minutę.

Andrzej westchnął.

- No cóż. Tylko jeśli sam nie przyjdiesz, to nie przysyłaj zamiast siebie Römera, jak ostatnim razem. Nie zapraszam prezydenta, tylko Fritza Heigera. I nie potrzebuję oficjalnych ekwiwalentów.

- Zobaczymy, zobaczymy... - mruknął Heiger. - Jeszcze po filiżance? Mamy czas. Parker!

Rumiany Parker pojawił się na progu, nachylając głowę z idealnym przedziałkiem, wysłuchał polecenia i powiedział delikatnym głosem:

- Radca Römer czeka na pana prezydenta przy telefonie.

- O wilku mowa... - zawarczał Heiger, wstając. - Przepraszam, chłopaki, zaraz wrócę.

Wyszedł. Natychmiast pojawiły się dziewczęta w białych fartuszkach. Szybko i bezszelestnie podały kawę i zniknęły razem z Parkerem.

- No, a ty przyjdiesz? - zapytał Andrzej Izia.

- Z przyjemnością - odpowiedział Izia, pijąc kawę z poświstem i cmokaniem. - A kto będzie?

- Pułkownik będzie, Dolfusy będą, może Czaczua... A kto ci jest potrzebny?

- Szczerze mówiąc raczej nie Dolfusica.

- Nie przejmuj się, na Dolfusicę napuścimy Czaczucę...

Izia kiwnął głową, a potem nagle powiedział:

- Dawno żeśmy się nie zbierali, co?

- To prawda, stary, zajęty jestem...

- Kłamiesz jak z nut, czym ty możesz być zajęty? Siedzisz, przecierasz swoją kolekcję... Uważaj, żebyś się kiedyś przypadkiem nie zastrzelił. A, właśnie! Zdobyłem dla ciebie pistolecik. Prawdziwy Smith and Wesson. Prosto z prerii.

- Naprawdę!?

- Ale jest cały zardzewiały...

- Tylko go nie czyść! - krzyknął Andrzej, podskakując. - Przynieś taki, jaki jest, bo jeszcze zepsujesz! Maślane łapy! I to nie jest! żaden pistolecik, tylko rewolwer! Gdzie go znalazłeś?

- Gdzie było trzeba, tam znalazłem. Poczekaj, na ekspedycji tyle tego znajdziemy, że do domu nie doniesiesz...

Andrzej odstawił filiżankę z kawą. O tym aspekcie ekspedycji do tej pory nie pomyślał. Od razu poczuł niezwykły zapach - wyobraził sobie unikalną kolekcję coltów, brauningów, mauzerów, parabellum, walterów, naganów, zauerów... i jeszcze dalej, w głąb ; czasu: rewolwery Lefeaucheux i Lepage do pojedynków... ogromne abordażowe pistolety z bagnetem... wspaniałe pistolety samoróbki z Dzikiego Zachodu... wszystkie te niezwykle skarby, o których nawet nie śmiał marzyć, czytając katalog prywatnych zbiorów i milionera Brunnera, który jakimś cudem znalazł się w Mieście. Futerały, skrzynki, magazyny pełne broni... Może będzie miał szczęście i znajdzie czeską zbrojówkę... albo astrę dziewięćset, a może nawet "dziewiątkę" - mauzer zero osiem, rzadkość, marzenie... Taak...

- A min przeciwczołgowych nie zbierasz? - zapytał Izia. - Albo, powiedzmy, kolubryn?

- Nie. - Andrzej uśmiechnął się radośnie. - Tylko osobistą broń strzelecką...

- Bo proponują mi bazukę. Nawet niedrogą, chcą dwieście tugrików wszystkiego.

- Z bazukami to idź do Römera - zaproponował Andrzej.

- Dziękuję. U Römera już byłem - powiedział Izia i uśmiech zamarł mu na ustach.

Cholera, pomyślał Andrzej, ale chlapnąłem. Na szczęście w tym momencie wrócił Heiger. Był zadowolony.

- No, nalejcie filiżankę prezydentowi - powiedział. - O czym gadaliście?

- O literaturze i sztuce - odparł Izia.

- O literaturze? - Heiger wypił łyk kawy. - No proszę! I co tam moi radcy mówią o literaturze?

- Głupoty gada - zniecierpliwiał się Andrzej. - Mówiliśmy o mojej kolekcji, a nie o literaturze.

- A coś się tak nagle zainteresował literaturą? - zapytał Izia, patrząc z ciekawością na Heigera. -

Zawsze był z ciebie taki praktyczny prezydent...

- Właśnie dlatego mnie zainteresowała - powiedział Heiger. - Policzcie - zaproponował i zaczął zaginać palce. - W Mieście wychodzą dwa czasopisma literackie, cztery literackie dodatki do gazet, co najmniej dziesięć seryjnych wydań przygodowych bzdur... no, to chyba wszystko. I jeszcze z kilkanaście książek na rok. A przy tym ani jednej pozycji na chociażby przyzwoitym poziomie. Rozmawiałem z ludźmi, którzy mają o tym pojęcie. Ani przed Przewrotem, ani potem w Mieście nie pojawiło się nawet jedno wartościowe dzieło. Sama makulatura. Dlaczego?

Izia i Andrzej popatrzyli na siebie. Tak, Heiger zawsze umiał zaskoczyć, nie ma co.

- Mimo wszystko czegoś tu nie rozumiem - powiedział Izia do Heigera. - Co cię to właściwie obchodzi? Szukasz pisarza, który napisałby twoją biografię?

- Możesz być poważny? - zapytał cierpliwie Heiger. - W Mieście jest milion mieszkańców, z czego ponad tysiąc to literaci. I same beztalencia. To znaczy, ja, oczywiście, nie czytałem...

- Beztalencia, beztalencia - machnął ręką Izia. - Zostałeś dobrze poinformowany.

Żadnych Dostojewskich ani Tołstojów nie widać. Ani Lwów, ani nawet Aleksych...

- No właśnie, i dlaczego? - zapytał Andrzej.

- Utalentowanych pisarzy brak - ciągnął Heiger. - Malarzy brak. Kompozytorów - brak. Tych... rzeźbiarzy też brak.

- Architektów brak - podchwycił Andrzej. - Reżyserów brak...

- Nic! - zawołał Heiger. - Na milion mieszkańców! Najpierw mnie to zdziwiło, a potem, szczerze mówiąc, zaniepokoiło.

- Dlaczego? - zapytał natychmiast Izia.

Heiger zawahał się.

- Trudno to wyjaśnić - przyznał się. - Osobiście nie wiem, po co to jest potrzebne, ale słyszałem, że w każdym porządnym społeczeństwie to wszystko jest. A skoro u nas nie ma, to znaczy, że coś jest nie tak... Powiedzmy, że przed Przewrotem życie w Mieście było ciężkie, że był burdel i ludzie mieli na głowie ważniejsze sprawy niż sztuka. Ale teraz życie tak jakby zaczęło się układać...

- Nie - przerwał mu zamyślony Andrzej. - To nie ma nic do rzeczy. O ile wiem, mistrzowie światowej sławy pracowali właśnie w warunkach totalnego bajzlu. Na to ma nie reguły. Mistrz mógł być nędzarzem, wariatem, pijakiem, a mógł być też człowiekiem zamożnym, jak na przykład Turgieniew. Nie wiem.

- W każdym bać razie -. powiedział Izia do Heigera - jeśli masz zamiar na przykład ostro podnieść poziom życia swoich literatów...

- Tak! Na przykład! - Heiger znowu upił kawy i oblizując wargi popatrzył na Izie zmrużonymi oczami.

- To nic z tego nie wyjdzie - ciągnął Izia, nie wiadomo dlaczego zadowolony. - Żadnych szans!

- Poczekajcie - powiedział Andrzej. - A może utalentowani twórcy po prostu nie trafiają do Miasta? Nie zgadzają się tutaj przyjść?

- Albo, powiedzmy, nikt im tego nie proponuje - dodał Izia.

- Dajcie spokój - powiedział Heiger. - Pięćdziesiąt procent ludności w Mieście to młodzież. Na Ziemi nie znaczyli nic. Jak można było ustalić, czy mają talent czy nie?

- A może właśnie da się to jakoś ustalić - zastanowił się Izia.

- Powiedzmy - powiedział Heiger. - W Mieście jest kilkadziesiąt tysięcy osób, które urodziły się i wyrosły tutaj. Co z nimi? A może talent to sprawa genów?

- Właśnie, to rzeczywiście dziwne - stwierdził Andrzej. - Inżynierów mamy wspaniałych. Naukowców też nie najgorszych, może nie Mendelejewów, ale na światowym poziomie. Weźmy chociażby tego Butza... Utalentowanych ludzi nie brakuje - wynalazcy, administratorzy, rzemieślnicy... i w ogóle wszelkiego rodzaju specjaliści.

- Otóż to - powiedział Heiger. - To właśnie mnie dziwi.

- Posłuchaj, Fritz - zaczął Izia. - Po co ci dodatkowe kłopoty? Pojawiają się genialni pisarze, zaczną cię obsmarowywać w swoich genialnych utworach - i ciebie, i twoje porządki, i twoich radców... I wyjdą z tego paskudne nieprzyjemności. Najpierw będziesz ich przekonywać, potem im grozić, potem zaczniesz aresztować...

- Dlaczego koniecznie musieliby mnie obsmarowywać? - oburzył się Heiger. - A może właśnie zechcą mnie wychwalać?

- Nie - pokręcił głową Izia. - Nie zechcą. Andrzej ci to dzisiaj tłumaczył na przykładzie uczonych. Wielcy pisarze też zawsze zrzędzą. To ich stan normalny - są przecież chorym sumieniem narodu, którego istnienia samo społeczeństwo często nawet nie podejrzewa. A skoro symbolem społeczeństwa w danym przypadku jesteś ty, ciebie obrzucą błotem w pierwszej kolejności... - Izia zachichotał. - Wyobrażam sobie, jak rozprawiliby się z twoim Römerem!

Heiger wzruszył ramionami.

- Oczywiście, jeśli Römer ma wady, to prawdziwy pisarz powinien o nich napisać. Po to właśnie jest pisarzem, żeby przecinać wrzody.

- Jeszcze nigdy pisarze nie przecinali żadnych wrzodów - zaprotestował Izia. - Chore sumienie narodu jest po prostu chore, i tyle...

- Ale w końcu nie o to chodzi - przerwał mu Heiger. - Odpowiedz mi po prostu: czy uważasz obecną sytuację za normalną, czy nie?

- A co jest normą? - zapytał Izia. - Czy sytuację na Ziemi można uznać za normalną?

- Nie zaczynaj! - skrzywił się Andrzej. - Pytanie było proste: czy może istnieć społeczeństwo bez twórców? Dobrze cię zrozumiałem, Fritz?

- Uściślę moje pytanie jeszcze bardziej - dodał Heiger. - Czy to normalne, żeby milionowe społeczeństwo - wszystko jedno, czy tutaj, czy na Ziemi - przez dziesiątki lat nie wydało ani jednego utalentowanego człowieka?

Izia milczał, z roztargnieniem szczypiąc brodawkę. Andrzej powiedział:

- Jeśli sądzić po starożytnej Grecji, to bardzo nienormalne.

- W takim razie dlaczego tak jest? - zapytał Heiger.

- Eksperyment to Eksperyment - powiedział Izia. - Ale jeśli sądzić po Mongołach, to z nami wszystko w porządku.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał podejrzliwie Heiger.

- Nic takiego - zdziwił się Izia. - Po prostu ich też jest milion, a może nawet więcej. Jako przykład można by jeszcze wziąć, powiedzmy, Koreańczyków... albo prawie każdy arabski kraj...

- Weź jeszcze Cyganów - mruknął niezadowolony Fritz.

Andrzej ożywił się.

- A właśnie, chłopaki - zapytał. - Czy w mieście są Cyganie?

- A żeby was! - zawołał gniewnie Heiger. - Z wami w ogóle nie można poważnie porozmawiać...

Chciał coś jeszcze dodać, ale w tym momencie na progu pojawił się rumiany Parker i Heiger spojrzeli na zegarek.

- Dostyc tego - powiedział wstając. - Zagadaliśmy się - westchnął i zaczął zapinać trenz. - Panowie radcy! Na miejsca! Na miejsca!

ROZDZIAŁ 3

Otto Friza nie kłamał: dywan rzeczywiście był wspaniały. Czarno-purpurowy, o głębokich, szlachetnych odcieniach, zajął całą lewą ścianę w gabinecie, naprzeciwko okien. Gabinet zaczął teraz zupełnie inaczej wyglądać. To było diabelnie piękne, eleganckie, znaczące.

Andrzej, zachwycony, cmoknął Selmę w policzek. Poszła z powrotem do kuchni, żeby przypilnować służby, a on przechadzał się po gabinecie, przyglądając się dywanowi ze wszystkich stron. Patrzył wprost, oglądał go z boku i z ukosa. Potem otworzył swoją bezcenną szafę i wyciągnął stamtąd okazały mauzer. To było jego ulubione, dziesięcionabojowe monstrum, które narodziło się w dziale specjalnym fabryki w Mauzerwerke. W czasie wojny ojczyźnianej osławiona broń komisarzy w zakurzonych hełmach oraz japońskich imperatorskich oficerów w płaszczach z kołnierkami z psiego filtra.

Mauzer był starannie wyczyszczony, jego oksydowana stal lśniła. Wrażenie pełnej gotowości bojowej psuła zeszlifowana iglica. Andrzej potrzymał go chwilę w dwóch rękach, potem złapał za okrągłą, wyłobioną rękojeść, opuścił, a następnie podniósł do oczu i wycelował w pień jabłoni za oknem, tak jak Heiger na strzelnicy.

Potem odwrócił się w stronę dywanu i przez chwilę wybierał na nim miejsce. Znalazł je szybko. Zdjął pantofle, włożył na sofę i przyłożył mauzer do wybranego punktu. Przyciskając go jedną ręką do ściany, odchylił się jak mógł najdalej i popatrzył. Wspaniale. Zeskoczył na podłogę, w samych skarpetkach wyleciał do przedpokoju, wyciągnął skrzynkę z narzędziami i wrócił pod dywan.

Powiesił mauzer, potem lugier z celownikiem optycznym (z tego lugra w ostatni dzień Przewrotu Ciota zastrzelił dwóch milicjantów)! i właśnie próbował powiesić brauning, model z tysiąc dziewięćset! szóstego roku - malutki, prawie kwadratowy - gdy usłyszał za plecami znajomy głos:

- Bardziej na prawo, Andrzej. I o centymetr niżej.

- Tak? - zapytał Andrzej, nie odwracając się.

- Tak.

Andrzej zamocował brauning, tyłem zeskoczył z sofy i cofnął się aż do stołu, żeby przyjrzeć się swojemu dziełu.

- Ładnie - pochwalił Nauczyciel.

- Ładnie, ale za mało - westchnął Andrzej.

Nauczyciel, stąpając bezszelestnie, podszedł do szafy, przykucnął, poszperał i wyjął wojskowy nagan.

- A ten? - zapytał.

- Nie ma drewnianka przy rękojeści - powiedział ze smutkiem j Andrzej. - Ciągle mam zamiar zamówić i ciągle zapominam... - włożył pantofle, przysiadł na parapecie obok stołu i zapalił. - Na górze będę miał broń do pojedynków. Pierwsza połowa dziewiętnastego wieku. Można spotkać przepiękne egzemplarze, ze srebrną inkrustacją, o najdziwniejszych kształtach - od takich malutkich do • ogromnych, z długą lufą...

- Lepage - powiedział Nauczyciel.

- Nie, rewolwery Lepage są akurat małe. A na dole, nad samą sofą, zawieszę broń z siedemnastego i osiemnastego wieku...

Zamilkł, wyobrażając sobie, jak pięknie będzie to wyglądać. Nauczyciel, ciągle kucając, grzebał w szafie. Za oknem niedaleko warczała kosiarka do strzyżenia trawników. Ćwierkały ptaki.

- To był dobry pomysł, żeby powiesić tu dywan, prawda? - zapytał Andrzej.

- Wspaniały - powiedział Nauczyciel, podnosząc się. Wyjął z kieszeni chusteczkę i wytarł ręce. -

Tylko lampę postawiłbym w tamtym kącie, obok telefonu. I telefon powinien być biały.

- Biały mi nie przysługuje - westchnął Andrzej.
- To nic. Wrócisz z ekspedycji, dostaniesz biały.
- A więc to dobrze, że zgodziłem się pójść?

- A co, miałeś wątpliwości?

- Tak. - Andrzej zgasił niedopałek w popielniczce. - Po pierwsze, nie chciało mi się. Po prostu. W domu mi dobrze, życie mam spokojne, pracy dużo. A po drugie, szczerze mówiąc, trochę się bałem.

- No, no - powiedział Nauczyciel.

- Naprawdę. A pan, czy może mi pan powiedzieć, co mnie tam czeka? No, widzi pan! Niepewność... Kilkanaście strasznych Iziowych legend i zupełna niepewność. Plus wszystkie uroki wędrownego życia. Znam ja te ekspedycje! I w archeologicznych brałem udział, i we wszystkich innych...

Tak jak się spodziewał, Nauczyciel zainteresował się:

- A w tych ekspedycjach... jak by to powiedzieć... co jest w nich najstraszniejsze, najbardziej nieprzyjemne?

Andrzej bardzo lubił to pytanie. Odpowiedź wymyślił już dawno temu, nawet ją sobie zapisał i potem nieraz wykorzystywał w rozmowach z różnymi panienkami.

- Najstraszniejsze? - powtórzył dla zwiększenia efektu. - Proszę sobie wyobrazić: namiot, noc, dookoła pustka, żadnych ludzi, wilki wyją, grad, burza... - zawiesił głos i popatrzył na Nauczyciela, który nachylił się, zasłuchany. - Grad, rozumie pan? Wielkości gołębiego jaja... I trzeba iść za potrzebą.

Na napiętej twarzy Nauczyciela pojawił się zakłopotany uśmiech, który po chwili przerodził się w głośny śmiech.

- Zabawne. Sam pan to wymyślił?

- Sam - powiedział z dumą Andrzej.

- Zuch, bardzo zabawne... - Nauczyciel znowu się zaśmiał, kręcąc głową. Potem usiadł w fotelu i popatrzył na sad. - Ładnie tu u was w Białym Dworze.

Andrzej odwrócił się i też spojrzał na sad. Zalana słońcem zieleń, motyle nad kwiatami, nieruchome jabłonie, a dwieście metrów dalej, za krzakami bzu - białe ściany i czerwony dach sąsiedniego domku. I Wan w długiej białej koszuli powoli, spokojnie kroczy za terkoczącą kosiarką, a obok drepcze, trzymając się nogawki, jego mały synek...

- Tak, Wan ma swój spokój - powiedział Nauczyciel. - Możliwe, że to najszczęśliwszy człowiek w Mieście.

- Bardzo możliwe - zgodził się Andrzej. - W każdym razie o innych moich znajomych nie mogę tego powiedzieć.

- Pomyśl, jakich masz teraz znajomych - zaproponował Nauczyciel. - Wan to wśród nich wyjątek. Powiedziałbym nawet, że to w ogóle człowiek z innego kręgu. Nie twojego.

- Taak - powiedział w zadumie Andrzej. - A przecież kiedyś razem woziliśmy śmieci, siedzieliśmy przy jednym stole, piliśmy z jednego kubka...

Nauczyciel wzruszył ramionami.

- Każdy dostaje to, na co zasługuje.

- To, o co zabiega - wymamrotał Andrzej.

- Można to i tak nazwać. Właściwie to jedno i to samo. Przecież Wan zawsze chciał być na samym dole. Wschód to Wschód. My tego nie zrozumiemy. No i wasze drogi rozeszły się.

- Najzabawniejsze - powiedział Andrzej - że jest mi z nim tak samo dobrze, jak dawniej. Zawsze

mamy o czym pogadać, co powspominać.. . Przy nim nigdy nie czuję się niezręcznie.

- A on?

Andrzej zastanowił się.

- Nie wiem. Ale pewnie raczej tak. Czasem mi się wydaje, że on ze wszystkich sił stara się trzymać ode mnie z daleka.

Nauczyciel przeciągnął się, strzeliły stawy palców.

- Ale czy o to chodzi? - zapytał. - Gdy przy butelce wódki siedzi z tobą Wan i wspominać, jak dawniej bywało, Wan odpoczywa. A gdy siedzisz przy butelce szkockiej z pułkownikiem, to czy któryś z was odpoczywa?

- Jaki tam odpoczynek... - zamamrotał Andrzej. - Pułkownik jest mi po prostu potrzebny. A ja jemu.

- A jak jesz obiad z Heigerem? A gdy pijesz piwo z Dolfusem? A gdy Czaczua opowiada ci przez telefon nowy dowcip?

- Tak. Zgadza się. Tak.

- Chyba tylko z Izią zachowujecie się jak dawniej, a i to...

- Otóż właśnie. Nawet to.

- Nieee, nawet nie ma o czym mówić! - powiedział stanowczo Nauczyciel. - Wyobraź sobie tylko: tutaj siedzi pułkownik, zastępca dowódcy sztabu waszej armii, stary angielski arystokrata, potomek znakomitego rodu. A tutaj siedzi Dolfus, radca do spraw budownictwa, niegdyś znany wiedeński inżynier. I jego żona - baronowa, córka pruskiego junkra. A naprzeciwko nich Wan. Dozorca.

- Taak - bąknął Andrzej. Podrapał się po karku i zaśmiał się. - Wychodzi z tego nietakt...

- Nie, nie! Zapomnij o nietakcie towarzyskim, Bóg z nim. Wyobraź sobie, jak czułby się Wan!

- Rozumiem, rozumiem... - powiedział Andrzej. - Rozumiem. A, do diabła z tym! Zaproszę go jutro, siądziemy sobie we dwóch, pogadamy. Majlin z Selmą zrobią nam jakiś czy fan, a chłopcu dam "buldoga" - mam tu takiego bez kurka...

- Wypijecie! - podchwycił Nauczyciel. - Porozmawiacie sobie o życiu - i on ma ci niejedno do opowiedzenia, i ty też umiesz opowiadać. A przecież on nic nie wie ani o Pendżykencie, ani o Charbazie... Będzie bardzo miło. Nawet wam trochę zazdroszczę.

- Niech pan przyjdzie - zaśmiał się Andrzej.

Nauczyciel też się roześmiał.

- Myślami będę przy was.

W tym momencie ktoś zadzwonił do drzwi. Andrzej spojrział na zegarek. Była punkt ósma.

- To na pewno pułkownik - podniósł się. - Pójdę, dobrze?

- Oczywiście! - wykrzyknął Nauczyciel. - I proszę, żebyś na przyszłość nie zapominał, że Wanów jest w Mieście setki tysięcy, a radców tylko dwudziestu...

To był rzeczywiście pułkownik. Zawsze zjawiał się dokładnie o wyznaczonej godzinie, a więc zawsze był pierwszy. Andrzej przywitał go w przedpokoju, uściśnął mu dłoń i zaprosił do gabinetu. Pułkownik był po cywilnemu. Jasnoszary garnitur leżał na nim jak na manekinie, rzadkie siwe włosy były starannie zaczesane, buty lśniły, gładko wygolone policzki również. Średniego wzrostu, suchy, postawa bez zarzutu, ale przy tym lekko rozluźniony, nie było w nim tej sztywności, tak charakterystycznej dla niemieckich oficerów, których w wojsku było pełno.

Wchodząc do gabinetu, zatrzymał się przed dywanem, założył za plecy suche, białe dłonie, przez chwilę przyglądał się purpurowo-czarnemu przepychowi, a szczególnie rozwieszanej na jego tle broni. Potem powiedział: "O!" i popatrzył z aprobatą na Andrzeja.

- Niech pan siada, pułkowniku - powiedział Andrzej. - Cygaro? Whisky?

- Dziękuję - odparł pułkownik siadając. - Kropelka czegoś pobudzającego nie zaszkodzi. - Wyjął z

kieszeni fajkę. - Cóż to był za obłąkany dzień - oświadczył. - Co tam u was zaszło na placu? Dostałem rozkaz ogłoszenia alarmu w koszarach.

- Jakiś dureń - mówił Andrzej, grzebiąc w barku - dostał w magazynie dynamit i nie znalazł lepszego miejsca, żeby się z nim potknąć, jak pod moimi oknami.

- A, to znaczy, że to jednak nie był zamach?

- Dobry Boże, pułkowniku! - powiedział Andrzej nalewając whisky. - To przecież nie Palestyna.

Pułkownik uśmiechnął się wziął szklaneczkę od Andrzeja.

- Ma pan rację. W Palestynie tego rodzaju incydenty nikogo nie dziwiły. Zresztą w Jemenie również...

- A u pana, jak rozumiem, wszczęto alarm? - zapytał Andrzej, siadając naprzeciwko ze swoją szklanką.

- Niech pan sobie wyobrazi - pułkownik wypił łyk ze szklanki pomyślał, uniósł brwi, potem ostrożnie postawił szklankę na stojącym w pobliżu stoliku obok telefonu i zaczął nabijać fajkę. Ręce miał stare, pokryte srebrnym puchem, ale nie drżały.

- No, i jak wypadła gotowość bojowa? - zainteresował się Andrzej, również upijając ze szklanki.

Pułkownik znowu się uśmiechnął i Andrzej poczuł ukłucie zawiści - bardzo by chciał umieć się tak uśmiechać.

- To tajemnica wojskowa - powiedział pułkownik. - Ale panu powiem. To był koszmar! Czegoś takiego nie widziałem nawet w Jemenie. Co tam w Jemenie! Czegoś takiego nie widziałem nawet podczas tresury czarnuchów w Ugandzie! Połowy żołnierzy w ogóle nie było w koszarach. Połowa drugiej połowy stawiała się bez broni. Ci którzy zjawili się z bronią, nie mieli amunicji, bo naczelnik magazynu razem z kluczem odrabiał swoją godzinę na Wielkiej Budowie...

- Mam nadzieję, że pan żartuje - powiedział Andrzej.

Pułkownik rozpalil fajkę i, rozwiewając dym dłonią, popatrzył! na Andrzeja bezbarwnymi, starczymi oczami. Dookoła oczu miał siateczkę zmarszczek. Wyglądało to tak, jakby się uśmiechał.

- Może trochę przesadziłem - stwierdził - ale niech pan osądzi sam, panie radco. Nasze wojsko zostało stworzone bez określonego celu, tylko dlatego, że pewna znana nam obu osoba nie wyobraża sobie organizacji państwowej bez armii. To oczywiste, że żadne wojsko nie może funkcjonować bez realnego przeciwnika. Choćby, nawet potencjalnego. Od dowódcy sztabu generalnego do ostatniego kucharza, w całym wojsku panuje przekonanie, że całe to przedsięwzięcie to po prostu zabawa w ołowiane żołnierzyki.

- A gdyby założyć, że potencjalny przeciwnik jednak istnieje?

Pułkownik znowu zasnuł się miodowym dymem.

- W takim razie nazwijcie go, panowie politycy!

Andrzej znowu upił ze szklanki, pomyślał chwilę i zapytał:

- Niech mi pan powie, pułkowniku, czy sztab generalny ma jakieś plany operacyjne na wypadek ataku z zewnątrz?

- Cóż... nie nazwałbym tego planami operacyjnymi. Niech pan sobie wyobrazi chociażby wasz rosyjski sztab generalny na Ziemi, Czy posiada plany operacyjne na wypadek ataku z Marsa?

- Bo ja wiem - powiedział Andrzej. - Nie wykluczam, że coś w tym rodzaju mogłoby istnieć...

- "Coś w tym rodzaju" istnieje również u nas - uśmiechnął się pułkownik. - Nie oczekujemy ataku ani z dołu, ani z góry. Nie wierzymy w poważne zagrożenie z południa... wykluczając oczywiście możliwość buntu pracujących na wsiach kryminalistów, ale na to jesteśmy przygotowani. Pozostaje pomoc. Wiemy, że w czasie Przewrotu i po nim na pomoc zbiegła spora liczba stronników poprzedniego reżymu. Dopuszczamy - teoretycznie - że mogą oni zorganizować się i podjąć próbę

dywersji lub nawet restauracji... - zaciągnął się. - Ale jaką rolę mogłoby tu odgrywać wojsko? To oczywiście, że w razie tych zagrożeń w zupełności wystarczy specjalna policja pana Römera, a jeśli chodzi o taktykę - wystarczy najbardziej pospolita taktyka kordonu.

Andrzej odczekał chwilę i zapytał:

- Czy dobrze pana zrozumiałem, że sztab generalny nie jest gotowy na poważny atak z północy?

- Ma pan na myśli atak Marsjan? - zapytał w zadumie pułkownik. - Nie, nie jest. Rozumiem, co chce pan powiedzieć. Ale my nie przeprowadzaliśmy zwiadu. Nikt nigdy nie brał pod uwagę możliwości takiego ataku. Nie mamy po prostu żadnych danych. Nie wiemy nawet, co dzieje się na pięćdziesiątym kilometrze od Szklanego Domu. Nie mamy map przedmieść na północy... - zaśmiał się, wyszczerzając długie żółtawe zęby. - Archiwariusz miejski, pan Katzman, przekazał sztabowi generalnemu coś w rodzaju mapy tych rejonów... O ile wiem, sporządził ją sam. Ten wspaniały dokument leży w moim sejfie. Oglądając go nie można mieć wątpliwości, że pan Katzman pracował nad nim przy jedzeniu, niejednokrotnie upuszczając nań kanapki i wylewając kawę...

- Ale przecież, pułkowniku - powiedział Andrzej z wyrzutem - moja kancelaria dała panu zupełnie przyzwoite mapy!

- Bez wątplenia, panie radco, bez wątplenia. Ale są to przede wszystkim mapy zamieszkanego części miasta i południowych przedmieść. Zgodnie z regulaminem wojsko powinno znajdować się w pełnej gotowości bojowej na wypadek zamieszek, a zamieszki mogą mieć miejsce właśnie w wymienionych rejonach. Czyli pańska praca była absolutnie niezbędna - dzięki panu do zamieszek jesteśmy przygotowani. Co się jednak tyczy ataku... - pułkownik pokręcił głową.

- O ile pamiętam - powiedział znacząco Andrzej - moja kancelaria nie otrzymała od sztabu generalnego żadnych zamówień na sporządzenie map rejonów pomocnych.

Przez dłuższą chwilę pułkownik patrzył na niego. Jego fajka zgasła.

- Muszą powiedzieć - zaczął powoli - że z takimi zamówieniami zwracaliśmy się bezpośrednio do prezydenta. Odpowiedzi były, przynajmniej, bardzo niejednoznaczne... - znowu zamilkł. - A więc sądzi pan, panie radco, że dla powodzenia całej sprawy byłoby lepiej, gdybyśmy zwracali się do pana?

Andrzej skinął głową.

- Jadłem dzisiaj obiad u prezydenta - powiedział. - Długo o tym rozmawialiśmy. Problem sporządzenia map północnych rejonów został tak jakby rozwiązany. Jednakże konieczny jest udział wojskowych specjalistów. Doświadczony pracownik operacyjny... no, sam pan rozumie.

- Rozumiem - przytaknął pułkownik. - A propos, skąd pan ma taki mauzer, panie radco? Ostami raz, jeśli się nie mylę, widziałem takie monstra w Batumi, w osiemnastym roku...

Andrzej zaczął opowiadać, gdzie i w jaki sposób zdobył ten rewolwer, ale w tym momencie w przedpokoju rozległ się dzwonek. Andrzej przeprosił i poszedł przywitać gości.

Miał nadzieję, że przyszedł Katzman. Wbrew oczekiwaniom, był to Otto Friza, którego Andrzej właściwie w ogóle nie zapraszał. Jakoś wypadło mu to z głowy. Otto Friza ciągle wylatywał mu z głowy, mimo że jako dyrektor Wydziału Administracyjno-Gospodarczego w Szklanym Domu był człowiekiem wyjątkowo pożytecznym, wręcz niezastąpionym. Selma nigdy o tym nie zapominała. Teraz na przykład przyjmowała od Otto koszyk, troskliwie okryty cieniutką batystową serwetką, i małe bukietki kwiatów. Otto został miłośniczynie dopuszczony do jej ręki. Trząskając obcasami, rumienił się i najwyraźniej był szczęśliwy.

- A, przyjacielu! - zawołał Andrzej. - Jesteś!

Nagle pomyślał, że z nich wszystkich Otto zmienił się najmniej. Właściwie w ogóle. Ta sama chuda szyjka, ogromne odstające uszy, wyraz ciągłej niepewności na piegowatej fizjonomii. I trzaskające obcasy. Był w niebieskim mundurze policji specjalnej, do którego miał przypięty medal

“Za zasługi”.

- Ogromne dzięki za dywan - mówił Andrzej, obejmując go za ramiona i prowadząc do swojego gabinetu. - Zaraz ci pokażę, jak on się u mnie prezentuje... Coś pięknego, mówię ci, padniesz z zawiści.

A jednak wszedłszy do gabinetu Otto nie zaczął rozplýwać się nad dywanem, ani tym bardziej padać z zawiści. Zobaczył pułkownika.

Starszy szeregowy volkssturmu Otto Friża czuł do pułkownika Saint-Jamesa coś w rodzaju uwielbienia. W jego obecności zupełnie tracił zdolność mowy, stalowymi sworzniami mocował na swojej twarzy uśmiech i gotów był trzaskać obcasami bez przerwy i coraz mocniej.

Odwrócił się do wspaniałego dywanu plecami, stanął na baczność, wypiął pierś, przycisnął dłonie do bioder, odchylił łokcie i tak silnie skłonił głowę, że w całym gabinecie słychać było, jak zachręściły mu kręgi szyjne. Uśmiechając się leniwie, pułkownik wstał i wyciągnął rękę. W drugiej ręce trzymał szklanę.

- Cieszę się, że pana widzę - powiedział. - Witam pana, panie... yy...

- Starszy szeregowiec Otto Friża, panie pułkowniku! - wykrzyknął z zachwytem Otto, zgiał się wpół i lekko dotknął palców pułkownika. - Melduje swoje przybycie!

- Otto, Otto! - powiedział z wyrzutem Andrzej. - Po co te formalności?

Otto zachichotał żałośnie, wyjął chusteczkę i wytarł czoło. I natychmiast przestraszony zaczął wypychać ją z powrotem, nie mogąc przy tym trafić do kieszeni.

- Pamiętam, że pod El Alamei - powiedział pułkownik dobroduszenie, - moi chłopcy przyprowadzili do mnie niemieckiego feldfebla...

W przedpokoju znowu rozległ się dzwonek. Andrzej przeprosił ponownie i wyszedł, zostawiając nieszczęsnego Ottona brytyjskiemu lwu na pożarcie.

To był Izia. Gdy całował Selmę w oba policzki, gdy na jej żądanie czyścił buty i poddawał się obróbce szczotki do ubrań, wpakowali się jednocześnie Czaczua i Dolfus z Dolfusicą. Czaczua ciągnął Dolfiisicę pod rękę, w biegu oczarowując ją dowcipami, a Dolfus z bladym uśmiechem włókł się z tyłu. Na tle pełnego temperamentu dyrektora kancelarii prawniczej wydawał się wyjątkowo szary, bezbarwny i mało ważny. Przez ręce miał przewieszane ciepłe płaszcze - na wypadek ochłodzenia w nocy.

- Proszę do stołu! - zawołała dźwięcznie Selma, klaszcząc w dłonie.

- Moja droga! - zaprotestowała Dolfusicą. - Muszę doprowadzić się do porządku!...

- Po co? - zdziwił się Czaczua, przewracając zaczerwienionymi białkami oczu. - Taka piękna i jeszcze chce się doprowadzać do jakiegoś tam porządku? Zgodnie z artykułem dwieście osiemdziesiątym kodeksu postępowania karnego prawo może zabronić...

Zaczął się zwykły gwar. Andrzej nie nadążał z uśmiechami. Nad jego lewym uchem klekotał i bulgotał Izia, opowiadając coś o dzikim burdelu w koszarach podczas dzisiejszego alarmu, a nad prawym Dolfiis mówił coś o toaletach i głównej magistrali kanalizacyjnej, która już niedługo zapcha się zupełnie. Potem wszyscy ruszyli, do jadalni. Andrzej, zapraszając, sadzając, syjąc dowcipami i komplementami, kątem oka zobaczył, jak otworzyły się drzwi gabinetu i wsuwając fajkę do bocznej kieszeni, wyszedł stamtąd uśmiechnięty pułkownik. Sam Andrzej zamarł, ale w tym momencie pojawił się również starszy szeregowiec Otto Friża - najwidoczniej po prostu starał się zachować w stosunku do starszego stopniem regułami nową odległość pięciu metrów. Zaczęło się trzaskanie obcasami.

- Będziemy pić, będziemy szaleć! - krzyczał gardłowo Czaczua. Zadźwięczały sztućce. Nie bez trudu usadziwszy Ottona między Selmą i Dolfusicą, Andrzej zajął swoje miejsce i obejrzał stół.

Wszystko było w porządku.

- I niech pani sobie wyobrazi, moja droga, w dywanie była o, taka dziura! To do pana, panie Friża, niegrzeczny chłopcze!

- Mówią, że kogoś tam pan rozstrzelał na oczach innych żołnierzy, pułkowniku?

- Zapamiętajcie moje słowa: kanalizacja, właśnie kanalizacja zgubi kiedyś nasze Miasto!

- Taka piękna i taki mały kieliszek?

- Otto, najdroższy, zostaw tę kość... Tu masz dobry kawałek!...

- Nie, Katzman, to tajemnica wojskowa. Wystarczy mi tych nieprzyjemności, których doznałem od Żydów w Palestynie...

- Wódki, panie radco?

- Z przyjemnością, panie radco!

I trzaskanie obcasów pod stołem.

Andrzej wypił dwa kieliszki wódki z rzędu dla kurażu, z przyjemnością zakąsił i razem ze wszystkimi zaczął słuchać nieskończenie długiego i fantastycznie nieprzyzwoitego toastu, wygłaszanego przez Czaczua. Gdy w końcu wyjaśniło się, że radca sprawiedliwości wznosi ten malutki kielich z ogromnym uczuciem, nie po to, żeby agitować obecnych do wszystkich wymienionych przez siebie seksualnych zbrodni, a tylko po to, by wypić za "najgorszych i najbardziej bezlitosnych moich wrogów, z którymi przez całe życie walczę i z którymi przez całe życie przegrywam, a więc - za piękne kobiety!..." Andrzej razem ze wszystkimi roześmiał się z ulgą chlapnął trzeci kieliszek. Dolfusica, wyczerpana, zawodziła i chichotała, zasłaniając twarz serwetką.

Wszyscy jakoś szybko się wstawili. Z drugiego końca stołu dobiegało znajome "Tak! O, tak!" Czaczua zawiesił ruchliwy nos nad oślepiającym dekoltem Dolfusicy i mówił, nie milnąc nawet na sekundę. Dolfusica bezsilnie pohukiwała, kokieteryjnie odsuwając się od niego i napierając na Ottona szerokimi plecami. Otto już dwa razy upuścił widelec. Siedzący obok Andrzeja Dolfiis zostawił wreszcie w spokoju kanalizację, zupełnie bez sensu wpadł w służbowy entuzjazm i po kolei, jak leci, zaczął wydawać tajemnice państwowe.

- Autonomia! - mówił groźnie. - Klucz do an... aun... autonomii to chlorella! Wielka Budowa? Nie rozśmieszajcie mnie. Jakie sterówce? Chlorella!

- Panie radco, panie radco - uspokajał go Andrzej. - Na miłość boską! Nie wszyscy muszą o tym wiedzieć. Niech pan mi lepiej opowie, jak wygląda sytuacja w korpusie laboratoryjnym...

Służba wynosiła brudne talerze i przynosiła czyste. Zakąski uprzątnięto, podano mięso po burgundzku.

- Wznoszę ten malutki kielich!

- Tak, o, tak!

- Niegrzeczny chłopiec! Jak można pana nie lubić?...

- Izia, odczep się od pułkownika! Pułkowniku, może ja siądę obok pana?

- Czternaście metrów kwadratowych chlorelli - to nic... Autonomia!

- Whisky, panie radco?

- Z przyjemnością, panie radco!

W samym środku zabawy w jadalni pojawił się nagle rumiany Parker.

- Pan prezydent prosi o wybaczenie - zameldował. - Nieoczekiwane zebranie. Prosił, żeby przekazać państwu Woronin oraz ich wszystkim gościom gorące pozdrowienia...

Parkera zmuszono do wypicia wódki - zajął się tym nieodparty Czaczua. Wzniesiono toast za prezydenta i za powodzenie wszystkich jego zamiarów. Zrobiło się trochę ciszej, podano kawę z lodami i likierami. Otto Friża płaczkliwie narzekał na pecha w miłości. Dolfusica opowiadała

Czaczuy o miłym Königsbergu, na co Czaczua kiwał nosem i żarliwie mówił:

- A jakże, pamiętam... Generał Czerniachowski... Pięć dni i pięć nocy waliły armaty...

Parker zniknął, za oknami zrobiło się ciemno. Dolfus łąpczywie pił kawę i roztaczał przed Andrzejem wizje projektów rekonstrukcji północnych dzielnic. Pułkownik opowiadał Izi:

-... Dali mu dziesięć dni za chuligaństwo i dziesięć lat ciężkich robót za rozgłaszanie państwowej i wojskowej tajemnicy.

Izia parsknął, bulgotał i odpowiadał:

- Stare jak świat, Saint-James! U nas to opowiadali jeszcze o Chruszczowie!

- Znowu polityka! - zawołała obrażona Selma. Jednak wcisnęła się między Izie i pułkownika. Stary wojak po ojcowsku gładził japo kolanie.

Andrzejowi nagle zrobiło się smutno.

- Przepraszam - rzucił w przestrzeń, wstał i chwiejnie poszedł: do swojego gabinetu. Tam usiadł na parapecie, zapalił papierosa i zaczął patrzeć na sad.

W sadzie było ciemno, przez czarne liście krzaków bzu jaskrawo przeświecały okna sąsiedniego domku. Noc była ciepła, w trawie migotały świetliki. A jutro? - pomyślał Andrzej. Powiedzmy, że pójde na tę ekspedycję, powiedzmy, że przeprowadzimy rozpoznanie... przywlokę kupę broni, poprzebieram, porozwieszam... i co dalej?

Z jadalni dobiegał gwar rozmów.

- A wie pan, pułkowniku - wrzeszczał Izia - że alianci obiecywali za głowę Czapajewa dwadzieścia tysięcy!

Andrzej od razu przypomniał sobie dalszy ciąg: "Alianci, wasza miłość, mogli obiecać nawet więcej. Przecież za nimi jest Guriew, a w Guriewie - nafta. He, he, he.

- Czapajew? - zapytał pułkownik. - A, to ten wasz kawalerzysta. Zdaje się, że go rozstrzelali?...

Selma nagle zaśpiewała wysokim głosem:

- A rankiem Kasię budziła matka... Wstawaj, wstawaj Kasiu, okręty już stoją...

W tym momencie przerwał jej aksamitny ryk Czaczuy:

- Przyniosłem ci kwiaty... Ach, jakie piękne kwiaty! Ale ty ich nie wzięłaś... Ach, dlaczego ich nie wzięłaś?

Andrzej zamknął oczy i nagle z gwałtownym smutkiem pomyślał o wujku Jurze. I Wana nie ma przy stole, i wujka Jury nie ma... No i po jaką cholere mi ten Dolfus?...

Otoczyły go zjawy.

Na sofie siedział Donald w swoim obszarpanym, teksaskim kapeluszu. Założył nogę na nogę, sterczące kolano objął mocno splecionymi palcami; "Odchodząc nie smuć się, przychodząc nie ciesz"... Przy stole usiadł Kensi w starym policyjnym mundurze - oparł łokieć o blat, a na pięści oparł podbródek. Patrzył na Andrzeja bez potępienia, ale nie było również w tym spojrzeniu serdeczności. A wujek Jura klepał Wana po plecach i powtarzał: "To nic, Wania, nie martw się, zrobimy cię ministrem, Pobiedą będziesz się rozbijał"... Andrzej poczuł znajomy, wzruszający zapach machorki, potu i samogonu. Z trudem odetchnął, potarł zdrętwiałe policzki i znowu popatrzył na sad.

Wśród drzew stał Budynek.

Wyglądał zupełnie naturalnie, tak jakby stał tu od dawna, od zawsze, i miał zamiar stać tak do skończenia świata - czerwony, ceglany, trzypiętrowy. Tak jak wtedy, okna na parterze zasłaniały okiennice, a dach pokrywała ocynkowana blacha. Do drzwi prowadziły cztery kamienne schodki, a obok jedyne go komina sterczała dziwna, podobna do krzyża antena. Ale teraz wszystkie okna były ciemne, na parterze gdzieś brakowało okiennic, szyby były brudne, pochłapane i porysowane. Na niektóre z nich naklejono paski papieru, część zastąpiono kawałkami wykrzywionej dykty. Nie

było już uroczystej i posępnej muzyki - od Budynku ciągnęła się niewidoczna mgła ciężkiej, gęstej ciszy.

Andrzej bez zastanowienia przełożył nogi przez parapet i zeskoczył do sadu, w miękką, gęstą trawę. Poszedł w stronę Budynku, strasząc świetliki, coraz głębiej zatapiając się w martwą ciszę, nie spuszczać oczu ze znajomej miedzianej klamki na dębowych drzwiach. Teraz klamka była matowa i pokryta zielonymi plamami.

Wszedł na schodki i obejrzał się. W jaskrawo oświetlonych oknach jadalni wesoło skakały, łamiąc się dziwnie, ludzkie cienie, dobiegały słabe dźwięki muzyki i, nie wiedzieć czemu, brzęk sztućców. Machnął na to ręką, odwrócił się i nacisnął mokrą, rzeźbioną miedź. W przedpokoju panował teraz półmrok, wilgoć i stęchlizna. Rozłożysty wieszak sterczał w kącie nagi, jak martwe, uschnięte drzewo. Na marmurowych schodach nie było dywanu, nie było też metalowych prętów - zostały tylko pokryte śniedzią pierścionki, stare, pożółkłe niedopałki i jakieś śmieci na stopniach. Stawiając ciężko kroki i nie słysząc nic prócz nich i własnego oddechu, Andrzej powoli wszedł na półpiętro.

Z dawno wygasłego kominka dolatywał zapach starej spalenizny i amoniaku, coś tam szeleściło, szurało i tupało. W wielkiej sali również było zimno, ciągnęło po nogach. Z niewidocznego sufitu zwisały czarne, zakurzone szmaty, na marmurowych ścianach ciemniały niechlujne, podejrzone plamy i lśniły zacieki wilgoci. Złoto i purpura poodpadały, a dumne popiersia - gipsowe, marmurowe, brązowe i złote - ślepo, ze smutkiem spoglądały z nisz poprzez zakurzoną pajęczynę. Parkiet pod nogami skrzypiał i poddawał się przy każdym kroku, na zaśmieczonej podłodze leżały kwadraty księżycowego światła, a z przodu biegła w głąb jakaś galeria, na której Andrzej nigdy wcześniej nie był. Nagle spod jego nóg wyskoczyło stado szczurów, z piskiem i tupotem przebiegło po galerii i zniknęło w ciemnościach.

Gdzie są wszyscy? - myślał bezładnie Andrzej, snując się po galerii. Co się z nimi stało? - zastanawiał się, schodząc w zatechłe głębie budynku po łomoczących metalowych schodach. Jak to się stało? - dumał, chodząc od pokoju do pokoju. Pod jego nogami chrzęścił tynk i potłuczone szkło, mlaskało porośnięte puszystymi kępkami pleśni błoto... Słodkawo pachniało rozkładem, gdzieś tykała, spadając kropla po kropli, woda, a na obdartych ścianach czerniały ogromne, oprawione w potężne ramy obrazy, na których nie można było nic zobaczyć...

Teraz już zawsze tak tu będzie, pomyślał Andrzej. Zrobiłem coś takiego, wszyscy zrobiliśmy coś takiego, że teraz już zawsze tak tu będzie. Budynek nie ruszy się już stąd, zostanie tu na zawsze, będzie gnić i niszczyć, jak każdy zwyczajny, stary dom, i w końcu rozbiją go żeliwnymi babami, śmieci spalą, a opalone cegły wywiozą na wysypisko... Ani jednego głosu! I w ogóle ani jednego dźwięku, tylko zrozpaczone szczury piszczą po kątach...

Zobaczył ogromną szwedzką szafę z rozsuwanymi drzwiami i nagle przypomniał sobie, że taka sama szafa stoi w jego małym pokoiku - sześć metrów kwadratowych, jedyne okno wychodzi na podwórko-studnię, obok kuchni. Na szafie pełno starych gazet, zwiniętych w rulony plakatów, które przed wojną zbierał ojciec, i jeszcze jakieś papiery, śmieci... Gdy ogromnemu szczurowi pułapka przytrzasnęła pyszczek, udało mu się jakoś wejść na tę szafę, długo tam szeleścił i kręcił się, i każdej nocy Andrzej bał się, że spadnie mu na głowę. Kiedyś wziął lornetkę i z daleka, z parapetu popatrzył, co się tam dzieje w tych papierach. I zobaczył - albo może wydawało mu się, że zobaczył? - sterczące uszy, szary łepok i straszny, błyszczący, jakby polakierowany pęcherz zamiast mordki. Wyglądało to tak okropnie, że wybiegł ze swojego pokoju i przez jakiś czas siedział w korytarzu na skrzyni, czując, że go mdli. Był sam w mieszkaniu, nie miał się kogo wstydzić, ale i tak było mu wstyd za swój strach. W końcu wstał, poszedł do dużego pokoju i nastawił na patefonie: "Riorita". A

po kilku dniach w jego pokoiku pojawił się mdlący słodkawy zapach, taki jak tutaj...

W głębokim jak studnia pomieszczeniu z łukowym sklepieniem dziwnie i nieoczekiwanie świeciły rzędy ołowianych piszczałek ogromnych organów, martwych od dawna, ostygłych, niemych, jak zapuszczony cmentarz muzyki. Obok krzesła organisty leżał skulony człowieczek owinięty podartym dywanem, przy jego głowie lśniła pusta butelka po wódce. Andrzej zrozumiał, że to naprawdę koniec, i pospiesznie poszedł do wyjścia.

Schodząc ze schodków do swojego sadu, zobaczył Izie. Izia był pijany, wyjątkowo rozczochrany i nieporządny. Stał, chwiejąc się, jedną ręką trzymał się jabłoni i patrzył na Budynek. Jego zęby, odsłonięte w zastygłym uśmiechu, błyszczały w mroku.

- Po wszystkim - powiedział Andrzej. - Koniec.
- Majaczenie wzburzonego sumienia! - powiedział niewyraźnie Izia.
- Tylko szczury biegają. Zgnilizna.
- Majaczenie wzburzonego sumienia... - powtórzył Izia i zachichotał.

CZĘŚĆ 5
PRZERWANIE CIĄGŁOŚCI

ROZDZIAŁ 1

Pokonując odruch wymiotny, Andrzej przełknął ostatnią łyżkę brei, ze wstrętem odrzucił manierkę i sięgnął po kubek. Herbata była jeszcze gorąca. Andrzej wziął kubek w dłonie i zaczął pić małymi łykami, wpatrując się w syczący ognek benzynowej lampy. Herbata była okropnie mocna, za długo stała, jechało od niej miotłą. Miała nieprzyjemny posmak - może od tej wstrętnej wody, której nabrali na osiemset dwudziestym kilometrze, albo może Kechada znowu dosypał całemu kierownictwu tego świnstwa od biegunki. A może po prostu kubek został źle umyty - był dzisiaj jakiś taki tłusty i lepki.

Za oknem na dole żołnierze brzęczeli kociołkami. Dowcipniś Tewosian palnął coś o Wywłóce, żołnierze zarechotali. W tym momencie rozległ się ryk sierżanta Vogla: "Na służbę idziecie, czy babie do wyra, płazy jedne! Dlaczego boso? Gdzie wasze buty, troglodyto?" Ponury głos zaczął tłumaczyć, że nogi ma obtarte do mięsa, a miejscami nawet do kości. "Zamknijcie gębę, byku niechrzczony! Natychmiast założyc buty i na służbę! Szybciej!"...

Andrzej z przyjemnością poruszał pod stołem palcami bosych stóp. Na chłodnym parkiecie nogi już trochę odpoczęły. Przydałaby się miska z zimną wodą. Włożyłoby się do niej nogi... Zajrzał do kubka. Była jeszcze połowa herbaty i Andrzej, przeklinając w myśli to wszystko, nieoczekiwanie dla samego siebie wypił tę resztę trzema ogromnymi łapczywymi łykami. W żołądku od razu zaburczało. Przez jakiś czas Andrzej z niepokojem przysłuchiwał się temu, co się tam dzieje, potem odstawił kubek, wytarł pot grzbietem dłoni i popatrzył na metalową skrzynię z dokumentami. Trzeba wyjąć wczorajsze raporty. Nie miał ochoty. Zdażę. Położyłbym się teraz, wyciągnął na całą długość, przykrył kurtką i zamknął oczy gdzieś tak na sześćset minut...

Za oknem nagle zawarczał wściekle silnik traktora. Zabrzęczały w oknach resztki szyb, na podłogę obok lampy upadł kawałek tynku. Pusty kubek drżąc przesuwiał się w kierunku krawędzi stołu. Andrzej skrzywił się, wstał, poczłapał bosymi stopami do okna i wyrżał.

Poczuł na twarzy żar nie ostygłej ulicy, gryzący dym z rury wydechowej i mdlący smród rozgrzanego oleju. W zakurzonej świetle przenośnego reflektora brodaci ludzie, siedząc na jezdni, leniwie grzebali łyżkami w manierkach i kociołkach. Wszyscy byli bosi i prawie wszyscy rozebrani do pasa. Spocone białe ciała lśniły, twarze wydawały się czarne. Dłonie również były czarne, jakby wszyscy mieli rękawiczki. Andrzej zdał sobie sprawę, że nikogo nie poznaje. Stado nieznanomych nagich małp... W kręgu światła pojawił się sierżant Vogel z ogromnym aluminiowym czajnikiem w ręku. Małpy zaczęły się ruszać, wiercić i wyciągnęły w stronę czajnika swoje kubki. Odsuwając kubki wolną ręką, sierżant zaczął coś krzyczeć. Zagłuszał go łoskot silnika.

Andrzej wrócił do stołu, szarpnięciem podniósł wieko skrzyni, wyciągnął dziennik i wczorajsze raporty. Na stół upadł jeszcze jeden kawałek tynku. Andrzej spojrział w górę. Pokój był bardzo wysoki - mógł mieć cztery, może nawet pięć metrów. Modelowany sufit miejscami poodpadał, widać było dranicę. Przywoływało to słodkie wspomnienia domowych pierogów z powidłami, które podawano do ogromnych ilości cudownie zaparzonej, klarownej, podawanej w przezroczystych szklankach z cieniutkiego szkła herbaty. Z cytryną. A można było po prostu wziąć pustą szklankę i nalać sobie w kuchni zimnej wody... ile się tylko chciało...

Andrzej pokręcił głową, znowu wstał, przeciął na ukos pokój i podszedł do sporej biblioteczki. Szyb w drzwiach nie było, książek też nie - zostały tylko puste, pokryte kurzem półki. Andrzej wiedział o tym, ale mimo to obejrzał je jeszcze raz i nawet pomacał ręką w ciemnych kątach.

Trzeba przyznać, że pokój zachował się w całkiem niezłym stanie. Zostały dwa zupełnie porządne fotele i jeszcze jeden z wypchniętym siedzeniem - niegdyś komfortowy, obity tłoczoną skórą. Pod

ścianą naprzeciwko okna stało kilka krzesel, na środku pokoju niziutki stolik, a na nim kryształowa waza z jakimś czarnym, zaschniętym draństwem w środku. Tapety się poodklejały, miejscami poodpadały zupełnie, parkiet rozsechł się i wybrzuszył, ale i tak pokój był w całkiem niezłym stanie - niedawno, może z dziesięć lat temu, ktoś tutaj mieszkał.

Po raz pierwszy po pięćsetnym kilometrze Andrzej zobaczył tak dobrze wyglądający dom. Po wielu kilometrach spalonych do cna, zmienionych w czarną, zwęgloną pustynię dzielnic, po wielu kilometrach porośniętych burymi cierniami ruin, wśród których wznosiły się drżące ze starości, puste, wielopiętrowe pudełka z dawno zawalonymi stropami, po wielu dziesiątkach kilometrów pustki, wysadzonej przegniłymi zrębami bez dachów, gdzie widok na uskok rozciągał się z drogi od Żółtej Ściany na wschodzie aż do brzegu urwiska na zachodzie - tutaj znowu zaczynały się prawie nie zniszczone dzielnice, wybrukowana droga, może nawet byli gdzieś ludzie, w każdym razie pułkownik wydał rozkaz podwojenia wart.

Ciekawe, jak tam pułkownik. Staruszek jakoś przygaśł w ciągu ostatnich dni. Zresztą wszyscy przygaśli. Bardzo dobrze, że właśnie dzisiaj, po raz pierwszy od dwunastu dni, będą nocować pod dachem, a nie pod gołym niebem. Żeby tak znaleźć wodę, można by zrobić dłuższy postój. Tylko że wody chyba tu jednak nie ma. W każdym razie Izia mówi, że nie ma co na to liczyć. W całej tej bandzie tylko z Izi i pułkownika jest jakiś pożytek...

Do drzwi ktoś zapukał, ledwie słyszalnie przez łoskot silnika. Andrzej pospiesznie wrócił na miejsce, narzucił kurtkę, otworzył dziennik i krzyknął:

- Tak!

To był tylko Dagan - suchy, stary, podobny pod tym względem do swojego pułkownika, gładko ogolony, czysty, zapięty na wszystkie guziki.

- Pozwoli pan, że posprzątam, sir? - krzyknął.

Andrzej skinął głową. Boże, pomyślał, ile wysiłku trzeba włożyć, żeby w tym bajzlu tak wyglądać... A przecież Dagan nie jest ani oficerem, ani nawet sierżantem, zwykły ordynans. Lokaj.

- Jak tam pułkownik? - zapytał.

- Słucham, sir? - Dagan zamarł z brudnymi naczyniami w rękę, zwracając ku Andrzejowi długą, pooraną twarz.

- Jak się czuje pułkownik?! - ryknął Andrzej i w tym samym momencie silnik za oknem umilkł.

- Pułkownik pije herbatę - wrzasnął Dagan w zapadłej ciszy i skonfundowany dodał, ściszej głoś: - Przepraszam, sir. Pułkownik czuje się dobrze. Zjadł kolację i teraz pije herbatę.

Andrzej nieuważnie skinął głową i przerzucił kilka stron dziennika.

- Czy życzy pan sobie czegoś, sir? - zapytał Dagan.

- Nie, dziękuję - powiedział Andrzej.

Po wyjściu Daganą wziął się w końcu za wczorajsze raporty. Wczoraj nic nie napisał. Miał taki atak biegunki, że ledwie doczekał końca wieczornego zebrania, a potem do północy się męczył - sterczał w kucki pośrodku drogi z gołym tyłkiem wypiętym w stronę obozu, z napięciem wpatrując się i wsłuchując w nocną ciemność, z pistoletem w jednej ręce i latarką w drugiej.

"Dzień dwudziesty ósmy" - napisał na czystej kartce i podkreślił dwiema grubymi liniami. Wziął do ręki raport Kechady.

"Przeszliśmy 28 kilometrów - napisał tamten. - Wysokość słońca 63° 51' 13 ". 2 (979 kilometr). Średnia temperatura: w cieniu +23° w słońcu +31°C. Prędkość wiatru 2,5m/sek. Wilgotność 0,42. Przyciąganie 0,998. Przeprowadzono wiercenia - 979,981,986 kilometr, Wody nie ma. Zużycie paliwa"...

Andrzej wziął teraz wysmarowany brudnymi palcami raport Ellizauera i długo starał się

rozszyfrować jego bazgroły.

“Zużycie paliwa 1,32 normy. Pod koniec 28 dnia pozostało 32001 kg. Stan silników: ?1 - zadowolający; ?2 - zużyte sworznie i coś z cylindrami”...

Co się właściwie stało z cylindrami, Andrzejowi nie udało się dowiedzieć, chociaż przysuwał kartkę do samej lampy.

“Stan grupy: fizyczny - prawie u wszystkich starte nogi, dalej biegunka, u Permiaka i Palotry nasiliła się wysypka na plecach. Żadnych szczególnych przypadków. Dwukrotnie pokazywały się wilki, zostały odpędzone wystrzałami. Zużycie amunicji 12 nabojów. Zużycie wody 40 litrów. Pod koniec 28 dnia pozostało 1100 kg. Zużycie prowiantu 20 racji. Pod koniec 28 dnia pozostało 730 racji...”

Za oknem przenikliwie zatrajkotała Wywłoka, żołnierze zarzeli. Andrzej podniósł głowę, nasłuchując. A, cholera, może to i dobrze| że się do nas przyczepiła. Zawsze to jakaś rozrywka dla chłopaków... Szkoda tylko, że ostatnio zaczęli się z jej powodu bić.

Do drzwi znowu ktoś zapukał.

- Wejść - powiedział niezadowolony Andrzej.

Wszedł sierżant Vogel - potężny, z czerwoną gębą i szerokimi ciemnymi plamami potu pod pachami trencza.

- Sierżant Vogel prosi o pozwolenie zwrócenia się do pana radcy! - szczechnął, przyciskając dłonie do bioder i rozstawiając łokcie.

- Słucham, sierżancie.

Sierżant popatrzył na okno.

- Proszę o pozwolenie na poufną rozmowę - powiedział, ścisząc głos.

Coś nowego, pomyślał Andrzej nieprzyjemnie zaskoczony.

- Proszę, niech pan siada - powiedział.

Sierżant na palcach zbliżył się do stołu, przycupnął na brzegu fotela i nachylił się w stronę Andrzeja.

- Ludzie nie chcą dalej iść - oznajmił półgłosem.

Andrzej odchylił się na oparcie krzesła. Proszę, do czego to doszło... Cudownie... Gratuluję, panie radco...

- Co to znaczy nie chcą? - zapytał. - Kto się ich pyta?

- Są wykończeni, panie radco - powiedział Vogel poufnie. - Tytoń się skończył, a biegunka nie. A co najważniejsze, boją się. Są przerażeni, panie radco.

Andrzej popatrzył na niego w milczeniu. Trzeba było coś zrobić. Teraz. Natychmiast. Tyle że nie wiedział co.

- Jedenasty dzień idziemy po tym pustkowiu, panie radco - ciągnął szeptem Yogel. - Pan radca pamięta, jak nas ostrzegano, że będzie trzynaście dni pustkowiecia, a potem - wszyscy zginą. Zostały dwa dni, panie radco...

Andrzej oblizał wargi.

- Sierżancie! - huknął. - Jak panu nie wstyd! Stary żołnierz, a przesądny jak baba. Nie spodziewałem się tego po panu!

Vogel uśmiechnął się krzywo i poruszył ogromną dolną szczęką.

- Nie, panie radco, mnie nie tak łatwo przestraszyć. Żeby tam miał - pokazał wielkim krzywym paluchem na okno - żeby miał samych Niemców, albo chociaż Japońców, nie byłoby tej rozmowy, panie radco. Ale to zbieranina. Jacyś Ormianie, Italiańcy...

- Dostyc! - podniósł głos Andrzej. - To wstyd. Nie zna pan regulaminu? Dlaczego zwraca się pan z

tym do mnie? Co to za porządki, sierzancie? Wstać!

Vogel podniósł się ciężko i stanął na baczność.

- Siadać - powiedział po krótkiej chwili Andrzej.

Vogel tak samo ciężko usiadł. Przez jakiś czas panowało milczenie.

- Dlaczego zwrócił się pan do mnie, a nie do pułkownika?

- Proszę o wybaczenie, panie radco. Do pana pułkownika już się zwracałem. Wczoraj.

- No i co?

Vogel zawahał się i odwrócił oczy.

- Pan pułkownik nie uznał za stosowne przyjąć mojego meldunku do wiadomości, panie radco.

Andrzej uśmiechnął się.

- Otóż to! Jaki z pana, do diabła, sierżant, jeśli nie umie pan utrzymać dyscypliny wśród swoich ludzi? Boją się! Jak małe dzieci... Oni powinni się pana bać, sierzancie! - ryknął. - Pana! A nie trzynastego dnia!

- Gdyby to byli Niemcy... - zaczął znowu ponuro Vogel.

- Co to ma znaczyć? - zapytał uprzejmie Andrzej. - Ja, kierownik ekspedycji, mam pana, jak ostatnią oferę, uczyć, co trzeba robić, gdy podwładni się buntują? Wstyd, Vogel! Jeśli pan nie wie, proszę sobie poczytać regulamin. O ile wiem, tam zostało wszystko przewidziane.

Vogel znowu się kpiąco uśmiechnął, ruszając dolną szczęką. Najwidoczniej takie wypadki nie zostały przewidziane w regulaminie.

- Miałem o panu lepsze zdanie, Vogel - powiedział ostro Andrzej. - Dużo lepsze! I niech pan sobie zapamięta: to, czy pańscy ludzie chcą iść, czy nie, nikogo nie interesuje. Wszyscy wolelibyśmy siedzieć teraz w domu, a nie leżeć przez to piekło. Wszystkim chce się pić, wszyscy są wykończeni. A mimo to wypełniają swój obowiązek, Vogel. Czy to jasne?

- Tak jest, panie radco - warknął Vogel. - Czy mogę odejść?

-Tak.

Sierżant wyszedł, bezlitośnie katując butami rozeschnięty parkiet.

Andrzej zrzucił kurtkę i znowu podszedł do okna. Publiczność jakby się uspokoiła. W kręgu światła górował niemożliwie wysoki Ellizauer. Właśnie nachylał się nad jakąś kartką, chyba mapą, którą trzymał przed nim barczysty, przysadzisty Kechada. Wysuwając się z ciemności, przeszedł obok nich i zniknął w budynku jakiś żołnierz - bosy, rozebrany, rozczochrany, z automatem w ręku. Tam, skąd szedł, czyjś głos zawołał w ciemnościach:

- Nosaty! Ej, Tewosian!

- Czego chcesz? - odrzyknięto z przyczepy, gdzie czerwonymi świetlikami zapalały się i gasły ogniki papierosów.

- Przekręć no reflektor! Ni cholery tu nie widać...

- A po co? Nie możesz po ciemku?

- Zaszrali tu wszystko... nie wiem, gdzie się ruszyć...

- Wartownik nie może się ruszać - wmieszał się nowy głos. - Wal tam, gdzie stoisz.

- Poświećcie, do jasnej cholery! Tak wam ciężko tyłek ruszyć?

Tyczkowaty Ellizauer wyprostował się, w dwóch krokach znalazł się przy traktorze i przekręcił reflektor, tak żeby świecił na ulicę. Andrzej zobaczył wartownika. Przytrzymując opuszczone spodnie, wartownik niepewnie dreptał na ugiętych nogach obok tego ogromnego, żelaznego posągu, który jacyś dziwacy nie wiedzieć czemu postawili wprost na chodniku przy skrzyżowaniu. Posąg przedstawiał krępego typu, z nieprzyjemną żabią fizjonomią, która teraz, w świetle reflektora, wydawała się czarna. Lewa ręka wskazywała niebo, a prawa z rozcapierzonymi palcami unosiła się

nad ziemią. Teraz na tej ręce wisiał automat.

- W porządku, dzięki! - krzyknął radośnie wartownik i pewniej przykucnął. - Możecie zgasić!

- Dawaj, dawaj! - dopingowali go z przyczepy. - W razie czego będziemy cię osłaniać!

- Zabierzcie to światło, chłopaki! - błagał kapryśny wartownik.

- Niech pan nie zabiera, panie inżynierze! - poradził ktoś z przyczepy. - On tylko tak żartuje. I regulamin zabrania...

Ale Ellizauer zabrał światło. Było słychać, jak na przyczepie przepychają się i chichoczą. Potem jakichś dwóch zagwizdało marsz.

Wszystko jak zwykle, pomyślał Andrzej. Dzisiaj nawet są jakby weselsi niż zazwyczaj. Ani wczoraj, ani przedwczoraj nie słyszałem takich żartów. Może to dzięki tym domom? Tak, to bardzo możliwe. Przez cały czas pustynia i pustynia, a teraz domy. Przynajmniej można spokojnie spać, wilki nie podejda... Tylko że Vogel nie jest panikarzem. Nie, on nie z tych... Andrzej nagle wyobraził sobie, jak jutro daje rozkaz wymarszu, a oni zbijają się w najeżoną automatami kupę i mówią: "Nie pójdziemy!" Może właśnie dlatego tak im wesoło - wszystko już obgadali, zdecydowali, że jutro Wracają („...a co on nam może zrobić, wymoczek jeden, urzędniczyzna parszywy?...").

I rób tu człowieku, co chcesz, żeby mieli szeznać, to i tak wrócą. A Kechada, drań, z nimi. Od ilu już dni jęczy, że nie ma po co dalej iść... na wieczornych zebraniach patrzy na mnie wilkiem... marzy mu się, że wrócę do Heigera z podwiniętym ogonem...

Andrzeja przeszedł dreszcz. Zimno. Sam jest sobie winien, mięczak jeden, popuścił cugli, demokrata parszywy, narodofil... Trzeba było wtedy tego rudego Chnojpeka postawić pod ścianą, od razu wziąć za pysk całą tę bandę - teraz by chodzili jak w zegarku! Zbiorowy gwałt, w dodatku brutalny, w dodatku na miejscowej, w dodatku na nieletniej... I jak to ten Chnojpek bezczelnie się uśmiechał - bezczelnie, ohydnie, z zadowoleniem - gdy się na nich wydzierałem... i jak pozielenieli, gdy wyjąłem pistolet... Ach, pułkowniku, pułkowniku! Liberał z pana, a nie oficer! "No, po co od razu strzelać, panie radco? Istnieją przecież inne metody wpływania na ludzi!"... Nieee, pułkowniku, jak widać, na takich Chnojpeków innych metod nie ma... A potem to już wszystko zaczęło się rozwalać. Dziewczyna uczepliła się nas, przegapiłem to beznadziejnie (ze zdziwienia?), a potem z jej powodu zaczęły się kłótnie i bijatyki... I znowu, trzeba było zadziałać po pierwszej bójce, postawić kóregoś pod ścianą, a dziewczynie złoić skórę i wypędzić precz z obozu... Tylko dokąd ją wypędzić? Zaczęły się spalone dzielnice, brak wody, pojawiły się wilki...

Na dole ktoś nagle wściekle zaryczał, sypiąc przekleństwami, coś upadło i potoczyło się z hukiem. Z bramy w krąg światła wyleciała zupełnie naga małpa, pacnęła na tyłek, wznosząc tuman kurzu, i zanim zdążyła się pozbierać, z tej samej bramy skoczyła na nią jak tygrys druga małpa, też goła. Szczepiły się, potoczyły po brukowanej ulicy wyjąc, rycząc, chrypiąc, plując i tłukąc się z całych sił.

Andrzej jedną rękę zacisnął na parapecie, drugą bez sensu macał pas, zapominając, że kabura leży na fotelu. W tym momencie z ciemności wyskoczył sierżant Vogel. Nadlatując jak czarna, spocona, gnana huraganem chmura, zawisł nad draniami. Już trzymał jednego za włosy, drugiego za brodę, poderwał ich z ziemi, z suchym trzaskiem uderzył o siebie i odrzucił na boki jak szczeniaków.

- Bardzo dobrze, sierżancie! - rozległ się słaby, ale twardy głos pułkownika. - Przywiązać tych łobuzów na noc do łóżek, a jutro pójda jako straż przednia, poza kolejnością.

- Tak jest, panie pułkowniku - odezwał się sierżant, ciężko dysząc. Spojrzał w prawo, gdzie na bruku bezskutecznie usiłowała się podnieść goła małpa, i niepewnie dodał: - Ośmielam się zameldować, że jeden nie jest od nas. To kartograf Rulier.

Andrzej potrząsnął głową, zwalniając miejsce w krtani, i nieswoim głosem zawołał:

- Kartografa Ruliera do straży przedniej na trzy dni, w pełnym rynsztunku! A jeżeli się to powtórzy,

rozstrzelać obu na miejscu! - W gardle coś go boleśnie ścisnęło. - Rozstrzelać na miejscu każdego łobuza, który ma czelność urządzić bijatyki! - wysyczał.

Doszedł do siebie dopiero przy stole. Za późno, pomyślał, wpatrując się tępo w swoje drżące palce. Za późno. Trzeba było wcześniej ... Ale już wy mi zatańczycie! Będziecie robić, co się wam każe! Połowę każę rozstrzelać... sam rozstrzelam... ale druga połowa będzie chodzić jak w zegarku. Dostyc tego... Dostyc! A Chnojpekowi -kula w łeb przy pierwszej okazji. Kula w łeb!

Sięgnął ręką za plecy, przesunął kaburę z pasem i wyjął pistolet. Lufa była zapchana błotem. Odwiódł zamek, ale nie chciał iść; w końcu dał się odciągnąć do połowy i zaklinował się na amen. Do licha, wszystko ubabrane... Za oknem było bardzo cicho, tylko w oddali stukały po bruku podkute buty wartowników, a na parterze ktoś smarkał i głośno syczał przez zęby.

Andrzej podszedł do drzwi i wyrzwał na korytarz.

- Dagan! - zawołał półgłosem.

W kącie coś zaszeleściło. Andrzej drgnął i przyjrzał się lepiej: to był Niemowa. Siedział w swojej zwykłej pozie, krzyżując i w skomplikowany sposób splatając nogi. Jego oczy lśniły wilgocią w mroku.

- Dagan! - zawołał Andrzej głośnie.

- Idę, sir! - odkrzyknięto z głębi domu. Rozległy się kroki.

- Czemu tu siedzisz? - zapytał Andrzej Niemowę. - Wejdz do pokoju.

Niemowa podniósł szeroką twarz i patrzył na niego bez ruchu. Andrzej wrócił do stołu. Gdy Dagan zapukał i zajrzał do pokoju, polecił:

- Proszę wyczyścić mój pistolet.

- Tak jest, sir - powiedział z szacunkiem Dagan i wziął broń. W drzwiach odsunął się, przepuszczając Izia,

- Aha, lampa! - zawołał Izia, podchodząc prosto do stołu. - Słuchaj, Andrzej, nie mamy więcej takich lamp? Mam już dosyć tej latarki, oczy bolą...

Przez ostatnie dni Izia bardzo schudł. Wszystko na nim wisiało, wszystko było w strzępach. I jechało od niego jak od starego kozła. Zresztą od wszystkich tak jechało. Oprócz pułkownika.

Andrzej patrzył, jak Izia, nie zwracając na nic uwagi, bierze krzesło, siada i przysuwa do siebie lampę. Teraz zaczął wyjmować zza pazuchy stosy jakichś pomiętych, starych papierów i rozkładać je przed sobą. Przy tym jak zwykle lekko podskakiwał na krześle, krążył po papierach wzrokiem, jakby próbował czytać je wszystkie na raz. Od czasu do czasu poszczypywał brodawkę. Ciężko mu się było teraz do niej dostać przez gęstą, kędzierzawą szczecinę, pokrywającą mu policzki, szyję i nawet chyba uszy.

- Słuchaj, może byś się jednak ogolił - oświadczył surowo Andrzej.

- Po co? - zapytał nieuważnie Izia.

- Całe dowództwo się goli - oświadczył surowo Andrzej. - Tylko ty jeden wyglądasz jak strach na wróble.

Izia podniósł głowę i przez chwilę patrzył na Andrzeja, rozchylając szczecinę i pokazując żółte, dawno niemyte zęby.

- Tak? Wiesz co, ja tam nie mam takich ambicji. Popatrz na moją kurtkę.

Andrzej popatrzył.

- Nic by ci się nie stało, gdybyś ją załatał. Jak sam nie umiesz, i daj Daganowi.

- Wydaje mi się, że Dagan i beze mnie ma co robić... A propos, do kogo masz zamiar strzelać?

- Do kogo będzie trzeba - powiedział posepnie Andrzej.

- No, no... - Izia znowu zatopił się w papierach.

Andrzej spojrział na zegarek. Było już za dziesięć. Westchnął, zajrzał pod stół, namacał tam buty, wyjął z nich sztywne skarpetki, powąchał je ukradkiem, potem zadarł prawą nogę i obejrzał startą piętę. Wyglądała już trochę lepiej, ale ciągle bolała. Krzywiąc się, Andrzej włożył brudne skarpetki i poruszał stopą. Skrzywił się jeszcze bardziej i sięgnął po buty. Włożył je, założył pas z pustą kaburą, poprawił i zapiał kurtkę.

- Masz - powiedział Izia i przysunął mu przez stół stertę zapisanych kartek.

- Co to jest? - zapytał Andrzej bez żadnego zainteresowania.

- Papier.

- Aaa... - Andrzej zebrał karteluski i schował do kieszeni kurtki. - Dziękuję.

Izia znowu czytał. Szybko, jak maszyna.

Andrzej przypomniał sobie, jak nie chciał brać Izii na tę ekspedycję - z jego niechlujnym wyglądem stracha na wróble, z jego wyzywająco żydowską twarzą, z jego bezczelnym chichotem, z oczywistą nieprzydatnością do ciężkiego fizycznego wysiłku. Wiedział doskonale, że Izia dostarczy mu masę kłopotów, a pożytku z archiwariusza w warunkach polowych będzie tyle, co kot napłakał. Ale wyszło zupełnie inaczej.

To znaczy, nie do końca. Izia pierwszy obtarł nogi. Od razu obie. Był niemożliwy na wieczornych zebraniach ze swoimi idiotycznymi dowcipami nie na miejscu i nie proszoną poufałością. Trzeciego dnia pochodu udało mu się wpaść do jakiejś piwnicy i trzeba go było z niej wyciągać. Piątego dnia zgubił się i opóźnił wymarsz o kilka godzin.

W czasie potyczki na trzysta czterdziestym kilometrze zachowywał się jak ostatni kretyn i tylko cudem udało mu się przeżyć. Żołnierze z niego kpili, a Kechada ciągle się z nim kłócił. Ellizauer okazał się żydofobem i trzeba było w związku z Izia udzielić mu specjalnego upomnienia... Tak było, ale przy tym wszystkim Izia bardzo szybko stał się najbardziej popularną osobą wśród członków ekspedycji, no może poza pułkownikiem. A w pewnym sensie może nawet bardziej popularną.

Po pierwsze, umiał znaleźć wodę. Geolodzy długo i na próżno szukali źródeł, wiercili w skałach, pocili się, Organizowali wykańczające wyprawy w czasie postojów. Izia po prostu siedział na przyczepie pod koszmarnym parasolem-samoróbką i grzebał w starych papierach, których nazbierało się już kilka skrzyń. I cztery razy przepowiedział, gdzie szukać podziemnych cystern. Co prawda jedna z nich była wyschnięta, a w drugiej woda zdążyła stęchnąć, ale dwa razy ekspedycja miała wspaniałą wodę. Tylko i wyłącznie dzięki Izii.

Po drugie, znalazł magazyn oleju solarowego. Po tym fackie antysemityzm Ellizauera stał się raczej pojęciem abstrakcyjnym. "Nienawidzę parchów - mówił do swojego głównego mechanika. - Nie ma na świecie nic gorszego od parcha. Ale nigdy nic nie miałem przeciwko Żydom! Weź na ten przykład Katzmana"...

Dalej. Izia wszystkim dostarczał papieru. Zapasy srajtaśmy skończyły się od razu po pierwszym ataku dolegliwości żołądkowych. I wtedy popularność Izii - jedynej posiadacza i stróża papierowych bogactw, w miejscu gdzie nie tylko łopianu, ale nawet kępki trawy nie było - wtedy popularność Izii sięgnęła szczytów.

Nie minęły nawet dwa tygodnie, gdy Andrzej z pewną zazdrością zauważył, że Izie lubią. Wszyscy. Nawet żołnierze, co już było absolutnie niepojęte. Podczas postojów tłoczyli się wokół niego i z otwartymi ustami słuchali jego paplaniny. Z własnej woli i z wyraźną ochotą przenosili z miejsca na miejsce jego metalowe skrzynie z dokumentami. Skarżyli mu się i wywnętrzali się przed nim, jak uczniowie przed ulubionym nauczycielem. Vogla nienawidzili, przed pułkownikiem drżeli, z naukowcami się bili, z Izia - śmiali się. Już nie z niego - z nim!... "Wie pan co, Katzman - powiedział pewnego dnia pułkownik. - Nigdy nie rozumiałem, po co są w wojsku potrzebni komisarze. Sam

nigdy nie miałem komisarza, ale pana to bym chyba wziął"...

Izia skończył przeglądać jedną stertę papierów i wyjął zza pazuchy drugą.

- Jest coś ciekawego? - zapytał Andrzej. Nie dlatego że naprawdę go to interesowało, po prostu chciał jakoś wyrazić czułość, którą nagle poczuł do tego niezgrabnego, niechlujnego, a nawet nieprzyjemnego z wyglądu człowieka.

Izia nie zdążył odpowiedzieć - zdążył tylko pokręcić głową. Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł pułkownik Saint-James.

- Pozwoli pan, panie radco? - zapytał.

- Oczywiście, pułkowniku - odpowiedział Andrzej, podnosząc się. - Dobry wieczór.

Izia zerwał się i podsunął pułkownikowi fotel.

- Bardzo miło z pańskiej strony, komisarzu - powiedział pułkownik i powoli, w dwóch etapach, usiadł. Wyglądał jak zwykle - starannie ubrany, świeży, pachnący wodą kolońską i dobrym tytoniem. Tylko policzki ostatnio trochę mu się zapadły, a wpadniętych oczu niemal nie było już widać. I zamiast swojej szpicruty nosił długą czarną laskę, na której opierał się, gdy stał.

- Ta skandaliczna bójka pod oknami... - zaczął pułkownik. - Muszę pana przeprosić, panie radco, za mojego żołnierza.

- Miejmy nadzieję, że to była ostatnia bójka - odparł posępnie Andrzej. - Nie mam zamiaru dłużej tego tolerować.

Pułkownik z roztargnieniem pokiwał głową.

- Żołnierze zawsze się biją - zauważył. - W armii brytyjskiej nawet się to popiera. Duch walki, zdrowa agresja i tak dalej... Ale oczywiście ma pan rację. W tak trudnych polowych warunkach to niedopuszczalne. - Odchylił się w fotelu, wyjął fajkę i zaczął ją powoli nabijać. - A potencjalnego przeciwnika w dalszym ciągu nie widać, panie radco! - powiedział żartobliwie. - Przewiduję w związku z tym poważne komplikacje dla mojego biednego sztabu generalnego. Dla panów polityków również, jeśli mam być szczery...

- Wręcz przeciwnie! - wykrzyknął Izia. - Właśnie teraz nastaną dla nas wszystkich najbardziej gorące dni! Ponieważ prawdziwego przeciwnika nie ma, trzeba go koniecznie wymyślić. A jak uczy historia, najbardziej niebezpieczny przeciwnik to przeciwnik wymyślony. Zapewniam pana, że to będzie prawdziwy potwór. Trzeba dwukrotnie zwiększyć stan liczebny armii.

- Ach tak? - powiedział pułkownik tym samym żartobliwym tonem. - Interesujące, kto go wymyśli? Czy przypadkiem nie pan, drogi komisarzu?

- Pan! - zawołał Izia triumfalnie. - Przede wszystkim pan - zaczął zaginać palce. - Po pierwsze, będziecie musieli stworzyć przy sztabie wydział propagandy politycznej...

Do drzwi ktoś zapukał i zanim Andrzej zdążył odpowiedzieć, wszedł Kechada z Ellizauerem. Kechada był ponury, Ellizauer uśmiechał się tajemniczo spod sufitu.

- Siadajcie, panowie - zaproponował chłodno Andrzej. Postukał po stole knykciami palców i zwrócił się do Izii: - Katzman, zaczynamy.

Katzman przerwał w pół słowa i z gotowością odwrócił się do Andrzeja, przekładając rękę przez oparcie fotela. Pułkownik znowu się wyprostował i położył ręce na gałce laski.

- Proszę, Kechada - powiedział Andrzej.

Kierownik odcinka naukowego siedział przed nim, szeroko rozstawiając grube jak u sztangisty nogi, żeby nie pocić się w kroku, a Ellizauer jak zawsze usiadł za jego plecami i schylił się, żeby za bardzo nie wystawać.

- Jeśli chodzi o geologię, to nic nowego - zaczął ponuro Kechada. - Glina i piasek. Żadnych śladów wody. Tutejszy wodociąg wysechł dawno temu. Może właśnie dlatego stąd odeszli, nie

wiem... Dane dotyczące słońca, wiatru i tak dalej... - wyjął z kieszeni na piersi kartkę papieru, rzucił Andrzejowi. - To na razie wszystko.

Andrzejowi nie spodobało się to "na razie", ale tylko kiwnął głową i popatrzył na Ellizauera.

- Transport?

Ellizauer wyprostował się i zaczął mówić nad głową Kechady:

- Przeszliśmy dzisiaj trzydzieści osiem kilometrów. Traktor numer dwa trzeba będzie zostawić, silnik wymaga generalnego remontu. Bardzo mi przykro, panie radco, ale niestety.

- Tak - mruknął Andrzej. - Co to znaczy remont generalny?

- Dwa, trzy dni - odparł Ellizauer. - Trzeba będzie wymienić część zespołów, a pozostałe doprowadzić do porządku. Może to nawet potrwać cztery dni. Albo pięć.

- Albo dziesięć - powiedział Andrzej. - Proszę dać mi raport.

- Albo dziesięć - zgodził się Ellizauer, przez cały czas uśmiechając się tajemniczo. Nie wstając, podał swój raport nad ramieniem Kechady.

- Żartuje pan sobie? - Andrzej starał się mówić spokojnie.

- O co chodzi, panie radco? - przestraszył się Ellizauer. Albo udawał, że się przestraszył.

- Trzy dni albo dziesięć dni, panie specjalisto?

- Bardzo mi przykro, panie radco... - wymamrotał Ellizauer. - Boję się podać dokładną liczbę... Nie jesteśmy w garażu, a poza tym mój Permiak ma jakąś wysypkę, a dzisiaj przez cały dzień wymiotował. .. To mój główny mechanik, panie radco.

- A pan? - zapytał Andrzej.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy. Inna sprawa, że w naszych warunkach... mam na myśli warunki polowe...

Przez jakiś czas jeszcze mamrotał coś o mechanikach, dźwigu, którego ze sobą nie wzięli, a przecież on uprzedzał... o wiertarce, której niestety tu nie ma, znowu o mechaniku i jeszcze coś o tłokach i sworzniach... Mówił coraz ciszej, coraz mniej wyraźnie i w końcu zamilkł. Andrzej przez cały czas patrzył mu w oczy. Było oczywiste, że ten długi, tchórzliwy cwaniak zaplątał się we własne kłamstwa, sam to już zrozumiał i spostrzegł, że wszyscy już o tym wiedzą; teraz próbuje jakoś to odkręcić i nie umie, ale i tak ma zamiar twardo trzymać się swoich kłamstw. Aż do ostatecznego zwycięstwa.

Andrzej opuścił oczy i zaczął wpatrywać się w jego raport, w wielkie, koślawe bazgroły, ale nic nie widział i nic nie rozumiał. Spisek, pomyślał z rozpaczą. Oni też spiskują. No i co ja mam teraz z wami zrobić?... Szkoda, że nie mam pistoletu... Trzasnąć Ellizauera... albo zastraszyć tak, żeby się zesrał... Nie, lepiej Kftchadę. To on jest przywódcą. Wszystko chce zwalić na mnie... Całe to śmierdzące przedsięwzięcie chce zwalić na mnie jednego... kanalia, tłusty wieprz... Miał ochotę się wrzasnąć i z całych sił uderzyć pięścią w stół.

Milczenie robiło się nie do zniesienia. Izia nagle nerwowo za-wiercił się na krześle i zaczął mamrotać:

- O co właściwie chodzi? W końcu nie mamy się dokąd spieszyć. Zrobimy przystanek... W budynkach mogą być dokumenty. Wody tu, co prawda nie ma, ale po wodę możemy wysłać naprzód grupę...

W tym momencie przerwał mu Kechada:

- Brednie - rzucił ostro. - Dostyc tego gadania, panowie. Postawmy wreszcie kropkę nad i. Wody nie znaleźliśmy. Nafty również. Zresztą nie mogliśmy jej znaleźć przy takiej organizacji zwiadów. Lecimy jak opętani, ludzi wykończyliśmy, zniszczyliśmy maszyny. O dyscyplinie nie chcę nawet mówić - karmimy różne przybłędy, ciągniemy ze sobą jakichś typów rozprzestrzeniających plotki...

Nadziei nie ma już dawno, wszyscy mają wszystko gdzieś. Ludzie nie chcą dalej iść, nie rozumieją po co, i my nie wiemy, co im powiedzieć. Dane kosmograficzne nie są warte funta kłaków: przygotowaliśmy się do biegunowego zima, a zajęliśmy na rozpaloną pustynię. Skład ekspedycji został źle dobrany - od Sasa do Łasa. Jeśli chodzi o lekarstwa, jest jeszcze gorzej. W rezultacie mamy to, czego mogliśmy się spodziewać: morale upada, żadnej dyscypliny, cichy opór, a wkrótce możemy się spodziewać buntu. To wszystko.

Kechada umilkł, wyjął papierosa i zapalił.

- Co pan właściwie proponuje, Kechada? - zapytał Andrzej kamiennym głosem. Nienawistna twarz z grubymi węsami pływała przed nim w pajęczynie jakichś linii. Miał ogromną ochotę mu przyłożyć. Lampą. Prosto w węży...

- Według mnie to oczywiste - odrzekł z pogardą Kechada. - Zawracamy. I to natychmiast. Póki jesteśmy cali.

Spokojnie, mówił do siebie Andrzej. Teraz tylko spokój. Jak najmniej słów. W żadnym razie nie kłócić się. Spokojnie słuchać i milczeć. Ale bym mu przyłożył!...

- Rzeczywiście - odezwał się Ellizauer. - Jak długo można iść? Moi ludzie pytają mnie: co to będzie, panie inżynierze? Mówiło się, że będziemy iść, dopóki słońce nie siądzie na horyzoncie. A ono jest coraz wyżej. Potem się mówiło, że dopóki nie będzie w zenicie... I znowu - nie podnosi się, nie dochodzi do zenitu, tylko skacze, to w dół, to w górę...

Tylko się nie kłócić, powtarzał w myśli Andrzej. Niech sobie pogadają. To nawet może być ciekawe, co oni jeszcze wymyślą... Pułkownik nie zdradzi, a to wojsko decyduje o wszystkim. Wojsko! Czyżby to oni namówili Vogla, łajzy?

- No, a pan co? - zapytał Izia Ellizauera. - Co pan?

- Jak to, co ja?

- Że oni pana pytają, to rozumiem, ale co pan im odpowiada?

Ellizauer wzruszył ramionami i uniósł rzadkie brwi.

- Dziwi mnie pana pytanie... - mamrotał przy tym. - A co ja mogę im odpowiedzieć? Też chciałbym wiedzieć, co powinienem im odpowiedzieć!

- To znaczy, że nic im pan nie odpowiada?

- A co ja mam mówić? Co?! Mówię, że dowództwo widocznie ma swój e racje...

- Też mi odpowiedź! - wykrzyknął Izia, wytrzeszczając oczy. - Takimi odpowiedziami całą armię można rozwalić, nie tylko kilku kierowców... Wiecie, chłopaki, ja to bym nawet zaraz wracał, ale ten drań dowódca nie puszcza... A pan, czy pan w ogóle wie, po co my idziemy? Przecież jest pan ochotnikiem, nikt pana nie zmuszał!

- Słuchajcie, Katzman - próbował mu przerwać Kechada. - Wróćmy do rzeczy...

Izia nawet na niego nie spojrzał.

- Wiedział pan, że będzie ciężko, Ellizauer? Wiedział pan. Wiedział pan, że nie idziemy po pierniczki? Wiedział. Wiedział, że Miasto potrzebuje tej ekspedycji? Wiedział, jest pan wykształconym człowiekiem, inżynierem... Wiedział pan o rozkazie: iść, dopóki starczy paliwa i wody? Doskonale pan o tym wiedział, Ellizauer!

- Przecież nie mówię, że nie! - zaczął szybko przestraszony Ellizauer. - Wyjaśniam tylko, że moje wyjaśnienia... to znaczy, że nie wiem do końca, co im odpowiadać, dlatego że przecież mnie pytają...

- Niech pan przestanie kręcić, Ellizauer! - powiedział stanowczo Izia. - Sprawa jest jasna: boi się pan dalej iść, prowadzi pan moralny sabotaż, zdemoralizował pan własnych podwładnych, a teraz przyleciał się pan tutaj poskarżyć... A przecież pan nie męczy za bardzo nóg. Przez cały czas w samochodzie...

Dawaj, Izia, dawaj, kochany! myślał Andrzej z rozrzewaniem. Wlep mu, draniowi, wlep! Już się zesrał, zaraz poprosi do klozetu...

- I w ogóle nie rozumiem, z jakiego powodu ta cała panika - ciągnął Izia tym samym tonem. - Geologia zawiodła? Bóg z nią, poradzimy sobie i bez niej. Bez kosmografii też sobie damy radę... Czy nie jest oczywiste, że najważniejszym naszym zadaniem jest zbadanie terenu, zebranie informacji? Jestem przekonany, że ekspedycja zrobiła już bardzo dużo, a może zrobić jeszcze więcej. Traktor się zepsuł? To nic. Niech go naprawiają, dwa czy dziesięć dni, nie wiem - zostawimy tu najbardziej zmęczonych i chorych, a drugim traktorem powoli pojedziemy dalej. Jak znajdziemy wodę, to się zatrzymamy i poczekamy na tamtych. To takie proste, nie ma tu nic...

- Tak, oczywiście, to bardzo proste, Katzman - powiedział zgryźliwie Kechada. - A nie chce pan przypadkiem kuli w plecy? Albo w łeb? - Za bardzo się pan zatopił w swoich archiwach, nie widzi pan, co się dzieje dookoła. Żołnierze dalej nie pójdą. Wiem o tym, słyszałem, jak rozmawiali...

Ellizauer nagle wyrósł za jego plecami i mamrocząc niezrozumiałe przeprosiny, wyszedł z pokoju. Szczur, pomyślał ze złośliwą radością Andrzej. Tchórz parszywy. Kabel...

Kechada jakby nic nie zauważył.

- Spośród moich geologów mogę liczyć tylko na jednego - ciągnął. - Na żołnierzy i kierowców w ogóle nie można liczyć. Oczywiście, możecie rozstrzelać jednego czy dwóch dla przykładu, możliwe nawet, że to pomoże. Nie wiem. Raczej wątpię. I nie jestem pewien, czy macie moralne prawo tak postępować. Oni nie chcą iść, bo czują się oszukani dlatego, że ta wyprawa nic im nie dała, a teraz to już nawet nie wierzą, że mogłaby im coś dać. Ta piękna legenda, którą tak sprytnie wymyślił pan Katzman, legenda o Kryształowym Pałacu, przestała działać. Większą popularnością cieszą się, Katzman, inne legendy...

- Że co? - Izia zająknął się z oburzenia. - Ja nic nie wymyślałem!...

Kechada opędził się od niego niemal dobrodusznie.

- Dobrze, dobrze, teraz to już i tak nie ma znaczenia. Teraz stało się jasne, że Pałacu nie będzie, a więc nie ma o czym mówić... Doskonale wiecie, moi panowie, że trzy czwarte waszych ochotników szło na tę wyprawę tylko i wyłącznie po łup. A co dostali zamiast niego? Krwawą biegunkę i zawszoną idiotkę do nocnych rozrywek. .. Ale nawet nie o to chodzi. Nie dość, że są rozczarowani, to jeszcze się boją. Podziękujmy panu Katzmanowi. Podziękujmy panu Pakowi, któremu tak uprzejmie zaproponowaliśmy udział w ekspedycji. Dzięki staraniom tych dwóch panów ludzie zbyt dużo wiedzą o tym, co nas czeka, jeśli pojedziemy dalej. Boją się trzynastego dnia. Boją się mówiących wilków... Nie dość było zwykłych wilków - obiecano nam jeszcze mówiące! Boją się żelaznogłowych... A biorąc pod uwagę to, co już widzieli - niemowy z wyciętymi językami, porzucone obozy koncentracyjne, zdziczałych kretynów, którzy modlą się do źródeł, i dobrze uzbrojonych kretynów, którzy ni z tego, ni z owego strzelają zza rogu... Biorąc pod uwagę to, co zobaczyli dzisiaj, w tych domach - te kości w zabarykadowanych mieszkaniach... Wszystko to razem daje piękny, pouczający obraz! I jeśli wczoraj żołnierz najbardziej na świecie bał się sierżanta Vogla, to dzisiaj przestał - są na świecie rzeczy bardziej przerażające...

Kechada w końcu zamilkł i, nabierając tchu, otarł pot z tłustej twarzy. Wtedy pułkownik, unosząc ironicznie jedną brew, powiedział:

- Mam wrażenie, że pan również jest nieźle przestraszony, panie Kechada. A może się mylę?

Kechada spojrział na niego kątem czerwonego oka.

- O mnie proszę się nie bać, pułkowniku - zawarczał. - Jeśli się czegoś boję, to właśnie kuli w plecy. Za niewinność. Od ludzi, którym współczuję.

- Ach tak? - powiedział pułkownik. - No cóż... Nie mnie sądzić o znaczeniu tej ekspedycji i nie ja

będę-mówić kierownikowi ekspedycji, jak ma postępować. Do mnie należy wypełnianie poleceń. Jednakże uważam za swój obowiązek powiedzieć, że wszystkie te rozważania o buncie i nieposłuszeństwie to przelewanie z pustego w próżne. Niech pan pozostawi moich żołnierzy mnie, panie Kechada! Jeśli pan sobie życzy, może mi pan również powierzyć tych z pańskich geologów, którym pan nie ufa. Zajmę się nimi z przyjemnością... Muszę zwrócić pańską uwagę, panie radco - z tą samą zabójczą uprzejmością kontynuował pułkownik, zwracając się do Andrzeja - że dzisiaj zbyt wiele mówią o żołnierzach te osoby, które oficjalnie nie powinny mieć z nimi nic wspólnego ...

- O żołnierzach mówią te osoby - przerwał mu ze złością Kechada - które na okrągło z nimi pracują, jedzą i śpią...

W zapadłej ciszy dał się słyszeć skrzyp skórzanego fotela: pułkownik wyprostował się zupełnie. Jakiś czas milczał. Cichutko uchyliły się drzwi, wszedł smutnie uśmiechnięty Ellizauer i, lekko się kłaniając, przekradł się do swojego miejsca.

No! niecierpliwił się Andrzej, wpatrując się w pułkownika. No! Przywał mu! Po wąsach! Po mordzie go, po mordzie!...

W końcu pułkownik odezwał się:

- Muszę również zwrócić pańską uwagę, panie radco, na to, że wśród pewnej części dowództwa daje się dzisiaj zauważyć otwartą przychylność, mało tego, pobłażanie zupełnie zrozumiałym i naturalnym, ale jednak absolutnie niepożądanym nastrojom wśród najniższych rangą żołnierzy. Jako starszy oficer chciałbym oznajmić, co następuje: jeśli ta pobłażliwość i przychylność przyjmą jakiegokolwiek formy praktyczne, będę postępować z pobłażającymi i sprzyjającymi w sposób przyjęty w warunkach polowych. Co się zaś tyczy innych spraw, mogę pana zapewnić, panie radco, że wojsko będzie nadal wypełniać wszystkie pańskie rozkazy.

Andrzej ukradkiem odetchnął i z zadowoleniem popatrzył na Kechadę. Kechada, krzywo uśmiechnięty, przypalał nowego papierosa od niedopałka poprzedniego. Ellizauera w ogóle nie było widać.

- A jak się właściwie postępuje z pobłażającymi i przychylnymi w warunkach polowych? - zapytał ogromnie zaintrygowany Izia, również bardzo zadowolony.

- Wiesz się ich - odparł sucho pułkownik.

Znowu zapadła cisza. No tak, pomyślał Andrzej. Mam nadzieję, że wszystko jest dla pana jasne, panie Kechada? Albo może ma pan jakieś pytania? A skąd! Jakie pan mógłby mieć pytania? Wojsko! Wojsko decyduje o wszystkim, moi drodzy... A ja i tak nic nie rozumiem, pomyślał. Skąd on ma taką pewność? Albo może to tylko maska, panie pułkowniku? Ja też wyglądam na pewnego siebie. W każdym razie powinienem tak wyglądać. Muszę.

Popatrzył spode łba na pułkownika. Ten dalej siedział wyprostowany, trzymając w zaciśniętych zębach wygasłą fajkę. Był bardzo blady. Może ze złości... Do licha, do licha, pomyślał w panice Andrzej. Długi postój! Jak najszybciej! I niech Katzman znajdzie mi wodę. Dużo wody. Dla pułkownika. Tylko dla pułkownika. Począwszy od dzisiejszej nocy dla pułkownika podwójna porcja wody!

Ellizauer, skrzywiony, wysunął się zza grubego ramienia Kechady i żałośnie zaskrzypiał:

- Proszę o pozwolenie... Muszę znowu...

- Niech pan siada - powiedział Andrzej. - Już kończymy. - Odchylił się na oparcie i oparł ręce na poręczach. - Rozkaz na jutro. Ogłasza się długi postój. Ellizauer! Wszystkie siły na naprawienie traktora. Daję panu trzy dni, proszę, żebyście zdążyli. Kechada. Jutro przez cały dzień ma się pan zajmować chorymi. Pojutrze niech pan się przygotowuje na daleki zwiad. Katzman, pojedzie pan z nami... Potrzebujemy wody! - postukał palcami po stole. - Wody, Katzman! Panie pułkowniku! Jutro

rozkazuję panu odpoczywać. Pojutrze przejmie pan dowodzenie obozem. To wszystko, panowie. Jesteście wolni.

Rozdział 2

Świecąc sobie pod nogi latarką, Andrzej pospiesznie wszedł na kolejne piętro - zdaje się, że już czwarte. Cholera, nie zdążę... Przystanął i napiął się cały, przeczekując ostry atak. W żołądku coś się z głuchym burczeniem zakotłowało, trochę mu ulżyło. Do diabła, wszystkie piętra zasrane, nie ma gdzie stanąć. Dopadł półpiętra i pchnął pierwsze drzwi. Otworzyły się ze skrzypieniem. Andrzej wcisnął się do środka i pociągnął nosem. Tak jakby w porządku... Poświecił latarką. Na rozeschniętym parkiecie, wśród zaskorupałych łachmanów, białą kości i szczyrzyła zęby oblepiona kępkami włosów czaszka. No jasne, zajrzeli i się przestraszyli... Andrzej niemal biegł korytarzem. Pokój gościnny... coś w rodzaju sypialni... Do licha, gdzie jest toaleta? A, tutaj...

Potem, już spokojny, chociaż ból w żołądku i tak nie ucichł do końca, zlany zimnym, lepkiem potem, znowu wyszedł na korytarz, zapiął w ciemności rozporek i wyjął z kieszeni latarkę. Niemowa już tu był - stał oparty ramieniem o jakąś polerowaną, niesamowicie wysoką szafę. Duże, białe dłonie wsunął za pas.

- Pilnujesz? - zapytał Andrzej z nieuważną dobroduszością. - Pilnuj, pilnuj, bo jak mnie zza rogu zdzielią czymś ciężkim przez łeb, to co zrobisz?

Złapał się na tym, że przyzwyczaił się rozmawiać z tym dziwnym człowiekiem jak z wielkim psem. Poczucił się głupio. Po przyjacielsku poklepał Niemowę po nagim, chłodnym ramieniu i teraz, już bez pośpiechu, zaczął chodzić po mieszkaniu, świecąc latarką na prawo i lewo. Z tyłu słychać było miękkie kroki Niemowy, który cały czas utrzymywał tę samą odległość.

To mieszkanie wyglądało jeszcze bardziej luksusowo. Mnóstwo pokoiów, zapchanych ciężkimi, zabytkowymi meblami, potężne żyrandole, ogromne, pociemniałe obrazy w muzealnych ramach. Prawie wszystkie meble były pomszczone - fotele miały poodrywane poręcze, krzesła wały się bez nóg i bez oparc, szafy stały z wyrwanymi drzwiczkami. Palili tymi meblami czy co? pomyślał Andrzej. W taki upał? Dziwne...

Dom w ogóle był, prawdę powiedziawszy, dość dziwny - mógł zrozumieć żołnierzy. Niektóre mieszkania, otwarte na oścież, były po prostu puste - nic, gołe ściany. Inne zamknięto od wewnątrz, czasem nawet zabarykadowano meblami. Jeśli udało się wedrzeć do środka, okazywało się, że na podłodze leżą ludzkie kości. Tak samo wyglądały mieszkania w sąsiednich domach i można było przypuszczać, że inne domy w tej dzielnicy nie różnią się pod tym względem.

To wszystko nie miało w ogóle żadnego sensu - nawet Izia Katzman nie umiał wymyślić żadnego logicznego wyjaśnienia, dlaczego jedni mieszkańcy uciekli, zabierając ze sobą wszystko, co mogli unieść, nawet książki, a inni zabarykadowali się w swoich mieszkaniach, żeby tam umrzeć z głodu i pragnienia. A może z zimna - w niektórych mieszkaniach znaleziono żalosne imitacje żelaznych piecyków, a w innych ogień palono albo wprost na podłodze, albo na kawałkach zardzewiałej blachy, najprawdopodobniej zerwanych z dachu.

- Rozumiesz, co tu się stało? - zapytał Andrzej Niemowę.

Ten powoli pokręcił głową.

- Byłeś tu już kiedyś?

Niemowa kiwnął.

- Mieszkał tu wtedy ktoś?

Nie - pokazał Niemowa.

- Jasne... - wymamrotał Andrzej, próbując zorientować się, co przedstawia poczerńiały obraz. Zdaje się, że to portret. Chyba jakaś kobieta.

- Czy to niebezpieczne miejsce? - zapytał.

Niemowa patrzył na niego znieruchomiałym oczami.

- Rozumiesz pytanie?

Tak.

- Możesz odpowiedzieć?

Nie.

- Dobrze i to - powiedział w zadumie Andrzej. - To znaczy, że może nie jest źle. Chodź, idziemy do domu.

Wrócili na pierwsze piętro. Niemowa został w swoim kącie, a Andrzej poszedł do siebie. Koreańczyk Pak już na niego czekał, rozmawiając z Izią. Na widok Andrzeja umilkł i wstał.

- Niech pan siada, Pak - powiedział Andrzej i sam też usiadł. Pak odczekał chwile, i ostrożnie opadł na krzesło, kładąc ręce na kolanach. Jego żółta twarz była spokojna, senne oczy lśniły wilgotnym blaskiem przez szparki pomiędzy spuchniętymi powiekami. Pak zawsze podobał się Andrzejowi, może dlatego że w jakiś sposób przypominał Kaneko, a może po prostu dlatego że zawsze schludnie wyglądał, był serdeczny, ale bez poufałości, małowówny, ale grzeczny i uprzejmy - zawsze trochę na dystans... A może dlatego że to właśnie on, Pak, przerwał to idiotyczne starcie na trzysta czterdziestym kilometrze - w samym środku strzelaniny wyszedł z ruin, uniósł do góry otwartą dłoń i powoli ruszył w stronę wystrzałów... - Nie obudzono pana, Pak? - zapytał Andrzej.

- Nie, panie radco. Jeszcze się nie kładłem.

- Żołądek boli?

- Nie bardziej niż innych.

- Ale pewnie i nie mniej... - zauważył Andrzej. - A jak tam pańskie nogi?

- Lepiej niż u innych.

- To dobrze - powiedział Andrzej. - A ogólnie jak się pan czuje? Bardzo zmęczony?

- Wszystko w porządku, dziękuję panu, panie radco.

- To dobrze - powtórzył Andrzej. - Zastanawia się pan zapewne, dlaczego pana niepokoję. Na jutro ogłoszono początek długiego postoju. Ale pojutrze chciałbym z grupą specjalną przeprowadzić rozpoznanie. Jakies pięćdziesiąt, siedemdziesiąt kilometrów naprzód. Musimy znaleźć wodę, panie Pak. Będziemy szli bez bagażu, ale szybko.

- Rozumiem, panie radco. Proszę o pozwolenie przyłączenia się.

- Dziękuję. Chciałem pana o to prosić. A więc wyruszamy pojutrze, o szóstej rano. Prowiant i wodę dostaniecie od sierżanta. Wszystko jasne? A teraz... Jak pan sądzi, uda nam się znaleźć tu wodę?

- Myślę, że tak - powiedział Pak. - Słyszałem coś niecoś o tych rejonach. Gdzieś tutaj powinno się znajdować źródło. Podobno kiedyś było bardzo obfite, teraz zapewne nieco wyschło. Ale możliwe, że dla naszego obozu wystarczy. Trzeba będzie zobaczyć.

- A może ono zupełnie wyschło? Pak pokręcił głową.

- To możliwe, ale bardzo mało prawdopodobne. Nigdy nie słyszałem o źródłach, które zupełnie wysychają. Ujście wody może się zmniejszyć, i to nawet dość poważnie, ale nie wyschnąć.

- W dokumentach nie znalazłem na razie nic pożytecznego - wtrącił się Izia. - Wodę do miasta dostarczano akweduktem, a teraz ten akwedukt jest suchy jak... jak nie wiem co.

Pak nic nie powiedział.

- A co pan jeszcze słyszał o tych terenach?

- Różne mniej lub bardziej przerażające rzeczy - powiedział Pak. - Część z nich to oczywiście wymysły. Co się zaś tyczy pozostałych pogłosek... - wzruszył ramionami.

- No, na przykład? - zapytał dobrodusznie Andrzej.

- Właściwie już panu to wszystko opowiadałem, panie radco. Na przykład to, że gdzieś niedaleko stąd jest tak zwane miasto Żelaznogłowych. Ale kim są ci Żelaznogłowi, nie rozumiałem... Krwawy wodospad - ale do niego jest jeszcze, zdaje się, dość daleko. Najprawdopodobniej chodzi o potok, który rozmywa jakąś czerwoną skałę. W każdym razie będzie tam dużo wody... Słyszałem legendy o mówiących zwierzętach - ale to już na pograniczu bajek. A o tym, co znajduje się poza tym pograniczem, nie ma nawet co mówić... Zresztą, Eksperyment to Eksperyment.

- Zapewne ma pan dość tego typu pytań - uśmiechnął się Andrzej. - Wyobrażam sobie, jakie to musi być dla pana nudne, powtarzać w kółko to samo. Ale niech nam pan wybaczy, panie Pak. Z nas wszystkich pan jest najlepiej poinformowany.

Pak znowu wzruszył ramionami.

- Niestety, moje informacje nie są wiele warte - powiedział sucho. - Większość plotek nie znajduje potwierdzenia. I na odwrót - spotykamy się z rzeczami, o których nigdy nie słyszałem... Jeżeli zaś chodzi o wypytywanie - to nie wydaje się panu, panie radco, że szeregowi uczestnicy ekspedycji znają za dużo plotek? Ja odpowiadam tylko na pytania dowódców. Uważam, panie radco, za niesłuszne, że żołnierze i inni szeregowi pracownicy wiedzą o tych wszystkich plotkach. To może mieć zły wpływ na morale.

- Zgadza się z panem w zupełności. - Andrzej starał się nie odwracać wzroku. - I wolałbym, żeby krążyło więcej plotek o rzekach płynących miodem i mlekiem.

- Tak - powiedział Pak. - Dlatego, gdy żołnierze mnie o coś pytają, staram się pomijać nieprzyjemne tematy i głośić przede wszystkim legendę o Kryształowym Pałacu... Co prawda, ostatnio nie chcą już o nim słuchać. Wszyscy bardzo się boją i chcą wracać do domu.

- Pan też? - zapytał Andrzej ze współczuciem.

- Ja nie mam domu - odparł spokojnie Pak. Jego twarz była nieprzenikniona, oczy zrobiły się bardzo senne.

- Taak... - Andrzej zabębnił palcami po stole. - No cóż, panie Pak. Jeszcze raz dziękuję. Teraz proszę odpocząć. Dobrej nocy.

Odprowadził wzrokiem opięte wyblakłą błękitną serżą plecy, poczekał, aż zamkną się drzwi, i powiedział:

- Chciałbym wiedzieć, dlaczego on poszedł z nami?

- Jak to dlaczego? - drgnął Izia. - Sami nie mogli zorganizować zwiadu, to przyłączyli się do ciebie...

- A po co im właściwie zwiad?

- Cóż, mój drogi, nie każdemu podoba się panowanie Heigera tak jak tobie! Przedtem nie chcieli panowania mera - to cię nie dziwi? A teraz nie chcą panowania prezydenta. Chcą żyć sami dla siebie, rozumiesz?

- Rozumiem. Tylko że moim zdaniem nikt im tego nie zabrania.

- Twoim zdaniem - odpowiedział Izia. - Ale nie ty jesteś prezydentem.

Andrzej sięgnął do metalowej skrzyni, wyjął płaską piersiówkę ze spirytusem i odkręcił nakrętkę.

- Czy ty sobie wyobrażasz - powiedział Izia - że Heiger pozwoli na to, żeby pod jego boki powstała dobrze uzbrojona, silna kolonia? Dwie setki zahartowanych, twardych facetów zaledwie trzysta kilometrów od Szklanego Domu... To oczywiste, że nie da im żyć. A to oznacza, że muszą pójść dalej na północ. Dokąd?

Andrzej ochlapał spirytusem ręce i z całych sił zaczął je rozcierać.

- Boże, jak mam dosyć tego brudu... - zamamrotał ze wstrętem. - Nie masz pojęcia...

- Taak, brud - powiedział Izia z roztargnieniem. - Brud to nie cukier... Powiedz mi, czemu ty przez

cały czas czepiasz się Paka? Co on ci zrobił? Znam go od dawna, niemal od pierwszego dnia. To szalenie uczciwy, bardzo kulturalny człowiek. Coś się go uczeplił? Tylko twoją zwierzęcą nienawiścią do inteligencji można wytłumaczyć te nie kończące się jezuickie przesłuchania. Jeśli już tak koniecznie musisz wiedzieć, kto rozprzestrzenił plotki, to przesłuchuj swoich informatorów, Pak nie ma z tym nic wspólnego...

- Nie mam informatorów - odparł zimno Andrzej.

Zamilkli. Potem Andrzej nieoczekiwanie dla samego siebie powiedział:

- Szczerze?

- No? - zapytał chciwie Izia.

- Cóż, ostatnio mam wrażenie, że ktoś chce przerwać naszą ekspedycję. Zupełnie przerwać, rozumiesz? Nie chodzi o to, żebyśmy zawrócili i poszli do domu, lecz o to, żeby nas zabić. Zniszczyć. Żebyśmy przepadli bez wieści.

- Noo, stary!... - zawołał Izia. Jego palce ze skrzypem grzebały w brodzie, szukając brodawki.

- Tak, tak! Przez cały czas próbuję zrozumieć, komu na tym zależy, i wychodzi na to, że zależy na tym twojemu Pakowi. Cicho! Pozwól mi mówić! Jeśli przepadniemy bez wieści, Heiger niczego się nie dowie - ani o kolonii, ani o niczym innym... A drugą taką ekspedycję nieprędko zorganizuje. I wtedy nie będą musieli iść na północ, porzucać zagranego miejsca... Tak mi właśnie wychodzi, rozumiesz?

- Moim zdaniem, oszalałeś! - zawołał Izia. - Skąd ci się to wzięło? Jeśli chodzi o zawrócenie, to do tego nie trzeba żadnych przeczuć. Wszyscy chcą wracać... Ale skąd ci przyszło do głowy, że chcą nas załatwić?

- Nie wiem! Mówię ci przecież, że to takie wrażenie... - zamilkł. - W każdym razie to był dobry pomysł, żeby wziąć ze sobą Paka na ten zwiad. Beze mnie nie ma co robić w obozie.

- Co on tu ma do rzeczy?! - wrzasnął Izia. - No, pomyślże, chociaż raz rusz głową! Pozabija nas i co dalej? Osiemset kilometrów na piechotę? Bez wody?!

- A skąd ja mam wiedzieć? - odciął się Andrzej. - Może umie prowadzić traktor.

- Jeszcze tylko brakuje, żebyś zaczął podejrzewać Wywłokę - powiedział Izia. - Jak w bajce o królu Dadonie... Szamachańska królowa^[2].

- Taak... Wywłoka... - powiedział w zadumie Andrzej. - Kto ją tam wie... I ten Niemowa... Kim on jest? Skąd się wziął? Dlaczego chodzi za mną krok w krok jak pies? Nawet do toalety... A wiesz, że on już tutaj był?

- Też mi odkrycie! - wykrzyknął z pogardą Izia. - Już dawno to zrozumiałem. Ci bez języków przyszli z północy...

- Może to właśnie tutaj obcięli im języki? - zapytał Andrzej półgłosem.

Izia popatrzył na niego.

- Napijmy się, co? - zaproponował.

- Nie ma czym rozcieńczyć.

- To może ci Wywłokę przyprowadzić?

- Idź do diabła... - Andrzej wstał i krzywiąc się poruszał w bucie obtartą nogą. - Dobra, pójdę, zobaczę, co tam słychać - poklepał się po pustej kaburze. - Masz pistolet?

- Gdzieś mam. A co?

- Dobra, pójdę bez.

Wyjmując po drodze latarkę, Andrzej wyszedł na korytarz. Na jego widok Niemowa wstał. Z prawej strony, zza uchylonych drzwi, z głębi mieszkania dobiegała niegłośna rozmowa. Andrzej przystanął.

-... W Kairze, Dagan, w Kairze! - mówił z naciskiem pułkownik. - Teraz widzę, że wszystko pan zapomniał, Dagan. Dwudziesty pierwszy pułk strzelców z Yorkshire, a dowodził nim wtedy staruszek Bili, piąty baronet Stratford.

- Za pozwoleniem, panie pułkowniku - mówił z szacunkiem Dagan. - Możemy odwołać się do pamiętników pana pułkownika...

- Nie trzeba żadnych pamiętników, Dagan! Proszę się zająć swoim pistoletem. Obiecał mi pan jeszcze poczytać...

Andrzej wyszedł na klatkę schodową i jak na słup telegraficzny wpadł na Ellizauera, który palił papierosa, schylony i oparty tyłem o metalową poręcz.

- Ostatni przed snem? - zapytał Andrzej.

- Tak jest, panie radco. Zaraz się kładę.

- Niech się pan kładzie jak najszybciej - powiedział Andrzej, mijając go. - Wie pan: więcej śpisz, mniej grzeszysz.

Ellizauer zachichotał z szacunkiem. Drażał jeden, pomyślał Andrzej. A spróbuj się nie wyrobić w ciągu tych trzech dni, to ciebie zaprzęgę do przyczepy...

Najniżsi stopniem kwaterowali na parterze (ale srać to się nauczyli na wyższych piętrach). Nie było słyhać rozmów – najwidoczniej wszyscy, albo prawie wszyscy, już spali. Z otwartych dla przewiewu drzwi wychodzących na westybul mieszkań dobiegało chrapanie, senne pocmokiwanie, mamrotanie i ochryply kaszel.

Andrzej zajął najpierw do mieszkania po lewej. Tutaj byli wojskowi. W malutkim pokoiku bez okien świeciło się światło. Sierżant Vogel w samych majtkach i zsuniętej na kark czapce siedział przy stoliku i starannie pisał jakiś wykaz. W wojsku panował porządek: drzwi od pokoiku były otwarte na oścież, żeby nikt nie mógł wejść czy wyjść niezauważony. Słyszając kroki, sierżant szybko podniósł głowę i zaczął wpatrywać się w ciemność, osłaniając twarz przed światłem lampki.

- To ja, Vogel - powiedział Andrzej półgłosem i wszedł.

Sierżant błyskawicznie przysunął mu krzesło. Andrzej usiadł i rozejrzał się. Tak, w wojsku był porządek. Wszystkie trzy bidony z wodą stały tutaj. Skrzynki z konserwami i sucharami na jutrzejsze śniadanie - również. I skrzynka z papierosami. Pięknie wyczyszczony pistolet sierżanta leżał na stole. Powietrze w pokoju było ciężkie, obozowo-polowe, przesiąknięte zapachem mężczyzn. Andrzej położył rękę na oparciu krzesła.

- Co na śniadanie, sierżancie? - zapytał.

- Jak zwykle, panie radco - zdziwił się Vogel.

- Niech pan wymyśli coś innego niż zwykle - powiedział Andrzej. - Może ryż z cukrem na gęsto... Są jeszcze owoce konserwowe?

- Można by ryż z suszonymi śliwkami - zaproponował sierżant.

- Niech będzie ze śliwkami. Wody niech pan wyda podwójną porcję. I po pół tabliczki czekolady. Czekolada jeszcze jest?

- Jeszcze trochę zostało - odparł niechętnie sierżant.

- No to niech pan wyda... To ostatnia skrzynka papierosów? - Tak jest.

- No cóż, trudno. Jutro - tak jak zwykle, a od pojutrze zmniejszajcie racje... Aha, jeszcze jedno. Od jutra pułkownik ma dostawać podwójną porcję wody.

- Ośmielę się zameldować... - zaczął sierżant.

- Wiem - przerwał mu Andrzej. - Proszę powiedzieć, że to mój rozkaz.

- Tak jest... Czy pan radca zechce... Anastasis! Dokąd?

Andrzej odwrócił się. W korytarzu, chwając się i przytrzymując ręką ściany, stał zupełnie

nieprzytomny, zaspany żołnierz - też tylko w gaciach i butach.

- Przepraszam, panie sierżancie... - zamamrotał. Wdać było, że nic do niego nie dociera. Potem wyciągnął ramię wzdłuż szwów. - Proszę o pozwolenie oddalenia się do ubikacji, panie sierżancie!

- Potrzebujecie papieru? Żołnierz zamląkał i pokręcił głową.

- Nie, panie sierżancie... Mam... - pokazał zaciśnięty w ręce kawałek papieru, najwyraźniej z archiwów Izi. - Czy mogę odejść?

- Idź... Bardzo przepraszani, panie radco. Przez całą noc tak biegają. A bywa, że i pod siebie robią. Przedtem to chociaż nadmanganian potasu pomagał, a teraz to już nic nie pomaga... Czy pan radca zechce sprawdzić warty?

- Nie. - Andrzej wstał.

- Odprowadzić pana radcę?

- Nie. Proszę zostać.

Andrzej znowu wyszedł do westybulu. Tutaj było tak samo gorąco, ale mniej śmierdziało. Obok bezszelestnie pojawił się Niemowa. Dało się słyszeć, jak na schodach piętro wyżej cofa i się i syczy szeregowy Anastasis. Nie dojdzie do toalety, nawali na podłogę, pomyślał Andrzej z pełnym odrazy współczuciem.

- No co? - zapytał półgłosem Niemowę. - Zobaczymy, jak się cywile urządzili?

Przeciął westybul i wszedł do mieszkania naprzeciwko. Obozowo-polowy zapach czuć było i tutaj, ale brakowało wojskowego porządku. Przygaszona lampa w korytarzu słabo oświetlała rzucone byle jak narzędzia w brezentowych pokrowcach, broń, brudny rozbebeszony plecak, leżące pod ścianą manierki i kubki. Andrzej wziął lampę i wszedł do najbliższego pokoju. Od razu nadepnął na czyjś but.

Tutaj spali kierowcy - nadzy, spoceni, rozciągnięci na pomiętym brezencie. Nawet nie rozłożyli prześcieradeł... Zresztą prawdopodobnie prześcieradła były jeszcze brudniejsze niż brezent. Jeden z kierowców nagle podniósł się, usiadł, nie otwierając oczu podrapał się po ramionach i zamruczał niewyraźnie: "Na polowanie idziemy, a nie do łaźni, na polowanie, rozumiesz? Woda jest żółta... pod śniegiem, rozumiesz?" Nim skończył mówić, oklapł i zwałił się na bok.

Andrzej upewnił się, że wszyscy czterej kierowcy są tutaj, i poszedł do następnego pokoju. Tutaj już mieszkała inteligencja. Spali na łóżkach polowych, przykrytych szarymi prześcieradłami, spali niespokojnie, niezdrowo chrapiąc, pojękując i zgrzytając zębami. Dwóch kartografów w jednym pokoju, dwóch geologów w sąsiednim.

W pokoju geologów Andrzej poczuł nieznamy słodkawy zapach. Od razu przypomniał sobie, że krąży plotki, jakoby geologowie popalali haszysz. Przedwczoraj sierżant Vogel zabrał papierosa z haszem szeregowcowi Tewosianowi, obtańcował go i obiecał, że zgnoi w awangardzie. I chociaż pułkownik potraktował ten wypadek dość żartobliwie, Andrzejowi się to nie spodobało.

Pozostałe pokoje w mieszkaniu były puste, tylko w kuchni, zakutana z głową w jakieś szmaty, spała Wywłoką - musieli dać jej nieźle w kość. Spod szmat wystawały chude, gołe nogi, całe w siniakach i jakichś plamach. Jeszcze jeden kłopot, pomyślał Andrzej. Szamachańska królowa... Diabli by ją wzięli, przekłętą sukę. Brudna dziwka... Skąd? Jak się nazywa? Mamrocze coś niezrozumiale w nieznanym języku... Skąd w Mieście niezrozumiały język? Jak to się mogło stać? Izia, jak usłyszał - zgłupiał... Wywłoką... to przecież Izia ją tak nazwał. Dobrze ją nazwał. Pasuje. Wywłoka.

Andrzej wrócił do pokoju kierowców, podniósł lampę nad głowę i wskazał Niemowie Permiaka. Niemowa bezszelestnie prześliznął się pomiędzy śpiącymi, nachylił się nad Permiakiem i złapał go obiema dłońmi za uszy. Potem wyprostował się. Permiak już siedział, jedną ręką opierając się o podłogę, a drugą ocierając ślinę.

Łapiąc jego spojrzenie, Andrzej machnął głową w stronę korytarza. Permiak od razu wstał - lekko i bezgłośnie. Poszli do pustego pokoju w głębi mieszkania. Niemowa zamknął starannie drzwi i oparł się o nie plecami. Andrzej rozejrzał się, gdzie by tu usiąść. Pokój był pusty, więc usiadł na podłodze. Permiak przykucnął przed nim. W świetle lampy jego dziobata twarz wyglądała na brudną, poplątane włosy spadały na czoło, a poprzez nie czerniał krzywy tatuaż: "Niewolnik Chruszczowa".

- Chcesz się napić? - zapytał Andrzej półgłosem.

Permiak kiwnął głową. Na jego twarzy pojawił się znajomy łobuzerski uśmiech. Andrzej wyciągnął z tylnej kieszeni płaską piersiówkę, na dnie której chlupotała woda, i podał mu. Patrzył, jak Permiak pije - małymi, skąpymi łyżkami, głośno oddychając przez nos, ruszając zarośniętą grdyką. Wypita woda od razu wystąpiła na ciele kropelkami potu.

- Ciepła - wychrypiał Permiak oddając pustą piersiówkę. - Żeby tak zimnej... prosto z kranu... Ech!

- Co tam u was z silnikiem? - zapytał Andrzej, wsuwając piersiówkę z powrotem do kieszeni.

Permiak rozcapierzoną dłonią zebrał pot z czoła.

- Gówno, nie silnik - powiedział. - Na końcu go robili, nie mogli zdążyć na czas... I tak cud, że do dzisiaj wytrzymał.

- Da się zreperować?

- Da się. Ze dwa, trzy dni nad nim posiedzimy i zrobimy. Tylko że nie na długo. Ze dwieście kilometrów pociągnie i znowu się będzie palił. Gówno, nie silnik.

- Jasne - powiedział Andrzej. - Zauważyłeś może, czy Koreańczyk Pak kręci się koło żołnierzy?

Permiak z irytacją opędził się od tego pytania. Przysunął się do Andrzeja i wyszeptał mu w samo ucho:

- Dzisiaj podczas postoju na obiad żołnierze umówili się, że dalej nie pójdą.

- To już wiem - powiedział Andrzej zaciskając zęby. - Powiedz mi lepiej, kto tam u nich jest przywódcą?

- Nie mogę się zorientować, panie kierowniku - świszczącym szeptem odpowiedział Permiak. - Najwięcej gada Tewosian, ale to przecież papla, a w ogóle ostatnio co rano jest na hajku...

- Na czym?

- Na hajku...No, nawalony, upalony. Nikt go nie słucha. A kto jest prawdziwym prowodyrem - nie wiem.

- Chnojpek?

-A cholera go wie. Może i on. Autorytet ma... Kierowcy też tak jakby są za, to znaczy, żeby dalej nie iść. Z pana Ellizauera nie ma żadnego pożytku, tylko chichocze jak hiena i wszystkim stara się dogodzić... boi się. Ja też niewiele mogę. Podjudzam ich tylko, że na żołnierzach nie można polegać, że oni kierowców nienawidzą. Że to niby my jedziemy, a oni idą. Im raczej żołnierskie, a nam jak panom naukowcom... Za co mieliby nas lubić? Przedtem działało, a teraz jakoś gorzej. A najważniejsze, że pojutrze jest trzynasty dzień...

- A jak naukowcy? - przerwał mu Andrzej.

- A bo ja wiem. Klną jak szewcy, a na kogo - nie mogę wyrozumieć. Każdy boży dzień się przez Wywłokę tłuką... A pan Kechada, wie pan, co mówi? Że pułkownik długo nie pociągnie.

- Komu to mówił?

- Myślę, że wszystkim. Sam słyszałem, jak tłumaczył swoim geologom, żeby się z bronią nie rozstawali. Właśnie w związku z tym. Nie ma pan papierosa, Andrzeju Michajłowiczu?

- Nie. A jak sierżant?

- Do sierżanta nie podejdziesz. Twardy jak kamień, ani ugryźć. Jego pierwszego zabijają. Nienawidzą go tak, że nie wiem.

- Dobrze - powiedział Andrzej. - A co z tym Koreańczykiem? Agituje żołnierzy czy nie?

- Nie widziałem. Zawsze trzyma się z boku. Jeśli pan chce, to mogę go specjalnie poobserwować, ale według mnie nie ma po co...

- No tak. Od jutra postój. Pracy nie ma żadnej, tylko przy traktorze. A żołnierze w ogóle będą leniuchować i mleć ozorami. Musisz ustalić, kto tam u nich jest najważniejszy. To dla ciebie zadanie numer jeden. Wymyśl coś, zresztą sam najlepiej wiesz, jak to zrobić... - Wstał, Permiak też się zerwał. - To prawda, że dzisiaj wymiotowałeś?

- Tak, coś mnie tam... Teraz już jakby lepiej.

- Potrzebujesz czegoś?

- Nie, już nie. Papierosa...

- Dobrze. Jak zreperujecie traktor, to będzie premia. Idź.

Permiak omijając Niemowę wysliznął się za drzwi. Andrzej podszedł do okna i oparł się o parapet. Czekał, aż minie umówione pięć minut. W odblaskach reflektora czerniał masyw włók i drugiego traktora, w oknach domu naprzeciwko lśniły resztki szyb. Z prawej strony niewidoczny w ciemności wartownik stukał obcasami, chodził tam i z powrotem po ulicy i cicho gwizdał coś smętnego.

To nic, pomyślał Andrzej. Poradzimy sobie. Żeby tylko znaleźć prowodyra... Znowu sobie wyobraził, jak na jego komendę sierżant ustawia nie uzbrojonych żołnierzy w jeden szereg i jak on, Andrzej, kierownik ekspedycji, z pistoletem w opuszczonej ręce idzie powoli wzdłuż tego szeregu, przygląda się skamieniałym, zarośniętym twarzom, jak zatrzymuje się przed ohydną, rudą gębą Chnojpeka i strzela mu w brzuch - raz, potem drugi. Bez sądu i bez dochodzenia. I tak będzie z każdym draniem i tchórzem, który ośmielił się...

A pan Pak rzeczywiście chyba nie ma tu nic do rzeczy, pomyślał. Dobrze i to. W porządku. Jutro jeszcze nic się nie zdarzy. Jeszcze przez trzy dni nic się nie zdarzy, a przez trzy dni można wymyślić tyle rzeczy... Można na przykład znaleźć porządne źródło, sto kilometrów stąd. Do wody pewnie pognają jak konie... Ale tu jednak zaduch. Jeden dzień tu jesteśmy, a już wszędzie gównem śmierdzi... Poza tym czas zawsze pracuje na korzyść dowództwa, nie buntowników. Zawsze i wszędzie tak było... Dzisiaj się umówili, że jutro dalej nie pójdą. Wstaną najeżeni - a my im postój. Nigdzie nie trzeba iść, chłopaki, i po co się było najeżać? A tu jeszcze i ryż ze śliwkami, i drugi kubek herbaty, i czekolada... tak, panie Chnojpek! Już ja się do ciebie dobiore, czekaj no! Ależ chce się spać. I pić... No, o picciu to zapomnij, panie radco, ale spać to rzeczywiście trzeba.! Jutro skoro świt... Niech cię diabli wezmą, Fritz, z tą twoją ekspedycją... też mi - imperator wszechgówna...

- Chodźmy - powiedział do Niemowy.

Izia ciągle siedział przy stole i przeglądał swoje kartki. Teraz j miał nowy nawyk - gryzł brodę. Zawinął włosy na dłoń, wsadził do ust i gryzie. Co za straszycło... Andrzej podszedł do połówki zaczął rozkładać prześcieradło. Prześcieradło kleiło się do rąk jak cerata.

Izia nagle odwrócił się do niego całym ciałem:

- No więc tak. Żyli tu pod panowaniem Ukochanego i Prostego. Wszystko, zauważ, od wielkiej litery. Dobrze im się żyło, wszystkiego mieli w bród. Później zaczął zmieniać się klimat, nastąpiło silne ochłodzenie. A potem wydarzyło się coś jeszcze i oni wszyscy zginęli. Znalazłem czyjś dziennik. Właściciel zabarykadował się w mieszkaniu i umarł z głodu. To znaczy nie umarł, tylko się powiesił, ale powiesił się właśnie z głodu - zwariował. Zaczęło się od tego, że na ulicy pojawiło się migotanie...

- Co się pojawiło? - zapytał Andrzej, przerywając ściąganie butów.

- Jakieś migotanie. Migotanie! Ten, kto wpadł w to migotanie, zniknął. Czasem zdążył jeszcze

wrzasnąć, a czasem nawet tego nie - po prostu rozplywał się w powietrzu.

- Co za brednie! - warknął Andrzej. - No?

- Ci, którzy wyszli z domu, wszyscy zginęli w tym migotaniu. A ci, którzy się przestraszyli albo zorientowali, w czym rzecz, na razie przeżyli. Na początku rozmawiali ze sobą przez telefon, a potem zaczęli stopniowo umierać. Nie było co jeść, na dworze mróz, drewna nie mieli, ogrzewanie nie działało...

- A co się stało z migotaniem?

- Nic o tym nie pisze. Mówię ci, że on pod koniec zwariował. To jego ostami zapisek... - Izia zaszeleścił papierami. - O, słuchaj: "Już nie mogę. A zresztą po co? Już czas. Dzisiaj rano Ukochany i Prosty szedł po ulicy i zajrzał do mojego okna. To uśmiech. Już czas". To wszystko. Zauważ, że jego mieszkanie było na czwartym piętrze. Biedak, przywiązał pętlę do żyrandola... Pętla wisi do tej pory.

- Wygląda na to, że rzeczywiście zwariował - powiedział Andrzej, wchodząc do łóżka. - Z głodu to się zdarza. Słuchaj, a jak z wodą, nic?

- Na razie nic. Myślę, że jutro trzeba będzie pójść do końca akweduktu... Ty co, idziesz już spać?

- Tak. I tobie też radzę. Przykręć lampę i zmiataj.

- Posłuchaj - powiedział żałośnie Izia - chciałem jeszcze trochę poczytać. Masz dobrą lampę.

- A gdzie twoja? Miałeś taką samą.

- Rozbiła się. W przyczepie... postawiłem na niej niechcący skrzynię.

- Kretyn. Dobra. Zabieraj lampę i spadaj.

Izia pospiesznie zaszeleścił papierami, przesunął krzesło i powiedział:

- A! Był tutaj Dagan, przyniósł ci pistolet. I coś przekazywał od pułkownika, ale zapomniałem...

- Daj mi pistolet - powiedział Andrzej.

Wsunął broń pod poduszkę i odwrócił się do Izi plecami.

- Chcesz, przeczytam ci jeden list - zaproponował usłużnie Izia. - Oni tu, rozumiesz, mieli coś w rodzaju poligamii...

- Poszedł won - powiedział spokojnie Andrzej.

Izia zachichotał. Andrzej z zamkniętymi oczami słuchał, jak się krząta, szeleści, trzeszczy rozeschniętym parkietem. Potem skrzypnęły drzwi i gdy Andrzej otworzył oczy, było już ciemno.

Jakieś migotanie... Taak. Zobaczymy. Na to nie mam żadnego wpływu. Myśleć trzeba tylko o tym, na co mogę mieć wpływ... W Leningradzie nie było żadnego migotania, tylko mróz - silny, okrutny, potworny. Zamarzający ludzie krzyczeli w oblodzonych bramach -coraz ciszej, długo, godzinami... Zasypiał, słuchając, jak ktoś krzyczy, i budził go ten sam beznadziejny krzyk; nawet nie można powiedzieć, że to było straszne, raczej męczące. A gdy rano, opatulony po same oczy, schodził po zalanych zamrzniętym gównem schodach po wodę i trzymał za rękę matkę, ciągnącą sanki z przywiązanym wiadrem, ten, co krzyczał, leżał na dole pod windą, pewnie w tym samym miejscu, gdzie wczoraj upadł, na pewno, sam wstać nie mógł, czołgać się też, a przecież nikt do niego nie wyszedł... I nie trzeba było żadnego migotania. Przeżyliśmy tylko dlatego, że matka miała zwyczaj kupowania drewna nie latem, tylko wczesną wiosną. Drewno nas uratowało. I koty. Dwanaście dorosłych kotów i jeden malutki, który był tak głodny, że gdy chciałem go pogłaskać, rzucił się na moją rękę i chciwie gryzł palce... Was by tam, łajdaków posłać, pomyślał z nieoczekiwaną złością o żołnierzach. To nie jakiś tam Eksperyment. .. I tamto miasto było straszniejsze od tego. Zwariowałbym tam jak nic. Uratowało mnie to, że. byłem mały. Dzieci po prostu umierały...

A miasta i tak nie oddaliśmy, pomyślał. Ci, którzy zostali, stopniowo wymierali. Składano ich jak sagi w drewnutniach, żywych próbowano wywozić. Mimo wszystko władza była i życie, dziwne,

niedorzeczne życie szło swoją koleją. Ktoś po prostu spokojnie umierał, ktoś dokonywał bohaterskich czynów, a potem umierał, ktoś do ostatniej chwili pracował w fabryce i umierał, gdy przychodził na niego czas... Ktoś się na tym wszystkim bogacił, za kawałki chleba skupował kosztowności, złoto, perły, kolczyki, a potem i on umierał - sprowadzali go na dół, nad Newę i strzelali, a potem wchodzili na górę, nie patrząc na siebie, zarzucali karabiny na płaskie plecy... Ktoś polował z toporem w zaułkach, jadł ludzkie mięso, próbował nawet handlować tym mięsem, a potem i tak umierał... Nie było w mieście nic bardziej naturalnego niż śmierć. Ale została władza, a dopóki była władza, miasto się trzymało.

Ciekawe swoją drogą, czy było im nas żal? Czy po prostu o nas nie myśleli? Zwyczajnie, wykonywali rozkaz, a w rozkazie była mowa o mieście, nie o nas... To znaczy, o nas oczywiście też, ale dopiero w punkcie "g"... Na dworcu Fińskim, pod jasnym, białym od mrozu niebem stały eszelony. W naszym wagonie pełno było dzieci, takich jak ja, dwunastolatków - wyglądało to jak jakiś dom dziecka. Nic więcej nie pamiętam. Pamiętam słońce w oknach i parę buchającą z ust, i dziecinny głos, który przez cały czas powtarzał to samo zdanie, tym samym bezsilnie złym tonem: "Idź stąd w cholere!" i znowu: "Idź stąd w cholere!", i znowu...

Nie o tym chciałem,.. Rozkaz i litość - o tym chciałem mówić. Mnie na przykład szkoda żołnierzy. Doskonale ich rozumiem i nawet im współczuję. Wybieraliśmy przecież ochotników, a zgłaszali się przede wszystkim poszukiwacze przygód, szalone pałki, którym znudziło się ustabilizowane, miejskie życie, którzy chcieli zobaczyć kawałek świata, przy okazji pobawić się automatem, połazić po ruinach, a po powrocie - wypchać kieszenie gratyfikacjami, przyczepić nowe belki, pochwalić się dziewczynom... A zamiast tego wszystkiego - biegunka, krwawiące odciski, cholera wie co jeszcze... Jak się tu nie zbuntować!

A mnie? Czy mnie jest lżej? Ja co - po biegunkę tu szedłem? Też nie mam ochoty dalej iść, też nie widzę przed nami nic dobrego, też, do cholery, miałem jakieś nadzieje - własny, żeby was szlag, Kryształowy Pałac na horyzoncie! Może ja z radością wydałbym rozkaz: dosyć tego, chłopaki, wracamy!... Mnie przecież też mdli od tego brudu, ja też jestem rozczarowany, ja też się, do cholery, boję - tego jakiegoś szkodliwego dla ludzi migotania czy ludzi z żelaznymi głowami. Może we mnie też wszystko zamarło, gdy zobaczyłem tych z obciętymi językami: oto przestroga - nie idź, wracaj... A wilki? Gdy szedłem sam w ariergardzie, dlatego że wy wszyscy posraliście się ze strachu, to myślicie, że mi było przyjemnie? Wskoczy taki z kurzu, wyrwie pół tyłka i tyle go widzieli... Tak, tak, gołąbeczki, łajdaki moje kochane, nie tylko wam jest ciężko, we mnie też już wszystko z gorąca popękało...

No dobrze, powiedział sobie. A po jaką cholere ty tam idziesz? Od razu jutro możesz wydać rozkaz, pomkniemy jak strzała, za miesiąc będziemy w domu. A Heigerowi rzucisz pod nogi swoje pełnomocnictwa i powiesz: do diabła z tobą, stary, sam sobie idź, jeśli już tak koniecznie potrzebna ci ta ekspansja, jeśli już tak cię świerzbi... Albo nie, po co od razu tak? Bądź co bądź, przeszliśmy osiemset kilometrów, sporządziliśmy mapę, zdobyliśmy dziesięć skrzyń archiwów - co, mało? Dalej już nic nie ma! Jak długo jeszcze można zdzierać buty? To przecież nie Ziemia, nie kula! I żadnego Antymiasta nie ma - nikt nigdy o nim tutaj nie słyszał... Zresztą usprawiedliwienia się znajdują. Usprawiedliwienia... O to właśnie chodzi, że to usprawiedliwienia!

Umówiliśmy się przecież, że będziemy szli do końca. I rozkaz brzmiał: iść do końca. Tak? Tak. A teraz: możesz dalej iść? Mogę. Żarcie jest, paliwo jest, broń w porządku... Ludzie są oczywiście zmęczeni, ale nikt nie zginął i nie ma żadnych rannych... No i nie są w końcu aż tak zmęczeni, skoro mają jeszcze siłę kotłować po nocach Wywlokę... Nie, stary, tak nie da rady. Gówniany z ciebie dowódca, powie Heiger, zawiodłem się na tobie! A jak mu jeszcze Kechada zacznie podszeptywać,

Permiak, pewnie i Ellizauer będzie pod ręką...

Tę ostatnią myśl Andrzej starał się jak najszybciej odpędzić, ale było za późno. Z przerażeniem zdał sobie sprawę, że pozycja pana radcy nie jest dla niego bez znaczenia i że wcale mu się nie podoba perspektywa gwałtownych zmian.

A niechby nawet, bronił się w myśli. Czyja z głodu zdechnę bez tej pozycji? Proszę bardzo! Niech pan Kechada zajmuje moje miejsce, a ja zajmę jego. Sprawa od tego ucierpi, czy co?... Mój Boże, pomyślał nagle. Jaka właściwie sprawa? Co ja w ogóle gadam? Już nie jesteś szarym człowieczkiem, teraz o losach świata masz decydować. A świat obejdzie się i bez mnie, i bez Heigera... Każdy powinien wypełniać swoje-obowiązki na swoim stanowisku? Proszę bardzo, nie przeczę. Jestem gotowy spełniać swoje obowiązki na swoim stanowisku. Na swoim. Na tym samym. Na stanowisku posiadającego władzę. Otóż właśnie, panie radco!... A dlaczego nie? Dlaczego były podoficer zwyciężonej armii ma prawo rządzić milionowym miastem, a ja, bez pięciu minut kandydat nauk, człowiek z wyższym wykształceniem, komsomolec - nie mam prawa kierować działem naukowym? Co - gorzej mi to wychodzi niż jemu? O co tu chodzi?...

To wszystko brednie - "mam prawo, nie mam prawa"... Prawo do władzy ma ten, kto ma władzę. A jeśli sobie życzycie, jeszcze dokładniej - prawo do władzy ma ten, kto tę władzę realizuje. Umiesz podporządkować sobie innych - masz prawo do władzy. Nie umiesz trudno!...

Już wy będziecie szli, łajzy! - pogroził śpiącej ekspedycji. I to nie dlatego, że ja sam się wrywam, jak ten brodaty pawian, w dale niezmierzone, ale dlatego że taki dostaniecie rozkaz. A ja wam rozkażę iść, sukinsyny, niedbaluchy, landsknechci parszywi, nie z poczucia obowiązku przed Miastem ani, nie daj Boże, przed Heigerem, ale dlatego że mam władzę i że muszę tę władzę przez cały czas potwierdzać, i przed wami, kanalie, i przed samym sobą. I przed Heigerem... Przed wami, bo inaczej byście mnie zjedli. Przed Heigerem - bo w przeciwnym razie mnie wygoni i będzie miał rację. A przed sobą... Cóż, królowie i inni tam monarchowie mieli kiedyś fajnie. Władzę mieli od Boga i ani sobie siebie bez władzy nie wyobrażali, ani ich poddani. A i tak mieli kupę problemów. A my, zwykli ludzie, w Boga nie wierzymy. Nie jesteśmy pomazańcami bożymi. Sami musimy się o siebie troszczyć. U nas to tak: kto śmiały, ten i cały. Nie trzeba nam samozwańców - ja tu jestem dowódcą. Nie ty, nie on, nie oni i nie one. Ja. Wojsko mnie poprze...

Ale nakombinowałem, pomyślał z niechęcią. Przewrócił się na drugi bok, i żeby było wygodniej, wsunął rękę pod poduszkę, tam było trochę chłodniej. Jego palce wymacały pistolet.

...No i jak ma pan zamiar wprowadzić w życie te swoje plany, panie radco? Tam przecież strzelać trzeba będzie! I to nie w wyobraźni ("Szeregowy Chnojpek wystąp!..."), nie zajmować się myślowym onanizmem, lecz wziąć i strzelić żywemu, może nie uzbrojonemu, może niczego nie podejrzewającemu, może nawet niewinnemu... i w końcu przecież, do licha! - żywemu człowiekowi - w żołądek, w bebechy... Nie, nie umiem tego zrobić. Nigdy tego nie robiłem i nawet nie potrafię sobie tego wyobrazić... Oczywiście, na trzysta czterdziestym kilometrze strzelałem, tak jak wszyscy, ze strachu, nic nie rozumiejąc... Ale tam nikogo nie widziałem, tam do mnie, do cholery, też strzelali!...

No dobrze, pomyślał. No dobrze - humanizm, brak nawyku i takie tam... A jeśli oni mimo wszystko nie pójda? Ja wydam rozkaz, a oni do mnie: idź, bracie, w cholere, idź sam, jeśli cię tak swędzi...

A gdyby tak, pomyślał, wydać tym kanaliom trochę wody, trochę zarcia na drogę powrotną i niech reperują zepsuty traktor... Idźcie, idźcie, obejdziemy się bez was. Jak by to było cudownie - za jednym zamachem uwolnić się od tego całego gówna! Od razu wyobraził sobie twarz pułkownika słuchającego tej propozycji. Taak, pułkownik tego nie zrozumie. To człowiek innego rodzaju. On jest właśnie z tych... z monarchów. Możliwość nieposłuszeństwa po prostu nie mieści mu się w głowie.

A już na pewno nie zastanawiałby się nad takimi problemami... Wojskowa arystokracja. Takiemu to dobrze - jego ojciec był pułkownikiem, dziad był pułkownikiem i pradziad - proszę, jakie imperium sobie sprawili, kupę ludzi pewnie pozabijali... w razie czego niech on strzela. W końcu to jego ludzie. Nie mam zamiaru mieszać się do jego spraw. Boże, jak ja mam już tego dosyć! Co ze mnie za inteligencina kaprawy, gnojowisko pod czaszką... Mają iść i koniec! Wykonuję rozkaz wy też bądźcie łaskawi go wykonać. Nie pogłaszczą mnie po główce, jak go nie wykonam, i wam też, niech was diabli, wam też to na zdrowie nie wyjdzie! I koniec. I do diabła z tym. Już lepiej myśleć o kobietach niż o tym bagnie. Też sobie znalazłem temat - filozofia władzy...

Znowu się przekręcił, zwijając pod sobą prześcieradło, i z wysiłkiem wyobraził sobie Selmę. W tym jej lilowym peniuarze - jak schyla się przed łóżkiem i stawia na stoliku tacę z kawą... Dokładnie wyobraził sobie, jak by to było z Selmą, a potem nagle, już bez żadnego wysiłku, znalazł się w pracy, w swoim gabinecie, gdzie w wielkim fotelu siedziała Amalia ze spódnicą podciągniętą do samej brody... Zrozumiał, że posunął się za daleko.

Odrzucił prześcieradło, specjalnie usiadł tak, żeby brzeg łóżka wbijał mu się w tyłek, i przez jakiś czas tak siedział, wpatrując się w słabo oświetlony prostokąt okna. Potem spojrział na zegarek. Było już po dwunastej. Wstanę, pomyślał. Zejdę na parter... gdzie ona tam śpi, w kuchni? Zawsze przedtem ta myśl wywoływała w nim wstręt. Teraz nie. Wyobraził sobie gołe, brudne nogi Wywłoki, ale nie zatrzymał się na nich, poszedł dalej... Nagle poczuł ciekawość, jak ona wygląda nago. W końcu kobieta to kobieta...

- Boże! - powiedział głośno.

Jednocześnie skrzyknęły drzwi i na progu stanął Niemowa. Czarny cień w ciemnościach. Tylko białka oczu widać.

- No i po co przyszedłeś? - zapytał Andrzej z udręką. - Idź spać.

Niemowa zniknął. Andrzej nerwowo ziewnął i bokiem padł na połówkę.

Obudził się przerażony, cały mokry.

- ...Stój, kto idzie?! - krzyknął pod oknem wartownik. Głos miał przenikliwy, rozpaczliwy, brzmiało to tak, jakby wołał pomocy.

W tym samym momencie Andrzej usłyszał ciężkie, chrzęszczące uderzenia, tak jakby jakiś wielkolud miarowo walił młotem w kruszący się kamień.

- Będę strzelać! - zapiszczał przenikliwe wartownik nieludzkim głosem i rozległy się strzały.

Andrzej nie pamiętał, jak znalazł się przy oknie. W ciemności, po prawej stronie, konwulsyjnie drgały płomienie wystrzałów. W ognistych odblaskach czerniało coś masywnego, nieruchomego, o niewyraźnych kształtach. Wylatywały z tego snopy zielonkawych iskier. Andrzej nie zdążył nic zrozumieć. Wartownikowi skończył się magazynek, przez chwilę było cicho, potem wartownik w ciemnościach znowu zaczął dziko kwiczeć, zupełnie jak koń. Zatupał butami i nagle znalazł się w kręgu światła tuż pod oknem - wleciał, zakręcił się w miejscu, wymachując automatem, a potem, nie przestając kwiczeć, rzucił się w stronę traktora, wcisnął się w czarny cień pod gąsienicę. Przez cały czas próbował wyszarpnąć zza pasa zapasowy magazynek i nie mógł... I wtedy znowu dały się słyszeć chrzęszczące uderzenia młota o kamień: bumm - bumm - bumm...

Gdy Andrzej, w samej kurtce, bez spodni, w butach z majtającymi się sznurowadłami i z pistoletem w ręku, wyskoczył na ulicę, był tam już tłum ludzi. Sierżant Vogel wydzierał się:

- Tewosian, Chnojpek! Wprawo! Przygotować się do strzału! Anastasis! Na traktor, za kabinę! Obserwować, przygotować się do strzału! Szybciej! Co się wleciecie jak zdechłe świnię! Wasilienko! W lewo! Padnij... W lewo, ofermo! Padnij, obserwuj!... Palotti! Gdzie, makaroniarzu!

Chwycił biegnącego na oślep Włocha za kark, ze straszną siłą kopnął go w tyłek i popchnął w

stronę traktora.

- Za kabinę, bydlaku! Anastasis, światło na ulicę! Andrzeja szturchali w plecy, w ramiona. Zaciskając zęby starał się utrzymać na nogach. Zupełnie o niczym nie myśląc, walczył z przemożnym pragnieniem wykrzyczenia czegoś bezsensownego. Przywarł do ściany i, wysuwając przed siebie pistolet, rozglądał się lękliwie. Dlaczego oni biegną w tamtą stronę? A jeśli tamci napadną z tyłu? Albo z dachu? Albo z domu naprzeciwko?...

- Kierowcy! - wrzeszczał Vogel. - Kierowcy, do traktorów!... Który tam strzela, debile?! Przerwać ogień!...

Andrzej powoli odzyskiwał przytomność umysłu. Okazało się, że sytuacja wyglądała lepiej, niż mu się wydawało. Żołnierze leżeli tam, gdzie im kazano, zamieszanie zostało opanowane i w końcu ktoś na traktorze odwrócił reflektor i oświetlił ulicę.

- Tam jest! - krzyknął zduszony głos.

Krótką serią z automatów i znowu cisza. Andrzej zdążył tylko zauważyć coś ogromnego, niemal wyższego od domów, potwornego, ze sterczącymi we wszystkie strony mackami i kikutami. Rzuciło na ulicę olbrzymi cień i dwie przecznice dalej skręciło za róg. Zniknęło. Ciężkie uderzenia młota po chrzęszczącym kamieniu stawały się coraz cichsze, aż w końcu umilkły zupełnie.

- Co się tu działo, sierżancie? - rozległ się spokojny głos pułkownika nad głową Andrzeja.

Pułkownik, zapięty na wszystkie guziki, stał przy oknie, lekko nachylając się do przodu i opierając rękami o parapet.

- Wartownik ogłosił alarm, panie pułkowniku - powiedział sierżant Vogel. - Szeregowy Terman.

- Szeregowy Terman, do mnie! - zawołał pułkownik.

Żołnierze zaczęli się oglądać.

- Szeregowy Terman! - ryknął sierżant. - Do pułkownika!

W słabym świetle reflektora było widać, jak szeregowy Terman gorączkowo wygrzebuje się spod gąsienicy. Znowu mu się tam coś zaczepiło. Szarpnął się z całych sił, wstał i krzyknął cienkim głosem:

- Szeregowy Terman melduje się na rozkaz!

- Co za straszdyło! - powiedział pogardliwie pułkownik. - Pozapinajcie się.

W tym momencie włączyło się słońce. To było tak niespodziewane, że z dziesiątków gardeł wyrwały się i przeleciały nad obozem stłumione okrzyki. Wiele osób zasłoniło twarz rękami. Andrzej zmrużył oczy.

- Dlaczego ogłosiliście alarm, szeregowy Terman? - zapytał pułkownik.

- Obcy, panie pułkowniku! - z rozpaczą w głosie wypalił Terman. - Nie chciał się odezwać. Szedł prosto na mnie. Aż ziemia drżała!... Zgodnie z regulaminem dwa razy zawołałem, potem otworzyłem ogień...

- No cóż - powiedział pułkownik. - Bardzo dobrze.

W ostrym świetle wszystko stało się inne niż pięć minut temu. Obóz wyglądał teraz jak obóz - obmierzłe włóki, brudne metalowe beczki z paliwem, pokryte kurzem traktory... Na tym zwykłym, obrzydłym tle stali, leżeli i kucali porozbierani, uzbrojeni ludzie. Ze swoimi cekaemami i automatami, rozczochrani, z pomiętymi twarzami i zwichrzonymi brodami, wyglądali śmiesznie i głupio. Andrzej przypomniał sobie, że sam też jest bez spodni, że ma nie zasznurowane buty - i poczuł się niezręcznie. Ostrożnie cofnął się do drzwi, ale tam stali kierowcy, kartografowie i geolodzy.

- Melduję posłusznie, panie pułkowniku - mówił tymczasem Terman, który nabrał śmiałości. - To nie był człowiek, panie pułkowniku.

- A więc co to było?

Terman zastanowił się.

- Najbardziej był podobny do słonia, panie pułkowniku - oświadczył autorytatywnie Vogel. - Albo do jakiegoś przedpotopowego potwora.

- Najbardziej do stegozaura - odezwał się

Tewosian. Pułkownik zatrzymał na nim wzrok i przez jakiś czas mu się przyglądał.

- Sierzancie - powiedział w końcu. - Dlaczego pańscy ludzie odzywają się bez pozwolenia?

Ktoś złośliwie zachichotał.

- Już ja mu dam! - powiedział strasznym szeptem sierżant. - Pozwoli pan, że go ukarzę, panie pułkowniku?

- Sądzę... - zaczął pułkownik, ale mu przerwano.

- Wwwa wa wa ww... - cichutko, a potem coraz głośniejszymi dźwiękami zaczął ktoś i Andrzej potoczył wzrokiem po obozie, zastanawiając się, kto i dlaczego wyje.

Wszyscy się przestraszyli, zaczęli się kręcić i rozglądać. W końcu Andrzej zobaczył, co się stało: stojący za kabiną traktora Anastasis, cały biały, ba, prawie zielony, wyciąga przed siebie rękę, nie mogąc wydusić ani jednego sensownego słowa. Andrzej napiął się i gotowy na wszystko, popatrzył w stronę, którą Anastasis wskazywał ręką, ale nic nie zobaczył. Ulica była pusta, gdzieś w oddali drżało gorące powietrze. Potem sierżant nagle odkaslnął, nasunął czapkę na czoło i jakoś tak cicho, z rozpaczą zaklął. Andrzej w dalszym ciągu nic nie rozumiał. Dopiero gdy jakiś nieznajomy człowiek nad jego uchem wychrypiał "Boże wszechmogący!"... Andrzej pojął co się stało. Poczł dreszcz na karku i słabość w nogach.

Posągu na rogu nie było. Ogromny metalowy człowiek z żabią Uwarzą i patetycznie rozpostartymi rękami zniknął. Na skrzyżowaniu został tylko zaschnięty kał, który wczoraj nawalili dookoła posągu żołnierze.

ROZDZIAŁ 3

Pójdę już, panie pułkowniku - powiedział Andrzej wstając. Pułkownik również wstał i ciężko oparł się na lasce. Dzisiaj był jeszcze bledszy, twarz miał ściągniętą i wyglądał jak staruszek. Nawet z jego postawy nic nie zostało.

- Szczęśliwej drogi, panie radco - powiedział! Jego wyblakłe oczy patrzyły z poczuciem winy. - Do diabła, przecież właściwie takie rozpoznanie należy do moich obowiązków...

Andrzej wziął ze stołu automat i zarzucił go na ramię.

- Nie wiem, nie wiem... Ja mam z kolei takie wrażenie, jakbym uciekał i wszystko zostawiał na pańskiej głowie... A przecież pan jest chory, pułkowniku.

- Tak, niech pan sobie wyobrazi, że dzisiaj... - pułkownik przerwał. - Sądzę, że wróci pan przed zmrokiem?

- Wrócę znacznie wcześniej - powiedział Andrzej. - Traktuję to raczej jak wycieczkę niż zwiad. Chcę przede wszystkim pokazać tym tchórzom, że przed nami nie ma nic strasznego. Chodzące posągi, rzeczywiście! - zreflektował się. - Nie chciałem nic zarzucić pańskim żołnierzom, panie pułkowniku...

- Głupstwo... - pułkownik słabo opędził się wychudłą ręką. - Ma pan absolutną rację. Żołnierze zawsze są tchórzami. Jeszcze nigdy nie widziałem odważnych żołnierzy. I właściwie dlaczego mieliby być odważni?

- No - uśmiechnął się Andrzej - gdyby przed nami były tylko czołgi przeciwnika...

- Czołgi! - zawołał pułkownik. - Czołgi to zupełnie co innego. Doskonale pamiętam, jak drużyna spadochroniarzy odmówiła wejścia do wsi, w której żył znany w całej okolicy czarownik. Andrzej zaśmiał się i wyciągnął do pułkownika rękę.

- Do zobaczenia.

- Chwileczkę! - zatrzymał go pułkownik. - Dagan!

W pokoju pojawił się Dagan z oplecioną srebrną siatką piersiów-ką w ręku. Na stole zjawiała się srebrna taca, a na tacy - srebrne kieliszki.

- Proszę - powiedział pułkownik.

Wypili i uścisnęli sobie ręce.

- Do zobaczenia - powtórzył Andrzej.

Zszedł po śmierdzących schodach do westybulu, chłodno skinął Kechadzie, który na podłodze robił coś z jakimś przyrządem przypominającym teodolit, i wyszedł na dyszącą zarem ulicę. Jego krótki cień padł na zakurzone, popękane płytki chodnika. Natychmiast obok pojawił się drugi cień i Andrzej przypomniał sobie o Niemowie. Obejrzał się. Niemowa stał w swojej zwykłej pozie, wsuwając dłonie za szeroki pas, z którego zwisał groźnie wyglądający topór. Jego gęste, czarne włosy były nastroszone, bosa nogi rozstawione. Brązowa skóra lśniła jak posmarowana tłuszczem.

- Może jednak weźmiesz automat? - zapytał Andrzej.

Niemowa pokręcił głową.

- Jak chcesz...

Andrzej obejrzał się. Izia i Pak siedzieli w cieniu przyczepy nad rozłożonymi mapami i oglądali plan miasta. Dwóch żołnierzy wyciągało szyje i zaglądało im ponad głowami. Jeden z nich pochwycił spojrzenie Andrzeja, pospiesznie odwrócił oczy i szturchnął drugiego w bok. Obaj od razu odeszli i schowali się za przyczepą.

Przy drugim traktorze krzatali się kierowcy z Ellizauerem na czele. Kierowcy byli niedbale ubrani, Ellizauer zaś miał na głowie gigantyczny kapelusz z szerokim rondem. Obok nich stało jeszcze dwóch

żołnierzy - coś tam doradzali, często spluwając.

Andrzej popatrzył na ulicę. Pusto. Rozpalone powietrze drży nad jezdnią. Dalej niż na sto metrów nic nie widać -jak w wodzie.

- Izia! - zawołał.

Izia i Pak obejrzeni się i wstali. Koreańczyk podniósł z jezdni i włożył pod pachę swój mały automat samoróbkę.

- Co, już? - zapytał wesoło Izia.

Andrzej kiwnął głową i poszedł przed siebie.

Wszyscy na niego patrzyli: Permiak, mrużący oczy przed słońcem; przygłupiasty Ungern, przestraszony, z wiecznie otwartymi ustami; ponury Goryl - Jackson, powoli wycierający ręce kawałkiem pakuł... Ellizauer, przypominający brudny, obszarpany grzybek z placu zabaw, z bardzo uroczystą i współczującą miną przyłożył dwa palce do rądków kapelusza. Spluwający żołnierze przestali spluwać, wymienili przez zęby ciche uwagi i zgodnie się wycofali. Tchórzycie, łajdaki, mściwie pomyślał Andrzej. Jakbym was teraz dla zgrywy zawołał - pełno w gaciach...

Minęli wartownika, który pospiesznie stanął na baczność, i zaczęli iść po bruku: najpierw Andrzej z automatem na ramieniu, zaraz za nim Niemowa z plecakiem, w którym były cztery konserwy, paczka sucharów i dwie butelki z wodą. Z tyłu, jakieś sześć metrów za nimi, kłapał rozwalonymi butami Izia - na plecach miał pusty plecak, w jednej ręce trzymał plan, a drugą gorączkowo obmacywał kieszenie, jakby sprawdzając, czy czegoś nie zapomniał. Ostami szedł Koreańczyk Pak - lekko, krokiem człowieka przywykłego do długich marszów. Pod pachą miał automat z krótką lufą.

Na rozżarzonej ulicy słońce paliło łopatki i plecy. Od ścian domów leniwymi falami napływał upał. Wiatru nie było zupełnie.

Z tyłu, w obozie, włączyli nieszczęsny silnik - Andrzej nie obejrzał się. Nagle poczuł się wolny. Na kilka wspaniałych godzin znikli z jego życia cuchnący żołnierze z ich prostą, niezrozumiałą psychologią, obrzydły Kechada z swoimi widocznymi jak na dłoni intrygami, wstrętne troski o cudze obtarte nogi, o cudze skandale i bójki, o to, że ktoś wymiotuje - może to zatrucie? - a ktoś ma krwawą biegunkę - może to dyzenteria?... Żeby was wszystkich szlag trafił, myślał Andrzej w uniesieniu. Żeby was jak najdłużej na oczy nie widział. Boże, jak mi bez was dobrze!...

Co prawda, od razu przypomniał sobie o podejrzanym Koreańczyku i na sekundę jasne niebo wolności zasnuło się chmurami nowych kłopotów i podejrzeń. Ale natychmiast lekkomyślnie machnął na to ręką. Koreańczyk jak Koreańczyk. Człowiek spokojny, nigdy na nic się nie skarży. Dalekowschodni wariant Józefa Katzmana, to wszystko... Przypomniał sobie, jak brat opowiadał mu kiedyś, że wszystkie narody Dalekiego Wschodu, a zwłaszcza Japończycy, mają do Koreańczyków taki stosunek, jak wszystkie narody Europy, a zwłaszcza Rosjanie i Niemcy, do Żydów. Teraz wydało mu się to zabawne. Nagle, nie wiedzieć czemu, przypomniał sobie o Kaneko... Tak, Kaneko by się tu przydał, wujek Jura, Donald... Hę, hę... Gdyby udało mu się namówić na tę ekspedycję wujka Jurę, wszystko wyglądałoby teraz zupełnie inaczej...

Przypomniał sobie, jak na dzień przed wymarszem specjalnie wykroił kilka godzin, wziął od Heigera limuzynę z kuloodpornymi szybami i pojechał do wujka Jury. Jak pili w wielkiej, piętrowej chałupie, w której było tak czysto, jasno, tak apetycznie pachniało miętą, domowym dymem, świeżym chlebem. Pili samogon, zagryzali prosiakiem w galarecie i chrupiącymi ogórkami małosolnymi, jakich Andrzej nie jadł od Bóg wie jak dawna, obgryzali baranie żeberka, maczali kawałki chleba w przesiąkniętym zapachem czosnku sosie... A potem tęga Holenderka Marta, żona wujka Jury, ciężarna już trzeci raz, wniosła gwizdzący samowar, za który swego czasu wujek Jura oddał wóz chleba i wóz ziemniaków, i długo, z namaszczeniem pili herbatę, pojadając przy tym jakieś nieznane konfitury -

pocili się, odpoczywali, ocierali mokre twarze czystym, wyszywaniem ręcznikiem. . A wujek Jura przez cały czas dudnił: "Nic to, bracie, teraz to można nawet nieźle żyć... Przywożą mi tu codziennie pięciu pasożytów z obozu, wychowuję ich przez pracę, sił nie żałuję - a jak co, od razu w zęby - ale za to żrą u mnie to, co i ja, nie myśl sobie, że jestem jakimś tam wyzyskiwaczem". A przy pożegnaniu, gdy Andrzej już wsiadał do samochodu, wujek Jura, ściskając jego dłoń w swoich grabach, które zmieniły się w jeden wielki odcisk, powiedział, szukając oczami jego wzroku: "Przebaczysz mi, Andrzej, ja wiem... Wszystko bym zostawił, i babę swoją bym zostawił... Ale tych dwóch nie mogę zostawić, nie mogę"... - i wskazał wielkim palcem na dwóch białowłosych chłopczyków, którzy po cichu, żeby ich nie usłyszano, tłukli się za gankiem.

Andrzej odwrócił się. Obozu nie dało się już zobaczyć, zasłoniło go drgające powietrze. Terkotanie silnika też ledwie było słychać - jak przez watę. Izia szedł obok Paka, machał mu przed nosem planem i krzyczał coś o skali. Pak nie kłócił się z nim. Uśmiechał się tylko, a gdy Izia chciał się zatrzymać, żeby rozłożyć plan i pokazać mu wszystko czarno na białym, delikatnie brał go za łokieć i ciągnął do przodu. Poważny człowiek, bez dwóch zdań, Gdyby był taki sam i pod innymi względami, można by całkowicie na nim polegać. Ciekawe, co tam wynikało między nim a Heigerem? To prawda, są zupełnie różni...

Pak uczył się w Cambridge i miał tytuł doktora filozofii. Po powrocie do Korei Południowej wziął udział w jakichś studenckich wystąpieniach przeciwko reżymowi i Li Syng Man wsadził go do mamra. Stamtąd w pięćdziesiątym roku wyzwoliła go północnokoreańska armia. Napisano o nim w gazetach jako o prawdziwym synu narodu koreańskiego, który nienawidzi kliki Li Syng Mana i amerykańskich imperialistów. Zrobili go zastępcą rektora, a po miesiącu znowu wsadzili do pudła, gdzie bez przedstawienia zarzutów przetrzymano go aż do desantu w Czemulpo, kiedy to więzienie zaczęła ostrzeliwać Pierwsza Dywizja Kawaleryjska, która gnała na północny wschód. W Seulu było piekło, Pak nie liczył już, że uda mu się przeżyć, i wtedy właśnie zaproponowano mu udział w Eksperymentach.

Do Miasta trafił na długo przed Andrzejem, dwadzieścia razy zmieniał zawód, wszedł oczywiście w konflikt z merem, wreszcie trafił do podziemnej organizacji inteligentów, popierającej wówczas ruch Heigera. Potem coś tam zaszło między nim i Heigerem. Tak czy inaczej, jeszcze na dwa lata przed Przewrotem większa część konspiratorów potajemnie opuściła Miasto i udała się na północ. Mieli szczęście: na trzysta pięćdziesiątym kilometrze znaleźli w ruinach "pocisk czasów" - potężną metalową cysternę, załadowaną przeróżnymi przedmiotami kultury i wzorcami technologii. Miejsce było dobre - woda, żyzna gleba pod samą Ścianą, sporo ocalałych budynków. Zostali tam.

Nie mieli pojęcia o tym, co zaszło w Mieście, więc gdy pojawiły się opancerzone traktory ekspedycji, myśleli, że jadą po nich. Na szczęście w głupiej i zajadłej strzelaninie zginął tylko jeden człowiek. Pak poznał Izie, swojego starego przyjaciela, i zrozumiał, że to pomyłka... A potem poprosił Andrzeja o możliwość przyłączenia się do ekspedycji. Powiedział, że powoduje nim ciekawość i że już od dawna planował wyprawę na pomoc, ale emigranci nie mieli na to środków. Andrzej niespecjalnie mu wierzył, ale zabrał ze sobą. Wydawało mu się, że Pak ze swoją wiedzą będzie użyteczny - tak rzeczywiście było. Robił dla ekspedycji, co tylko mógł, wobec Andrzeja zawsze był serdeczny i uprzedzająco grzeczny, dla Izi tym bardziej, ale wyciągnąć z niego cegokolwiek nie umieli. Ani Andrzej, ani nawet Izia nie dowiedzieli się, skąd ma tyle mitycznych i prawdziwych informacji o dalszej drodze, po co właściwie przyłączył się do ekspedycji i co w ogóle myślał - o Heigerze, o Mieście, o Eksperymentach... Pak nigdy nie podtrzymywał rozmowy na tematy abstrakcyjne.

Andrzej przystanął i, doczekawszy się na swoją ariergardę, zapytał:

- No i co, uzgodniliście, co właściwie nas interesuje?

- Co właściwie? - Izia rozwinął w końcu swój plan. - Popatrz - pokazał mu palcem z żałobą za paznokciem. - Teraz jesteśmy tutaj. A to oznacza, że za jedną, dwie... za sześć przecznic będzie plac. O, tutaj jest taki wielki budynek, pewnie rządowy. Musimy tu koniecznie dojść. No, a jeśli po drodze trafi się coś szczególnie ciekawego... Tak! Dobrze by było dojść też tutaj. Trochę daleko, ale ta skala jest do kitu, tak że możliwe, że to jest tuż obok... Widzisz, jest napis: "Panteon". Lubię panteony.

- No cóż... - Andrzej poprawił automat. - Można, czemu nie... A wody nie będziemy dzisiaj szukać?

- Do wody jest daleko - powiedział półgłosem Pak.

- Tak, stary - podchwycił Izia. - Do wody, stary... Widzisz, tutaj jest napisane - wieża wodociągowa... To tam? - zapytał Paka.

Pak wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Ale jeśli gdzieś na tych osiedlach w ogóle jest woda, to tylko tutaj.

- Taak... - powiedział Izia. - Daleko. Ze trzydzieści kilometrów, w ciągu jednego dnia nie zdążymy wrócić... No tak, skala... Słuchaj, a po co ci właściwie teraz woda? Po wodę pójdziemy jutro, tak jak się umawialiśmy... a raczej pojedziemy.

- Dobrze - zgodził się Andrzej. - Chodźmy.

Szli teraz obok siebie i przez jakiś czas nic nie mówili. Izia nie przestawał kręcić głową, zachowywał się tak, jakby węszył, ale ani z prawej, ani z lewej strony nie było nic ciekawego. Dwu-trzypiętrowe domy, niektóre dość ładne. Powybijane szyby. Niektóre okna zabite pokrzywioną dyktą. Na balkonach na wpół rozwalone skrzynki na kwiaty. Wiele domów oplatał twardy, zakurzony bluszcz. Wielki sklep - ogromne, zakurzone witryny, które dziwnym trafem ocalały, ale drzwi wyłamane... Izia zerwał się, pobiegł do sklepu, zajrzał i wrócił.

- Pusto - powiedział. - Zupełny pogrom.

Jakiś budynek publiczny - teatr, a może sala koncertowa albo kino. Potem znowu sklep - tym razem witryna była rozbita - i jeszcze jeden, po drugiej stronie... Izia zatrzymał się nagle, głośno pociągnął nosem i uniósł brudny palec.

- Oho! - zawołał. - Gdzieś tutaj!

- Co? - zapytał Andrzej, rozglądając się.

- Papier - odpowiedział krótko Izia.

Nie patrząc na nikogo, pewnym krokiem udał się do budynku po prawej stronie ulicy. Budynek wyglądał zwyczajnie, niczym szczególnym nie różnił się od pozostałych, może tylko tym, że wejście było bardziej ozdobne; czuło się tutaj jakiś gotycki akcent. Izia zniknął w bramie. Nie zdążyli nawet przejść przez ulicę, gdy wyłonił się znowu i z zapałem wykrzyknął:

- Pak, niech pan tu przyjdzie! Biblioteka!...

Andrzej, zachwycony, tylko pokręcił głową. Ten Izia!

- Biblioteka? - zapytał Pak przyspieszając kroku. - Niemożliwe!

W westybulu, po zalanej żarem żółtej ulicy, było chłodno i ciemnowo. Wysokie gotyckie okna, wychodzące najwidoczniej na podwórko, ozdabiały kolorowe witraże. Podłoga była wyłożona wzorzystymi kafelkami. Schody z białego kamienia odchodziły w prawą i w lewą stronę. Po tych lewo już wbiegał Izia. Pak szybko go dogonił. Przeskakując po trzy stopnie, znikli z pola widzenia.

- A my po jaką cholere mamy się tam ciągnąć? - zapytał Andrzej Niemowę.

Niemowa był tego samego zdania. Andrzej rozejrzał się, gdzie by tu przysiąść, i w końcu przycupnął na chłodnych białych schodach. Automat zdjął i położył obok siebie. Niemowa już przykucnął pod ścianą. Zamknął oczy i objął kolana silnymi rękami. Było cicho, tylko na górze

niezrozumiałe dudniły głosy.

Mam tego dosyć, pomyślał Andrzej z irytacją. Mam dosyć tych martwych osiedli. Tej rozpalonej ciszy. Tych zagadek... Żeby tak ludzi znaleźć, pożyć z nimi, popytać... poczęstować czymś... wszystko jedno czym, byle nie tą ohydłą owsianką... I chłodne wino! Dużo, do woli... albo piwo. Zaburczało mu w żołądku. Zesztywniał, przestraszony, i zaczął nasłuchiwać. Nie, nic. Dzisiaj - odpukać - nie biegał ani razu, dobre i to. I pięta chyba się zagoiła...

Na górze coś runęło z łoskotem, coś się posypało.

- No i gdzie pan lezie, jak słowo daję!... - wrzasnął Izia. Rozległ się śmiech i głosy znowu zaczęły dudnić.

Grzebcie, grzebcie, pomyślał Andrzej. W was cała nadzieja. Tylko od was można oczekiwać czegoś sensownego... Z całej tej durnej wyprawy zostanie tylko mój raport i dwadzieścia cztery Iziowe skrzynie z papierami!

Wyprostował nogi i rozciągnął się na schodach, opierając się na łokciach. Niemowa kichnął, głośno odpowiedziało mu echo. Andrzej odchylił głowę i zaczął przyglądać się wysokiemu sklepieniu.

Porządnie budowali, ładnie, nie to co u nas. I w ogóle, jak widać, nieźle im się żyło. A i tak zginęli... Nie spodoba się to Fritzowi - pewnie by wolał potencjalnego przeciwnika. A tu nic takiego - żyli, budowali, czcili jakiegoś swojego Heigera... Ukochanego i Prostego... A w rezultacie - pustka. Tak jakby nigdy nikogo nie było. Same kości, i nawet tych jest mało jak na tyłu mieszkańców. Tak, panie prezydencie! Człowiek planuje sobie różne rzeczy, a pan Bóg mu jakieś migotanie spuści i koniec...

Też kichnął i pociągnął nosem. Chłodno tu jakoś... A Kechadę dobrze by było oddać pod sąd, jak wrócimy... Jego myśli skierowały się na dawny tor: jak zapędzić Kechadę w kozi róg, tak żeby nawet nie mógł pisać, żeby cała dokumentacja była jak na dłoni i żeby Heiger od razu wiedział w czym rzecz... Opędził się od tych myśli - nie czas i nie miejsce. Teraz trzeba myśleć wyłącznie o jutrzejszym dniu. O dzisiejszym też by nie zaszkodziło. Na przykład, gdzie się podział posąg? Przyszedł jakiś rogaty... jakiś stegozaur... wziął go pod pachę i poszedł. Po co? A poza tym, ważył przecież ładnych kilkadziesiąt ton. Więc co, jak mu się zachce, to traktor też sobie zabierze? Trzeba się stąd wynosić, nie ma co. Gdyby nie pułkownik, już by nas tu nie było... Zaczaj myśleć o pułkowniku i nagle złapał się na tym, że nasłuchuje.

Pojawił się jakiś oddalony, niejasny dźwięk - nie głosy, bo głosy przez cały czas dudniły tak samo - coś na ulicy, za wysokimi, uchylonymi drzwiami. Zadzźwięczały kolorowe szyby witrażu, zawibrowały kamienne schody pod łokciami i tyłkiem, jakby gdzieś w pobliżu były tory i teraz jechał po nich pociąg - ciężki, towarowy. Niemowa nagle otworzył oczy i odwrócił głowę, nasłuchując w napięciu.

Andrzej ostrożnie podciągnął pod siebie nogi i wstał, trzymając automat za pasek. Niemowa też od razu wstał, patrząc na niego jednym okiem i cały czas nasłuchując.

Trzymając automat w pogotowiu, Andrzej bezszelestnie podbiegł do drzwi i wyjrzał. Gorące, zakurzone powietrze sparzyło mu twarz. Ulica była żółta, rozpalona i pusta. Tylko wchłaniająca dźwięki cisza już nie istniała. Ogromny młot z tępą jednostajnością walił gdzieś w jezdnię. Odgłosy uderzeń - ciężkich, chrzęszczących, miażdżących bruk dobiegały z daleka, ale przez cały czas się przybliżały.

W domu naprzeciwko z głośnym brzękiem rozsypała się pęknięta witryna. Andrzej zaskoczony cofnął się, ale od razu się opanował, zacisnął zęby i przeładował automat. Diabli mnie tu przynieśli, pomyślał przelotnie.

Młot nadciągał, ale zupełnie nie wiadomo było, z której strony. Uderzenia były coraz częstsze, coraz głośniejsze. Słyszało się w nich jakąś niezłomność i nieodwracalność zwycięstwa. Kroki losu, przemknęło Andrzejowi przez głowę. Niepewnie obejrzał się na Niemowę.

Przeżył szok. Niemowa stał, opierając się o ścianę, i w skupieniu manipulował swoim toporem, obcinając paznokieć przy małym palcu lewej ręki. Minę miał przy tym zupełnie obojętną, nawet znudzoną.

- Co?! - zapytał ochryple Andrzej. - Coś ty?...

Niemowa popatrzył na niego, kiwnął głową i znowu zajął się swoim paznokciem. Bumm, bumm, bumm - rozlegało się już zupełnie blisko, ziemia drżała pod nogami. I nagle zapadła cisza. Andrzej znowu wyjrzał. Na najbliższym skrzyżowaniu, sięgając głową do drugiego piętra, stała ciemna figura. Posąg. Zabytkowy metalowy posąg. Ten sam typ z żabią mordą, tylko że teraz stał wyciągnięty, zadzierając w górę obfity podbródek, jedną rękę miał za plecami, drugą z wyciągniętym palcem wskazującym uniósł w górę - nie wiadomo czy grożąc, czy pokazując na niebo ...

Andrzej, znieruchomiały jak w koszmarze, patrzył na tego potwora z sennych majaczeń. Ale widział, że to nie sen. Posąg wyglądał normalnie - niedorzecznie nieudolna konstrukcja z metalu, pokryta ni to zgorzeliną, ni to czarnym tlenkiem, postawiona bez sensu, w idiotycznym miejscu... W unoszącym się nad jezdnią gorącym powietrzu jej zarysy drżały i kołysały się, dokładnie tak samo jak zarysy domów przy ulicy.

Andrzej poczuł na swoim ramieniu rękę. Obejrzał się - uśmiechnięty Niemowa uspokajająco kiwał głową. Bumm, bumm, bumm - rozległo się znowu na ulicy. Niemowa trzymał go za ramię - gładził, poklepywał i ugniatał mu mięśnie delikatnymi palcami. Andrzej odsunął go gwałtownie i wyjrzał. Posąg zniknął. Znowu było cicho.

Andrzej odepchnął Niemowę i na miękkich nogach pobiegł po schodach na górę, gdzie, jak gdyby nigdy nic, ciągle dudniły głosy.

- Dosyć! - krzyknął, wdzierając się do biblioteki. - Idziemy stąd!

Głos załamał mu się, ale oni niczego nie usłyszeli, a może usłyszeli, ale nie zwrócili uwagi - byli zbyt zajęci. Ogromne pomieszczenie uchodziło w głąb diabli wiedzą jak daleko, załadowane książkami regały tłumiły dźwięki. Jeden z regałów się przewrócił, na podłodze leżała góra książek. Właśnie w niej grzebali Izia i Pak - obaj bardzo zadowoleni, rozgorączkowni, spoceni, roznamiętnieni... Andrzej podszedł do nich depcząc po książkach i podniósł obu za kołnierze.

- Idziemy stąd - powiedział. - Dosyć. Idziemy.

Izia popatrzył na niego zamglonym wzrokiem, szarpnął się, wyrwał i od razu oprzytomniał. Szybko obejrzał Andrzeja od stóp do głów.

- Co z tobą? - zapytał. - Stało się coś?

- Nic się nie stało - odpowiedział ze złością Andrzej. - Starczy tej grzebaniny. Gdzie chcieliście iść? Do panteonu? To chodźmy do panteonu.

Pak, którego przez cały czas trzymał za kołnierz, delikatnie poruszył ramionami i odchrząknął. Andrzej puścił go.

- Wiesz, co my tu znaleźliśmy?... - zaczął Izia z zapalem i od razu przerwał. - No, co się takiego stało?

Andrzej już się opanował. Wszystko, co zdarzyło się na dole, tutaj - w tej dusznej, surowej sali, pod pytającym wzrokiem Izi, obok niezachwianie poprawnego Paka - wydawało się niedorzeczne i niemożliwe

- Nie możemy tracić tyle czasu na każdy obiekt - powiedział marszcząc brwi. - Mamy tylko dobę. Chodźmy.

- Biblioteka to nie byle obiekt! - sprzeciwił się natychmiast Izia. - To pierwsza biblioteka w naszej wyprawie. Słuchaj, przecież ty wyglądasz jak trup. Co się, do licha, stało?!

Andrzej ciągle nie mógł zdecydować się na opowiedzenie. Zupełnie nie wiedział, jak to zrobić.

- Chodźmy - burknął, odwrócił się i depcząc książki ruszył ku wyjściu.

Izia dogonił go, wziął pod rękę i dalej szedł obok niego. Stojący w drzwiach Niemowa przesunął się, pozwalając im przejść. Andrzej ciągle nie wiedział, jak zacząć. Wszystkie słowa wydawały mu się idiotyczne. Potem przypomniał sobie o pamiętniku.

- Czytałeś mi wczoraj pamiętnik... - zaczął. Schodzili już po schodach. - No, tego... co się powiesił...

- No?

- No i masz!

Izia zatrzymał się.

- Migotanie?

- Czy wy nic nie słyszeliście? - zapytał Andrzej z rozpaczą.

Izia pokręcił głową, a Pak odpowiedział:

- Pewnie za bardzo zajęliśmy się książkami. Spieraliśmy się. - Maniacy... - powiedział Andrzej. Konwulsyjnie wciągnął powietrze, obejrzał się na Niemowę i w końcu wykrztusił: - Posąg. Przyszedł i poszedł... Szlają się, rozumiesz, po mieście, jak żywe...

Zamilkł.

- No? - zapytał niecierpliwie Izia.

- Co - no! To wszystko!

- No i co z tego? No, posąg... Nocą też jeden łąził i co z tego?

Andrzej otworzył i znowu zamknął usta.

- Żelaznogłowi - odezwał się Pak. - Wygląda na to, że legenda powstała właśnie tutaj...

Andrzej, nie mogąc wydobyć głosu, patrzył to na Izie, to na Paka. Izia ze współczuciem - w końcu do niego dotarło! - zacisnął wargi i próbował poklepać Andrzeja po ręce, a Pak, sądząc widocznie, że ze wszystko już zostało wyjaśnione, rzucał przez ramię ukradkowe spojrzenia na bibliotekę.

-Taak... -wykrztusił w końcu Andrzej.-Bardzo miło. To znaczy, że wy od razu w to uwierzyliście?...

- Posłuchaj, uspokój się - powiedział Izia, któremu w końcu! udało się chwycić Andrzeja za rękaw. - Oczywiście, że uwierzyliśmy, dlaczego mielibyśmy nie uwierzyć? Eksperyment to mimo wszystko Eksperyment. Przez te wszystkie nasze biegunki i kłótnie zapomnieliśmy o nim, ale przecież... rany boskie, no i co takiego? No, posągi, no, chodzą... A my tu mamy bibliotekę! I wiesz, do czego doszliśmy? Ludzie, którzy tutaj żyli, to nasi współcześni, z dwudziestego wieku...

- Rozumiem - odparł Andrzej. - Puść rękaw.

Wiedział już, że zrobił z siebie głupka. A zresztą tych dwóch naprawdę nie widziało jeszcze posągu. Zobaczymy, jak będą śpiewać gdy go zobaczą. Co prawda, Niemowa też jakoś tak dziwnie...

- Nie macie mnie co namawiać - powiedział. - Teraz nie mamy czasu na tę bibliotekę. Jak będziemy tędy przejeżdżać z traktorami -zabierzcie sobie nawet całą przyczepę. A teraz chodźmy. Obiecałem, że wrócimy przed zachodem słońca.

- No dobrze - powiedział uspokajająco Izia. - Chodźmy.

Taak, myślał Andrzej, w pośpiechu zbiegając po schodach. Jak ja tak mogłem, myślał z zakłopotaniem, otwierając na oścież bramę i wychodząc na ulicę jako pierwszy, żeby nikt nie mógł zobaczyć jego twarzy. A przecież nie jestem byle żołnierzem czy jakimś kierowcą, myślał, idąc po rozżarzonym bruku. To wszystko przez Fritza, złościł się. Ogłosił, uważasz, że nie ma już żadnego

Eksperymentu, a ja uwierzyłem... To znaczy, wcale nie uwierzyłem, skąd, po prostu przyjąłem nową ideologię - z lojalności i obowiązku... Nie, moi drodzy, wszystkie te nowe ideologie są dla głupków, dla mas... Ale w końcu żyliśmy sobie cztery lata, o żadnym Eksperymentcie nie myśleliśmy, tyle było innych spraw... Karierę robiliśmy, pomyślał zjadliwie. Dywany zdobywaliśmy, eksponaty do prywatnych kolekcji...

Na skrzyżowaniu zatrzymał się, zerknął w zaułek. Posąg tam był - groził półmetrowym czarnym paluchem, nieprzyjemnie uśmiechając się zabią paszczą. Jakby chciał powiedzieć - już ja was wszystkich, sukinkoty!...

- Ten? - zapytał niedbale Izia.

Andrzej kiwnął głową i poszedł dalej.

Szli i szli, stopniowo tępiejąc od upału i oślepiającego światła, włączając na własne krótkie, pokraczne cienie. Pot jak słońca skorupa zastygał na czole i skroniach. Nawet Izia przestał już narzekać na to, że zaważyły się jego zręczne hipotezy, nawet niezmordowany Pak powłóczył nogą - oderwała mu się podeszwa, a Niemowa od czasu do czasu szeroko rozdziawiał usta i, wysuwając straszny strzęp języka, zaczynał szybko dyszeć, jak pies... Nic się nie działo, tylko raz Andrzej nie zdążył nad sobą zapanować i drgnął, gdy przypadkiem podniósł oczy i w otwartym oknie na trzecim piętrze zobaczył ogromną, pozieleniałą twarz, wpatrującą się w niego niewidzącymi, wytrzeszczonymi oczami. Widok był rzeczywiście ohydny - trzecie piętro i pokryta plamami zielona gęba wielkości okna.

Potem wyszli na plac.

Czegoś takiego jeszcze nie widzieli. Plac był podobny do wyciętego dzikiego lasu, tylko zamiast pni były postumenty, mnóstwo, jeden przy drugim. Okrągłe, sześciennie, sześciograniaste, podobne do gwiazd, abstrakcyjnych jeży, wież artyleryjskich, mitologicznych zwierząt - kamienne, mosiężne, z marmuru, piaskowca, stali nierdzewnej, nawet chyba ze złota... I wszystkie puste, tylko z pięćdziesiąt metrów przed nimi na głowie skrzydlatego lwa stała ułamana nad kolanem goła noga wielkości człowieka, bosa, z niezwykle umięśnioną łydką.

Plac był ogromny, przeciwległy koniec zasłaniało drżące powietrze. Z prawej strony, pod samą Żółtą Ścianą, widniały zniekształcone strumieniami gorącego powietrza zarysy długiego, niskiego budynku z fasadą z gęsto poustawianych kolumn.

- No, no! - wyrwało się Andrzejowi. Izia wygłosił niezrozumiale:

- To jest w brązie, a to w marmurze, to z fajką, a to bez fajki... -Potem zapytał: - A gdzie oni się właściwie podziali?

Nikt mu nie odpowiedział. Wszyscy patrzyli i nie mogli się napatrzeć, nawet Niemowa. Potem odezwał się Pak:

- Chyba powinniśmy stąd odejść...

- To jest ten wasz panteon? - zapytał Andrzej, żeby cokolwiek powiedzieć, a Izia odezwał się z oburzeniem:

- Nie rozumiem! Co z nimi - wszystkie się po mieście wałęsają? To dlaczego ich nie widzieliśmy? Przecież powinny być tysiące, tysiące!...

- Miasto Tysiąca Posągów - powiedział Pak.

Izia szybko odwrócił się do niego.

- Co, taka legenda też istnieje?

- Nie, ale tak bym to nazwał.

- Ale, ale! - wykrzyknął Andrzej, którego olśniła nieoczekiwana myśl. - Jak my tędy przejedziemy naszymi ciągnikami? Żadnego dynamitu nie starczy, żeby te pacholki wyrównać...

- Myślę, że powinna być jakaś droga dookoła placu - powiedział Pak. - Nad urwiskiem.

- Idziemy? - zapytał Izia. Niecierpliwił się.

Poszli prosto do panteonu, klucząc pomiędzy postumentami po bruku, który tutaj był rozbity i pokruszony na biały, mieniący się w słońcu pył. Od czasu do czasu zatrzymywali się, nachylali albo stawali na palcach i czytali napisy na postumentach. Napisy były tak dziwne, że aż ogarniała ich konsternacja.

"Na dziewiąty dzień od uśmiechu błogosławienie Muskulus gluteus twojego uratowały ich. Wzniosło się słońce i zgasła zorza miłości, ale". Albo po prostu: "Kiedy!" Izia chichotał i pohukiwał, bił pięścią w dłoń, Pak uśmiechał się, kręcąc głową, a Andrzej czuł się niezręcznie. Ta wesołość wydawała mu się nie na miejscu, nawet nieprzyzwoita, ale te uczucia były dość niesprecyzowane, więc tylko niecierpliwie poganiał ich:

- Dosyć, starczy - powtarzał. - Chodźmy. No, co jest? Spóźniamy się, tak nie można...

Szlag go trafiał, jak patrzył na tych idiotów - rzeczywiście, znaleźli sobie powód do śmiechu. A oni co chwila przystawali, wodzili brudnymi palcami po wytłoczonych literach, szczyrzyli zęby, wygłupiali się. W końcu machnął na nich ręką. Gdy zdał sobie sprawę, że ich głosy zostały daleko w tyle i nie można zrozumieć tego, co mówią, poczuł ogromną ulgę

Od razu lepiej bez tej idiotycznej świty, pomyślał zadowolony. W końcu jakoś sobie nie przypominam, żeby ich zapraszano. Coś tam się o nich mówiło, ale co? Czy proszono ich, żeby włożyli mundury galowe, czy może żeby w ogóle nie przychodzili... A zresztą, jakie to ma teraz znaczenie? Ostatecznie posiedzą trochę na dole. Pak to jeszcze, ale jak Izia zacznie czepiać się słów albo, nie daj Boże, sam będzie chciał przemawiać... Nie, nie, już lepiej bez nich, prawda, Niemowo? Trzymaj się za moimi plecami, o tak, z prawej strony, i rozglądaj się uważnie! Tu nie wolno nic przegapić. Pamiętaj, należymy do prawdziwych oponentów, to nie jakiś tam Kechada czy Chnojpek. Masz, weź automat, ja potrzebuję swobody ruchów, i w ogóle nie wypada przecież pchać się na katedrę z automatem -chwała Bogu, nie jestem Heigerem... chwileczkę, a gdzie moje tezy? Masz babo placek! Co ja bez nich zrobię?...

Panteon górował nad nim i nad wszystkimi swoimi kolumnami, rozbitymi, wyszczerbionymi stopniami, wyszczerzonymi zardzewiałą armaturą. Spoza kolumn ciągnęło lodowatym chłodem; tam było ciemno, dolatywał zapach oczekiwania i rozkładu. Gigantyczne złożone skrzydła drzwi już były otwarte, pozostawało tylko wejść. Andrzej wchodził powoli po schodach, uważając, żeby nie daj Boże się nie potknąć, nie upaść na oczach wszystkich. Przez cały czas obmacywał kieszenie, ale też nigdzie nie było. Oczywiście, zostały w metalowej skrzyni... nie, w nowej marynarce, chciałem przecież włożyć nową marynarkę, a potem zdecydowałem, że tak będzie bardziej efektownie...

...Do diabła, co ja bez nich zrobię? - pomyślał wchodząc do ciemnego westybulu. Co tam było w tych moich tezach? - myślał stąpając ostrożnie po podłodze z czarnego marmuru. Zdaje się, że coś o wielkości, przypominał sobie, wyęzając pamięć. Jednocześnie czuł, jak lodowaty chłód wpełza mu pod koszulę. W westybulu było bardzo zimno, mogli byli uprzedzić, mimo wszystko na dworze lato, poza tym mogli posypać podłogę piaskiem, ręce by im nie odpadły, a tak to nawet pośliznąć się można...

...No, myślał, i co teraz, w prawo, w lewo? Ach, tak, pardon... Znaczy się tak. Po pierwsze, było tam o wielkości, myślał, idąc w stronę zupełnie ciemnego korytarza. O, dywan to już zupełnie co innego. Jednak! Ale żeby światło jakieś, to już nie pomyśleli. U nich to tak zawsze: albo postawią jakieś pochodnie czy nawet jupitery, albo tak jak tutaj... A więc - wielkość.

...Mówiąc o wielkości, przypominamy sobie tak zwane wielkie imiona. Archimedes. Bardzo dobrze! Syrakuzy, eureka, łaźnie... czyli, wanny. Nago. Dalej. Atylla! Wenecki doża. To znaczy,

proszę o wybaczenie: to Otello był weneckim dożą. Atylla to król Hunów. Jedzie. Niemy i mroczny jak mogiła... Ale po co aż tak daleko sięgać po przykłady? Piotr! Wielkość. Wielki. Piotr Wielki. Pierwszy. Piotr Drugi i Piotr Trzeci już nie byli wielcy. Bardzo możliwe, że dlatego że to nie byli pierwszymi. Wielki i pierwszy bardzo często Występują jako synonimy. Chociaaaż... Katarzyna Druga, Wielka. Druga, ale Wielka. Ten wyjątek warto zaznaczyć. Często będziemy mieć do czynienia z wyjątkami tego rodzaju, które, jak to się mówi, tylko potwierdzają regułę...

Mocno splótł ręce za plecami, oparł podbródek o pierś i wysuwając dolną wargę, kilka razy przeszedł się tam i z powrotem, za każdym razem elegancko omijając swój taboret. Potem odsunął stół nogą, oparł napięte palce o blat, ściągnął brwi i popatrzył ponad słuchaczami.

Stół - zupełnie pusty, obity szarą cynkowaną blachą - ciągnął się przed nim jak szosa. Drugiego końca w ogóle nie było widać. W żółtawej mgłę migotały tam kołysane przeciągiem ogniki świec. Andrzej z przelotną irytacją pomyślał, że do licha, to nie w porządku, że już kto jak kto, ale on powinien widzieć, kto siedzi na końcu stołu. Zobaczenie go jest dużo ważniejsze, niż tych tu... A zresztą, to nie mój kłopot...

Z roztargnieniem i wyrozumiałością obejrzał rzędy tych. Spokojnie zasiadali po obu stronach stołu, zwracając ku niemu uważne twarze - kamienne, mosiężne, miedziane, złote, brązowe, gipsowe, agatowe... i jakie tam oni mogą mieć jeszcze twarze. Na przykład srebrne. Albo, powiedzmy, nefrytowe... Niewidzące oczy patrzyły nieprzyjemnie. I w ogóle, co mogło być przyjemnego w tych masywnych cielskach, których kolana sterczały metr, a czasem dwa nad stołem? Dobrze chociaż, że się nie ruszali i milczeli. Jakikolwiek ruch byłby teraz nie do zniesienia. Andrzej z rozkoszą, a nawet pewną zachłannością słuchał, jak upływają ostatnie sekundy wspaniale zaplanowanej pauzy.

- Ale jaka jest reguła? Na czym polega? Na czym polega jej substancjonalna istota, immanentna tylko jej i żadnemu innemu predykatowi?... Obawiam się, że będę tu musiał mówić o rzeczach, których nie jesteście przyzwyczajeni słuchać i które mogą być dla was nieprzyjemne... Wielkość! Ach, jakże dużo już o niej powiedziano, narysowano, zatańczono i zaśpiewano! Czym byłby gatunek ludzki bez kategorii wielkości? Banda gołych małp, w porównaniu z którymi nawet szeregowy Chnojpek wydawałby się wykwittem wysoko rozwiniętej cywilizacji. Czyż nie tak?... Przecież każdy oddzielnie wzięty Chnojpek nie zna miary rzeczy. Natura nauczyła go tylko konsumpcji i rozmnażania się. Każde inne działanie wspomnianego Chnojpeka nie może zostać przez niego samodzielnie ocenione ani jako dobre, ani jako złe, ani jako pożyteczne, ani jako zbędne czy szkodliwe. I właśnie dlatego dany Chnojpek wcześniej czy później trafia pod sąd wojenno-polowy, który to sąd decyduje, co z nim zrobić... W ten sposób brak osądu wewnętrznego słusznie wypełniany jest obecnością sądu zewnętrznego, na przykład wojenno-polowego... Jednakże, panowie, społeczeństwo złożone z Chnojpeków oraz, niewątpliwie, z Wywłok, po prostu nie było w stanie udzielić tyle uwagi sądowi zewnętrznemu - nieważne, czy był to sąd wojenno-polowy, czy sąd przysięgłych, tajny sąd inkwizycji czy sąd Lyncha, sąd skorupkowy czy też tak zwany sąd honorowy. Nie mówiąc już o sądach koleżeńskich i innych... Należało znaleźć taką formułę organizacji tego chaosu, składającego się z narządów płciowych i trawiennych, tak Chnojpeków, jak i Wywłok, taką formę tego wszechświatowego burdelu, żeby chociaż część funkcji wspomnianych sądów zewnętrznych była przekazana osądowi wewnętrznemu. I właśnie wtedy przydała się kategoria wielkości! Chodzi o to, panowie, że w ogromnym i absolutnie amorficznym tłumie Chnojpeków, w ogromnym i jeszcze bardziej amorficznym tłumie Wywłok od czasu do czasu pojawiają się jednostki, dla których sens życia nie ogranicza się tylko do funkcji seksualnych i trawiennych. Pojawia się trzecia potrzeba! Takiemu osobnikowi nie wystarcza strawienie czegoś tam i korzystanie z czyichś tam wdzięków. On chciałby jeszcze coś stworzyć i to coś takiego, czego wcześniej, przed nim, nie było. Na przykład

strukturę instancyjną albo, powiedzmy, hierarchiczną. Jakiegoś koziorożca na ścianie. Z jajami. Albo mit o Afrodycie... Po co mu to wszystko - tego to już nawet on sam nie wie. No bo po co właściwie takiemu Chnojpekowi zrodzona z piany Afrodyta, albo taki koziorożec? Z jajami. Istnieją oczywiście pewne hipotezy, o, i to sporo! Przecież koziorożec to w sumie góra mięsa. Nie mówiąc już o Afrodycie... Właściwie, szczerze mówiąc, pochodzenie tej trzeciej potrzeby jest ciągle dla naszej materialistycznej nauki zagadką. Ale w tej chwili nie to powinno nas interesować. W tej chwili co jest dla nas najważniejsze? To, że w szarym tłumie nagle pojawia się jednostka, która nie chce zadowolić się owsianką czy brudną Wywłoką z nogami obsypanymi kurzajkami, a więc nie zadowala się powszechnie dostępnym realizmem. Zaczyna idealizować, abstrahować, jej wyobraźnia przemienia owsiankę w soczystego koziorożca z sosem czosnkowym, a Wywłokę w przepiękną, czysto wymytą kobietę z biodrami - kobietę z oceanu. Z wody... Mój Boże! Przecież taki człowiek jest bezcenny! Takiego człowieka należy postawić gdzieś wysoko i przyprowadzać do niego Chnojpeków i Wywłoki całymi stadami, żeby się nauczyli, gdzie jest ich miejsce. A co, łajdaki, umiecie tak jak on? Ty, ty, rudy, zawszony, umiesz narysować kotlet i to tak, żeby ślinka pociekła? Albo chociaż wymyślić dowcip? Nie umiesz? To gdzie się tu, bydlaku, pchasz? Z nim chcesz się równać? Do pługa, do pługa! Ryby łowić, muszlami handlować!...

Andrzej odepchnął się od stołu i, zacierając z entuzjazmem ręce, znowu przeszedł się tam i z powrotem. Bardzo dobrze mu to wychodziło. Wspaniale! I to bez żadnych tez. Wszystkie posągi słuchały z zapartym tchem. Żeby chociaż jeden się poruszył... Cóż, taki już jestem. Ja to nie Katzman, nie gadam tyle co on, ale jeżeli mnie pytają, jeżeli mnie proszą... Co prawda, w tamtym niewidocznym końcu stołu też ktoś zaczął przemawiać. Jakiś Żyd. Może to Katzman? No, jeszcze zobaczymy kto kogo.

- A więc wielkość jako kategoria powstała z twórczości, albowiem wielki jest tylko ten, kto tworzy, czyli konstruuje coś nowego, coś, czego wcześniej nie było. Ale zadajmy sobie, moi panowie, pytanie, któż wtedy będzie ich gnoić? Kto im powie: gdzie się chłystku pchasz, gdzie leziesz? Kto stanie się, że tak powiem, kapłanem twórcy - nie boję się tego słowa? Otóż stanie się nim ten, moi drodzy, kto rysować tego kotleta czy Afrodyty nie umie, ale łowić ryb też za nic nie chce - twórca-organizator, twórca-ustawiacz w szeregu, twórca dary zbierający i darami obdzielający!... I tutaj właśnie doszliśmy do problemu roli Boga i diabła w historii. Do problemu, powiedzmy to otwarcie, arcytrudnego, skomplikowanego, do problemu, w którym, naszym zdaniem, wszyscy się pogubili... Przecież nawet niewierzące dziecko wie, że Bóg to ktoś dobry, a diabeł to ten zły. Ale przecież to, moi panowie, kompletna bzdura! Co my tak naprawdę o nich wiemy? Że Bóg wziął chaos w swoje ręce i uporządkował go, a diabeł przeciwnie, każdego dnia, w każdej chwili stara się ten porządek, tę strukturę naruszyć i przywrócić chaos. Czyż nie tak? Ale z drugiej strony historia uczy nas, że człowiek jako taki dąży właśnie do chaosu. Chce żyć według swoich własnych zasad. Chce robić tylko to, na co ma ochotę. Bez przerwy powtarza, że urodził się wolny. Po co daleko szukać przykładów - weźmy chociażby tego sławetnego Chnojpeka!... Mam nadzieję, że rozumiecie, do czego zmierzam? Czym, pytam, zajmowali się na przestrzeni dziejów najbardziej okrutni tyrani? Przecież właśnie starali się ten właściwy człowiekowi chaos, tę chaotyczną, amorficzną chnojpekowywłokowatość należycie uporządkować, zorganizować, ukształtować, ustawić -najlepiej w jeden szereg - wymierzyć w jeden punkt i w ogóle ukontrudzić. Albo mówiąc jeszcze prościej, udupić. I przecież zazwyczaj im się to udawało! Co prawda, nie na długo i wyłącznie za cenę ogromnego przelewu krwi... I teraz pytam was: kto jest naprawdę dobrym człowiekiem? Ten, który dąży do realizacji chaosu - czyli wolności, równości i braterstwa, czy ten, który dąży do zminimalizowania chnojpekowywłokowatości (czytaj: entropii socjalnej!)? Kto? Oto jest problem!

Wspaniale mu to wyszło. Sucho, celnie, ale nie bez pewnej pasji... No i czemu ten tam gardłuje - tam, na końcu? Co za chamidło! I pracować przeszkadza, i w ogóle...

Andrzej, nieprzyjemnie zaskoczony, zauważył nagle, że kilku słuchaczy odwróciło się do niego tyłem. Zaczął się im przyglądać. Bez wątpienia, siedzieli tyłem. Jeden, dwóch... sześc! Zakasłał z całych sił i groźnie postukał knykciami po ocynkowanym blacie. Nie pomogło. O, poczekajcie, pomyślał. Już ja wam zaraz! Jak to będzie po łacinie?...

- *Quos ego!* - krzyknął. - Wam się chyba wydaje, że coś znaczą? Że wy jesteście potężni, a my gdzie się tam płaczemy na dole? Że wy - z kamienia, a my - gnijące ciała? Wy na wieki wieków, a my proch, jednodniówki? A figę! Kto o was pamięta? Nastawiali was jakimś dawno zapomnianym wałkoniom... Archimedes - rzeczywiście! Owszem, był taki jeden, wiem, wiem, goły biegał po ulicach, wstydu za grosz... No i co? Przy odpowiednim poziomie rozwoju cywilizacji jaja by mu za to wyrwali. Żeby nie biegał. Eureka, coś takiego... Albo i ten Piotr Wielki. No dobrze, car, imperator wszech Rosji... Widywaliśmy już takich. A jak miał na nazwisko? Co? Nie wiecie? Ale pomników to nastawiali! Dzieł ponapisywali! A zapytajcie studenta na egzaminie - dobrze, jak jeden na dziesięciu będzie pamiętał jego nazwisko. Wielki!... I tak ze wszystkimi! Albo nikt o was nie pamięta, tylko udają, albo pamiętają imię, ale nazwiska to już nie. I na odwrót: nazwisko pamiętają - na przykład nagroda Kallingi - ale imię... co tu zresztą mówić o imieniu! A kim on był? Może pisarzem, a może spekulantem wełną... A zresztą, komu to potrzebne? Chcieć o was wszystkich pamiętać, to by człowiek zapomniął, ile wódka kosztuje.

Teraz już z dziesięciu odwróciło się tyłem. To było przykre. A Katzman w tamtym końcu stołu przemawiał coraz głośniej, coraz bardziej natarczywie, ale ciągle tak samo niezrozumiale.

- Przynęta! - zawołał Andrzej na całe gardło. - Oto czym jest wasza zachwalana wielkość! Przynęta! Patrzy na was Chnojpek i myśli: no proszę, jacy to ludzie byli! To i ja teraz rzucę palenie, rzucę picie i przestanę się ze swoją Wywłoką po krzakach kodować, do biblioteki pójde się zapisać i też to wszystko osiągnę... To, oczywiście, tylko założenie, że niby tak powinien myśleć. Ale patrząc na was myśli sobie zupełnie co innego. I jeśli nie postawi się obok was warty, nie otoczy się was płotkiem, to on narobi dookoła, nabazgrze coś kredą i pójdzie z powrotem do swojej Wywłoki, cały szczęśliwy. Macie swoją funkcję wychowawczą! Macie pamięć ludzkości!... Apo co właściwie takiemu Chnojpekowi pamięć? Po cholere ma o was pamiętać, możecie mi powiedzieć? To znaczy, oczywiście, były takie czasy, że pamiętanie o was wszystkich było w dobrym tonie. Co było robić, pamiętali. Aleksander Macedoński, urodzony wtedy i wtedy, zmarł wtedy i wtedy. Zdobywca. Bucefał. "Hrabino, pani Bucefał jest zmęczony, a przy okazji, nie chciałaby się pani przespać ze mną?" Kulturalnie, jak należy... Teraz, oczywiście, uczniowie też muszą zakuwać. Urodzony wtedy i wtedy, zmarł wtedy i wtedy, przedstawiciel oligarchii. Wyzyskiwacz. Teraz to już w ogóle nie wiadomo, komu to potrzebne. Egzamin zdałeś -i do widzenia. "Aleksander Macedoński również był wielkim wodzem, ale po co od razu niszczyć taborety?"... Był taki film *Czapajew*. Widzieliście? "Brat umiera, Mitka, prosi o uche..." Oto i całe zastosowanie waszego Aleksandra....

Andrzej umilkł. Cała ta gadanina do niczego nie prowadziła. Nikt go nie słuchał. Wszyscy odwrócili się ryłem, widział tylko karki -mosiężne, kamienne, stalowe, nefrytowe... ogolone, łyse, kędzierzawe, z warkoczem, ze szczerbami, albo schowane pod kolczugami, hełmami, trójgraniastymi kapeluszami... Nie podoba się, pomyślał z goryczą. Prawda w oczy kole. Przyzwyczajeni do hymnów, dytyrambów. *Exegi monumentum*... A co ja im takiego powiedziałem? Nie kłaniałem, nie płaściłem się, powiedziałem tylko to, co myślę. Przecież nie mam nic przeciwko wielkości. Puszkina, Lenina, Einsteina... Nie lubię tylko bałwochwalstwa. Dziełom trzeba się pokłonić, nie posągom. A może nawet dziełom nie trzeba. Dlatego że każdy robi to, na co go stać. Jeden -

rewolucję, drugi - fujarkę. A może mnie stać tylko na fujarkę - to co, jestem głównym?...

Głos za żółtą mgłą nie przestawał dudnić. Teraz można było usłyszeć pojedyncze słowa: "... niesłychane i niezwykle... z katastrofalnej sytuacji... tylko wy... zasłużyło na wieczną wdzięczność i wieczną sławę"... Tego właśnie szczególnie nie znoszę, pomyślał Andrzej. Nie znoszę, jak szastają wiecznościami. Bracia na zawsze. Wieczna przyjaźń. Na zawsze razem. Wieczna sława... I skąd oni to wszystko biorą? Co oni widzieli wiecznego?

- Dostyc tych kłamstw! - krzyknął przez stół. - Trzeba mieć sumienie!

Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Andrzej odwrócił się i wyszedł, czując jak przeciąg przenika go do szpiku kości, cuchnący, przesiąknięty zapachem grobowca, rdzy, utlenionej miedzi... A przecież to nie Izia tam przemawiał. Izia nigdy w życiu nie używał takich słów. Niepotrzebnie na niego naskoczyłem... Niepotrzebnie w ogóle tu przychodziłem. Po co mnie właściwie przyniosło? Pewnie mi się wydawało, że coś rozumiałem. Przecież jestem już po trzydziestce, wypadałoby wiedzieć, co do czego. Co za dziki pomysł -przekonywać pomniki, że nie są nikomu potrzebne! To tak jakby przekonywać ludzi, że nie są nikomu potrzebni... Może tak właśnie jest, ale kto w to uwierzy?

Coś się ze mną stało przez te ostatnie lata, pomyślał. Coś straciłem. .. Cel straciłem. Jakies pięć lat temu dokładnie wiedziałem, po co robię to czy tamto. A teraz nie wiem. Wiem, że Chnojpeka trzeba zastrzelić. Ale dlaczego - nie rozumiem. To znaczy, rozumiem, że wtedy będzie mi dużo łatwiej pracować, ale po co ma mi być łatwiej pracować? Przecież to potrzebne tylko mnie. Dla samego siebie. Ile ja już lat żyję dla samego siebie... Może to i słuszne: nikt nie będzie za mnie dla mnie żył, trzeba się samemu o to zatroszczyć. Ale to przecież nudne, smutne, nie mam już siły... i wyboru też nie mam, pomyślał. Oto co rozumiałem. Człowiek nie umie i nie może niczego, oprócz życia dla siebie. Andrzej aż zazgrzytał zębami od beznadziejnej jasności i konkretności tej myśli.

Wyszedł z grobowca w cień kolumn i zmrużył oczy. Żółty rozpalony plac z setką pustych postumentów leżał przed nim. Stąd, jak z pieca, napływały fale gorącego powietrza. Upał, pragnienie, wycieńczenie... To był świat, w którym trzeba było żyć, a zatem także działać.

Izia spał z głową wspartą na otwartym tomiku, wyciągnięty na kamiennych płytach w cieniu. Na spodniach z tyłu ziała ogromna dziura, buty były dziwacznie wykoślawione. Potem jechało od niego na kilometr. Niemowa też tutaj był - siedział w kucki z zamkniętymi oczami, opierając się plecami o kolumnę. Na kolanach miał automat.

- Wstawać - powiedział Andrzej zmęczonym głosem. Niemowa otworzył oczy i wstał. Izia podniósł głowę i popatrzył na Andrzeja spod spuchniętych powiek.

- Gdzie Pak? - zapytał Andrzej rozglądając się.

Izia usiadł, wczepił się zgiętymi palcami w swoją zakurzoną czuprynę i zaczął się drapać.

- Cholera... - zamamrotał niezrozumiale. - Słuchaj, jestem potwornie głodny... Ile można?

- Zaraz pójdziemy - powiedział Andrzej. Cały czas się rozglądał. - Gdzie jest Pak?

- Poszeeeeauterii - odpowiedział Izia, ziewając rozdzierająco. -O żeż ty, ale mnie rozebrało...

- Gdzie poszedł?

- Do biblioteki. - Izia podskoczył, podniósł swój tomik i zaczął wpychać go do plecaka. - Zdecydowaliśmy, że on na razie wybierze książki... Która to godzina? Zegarek mi stanął.

Andrzej spojrział na swój.

- Trzecia. Idziemy.

- Może byśmy najpierw coś zjedli? - zaproponował nieśmiało Izia.

- Po drodze - powiedział Andrzej.

Czuł niejasny niepokój. Coś mu się nie podobało. Coś było nie tak. Wziął od Niemowy automat i, mrużąc oczy, wszedł na rozpalone schody.

- No tak... - warczał z tyłu Izia. - Teraz to jeść po drodze... Ja tu na niego czekam, a on mi nawet zjeść jak należy nie pozwala... Niemowa, daj mi plecak...

Andrzej, nie oglądając się, szedł szybko pomiędzy postumentami. Też mu się chciało jeść, ssało go okropnie, ale coś nie pozwalało mu zwolnić. Poprawił na ramieniu pasek od automatu i znowu przelotnie spojrzął na zegarek. Przez cały czas była za minutę trzecia. Podniósł nadgarstek do ucha. Zegarek stał.

- Ej, panie radco! - zawołał Izia. - Trzymaj pan!

Andrzej zatrzymał się i wziął od niego dwa suchary z tłustą konserwowaną świniną. Izia już z apetytem chrupkał i ciamkał. Oglądając po drodze kanapkę - z której strony najwygodniej zacząć - Andrzej zapytał:

- Kiedy Pak poszedł?

- Prawie od razu - odparł Izia z pełnymi ustami. - Obejrzeliśmy ten panteon, nie znaleźliśmy nic ciekawego i poszedł.

- Niepotrzebnie - powiedział Andrzej. Zrozumiał już, co go niepokoiło.

- Co niepotrzebnie? Andrzej nie odpowiedział.

ROZDZIAŁ 4

Paka w bibliotece nie było. Oczywiście, nie miał nawet zamiaru tu przychodzić. Książki leżały nie ruszone.

- Dziwne... - powiedział zaskoczony Izia, kręcąc głową. - Powiedział przecież, że wybierze wszystkie socjologiczne...

- Powiedział, powiedział... - wycodził przez zęby Andrzej. Kopnął pierwszy z brzegu opasył tom, odwrócił się i zbiegł po schodach. A jednak. Jednak oszukał. Skośnooki oszust. Dalekowschodni Żyd... Właściwie nie wiedział sam, na czym polegało to oszustwo dalekowschodniego Żyda, ale całym sobą czuł - oszukał!

Szli teraz blisko ścian - Andrzej po prawej stronie ulicy, Niemowa, który też już zrozumiał, że sprawa nie wygląda dobrze, po lewej. Izia chciał iść środkiem, ale Andrzej tak na niego naskoczył, że archiwariusz błyskawicznie cofnął się i teraz szedł za nim krok w krok, sapiąc z oburzeniem i pogardliwie prychnając. Widoczność była kiepska, na jakieś pięćdziesiąt metrów, dalej ulica wyglądała jak zanurzona w akwarium - wszystko drżało, migotało, błyszczało. Nawet coś w rodzaju wodorostów kołysało się nad jezdnią.

Gdy podeszli do kina, Niemowa nagle przystanął. Obserwujący go kątem oka Andrzej również się zatrzymał. Niemowa stał nieruchomo, jakby czemuś się przysłuchując. W opuszczonej ręce trzymał topór.

- Jedzie spaleniżną... - powiedział cicho Izia.

Andrzej od razu poczuł zapach spaleniżny. Aha, pomyślał, zaciskając zęby.

Niemowa podniósł rękę z siekierą, machnął w stronę ulicy i poszedł dalej. Przeszli jeszcze ze dwieście metrów, zachowując maksymalną ostrożność. Coraz mocniej pachniało spaleniżną. Woń gorącego metalu, płonących szmat, oleju solarowego i jeszcze jakiś słodkawy, niemal apetyczny zapach. Co się tam stało? - zastanawiał się Andrzej, zaciskając zęby do chrzęstu w skroniach. Co on tam narobił? - myślał ze smutkiem. Co się tam pali? Bo że się pali, nie miał wątpliwości... Wtedy zobaczył Paka.

Od razu pomyślał, że to on - trup miał na sobie znajomą kurtkę z wyblakłej błękitnej serży. Nikt inny w obozie nie miał takiej kurtki. Koreańczyk leżał na rogu, z rozrzuconymi nogami, z głową na automacie samoróbce. Krótka lufa automatu była wycelowana w stronę obozu. Pak wyglądał dziwnie grubo, jak napompowany. Dłonie miał czarnosine i błyszczące.

Andrzej nie zdążył jeszcze do końca zrozumieć, co właściwie widzi, gdy Izia z charkotem odepchnął go, depcząc mu po nogach, rzucił się na skrzyżowanie i padł na kolana obok trupa. Andrzej przełknął ślinę i popatrzył na Niemowę. Niemowa energicznie kiwał głową i wskazywał toporem coś przed nimi. Na samej granicy widoczności Andrzej zobaczył jeszcze jedno ciało. Ktoś leżał na środku ulicy, też gruby i czarny. Poprzez drgające powietrze można było teraz zobaczyć, jak nad dachami domów unosi się zniekształcony refrakcją słup szarego dymu.

Andrzej opuścił automat i szybko przeciął skrzyżowanie. Izia już wstał z kolan. Podchodząc do niego Andrzej zrozumiał dlaczego - od trupa w błękitnej kurtce nieznośnie jechało czymś słodkawym i mdlącym.

- Mój Boże... - powiedział Izia, odwracając do Andrzeja zlaną potem, zmartwiałą twarz. - Zabili go, dranie... Wszyscy razem nie są warci jego jednego...

Andrzej przelotnie popatrzył pod nogi, na straszną, rozdętą kukłę z czarnym wrzodem zamiast karku. Słońce słabo odbijało od rozsypanych obok miedzianych gilz. Andrzej ominął Izie. I już się nie chowając, nie garbiąc, przeciął ulicę i podszedł do drugiej rozdętej kukły, nad którą kucał Niemowa.

Trup leżał na plecach. Twarz miała potwornie opuchniętą i czarną, ale Andrzej mimo to go rozpoznał: Ted Kamiński, specjalista od pomiarów, zastępca Kechady. Najstraszniejsze było to, że miał na sobie tylko slipki i waciak, jaki nosili kierowcy. Najwidoczniej dostał serię w plecy i kule przeszły na wylot - na piersiach waciak był cały w dziurach, z których sterczały kępki szarej watoliny. Pięć metrów dalej leżał automat bez magazynka.

Niemowa położył Andrzejowi rękę na ramieniu i pokazał coś przed sobą. Tam, po prawej stronie ulicy, opierał się o ścianę jeszcze jeden skulony trup. Permiak. Najwidoczniej trafili go na środku ulicy, na bruku była jeszcze czarna zaschnięta plama, ale konając do-czołgał się do ściany, zostawiając za sobą gęsty czarny ślad, i tam umarł, wykręcając głowę i z całych sił przyciskając ręce do rozerwanego kulami brzucha.

Zabijali się w przystępie niepohamowanej wściekłości, jak rozjuszone drapieżniki, jak rozżłoszczone tarantule, jak oszalałe z głodu szczury. Jak ludzie.

W poprzek nie brukowanej przecznicy, przy samym obozie, na zaschniętych ekskrementach leżał Tewosian. Gonił traktor, który skręcił w tę przecznicę i jechał w stronę urwiska, ryjąc spaloną ziemię niecierpliwymi gaśnicami. Tewosian gonił go od samego obozu, strzelał w biegu, z traktora strzelali do niego i tutaj, na skrzyżowaniu, gdzie tamtej nocy stał posąg z żabią mordą, trafili go. Leżał tu teraz, szczerząc żółte zęby, w swoim wysmarowanym pyłem, nieczystościami i krwią żołnierskim mundurze. Ale przed śmiercią, a może już po śmierci, on też trafił: w połowie drogi do urwiska, wbijając zgięte palce w pokruszoną gaśnicami ziemię, wzdęty, ogromny jak góra, leżał sierżant Vogel. Dalej traktor jechał już bez niego - do samego urwiska i jeszcze dalej, w dół, w przepaść.

W obozie leniwie dopalała się przyczepa. Po poprzewracanych, podziurawionych kulami, czarnych od gorąca beczkach jeszcze pełzały dymiące języki pomarańczowych płomieni. W blade niebo powoli wzbijały się kłęby tłustego dymu. Z czarnego zapieczonego stosu na przyczepie sterczały czyjeś spalone nogi. Czuć było ten sam słodkawy, apetyczny zapach, ale teraz od niego mdliło.

Z okna pokoju kartografów zwisało nagie ciało Ruliera - długie, owłosione ręce prawie dosięgały chodnika. Na chodniku leżał automat. Cała ściana wokół okna była poobtłukiwana i poharatana kulami. Po przeciwległej stronie ulicy leżeli na sobie trafieni jedną serią Wasilienko i Palotti. Obok nich nie było broni. Na wychudłej twarzy Wasilienki zastygł wyraz niewiarygodnego zdumienia i przerażenia. Drugiego geologa, drugiego kartografa i zastępcę do spraw technicznych Ellizauera rozstrzelano. Leżeli teraz pod podziurawionymi drzwiami - Ellizauer w kałesonach, pozostali nago.

A w samym centrum tej cuchnącej hekatombi, dokładnie na środku ulicy, na długim stole z aluminiowymi nóżkami, przykryty brytyjską flagą, ze złożonymi na piersiach rękami leżał pułkownik Saint-James, w galowym mundurze, ze wszystkimi odznaczeniami na piersi, ciągle tak samo suchy, niewzruszony i nawet ironicznie uśmiechnięty. Obok, przywarty do nogi od stołu, opierając siwą głowę o jezdnię, leżał Dagan - też w mundurze galowym. W zaciśniętej ręce trzymał złamaną łaskę pułkownika.

To było wszystko. Sześciu żołnierzy - wśród nich Chnojpek, inżynier Kechada, przybłęda Wywłoką - drugi traktor z drugą przyczepą znikli. Pozostały trupy, zwalony na kupę sprzęt geologów i kilka automatów. I smród. I tłusty dym. I duszący swąd spalonego mięsa, dolatujący z dogasającej przyczepy. Andrzej wtargnął do swojego pokoju, padł na fotel i z jękiem opuścił głowę na ręce. To koniec. Zupełny koniec. I nie było już ratunku od bólu, nie było ratunku od wstydu, nie było ratunku od śmierci.

...Ja ich tu przyprowadziłem. Ja. Ja ich porzuciłem samych, ja, tchórz, łajdak. Odpoczyńku mi się

zachciało. Od ich ryjów zachciało mi się odpocząć, śmierdzielowi, mazgajowi, paniczykowi jednemu... Pułkowniku, pułkowniku! Dlaczego pan nie żyje?... Gdybym nie poszedł, żyłby teraz. Gdyby on żył, nikt by nawet nie śmiał pisnąć. Zwierzęta... Hieny! Strzelać trzeba było, strzelać!...

Znowu przeciągle zajęczał i potarł mokry policzek o rękaw. W bibliotekach się chłodził... Do posągów przemawiał... Debil, papla, wszystko przesrał, wszystko stracił. A zdychaj teraz, bydlaku! Nikt po tobie nie zapłaci. Po jaką cholere, komu jesteś potrzebny?... Ale przecież to straszne, straszne... Gonili się, strzelali, do leżących, do martwych strzelali, pod ścianą stawiali, klęli, bili... Do czego żeście doszli, chłopaki? Do czego was doprowadziłem?... I po co? Po co?!

Uderzył zaciśniętymi pięściami w blat, wyprostował się, otarł twarz dłonią. Słysząc było, jak za oknem niezrozumiale, przenikliwie wykrzykuje coś Izia, a Niemowa uspokajająco grucha jak gołąb. Nie chcę żyć, pomyślał Andrzej. Nie chcę. Do diabła z tym wszystkim. .. Wstał od stołu, chciał pójść do Izi, do ludzi, i nagle zobaczył przed sobą otwarty dziennik ekspedycji. Ze wstrętem odepchnął go od siebie, ale w tym momencie zauważył, że ostatnia strona zapisana jest nie jego ręką. Usiadł z powrotem i zaczął czytać.

Kechada pisał:

"Dzień trzydziesty pierwszy. Wczoraj rano, trzydziestego dnia ekspedycji radca Woronin z archiwariuszem Katzmanem i emigrantem Pakiem wyruszyli na rozpoznanie. Mieli zamiar wrócić przed zmrokiem, lecz nie wrócili. Dzisiaj o godzinie czternastej trzydzieści zmarł na atak serca tymczasowo pełniący obowiązki dowódcy ekspedycji pułkownik Saint-James. Ponieważ radca Woronin w dalszym ciągu nie wrócił z rozpoznania, przejmuję dowodzenie ekspedycją. Podpisano: zastępca kierownika ekspedycji ds. nauki D. Kechada. Trzydziesty pierwszy dzień ekspedycji, godzina piętnasta czterdzieści pięć".

Dalej były zwykle brednie o zużyciu wody i prowiantu, o temperaturze i wietrze, a także rozkaz dotyczący mianowania sierżanta Vogla na stanowisko zmarłego pułkownika, nagana dla Ellizauera za powolność i rozkaz dla niego - maksymalnie przyspieszyć remont drugiego traktora. Dalej Kechada pisał:

"Mam zamiar jutro dokonać uroczystego pogrzebu przedwcześnie zmarłego pułkownika Saint-Jamesa, a zaraz po ceremonii wysłać uzbrojony oddział na poszukiwanie grupy zwiadowczej radcy Woronina. W przypadku nieodnalezienia zaginionej grupy, mam zamiar wydać rozkaz powrotu, gdyż dalszy pochód uważam za jeszcze bardziej bezsensowny niż dotychczas".

"Dzień trzydziesty drugi. Grupa zwiadowcza nie wróciła. Za skandaliczną bójkę ubiegłej nocy kartograf Rulier oraz szeregowi Chnojpek i Tewosian zostali pozbawieni dziennej racji wody i otrzymali ostatnie ostrzeżenie".

Dalej na papierze widniał atramentowy kleks. Na tym kończyły się zapiski. Najwidoczniej na ulicy zaczęła się strzelanina, Kechada wyskoczył i już nie wrócił.

Andrzej przeczytał notatki dwa razy. Tak, Kechada, tego właśnie chciałeś. Masz, czego chciałeś. A ja przez cały czas źle myślałem o Paku, świeć Panie nad jego duszą... Przygryzł wargę i zmrużył oczy, gdy przed jego oczami znowu pojawiła się rozdęta kukła w niebieskiej wyblakłej kurtce. Nagle do niego dotarło: trzydziesty drugi dzień. Jak to trzydziesty drugi? Trzydziesty! Wczoraj pisałem za dwudziesty ósmy... Pospiesznie przerzucił kartkę. Tak. Dwudziesty ósmy... I te wzdęte trupy-leżą tu już od kilku dni... Boże, jak to możliwe? Jeden, dwa... Jaki dzisiaj dzień? Przecież wyszliśmy dzisiaj rano!

Przypomniał mu się upalny, zastawiony pustymi postumentami plac i lodowata ciemność panteonu, i niewidzące posągi za nieskończenie długim stołem... To było dawno. Taak... A więc omotali mnie, omamili, zamęcili w głowie, ogłupili... Przecież mogłem wrócić tego samego dnia, pułkownik

jeszcze by żył, wszystko byłoby inaczej...

Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł zmieniony Izia - wychudły, z wyciągniętą, kościstą twarzą, posępny, rozzłoszczony, jakby to nie on dopiero co krzychał pod oknami. Rzucił w kąt prawie pusty plecak, usiadł w fotelu naprzeciwko Andrzeja i powiedział:

- Trupy leżą już co najmniej trzy dni. Rozumiesz coś z tego?

Andrzej bez słowa podsunął mu dziennik. Izia złapał go chciwie, błyskawicznie pochłonął zapiski i podniósł na Andrzeja czerwone oczy.

Andrzej uśmiechnął się krzywo:

- Eksperyment to Eksperyment.

- Co za parszywe draństwo... - powiedział Izia z nienawiścią i wstrętem. Jeszcze raz przeleciał zapiski wzrokiem i rzucił dziennik na stół. - Łajdaki!

- Według mnie to na placu nas tak wzięło - odezwał się Andrzej. - Tam, gdzie te postumenty...

Izia kiwnął głową, odchylił się w fotelu, zadarł do góry brodę i zamknął oczy.

- Co teraz zrobimy, panie radco? - zapytał. Andrzej milczał.

- Nawet nie myśl o samobójstwie! - wykrzyknął Izia. - Znam ja was... komsomolcy... orlęta...

Andrzej znowu krzywo się uśmiechnął i pociągnął za kołnierz.

- Posłuchaj - powiedział. - Chodźmy stąd, gdziekolwiek... Izia otworzył oczy i zaczął się w niego wpatrywać.

- Smród... - wykrztusił Andrzej. - Nie mogę...

- Chodźmy do mnie - zaproponował Izia.

Wyszli na korytarz. Na ich widok Niemowa wstał. Andrzej chwycił go za obnażoną, umięśnioną rękę i pociągnął za sobą. Weszli do pokoju Izi. Okna wychodziły na inną ulicę. Za oknami, nad niskimi dachami wznosiła się Żółta Ściana. Tutaj w ogóle nie czuło się smrodu, panował chłód, nie było tylko gdzie usiąść - całą podłogę z przyległościami zawałały papiery i książki.

- Siadajcie na podłodze - odezwał się Izia, a sam zwałił się na swoją rozgrzebaną, brudną pościel.

- Myślmy - powiedział. - Nie zamierzam tu zdychać. Mam jeszcze masę spraw do załatwienia.

- O czym tu myśleć? - odezwał się ponuro Andrzej. - I tak już wszystko jedno... Wodę zabrali, a całe żarcie spłonęło. Drogi powrotnej nie ma - przez pustynię nie przejdziemy. Nawet gdybyśmy dogonili tych drani... Ale gdzie tam - w życiu ich nie dogonimy, tyle dni minęło... - Zamilkł na chwilę. - Gdybyśmy znaleźli wodę... Daleko do tej twojej stacji pomp?

- Ze dwadzieścia kilometrów - odparł Izia. - Może trzydzieści...

- Gdybyśmy szli nocą, jak jest chłodniej...

- Nocą nie da rady - powiedział Izia. - Ciemno. I wilki.

- Tu nie ma żadnych wilków - sprzeciwił się Andrzej.

- Skąd wiesz?

- No to zostaje nam samobójstwo i do diabła z tym wszystkim.

Wiedział już, że się nie zastrzeli. Chciał żyć. Nigdy wcześniej nie przypuszczał, że można tak bardzo chcieć żyć.

- No dobra. A poważnie?

- Poważnie to ja mam zamiar żyć. I przeżyję. Teraz to już gwizdzę na wszystko. Teraz jesteśmy tylko my dwaj, rozumiesz? Teraz musimy przeżyć. I koniec. I do diabła z nimi wszystkimi. Po prostu znajdziemy wodę i będziemy koło niej żyć.

- Słusznie - powiedział Izia. Usiadł na łóżku, włożył rękę pod koszulę i zaczął się drapać. - W dzień będziemy pić wodę, a nocami...

Andrzej popatrzył na niego, nie rozumiejąc.

- Masz jakieś inne propozycje? - zapytał.

- Na razie nie. Masz rację, najpierw trzeba znaleźć wodę. Bez wody koniec z nami. A co dalej - to się jeszcze zobaczy... Teraz myślę o czymś innym. Wszystko wskazuje na to, że oni uciekali stąd na łeb, na szyję, od razu po tej rzezi. Przestraszyli się. Załadowali się na przyczepę i chodu! Trzeba by jeszcze w domu poszukać - niewykluczone, że i woda, i żarcie gdzieś tu jeszcze są...

Chciał dodać coś jeszcze, ale zamilkł z otwartymi ustami. Wytrzeszczył oczy.

- Patrz! - wyszeptał z przerażeniem. Andrzej natychmiast odwrócił się do okna.

Na początku nic specjalnego nie zauważył, usłyszał tylko jakiś oddalony łoskot, jakby coś się waliło, jakby gdzieś sypały się kamienie... Potem jego oczy pochwyciły jakiś ruch na żółtym pionowym zboczu ponad dachami.

Z góry, z błękitnej bladej mgły, w której chował się świat, szybko, ostrzem w dół spadał dziwny, trójkątny obłok. Spadał z niewiarygodnej wysokości i był jeszcze bardzo daleko od podnóża ściany, ale już teraz widać było, że na ostrzu miota się wściekle, podskakując i objijając się o niewidoczne występy, jakiś ciężki kształt o męcząco znajomych zarysach. Przy każdym uderzeniu odpadały od niego kawałki, które spadały potem obok. Leciały kamienne odłamki, nabrzmiewały kłęby jasnego pyłu, zapadając się powoli w obłok, kształtując go, rozchodząc się trójkątnie jak fala za rufą szybkiego kutra. Oddalony huk stawał się coraz bliższy, głośniejszy, rozpadał się na oddzielne uderzenia, stukot odłamków o monolit, groźne szuranie gigantycznego osuwiska...

- Traktor! - zawołał zduszonym głosem Izia.

Andrzej zrozumiał go dopiero w ostatniej chwili, gdy zniekształcona, zniszczona maszyna znikła za dachami, podłoga pod nogami drgnęła od strasznego uderzenia, wzbili się słup ceglanego pyłu, a odłamki i kawałki blachy poleciały w powietrze. Po chwili wszystko skryło się pod żółtą lawiną.

Milczeli, przysłuchując się grzmotom, łoskotowi, chrzęstowi. Podłoga pod nogami przez cały czas drżała. Nad dachami wznosił się nieruchomy żółty obłok.

- Nieźle! - powiedział Izia. - Jak ich tam zaniósło?

- Kogo? - zapytał tępo Andrzej.

- Przecież to nasz traktor, durniu!

- Jaki nasz? Ten, który uciekł?

Izia nie odezwał się, z całych sił trąc nos brudnymi palcami.

- Nie wiem - powiedział. - Nic nie rozumiem... A ty rozumiesz? - zapytał nagle, odwracając się do Niemowy.

Ten obojętnie skinął głową. Izia z irytacją uderzył dłonią w kolano, ale w tym momencie Niemowa zrobił dziwny gest: wyciągnął przed siebie palec wskazujący, gwałtownie opuścił go do podłogi, potem podniósł nad głowę rysując w powietrzu wyciągnięte koło.

- No? - zapytał chciwie Izia. - No?

Niemowa wzruszył ramionami i powtórzył ten sam gest. Andrzej przypomniał sobie - przypomniał sobie i od razu wszystko zrozumiał.

- "Spadające gwiazdy"! - zawołał. - I w takim momencie! - zaśmiał się gorzko. - Dopiero w takim momencie to zrozumiałem!...

- Co rozumiałeś?! - wrzasnął Izia. - Jakie gwiazdy?!

Andrzej, nie przestając się śmiać, machnął ręką.

- Nieważne - powiedział. - Nieważne, nieważne, nieważne! Co nas to teraz obchodzi? Dostyc tego gadania, Katzman! Musimy przeżyć, rozumiesz? Przeżyć! W tym podłym, nieprawdopodobnym świecie! Potrzebujemy wody, Katzman!...

- Poczekaj, poczekaj... - mamrotał Izia.

- Niczego więcej nie chcę! - krzyczał Andrzej potrząsając zaciśniętymi pięściami. - Nie chcę już niczego rozumieć! Nie chcę już nic więcej wiedzieć!... Przecież tam są trupy, Katzman! Trupy! Przecież oni też chcieli żyć, Katzman! A teraz po prostu leżą spuchnięci i gniją!

Izia wysunął podbródek, zszedł z łóżka, chwycił Andrzeja za kurtkę i siłą posadził na podłodze.

- Cicho! - powiedział, sapiąc strasznie. - Dać ci w mordę? Zaraz ci dam. Baba!

Andrzej zgrzytnął zębami i zamilkł. Izia dysząc ciężko wrócił na połówkę i znowu zaczął się drapać.

- Trupów nie widział... - warczał. - Świata nie widział... Baba.

Andrzej schował twarz w dłoniach. Dusił w sobie straszne, bezsensowne wycie. Ale jakąś cząstką świadomości pojął już, co się z nim dzieje. To pomagało. Czuł się jak w koszmarze, tutaj, wśród tych trupów, jeszcze żywy, ale tak naprawdę to już martwy... Izia coś mówił, ale on go nie słuchał. Potem mu przeszło.

- Co mówiłeś? - zapytał odsłaniając twarz.

- Mówię, że pójde się rozejrzeć w pokojach żołnierzy, a ty zrób to samo u inteligentów. I w pokoju Kechady - gdzieś tam u niego powinien być przydział dla geologów... Nic się nie bój, damy radę...

W tym momencie zgasło słońce.

- Szlag by to! Co za niefart! - wykrzyknął Izia. - Teraz trzeba poszukać latarki... czekaj, czekaj, przecież gdzieś tu powinna być twoja lampa...

- Zegarek - wykrztusił Andrzej. - Zegarek trzeba ustawić...

Podniósł nadgarstek do oczu, obejrzał fosforyzujące wskazówki i ustawił je na dwunastą zero zero. Izia, klnąc przez zęby, miotał się w ciemnościach, nie wiadomo po co przesuwał łóżko, szeleścił papierami. Potem trzasnęła i zapłonęła zapałka. Izia stał na czworakach na środku pokoju i przesuwał zapałkę to w lewo, to w prawo.

- No i co tak siedzicie, do diabła!... - wrzasnął. - Lampy szukajcie! Szybciej, mam tylko trzy zapałki!...

Andrzej podniósł się niechętnie, ale Niemowa znalazł już lampę, podniósł szybkę i podał ją Izi. Zrobiło się jaśniej. Izia w skupieniu, ruszając brodą ustawiał palnik. W jego maślanych łapach palnik nie miał zamiaru dać się wyregulować. Lśniący od potu Niemowa wrócił w kąt, usiadł w kucki i stamtąd żałośnie i z oddaniem patrzył na Andrzeja szeroko otwartymi oczami dziecka. Waleczność... Ogryzki zwyciężonej armii...

- Daj mi lampę - polecił Andrzej.

Zabrał lampę Izi, wyregulował palnik i zakomenderował:

- Idziemy.

Pchnął drzwi do pokoju pułkownika. Okna były szczelnie pozamykane, szyby całe, może dlatego w ogóle nie czuło się smrodu. Pachniało tytoniem i wodą kolońską. Pułkownikiem.

Wszystko leżało starannie poukładane, dwie spakowane walizki lśniły wysokogatunkową skórą, łóżko polowe było zaścielone bez jednej fałdki, w głowie łóżka na gwoździu wisiał bandolet z kaburą i czapka z ogromnym daszkiem. Na masywnej komodzie w kącie stała na filcowym krążku lampa gazowa, obok pudełko zapałek, stos książek, binokle w futerale...

Andrzej postawił swoją lampę na stole i jeszcze raz się rozejrzał. Taca z butelką i przewróconymi kieliszkami stała na półce pustego regału.

- Podaj - powiedział do Niemowy.

Niemowa rzucił się, chwycił tacę i postawił ją na stole obok lampy. Andrzej nalał koniaku do kieliszków. Kieliszki były tylko dwa. Sobie nalał do nakrętki.

- Bierzcie. Za życie.

Izia popatrzył na niego z aprobatą, wziął kieliszek i powąchał z miną znawcy.

- To jest coś! - uśmiechnął się. - A więc za życie! I to ma być życie? - zachichotał, stuknął się z Niemową i wypił. Oczy mu zwilgotniały. - Dobree... - powiedział lekko schrypniętym głosem.

Niemowa też wypił - jak wodę, bez żadnego zainteresowania. A Andrzej ciągle jeszcze stał z pełną nakrętką. Nie spieszył się. Coś chciał jeszcze powiedzieć, ale co - nie wiedział. Kolejny etap kończył się i zaczynał się nowy. I chociaż nie wierzył, żeby następny dzień mógł być lepszy, to mimo wszystko był realnością - realnością tym bardziej dotkliwą, że być może będzie to jeden z niewielu dni, jakie im pozostały. Andrzej po raz pierwszy czuł coś takiego i po raz pierwszy z taką siłą.

Nie wymyślił w końcu, co powiedzieć.

- Za życie - powtórzył tylko i wypił.

Potem zapalił gazową lampę pułkownika, wręczył ją Izi i obiecał, że jeśli tę też zepsuje, to oberwie.

Izia wyszedł mamrocząc coś obrażonym tonem. Andrzej cały czas zwlekał z wyjściem, z roztargnieniem rozglądał się po pokoju. Właściwie należało by tu poszperać, Dagan na pewno miał schowane dla pułkownika coś niecoś, ale szperanie właśnie w tym pokoju wydawało mu się jakieś takie... wstydlive?

- Ależ Andrzeju, niech się pan nie krępuje - usłyszał nagle znajomy głos. - Martwi nie potrzebują niczego.

Niemowa siedział na brzegu stołu i machał nogą. Właściwie to już nie był Niemowa, a raczej - niezupełnie on. W dalszym ciągu miał na sobie tylko spodnie, a za szerokim pasem topór, ale jego skóra stała się sucha i matowa, twarz zaokrągliła się, na policzkach pojawił się zdrowy brzoskwiniowy rumieniec. To był Nauczyciel - we własnej osobie. Po raz pierwszy na jego widok Andrzej nie poczuł ani radości, ani nadziei, ani entuzjazmu. Poczul tylko irytację i zakłopotanie.

- A, to znowu pan... - zawarczał, odwracając się do Nauczyciela plecami. - Dawno się nie widzieliśmy...

Podszedł do okna, przywarł czołem do ciepłej szyby i popatrzył w ciemność, słabo rozświetloną płomieniami dogasającej przyczepy.

- A my tu, jak pan widzi szykujemy się do śmierci.

- A to dlaczego? - zapytał wesoło Nauczyciel. - Życ trzeba! Wie pan przecież, jak to jest - na śmierć nigdy nie jest za późno, zawsze za wcześnie.

- A jeśli nie znajdziemy wody?

- Znajdziecie. Zawsze znajdowaliście, to i teraz znajdziecie.

- No dobrze. Znajdziemy. I co, mamy spędzić przy niej resztę życia? To po co w takim razie żyć?

- A po co w ogóle się żyje?

- Też się właśnie ciągle zastanawiam: po co? Głupie było to moje życie. Idiotyczne... Kręciłem się przez cały ten czas jak gówno w przeręblu - ani na dół, ani do góry. Najpierw walczyłem za jakieś idee, potem za deficytowe dywany, a potem to już zupełnie zgłupiałem... ludzie przeze mnie zginęli...

- No, no, to niepoważne - powiedział Nauczyciel. - Ludzie zawsze giną. Co pan ma do tego? Zaczyna pan nowy etap, Andrzeju, i, według mnie, decydujący. W pewnym sensie to nawet dobrze, że tak się stało. Wcześniej czy później i tak musiało do tego dojść. Przecież ekspedycja była z góry skazana. Ale mógł pan zginąć przed przekroczeniem tej ważnej granicy...

- Ciekawe, co to za ważna granica? - uśmiechnął się Andrzej. Odwrócił się do Nauczyciela przodem. - Idee już były - cała ta bieżanina wokół społecznego szczęścia i temu podobne brednie dla smarkaczy... Karierę już robiłem, dziękuję, wystarczy, dosyć mam naczelnikowania... Więc co mi się jeszcze może przydarzyć?

- Zrozumienie! - powiedział Nauczyciel, lekko podnosząc głos.

- Co - zrozumienie? Zrozumienie czego?

- Zrozumienie - powtórzył. - Tego właśnie nie miał pan nigdy - zrozumienia!

- Tego waszego zrozumienia mam teraz potąd! - Andrzej postukał się kantem dłoni po grdyce. -

Teraz już wszystko rozumiem. Trzydzieści lat do tego zrozumienia dochodziłem i w końcu doszedłem. Ani ja nikomu nie jestem potrzebny, ani mnie nikt nie jest potrzebny. Czy jestem, czy mnie nie ma, czy walczę, czy leżę na kanapie - bez różnicy. Nic nie można zmienić, nic nie można naprawić. Można się tylko urządzić, lepiej albo gorzej. Nie mam żadnego wpływu na to, co się dzieje. Oto wasze zrozumienie, więcej nie ma tu nic do rozumienia... Lepiej niech mi pan powie, co ja mam z tym zrozumieniem zrobić? Zakisić go na zimę czy teraz zjeść?

Nauczyciel pokiwał głową.

- Otóż to. To właśnie jest ostatnia granica: co zrobić ze zrozumieniem? Jak z nim żyć? Bo przecież żyć mimo wszystko trzeba!

- Żyć to trzeba, jak się nie rozumie! - powiedział gniewnie Andrzej. - A jak już się rozumie, to trzeba umrzeć! I gdybym tylko nie był takim tchórzem... gdyby tylko nie wyla we mnie ta przeklęta protoplazma, wiedziałbym, co mam zrobić. Znalazłbym mocny sznurek...

Zamilkł.

Nauczyciel wziął butelkę, ostrożnie nalał do jednego kieliszka, potem do drugiego i w zadumie zakręcił butelkę.

- A więc, zacznijmy od tego, że nie jest pan tchórzem - powiedział. - I sznurka nie użył pan nie dlatego, że się pan boi... gdzieś w podświadomości, i zapewniam, że nie tak znowu głęboko, siedzi w panu nadzieja, mało tego, pewność, że można żyć nawet ze zrozumieniem. I to nieźle żyć. Ciekawie. - Zaczął przesuwać paznokciem w stronę Andrzeja jeden z kieliszków. Niech pan sobie przypomni, jak ojciec zmuszał pana do przeczytania *Wojny światów* - jak pan nie chciał, jak się pan złościł, jak chował przeklętą książkę pod kanapę, żeby wrócić do ilustrowanego *Barona Münchhausena*... Wells pana nudził, robiło się panu od niego niedobrze, nie wiedział pan, po jaką cholere on panu, nie chciał go pan... A potem przeczytał pan tę książkę dwanaście razy, nauczył się jej na pamięć, rysował do niej ilustracje, nawet próbował pan napisać dalszy ciąg...

- No i co? - zapytał posępnie Andrzej.

- Coś takiego zdarzało się panu nieraz! - przypomniał Nauczyciel. - I jeszcze nieraz się zdarzy. Dopiero co wbito w pana zrozumienie, mdli pana od niego, nie wie pan, po co ono panu, nie chce go pan... - Wziął swój kieliszek. - Za dalszy ciąg! - wykrzyknął.

Andrzej podszedł do stołu, podniósł do ust swój kieliszek i z dobrze znaną ulgą poczuł, jak znowu rozpraszają się wszystkie ponure wątpliwości, jak pojawia się nikłe światełko w tej, wydawałoby się, nieprzeniknionej ciemności. Trzeba wypić i wesoło uderzyć pustym kieliszkiem w stół, i powiedzieć coś energicznego, rażącego, i wziąć się do roboty... Ale w tym momencie ktoś trzeci, kto do tej pory zawsze milczał, nie odzywał się przez trzydzieści lat - może spał, a może leżał pijany, a może mu wszystko wisiało - nagle zachichotał i wymówił coś bezsensownego: "Ti li li, ti li li!..."

Andrzej wylał koniak na podłogę, rzucił kieliszek na tacę, włożył ręce do kieszeni i powiedział:

- Zrozumiałem coś jeszcze, Nauczycielu... Niech pan pije na zdrowie, ja nie mam ochoty. - Nie mógł dłużej patrzeć na tę rumianą twarz. Odwrócił się do niego tyłem i znowu podszedł do okna. - Za bardzo mi pan przytakuje, Nauczycielu. Zbyt bezceremonialnie mi pan przytakuje, panie Woronin drugi, moje ty sumienie, żółte, gumowe, moja ty zużyta prezerwatywo... Wszystko ci się, Woronin, podoba, wszystko cię, kochany, urządza. Najważniejsze żebyśmy my zdrowi byli, oni niech sobie zdychają. Jak się żarcie skończy, to Katzmana zastrzelę, nie? Ładnie, nie ma co!

Drzwi za plecami skrzypnęły. Andrzej obejrzał się. Pokój był pusty. I kieliszki były puste, i butelka też, i w piersiach też było jakoś tak pusto, jakby wycięto mu coś wielkiego, coś, do czego się przyzwyczał. Może guz. A może serce...

Przywykając powoli do tego nowego wrażenia, Andrzej podszedł do łóżka pułkownika, zdjął z gwoździa pas z pistoletem, opasał się nim, zacisnął go z całej siły i przesunął kaburę na brzuch.

- Na pamiątkę - powiedział głośno do śnieżnobiałej poduszki.

CZEŚĆ 6
ZAKOŃCZENIE

Słońce było w zenicie. Miedziany od pyłu dysk wisiał pośrodku bladego, przybrudzonego nieba. Pokraczny cień kurczył się. i jeżył tuż pod podeszwami, to szary i rozmyty, to jakby nagle ożywając nabierał ostrości, robił się. czarny i wyjątkowo wstrętny. Nie było tu żadnej drogi - tylko guzowata, szarozółta sucha glina, popękana, ubita, twarda jak kamień. Jej gładka, niemal wypolerowana powierzchnia nasuwała pytanie, skąd bierze się taka masa pyłu.

Na szczęście wiatr wiał w plecy. Gdzieś daleko za nimi wsysał w siebie niezliczone tony wstrętnych, rozszarpanych drobinek pyłu i z tępym uporem przesypywał je wzdłuż wypalonego słońcem występu, wciśniętego pomiędzy przepaść i Żółtą Ścianą. Wzbijał je w szalonym kołowrocie w niebo, skręcał w giętkie, kokieteryjne, łabędzie szyje trąb powietrznych albo po prostu pchał przed siebie kłębiący się wał, a potem w ataku wściekłości ciskał kłującą mękę w plecy, we włosy, rozjuszony smagał nią po mokrym od potu karku, chłostał po rękach, po uszach, wpychał do kieszeni, wsypywał za kołnierz...

Była tu pustka i to od bardzo dawna. Może od zawsze. Słońce, glina, wiatr. Tylko czasem przeleci, podskakując i wijąc się jak błaznujący kuglarz, kolczasty szkielet krzewu, wydartego z korzeniami Bóg wie jak daleko stąd. Ani kropli wody, żadnych oznak życia. Tylko pył, pył, pył, pył...

Czasem glina pod nogami gdzieś znikwała i zaczynał się kamienny miał. Wszystko było rozpalone, jak w piekle. To z prawej, to z lewej strony z kłębow wędrującego pyłu wystawały gigantyczne fragmenty skał - siwych, jakby przyprószonych mąką. Wiatr i upał nadawały im najbardziej fantastyczne i niespodziewane kształty. Pojawiały się i znikwały jak zjawy, jakby bawiły się w kamiennego chowanego. Kamienne okruchy pod nogami stawały się coraz grubsze, nagle kruszywo kończyło się i pod nogami znowu dzwięczała glina.

Kamienie zachowywały się bardzo podstępnie. Usuwały się spod nóg, starały jak najgłębiej wbić w podeszwę, przebić ją, dobrać się do żywego ciała. Glina zachowywała się trochę lepiej, ale i ona robiła co mogła. Nagle wypiętrzała się łysawymi pagórkami, albo ni z tego, ni z owego formowała siew idiotyczne zbocza, rozstępowała się w głębokie, strome doły, na których dnie nie pozwalała oddychać tysiącletni, zastany upał... Ona też grała w swoją grę, w swojego glinianego berka, przechodziła metamorfozy na miarę swojej ograniczonej, glinianej fantazji. Tutaj wszystko grało w swoją grę. I to do jednej bramki...

- Ej, Andrzej - zawołał ochryple Izia. - Andriuchaa!...

- Czego chcesz? - zapytał przez ramię Andrzej i zatrzymał się. Wózek, chybcząc się na rozchwianych kółkach, siłą rozpędu wpadł na niego i podciął kolana.

- Uważaj!...

Izia stał jakieś dziesięć metrów od niego i pokazywał coś, co trzymał w wyciągniętej ręce.

- Co to? - zapytał Andrzej bez specjalnego zainteresowania. Izia napał na postronki i, nie opuszczając ręki, dotoczył swój wózek do Andrzeja. Andrzej przyglądał mu się - Izia wyglądał strasznie, z tą brodą do piersi, z nastroszoną, szarą od pyłu czupryną, w niewiarygodnie obszarpanej kurtce, z widocznymi przez dziury kawałkami mokrego, owłosionego ciała. Strzępy spodni ledwie zakrywały kolana, prawy but wołał pic, wypuszczając na światło dzienne brudne palce z połamanymi, czarnymi paznokciami... Koryfeusz ducha. Kapłan i apostoł wiecznej świątyni kultury...

- Grzebień! - zawołał triumfalnie Izia, podchodząc bliżej.

Grzebień był z gatunku tych najtańszych - plastikowy, z połamanymi zębami. Właściwie był to zaledwie fragment grzebienia. W miejscu złamania można nawet jeszcze było dojrzeć jakieś GOST, ale plastik był wybielony dziesięcioleciami leżenia na słońcu i porządnie wyżarty przez pył.

- No widzisz - powiedział Andrzej. - A ty ciągle marudzisz: nikt przed nami, nikt przed nami.

- Marudzę zupełnie inaczej - odparł pojednawczo Izia. - Posiedźmy chwilę, co?

- Dobra - zgodził się Andrzej bez entuzjazmu. Izia od razu, nawet nie zdejmując postronków, klapnął tyłkiem wprost na ziemię i zaczął wsuwać kawałek grzebienia do kieszeni na piersi.

Andrzej postawił swój wózek bokiem do wiatru, zrzucił postronki i usiadł, opierając się plecami i karkiem o gorące kanistry. Wiatru zrobiło się jakby mniej, za to goła glina bezlitośnie parzyła w pośladki przez przetarty materiał.

- No i gdzie ten twój rezerwuar? - zapytał z pogardą. - Papła.

- Szszuka, szszuka! - odezwał się Izia. - Musi tu jest!

- Co ty gadasz?

- To taki dowcip, o kupcu - wyjaśnił natychmiast Izia. - Poszedł jeden kupiec do domu publicznego...

- Zaczyna się! - zawołał Andrzej. - Znowu o tym samym? Troszkę spokoju, Katzman, jak słowo daję!

- Nie mogę sobie pozwolić na spokój - oświadczył Izia. - Pełna gotowość w każdej chwili.

- Zdechniemy tu.

- Mowy nie ma! Nawet o tym nie myśl!

- Nie myślę - odpowiedział Andrzej.

To była prawda. Myśl o nieuchronnej śmierci ostatnio bardzo rzadko przychodziła mu do głowy. Cholera wie dlaczego. Może dlatego, że poczucie beznadziejności zupełnie się stępiło, może ciało było już tak wyschnięte i znekane, że przestało krzyczeć i wyć, i tylko ledwo, ledwo chrypiało gdzieś na granicy słyszalności... A może to ilość przeszła w końcu w jakość i zaczęła działać ciągle obecność Izi z jego niemal nienaturalną obojętnością wobec śmierci. A śmierć przez cały czas krążyła wokół nich, to podchodziła bardzo blisko, to nagle znowu się oddalała, ale nigdy nie traciła ich z pola widzenia... Tak czy inaczej, od jakiegoś czasu jeśli nawet Andrzej zaczynał mówić o nieuchronnym końcu, to tylko po to, żeby przekonać się o swojej rosnącej wobec niego obojętności.

- Co mówisz? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Mówię, że najważniejsze to nie bać się tu zdechnąć...

- Sto razy mi to mówiłeś. Już od dawna się nie boję, a ty ciągle swoje...

- To dobrze - powiedział pokojowo Izia. Wyciągnął przed siebie nogi. - Czym by tu podwiązać podeszwę? - zastanowił się. - Jak nie podwiążę, to mi za chwilę odpadnie...

- Odetnij kawałek od postronków i podwiąż... Dać ci nóż? Przez jakiś czas Izia w milczeniu oglądał wystające z buta palce.

- Dobra - powiedział w końcu. - Jak zupełnie odpadnie, to wtedy... Może weźmiemy po łyku?

- Rączki marznąć, nóżki marznąć? - zapytał Andrzej i od razu przypomniał sobie wujka Jurę. Rzadko go teraz wspominał. Był postacią z innego życia.

- Czy nie pora sobie chlapnąć? - podchwycił natychmiast Izia, przypoehlebnie zaglądając Andrzejowi w oczy.

- Figą z makiem! - powiedział z zadowoleniem Andrzej. - Wiesz, czego się napij? Tej wody, o której gdzieś tam wyczytałeś. Kłamałeś o tym rezerwuarze, co?

Tak jak się spodziewał, Izia od razu się wściekł.

- Idź w cholere! Co ja jestem - twoja guwernantka?

- To twój rękopis kłamał...

- Idiota - powiedział Izia z pogardą. - Rękopisy nie kłamią. To nie książki. Trzeba tylko umieć je czytać...

- No, to znaczy, że ty nie umiesz...

Izia tylko na niego popatrzył i od razu zakrzętnął się, wstając.

- Będzie mi tutaj... - mamrotał. - Wstawaj! Chcesz rezerwuar? To czego siedzisz? Wstawaj, mówię!

Wiatr triumfalnie smagnął ich pyłem po uszach i radośnie, jak wesoły pies, zatoczył pyliste koło nad nagą gliną. Glina z wysiłkiem przyłączyła się do niego. Przez jakiś czas zachowywała się grzecznie, jakby zbierając siły, a potem nagle zaczęła spadać zboczem.

Żeby to ja chociaż wiedział, gdzie mnie diabli niosą, pomyślał Andrzej. Przez całe życie gdzieś mnie nosi, nie mogę usiedzieć w jednym miejscu... A przecież nie ma to już żadnego sensu. Wcześniej, mimo wszystko, zawsze był jakiś sens. Nawet najmarniejszy, najgłupszy, ale jednak. Gdy, powiedzmy, bili mnie po mordzie, zawsze mogłem sobie powiedzieć: to nic, to -i w imię, to -walka...

...Wszystko na świecie jest gównem, powiedział Izia. (To było w Kryształowym Pałacu, dopiero co zjedli po kawałku kury, pieczonej pod ciśnieniem, i teraz leżeli na kolorowych, sztucznych materacach na brzegu basenu z przezroczystą, podświetlaną wodą.) Wszystko na świecie jest gównem, powiedział Izia, grzebiąc w zębach starannie umyтым palcem. Wszyscy ci nasi oracze, tokarze, blumingi, krakingi, kłosiste pszenice, lasery i masery. Wszystko to gówno, nawóz. Wszystko przemija. Albo mija bez śladu i na zawsze, albo mija, bo ulega przemianie. I wszystko wydaje się ważne, bo większość uważa je za ważne. A większość tak myśli, bo stara się napchać żołądek i dogodzić sobie jak najmniejszym kosztem. Ale jeśli się zastanowić, to co kogo obchodzi większość? Ja na przykład nic do niej nie mam, sam w pewnym sensie jestem większością. Ale mnie większość nie interesuje. Historia większości ma swój początek i swój koniec. Na początku większość żre, co jej dają. A potem przez całe swoje życie zajmuje się problemem wyboru - co by tu takiego wybrać do żarcia? Czego jeszcześmy nie żarli?... No, do tego to na razie jeszcze daleko, zaprotestował Andrzej. Nie aż tak daleko, jak ci się wydaje, zaprzeczył Izia. A nawet jeśli daleko, to i tak nie o to chodzi. Najważniejsze, że jest początek i jest koniec... Wszystko, co ma początek, ma też koniec, powiedział Andrzej. Słusznie, zgodził się Izia niecierpliwie. Ale ja mówię w skali historii, a nie w skali wszechświata. Historia większości ma swój koniec, natomiast historia mniejszości zakończy się dopiero razem ze wszechświatem... Parszywy elitarysta, powiedział leniwie Andrzej, wstał ze swojego materaca i wskoczył do basenu. Długo pływał, prychał w chłodnej wodzie i nurkował na samo dno, gdzie woda była lodowata, i pił ją chciwie, jak ryba...

...Nie, skąd, wcale jej nie pił. Dopiero teraz by pił. O Boże, i to jak by pił! Cały basen by wypił, nic Izi nie zostawił, niech szuka tego swojego rezerwuaru...

Z prawej strony, zza szarozółtych kłębow pyłu wyjrzały jakieś ruiny - na wpół zavalona ściana, najeżona zakurzonymi roślinami, i pozostałości po niezgrabnej, czworokątnej wieży.

- No proszę - powiedział Andrzej zatrzymując się. - A ty ciągle: nikt przed nami...

- Nigdy tego nie mówiłem, do diabła! - wysyczał Izia. - Mówiłem...

- Słuchaj, a może rezerwuar jest właśnie tutaj?

- Bardzo możliwe.

- Chodźmy zobaczyć.

Zrzucili postronki i pocztapali w stronę ruin.

- Ha! - wykrzyknął Izia. - Normañska twierdza! Dziewiąty wiek...

- Woda, szukaj wody - powiedział Andrzej.

- Idź do diabła ze swoją wodą! - zawołał Izia. Oczy mu się rozszerzyły, wyszły na wierzch, dawno zapomnianym gestem sięgnął ręką pod brodę w poszukiwaniu brodawki. - Normanowie... - mamrotał.

- No, no... Ciekawe, jak ich tu ściągnęli?

Zaczepiając łańchmanami o ciernie, pokonali wyłom w murze. Wiatr ucichł. Na czworokątym,

gładkim placu wznosił się niski budynek z zawalonym dachem.

- Związek miecza i gniewu... - mamrotał Izia, szybko zmiierzając w kierunku drzwi. - A ja przez cały czas nie mogłem zrozumieć, co to za związek... skąd tu jakiś miecz... Ale kto by przypuszczał?...

W budynku panowało całkowite spustoszenie. Całkowite i pradawne. Starożytne. Zwalony strop przemieszał się z kawałkami zgniłych desek - pozostałościami po długim stole. Wszystko tu było zakurzone, spróchniałe, zbutwiałe. Wzdłuż ściany po lewej stronie ciągnęły się zakurzone i zbutwiałe ławy. Cały czas mamrocząc coś pod nosem, Izia zaczął grzebać w tym truchle, a Andrzej wyszedł na zewnątrz i obszedł dom dookoła.

Bardzo szybko znalazł to, co kiedyś mogło być rezerwuarem - ogromny, wyłożony kamiennymi płytami okrągły dół. Teraz kamienie były suche jak pustynia, ale woda niewątpliwie kiedyś tu była: na brzegach dołu, w twardej jak cement glinie zachowały się wyraźne wgłębienia - ślady obutych nóg i psich łap. Kiepska sprawa, pomyślał Andrzej. Dawny strach chwycił go za gardło i od razu puścił: na przeciwnym końcu dołu, na glinie rozpląszczyły się szerokie, kosmate liście żeń-szenia. Andrzej pobiegł do nich, okrążając dół, w biegu szukając noża w kieszeni.

Przez kilka minut, sapiąc i zalewając się potem, wściekle rył nożem i paznokciami skamieniałą glinę, odgrzebywał okruchy, znowu rył, a potem, chwytając rękami za grubą nasadę korzenia - chłodną, wilgotną, mocną- zaczął silnie, ale ostrożnie ciągnąć, żeby, nie daj Boże, nie złamać korzenia gdzieś pośrodku.

Korzeń był ogromny - z siedemdziesiąt centymetrów długości, gruby jak pięść, biały, czysty, połyskliwy. Przyciskając go obiema rękami do policzka, Andrzej poszedł do Izii. Po drodze nie wytrzymał: wpił się zębami w chrzęszczącą soczystość i zaczął z rozkoszą żuć. Starał się nie spieszyć, starał się przeżuwać jak można najdokładniej, żeby nie zmarnować ani jednej kropli tej cudownej, miętowej goryczy, od której w ustach i w całym ciele robiło się świeżo i chłodno jak w lesie nad ranem, i rozjaśniał się umysł. I nie trzeba już niczego się bać, można przesuwac góry...

Siedzieli potem na progu domu i radośnie wgrzali się, chrzęścili i ciamkali, mrugając do siebie wesoło z pełnymi ustami. Wiatr, rozczarowany, wył nad ich głowami i nie mógł ich dosięgnąć. Jeszcze raz go oszukali - nie będzie się zabawiał ich kośćmi na nagiej glinie. Teraz znowu mogli się z nim zmierzyć.

Wypili po dwa łyki z gorącego kanistra, zaprzęgli się do wózków i poszli dalej. Szło się zupełnie inaczej, lekko, Izia już nie zostawał w tyle, maszerował obok, klapiąc na wpół oderwaną podeszwą.

- Znalazłem tam jeszcze jeden krzaczek - powiedział Andrzej. - Mały. W drodze powrotnej...

- Niepotrzebnie. Trzeba było zjeść.

- Jeszcze ci mało?

- A po co ma się dobro marnować?

- Nie zmarnuje się - odparł Andrzej. - W drodze powrotnej się przyda.

- Nie będzie przecież żadnej drogi powrotnej!

- Tego jeszcze nie wiadomo - powiedział Andrzej. - Powiedz mi lepiej, będzie jeszcze woda?

Izia zadarł głowę i popatrzył na słońce.

- W zenicie - oświadczył. - Albo prawie w zenicie. A pan jak uważasz, panie astronom?

- Tak jakby.

- Zaraz zacznie się najbardziej interesujący odcinek.

- A co tu może być interesującego? Powiedzmy, że przejdziemy przez punkt zerowy, powiedzmy, że dojdziemy do Antymieścia...

- Skąd wiesz?

- O Antymieście?

- Nie. Dlaczego myślisz, że tak po prostu przejdziemy i pójdziemy dalej?

- Wcale o tym nie myślę - powiedział Andrzej. - Myślę o wodzie.

- Panie Boże ratuj! W punkcie zero jest początek świata, rozumiesz? A on o wodzie!...

Andrzej nie odpowiedział. Zaczęło się podejście pod kolejny pagórek, szło się coraz trudniej, postronki wrzynały się w ciało. Niezły taki żeń-szeń, pomyślał Andrzej. Skąd my o nim wiemy? Pak opowiadał? Zdaje się, że tak... A, nie! Wywłoka kiedyś przywłokła do obozu kilka korzeni i zaczęła jeść, a żołnierze jej zabrali i też spróbowali. Tak. Potem wszyscy chodzili napuszeni i kotłowali Wywłokę do samego rana... A Pak dopiero potem opowiedział, że ten ichni żeń-szeń, tak jak i prawdziwy żeń-szeń, trafia się bardzo rzadko. Rośnie tam, gdzie kiedyś była woda, i doskonale regeneruje siły. Tylko że nie można go przechowywać, trzeba zjeść natychmiast, bo po godzinie, albo nawet wcześniej, korzeń więdnie i robi się niemal trujący. .. Obok Pawilonu było mnóstwo tego żeń-szenia, cały ogród... No, tam to się go najedliśmy do woli, Izi wszystkie wrzody zagoiły się w ciągu jednej nocy. Pod Pawilonem było dobrze. A Izia przez cały czas rozprawiał o gmachu kultury...

...Wszystko inne - to tylko rusztowania u ścian świątyni, mówił. Wszystkie najlepsze rzeczy, które przez sto tysięcy lat wymyśliła ludzkość, wszystkie najważniejsze sprawy, które zrozumiała i do których doszła, składają się na tę świątynię. Przez tysiąclecia swojej historii, walcząc, głodując, wpadając w niewolnictwo i buntując się, dzieląc i jednocząc, ludzkość, sama tego nie podejrzewając, niesie tę świątynię na mętym grzbiecie swojej fali. Zdarza się, że nagle ją zauważa, i wtedy albo zaczyna ją rozwalać na cegły, albo gwałtownie oddawać jej cześć, albo zaraz obok buduje inną świątynię, jako obelgę. I nigdy nie rozumie do końca, z czym ma do czynienia, a po bezskutecznych próbach wykorzystania świątyni w ten czy inny sposób, bardzo szybko wraca do swoich tak zwanych potrzeb bieżących. Zaczyna dzielić coś, co już trzydzieści trzy razy zostało podzielone, kogoś ukrzyżuje, komuś odda cześć - a świątynia rośnie sobie i rośnie z wieku na wiek, z tysiąclecia na tysiąclecie, i nie można jej ani zburzyć, ani ostatecznie poniżyć... Najzabawniejsze jest to, mówił Izia, że każda cegielka tej świątyni, każda wieczna książka, każda wieczna melodia, każde niepowtarzalne dzieło architektoniczne niosą w sobie sprasowane doświadczenie tejże ludzkości, jej myśli i myśli o niej, idee celów i sprzeczności jej istnienia. A więc, bez względu na to, jak daleka wydawałaby się świątynia od tymczasowych interesów tego stada świń, jednocześnie jest zawsze nieodłącznie z nim związana, nie może bez niego istnieć... Zabawne jest jeszcze i to, że świątyni nikt właściwie nie buduje świadomie. Nie da się zaplanować jej na papierze ani w żadnym genialnym mózgu, ona rośnie sama z siebie, bezbłędnie wchłania w siebie wszystko to, co najlepszego zrodziła historia ludzkości... Ty może uważasz, pytał zjadliwie Izia, że bezpośredni budowniczości tej świątyni to nie świny? Ha! Jeszcze jakie świny! Złodziej i łajdak Benvenuto Cellini, nałogowy pijak Hemingway, pederasta Czajkowski, schizofrenik i reakcjonista Dostojewski, drobny złodziejaszek i szubienicznik Francois Villon... Mój Boże, przecież porządni ludzie to wśród nich rzadkość! Ale oni, jak koralowe polipy, nie wiedzą, co tworzą. Podobnie jak cała ludzkość. Pokolenie za pokoleniem żre, zaspokaja swoje potrzeby, rozkoszuje się, walczy, zabija, zdycha - i patrzysz, a tu już cały koralowy atol powstał, i to jaki piękny! A jaki trwały!... No dobrze, powiedział Andrzej. Świątynia. Jedyna trwała wartość. W porządku. W takim razie co my wszyscy mamy do tego? Co ja mam do tego?...

- Stój! - Izia chwycił go za postronek. - Poczekaj. Kamienie.

Rzeczywiście, kamienie były tu odpowiednie - okrągłe, płaskie, wyglądały jak wyschnięte krowie placki.

- Kolejna świątynia? - uśmiechnął się złośliwie Andrzej. Zrzucił postronki, odszedł na bok i podniósł najbliższy leżący kamień. Doskonale nadawał się na fundament - od dołu guzowaty, ostry, a z

wierzchu gładki, wypolerowany pyłem i wiatrem. Andrzej położył go na stosunkowo równym kamiennym miale, wepchnął trochę głębiej i poszedł po następny.

Układając fundament czuł coś w rodzaju zadowolenia: mimo wszystko była to jednak jakaś praca, nie bezmyślne przebieranie nogami, lecz praca wykonywana w określonym celu. Można było ten cel kwestionować, można było nazwać Izie maniakiem i psychopatą (zresztą zgodnie z prawdą...)... A można było właśnie tak: kamień po kamieniu układać możliwie najbardziej równy plac na fundament.

Obok niego sapał i stękał Izia, tocząc ogromne kamienie i potykając się. Podeszwa oderwała się już do końca. Gdy fundament był gotowy, Izia poleciał do swojego wózka i wyciągnął z niego kolejny egzemplarz "Przewodnika".

Kiedy będąc w Kryształowym Pałacu ostatecznie zrozumieli i niemal uwierzyli, że w dalszej drodze na północ już nigdy nikogo nie spotkają, Izia usiadł przy maszynie do pisania i błyskawicznie napisał "Przewodnik po świecie absurdu", Potem osobiście powielił go na dziwacznej kopiarce - automacie (w Kryształowym Pałacu było do licha i trochę najdziwniejszych i najróżniejszych automatów), osobiście umieścił wszystkie pięćdziesiąt egzemplarzy w kopertach z dziwnego, przezroczystego, a przy tym bardzo trwałego materiału pod nazwą "folia polietylenowa" i załadował nimi swój wózek, ledwo zostawiając w nim miejsce na plecak z sucharami... A teraz miał już tylko dziesięć kopert, a może nawet mniej.

- Ile ci ich jeszcze zostało? - zapytał Andrzej.

Izia, układając kopertę na środku kamiennego fundamentu, nieuważnie odpowiedział:

- A cholera wie... Mało. Dawaj kamienie.

I znowu zaczęli dźwigać kamienie. Wkrótce nad kopertą wyrosła półtorametrowa piramida. Na tej bezludnej pustyni wyglądała trochę dziwnie, a żeby ją jeszcze bardziej udziwnić, Izia polał kamienie zjadliwie czerwoną farbą z ogromnej tubki, znalezionej w magazynie pod Wieżą. Potem poszedł do wózka, usiadł i zaczął przywiązywać oderwaną podeszwę kawałkiem sznurka, spoglądając przy tym co chwila na swoją piramidę. Malującą się na jego twarzy niepewność i wątpliwości stopniowo zastępował wyraz zadowolenia i rosnącej z każdą sekundą dumy.

- A co?! - zawołał, napuszony i zachwycony sobą. - Nawet kompletny głupek nie przejdzie obok tego obojętnie, domyśli się, że coś jest w środku...

- Aha - powiedział Andrzej, kucając obok. - Dużo ci z tego przyjdzie, że jakiś głupek rozwali piramidę.

- Nie ma strachu - wymamrotał Izia. - Głupek to też istota rozumna. Jak sam nie zrozumie, to opowie innym ... - Ożywił się nagle. - Weź na ten przykład mity! Jak wiadomo, głupcy to przeważająca większość ludzkości, co znaczy, że świadkiem każdego interesującego wydarzenia był właśnie głupek. Ergo: mit jest opowieścią o wydarzeniu prawdziwym, doświadczonym przez głupka i opisanym przez poetę. Co ty na to?

Andrzej nie odpowiedział. Patrzył na piramidę. Wiatr zbliżał się do niej ostrożnie, niepewnie kurzył dookoła, słabo pogwizdywał w szczelinach między kamieniami. Andrzej nagle z niezwykłą jasnością wyobraził sobie te nie kończące się kilometry, które zostały za nimi, i ciągnącą się po tych kilometrach rzadką linię takich piramid, pozostawionych na pastwę wiatru i czasu... Potem wyobraził sobie, jak do takiej piramidy doczołguje się na czworakach wyschnięty jak mumia, zdychający z głodu i pragnienia wędrowiec... jak z wściekłością, łamiąc paznokcie, rozgrzebuje i rozwała kamienie, a rozpalona wyobraźnia rysuje mu wizje ukrytego pod kamieniami jedzenia i wody... Andrzej zaśmiał się histerycznie. No, wtedy to już na pewno bym się zastrzelił. Niemożliwe, żeby przetrzymać coś takiego...

- Co z tobą? - zapytał podejrzliwie Izia.

- Nic, nic, wszystko w porządku - powiedział Andrzej i wstał.

Izia też wstał i przez chwilę krytycznie przyglądał się swojej piramidzie.

- Nie ma w tym nic śmiesznego! - oświadczył. Potupał obwiązaną sznurkiem nogą. - Na razie wystarczy. Idziemy?

- Idziemy.

Andrzej zaprzęgnął się do wózka. Izia nie mógł się powstrzymać, żeby jeszcze raz nie obejść dookoła swojej piramidy. Najwyraźniej on też sobie coś wyobrażał, coś, co mu pochlebiało, uśmiechał się ukradkiem, zacierał ręce i głośno sapał w wąsy.

- Ale wyglądasz! - nie wytrzymał Andrzej. - Jak ropucha. Nawalił skrzeku i duma go rozsadza. Albo jak łośoś.

- No, no! - powiedział Izia, wkładając ręce w postronki. - Łosoś potem zdycha...

- Otóż to - odpowiedział Andrzej.

- No, no! - powtórzył groźnie Izia. Ruszyli. Potem Izia zapytał nagle:

- Jadłeś kiedyś łośosia?

- Kilogramami - odpowiedział Andrzej. - Pod wódkę, doskonale pasuje. Albo na kanapki, do herbaty... A co?

- Tak... A moje córki już go nie spróbowały.

- Córki? - zdziwił się Andrzej. - To ty masz córki?

- I to trzy. I ani jedna nie wie, co to jest łośoś. Tłumaczyłem im, że łośoś i jesiotr to ryby, które wyginęły. Podobnie jak ichtiozaury. A one to samo będą opowiadać swoim dzieciom o śledziach.

Mówił coś jeszcze, ale Andrzej, zszokowany, już nie słuchał. A to ci dopiero! Trzy córki! Izia! Znam go sześć lat i nigdy by mi coś takiego do głowy nie przyszło. I dlaczego on w takim razie zdecydował się, żeby tu... A to numer! Nie ma co, ludzie bywają różni. Nie, nie, pomyślał. Nie ma o czym gadać: żaden normalny człowiek do tej piramidy nie dojdzie. Normalny człowiek dojdzie do Kryształowego Pałacu i tam już zostanie. Widziałem już takich normalnych ludzi - gęby od tyłka nie sposób odróżnić; Nie, jeśli ktoś tu się dociągnie, to tylko taki Izia numer dwa. I jak rozkopiesz tę piramidę, jak rozerwie kopertę, od razu o wszystkim zapomni - i umrze tu, zaczytany... Chociaż, z drugiej strony, skoro mnie tu przywiało... I po co? Na Wieży było dobrze. W Pawilonie jeszcze lepiej. Ale w Kryształowym Pałacu... Tak jak żyłem w Kryształowym Pałacu, już nigdy nie będę żył... No dobrze - Izia. Nie może usiedzieć na jednym miejscu. A gdyby nie było ze mną Izii - to bym się stamtąd ruszył? Czybym został? Oto pytanie!...

...Dlaczego musimy iść naprzód? - pytał Izia na Plantacji, a czarne, cycate ślicznotki siedziały obok nas i słuchały. Dlaczego mimo wszystko musimy iść naprzód? - perorował, z roztargnieniem gładząc siedzącą najbliżej po atlasowym kolanie. A dlatego że za nami jest albo śmierć, albo nuda, która jest równoznaczna ze śmiercią. Czyżby nie wystarczyło ci to proste wyjaśnienie? Jesteśmy pierwsi, rozumiesz? Nikt przed nami nie przeszedł tego świata od końca do końca. Z dżungli i bagien do samego punktu zerowego... A może wszystko to wymyślono właśnie po to, żeby znalazł się taki człowiek? Żeby przeszedł od - do... Po co? - pytał posępnie Andrzej. A skąd ja mam wiedzieć po co? - denerwował się Izia. A po co buduje się świątynię? To oczywiste, że świątynia jest jedynym widocznym celem, a po co - to niewłaściwe pytanie. Człowiek musi mieć cel, bez celu nie potrafi żyć, po to dano mu rozum. Jeśli nie ma celu, wymyśla go sobie... No i ty właśnie sobie go wymyśliłeś, powiedział Andrzej, koniecznie musisz przejść od - do. I to ma być cel! Nie wymyślałem go, sprzeciwił się Izia, to mój jedyny cel. Nie miałem wyboru. Albo cel, albo bezcelowość. Tak to wygląda... A czemu ty mi zawracasz głowę swoją świątynią, powiedział Andrzej, co ona ma do tego?... Ma, i to dużo, z zadowoleniem, jakby na to właśnie czekając, odparł Izia. Świątynia, kochany

ty mój Andriuszka, to nie tylko wieczne książki i wieczna muzyka. Gdyby tak było, to wyszłoby na to, że świątynię zaczęto budować dopiero po Gutenbergu, albo, jak was uczono, po Iwanie Fiedorowie. Nie, kochaniutki, na świątynię składają się również nasze czyny. Jeśli wolisz, czyny są jej cementem, jej siłą, jej podstawą. Wszystko zaczęło się od czynów. Najpierw był czyn, potem legenda, a dopiero później cała reszta. Oczywiście, mówimy tu o czynie niezwykłym, niepojętym, wychodzącym poza ramy... Oto co było początkiem świątyni - niebanalny czyn!... Krótko mówiąc, bohaterski, zauważył Andrzej, uśmiechając się pogardliwie. No, powiedzmy, że bohaterski, zgodził się pobłaźliwie Izia. Wychodzi na to, że jesteś bohaterem, powiedział Andrzej, że usiłujesz być bohaterem. Sindbad Żeglarz i Ulisses... Ale z ciebie głuptas, odparł Izia. Powiedział to niemal łagodnie, nie miał zamiaru go obrazić. Zaręczam ci, przyjacielu, że Ulisses nie starał się być bohaterem. On po prostu nim był - taką już miał naturę, inaczej nie mógł. Ty, na przykład, nie możesz jeść gówna - mdli cię, a jego mdliło od siedzenia w zabitej dechami Itace, od panowania... Przecież ja widzę, że ty się nade mną litujesz - myślisz sobie: maniak, psychol... Widzę, widzę. Nie powinieneś mnie żałować. Powinieneś mi zazdrościć. Dlatego że ja wiem dokładnie: nie ma w historii nic ważniejszego od budowy świątyni, a w moim życiu jest tylko jeden cel - chronić świątynię i pomnażać jej skarby. Oczywiście, nie jestem Homerem czy Puszkinem, nie dołożę swojej cegiełki. Ale jestem Katzmanem! Świątynia jest we mnie, a więc jestem jej częścią, a więc dzięki mojej świadomości samego siebie świątynia powiększyła się o jeszcze jedną ludzką duszę. I już samo to jest piękne. Nawet gdybym nie dołożył ani okrucha... Ale możesz być pewien, że ja postaram się coś dołożyć. Może to będzie zaledwie ziarnko, które z czasem odpadnie, nie przyda się... Ale wiem jedno - świątynia była we mnie, a więc była silna również mną. Nic z tego nie rozumiem, powiedział Andrzej. Mętne to twoje tłumaczenie. Jakaś religia: świątynia, duch... No pewnie, powiedział Izia, skoro to nie butelka wódki i nie szeroki materac, to już musowo religia. Nie masz się co nadymać, sam przecież sto razy powtarzałeś, że straciłeś grunt pod nogami, że zawisłeś w przestrzeni... Zgadza się, wisisz. Tak musiało się stać. Tak dzieje się z każdym choć trochę myślącym człowiekiem... A ja daję ci grunt. Najtwardszy, jaki tylko może być. Chcesz, stawaj na nim obiema nogami, nie chcesz, idź do diabła. Ale wtedy już nie narzekaj! Ty mi podsuwasz nie grunt, powiedział Andrzej, tylko jakiś bezkształtny obłok! No dobrze. Powiedzmy, że zrozumiałem, o co ci chodzi z tą świątynią. Tylko co mi z tego? Na budowniczego się nie nadaję, powiedzmy sobie szczerze, Homerem też nie jestem... Ty masz ją chociaż w sobie, nie możesz bez niej żyć, widzę przecież, jak ganiasz po świecie jak młody psiak, wszystko chciwie obwąchujesz, na co się natkniesz - oblizujesz, gryziesz... Widzę, jak czytasz. Dwadzieścia cztery godziny na dobę mógłbyś czytać... a przy tym wszystko zapamiętujesz. A ja tego nie potrafię. Lubię czytać, ale nie pochłaniam książek tak jak ty. Słuchanie muzyki - proszę bardzo. Uwielbiam słuchać muzyki. Ale nie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę! I pamięć mam zupełnie zwyczajną - nie mogę wzbogacić jej wszystkimi skarbami, jakie nagromadziła ludzkość... Nawet gdybym tylko tym się zajmował- i tak nie dam rady. W jedno ucho wpada, z drugiego wypada. No więc, co mi po twojej świątyni?... Zgoda, powiedział Izia, nie przeczę. Nie każdemu jest to dane... Nie przeczę, że to własność mniejszości, kwestia natury człowieka. Ale posłuchaj mnie. Opowiem ci, jak ja to widzę. Świątynia ma, Izia zaczął zaginać palce, budowniczych. To ci, co ją tworzą. Potem są ci, ee... tfu, nie mogę znaleźć właściwego słowa, cały czas płacze mi się po głowie ta religijna terminologia... No dobrze, niech już będzie, kapłani. To ci, którzy noszą ją w sobie. Poprzez ich dusze rośnie i w ich duszach istnieje. Są również konsumenci - ci, którzy jej doświadczają... Na przykład Puszkina - to budowniczy. Ja jestem kapłanem, a ty konsumentem... Czego się krzywisz, głupku! To przecież wspaniałe! Przecież świątynia bez konsumentów nie miałaby racji bytu. Pomyśl lepiej, jak ci się poszczęściło! Potrzeba wielu, wielu lat specjalnej obróbki, zmiękczenia mózgu, przemysłnych

systemów oszustw, żeby ciebie, konsumenta, popchnąć do zburzenia świątyni... A takiego, jakim stałeś się teraz, w ogóle nie sposób do tego zmusić, chyba że pod groźbą śmierci. Pomyśl, przecież tacy jak ty - to najmniejsza część mniejszości! Większości wystarczy dać jeden mały znak - już lecą z łomami, z pochodniami, burzyć, palić... nieraz już tak było! I pewnie jeszcze nieraz będzie. A ty narzekasz! Przecież jeśli w ogóle można zadać pytanie: po co potrzebna jest świątynia? - to odpowiedź może być tylko jedna: dla ciebie!...

- Andriucha! - zawołał Izia znajomym, nieprzyjemnym tonem. - A może łyknijemy?

Byli na samym szczycie wysokiego wzgórza. Z lewej strony, tam gdzie urwisko, wszystko pokrywała gęsta zasłona kodującego się pyłu. Z prawej natomiast przejaśniło się i widać było Żółtą Ścianę, nie równą i gładką, jak w Mieście, lecz pomarszczoną i pofałdowaną jak kora olbrzymiego drzewa. W dole przed nimi zaczynało się równe jak stół, białe, kamienne pole - żadnego odłamka, równa kamienna płyta, ciągnący się aż po horyzont monolit. Jakies pół kilometra od wzgórza kołysały się nad nim dwie nieduże trąby powietrzne - jedna żółta, a druga czarna.

- Coś nowego. - Andrzej zmrużył oczy. - Popatrz, lity kamień...

- Co? Tak, chyba tak... Słuchaj, daj no się napić - cztery godziny już minęły...

- Dobra - zgodził się Andrzej. - Tylko najpierw zejdzmy.

Zeszli ze wzgórza, uwolnili się od postronków i Andrzej wyciągnął ze swojego wózka rozpalony kanister. Kanister zaczepił się najpierw o pasek automatu, potem o plecak z resztkami sucharów, ale Andrzej i tak w końcu go wyciągnął, wsadził między kolana i odkorkował. Izia podrygiwał obok, trzymając w gotowości dwa plastikowe kubeczki.

- Wyjmij sól - polecił Andrzej. Izia przestał podrygiwać.

- Daj spokój... -jęknął. - Po co? Chodź, tak machniemy...

- Bez soli nie dostaniesz - powiedział Andrzej zmęczonym głosem.

- To zrobmy tak... - Izi przyszła do głowy nowa myśl. Postawił kubeczki na kamieniu i pogrzebał w swoim wózku. - Najpierw zjem swoją sól, a potem popiję wodą.

- O Boże - powiedział wstrząśnięty Andrzej. - No dobra, rób jak chcesz.

Nalał po pół kubka gorącej, pachnącej żelazem wody, wziął od Izi torebkę z solą i powiedział:

- Dawaj język.

Wysypał odrobinę soli na gruby, obłożony język Izi i patrzył, jak ten, krzywiąc się i dławiąc, chciwie wyciąga rękę po kubek. Sam posolił swoją wodę i zaczął ją pić małymi, skąpymi łyčzkami, jak lekarstwo, bez żadnej przyjemności.

- Dobrze! - powiedział Izia, pochrzając. - Tylko mało. No nie?

Andrzej kiwnął głową. Wypita woda od razu zmieniła się w pot, w ustach przez cały czas było tak samo sucho, żadnej ulgi. Podniósł kanister, sprawdzając, ile im jeszcze zostało. Na kilka dni pewnie starczy, a potem... Potem znowu coś się znajdzie, powiedział do siebie ze złością. Eksperyment to Eksperyment. Życie nie pozwoli, ale umrzeć też nie... Rzucił okiem na rozciągającą się przed nimi białą, dyszącą żarem równinę, przygryzł suchą wargę i zaczął ustawiać kanister w wózku. Izia usiadł i na nowo przywiązał swoją podeszwę.

- Wiesz co - wysapał - to rzeczywiście jest jakieś dziwne miejsce... Czegoś takiego sobie nie przypominam... - Popatrzył na słońce, osłaniając oczy dłonią. - W zenicie - powiedział. - Słowo daję, w zenicie. Coś się będzie działo... Wyrzuc w cholerę to żelastwo, po co się z tym szarpiesz?

Andrzej starannie ustawiał automat obok kanistra.

- Gdyby nie to żelastwo, nasze kości leżałyby teraz za Pawilonem - przypomniał.

- E tam, za Pawilonem! - sprzeciwił się Izia. - Od tamtej pory minęło pięć tygodni i nawet muchy nie spotkaliśmy...

- Nie ma o czym gadać. Nie ty go będziesz nosił... Idziemy.

Kamienny płaskowyż był zadziwiająco równy. Wózki toczyły się po nim jak po asfalcie, tylko kółka skrzypiały. Ale upał jeszcze jakby się nasilił. Biały kamień odbijał słońce i dla oczu nie było żadnego ratunku. W pięty paliło, jakby w ogóle nie mieli butów, a kłęby pyłu nie zmniejszyły się nawet odrobinę. Jak tu nie padniemy, pomyślał Andrzej, to będziemy żyć wiecznie... Szedł, mocno mrużąc oczy, potem zamknął je zupełnie. Trochę lepiej. Tak właśnie będę szedł, myślał. A oczy mogą otwierać co dwadzieścia kroków. Albo co trzydzieści. Spojrzę - i dalej...

Bardzo podobnym białym kamieniem były wyłożone piwnice w Wieży. Tylko że tam było chłodno i panował półmrok, a wzdłuż ścian stały kartonowe pudła z artykułami żelaznymi. Zawierały gwoździe, sworznie wszelkich rozmiarów, wkręty, puszki z klejami i śrubami, butelki z różnokolorowymi lakierami, narzędzia stolarskie i ślusarskie, zawinięte w zatłuszczony papier łożyska kulkowe... Do jedzenia nie znaleźli nic, ale w kącie, z zardzewiałej, sterczącej ze ściany rury ciekł cienki strumyczek zimnej i niewiarygodnie smacznej wody.

...No dobrze, wszystko to pięknie - powiedział Andrzej, po raz dwudziesty podsuwając kubek pod strumyczek. - Ale jedno mi się w twoim systemie nie podoba. Nie lubię, jak się dzieli ludzi na ważnych i nieważnych. To niesłuszne. Wstrętne. Stoi sobie świątynia, a dookoła niej bezmyślne bydło. "Człowiek to dusza obciążona trupem!" Założmy, że tak jest rzeczywiście. Ale to i tak jest niesłuszne. Trzeba to zmienić...

...A czyja mówię, że nie trzeba?! - wykrzyknął Izia. - Oczywiście, byłoby miło, gdyby dało się ten porządek zmienić. Tylko jak? Wszystkie podejmowane dotąd próby zmiany tej sytuacji, wyrównania ludzkiego pola, postawienia wszystkich na jednym poziomie, żeby wszystko było prawidłowo i sprawiedliwie, wszystkie te usiłowania kończyły się zniszczeniem świątyni, żeby nie górowała nad tłumem, . i odrąbaniem za bardzo wystających głów. I koniec. I nad wyrównanym polem błyskawicznie, jak złośliwy guz, zaczynała rosnać cuchnąca piramida nowej politycznej elity, jeszcze ohydniejszej od starej... A innych sposobów na razie nie wymyślono. Oczywiście, wszystkie te ekscesy nie zmieniły biegu historii i nie mogły zupełnie zniszczyć świątyni, ale ścięto za dużo świątynnych głów.

...Wiem - powiedział Andrzej. - Ale to i tak obrzydliwe. Każda elita jest obrzydliwa...

...No, mój drogi! - sprzeciwił się Izia. - Gdybyś powiedział, że obrzydliwa jest każda elita władająca losami i życiem innych ludzi, to bym się z tobą zgodził. Ale elita sama w sobie, elita sama dla siebie - komu ona przeszkadza? Inna sprawa, że może drażnić, rozjątrzać, złościć - to jedna z jej funkcji... Absolutna równość to bagno, zastój. Trzeba by podziękować Matce Naturze, że nie ma czegoś takiego jak absolutna równość... zrozum mnie, Andrzej, ja nie proponuję systemu przebudowy świata. Nie znam takiego systemu, nie wierzę nawet, że on istnieje. Tyle już było tych systemów, a i tak wszystko zostało po staremu. Proponuję tylko cel istnienia... tfu, nic nie proponuję, skołowałeś mnie zupełnie. Odkryłem ten cel w sobie i dla siebie - cel mojego istnienia, rozumiesz? Mojego i ludzi do mnie podobnych... I rozmawiam o tym tylko z tobą i tylko teraz, bo mi cię żal, bo widzę, dojrzał człowiek, spalił wszystko, co czcił, a co ma teraz czcić - nie wie. A ty bez tego nie możesz, z mlekiem matki wyssałeś konieczność oddawania czci, wszystko jedno komu lub czemu. Na zawsze wbili ci do głowy, że jeśli nie ma idei, za którą warto umrzeć, to nie warto żyć. Tacy jak ty, którzy osiągnęli ostateczne zrozumienie, zdolni są do wszystkiego. Albo strzeli sobie taki w łeb, albo zostanie wybitnym łajdakiem - łajdakiem z przekonania, z zasadami, łajdakiem bezinteresownym, rozumiesz?... Albo jeszcze gorzej: zacznie się mścić na świecie, za to że świat jest taki, jaki jest w rzeczywistości, że nie zgadza się z jakimś tam wymyślonym ideałem.. Idea świątyni jest jeszcze dlatego taka dobra, że nie wolno za nią umierać. Za nią trzeba żyć. Żyć każdego dnia, z całych sił,

całą pełnią...

...Tak, być może - powiedział Andrzej. - Być może tak właśnie jest. Ale i tak ta idea jeszcze nie jest moją ideą!...

Andrzej zatrzymał się i złapał Izie za rękaw. Izia od razu otworzył oczy i zapytał przestraszony:

- Co? Co się stało?

- Cicho - powiedział Andrzej przez zęby.

Coś przed nimi było. Coś szło - nie pełzło, nie wilo się tuż nad kamieniami. Szło poprzez to wszystko. Im na spotkanie.

- Ludzie! - zawołał Izia z zachwytem. - Słuchaj, Andrzej, to ludzie!

- Cicho, bydlaku - wyszeptał Andrzej.

Sam już wiedział, że to ludzie. Albo człowiek... Nie, zdaje się, że dwoje... Stanęli. Pewnie też już ich zauważyli... I znowu nic nie widać przez ten przeklęty pył.

-No proszę! - Izia triumfował. - A ty cały czas jęczałeś, że zdechniemy...

Andrzej ostrożnie zrzucił postronki i cofnął się do swojego wózka, nie spuszczać oka z niewyraźnych cieni na przedzie. Do licha, ilu ich tam jest? I jak do nich daleko? Sto metrów? Mniej? Wymacał w wózku automat, przeładował i powiedział do Izi:

- Zsuń wózki i połóż się za nimi. W razie czego będziesz mnie osłaniał...

Wcisnął Izi automat i nie oglądając się, powoli poszedł naprzód. Położył rękę na kaburze. Prawie nic nie było widać. Zastrzeli mnie, pomyślał o Izi. Strzeli mi prosto w kark...

Teraz można już było zobaczyć, że jeden z tamtych też idzie w jego stronę - niewyraźna, wysoka sylwetka w kłębiącym się pyle. Ma broń czy nie? No i masz swoje Antymiaasto. Kto by pomyślał? Nie podoba mi się, jak on trzyma rękę! Andrzej ostrożnie rozpiął kaburę, chwycił za złobioną rękojeść. Duży palec sam znalazł się na bezpieczniku. To nic, jakoś to będzie. Musi. Najważniejsze - nie robić gwałtownych ruchów...

Zaczął wyciągać pistolet z kabury. Pistolet zaczepił się o coś. Andrzej zamarł. Szarpnął mocno, potem jeszcze mocniej, wreszcie z całej siły. Zobaczył wyraźnie gwałtowny ruch tamtego (wysokiego, obdartego, wycieńczonego, zarośniętego po same oczy)... Głupio, pomyślał naciskając na spust. Wystrzał, błysk wystrzału tamtego, i - chyba - krzyk Izi... I uderzenie w pierś, od którego zgasło słońce...

- No i proszę, Andrzej - powiedział z odcieniem triumfu głos Nauczyciela. - Pierwszy krąg ma pan już za sobą.

Lampa z zielonym szklanym abażurem była włączona, na stole, w kręgu jej światła, leżała "Leningradzka Prawda" z wielkim wstępniakiem pod tytułem: "Mieszkańcy Leningradu bezgranicznie kochają towarzysza Stalina". Na regale za plecami jęczało i mamrotało radio. W kuchni mama brzęczała naczyniami i rozmawiała z sąsiadką. Pachniało smażoną rybą. Na podwórku-studni hałasowały dzieciaki, bawiły się w chowanego. Przez otwarty lufcik ciągnęło wilgotnym powietrzem roztopów. Jeszcze minutę temu to wszystko było zupełnie inne - dużo bardziej zwyczajne i codzienne. Nie miało przyszłości. A raczej - istniało poza przyszłością.

Andrzej wygładził gazetę i zapytał:

- Pierwszy? Dlaczego pierwszy?

- Dlatego, że jest ich jeszcze dużo - rozległ się głos Nauczyciela. Andrzej, starając się nie patrzeć w stronę, z której dobiegał głos, wstał i oparł się plecami o szafę przy oknie. Czarna studnia podwórka, słabo oświetlona żółtymi prostokątami okien, była pod nim i nad nim. Gdzieś wysoko w

górze, na zupełnie już ciemnym niebie płonęła Wega. Porzucenie tego wszystkiego jeszcze raz było absolutnie niemożliwe, pozostanie tu - tym bardziej. Teraz. Po tym wszystkim.

- Izia! Izia! - rozległ się w studni przenikliwy kobiecy głos. - Izia, kolacja!... Dzieci, nie widziałyście Izii?

Dziecięce głosy na dole zaczęły krzyczeć:

- Izia! Katzman! Matka cię woła!...

Andrzej, skupiony, przysunął twarz do samej szyby i zaczął wpatrywać się w ciemność. Ale zobaczył tylko niewyraźne cienie, kręcące się po mokrym dnie studni, pomiędzy piętrzącymi się sagami drewna.

[1] Czerepowiec - miasto w północnej części Rosji w obwodzie Wołogdziańskim, port przy Wołżansko-Bałtyckiej drodze morskiej, nad zbiornikiem Rybińskim. Ośrodek metalurgii i chemii. Budowa czerepowieckiego kombinatu metalurgicznego rozpoczęła się w 1948 r.

[1] Birobidżan - stolica planowanej przez Stalina republiki żydowskiej (przyp. tłum.).

[1] Fragment wiersza M. Niekrasowa "Kolej żelazna" w przekładzie L. Lewina.

[2] Król Dadon, szamachańska królowa - bohaterowie "Bajki o złotym koguciku" A. Puszkina. Potęga uroku szamachańskiej królowej doprowadziła do zguby króla Dadona - wojowniczego władcę potężnego królestwa, oraz jego dwóch walecznych synów (przyp. tłum.).

Spis treści

[S](#)
[1](#)
[\[1\]](#)
[\[2\]](#)